KATARZYNA

BONDA

Okularnik

NIE MA CIAŁA,
NIE MA ZBRODNI

Kontynuacja bestsellerowego *Pochłaniacza*

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

CZTERY ŻYWIOŁY SASZY ZAŁUSKIEJ

Tetralogia kryminalna

tom I

Pochłaniacz

POWIETRZE

tom II

Okularnik

ZIEMIA

wkrótce

tom III

Lampiony

OGIEŃ

tom IV

Czerwony pająk

WODA

KATARZYNA

BONDA

Okularnik

WARSZAWSKIE WYDAWNICTWO LITERACKIE
MUZA SA

Projekt okładki: *Paweł Panczakiewicz/PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN*
Redaktor prowadzący: *Ewa Orzeszek-Szmytko*
Redakcja: *Irma Iwaszko*
Redakcja techniczna: *Karolina Bendykowska*
Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*
Korekta: *Dorota Ring*

© by Katarzyna Bonda
All rights reserved
© for this edition by MUZA SA, Warszawa 2015

Fotografie na okładce:
las © Dave Wall/Arcangel Images
kobieta © Kevron 2001/Fotolia

Ta książka jest fikcją literacką.

Ewentualne podobieństwo personaliów, postaci, zdarzeń, okoliczności nie jest zamierzone i może być jedynie przypadkowe. Natomiast niektóre elementy intrygi są prawdziwe i zostały zbudowane na podstawie dokumentów historycznych, akt spraw kryminalnych, Instytutu Pamięci Narodowej bądź zostały mi opowiedziane przez żyjących mieszkańców Podlasia. Poza tym historia opisana w powieści może nieco odbiegać od realiów.

ISBN 978-83-7758-981-6

Warszawskie Wydawnictwo Literackie
MUZA SA
Warszawa 2015
Wydanie I

NIE MA CIAŁA, NIE MA ZBRODNI

Pamięci mojej babci Katarzyny,
która została zamordowana w 1946 roku
w pogromie wsi prawosławnych na Podlasiu.

Mojej mamie – Ninie,
która w wieku sześciu lat została sierotą.
W hołdzie za jej hart ducha,
który odziedziczyłam w genach.
Z miłością

Według Empedoklesa zasadę bytu tworzą cztery korzenie wszechrzeczy, nazywane też żywiołami, elementami lub pierwiastkami: powietrze, ziemia, ogień i woda. Elementy te są wieczne, bo „to, co jest”, nie powstaje, nie przemija i jest niezmienne. Z drugiej strony zmienność istnieje, bo nie ma powstawania czegokolwiek, co jest śmiertelne, ani nie jest końcem niszcząca śmierć. Jest tylko mieszanie się i wymiana tego, co pomieszane.

Słynni zaklinacze wężów posługują się właśnie okularnikami. Na oczach widzów straszliwe gady potulnieją, posłuszne magicznej mocy zaklinacza. Rzecz polega czasem na zupełnie prymitywnym chwycie: węże mają pourywane zęby jadowe albo zaszyte pyski. Niekiedy zaklinacz jest uodporniony na działanie jadu przez wielokrotne wprowadzanie do krwi minimalnych jego dawek. Czasami jednak zdarza się, że zaklinacza nie chroni nic, poza mistrzowską znajomością psychiki okularników i wirtuozerią w obchodzeniu się z nimi. Nierzadko fakir, zbyt pewny swoich umiejętności, za pozorną władzę nad wężem płaci cenę najwyższą – własnym życiem.

V.J. Stanek, *Wielki atlas zwierząt*

Jesteś „tutejszy”, jeśli prochy twoich przodków leżą w tej ziemi.

Spis treści

Prolog
KOLA (2000)
STASZEK (1946)
DUNIA (1957)
PIOTR (1977)
ŁARYSA (1995)
JOWITA (1999)
JAKUB (2000)
DAWID (2014)
Posłowie
Podziękowania
Przypisy

Prolog

Sopot, maj 2014

Kiedy po trzecim sygnale podniósł słuchawkę, nie odezwała się, choć powinna spytać o Zofię.

W tle słyszała odgłos telewizora i śmiech dzieci. Wyobraziła sobie spotkanie rodzinne. Rosół w wazie na stole, domowe ciasto na porcelanowych spodkach. Dzieciaki, nieświadome tego, czym zajmuje się dziadek, który co roku udaje Świętego Mikołaja, robią z mieszkania tor przeszkód. Z głośników huczy *Tom i Jerry*. Dorośli przekrzykują bohaterów kreskówki. Piją domową nalewkę z gruszek. Służbowa broń, z wyjętym magazynkiem i zapasem dodatkowej amunicji, drzemie w szafie pancernej.

– Zofii nie ma – odezwał się pierwszy. – Zawieźli ją na porodówkę.

Sasza odetchnęła z ulgą. Kiedy odchodziła, jej oficer prowadzący miał już przepracowane czterdzieści jeden lat służby, ale, jak widać, wciąż był na posterunku. Jego pierwszy wnuk przyszedł na świat, kiedy ją werbował. Zauważyła wtedy zdjęcie niemowlaka na pulpicie jego komputera. Marcel, wyjawił z dumą, i dodał: a jego siostra w drodze. Od tamtej pory zwracała się do oficera per „Dziadku”. Pseudo szybko doń przylgnęło i mówili tak wszyscy. Przez lata nie znała jego prawdziwego nazwiska. Do wczoraj. Liczyła, że Dziadek jeszcze tego nie wie. Choć raz miała nad nim przewagę.

– Na porodówkę? – Sasza się uśmiechnęła. Teraz już oficer nie odłoży słuchawki. Jest zbyt ciekaw, czego od niego chce była protegowana. – A co jej jest?

– Nie wiem – mruknął według dawnych instrukcji.

Słyszała teraz świszczący oddech, kaszlnięcie i stuki. Musiał przeprosić gości, wolno przemieszczał się do innego pokoju. Kiedy zamknął drzwi

i zapadła cisza, chciała dodać coś na usprawiedliwienie, ale ją uprzedził.

– Książek telefonicznych już nie ma. Na Fejsbuku mnie nie uświadczysz. – Urwał.

– A ty skąd miałeś mój numer, kiedy wkręcałeś mnie w sprawę Igły?

– Aż tak mocna nie jesteś.

– Racja – przyznała. – Ale też mam swoje sposoby.

– Jeszcze dwie sekundy i włączy się nagrywanie – ostrzegł ją. W jego głosie nie było wrogości. Raczej rutyna. – Oboje będziemy mieli kłopoty.

Rozłączyła się. Usiadła na podłodze po turecku. Zapaliła.

Ekran komputera zamigotał i przeszedł w stan uśpienia. Przez chwilę, zanim zamarł, na pulpicie widziała twarz profesora Abramsa. Mieli do omówienia zaległe seminarium. Profesor martwił się jej milczeniem. Od kilku dni próbował złapać ją na Skypie. Napisał jej z dziesięć wiadomości. Pracowała, ale najpierw chciała skończyć ostatni rozdział i omówić z nim całość doktoratu. Obiecała sobie, że jutro z samego rana dorwie go w instytucie. Papieros się kończył. Kiedy wstała, by zgasić go pod kranem, zagrał *Jism* Tindersticks. Zerknęła na wyświetlacz. Numer zastrzeżony. Odebrała, zanim zaczął się refren.

– Jedno pytanie – rzuciła bez wstępów. Wciąż trzymała w ręku tlący się niedopałek. – Jaka była moja rola w sprawie Igły? I czy Łukasz pracował dla nas? Mam prawo wiedzieć.

– Nigdy cię oszukiwałem – odparł Dziadek. Głos miał spokojny. Mniej chropawy niż ostatnio. Syczenia prawie nie było słychać. Zanim zadzwonił, musiał skorzystać z inhalatora. – Takie miałem rozkazy. Poza tym to dwa pytania.

Nabrała powietrza.

– Łukasz wie?

– Nawet ja nie wiem wszystkiego – zaczął, ale zatrzymał się. – A jeśli chodzi o ciebie? Modliszka diabelska.

Sasza podeszła do lodówki. Nalała sobie zimnego mleka. Upiła łyk. Czekała.

– A więc „Czerwony Pająk” to zasłona dymna?

– Byłem tego prawie pewien, ale po wszystkim, jak wyjechałaś, okazało się, że to nie jest oczywiste. Ciotka Polaka, żona znanego reżysera… Jeden telefon wystarczył. Wiesz, jak to się załatwia. Obstawiam Sońkę, przydupasa Karpa. Dowodził wtedy ekipą sprzątającą. Potem lawina poszła niżej. Dochodzeniowiec zadbał o czyste papiery. Nie miałem nic do gadania.

– Pracował dla nas?

– Miało być jedno.

– Czyli tak – westchnęła. – Więc wrzuciłeś mnie na minę.

– Tak bym tego nie ujął – szybko odbił piłeczkę. – Ale jeśli tak bardzo chcesz wiedzieć, to nie sądzę.

– On dalej to robi.

Sasza przysunęła do siebie tabloid. Z okładki krzyczał żółty tytuł: *Bułka strachu*. Tekst zilustrowano zdjęciem nieatrakcyjnej kobiety z oczami wytrzeszczonymi na widok monstrualnego hamburgera. Sasza pośpiesznie przerzuciła strony gazety. Na czwartej rozkładówce, w wąskiej szpalcie z kryminałkami, dziś rano przeczytała notkę o zaginięciu Lidki Wrony, studentki turystyki z Tarnowa. Sprawa sprzed trzech lat, dotąd niewyjaśniona. Dla mediów stary kotlet. Nie zasługiwał nawet na trywialny tytuł i zdjęcie. Saszą jednak ta informacja wstrząsnęła. Kiedy była za granicą, nie czytała tabloidów. W „Polityce” o Lidce nie pisali. Dziś z małej notki dowiedziała się, że w dniu zniknięcia dziewczyna zamieściła na swoim profilu portalu społecznościowego artystyczną fotografię. To zdjęcie dziś każdy mógł znaleźć w sieci. Wystarczyło wpisać: „Lidka Wrona, zaginięcie”. Kiedy Sasza to zrobiła, sparaliżowało ją. Natychmiast rozpoznała unikatowy styl przestępcy. Wykonano je z góry. Piękny, malarski kadr, jak wyjęty z albumu „Czerwonego Pająka”. Kontrastowe, wzmocnione w Photoshopie barwy grały tu rolę ważniejszą niż fotografowany obiekt. Lidka leżała w czerwonej sukience, niczym w plamie krwi, na tafli zielonej trawy. Dziennikarz podpisujący się skrótem (PN) informował, że policja wykluczyła ostatni trop. Sprawę umorzono z powodu niewykrycia sprawcy. Wciąż jest rozwojowa, zapewniał rzecznik. Ale dopóki nie pojawią się nowe przesłanki, będzie leżała w Archiwum X, razem z tysiącem innych, nigdy niewyjaśnionych.

– Tego nie wiemy – Dziadek odezwał się po długim milczeniu. – Mogę ci tylko powiedzieć, że Pająk nie działał sam. Nie był to sprawca seksualny ani szaleniec psychopata, jak początkowo sądziliśmy. Tylko ze względu na nagonkę medialną przesiewaliśmy informacje do publikacji. Siatka powiązań sięgała wysoko. Znacznie wyżej niż możesz podejrzewać.

– Polityka?

– Nie tylko. W materiałach operacyjnych zaplątało się kilka znanych gęb biznesu. Dwie partie były umoczone. Tyle że same pionki. Wyślizgnęły się. Nie doszło do oficjalnych zatrzymań. Nic przeciwko dzieciom, jak ze sprawą Centralniaka[1]. Raczej – zawahał się – tak zwana idea wyższa.

– Krew i honor?

– Coś w tym stylu, ale nie oni.

– Więc chodzi o kasę?

– Zawsze chodzi o kasę, skarbie.

Sasza nie bardzo wiedziała, co o tym myśleć. Idea wyższa mogła znaczyć wszystko. Rozumiała, że mimo oficjalnych zapewnień o zamknięciu śledztwa CBŚ nadal ma na tę sprawę oko. Gdyby znaleźli coś nowego, natychmiast wznawiają dochodzenie.

– Weźmiesz mnie do tego?

– Nie mogę – zareagował zbyt gwałtownie. – Nie dlatego, że nie chcę.

– Już nie piję.

– Wiem, Sasza.

Na dźwięk swojego imienia poczuła ukłucie. Zawsze zwracał się do niej, używając służbowej ksywy: Milena vel Calineczka, lub bezosobowo numerem jej odznaki 1189. Zastanawiała się, czy wyjąć asa z rękawa. Ale jeśli Dziadek dowie się, że go zdemaskowała, może się spłoszyć. Wzięła kartkę i zaczęła rysować mandalę z kwiatów. Sama nie wiedziała, kiedy na kartce pojawił się inicjał: K.W.

– Ostatnio musiałem prosić technika, żeby kupił za swoje pieniądze dysk zewnętrzny, na który skopiowaliśmy dane ze sprzętu podejrzanego – mówił tymczasem oficer. – Wiedziałem, że potrzebny nam dupochron, bo

jakbyśmy coś znaleźli, klient mógłby się bronić, że go wystawiliśmy. Ale firma nie dała kasy.

– Żenujące. – Sasza nie wierzyła własnym uszom: naprawdę w dwudziestym pierwszym wieku polska policja miała takie problemy?

– To samo im powiedziałem – zgodził się Dziadek. – Stary aż się zapowietrzył. Gdyby coś tam było, usłyszałem, zwróciliby założony wkład. Ale jeśli nie, nie mógłbym tego rozliczyć z budżetowych pieniędzy. Okazało się, że dupa blada. Komputer był czysty. Za to technik ma teraz wolny dysk za kilka stów. Kupiłem mu flaszkę. Żadną tam single malt. Uczciwego łyskacza za dwie paczki. To chyba siódma tego typu akcja w tym roku. Jakby ktoś cały czas był o krok przed nami. Dwa lata roboty na marne. Nie wiem, czy ktoś klienta ostrzegł. Byłem pewien, że jesteśmy w domu. A może to od początku były lewe sanki? Słowem, mam w ręku same pomówienia. I kupę znanych nazwisk, bardzo znanych. Jak się domyślasz, nikt nie puszcza pary z ust. Kilka zatrzymanych drobiazgów, które chciały sypać, nagle kojfnęło w pierdlu. Samobóje oczywiście.

– I wypadki – dodała. – Klasyk.

– Jak widzisz, żadnego argumentu, żeby powiększyć zespół.

– Mogę pracować za darmo – zapewniła. – Chcę robić ten profil.

– Słyszałem, że jesteś niezła, naprawdę – wszedł jej w słowo. – Ale tajemnica służbowa. Zresztą, nie ma ciała. A jak nie ma trupa…

– *Ex nihilo nihil fit*[2] – dokończyła za niego. – Były już precedensowe procesy skazujące, choć zwłok nie znaleziono.

– Przyjdzie czas. Nie to, że ci nie ufam.

Nie wierzyła mu. Jednak z jakiegoś powodu z nią rozmawiał. Powiedział jej tak dużo. Między informacyjną watą odczytała kontekst i oboje o tym wiedzieli. Zdawała sobie sprawę, że zaryzykował. Czuła, że Dziadek jest w kropce. Może boi się o stanowisko? A może już wie, że wkrótce oddadzą tę sprawę komuś innemu. Na przykład temu, kto ją skutecznie schowa. Ale z jakiegoś powodu wciąż mówił. Przewidywał zapewne, że wkrótce może być mu potrzebna. Wkrótce się spotkają. Czuła to. Nagle przemknęło jej przez głowę, że znaczenie mogło mieć to, że zmienił się premier. Sprawa była priorytetem, kiedy u sterów była ta konkretna partia. To oni dali

zlecenie na intensywne prace CBŚ i innych służb. Wtedy nikt nie żałował na dyski zewnętrzne.

– Możesz mi chyba powiedzieć – urwała.

– Już za dużo powiedziałem.

– Doceniam – zapewniła. – Ale muszę wiedzieć. Prywatnie.

– To nie jest prywatna rozmowa. – Nagle zaczęło mu się śpieszyć. Przestraszył się? Byli na wewnętrznym podsłuchu? Z całą pewnością.

– Czy brałeś pod uwagę, że Łukasz Polak jest niewinny?

– Ty powinnaś wiedzieć lepiej. Ja z nim nie spałem przez tydzień. Nie mam z nim dzieci.

Zagryzła wargę.

– Może się myliliśmy?

– Nie wiem.

– A jak sądzisz? – nie odpuszczała. – Mam Karolinę i jeśli posądzono go niesłusznie…

Przerwała. Wrzuciła peta do kosza. Stanęła przed oknem i patrzyła na swoje odbicie jak w lustrze.

– Ta informacja wiele dla mnie znaczy. Zmienia właściwie wszystko. W moim życiu nie, ale to sprawa kluczowa dla mojej córki. Już zaczęła pytać o ojca. Co jej mam mówić? Wiem, że mnie rozumiesz. Sam masz dzieci, wnuki.

– To nie on – wychrypiał. Usłyszała odgłos inhalatora. Serce zaczęło bić jej szybciej. Zdawało się, że trwa to wieki. – W każdym razie nie działał sam. I z pewnością nie on był mózgiem. Ale w jakimś stopniu brał w tym udział. Na mojego nosa wie, kto za tym stoi.

– Stoi? – upewniła się. – To się wciąż dzieje? Miałam rację.

Trawa zielona jak niedojrzałe awokado. Czerwona sukienka. Białe, krągłe piersi Lidki. Rude, kręcone włosy. Martwe oczy. Dziewczyna mogłaby być młodszą siostrą Saszy. Podobieństwo było uderzające. Dlaczego dopiero teraz przyszło jej to do głowy? Hipoteza pewnie zbyt odważna, ale Załuska była przecież profilerką. Musiała wziąć pod uwagę każdą ewentualność. Także tę, że „Czerwony Pająk” porwał ją, bo

wpisywała się w profil jego ofiar. To nie mógł być przypadek. Włoski na karku stanęły jej dęba.

Zanim zadzwoniła, wrzuciła jeszcze raz nazwisko zaginionej w wyszukiwarkę grafik Google. Była prawie pewna, że zdjęcie zrobiono po śmierci. Choć nie da się tego udowodnić, dopóki nie znajdą ciała.

– Kto? – rzuciła twardo. – Bo ty wiesz, kto jest prawdziwym „Czerwonym Pająkiem”. Chodzi o dowody. Czy tak?

O dziwo, poczuła ulgę. Jakby ktoś zdjął jej z barków potworny ciężar. Czy jednak mogła zaufać Dziadkowi po tym wszystkim?

– Zapytaj Polaka – wykpił się. – Może zdążysz, zanim go skasują. Nie wiem jak ty, ale ja nie będę po nim płakał.

Rozłączył się. Wybrała numer kontrolnie, ale, tak jak się spodziewała, „abonent był czasowo niedostępny”. Mimo to wstukała go w listę kontaktów pod nazwiskiem: Kajetan Wróblewski – Dziadek.

KOLA
(2000)

Prosiak leżał na metalowym stole racicami do góry. Ryjek miał wykrzywiony, jakby pośmiertnym uśmiechem drwił z rozprutego brzucha. Mikołaj Nesteruk kończył jego wytrzewianie. Strzepnął resztkę flaków do stojącego obok wiadra, przesunął je nogą. Zakręciło się wokół własnej osi, ale nie upadło. Dobrze, otarł pot z czoła rękawem. Nie uśmiechało mu się dodatkowe sprzątanie. I tak żona zmyje mu głowę, że szlachtuje świniaki w garażu, gdzie za każdym razem po wejściu czuje zapach krwi. Taka się delikatna zrobiła, odkąd zamieszkali w mieście. Patrzcie ją. Jeść mięso każdy by chciał, ale zabić, oprawić i upiec musi ktoś inny.

Dawniej chłop sam radził sobie ze świnią, królikiem czy sarną. Do zaszlachtowania kury kobiety nie ważyły się wołać gospodarza. Brały ją za łeb i kładły na pieniek. Siekiera w domu zawsze była naostrzona. Tępa znaczyła, że gospodarz zaniedbuje obejście, lenia ma za skórą lub pije w nadmiarze. Ale te czasy dawno minęły. W niektórych domach ludzie nie mieli małego toporka, a nawet porządnego śrubokrętu. Do najdrobniejszej roboty wzywali „złotą rączkę”. Mikołaj krzyczał im wtedy ceny z sufitu.

Kto dziś wie, że przed oprawieniem truchło trzeba zawiesić na haku, by z martwego ciała spłynęła krew. A żeby się nie zmarnowała, zebrać ją co do kropli. Czasami tej juchy było kilka pojemników. Na Podlasiu czerniny się nie robiło. Czarna polewka wciąż znaczyła wypowiedzenie wojny, ale za to kaszanka ze świeżej krwi i kaszy schodziła po świniobiciu jak złoto.

Nie ma już prawdziwych mężczyzn, mruczał pod nosem Mikołaj. Zresztą, kto brałby się dziś do rzeźniczej roboty, skoro „ekologiczny prosiak bankietowy” z pobliskich zakładów mięsnych (cztery kilogramy – mały, sześć czterdzieści – duży), zapakowany próżniowo w folię i z kolorową instrukcją obsługi, kosztuje tyle samo co żywiec, a z żywca wnętrzności samemu trzeba wyjąć. Ale Mikołaj był pewien, że nawet jeśli firma gwarantuje bezkonkurencyjność znakiem towarowym i walorami estetycznymi oraz smakowymi, to nie to samo co wyhodowana na własnych ziemniakach domowa świnia. Poza tym względy estetyczne Mikołaj miał w żopie.

Za kwadrans zacznie świtać. Na razie, w świetle stuwatowej żarówki, trudno było precyzyjnie skończyć robotę. Nie miał pomocnika. Kiedyś świniobicie robiło się we dwóch. Jeden długim, ostro zakończonym prętem wkłuwał się wprost w serce zwierzęcia, drugi podrzynał gardło. Trzy kwiki i było po zawodach. Dobrze wykonany ubój nie przydawał zwierzęciu cierpienia. Śmierć przychodzi błyskawicznie, jeśli rzeźnik zna się na robocie. Mycie, opalanie i obróbkę mięsa przejmowały kobiety. Jeśli trzeba, zwoływały sąsiadki, kumy, dorastające córki. Im szybciej mięso zostało przetworzone, tym smaczniejsze były wyroby. On sam preferował kiełbasę „palcówkę” zalewaną w wiadrze rozgrzanym smalcem. Stała w komórce całą zimę, aż do Wielkanocy. Nigdy nie zieleniała, jak dzisiejsze kupne szynki. Inna sprawa, że nie miała się kiedy popsuć. Znikała z wiadra przy okazji świąt, niedziel i wizyt gości. Każda gospodyni miała swoją recepturę i przekazywała ją córkom, razem z resztą tajemnic domu. Gdzie tam jego córka do takiej roboty. Na widok krwi Mariola stawała sztywno na nogach i trzęsła się jak osika.

Na szczęście ta świnka nie była duża. Mikołaj sam sobie z nią poradził. Nie był tylko pewien, czy zdąży z zamówieniem. Zanim nadzieje prosiaka kaszą gryczaną, słoniną i podrobami, wsadzi mięso do dołu i je zapiecze, minie dobrych kilka godzin. Jak zwykle sam musiał wszystkiego dopilnować. Weselnicy czekali już w wykrochmalonych koszulach. Za chwilę podjedzie specjalny autokar, by zabrać ich do „restaurana”. A on z robotą w pół drogi.

Rozległ się huk.

Mikołaj zamarł, wsłuchał się w ciszę. Szosa była nieopodal. Pewnie opona komuś pękła, pomyślał, i wrócił do pracy. Ale kiedy po chwili usłyszał jeszcze trzy podobne odgłosy, był już pewien, że to wystrzał z broni. Las był zbyt daleko. To nie kłusownik.

Podszedł do wiadra z czystą wodą. Włożył do niego dłonie, opłukał metodycznie. Wyszedł z garażu. Szarówka przed świtem skutecznie ograniczała widoczność. Ruszył na skuśkę, przez pole, do szosy. Rozejrzał się. Pusto. Ale nie tylko on usłyszał ten dźwięk. W kilku domach rozbłysły żarówki. Kiedy zrezygnowany i zły, że traci czas, zawracał, dostrzegł kontur sylwetki. Ktoś biegł na wpół schylony.

– Ratujcie! Ludzie! – zawołał ostatkiem sił. Padł na kolana i już się nie podniósł.

Mikołaj żwawo ruszył w stronę czarnej postaci. Nie był w stanie biec szybciej. Miał już swoje lata.

– Kto woła!? – wychrypiał, z trudem łapiąc oddech. – Co się stało, człowieku?

– Zabili – wydusił z trudem mężczyzna. Podniósł głowę.

– Piecia? – szepnął zszokowany Mikołaj.

Kucnął, rozchylił marynarkę niemłodego już mężczyzny. Ubranie rannego było zbroczone gęstą czerwoną mazią.

– Kto ci to zrobił?

– Nie widziałem – padło w odpowiedzi.

Musiał dostać w brzuch. Krwawił jak zwierzyna po uboju. Kaliber był spory. Broń myśliwska? Strzelba na jelenie albo żubry. Samodziałka? Jedna kula przebiła obojczyk na wylot. Dziura była na dwa palce. Reszta pocisków nadal zapewne tkwiła w ciele. Mikołaj wiedział, co należy robić. W czasie wojny nieraz miał do czynienia z postrzałem. Ściągnął z grzbietu koszulę, porwał ją na strzępy i próbował zatamować sikającą krew, ale nie szło łatwo. Pracował jakiś czas, aż się zgrzał. Pot zalewał mu oczy. Kiedy wstępnie opatrzył ranę, pierwsze promyki słońca różowiły już niebo. Pogoda znów będzie jak drut.

Mikołaj wstał, chciał natychmiast dotrzeć do zabudowań. Wiedział, że w starym młynie jest telefon. By człowiek przeżył, pomoc powinna przybyć natychmiast. Wtedy leżący wyciągnął do niego rękę. Chwycił go rozpaczliwie, zacisnął pięść.

– Ratuj ją, Kola – wyszeptał po białorusku. – Tam jest samochód. Łarysa w nim została. Nieżywa.

Mikołaj podniósł głowę. Rozejrzał się. Na szosie nie było żadnego auta.

Gdańsk, 2014

Tarcza ruszyła z łoskotem, a podmuch powietrza uniósł ją do góry niczym falujący na wietrze latawiec. Sasza chwyciła prawy dolny róg, rozprostowała i policzyła otwory po kulach. Uśmiechnęła się kącikiem ust, ale powstrzymała od komentarza. Nie puściła żadnego strzału. Wszystkie sześć trafień w dolne partie sylwetki. Tak jak zaplanowała. Napastnik unieszkodliwiony, ale nie martwy. Odłożyła rewolwer na blat niewielkiego stolika pokrytego filcem. Wysypała łuski. Musi zapamiętać, by wziąć jedną na szczęście. Nie była na strzelnicy od ośmiu lat. To tak, jakby zaczynać trening od nowa. Choć jazdy na rowerze też się nie zapomina.

– Niezłe skupienie – pochwalił ją instruktor. – To co, glock? Czy od razu kałasznikow?

Kobieta zdjęła okulary. Ściśnięte słuchawkami dźwiękoszczelnymi zauszniki powodowały ból. Nadkomisarz Robert Duchnowski stał przy ścianie pokrytej instrukcjami „jak obezwładnić agresora”. Uśmiechał się z aprobatą. Kciuki miał wsunięte w kieszenie dżinsów. W kraciastej koszuli i kowbojkach wyglądał jak bohater westernu. Całe szczęście, że ściął ten okropny warkocz, pomyślała Załuska. Włosy miał teraz krótkie, zawsze zmierzwione. Choć straciły już całkiem swój naturalny kolor na rzecz szlachetnej stali, wyglądał dużo młodziej, niż kiedy się spotkali przy okazji zabójstwa Igły. Wyciągnął rękę po katalog z wyborem broni. Cmokał znacząco.

– Wolałabym coś do kobiecej dłoni – mruknęła. – Jakąś pszczółkę.

– Beretta? – zaproponował Duch.

– Może być. I spróbuję na dłuższym dystansie.

Odwróciła się, zmierzyła odległość. Stąd ledwie widziała tarczę, a co dopiero jej środek. Okulary powędrowały na nos.

– Nie spodziewałem się innej odpowiedzi – padło zza jej pleców.

Pokręciła głową jak matka rozbrykanego chłopca, która sama nie wie dlaczego, ale pozwala na zabawę własną osobą i bez opamiętania daje się

wodzić za nos.

– Tak łatwo cię zadowolić – odcięła się dla porządku.

– Mylisz się, ale skoro nie chcesz się przekonać – Duch zaśmiał się prowokująco.

Instruktor zerkał na nich znad tarczy zniesmaczony.

– Dziesięć metrów to standardowa odległość – pouczył Saszę. Oznaczył pisakiem dotychczasowe trafienia. – Dwadzieścia pięć to dystans olimpijski.

– Skoro klientka nalega – Duch wszedł mu w słowo i nacisnął zielony guzik. Tarcza odjechała pod ścianę. Instruktor ruszył do swojego kantorka.

Na stanowisku obok facet w bojówkach i designerskim T-shircie w stylu vintage destroyed walił raz za razem z kałacha. W kolejce czekał już jego syn. Nie miał więcej niż trzynaście lat. Żona z niebieskimi dredami z włóczki, skąpo odziana, ale nie goła, bo wytatuowana w kolorowe freski, wsłuchiwała się w metaliczną kaskadę spadających na podłogę łusek. Wizyta na strzelnicy nie robiła na niej wrażenia. Pewnie małżonek regularnie zmuszał ją do uczestnictwa w swoim show. Kobieta co chwila wyjmowała błyszczyk i kompulsywnie mazała nim usta. W przerwach wpatrywała się w czubki swoich fioletowych butów na niebotycznym koturnie. Sasza przyglądała się jej jak niecodziennemu zjawisku pogodowemu. Odkleiła się na chwilę od rzeczywistości.

Ocknęła się, kiedy na stoliku leżała już beretta 950 i zestaw naboi w plastikowym pudełku. Przymierzyła niewielki pistolecik do dłoni. Leżał idealnie. Był czarny, lekko wytarty na krawędziach. Śliczny, pomyślała bezwiednie. Przez moment zapragnęła go mieć. Czuła go lepiej niż poprzednie modele. A może to czas spędzony na strzelnicy pozwalał jej wrócić do wspomnień, kiedy to zabawy z bronią były w jej życiu na porządku dziennym. Zawsze była dobra w precyzyjnym strzelaniu. Wolała to niż wielki kaliber i efekciarstwo.

– Dobrze by jej było w twojej kieszeni – Duch trafnie odczytał jej myśli.

Pokręciła głową. Podjęła decyzję. Owszem, wraca do firmy, znów będzie policjantką. Ale tylko po to, by profilować. Zaliczenie strzelnicy jest konieczne jak ważne wyniki szczepień w branży spożywczej. Tak poza tym, nawet służbowo, żadnej broni. Wyłącznie intelekt. Załadowała magazynek, odbezpieczyła. Stanęła szeroko na nogach, wyluzowała górne partie ciała. Unieruchomiła tylko ramiona. Muszka weszła w szczerbinkę.

– Przymierzyłaś się, zabawiłaś. Teraz pokaż, co potrafisz – podjudzał ją Duch. Słyszała go w połowie. Słuchawki dobrze izolowały. – Lewe kółko: trzy gwoździe. I reszta do prawego – polecił.

Nie odpowiedziała, ale przyjęła dane do wiadomości. Już po oddaniu pierwszego strzału czuła, że nie jest dobrze. Leciusieńka beretta uroczo dymiła przy wystrzale, ale była wyjątkowo niestabilna. A im bardziej Sasza się skupiała, tym trudniej było utrzymać cel. Profilerka jak najszybciej chciała mieć ten egzamin za sobą. Wreszcie magazynek był pusty. Oddała strzał kontrolny, odłożyła broń na blat. Tym razem to Duch pierwszy obejrzał wynik.

– Nie jest źle – pocieszył ją. – Bierz karabin i kończymy.

Podeszła i zdziwiła się, bo mimo złego nastawienia puściła tylko dwie kule. Obie trafiły w czoło napastnika. Reszta znalazła się we właściwych miejscach. Tak jak polecił Duch.

– Zabiłam go – westchnęła rozczarowana.

– Gdzie drwa rąbią, wióry lecą. – Robert wzruszył ramionami. – Nie wiedziałem, że jesteś tak dobra.

– Nie strzelałam od lat. – Udawała skromną, choć była z siebie dumna.

– Tego się nie zapomina. Jeśli walkę ma się we krwi. – Rozciągnął usta w uśmiechu. – A ty masz. Tak właśnie podejrzewałem.

– Jak zwykle wszystkowiedzący.

– Jak to duch – dodał cały zadowolony.

Chwyciła kałasznikowa. Magazynek ciężko chodził. Złamała sobie paznokieć, kiedy ładowała ostatnie naboje, ale czuła się już pewnie. Tylko kompletny matoł nie trafi z karabinu do celu – mawiał jej były szef, a Sasza podzielała jego opinię. Początkowo nie kontrolowała odrzutu, szybko się jednak dostosowała. Wiedziała, że po wyjściu ze strzelnicy będzie ją bolał

prawy bark. Poszło nadzwyczaj dobrze. Z ulgą zdjęła słuchawki, roztarła skórę za uszami i wrzuciła okulary do torby, nie troszcząc się o szukanie etui.

– Czyli bez nich nic nie widzisz? – droczył się z nią Duch. A ponieważ nie odpowiedziała, przyjął to do wiadomości, jako fakt.

– Daj papierosa – poprosiła, kiedy byli już na zewnątrz. Wypalili po połowie w milczeniu, aż wreszcie Sasza pękła.

– Nieźle poszło! – Szarpnęła nadkomisarza za rękaw koszuli. – Musisz przyznać.

Skrzywił się, choć w oczach grała mu kpina.

– Jeśli tak samo postarasz się w poniedziałek… Mnie tam nie będzie – zaznaczył i zadeptał peta. – Jesteś głodna?

– Bo bez ciebie sobie nie poradzę? – Sasza zmarszczyła czoło na Sokratesa. Zaatakowała: – Ale wstydziłeś się pójść ze mną do chłopaków.

Zakreśliła ramieniem okrąg. Byli na terenie amatorskiej strzelnicy, w samym środku sosnowego zagajnika. Na jednej ze ścian z bali wisiał afisz: „Wesela, komunie, bankiety okolicznościowe. TIP – Tanio i praktycznie”. Najpierw sobie postrzelają, a potem idą na balangę. Albo odwrotnie, przemknęło jej przez głowę.

– Było po drodze – skłamał Duch. – W poniedziałek pokażesz, co umiesz, i nikt nie będzie miał wątpliwości, że jesteś godna etatu w moim zespole.

Teraz już na nią nie patrzył.

– Czyli to nie jest pewne? – Zwietrzyła podstęp i nadęła się jak amstafka. – To po co te wszystkie pisma, raporty, podania? Nie będę się do nikogo łasić.

– Nie wątpię – Duch starał się załagodzić sytuację. – Ale chciałbym to zobaczyć. Jak się łasi Sasza Załuska? To mogłoby być ciekawe.

Roześmiała się. Był pierwszym mężczyzną od dawna, który potrafił ją rozbawić. Zakopali już topór wojenny. Nadal jednak, mimo obopólnej sympatii, ich rozmowy przypominały sztubackie przekomarzanie się. To on namówił ją, by wróciła do firmy. Pokazał, jak wiele w tym zalet. Kiedy go awansowali na szefa kryminalnego, zarezerwował dla niej wakat.

Właściwie miała przyjść na jego miejsce. Komendant Waligóra nie robił przeszkód. Cenił ją, a nawet polecał ludziom z innych jednostek. Gdyby nie wspólna propozycja Duchnowskiego i Waligóry, Sasza nie odważyłaby się nawet myśleć o powrocie. Złożyła papiery, trafiła na kurs podstawowy do Piły i szybko napisała raport o tryb indywidualny, który Duch pomógł jej załatwić swoimi kanałami. Pojechała do Piły kilka razy, zaliczyła, raczej w miłych pogawędkach z wykładowcami, wszystkie egzaminy i została absolwentką kursu podstawowego.

Zawsze łatwiej jest odejść, niż wrócić. Odejście to skok na główkę ku wolności. Ciach i załatwione. Powrót oznacza wspinanie się po pionowej skale. W jej przypadku ponowne wykazanie się, udowodnienie, że jest coś warta.

Duch nie byłby sobą, gdyby nie postawił warunku: by zasłużyć na jego miejsce, musiała jeszcze przejść przez to, czego nienawidziła: testy sprawnościowe i strzelnicę. Testy psychologiczne przeszła, rzecz jasna, śpiewająco. Ale tym bardziej czuła brzemię, że nie wolno jej zawieść ich zaufania. Waligóra i Duchnowski za nią poręczyli. Wiedziała to, choć duma nie pozwalała jej przyznać tego głośno. Albo robi się coś dobrze, albo wcale. Taką miała zasadę i tego się trzymała. Życie jednak najdoskonalej weryfikuje nasze oczekiwania. Marzenia marzeniami, ale czasem trzeba zastosować taktyczny odwrót i przegrupować siły. Jeśli coś pójdzie nie tak i nie wezmą jej do firmy, nie będzie rozdzierała szat, zdecydowała.

To, co sobie wyobrażała przed przyjazdem do kraju: komercyjne zlecenia, niepodległość, analizy dla sądu – praktycznie nie wypaliło. Gdyby nie pieniądze, które miała jej rodzina, z trudem wiązałaby koniec z końcem. W Polsce profiler, jeśli nie pracuje w policji, nie jest dopuszczany do poważniejszych śledztw. Trafiały się jej więc zlecenia lepiej lub gorzej płatne, ale to były rzeczy proste, przy których nie wykorzystywała nawet w kilku procentach ogromu swojej wiedzy. Czuła, że się zwija. Traci pasję. Zresztą, tak naprawdę, tęskniła za regularną służbą. Chciała wrócić. Zrozumiała to po sukcesie sprawy Staroniów, jak nazywano w komendzie ostatnie poważne śledztwo, w którym brała udział i dzięki któremu otrzymała szansę powrotu. Nie chodziło tylko o satysfakcję, adrenalinę i fakt, że robiła dokładnie to, do czego była stworzona. Co robiła najlepiej na świecie. Rzecz rozbijała się o spokój.

Sasza miała ochotę stanąć wreszcie twardo na ziemi. Czuć pod stopami podłoże, które jej nie umyka, którego jest pewna, i bez obaw patrzeć w dal. Dała sobie prawo do błędów, bo nikt nie jest doskonały. Musiała jednak odzyskać honor. A to można zrobić tylko w miejscu, gdzie się go straciło.

– Idziemy. – Zgasiła papierosa. – Nie zobaczysz, jak się łaszę. Nigdy.

– Nigdy to ja nie będę bogaty.

– Wystarczy, że ja jestem – odparła. – I co mi z tego?

Duch zaparkował na zakazie, a przed przednią szybę włożył plakietkę zaświadczającą o niepełnosprawności kierowcy. Sasza przyglądała się temu z niedowierzaniem.

– Nosiłbyś ze sobą chociaż laskę – fuknęła.

– Przecież wziąłem cię ze sobą.

– Nie zamierzam brać udziału w twoich wygłupach – odparowała. – W końcu cię dorwą.

– Już bierzesz. – W odpowiedzi wcisnął jej do rąk legitymację sympatyka CBŚ o numerze 0184/2013. Patrzyła na kawałek plastiku szczerze rozbawiona. Dokument był całkowicie fikcyjny. Sasza nie należała do żadnej organizacji. Po powrocie do Polski nie zapisała się nawet do Polskiego Towarzystwa Kryminalistycznego.

– Skąd miałeś moje zdjęcie?

– Jesteś w bazie sygnalitycznej – skłamał.

– Mam nadzieję, że w tej samej bazie jest też twoje DNA.

– Nawet w kilku wersjach.

Roześmiała się i patrzyła mu w oczy dotąd, aż zdecydował się odpowiedzieć szczerze.

– No przecież z dokumentów, które złożyłaś. Dałem sekretarce do zeskanowania i kazałem wyrobić. To nie jest nielegalne. Poniekąd.

– Poniekąd dziękuję. – Wrzuciła plakietkę do torby. – Przyda się do parkowania przed komendą.

Stanęli na przejściu. Ruch był słaby, więc Sasza chciała przebiec na czerwonym, ale Duch chwycił ją za ramię i zmusił, by wzorowo zaczekała na zmianę świateł.

– Jednak obywatel praworządny – kpiła. – Nie wierzę.

– Jakieś zasady trzeba mieć.

– Na przykład jedną.

– Jedną mam. Jestem niepoprawnym monogamistą.

Rozbłysło zielone.

Była sobota, dzień odwiedzin, więc przed bramą gdańskiego aresztu na Kurkowej kłębiła się masa kobiet z pakunkami owiązanymi regulaminowym sznurkiem i odświętnie ubranych dzieci. Sasza i Duch mieli tam dziś do załatwienia dwie sprawy. Każde swoją. Duchnowski szedł do informatora na oddział męski, Załuska – na kobiecy. Tydzień temu przywieziono do Gdańska Marzenę Koźmińską, ps. „Osa", jedną z najsłynniejszych polskich zabójczyń. Sasza chciała skorzystać z okazji i jeszcze raz pomówić ze skazaną. Kiedy Koźmińska była na Zamku, jak nazywano grudziądzką fortecę, trzykrotnie odmówiła profilerce wywiadu psychologicznego. Teraz miała zeznawać w procesie byłego wspólnika. Sasza przewidywała, że jest rozbita, bo Rafał Gromek, ps. „Elektryk z Wąbrzeźna" wychodzi już na przepustki, a wkrótce czeka go wokanda przed sądem penitencjarnym. Wyglądało na to, że Elektryk ma szansę na zwolnienie warunkowe. Ożenił się w więzieniu, spłodził nawet dziecko. Miał do kogo wracać, a czekająca za bramą rodzina przydawała mu wiele punktów do pozytywnej prognozy kryminologicznej.

Marzena nie ma widoków nawet na przeniesienie na oddział otwarty. Wciąż uchodziła za jedną z groźniejszych polskich więźniarek. Sasza zamierzała wykorzystać ten fakt i namówić przestępczynię do udziału w jej projekcie badawczym. Doktorat Załuskiej był już prawie skończony. Profesor Tom Abrams nie krył zadowolenia z wyników jej badań, ale gdyby dorzuciła do tego miodu jeszcze sprawę, mogliby liczyć na grant. Sasza uwielbiała być najlepsza.

Wprowadzono ich do śluzy, pomieszczenia monitorowanego przez kamery, do którego wpuszczano maksymalnie trzy osoby. Oczekujący bliscy skazanych wykrzykiwali przekleństwa, kiedy Sasza i Duch przeciskali się bez kolejki.

Teraz siedzieli na plastikowych siedzeniach bez oparć, w milczeniu czekając, aż zajmie się nimi strażnik. Duch strzelił z kostek dłoni, choć wiedział, że Załuską przyprawia to o dreszcz obrzydzenia. Dała się jednak

sprowokować i odwróciła ku niemu głowę. Nadkomisarz patrzył na nią z uniesioną brwią. Nie była w stanie wyczytać z jego twarzy, co knuje.

– Co? – odezwała się gburowato.

Pochylił głowę. Dźgnęła go więc łokciem w bok. Udał, że go okrutnie skrzywdziła.

– Gadaj.

– Jesteś głodna?

– Już pytałeś. – Wzruszyła ramionami. – Jeszcze nie wiem. A co?

– Może skoczymy potem na pizzę – zaczął i urwał. – Czy coś?

– Czy coś? – Przekrzywiła głowę rozbawiona. – Łasisz się?

– No. – Rozpromienił się. – I jak ci się to podoba?

Przełknęła ślinę, zamrugała powiekami i poczuła, że się rumieni. Zaskoczyło ją to. Zupełnie tego nie kontrolowała.

– Jak tylko się stąd wydostanę, muszę wyjechać z miasta – szepnęła. – Chcę zamknąć, wyczyścić pewne sprawy, zanim wejdę na ostro w robotę. Muszę to załatwić teraz. Właściwie jutro o dziesiątej.

– O dziesiątej? – powtórzył Duch. Z trudem ukrywał zawód. – Ja jutro o dziesiątej nie ruszam się z wyrka. Zamierzam pierwszy raz od miesiąca wyspać się porządnie. Mam wygodne łóżko, ale roboty tyle, że głównie zezowaty kocur je użytkuje. Oczywiście niezgodnie z przeznaczeniem. Nie licząc obsikiwania.

Tym razem nie udało mu się jej rozśmieszyć.

– Karolina pojechała z babcią na Kretę – ciągnęła Sasza. – Codziennie wysyłają mi zdjęcia. Dobrze się bawią. Chcę domknąć drzwi. Teraz albo nigdy.

Duch bawił się kluczykami do auta. Widziała, że zmarkotniał. Niesłusznie zinterpretował jej odpowiedź jako kolejnego kosza.

– To sprawa osobista – podjęła wątek. – Dziś w nocy powinnam dojechać na drugi koniec Polski. Hajnówka, na skraju Puszczy Białowieskiej. Osiem godzin jazdy jak nic. Tak w każdym razie mówi mój GPS. Potrzebuję dwóch dni i wracam. A po tym cholernym egzaminie chętnie. Może. Ale bez łóżka.

Patrzyli na siebie w milczeniu, a potem jednocześnie się uśmiechnęli.

– Znów się nie udało – westchnął Duch, skutecznie udając zawiedzionego, ale oczy mu się śmiały.

– Błyskiem to załatwię – zapewniła.

Duchnowski wyciągnął w jej kierunku dłoń. Spięła się. Starała się uspokoić przyśpieszony oddech. Ale kiedy położył na jej ręku swoją wielką kościstą łapę, poczuła, jak po koniuszki uszu znów oblewa ją rumieniec. Dotknął jej tylko na chwilę i bardzo delikatnie. Kiedy zabrał rękę, zobaczyła wysłużoną berettę, kaliber 9,5 mm, z amatorskiej strzelnicy. Zaniemówiła.

– Nie ukradłem – zachichotał Duch. Sasza zaś pomyślała, że ten szpakowaty czterdziestopięciolatek ma w sobie coś z rozbrykanego chłopca. Kiedyś nie dostrzegała w nim ani odrobiny czaru. Czy aż tak się zmienił? Czy to raczej ona przeszła metamorfozę? – Należała do mojego ojca. Pamiątka rodzinna – wyjaśnił. – Przyniosłem dla ciebie.

– Nie noszę broni – zaprotestowała bez przekonania. – Nie muszę.

Spodziewał się innej reakcji. Był wyraźnie skonfundowany brakiem jej zachwytu.

– Poćwiczysz w tym lesie przed egzaminem. Czy jak?

– Czy jak?

– To prezent – uciął. – Zaległy, gwiazdkowy. Poniekąd.

– A pozwolenie?

– Grzecznie leży w moim biurku. – Puścił do niej oko. – Tylko amunicji nie mam.

– I tak się długo przyzwyczajam. – Ważyła berettę w dłoni, po czym położyła na kolanach i tylko się w nią wpatrywała. – Jak sobie kupiłam zmywarkę, obserwowałam ją dwa tygodnie, zanim włączyłam pierwszy raz. Dobrze, że nie masz amunicji. Nie będę na razie używać.

– Wcale a wcale?

Rozciągnęła usta w uśmiechu i powtórzyła słowa nadkomisarza, naśladując tembr jego głosu:

– Poniekąd wcale.

Wtedy Duchnowski rozwinął drugą dłoń i przesypał do jej kieszeni garść naboi, jakby to były cukierki.

– Żartowałem. Jednak drzemie we mnie kleptoman. – Nachylił się do ucha Saszy. Poczuła jego wodę kolońską, zapach skóry i papierosów. Natychmiast zakręciło jej się w głowie. Z trudem się skupiała. Kiedy mówił, czuła ciepło w okolicy ucha. Prawie jej dotykał. – Ślady zbrodni zatarłem, bez obaw. *Nas nie dogoniat*.

Sasza wybuchnęła śmiechem i z trudem się powstrzymała, by nie przytulić się całym ciałem do rozłożystego drzewa, jakim w poprzednim wcieleniu musiał być Duch.

– Śliczna – zdołała wydukać.

– Wiem – oświadczył z dumą. – Dlatego pasujecie do siebie.

Teraz oboje byli speszeni. Sasza odsunęła się na bezpieczną odległość, schowała berettę do kieszeni. Odetchnęli z ulgą, kiedy otworzyło się okienko dyżurki i wezwano ich do bramy.

Strażnik wydał im dokumenty, identyfikatory, a chwilę później dołączyła do niego kobieta w mundurze. Przedstawiła się jako major. Niestety, Załuska nie dosłyszała jej nazwiska. Była zbyt skołowana zachowaniem Ducha. Wyraźnie z nią flirtował. Co gorsza, sprawiało jej to przyjemność. Pochyliła głowę i starała się wziąć w garść.

Szefowa wszystkich szefów ochrony damskiego więzienia nogi miała odziane w śnieżnobiałe pończochy, blond włosy ufryzowane jak aktorka grająca Niemkę w serialu komediowym *’Allo ’Allo*. Sasza bez trudu wyobraziła ją sobie z pejczem i w lateksie. Zaraz też w myślach ochrzciła ją roboczo Helgą. To imię zresztą idealnie do niej pasowało. Kiedyś musiała wyglądać jak nordycka królowa. Dziś przytyła i z dawnej świetności została jej wyłącznie dyscyplina, którą z namaszczeniem wprowadzała w życie każdej napotkanej istoty. Teraz metodycznie wyjmowała plastikowe pojemniki, które ustawiła na ladzie przed Saszą i Duchem.

– Broń, gaz, telefony komórkowe.

Załuska włożyła do pudełka berettę, a potem ostrożnie przesypała naboje. Duch umieścił w swoim służbowego glocka. Strażnik z oddziału

męskiego był mniejszym służbistą, ale może więzień, do którego szedł Duch, nie uchodził za niebezpiecznego, bo Saszy zabrano nawet pilnik do paznokci i plastry. Klawisz Ducha leniwie wskazał kowbojską klamrę paska nadkomisarza, ale o dziwo nie kazał mu nic zdejmować i zaraz zaprosił go do kraty. Tymczasem Helga obejrzała każdy kawałek garderoby Saszy.

Duch znikał już w asyście na oddziale męskim, podczas gdy strażniczka nadal wnikliwie analizowała zawartość podeszwy bikerów Załuskiej.

– Przecież nie mam tu ukrytego scyzoryka – narzekała profilerka, ale posłusznie zdjęła obuwie i położyła na prześwietlarce.

– Tylko się nie spóźnij! – krzyknął Duch na odchodne. – Poniedziałek, godzina ósma. Następna furtka transferowa otwiera się dopiero jesienią. Ale dobrze będzie. Po południu świętujemy powitanie w rodzinie, o ile nie będę żałował, że nie umarłem już w niedzielę, bo Waligóra robi imieniny zaległe sprzed roku, a zapowiedział pół kilo „Ducha Puszczy” i „Wygaszacza Ekranu” na ryło. Obiecałaś.

– To się jeszcze okaże. – Sasza poruszyła palcami u stóp. Stała wciąż na bosaka, a posadzka więzienia nie zachwyciłaby inspektorów sanepidu. Zwróciła się do Helgi i spróbowała zażartować: – Chyba nie udaję się do Hannibala Lectera?

– Właśnie, że tak, moja droga – odparła Helga, nie przerywając systematycznego prześwietlania torby. Zatrzymała obraz, bo zauważyła przedmiot w kształcie szpikulca. Na polecenie strażniczki Sasza wygrzebała breloczek do kluczy. Pokazała. Kobieta prawie wyrwała go profilerce z rąk, obejrzała z każdej strony, jakby mógł być w nim ukryty składany pistolet, po czym umieściła w pudełku depozytowym.

– Alkohol, narkotyki?

Załuska uśmiechnęła się tylko ironicznie. Ale Helga nie umiała czytać emocji z twarzy, bo dalej zachowywała się jak robot. Teraz odpięła pasek od torby. Zakręciła go na przegubach i sprawdziła skuteczność jako narzędzia do duszenia. Sasza usłyszała brzęknięcie sprzączki o plastik. Od tej chwili przestało ją cokolwiek dziwić. Odwiedziła już wszystkie polskie areszty, w których odsiadywały wyroki zabójczynie, ale takiej kontroli nie przeprowadzano nigdzie indziej. Nawet kiedy Helga wyjęła dezodorant, otworzyła, prysnęła dwukrotnie i wykrzywiła twarz, bo zapach jej nie

odpowiadał, Sasza wciąż stała bez ruchu i wpatrywała się w oddziałową, jakby codziennie szturmowała fortece.

– A to? – Wskazała na ekranie długi, ostro zakończony przedmiot.

– Zwykły ołówek. Ma złamany grafit, jeśli to panią interesuje.

– Z tym na pewno nie wpuszczę – burknęła Helga.

Ołówek powędrował do depozytu. A razem z nim kolejno: zapalniczka, taśma klejąca, guma do żucia, notes.

– Notes? – nie wytrzymała Załuska. – To chyba już przesada.

Helga wskazała leżące w pudełku przedmioty i wyjaśniła całkiem poważnie:

– Pasek: próba uduszenia współosadzonej. Zapalniczka, dezodorant, taśma klejąca, guma do żucia: zrobiła z tego miotacz ognia. Moja zmienniczka do dziś jest na zwolnieniu. Ołówek, notes: usiłowanie oślepienia.

Rozbawiona Sasza podniosła ołówek i trzymając go na sztorc, pokazała gest ciosu w oczodół.

– Niby tak?

Helga zatemperowała ołówek, roztarła grafit w notesie, otrzepała nadmiar i wykonała gest, jakby wcierała sobie grafit do oka.

– Trzynaście osób, odkąd ją przywieźli – oświadczyła. – Nikt nie chce z nią siedzieć. Tłucze się po celi, pajacuje, a potem nagle atak. Wszystko jedno kto. – Przejechała palcem po gardle.

Uśmiech zastygł na twarzy profilerki.

– Przecież siedzi od lat. Ostatnio nie było na nią skarg. Prawie spotkałam się z nią w Grudziądzu.

Helga tylko wzruszyła ramionami. Na jej twarzy zagościł grymas politowania, który miał być zapewne uśmiechem.

– Wejść z panią?

– Poradzę sobie.

– Dam ją lepiej do sali dla niebezpiecznych – postanowiła Helga.

Zabrała pudełko, ale zmieniła zdanie i zażądała całej torby. Oddała Załuskiej tylko buty. Kiedy Sasza wkładała bikery, rozległ się dźwięk krótkofalówki. Strażniczka natychmiast zgłosiła współrzędne swojego miejsca pobytu.

– Wypadek w szwalni – padło z głośnika. – Oddziałowa P dwa do wyjścia dwadzieścia trzy. Są ranne.

– Doprowadzę gościa i przejmę je tam.

Ruszyły do kraty.

Na końcu długiego, pozbawionego okien korytarza widać było schody, a dalej przejście do kolejnego budynku. Tam się zatrzymały. Słyszały już krzyki hordy nabuzowanych kobiet. Helga wpisała na tablicy przy wejściu kilka numerów. Brama trzasnęła, ale nadal stały w miejscu. Czekały. Nagle tuż pod stopami Saszy spadł z góry niedopałek. Załuska podniosła go i, mimo pełnego potępienia wzroku strażniczki, zgasiła na lamperii. Peta umieściła na parapecie. Kiedy podniosła głowę, u szczytu schodów zobaczyła watahę kobiet. Były w różnym wieku, o różnej urodzie i tuszy. Część obandażowana.

– Są moje królewny – oświadczyła klawiszka z troską.

Sasza obrzuciła więźniarki jednym krótkim spojrzeniem. One zaś wpatrywały się w nią w skupieniu godnym byka szykującego się do ataku na czerwony fragment tkaniny. Jedna z nich, najmłodsza i najładniejsza, gwizdnęła przeciągle. Sygnał został odczytany przez resztę jako zachęta do niemego ataku. I choć niesubordynowana więźniarka natychmiast dostała pałką po plecach, w drugim szeregu rozległ się szyderczy chichot, a z tyłu słychać było pomruki. Na plan pierwszy wystąpiła potężna, rozczochrana i spocona postać, którą z trudem dałoby się zakwalifikować do przedstawicielek płci pięknej. Z powodzeniem wcieliłaby się za to w rolę Rumcajsa i to bez żadnej charakteryzacji. Na ramieniu miała ogromny opatrunek. Rana musiała być świeża. Gaza przesiąkła i po ramieniu aż do łokcia spływała wąska strużka krwi. Kobieta nie zwracała na ten detal uwagi. Zaplotła potężne dłonie na karku. Wywracała białkami oczu. Wreszcie zaczęła wykonywać obsceniczne ruchy biodrami.

– Żanet, nie popisuj się. – Strażniczka przyłożyła jej pałkę do podbródka. – Na nikim nie robi to wrażenia.

Rumcajs potulnie cofnęła się pół kroku. Tymczasem z góry wciąż schodziły kolejne kobiety. Nie mieściły się już na schodach, więc Helga dała im znak, by te z przodu ustawiły się bliżej niej i Załuskiej. Chwilę potem wokół Saszy nie było wolnego miejsca. Więźniarki zapełniły całą śluzę. Profilerka słyszała, jak szepczą między sobą. Inne bez zażenowania wskazywały ją sobie palcem. Tylko te zdominowane, niższe w hierarchii, stały bez ruchu, a na ich apatycznych twarzach nie malowała się żadna myśl.

– Ładna – padło z tylnej partii tłumu. – Weźmy ją sobie na zamek.

Sasza starała się ignorować komentarze, choć nie było to łatwe. Wiedziała, że prowokują ją z nudów, dla czystej rozrywki i tak naprawdę nic do niej nie mają. Ale kiedy po chwili któraś niemal chwyciła ją za krocze, odruchowo uchyliła się gwałtownie, twarz wykrzywił grymas strachu. Gest po to był właśnie zamarkowany, więc zebrał gromki rechot zamiast aplauzu. Zaraz potem tuż obok Załuskiej znów wyrosła kobieta z opatrunkiem.

– Patrz, księżniczko – uśmiechnęła się pojednawczo. Dopiero teraz Sasza zorientowała się, jak była potężna. Musiała mieć niemal dwa metry, bo przewyższała profilerkę o blisko dwie głowy. A potem teatralnie zerwała plaster i odsłoniła świeże samookaleczenie. – Wolnego dać nam nie chciały, suki.

Na ratunek przyszła Załuskiej strażniczka, która prowadziła więźniarki ze szwalni.

– Starczy, Żanet – powiedziała znudzona. – Wracaj do szeregu.

Podeszła do Helgi, podpisała dokument i dalej już białopończocha wyprowadziła stado kobiet na dziedziniec. Loki podrygiwały jej w rytm marszu. Pod jej dowództwem żadna nie ośmieliła się nawet pisnąć. Ale Saszy jeszcze długo wydawało się, że wciąż słyszy ich szepty. Druga strażniczka była milsza, nawet się uśmiechała. Ponownie przeszukała profilerkę i wprowadziła ją do małego pomieszczenia, w połowie przeszklonego jak akwarium.

Po drugiej stronie kubika z pleksi czekała już Marzena Koźmińska, o którą tak bezskutecznie zabiegała dotąd Sasza. Na pierwszy rzut oka nie wyglądała na niebezpieczną. Takie osoby spotyka się w urzędach, na poczcie. Pełno ich w pośredniakach i w alejkach parkowych, kiedy to jednocześnie paląc papierosa i gadając przez telefon, pchają wózki z dziećmi. Trudno było wiarygodnie oszacować jej wiek. Ot, nieco zaniedbana ciocia, babcia, matka. Równie dobrze mogła być każdą z nich. I zapewne była. Szczupła, proporcjonalnie zbudowana szatynka. Z twarzy byłaby podobna do nikogo, gdyby nie lekki zez, który tylko dodawał jej uroku. Na nosie tanie okulary sklejone taśmą przy zauszniku. Włosy obcięte na grzecznego pazia. Schodzone klapki włożone na śnieżnobiałe, choć wytarte na piętach skarpety. Nogawki pomarańczowego uniformu dla niebezpiecznych, podwinięte do kolan, ukazywały chude, białe jak ser i wydepilowane łydki.

Sasza nie poznałaby morderczyni, gdyby spotkała ją na ulicy. W niczym nie przypominała tej blond dresiary, którą zapamiętała ze zdjęć operacyjnych po aresztowaniu za zabójstwo warszawskiego maturzysty. Ale to była ona. Mózg bandy. Osa. Pierwsza i jedyna jak dotąd w Polsce kobieta skazana na dożywocie bez możliwości wyjścia po trzydziestu latach na warunkowe. Jej wykształcenie kończyło się na ośmiu klasach szkoły podstawowej, ale w trakcie badań psychologicznych ujawniono, że iloraz inteligencji Koźmińskiej wynosi 178 IQ. Gdyby się kształciła, bez trudu skończyłaby studia. Była doskonałym strategiem, miała zdolności komunikacyjne i osobowość przywódcy. Zdiagnozowana psychopatka. Typ adroginiczny, których pełno dziś na menedżerskich stanowiskach w korporacjach.

Tyle że Marzena pochodziła z patologii, oswajano ją z agresją od dziecka i innego życia nie znała. Żyła z przestępstw aż do zatrzymania. Nigdy nie dotknęła narzędzia zbrodni. Nie zadała ciosu. Nie uczestniczyła w samym akcie zabójstwa, w torturach zaś brała udział tylko jako widz. Zwykle stała z boku, zawsze czujna. Pilnowała, by mokrą robotę wykonano zgodnie z jej planem. Na wykonawcę zabójstwa typowała mężczyznę, który był jej aktualnym kochankiem lub liczył, że Osa go do siebie dopuści. Jak ich uwodziła ze swoją urodą, a raczej jej brakiem, pozostawało dla wszystkich tajemnicą. Przez lata była zbyt sprytna, by dać się złapać.

Operacyjni twierdzili, że na koncie ma wiele przestępstw przeciwko życiu i zdrowiu, choć udowodniono jej tylko jedno. Nigdy się nie przyznała.

– Nie zgadzam się – powiedziała na powitanie Marzena i uśmiechnęła się szeroko do gościa, odsłaniając brak trójki.

Sasza usiadła na przygotowanym taborecie. Nie wiedziała, co zrobić z dłońmi, więc włożyła je do kieszeni kurtki. W tylnej kieszeni dżinsów czuła uwierającą paczkę R1. Wyjęła ją i przełożyła do kieszeni na piersi. Strażniczka zabrała jej zapalniczkę, ale w tym pomieszczeniu i tak panował zakaz palenia. Kamera obserwowała je cały czas.

– Na co? – Załuska nie zamierzała być miła, choć ze zdenerwowania czuła lekkie mrowienie na karku.

Nie przyszła tutaj o nic prosić. Liczyła, że uda jej się rozdrażnić więźniarkę. Wybić ze złudnego spokoju i choć na chwilę zedrzeć maskę Osy. Potem zobaczy, czy nadarzy się okazja do zastosowania innej strategii. Najpierw musiała mieć pewność, że warto kruszyć kopię o taki egzemplarz do badań.

– Na nic się nie zgadzam – padło zza szyby. – Jestem niewinna.

– Więc obie tracimy czas? – Sasza wyjęła ręce z kieszeni. Dostrzegła czarną smugę na nadgarstku. Roztarła ją do czysta i wskazała kubik z kuloodpornej pleksi, który je dzielił. – I dlaczego jesteś w tym czymś?

Marzena butnie uniosła podbródek. Ale gdy się odezwała, Sasza wyczuła kontrolowaną miękkość. Tego typu osoby nie robią nic *for free*. Profilerka utwierdziła się w przekonaniu, że nie warto spuszczać z tonu. Koźmińska miała do niej interes.

– Badałaś Szymona – oświadczyła więźniarka. – To moja dobra znajoma spod celi.

– Nieźle wypadła.

– Płacisz coś?

Sasza zaprzeczyła.

– Ale kawę i papierosy ci przywiozę. Mogę filmy załatwić, książki. Nie wiem, czego potrzebujesz. Jestem naukowcem.

– Gówno prawda. – Sasza spłoszyła się. – Jesteś gliniarą. Czuję to.

– To ma znaczenie?

Marzena rozsiadła się wygodniej. Rozpięła uniform. Pod spodem miała zielony podkoszulek w haftowane kwiatki z brokatem. Opinał kształtny, wydatny biust. Może to był jej tajny wabik. Dekolt odsłaniał ślad po samookaleczeniu. Rana babrała się, wyglądała odrażająco.

– Ściemniłaś dziewczynom. Trochę są wkurwione. Nie chciały gadać z psami.

– Sytuacja była wtedy inna – zaczęła Sasza, lecz zrezygnowała. Nie czuła się w obowiązku tłumaczyć przed osadzoną.

– Mnie to pasuje.

Koźmińska wyciągnęła z kieszeni zmiętą fotografię i przytknęła ją do szyby. Zdjęcie przedstawiało dwie młode kobiety: ładną i nieładną. Obie szczupłe, opalone, uśmiechnięte. Obejmował je mężczyzna. Na ręku miał złotą omegę lub niezłą jej podróbkę. Przystojny, ale już niemłody. Przed nimi stał ruski szampan Igristoje i kryształowe kieliszki oraz napoczęta makrela na gazecie.

– To ja. – Marzena wskazała brzydulę. Potem przesunęła palec na tę ładniejszą. – A to Monika. Ale wszyscy w robocie znali ją jako Jowitę. Monika Zakrzewska. Amba fatima. Kojarzysz?

Sasza znała akta zabójczyni. Bez trudu domyśliła się, kim jest ślicznotka ze zdjęcia. Pracowała z Marzeną w osiedlowej agencji towarzyskiej na warszawskim Bródnie. Uchodziły za przyjaciółki. Którejś niedzieli dziewczyna wsiadła z dzieckiem do białego mercedesa typu okularnik, który podjechał pod dom jej matki, i zniknęła bez śladu. Po latach, w trakcie śledztwa o zabójstwo maturzysty, sprawa jej zaginięcia wypłynęła ponownie. Jeden ze wspólników Marzeny poszedł na współpracę. Dostał za to krótszy wyrok. Zeznał, jakoby Koźmińska chwaliła się, że zleciła zabicie przyjaciółki, ponieważ ta odbiła jej chłopaka. Ciała Zakrzewskiej nie znaleziono do dziś.

– A ten to kto? – Sasza wskazała tańszą wersję Brosnana ze zdjęcia.

– Nie wiem, jak się nazywa. Ale daję głowę, że wie, kto skasował Monikę. Chcę, żebyś znalazła tego klienta i pozdrowiła go ode mnie.

Zapadła cisza.

– Pracowały nad tą sprawą trzy ekipy – odezwała się po dłuższej chwili Załuska. – Jak mam dokonać tego sama i to po tylu latach?

– Jesteś psem. Ty pomożesz mnie, ja dam ci materiał na Nobla czy co tam rozdają psychiatrom.

Sasza wstała.

– Ten dil nie przejdzie. Poza tym jestem psychologiem. To różnica.

Przez moment na twarzy Marzeny malowało się rozczarowanie. Trwało kilka sekund, zaraz zastąpiła je złość.

– Wiem o rzeczach, o których nie pisnęłam nikomu – prychnęła i uderzyła się po udach. Zaczęła mówić szybko, aż podniosła głos ze zdenerwowania: – Nie miałam wtedy tej foty. Kupiłam ją za ciężkie pieniądze od kogoś z wolności. Pracuję w szwalni. Płacą mi osiemdziesiąt groszy od sztuki. Pensja ledwie starcza na fajki i podpaski. Znaczy pracowałam, dopóki mnie nie wyhuśtali. Teraz pajacuję, bo nie mam nic do stracenia. O siebie się nie martwię. Mogę zdechnąć. I tak nie wyjdę. Ale mam dzieci. One żyją tam, za murami. Stara Zakrzewska, matka Moniki, sekuje je, niszczy. Nie mam na to wpływu. Chcę, żeby odpierdoliła się od moich dzieciaków, bo ja tej kurwy nie zabiłam, choć miałam okazję ścierwo skasować dużo wcześniej.

Sasza podniosła dłoń. Marzena przerwała słowotok. Trwały chwilę w oczekiwaniu.

– Pomogę ci do niego dojść – obiecała konfidencjonalnie zabójczyni.

– Dlaczego ci tak zależy?

– Bo jestem niewinna. – Marzena odzyskała już panowanie nad sobą. Znów była lekceważąca. – Akurat z tym nie mam nic wspólnego. O innych rzeczach możemy pogadać. Ale to nie ja, a mnie skazano za jej uprowadzenie i pobicie.

Sasza ponownie usiadła.

– Przestań bajdurzyć, to może się zgodzę – uśmiechnęła się. – O co chodzi?

Marzena rozważała, czy powiedzieć prawdę, czy dalej strugać praworządną.

– Nie liczę na sprawiedliwość – zdecydowała w końcu. – Chcę tylko, żeby kolo mnie odwiedził. Niech się tylko dowie, że mam fotę i chcę pogadać. Przyjedzie.

Sasza skupiła się. Nie wierzyła własnym uszom. Zdawało się, że Osa zaczyna mówić szczerze.

– Mam być posłańcem?

Osa wzruszyła ramionami.

– To chyba niewiele zachodu w zamian za zwierzenia bestii?

– Obiecanki cacanki – rzuciła Sasza. – Jaką mam pewność, że dasz się zbadać?

– Żadnej – przyznała Osa szczerze. – Z zasady nie podpisuję cyrografów. Ale mogę dać słowo honoru.

Profilerka zaśmiała się pod nosem, co wyraźnie ubodło więźniarkę.

– Nigdy nie obiecywałam niczego, czego nie mogłam spełnić. Mam swój kodeks.

– Nie wątpię – mruknęła Sasza. – Ale jakoś ci nie ufam i nie wierzę. Nie sądzę, by cokolwiek mogło to zmienić.

Marzena nabrała powietrza i zaczęła mówić.

– Słuchaj, kobieto, bo nie będę powtarzać. Ty go nie znajdziesz? Poszukam innego sposobu. Nie jesteś jedyna, która chce wyjąć mi flaki, skraść duszę i na tym zarobić.

– Nie robię tego dla pieniędzy – zaoponowała Sasza.

– Czyżby? – Osa przekrzywiła głowę jak sprytna kotka, która liczy na sardynkę. – A gloria i chwała? Granty? Poklepywanie po pleckach? Nie powiesz mi, że doktorat nie zwiększy twojej pensji, skądkolwiek ją dostajesz. Nie ma w życiu niczego, co czyni wolnym bardziej niż kasa. Tylko ona się liczy. Jak jesteś bogata, możesz być świrem, chamem i mordercą. Mogą ci naskoczyć.

– Czemu więc nie sprzedasz swojej historii? Napisz książkę, zgódź się na film. Są w Polsce wydawcy, którzy nie mają skrupułów. Dadzą ci

cwanego dziennikarza, który ma te same poglądy co ty na sprawy finansowe i posłuży za dyktafon. Twoje nazwisko będzie na okładce większe niż jego, ale to mu nie będzie przeszkadzało. Książka momentalnie stanie się bestsellerem. Pamiętaj jednak, że ważny jest sprzedawkowy tytuł. Na przykład: „Krwawa królowa przerywa milczenie”. Znów będziesz sławna – kpiła Załuska.

Marzena jednak nie odczytała ironii. Wzięła wręcz szyderstwo za dobrą radę.

– Być może tak zrobię – powiedziała już łagodniej i zaczęła się zwierzać. – Nie ma tygodnia, żeby telewizory się do mnie nie zgłaszały. Jak dotąd nikt nie dał odpowiedniej kwoty. Napatoczyłaś się, mamy wspólny biznes, to pomyślałam, że dobijemy targu. Cena nie jest wygórowana. Tak sądzę. A to, co mówię, jest prawdą. Kurwa, wolałabym, żeby było inaczej. Nie jest. Wisi mi, kto zaciukał Jowitę i kto za to ostatecznie beknie. Kasy potrzebuję na spłacenie matki Jowity. Spokój można kupić. Można, jeśli ma się hajs. – Zatrzymała się i zmierzyła Saszę spojrzeniem. Skierowała w profilerkę wskazujący palec z krótko obciętym i czyściutkim paznokciem. – Jesteś matką?

Sasza z niechęcią przytaknęła. Wiedziała, że teraz będzie show „na litość”. Wydawało jej się, że jest przygotowana, by odsiać spektakl od prawdy.

– Moja najstarsza córka jest w ciąży. Będę babcią. Jak tylko sąsiedzi się dowiedzieli, robią dzieciakom młyn. Jakby były winne, że to ja je urodziłam. Fakt, miały pecha. Życie to nie hula-hop. Ale nie dam im zniszczyć lajfu, jak pozwoliłam zniszczyć własny.

Saszy momentalnie zrobiło się żal Marzeny. Patrzyła teraz nie na psychopatkę, lecz zrozpaczoną matkę. Zamkniętą w klatce kobietę, która jak dzikie zwierzę atakuje, ponieważ nie doświadczyła nigdy dobroci i po swojemu stara się przetrwać. Koźmińska byłaby doskonałym tematem oddzielnej pracy naukowej. Miała miękkie podbrzusze i Sasza chciałaby się do niego dobrać.

– Przemyślę to – rzuciła.

Marzena pokręciła głową.

– Ty mi nie wierzysz.

– A czego się spodziewałaś? – zaśmiała się Sasza. – Więzienia pełne są niewinnych.

Koźmińska była niezłą aktorką: na jej twarz wypłynął teraz szczery zawód. Kiedy się odezwała, głos jej się łamał.

– Kiedy naprawdę jej nie zabiłam. Proces był poszlakowy. Przybili mi to uprowadzenie na fali procesu maturzysty. Tak, zgarnęłam ją spod domu, ale nie ukatrupiłam. Mimo to nie apelowałam. Nie miałam forsy na adwokata. A teraz już po herbacie.

– Oczekujesz niemożliwego. – Sasza rozpięła kurtkę. Papierosy upadły na podłogę. Złapała spojrzenie Koźmińskiej, która pożerała je wzrokiem. Sasza wyjęła jednego, bawiła się nim chwilę, kątem oka obserwując reakcję Marzeny, a potem schowała. Zaczęła mówić: – Niektóre śledztwa pozostają nierozwiązane na zawsze. Sama powiedziałaś. Nie ma ciała, nie ma zbrodni. A ja nie jestem jasnowidzem. Nawet nie wiesz, jak się nazywa ten facet. Albo nie chcesz powiedzieć. I jaki ma z nią związek. I z tobą.

– Gdyby mnie wypuścili, znalazłabym chuja. On wie. Możliwe, że sam to zrobił.

Marzena ponownie zamknęła się w sobie. Po matce nie pozostał nawet ślad. Znów była Osą.

– Skąd masz to zdjęcie? – spytała Sasza. – Kto ci je sprzedał? Nazwisko.

Koźmińska nie była łaskawa odpowiedzieć. Na odwrocie fotografii zanotowała sygnaturę akt sądowych. Przesunęła zdjęcie pod kubikiem.

– Poczytaj sobie – poprosiła łagodnie. – Wrócisz. Ja jestem cierpliwa. Ale moje dzieci nie mogą czekać. Pomóż, jeśli coś możesz.

Sasza podniosła fotografię. Numer akt był łatwy do zapamiętania. Sprawa trafiła do sądu w 2001 roku. Profilerka odwróciła zdjęcie i przyjrzała się trójcy. Brunet siedzący pośrodku był już dobrze po czterdziestce, ale to rzadki typ mężczyzny, który nawet w podartym T-shircie wygląda atrakcyjnie. Monika kleiła się do niego. Facet zerkał jednak na Marzenę, a dokładniej w jej obfity dekolt. Marzena nie była pięknością, ale miała charyzmę jak latynoskie brzydule z filmów Almodovara i fotografia dobrze to oddawała. Także to, że w jej oczach salamandry czaiły się ostrza sztyletów. Tych dwoje nie mogło sobie zaufać, a jednak coś

ich połączyło. O wiele silniej niż żigolaka z zaginioną ślicznotką. Monika była ufna, urocza. Idealna zdobycz dla tej dwójki drapieżników. Załuskiej przypomniała się stara maksyma: trzy osoby mogą dochować tajemnicy, jeśli dwie z nich są martwe. Jaka tajemnica połączyła tę trójkę? Nie była pewna, czy chce się dowiedzieć.

– Nie zgub – zastrzegła Marzena. – Nie mam kopii. Mówiliśmy na niego Okularnik, bo jeździł mercedesem. Klasa E, model W dwieście dziesięć. Białym jak limuzyna ślubna. Facet pojawiał się i znikał. Czasem nie było go długie miesiące. A potem przylatywał kilka razy w tygodniu, jakby dostał sraczki. W tamtych czasach mało kto miał takie auto. Nasi klienci jeździli maluchami albo mieli własny tramwaj, bo zatrzymywał się pod ich blokiem. Żadna z nas nie była call girl.

Sasza się zamyśliła. Jeśli Marzena mówi prawdę, oddała jej jedyny trop, jaki posiadała. Blefowała? Do czego tak naprawdę zamierza jej użyć? Była już pewna, że więźniarka zgodzi się na badanie. Musiała jej jednak rzucić jakieś mięso. Inaczej odwróci się i będzie pozamiatane. Akta przeczyta, czemu nie. To może być nawet ciekawe.

– Niczego nie obiecuję. – Wstała.

Marzena wzruszyła ramionami. Swój cel osiągnęła. Zarzuciła haczyk. Czy ryba chwyci? Pewności nigdy mieć nie można. Ale trzeba wiedzieć, kiedy struna jest na tyle napięta, że czas odpuścić. Właśnie nadszedł ten moment. Nie ma nic gorszego w biznesie niż przegadanie sprawy.

– Zostawisz kilka fajek? Nie zabiorą mi. Mam układ z oddziałową.

Sasza pokazała jej na wpół puste opakowanie. Szpara pod kubikiem była zbyt wąska, by pudełko się zmieściło, więc wyjęła wszystkie papierosy, spłaszczyła je i przesunęła tą samą drogą, którą Marzena przemieściła fotografię. Jeden rozsypał się w trakcie operacji. Osa zerknęła w oko kamery, po czym skrupulatnie zebrała tytoń do ostatniej drobiny.

– Skąd wiedziałaś, że jestem policjantką? – zapytała na odchodne Załuska.

Marzena, zajęta ukrywaniem papierosów we wszytej pod podszewką prowizorycznej kieszeni, nie od razu odpowiedziała.

– Masz proch na dłoniach.

Sasza przyjrzała się miejscu, gdzie miała smugę. Teraz po pamiątce ze strzelnicy nie było nawet śladu. Marzena roześmiała się nieprzyjemnie.

– Nierasowa z ciebie suka. Wystarczył dobry blef i pękłaś.

Sasza jej nie uwierzyła. Osa nie była typem improwizatorki. Musiała sprawdzić dossier profilerki przed spotkaniem. Solidnie się przygotowała. Trzeba na nią uważać. Nie miała jeszcze tak ciekawego obiektu badawczego.

Hajnówka, 2014

Krawcowa się spóźniała, a za pół godziny do mieszkania Iwony Bejnar przy Chemicznej 13 zaczną schodzić się kobiety, by upiec korowaj. Produkty do drożdżowego ciasta weselnego, twaróg w kształcie serca, którym podzielić się mieli młodzi przed zaślubinami, i jedwabne wstążki do weselnej kosy leżały jak eksponaty muzealne na jedynym stole kieszonkowego M2 w hajnowskich slumsach, w którym dwudziestopięciolatka wychowała się z trzema starszymi braćmi i matką. Wszystko dostarczone przez umyślnego i opłacone przez narzeczonego Iwony.

Pieca chlebowego Bejnarowie nigdy nie mieli, ale ustalono, że, zgodnie z tradycją, kobiece spotkanie w wigilię wesela odbędzie się w domu panny młodej. Połowę największego pomieszczenia zajmował więc teraz elektroniczny piekarnik. Identyczny, jakich używają restauracje do wypieku największych placków na pizzę w Italii. Kiedy tragarze go wnosili, sąsiedzi zbiegli się, by sprawdzić, co za skarb ofiarował przyszłej teściowej Piotr Bondaruk. Widziała zawód w ich oczach, że to nie nowa lodówka albo chociaż grzejnik. Na co mieszkańcowi hajnowskiego trójkąta bermudzkiego piec na pół mieszkania? Stał teraz między wersalką a koślawym stołem ze sklejki, zasłaniając nowiuteńki telewizor, przykryty zapobiegliwie folią, by się nie zabrudził, gdy zacznie się zagniatanie ciasta.

Pieczenie korowaja, zaraz po swatach, było jednym z najważniejszych rytuałów białoruskiego wesela. Zapewniało powodzenie młodej parze; zgodne, płodne i dostatnie życie. Choć to ostatnie Iwona miała raczej gwarantowane. Bondaruk był bodaj najbardziej wpływowym człowiekiem w mieście, a w regionie plasował się w pierwszej dziesiątce najbogatszych, jeśli wziąć pod uwagę obroty jego przedsiębiorstwa i liczbę posiadanych nieruchomości. Połowa mieszkańców Hajnówki i okolicznych wsi zatrudniona była w jego zakładzie drzewnym produkującym parkiet i schody, wyłącznie na eksport do Niemiec i Francji. Nie dalej jak przed miesiącem przedsiębiorca rozpoczął negocjacje z Norwegami. W każdej

z czterech cerkwi duchowni modlili się, by panele New Forest Hajnówka stanęły w konkury z tygrysem Ikei. Rynek Wielkiej Brytanii firma zdobyła, zanim Polska weszła do UE. W mieście nie było człowieka, który nie znałby Bondaruka, ani też rodziny, której ten by nie żywił. Choćby miał na sumieniu największe grzechy, ludzie staną za nim murem, ponieważ to dzięki niemu, pierwszy raz od kilku lat, stopa bezrobocia w mieście spadła o dwa procent. Gdyby tylko chciał, w mig zostałby burmistrzem.

Iwona rozejrzała się po pomieszczeniu. Jutro zamieni tę klitkę na wygodne kondominium z odrestaurowanego hajnowskiego czworaka, przy Piłsudskiego, najpiękniejszej ulicy w mieście, wysadzanej starymi lipami. Dotąd musiała walczyć ze starszymi braćmi o najmniejszy kawałek przestrzeni. Dlatego też wyrosła na hardą i odważną pannę. Z braćmi nieustannie przegrywała. Nie pomagały kuksańce, płacz ani skargi do matki. Iwona szybko nauczyła się radzić sobie podstępem. Nie bez znaczenia okazał się też urok osobisty – jej najgroźniejszy oręż. Umiejętnie wykorzystywała ludzkie słabości i migiem stawiała na swoim. Bożena nigdy nie była sojuszniczką córki w swarach z braćmi. Zwykle kazała jej się podporządkować, bo trzej synowie przynosili do domu pieniądze i musieli odpocząć po robocie, zjeść porządnie i, jeśli trzeba, upić się do nieprzytomności z ziomkami.

Żaden z nich nie pracował legalnie, jak zresztą większość mieszkańców osiedla przy dawnej fabryce terpentyny i chemikaliów do konserwacji drewna, od której nazwę brała ich ulica. Od lat bracia Bejnarowie byli pod kuratelą lokalnego MOPS-u. W papierach każdy miał inny stopień niepełnosprawności, choć wszyscy trzej wyglądali jak puszczańskie tury, a w piwnicy na Górnym prowadzili nieformalny klub bokserski „Wataha”. Tylko najmłodszy – Ryszard, znany w mieście bardziej jako Mały Żubr, skończył zawodówkę, ale po szkole ani razu nie stał przy tokarce. Władysław i Ireneusz, również zwani Żubrami (odpowiednio: Starym i Środkowym), pożegnali się z edukacją w drugiej klasie „rolnika”, miejscowej szkoły zawodowej przygotowującej młodzież do pracy w polu. Wyrzucono ich z wilczym biletem, po tym jak w gabinecie przewodniczącego komisji wysadzili wojskową racą szafkę z kartami egzaminacyjnymi, tym samym powodując pożar szkoły. Sam przewodniczący cudownie ocalał, gdyż był w tym czasie w toalecie przed

szkolną stołówką, gdzie tego dnia podano kopytka w sosie grzybowym i zasmażaną kapustę z ubiegłego tygodnia. Zanim przewodniczący wyszedł z wychodka, strażacy ugasili ogień, ekipę Żubra zawinęła policja, a tłum gapiów zdążył się przerzedzić.

Od tego wiekopomnego dnia bracia Bejnarowie nigdy nie skalali się już uczęszczaniem do placówek edukacyjnych. Zresztą szkoda była niewielka, bo pola i tak mieć nie chcieli. Chodziło o papier do zasiłku dla bezrobotnych. Ale, jak się okazało, hajnowski urząd pracy zlikwidował ten przywilej, zanim chłopcy Żubra zdołali wytrzeźwieć po imprezie z okazji wiecznych wakacji.

Szydzili z siostry, kiedy po technikum leśnym w Białowieży bezskutecznie próbowała robić licencjat z administracji, ale i wielbili ją jak najtwardszy zbój swojego zwierzaczka, zasadniczo próbując zagłaskać go na śmierć. Miłość swoją Żubry okazywały wyłącznie bojowym czynem spektakularnym. Na przykład nokautując wszelkich absztyfikantów siostry, podpalając domy jej krytykantom. Słowem, tępiąc tych wszystkich, którzy zdaniem Ryśka, Władka i Irka nie zasługiwali na rodowitą Polkę ze względu na swoje niepolskie pochodzenie. Wedle tych wytycznych szans nie miało jakieś siedemdziesiąt procent mieszkańców regionu, gdyż teren miasteczka zaludniali niemal wyłącznie polscy Białorusini. Polaków czystej krwi było tu jak na lekarstwo i Bejnarowie należeli do tej właśnie mniejszości.

Dlatego też Żubry hucznie obchodziły wszelkie narodowe święta. Flagi, transparenty i koszulki z nadrukami żołnierzy wyklętych robili sami, gdyż po kądzieli w genach mieli artystyczne talenta. Ich dziadek – Grzegorz „Makak” Rusinuk – grał i ćpał z samym Ryśkiem Riedlem. Do Hajnówki przyjechał na odwyk i został, gdyż po zakończonej terapii przepił bilet powrotny. Wrócił do ośrodka i tam odkrył w sobie talent do „pędzlowania”, jak nazywał swoje malarstwo. Każdy obraz, choćby to był portret kobiety, zawierał wariację jego podobizny. To on, za swoje zasługi dla lokalnej kultury, za symboliczną złotówkę dostał od miasta komunalne mieszkanie na Chemicznej, w którym dożywał, dopóki nie zapadł na alzheimera i nie trafił do domu starców za pieniądze miasta, a lokal zajęła jego córka, którą nigdy się nie interesował, ze swoimi dziećmi.

Także fizycznie Żubry były jak skórę zdjąć z Makaka, co z dumą podkreślali, sprejując na hajnowskich murach pseudopatriotyczne graffiti. A robili to tak elegancko, że dziad, gdyby jeszcze kontaktował, mógłby być z nich dumny. Bardzo się więc wściekali, kiedy rdzenni mieszkańcy Hajnówki nie doceniali ich patriotyzmu i przezywali faszystami, kinderskinami albo po prostu kibolami. Choć niezaprzeczalny to był fakt, a nawet swego rodzaju tradycja, że po meczach Jagiellonii Żubry wracały do domu po czterdziestoośmiogodzinnym urlopie na dołku za ustawki, bójki czy rysowanie swastyk na murach lub przynajmniej podjudzanie do awantur młodzieży szkolnej. Iwona również uległa presji rodziny i swego czasu w skórzanej kurtce lub bluzie z kapturem z napisem „Chwała Bohaterom!” jeździła z braćmi na ustawki, ale odkąd zakochała się w Białorusinie, zaczęła się migać od polskiej partyzantki pod byle pretekstem.

Do Iwony należał kąt przy oknie. Wąski tapczan, który pamiętał czasy Hajnowskich Zakładów Przemysłu Drzewnego, kiedy były jeszcze państwowe. Laminowana szafka z płyty wiórowej i miękki puf w okropne esy-floresy, w którym Iwona trzymała bieliznę. Miała też kilka wieszaków w szafie na wysoki połysk, którą dzieliła z matką, i jedną półkę na książki, pod którą dziewczyna zawiesiła plakat sztuki teatralnej Wojciecha Tomczyka *Ja jedna zginę* o Danucie „Ince” Siedzikównie z 5. Brygady Wileńskiej AK, która była jej idolką. Półka z książkami miała metr dwadzieścia i w dwóch rzędach stały tam wyłącznie komedie i polskie romanse: Kalicińska, Ficner-Ogonowska, Witkiewicz, Cygler i Zaczyńska. Choć matka Iwony przez lata skutecznie wybijała jej z głowy pojęcie miłości, dziewczyna pozostała niepoprawną romantyczką. W tych publikacjach zaś znajdowała najlepsze dialogi skuteczne w rozmowach z płcią przeciwną, więc nauczyła się ich na pamięć. Podobnie jak mrugania powiekami i emocjonalnej emfazy. Była tam też jedna Bator, gdyż Iwona nie rozumiała poliamorii, oraz wszystkie dzieła Miłoszewskiego, bo swego czasu była zakochana w Szackim, wyobrażając sobie, że prokurator ma twarz autora powieści. Teraz postanowiła, że poza plakatem Inki i książkami cały swój posag z radością wyrzuci do śmieci. Od jutra żadnego z tych gratów nie będzie już potrzebowała. Nie weźmie z tego lokalu nic

prócz czerwonej walizki Samsonite, kupionej rzecz jasna przez narzeczonego.

Spojrzała w lusterko wielkości zeszytu, zawieszone koło prostego drewnianego krzyża, i uśmiechnęła się do siebie z satysfakcją. Mówiono, że nigdy nie wyglądała lepiej. Nawet w czasach, gdy nosiła aparat na zębach i była zakochana w lokalnym watażce Quaku, który wprawdzie nie przypominał w niczym Szackiego ani tym bardziej Więckiewicza, ale zawsze miał markowe ciuchy i jeździł żółtym ścigaczem. Myślała, że będą razem do końca świata i jeden dzień dłużej. Nie minął tydzień od oświadczyn, kiedy Jurkę zgarnęli, a ona nie mogła go nawet odwiedzić w więzieniu ze względu na groźbę mataczenia przed procesem. Quaku dał się złapać na kradzieży prostowników w narewskiej piekarni. Miał we krwi śladowe ilości substancji psychoaktywnych, a w kieszeni kradziony iPhone. Szybko ustalono, że telefon zginął katolickiemu proboszczowi, ale i ten kupił go od handlarza trefnym towarem na lokalnym bazarze zwanym Rubel Placem. Choć szkodliwość czynu nie była znaczna, presja społeczna okazała się tak duża, że przymknęli go na trzy miesiące.

W tym czasie Iwona, wtedy jeszcze kelnerka Leśnego Dworku, restauracji przy białoruskim muzeum, poznała Piotra Bondaruka, który przychodził tam na obiad zawsze o trzynastej. Potem zaczął pojawiać się też po dziewiętnastej. Zajmował stolik przy oknie, rozkładał papiery firmy i w towarzystwie kilku setek żubrówki, zimnych nóżek lub śledzia z cebulą zostawał aż do zamknięcia. Nie odzywał się. Wodził tylko wzrokiem za Iwoną, kiedy biegała między stolikami. Napiwki zostawiał wyższe niż jej tygodniówka.

Kiedy drugi raz jego kierowca odwiózł Iwonę do domu, ludzie zaczęli gadać. Tydzień później sama dała im podstawę do plotek. Umówiła się z Bondarukiem na obiad w dniu wolnym od pracy. Poszli do Hajnowianki, najstarszej restauracji w mieście. Kiedyś odbywały się tam bale sylwestrowe i zabawy weselne lokalnych włodarzy. Bondaruk dobrze te czasy pamiętał. Był wtedy w jej wieku. Dziś to zwykła mordownia z chrzczonym piwem, które nawet nie stało koło beczki Dojlid, choć taką miało naklejkę na kuflu. Bondaruk czuł się tam jednak znacznie swobodniej niż w Leśnym Dworku. Był wobec niej po staroświecku szarmancki. Wypytywał, o czym marzy, co chciałaby w życiu osiągnąć. Opowiedziała

mu o Quaku, który złamał jej serce (bo dokładnie tak mówiły o miłości bohaterki książek z jej półeczki), a innych poważniejszych związków nie miała. Ujęła bogacza szczerością i wiarą w dobro – jak potem przyznawał publicznie. Zabrał ją tego wieczoru do kina na film o Jakubie Kołasie, białoruskim poecie. Wynudziła się jak mops, ale dostała w prezencie ręcznie tkany kilim, który już następnego dnia matce udało się sprzedać na Rubel Placu za kilkaset złotych zagranicznym turystom.

Potem ludzie mówili, że przedsiębiorca wprost oszalał na punkcie „Polaczki od Żubrów", bo nie minęły dwa miesiące jego posiedzeń w Leśnym Dworku, jak stanął na kolanko i wręczył Iwonie aksamitne puzderko. Iwona nigdy nie ukrywała, że ma już zobowiązanie wobec Quaka. Bondaruk oświadczył więc, że nie zamierza wpływać na jej decyzję ani jej pośpieszać. Powinna podjąć ją w spokoju i dobrze rozważyć – zapewnił. Ale zaraz potem, niczym wąż kusiciel, rozpytał, co tak naprawdę zamierza zrobić ze swoim życiem, i zaoferował jej niezwykle atrakcyjne warunki: działkę budowlaną dla najstarszego Żubra, ziemię uprawną dla pozostałych dwóch braci i spłatę wszystkich długów matki. O drobiazgach typu telewizor, samochód, który był gotów oddać im do dyspozycji, ponieważ sam posiadał ich kilka, nie warto nawet wspominać. Był konkretny, spokojny i niczego w zamian nie chciał. Nawet niewinnego całusa.

Wydawało jej się, że może mu zaufać, bo biznesy Bondaruk prowadził skutecznie. Z jakiegoś powodu na kolejną inwestycję wybrał właśnie ją. Czuła się pierwszy raz w życiu towarem pełnowartościowym. Prawdę mówiąc, zastanawiała się zaledwie krótką chwilę, a już złapała się na tym, że zamążpójście likwidowałoby wszystkie jej kłopoty. Oficjalnie jednak wahała się całe dziesięć dni. Dylemat był poważny. Bondaruk był Białorusinem, jej rodzina zaś pielęgnowała patriotyczne tradycje. Bejnarowie z dziada pradziada byli katolikami. W sionkach ich domu wisiał wystrzępiony transparent „Polska dla Polaków". Prawie każdy z rodziny Bejnarów – poza Iwoną – miał na koncie konflikt z prawem za obrazę moralności lub okrzyki nacjonalistyczne. Żaden z braci Żubrów nie zaakceptowałby „kacapa" na łonie rodziny.

W pierwszej kolejności Iwona omówiła ofertę Bondaruka z matką. Bożena aż się zarumieniła, gdy usłyszała, jakie będą z tego interesu profity

dla jej dzieci. W jeden wieczór przekonała braci, by nie robili siostrze ani Bondarukowi z tego tytułu wbrew. Pod osłoną nocy zaś spaliła stary transparent w ognisku za domem. W ten oto sposób Iwona podjęła ostateczną decyzję o zerwaniu z Jurką.

Powiedziała mu to na widzeniu, zaraz po uprawomocnieniu się jego wyroku. Quaku dostał zawiasy, nazajutrz miał opuścić więzienie. Była wstrząśnięta, bo niezbyt przejął się nowiną. Nie wziął też z powrotem obrączki celtyckiej, którą jej kiedyś podarował.

– To tombak. Nie da się jej sprzedać – mruknął. A potem wysmarkał nos w rękaw i spytał: – Dlaczego? A raczej, dlaczego on?

Powiedziała prawdę. Nie wyobraża sobie takiego życia. Nie chce czekać na niego latami. Bo że Jurek wróci do paki, jest pewne jak to, że po zimie idzie wiosna. Klepać biedy. Obściskiwać się po zdezelowanych przystankach czy szopach na kartoflanym polu jego matki. Zapewniła, że zawsze będzie kochała tylko jego, a Quaku odparł, że rozumie jej punkt widzenia, ale na razie nie może jej wybaczyć, bo się z lekka podkurwił. Płakała w głos, kiedy wychodził z rozmównicy.

Przed nią zgrywał twardziela z *Psów*, ale tego samego dnia uwiesił się na klamce więziennej kuchni. Odratowali go i zostawili jeszcze kilka dni na obserwacji. Psychologowi tłumaczył, że kobieta mu się puściła, więc harakiri wydało mu się najlepszym pomysłem na uratowanie godności. Kolegom spod celi zapowiedział odwet na niewiernej. Mówiono, że jak tylko wyjdzie, podpali dom Bejnarów albo puści z dymem tartak Bondaruka. Plotka szybko się rozeszła. Policja obserwowała go przez pierwszy tydzień wolności. Był grzeczny jak niemowlę. Wyszedł z domu tylko dwa razy. Raz do wypożyczalni po nowe gry na PlayStation i drugi – do MOPS-u po zapomogę. Ale nawet gdy organy ścigania odpuściły obserwację, Bejnarowie nadal byli gotowi na jatkę. Zwołali chłopaków Igora Piątnicy, byłego rusznikarza i domniemanego szefa tutejszego półświatka, by całymi dniami wystawali przed posesją na Chemicznej. Quaku się nie pojawił. W okolicy nikt nie słyszał też warkotu jego motocykla. Iwona przepłakała dziesięć nocy, wrzuciła do ogniska połowę romansów i złożyła wymówienie z Leśnego Dworku. Następnego dnia przyjęła oświadczyny przedsiębiorcy.

Obrączkę od Quaka nadal jednak nosiła. Obok zaręczynowego pierścionka z brylantem wielkim jak ziarnko grochu od Piotra.

– Na pamiątkę powrotu rozumu – mówiła. – By szczęście już nigdy nie uderzyło mi do głowy.

Matka zawsze jej powtarzała, że kobieta ma w życiu tylko trzy ważne związki. Reszta to zwykłe romanse i flirty, których szczegóły z czasem mieszają się w pamięci. Pierwszego mężczyznę bierze z głupoty, drugiego z rozsądku, a trzeciego z miłości, ale to zwykle dopiero na jesieni życia. Iwona miała dwadzieścia pięć lat i była już na drugim etapie.

Przeczesała teraz krótkie włosy z grzywką à la Uma z *Pulp Fiction*, do których jutro, z okazji wesela, fryzjerka doczepi jej treskę w identycznym kolorze. Czarny jak heban warkocz z naturalnych włosów grubości pięści przetykany kolorowymi wstążkami zamówiono na Ukrainie. Ponoć tamtejsze kobiety dostarczają najwyższej jakości peruk dla całej Unii Europejskiej. Mówiono, że „słowiański blond” najłatwiej farbować, a potem pielęgnować.

– Włosy, jak i dupę, sprzedaje się z nędzy – sprostowała te bajania Bożena. Sama, kiedy była jeszcze młoda, uprawiała oba procedery. Dodała ponadto, że nie rozumie, dlaczego jej córka wciąż ścina włosy u fryzjera, a jeszcze musi za to płacić. O sprzedawaniu innych części ciała nawet się nie zająknęła, ale gdy tylko któryś z synów brzdęknął coś o „starym kacapie”, za którego miała wyjść Iwona, Bożena wygnała go po węgiel.

– Nie mam za co kupić. – Władysław rozłożył ręce. – Interesy źle stoją.

– To po chuja ruszasz jadaczką? – odpysknęła mu matka. – Jak Iwona wyjdzie za Bondaruka, węgla będziesz miał po gile w nosie.

Iwona posmarowała teraz usta wazeliną. Makijaż nie był wskazany. Piotr miał obsesję, jeśli chodzi o tradycyjne postrzeganie urody. Wiedziała, że jest białoruskim aktywistą, ale jej pochodzenie widać mu nie przeszkadzało. Była w tym pewna niespójność. Uznała jednak, że mąż jakieś wady musi mieć. Innych, może poza jego wiekiem, nie dostrzegała. Oczu nie musiała malować. Czekoladowe tęczówki praktycznie zlewały się ze źrenicą. Długich i gęstych rzęs koleżanki zazdrościły jej od zawsze. Oliwkowa cera nie wymagała pacykowania. Mimo to pudrem słonecznym dodała trochę zdrowia kościom policzkowym i spojrzała na haftowany w kolorowe wzory

strój weselny, o trzy numery na nią za duży. Nie podobał się jej, ale znała zasady. To tylko uniform.

Spódnica była zakładana, więc owijała się nią dwukrotnie wokół talii. Bluzka miała być dopasowana, ale na razie Iwona wyglądała w niej jak elegantsza wersja Juranda ze Spychowa. Wyszywany śnieżnobiały wór sięgał jej do kolan i skutecznie zasłaniał kobiece atrybuty, aż po sztywną stójkę pod brodą. Rękawy trzeba by było przyciąć w okolicy łokci, bo Iwona była wyjątkowo drobna. Miała sto pięćdziesiąt dwa centymetry, a obuwie mogła kupować w działach dziecięcych. Nawet w wypożyczalni Muzeum Kultury Białoruskiej nie udało się wyszukać niczego w jej rozmiarze. Zgodziła się więc na przeróbkę stroju, który podarował jej Piotr. Trzymał go ponoć w skrzyni przez lata dla swojej ukochanej. Nie chciała wiedzieć, kto miał go kiedyś włożyć. I co się stało, że do wesela nie doszło. Bo jej przyszły małżonek, ojciec trzech dorosłych synów, którzy sami mieli już dzieci, w wieku sześćdziesięciu sześciu lat żenił się pierwszy raz w życiu. Mogła być z siebie dumna, ale czuła coś wręcz przeciwnego.

Trzasnęły drzwi. Dziewczyna ruszyła do ciemnego przedsionka. Ku jej rozpaczy w drzwiach, zamiast krawcowej, stały już jej przyjaciółki. Z uszu wystawały im słuchawki. Muzyka była ustawiona tak głośno, że Iwona domyśliła się, że podrygują w rytm *Ona tańczy dla mnie*. Obie wystrojone we fluorescencyjne obcisłe topy. Lambadowe tuniki, nabyte z jednego łóżka na Rubel Placu, kończyły się w miejscu odcięcia pośladków. Do tego getry w panterkę lub model *snake* i wysokie obcasy. Jeszcze do niedawna Iwona też się tak nosiła. Tyle że w przeciwieństwie do Anki, wysokiej jak żyrafa, czy pulchnej jak pączek Kasi miała się czym pochwalić. Nogi były jej największym atutem i Iwona o tym wiedziała. Niestety, w ludowym przebraniu weselnym, które miała jutro włożyć, nikt tego nie dostrzeże. Nawet Anja Rubik wyglądałaby w nim jak ruska matrioszka.

Iwona liczyła, że po ślubie znów będzie się ubierała jak zechce. Piotr obiecał jej niepodległość. Mogła iść na studia, pracować w jego firmie lub założyć własny biznes, jeśli miałaby ochotę. Lub też nie robić zupełnie nic. Tę opcję wybrałyby jej przyjaciółki. Ale Iwona nie chciała leżeć i pachnieć. Chciała się uczyć języków. Podróżować, poznawać nowe kultury. Prowadzić blog, a może nawet mieć swój program w lokalnej telewizji. Nikomu poza Piotrem o tym nie mówiła. Właściciel telewizji był kolegą

Piotra, więc narzeczony obiecał pomóc i zapewnił, że sfinansuje zarówno jej edukację, jak i wojaże. Wierzyła mu. Warunek był tylko jeden. Miała być lojalna. Niekoniecznie wierna. Cokolwiek przez to rozumiał. Obiecał to wyjaśnić zaraz po weselu, kiedy już oboje będą mieli obrączki na palcach, a pop skropi ich solidnie wodą z poświęconej studni.

– Do tego ślubu musi dojść bez przeszkód – zastrzegła Iwonie matka. I spojrzała na synków. Pokiwała im palcem, jakby wciąż byli w przedszkolu. – Bez żadnych niespodzianek, rozumiecie? Inaczej z naszej umowy z prezesem nici. Chyba wszystkim nam zależy.

Żubry obiecały, że zapewnią siostrze ochronę, nawet choćby do miasteczka nagle przybyła bojówka NOP-u.

– Strasznie pogrubia, co? – Kasia rozłożyła teraz jak płachtę długą plisowaną spódnicę. Przymierzyła do siebie i zarechotała. Faktycznie, strój nie odejmował jej kilogramów, ale to co miała na sobie, też nie czyniło z niej modelki, choć z pewnością była o tym święcie przekonana. Iwona w duchu przyznała jej rację. Dla niepoznaki wzruszyła tylko ramionami.

– Nie będziesz miała bezy z mnóstwem tiulu? Ani welonu? – jęknęła zawiedziona druga koleżanka, Ania. Potrząsała kolorowymi wstążkami przeznaczonymi do weselnego wianka, jakby ganiała muchy. A potem spojrzała na przyjaciółkę ze szczerym współczuciem. – Nie szkoda ci?

Iwona wydała z siebie ciężkie westchnienie. Co miała odpowiedzieć? Była na drugim etapie. Kumpelki wciąż na pierwszym. Ich chłopcy, jak większość młodzieży z Hajnówki, pracowali w Dublinie. Przyjeżdżali dwa razy do roku i praktycznie nie wypuszczali Ani i Kasi z łóżek. Zawsze po Wielkanocy i Bożym Narodzeniu dziewczyny jeździły do Białegostoku po tabletki wczesnoporonne, bo – jak twierdziły – było to tańsze niż bezproduktywne trucie się cały rok antykoncepcją. Liczyły, że chłopcy wrócą na stałe już bogaci. Marzyły o ślubach, białych sukniach i nowych brykach, którymi będą się rozbijały, zadając szyku na mieście. Według Iwony stanie sie wprost przeciwnie. Chłopcy nie wrócą wcale, bo znajdą sobie nowe dziewczyny, albo – co bardziej prawdopodobne – zapuszkują ich za przemyt lub malwersacje finansowe. Nie wierzyła w bajeczki, że harują na budowie. Jej Boski Kochany Quaczek, jak go nazywała w apogeum ich związku, też opowiadał smaczne historyjki. Jak było

naprawdę, zorientowała się w więziennej poczekalni. Drugi raz nie da się nabrać.

Przez okno dostrzegła matkę. Bożena zmierzała do domu zamaszystym krokiem, pod rękę trzymając starszą kobietę w chustce. O dziwo, nie miała w ustach nieodłącznego peta. To Iwonę zaniepokoiło. Krawcowa została polecona przez Piotra. Prosił, by godnie ją traktować.

– Ałła to moja kuma – uprzedził. – Praktycznie należy do rodziny.

Praktycznie, bo większość jego autentycznych bliskich już nie żyła lub stroiła sobie grób, jak ludzie w wieku Iwony nowy dom.

– I jeszcze taki stary – syknęła Anka do Kasi. – Mógłby być moim dziadkiem.

– Kurde, chyba pradziadkiem. Mojemu dziadkowi daleko do sześćdziesiątki – odparła znacznie głośniej Kasia. Nagle odrzuciła spódnicę ze wstrętem. – Widziałaś? Są na niej larwy moli.

– To nie ruszaj! – Iwona zgniotła w rękach fruwającego owada i odłożyła spódnicę na miejsce. Odwróciła się do drugiej przyjaciółki i fuknęła: – Wszystko słyszałam. Jest stary, ale dobrze mnie traktuje.

– A jak będziesz się z nim całować? On ma wąsy!

– Najważniejsze, że zęby ma swoje – skwitowała Kasia. – Bo bez zębów to ciężko. Wiem, bo jak Genkowi wybili po zabawie, miałam okazję doświadczyć.

– Ma? – upewniła się Ania. Ale zaraz wykrzywiła twarz w geście obrzydzenia. Machnęła ręką. – Właściwie to wolę nie wiedzieć.

Iwona patrzyła na przyjaciółki z politowaniem.

– Nie będę musiała się z nim całować.

– Jak to? Przecież to twój mąż.

– Nie będę i już.

– A co cię to obchodzi? – Kasia jeszcze przygłośniła muzykę w telefonie. Na tapecie była teraz Margaret. – Jest bogaty. Dobrze robisz, Iwek.

Wyciągnęła pilnik z celofanowej torebki pikowanej à la Chanel i zaczęła zawzięcie wygładzać uszkodzony paznokieć. Różowy lakier odpryskiwał

płatami, ale się nie przejmowała. Kiedy była w połowie roboty, wyjęła lakier i nie trudząc się zmywaniem starego podkładu, zaszpachlowała braki. Suszyła paznokcie, machając gwałtownie rękami. Przypominała teraz wyrzuconą na brzeg foczkę. Paznokcie jeszcze nie doschły, kiedy wskazała strój weselny.

– Jak ma kolegę, to ja też mogę coś takiego włożyć. Im starszy, tym lepszy. Szybciej umrze.

– A jak Quaku przyjdzie na wesele? – odważyła się zapytać Ania.

– Nie przyjdzie. – Iwona zmierzyła ją spojrzeniem, ale koleżanki zaraz nabrały wody w usta i pośpiesznie rozsiadły się na skrzypiącym tapczanie. Zajęły się zaglądaniem pod folię i sprawdzaniem telewizora. Była szczerze zdziwiona, że tak szybko umilkły.

– Jak przyjdzie i narozrabia, nie żyje – usłyszała za plecami stanowczy głos matki. To wyjaśniało nagłą pokorę przyjaciółek.

Obok Bożeny, na stoliku zrobionym ze starego singera, nowo przybyła staruszka rozkładała już kolorowe nici. Zdjęła z głowy wzorzystą chustę i rozłożyła na ramionach, jakby w ten sposób oświadczała, że jest gotowa do przymiarki. Prawie całkiem białe włosy miała splecione wokół głowy w cienki warkocz i przypięte kokówkami. Iwona z trudem pokonała wstręt. Skinęła jej głową, ale nie ruszyła się na krok, choć staruszka wyglądała miło. Prawie nie miała zmarszczek, a jej jasne zielone oczy wydawały się uosobieniem łagodności. Niestety, okrutnie śmierdziała. Za paznokciami miała czarne półksiężyce. Najwyraźniej dawno się nie myła i z pewnością miała problem z trzymaniem moczu. Igła drżała jej w rękach. Zdawało się, że nawleczenie nitki zajmie jej wieczność. Trudno było uwierzyć, że to najlepsza hafciarka w okolicy i mistrzyni krawiectwa ludowego. Na dodatek niemowa. Odkąd przyszła, nie wydała z siebie żadnego dźwięku.

– Co tak stoisz? – zbeształa Iwonę matka. – Przebieraj się.

Po czym klapnęła w zapadniętym fotelu i odpaliła papierosa. Mimo wieku ubierała się w stylu koleżanek córki. Różowa sukienka z bolerkiem eksponowała liczne opony na brzuchu. Czarne pozaciągane rajstopy w zestawie z białymi saszkami z lumpeksu nie poprawiały sprawy, ale Bożena uważała, że tak wygląda młodziej. Cała się rozpromieniła, kiedy dziewczyny zachwycały się jej „megastylem”.

– Pani Ałła weźmie miarę i na jutro strój będzie jak dla ciebie szyty. A jeśli chodzi o Quaka – matka zawiesiła głos i przeniosła wzrok kolejno na wszystkie obecne dziewczęta – nie ma już nikogo takiego. Przynajmniej dla mnie. A skoro go nie ma, to ani on, ani nikt do niego podobny nie zepsuje ci życia. Już o to zadbam. Nie powiem, lubiłam cwaniaka. Wiedział, jak rozmawiać z teściową. Ale miał swoją szansę i ją zmarnował. Całe szczęście, bo skończyłabyś jak ja. W tej norze. – Powiodła ramieniem po zatęchłym lokalu i posmutniała.

Dziewczęta zaczęły chichotać nerwowo. Iwona przełamała wstręt. Podeszła do gościa, podała weselny strój. Kiedy się rozbierała do naga, nikt nie opuścił pokoju. Nie było gdzie wyjść. Za przepierzeniem w kuchni dwaj bracia odsypiali pracowitą noc. Wrócili z roboty o świcie i matka zabroniła im przeszkadzać. Obiecali opuścić dom w ostatniej chwili, gdy wypełnią go kobiety i rozpocznie się rytuał pieczenia korowaja.

Krawcowa wykonała swoje zadanie w niecały kwadrans. Iwona niepotrzebnie martwiła się o jej parkinsona. Igła w powykręcanych reumatyzmem palcach zawodowo zatańczyła swinga, a potem spoczęła w tekstylnej poduszeczce, którą przyniosła ze sobą starucha. Ałła sprawnie oznaczyła szpilkami miejsca ponownego przeszycia. Przyfastrygowała cięcie na rękawach. Przyszła panna młoda odetchnęła z ulgą, kiedy mogła się już odsunąć. Kobieta na pożegnanie skinęła tylko głową. Gestem przeczącym odmówiła wzięcia banknotu, który matka Iwony dla niej przygotowała, i zabrawszy do przerobienia jedynie bluzkę, fartuszek i kamizelkę, wyszła. Tak samo bezszelestnie, jak się pojawiła. Został po niej tylko nieprzyjemny zapach.

– Ale baba-jaga – żachnęła się Kaśka, zatykając jednocześnie nos. – To on ją przysłał? Niezły początek nowego życia.

– Cicho, głupia! Wiesz, jak się tu niesie? – Bożena zgromiła ją i natychmiast kazała otworzyć okno. Sama uchyliła drzwi i zaczęła intensywnie machać ręcznikiem.

– Ale jutro strój nie będzie tak śmierdział? – zainteresowała się Ania. – Przecież ludzie będą składać Iwonce życzenia. Całować ją.

– Wszystko jedno – matka Iwony zaśmiała się nieprzyjemnie. Rozpyliła odświeżacz powietrza i odpaliła nową fajkę od poprzedniej. – Wytrzyma

jeden dzień. Potem będzie żyła jak cesarzowa. A wy zostaniecie tutaj.

W tym momencie usłyszały białoruskie śpiewy. Szpalerem zaczęły wchodzić do mieszkania kobiety z ciastem, smakołykami i domową kiełbasą, którą darowały Iwonie z celebracją. Niektóre, także młode, były w strojach inspirowanych ludowymi. Któraś przyniosła ręcznie upleciony wianek z żywych kwiatów. Założyła go Iwonie na głowę. Najstarsza podała jej ukraińską „kosę". Czarny warkocz faktycznie był gruby na pięść i długi na pół metra. Splot precyzyjny, wąski. Przypominał kłos żyta. Aż trudno było uwierzyć, że to jedynie treska. Najstarsza kobieta wygłosiła patetyczną przemowę.

– To po rusku? – Kasia nachyliła się do Anki.

– A bo ja wiem?

– Po białorusku – uśmiechnęła się Iwona. – Nie strugaj idiotki. Żyjesz tu od dziecka.

Po chwili w mieszkaniu było już mnóstwo nieznanych Iwonie kobiet. Te starsze opowiadały o swoim zamążpójściu. Młode, z włosami rozpuszczonymi na rusałkę lub zaplecionymi po słowiańsku, w kwiecistych sukienkach i glanach, śpiewały na głosy o urokach bycia panienką. Najstarsza z mężatek zaczęła zagniatać ciasto. Potem do roboty wzięły się pozostałe.

Wyciągnęły na środek garnek z wyrośniętymi drożdżami i połączyły ze składnikami ze stołu. Kiedy ciasto było gotowe, zadaniem przyszłej panny młodej było ulepienie figurek – swojej i narzeczonego – stojących pod symbolicznym drzewem. Każda z niezamężnych kobiet dokładała do korowaja swoją gałązkę. Na znak powodzenia młodej parze i dobrą wróżbę szybkiego wesela dla siebie.

– Wąsy, zapomniałaś o wąsach! – krzyknęła do Iwony Kaśka, wzbudzając radosną salwę śmiechu. Z impetem dołożyła do figurki pana młodego cienką rolkę z ciasta. Figurka natychmiast się złamała. Główka laleczki poturlała się po linoleum, zbierając po drodze wszystkie koty z kurzu.

Na chwilę zapadła cisza. Kobiety wpatrywały się w najstarszą Białorusinkę.

– Cholera, nie chciałam. – Winowajczyni zasłoniła usta dłonią. Próbowała żartować: – Ale twoja twardo stoi. Nieźle wyszłaś, chlebowa Bejnar.

Nikt się nie roześmiał. Jedna z kobiet podniosła główkę udawanego Bondaruka, opłukała i na powrót przylepiła ją do figury pana młodego.

– Pożyje chłopak jeszcze długie lata i dzieci spłodzi gromadę – orzekła mistrzyni ceremonii. – A korowaj duży będzie. Takiego jeszcze nie widziałam. Dobre cię życie czeka, *dziauczynka*. Byle tylko dobrze się wypiekł. Teraz wystarczy tylko zaglądać, czy temperatura właściwa.

– *My zastajemsia, chtości zgubiusia…*[3] – zaintonowała dziewczyna w bluzie z kapturem.

Iwona odwróciła się w jej kierunku. Ale dziewczyna już wyjęła telefon i włączyła piosenkę:

Niewiadomyja odkazy, miortwaje liście

Usio toje, szto było, i toje, szto budzie.

Mienawita dla mianie użo bolsz nie isnuje,

Zastajusia oudzin zwyczajna jak i zausiody,

Heta mora sztarmic nie spynic nikoli,

Hublaju kachannie, hublaju nadzieju

I bolsz u kalarowyja sny ja nie wieru.

Hublaju kachannie, hublaju nadzieju

I bolsz u kalarowyja sny ja nie wieru…

Ta piosenka nie była ludowa. Ostra gitara, solidny bit, a jednocześnie wyraźna linia melodyczna.

– Niezłe to – powiedziała Iwona.

Zbuntowana blondynka w glanach i z prawosławnym krzyżykiem w uchu rozpromieniła się.

– To *Hublaju kachannia*. Amaroka. Podoba się? Taki białoruski pop. Niezbyt ceniony przez rockmenów, ale ja lubię.

Wyciągnęła rękę i przedstawiła się.

– Kinia jestem.

– Iwona.

Uścisnęły sobie dłonie.

Kinga patrzyła figlarnie na przyszłą pannę młodą, aż wreszcie odważyła się dotknąć jej oliwkowej twarzy z nadmierną czułością.

– Zawsze jesteś taka opalona?

Iwona pomyślała, że Kinga jest z tych, co wolą kobiety, i zaraz się odsunęła speszona.

– W zimie trochę blednę – fuknęła. – Jak byłam dzieckiem, przezywali mnie Cyganicha. Strasznie się wstydziłam. Chciałam być taka biała jak ty.

– Mówią, że jesteś kibolką, ale w sumie fajna z ciebie laska. Szacun za dystans do siebie – zaśmiała się Kinga. – Piotr to podobno mój stryjeczny dziadek, cokolwiek to znaczy. Ałła to moja ciotka. Już ją poznałaś? Nie cierpię jej odwiedzać.

Schwyciła się za nos i zachichotała.

– Rodziny się nie wybiera. – Iwona uśmiechnęła się, pozdrawiając oczami matkę na drugim końcu pokoju. – Najlepiej wychodzi się z rodziną na zdjęciach.

– Dokładnie – podchwyciła Kinga i dodała: – I zapachu nie czuć.

Roześmiały się teraz obie. Iwona chwilę jeszcze wpatrywała się w teledysk na wyświetlaczu, ale Kinga zaraz włączyła składankę Ilo i Siabry, która w tym towarzystwie musiała być prawdziwym hitem, bo kiedy tylko młode dziewczęta usłyszały linię melodyczną popularnej piosenki, natychmiast dopadły pannę młodą i zaczęły wirować.

– Tańcz, tańcz – krzyczały. – I płacz. Niech matka płacze! Bez płaczu nieszczęście *budzie*.

Ale Iwona tylko chichotała. Towarzystwo szalało w tańcu między sprzętami. Starsze kobiety też podrygiwały w rytm muzyki. Zanim płyta się zakończyła, pomieszczenie wypełnił zapach dopiekającego się ciasta. Któraś zerknęła i skrzyknęła pozostałe. Zbiegły się tłumnie.

– Ktoś zauroczył – mruknęła pod nosem Kinga i puściła oko do Iwony. Obie się roześmiały, ale reszta im nie zawtórowała. Traktowały wróżbę

bardzo serio.

Korowaj rozrósł się i nie mieścił w piecu. Tymczasem wyświetlacz wyraźnie wskazywał, że do wyjęcia ciasta został ponad kwadrans. Iwona zwróciła się do najstarszej z kobiet:

– Co teraz?

– Gdyby to był piec kaflowy, rozebrałybyśmy go i wyjęły korowaj.

– Inaczej zły znak?

– Nawet skazy być nie powinno.

Jedna z kobiet chwyciła oldskulową nokię, którą trzymała w kieszeni kwiecistej spódnicy, i wybiegła w pośpiechu. Iwona zerknęła na matkę skonsternowana. Bożena wzniosła oczy do sufitu. Widać było, że irytuje ją niepokój gości. Znała się na wypiekach mniej więcej tak, jak na kowalstwie, ale tu chodziło o zabobon, a nie sprawy cukiernicze. Białorusinki zostały wysłane przez Piotra. Bogacza, który ma odmienić los jej rodziny. Nie mogła sobie pozwolić na otwartą kpinę. Kopciuszek musi zostać królową. Bożena takiej szansy w życiu nie miała.

– Może wyjmiemy go w częściach? – zaproponowała nieśmiało. – Odetnie się figurki. Wyjdzie bez problemu.

– Korowaj musi być nienaruszony. Każdy jutro będzie się mu przyglądał – odparła najstarsza „po swojemu”. I dodała stanowczo: – Nie ma wyjścia. Trzeba rozbić piekarnik.

Matka Iwony wstała.

– Po moim trupie. Ten sprzęt kosztuje więcej niż moje mieszkanie.

Zapadła nieprzyjemna cisza. Najstarsza Białorusinka i Bożena mierzyły się chwilę wzrokiem.

– Spali się – powiedziała tamta. Powtórzyła to samo po polsku.

– Upiecze się nowy. Mniejszy. Może wtedy wyjdzie razem z tym wiechciem.

Białorusinka rozłożyła ręce.

– Wasza wola, matko, ale źle życzycie córce. Jeśli ciasto się nie uda, szczęścia *nie budzie*. Korowaj to dar. Nie wolno kusić losu.

– Mam gdzieś te wasze ruskie przesądy! – krzyknęła nagle Bożena. Teraz już się wściekła. – To tylko kawałek drożdżowego ciasta, do cholery.

W drzwiach zrobił się zator. Ktoś przepychał się w przeciwnym kierunku. Spadło kilka płaszczy z wieszaka. Rumor był straszliwy. Wszystkie oczy natychmiast zwróciły się w stronę wyjścia z mieszkania.

W przedsionku stał niewysoki mężczyzna z zaczeską białych włosów do góry i papierosem w kąciku ust, jak u Hłaski. Mimo swoich sześćdziesięciu lat wciąż obłędnie przystojny, głównie przez, zdawało się, uśmiechnięte, błękitne oczy. Twarz miał jednak zbolałą, szczękę zaś zaciskała złość.

– Znalazłam ojca panny młodej. Pan Dawid rozbierze piec. Uratujemy korowaj! – krzyknęła rumiana kobieta. Ta sama, która wcześniej wybiegła jak poparzona ze starą nokią w dłoni. Oczekiwała pochwały, radości pozostałych, bo pieczenia korowaja nie mogło zakłócić przybycie żadnego mężczyzny poza ojcem panny młodej, ale spotkał ją tylko gromki gniew Bożeny.

– Won z mojego domu!

Kobiety odsunęły się bojaźliwie.

– Fora ze dwora – ponowiła rozkaz Bożena, a na wypadek, gdyby któraś nie dosłyszała, dodała: – Won, powiedziałam! Nie rozumiecie po polsku, baszmaki?

Te z tyłu zaczęły dyskretnie wychodzić. Chwilę później tłum się przerzedził. Mężczyzna nadal jednak stał bez ruchu, jakby nie słyszał słów żony. Interesowała go wyłącznie córka. Iwona odruchowo cofnęła się dwa kroki w tył.

– Dobrze, że mnie tu zawołaliście, matko – powiedział do kwiecistej spódnicy. – Nic o tym nie wiedziałem. Wszyscy w mieście wiedzieli, a ojciec panny młodej nie. Nie dałem błogosławieństwa na ten ślub i zgodzić się nie zamierzam.

– Wszyscy wypierdalać! – Bożena wpadła w furię. Rzucała w Białorusinki przyniesionymi przez nie kwiatami, prezentami, chlebem. Szarpnęła za kabel i wyłączyła piec. – Koniec imprezy.

Tymczasem Dawid Sobczyk podszedł do córki. Słaniał się na nogach. Nie trzeźwiał najwidoczniej przez wiele ostatnich dni. Dała się przytulić,

ale po chwili wyrwała się i schroniła pod ścianą wystraszona. Pokazywała coś matce na migi, lecz ta na nią nie patrzyła. Zbliżała się do męża, jakby zamierzała go uderzyć.

– Nie pozwolę ci wyjść za tego starego kozła – oświadczył bardzo spokojnie ojciec.

Podniósł dłoń. Coś błysnęło. W pokoju zapanowała panika. Przerażone kobiety przepychały się jedna przez drugą do wyjścia, aż zostały tylko koleżanki Iwony. Bożena zwróciła się do nich. Przekleństwo wypowiedziała jak pieszczotę.

– To nie kino. Spieprzać. A jak już będziecie po drugiej stronie drzwi, zawołajcie moich chłopców. Migiem, bo psami poszczuję.

Potem wykorzystała moment nieuwagi męża i rzuciła się na niego z pięściami. Dawid odepchnął Bożenę, upadła na podłogę. Sukienka poddarła się, ukazując białe majtki prześwitujące przez czarne pozszywane na pupie rajstopy. Nożyce do cięcia kurczaków nadal tkwiły w ręku ojca dziewczyny. Dawid podszedł i chwycił córkę za ramię. Trzymał ją ciasno jak w kleszczach. Iwona zorientowała się, jak bardzo się myliła. To nie był kac. Ojciec był napruty jak meserszmit.

– Czy ty wiesz, za kogo idziesz?

– Zostaw ją! – błagała matka. – Nie rób jej krzywdy!

Dawid zamarł, rozejrzał się. Wokół nie było już nikogo poza córką i żoną.

– Tę starą jędzę też zajadę, jeśli będzie trzeba – zwrócił się do córki i wskazał Bożenę. Nachylił się do ucha Iwony i obniżył głos do szeptu: – Bondaruk to syn mordercy i żonobójca. Gówno mnie obchodzi, ile ma biletów NBP. Sprzedała cię ruskowi. Kacapowi. Rozumiesz? Całe miasto się ze mnie śmieje. Za ile sprzedałaś swoje dziecko, ścierwo? – Wymierzył ostrze w kierunku żony.

– Co ty chrzanisz, dziadygo?

Bożena wstała, obciągnęła sukienkę. Wydawała się już opanowana, bo za plecami Dawida dostrzegła skradających się na odsiecz synów. Żubry to nie była krew Sobczyka. Ich ojciec – palacz w tartacznej kotłowni – zmarł na udar w wieku niespełna dwudziestu dziewięciu lat. Osierocił trzech

synów i zostawił niezaradną, młodziutką wtedy i prześliczną Bożenę bez środków do życia. Tym samym dziewczyna z trójką dzieci, dokładnie w wieku Iwony, została nagle wdową. Musiała się wziąć w garść. By utrzymać rodzinę, próbowała wtedy wszystkiego: sprzątania, szycia, wreszcie dyskretnych usług towarzyskich. To okazało się najłatwiejsze i najlepiej płatne. Jedyna działająca agencja w okolicy znajdowała się w Białowieży. Leśnik zaś, zakładowy hotel w Hajnówce, potrzebował czasem kogoś bliżej, w mieście i na już. Najlepiej z nieoczywistym wyglądem. Bożena te warunki spełniała. Choć trudno w to dziś uwierzyć, przypominała wtedy Audrey Hepburn, bardziej kobietę-dziecko niż seksbombę. Tak jak Iwona nosiła grzywkę równo przyciętą nad brwiami i półdługie włosy. Czarne jak heban, które po niej odziedziczyła w genach córka.

Notablom, do których przyjeżdżała na telefon, nawet nie przyszło do głowy, że mogłaby świadczyć takie usługi, więc kiedy wchodziła do restauracji, sądzili, że jest zwykłą pokojówką. Do klientów jeździła tylko przed południem, kiedy dzieci były w przedszkolu, a potem w szkole. Nocek nie brała nigdy. Nie afiszowała się też nową profesją. Sąsiadom powiedziała, że wymienia w hotelu pościel, co w jakimś stopniu było prawdą, bo po jej wyjściu zawsze przecież zakładano gościowi nową. Korzystający z jej usług panowie byli zwykle dobrze sytuowani i – co ważniejsze – nietutejsi, więc każdej stronie zależało na dyskrecji. Tak zresztą poznała Dawida Sobczyka – wtedy rzutkiego inżyniera z Ełku, który do Hajnówki wpadał raz w tygodniu na delegację. Zakochał się w niej jak sztubak. Zapewniał, że się nią zaopiekuje, przyjeżdżał z prezentami. A to książeczka dla dziecka, jakiś krem, moskiewski *odiekołon* czy pończochy. O ślubie nie wspominał, ale Bożenie nie zależało na białej sukience.

– Raz wystarczy – zapewniała. – Nie potrzebuję papierka, by kogoś pokochać.

Odkąd spotykali się prywatnie, Dawid przestał zostawiać jej pieniądze. Wtedy myślała, że to z szacunku. Nadal przywoził jedzenie, drobiazgi do domu, upominki. W końcu zostawił torbę z ubraniami, by nie wozić ich w tę i nazad. Nie skomentowała. Nie zaglądała do niej. Wiedziała, co to znaczy. Chciał się u niej zakotwiczyć. Tak bardzo chciała wierzyć, że tym razem to będzie na zawsze. Że śmierć ich przedwcześnie nie rozłączy. Przez

lata była sama. Można powiedzieć, przyzwyczaiła się do samotności. Z dziećmi zresztą nie była ona tak dotkliwa, Bożena wciąż miała coś do zrobienia. Tym bardziej więc, w wieku trzydziestu ośmiu lat, nie łudziła się, że dostanie jeszcze jedną szansę na związek. Ale wszystko wyglądało coraz poważniej. Dlatego była przeszczęśliwa, kiedy okazało się, że znów jest w ciąży.

– To będzie tylko takie większe poronienie – straszył ją doktor Malinowski, najlepszy w tamtym czasie ginekolog w mieście. – Lepiej niech pani nie robi sobie nadziei. Dobrze radzę.

Dbała więc o siebie, jak o jajo Fabergé. Przybrała znacznie na wadze, choć zawsze szczyciła się doskonałą figurą i wcale nadmiernie się nie objadała. Jakby organizm starając się chronić płód, czynił ją coraz większą. Rysy twarzy jej się pogrubiły. Włosy zaczęły wypadać, więc musiała je ściąć. Przestała już być podobna do Audrey, ale się tym nie przejmowała. Miała przecież ukochanego, który choć przyjeżdżał rzadko, to zawsze był troskliwy i opiekuńczy. Rozumiała, że w Ełku miał pracę, nie mógł tego wszystkiego tak natychmiast porzucić. Poukładanie spraw wymaga czasu, a ona była cierpliwa. Wierzyła, że czeka ich świetlana przyszłość. Planowała wspólne życie, dekorowała mieszkanie, robiła na szydełku ciuszki, szyła, haftowała. Czuła, że dziecko zwiąże ich jeszcze bardziej. I nie straciła tej ciąży. Kiedy w szóstym miesiącu przyszła na kontrolę, lekarz bardzo się zdziwił.

– Taka widać wola boska – rzekł. – Ale nawet jeśli uda się pani urodzić, to jakiegoś mongoła.

Nie przejęła się jego gadaniem. Zrzuciła to na karb stereotypów. Wiedziała, że będzie najstarszą ciężarną na porodówce. Niemal całą ciążę zniosła doskonale i nigdy nie czuła się piękniejsza, szczęśliwsza. Poród miała lekki, naturalny. Córka przyszła na świat w niedzielę o dwudziestej pierwszej. Ważyła dokładnie cztery kilogramy. Urodziła się w czepku i bez zespołu Downa. Rozkoszny Dawid przyjechał z Ełku następnego dnia z bukietem róż i powidłami śliwkowymi, by mleko Bożeny było lekkostrawne i córeczka nie miała kolek. Zdawało się jej, że wprost szalał ze szczęścia. Wybrał córce imię Iwona, bo tak ładnie się zdrabnia: Iwuś, Iwek. Byle nie Iwonka.

Tylko starsi synowie byli z ojczymem w konflikcie. To oni pierwsi przejrzeli go na wylot. Znali te numery, gdyż sami je stosowali. Dawid mieszkał z nimi zaledwie kilka miesięcy – dwa tygodnie pod koniec ciąży Bożeny i resztę po narodzinach córki. Wtedy już nie tylko nie zostawiał kochance pieniędzy, ale jadł i żył za gotówkę Bożeny, w jej mieszkaniu. Upominki się skończyły, troska również. Na jaw zaś zaczęły wychodzić wady. Na przykład niewyczerpana miłość do wódki. Szybko znalazł w mieście kompanów, z którymi spędzał więcej czasu niż z Bożeną. Mówił jej, że szuka tu pracy, chciałby zapewnić im godziwy byt, kupić większe mieszkanie.

Bożena mu wierzyła. Rozumiała, że takie sprawy załatwiać trzeba przy stole. Kiedy prosił o oszczędności na łapówkę, by dostać etat w tartaku, dała mu bez słowa. Tak samo na kurs, który był konieczny, by mógł startować na stanowisko kierownika suszarni. Była dumna, że ma tak mądrego mężczyznę u boku. Nie było dnia, by nie wynosiła pustych flaszek do zwrotu, bo Dawid był zbyt zmęczony całonocnymi spotkaniami z VIP-ami, którzy go protegowali.

Lampka jej się zapaliła, kiedy trzeba było zarejestrować małą w urzędzie. Mimo obietnicy, że pójdą tam razem, Iwona zaś dostanie jego nazwisko, wciąż leżał pijany jak kłoda. Potem będzie mówił, że tak się cieszył z narodzin dziecka, aż pępkowe przeciągnęło się do kwartału. Przełożyli termin.

Ale następnego dnia do domu Bożeny zastukał facet w garniturze i zażądał, by zapłaciła długi żony Dawida. W przeciwnym razie załatwi, by ktoś inny z gminy dostał jej mieszkanie, a ona wraz z dziećmi wyląduje na bruku. Tak na jaw wyszło, że *uno*: idealny kochanek skłamał o rozwodzie, *duo*: stracił pracę i szukają go wierzyciele, *tre*: Dawid jest alkoholikiem. Ukrył się u niej przed całym światem, by nie oddawać pieniędzy, które już dawno temu przepił.

Kobieta natychmiast oprzytomniała. Zaczęła składać puzzle w całość. I w jednej chwili pojęła swoją sytuację. Wszystko, co Dawid jej opowiadał, było bajką. Podjęła jedyną słuszną decyzję. Kiedyś mówiła, że było to trudne – w tamtym czasie jeszcze wierzyła, że go kocha. Dziś, choćby ją przypalali, nie potwierdziłaby tej wersji. Pojechała do urzędu, w papiery Iwony wpisała swoje nazwisko, w rubryce ojciec zaś: „nieznany”.

Następnie wystawiła rzeczy ukochanego za próg. Nie było tego wiele. Jedna, w połowie pusta, torba i kilka pustych flaszek. Tej obrazy Dawid nie mógł jej darować. Codziennie robił jej piekło. Wyrzuciła go z domu, używając siły synowskich ramion. Od tamtej pory nie miała już żadnego faceta. Mówiła, że wyczerpała limit miłości, ale to nie była prawda. Kiedy Ireneusz i Władysław dorośli, skutecznie wykorzystywała ich do obrony przed nachodzącym ich przez lata Dawidem. Nie chciał się pogodzić z tym, że odebrała mu córkę, choć wszyscy w mieście wiedzieli, że jest jej ojcem.

Teraz Bożena miała nadzieję, że go zagada, odwróci uwagę. Mówiła spokojnie, udając skłonną do negocjacji.

– Piotr nie miał żadnej żony. Iwona będzie pierwszą. Poza tym, co ty masz do gadania? Jest dorosła.

Ojciec dał się zwabić w pułapkę.

– Wszyscy o tym wiedzą. – Odwrócił się plecami do drzwi. – Łarysa, ta Białorusinka, zaginęła bez śladu. Prawie poszedł za to siedzieć. Mariola, córka rzeźnika, wolała uciec w świat, niż z nim żyć.

– I kto to mówi? – zaśmiała się Bożena nieprzyjemnie. – Pijak i złodziej. Oszust, jakich mało. Nie słuchaj go, córko. Żałuję każdego dnia, który z nim spędziłam.

– Ty kurwo! – Dawid zamachnął się, ale ręka mu się omsknęła. Zachwiał się i upadł. Z trudem pozbierał się z podłogi.

Iwona podniosła głowę. Wpatrywała się z pogardą w pijanego ojca. Wstydziła się za niego, bo widać on nie potrafił.

– Jaka Białorusinka? – spytała. – O co chodzi?

– Nie wiesz? – zdziwił się. – Całe miasto postawili na nogi. Strzelił jej w twarz na wylotówce na Białystok. Spytaj go. Może ci odpowie, co zrobił z jej trupem. To kacap! Stary, podły kacap. Typ najgorszy ze wszystkich.

Nie dokończył. Synowie unieruchomili go, podnieśli i jak worek ziemniaków wyrzucili za drzwi. Nożyczki, którymi groził kobietom, okazały się obustronnie tępe. Ale wyglądały efektownie, trzeba to przyznać. Ireneusz schował je do buta jak łup wojenny.

– Zbieraj się, tatulku. Nic tu po tobie! – Poczęstował go kopniakiem w głowę, zanim Dawid zdążył się zasłonić. – Stary, a głupi. Jak Boga

kocham. Gdzieś ty rozum miała, matko.

Chwilę potem w pokoju nie było już nikogo. Bożena na zewnątrz rozprawiała z synami. Zbiegli się sąsiedzi. Wspólnie, w asyście kpin, przegonili agresora z osiedla.

Iwona z ciężkim westchnieniem opadła na stary tapczan. To była jej rodzina, jej życie. Mogła się łudzić, że od nich ucieknie. Jak? Dokąd? Kilka ulic dalej ojciec też przyjdzie i będzie ją dręczył. Matka rozstawiała ją po kątach, jakby była nadal dzieckiem. Braciszkowie ratowali ją, kopiąc innym tyłki albo przetrącając kolana. Wszystko w dobrej wierze. A ona nie ma nic do powiedzenia. Ktoś pytał ją o zdanie? Takie sytuacje to było jej dzieciństwo, dojrzewanie i teraźniejszość. Kim jest Łarysa? O co chodziło ojcu? Spojrzała na piec i pomyślała, że szczęście jak zwykle ją ominie. Korowaj był płaski jak naleśnik, a do tego spalony.

Otworzyła drzwiczki, wyciągnęła kawałek wierzchniej części. Główka pana młodego nie była zwęglona. Odgryzła ją od figurki. Gdyby wszystko poszło dobrze, ciasto byłoby wspaniałe. Rozpływało się w ustach. Rozpłakała się głośno i przypominała sobie słowa Kingi: „Płacz, teraz płacz, a *szczascie* jutro *budzie*”. Gówno prawda. Byłoby, gdyby, prawie – były w jej życiu jak mantra. Iwona zawsze była prawie u celu.

Wtedy usłyszała skrzypienie. Drzwi szafy się uchyliły i wyjrzała z nich gruba Kaśka. Miała na głowie spódnicę od jej weselnego stroju. Zakryła się nią jak narzutą i przypominała Bukę z Muminków. Iwona omiotła spojrzeniem pobojowisko, potem przebraną za nią koleżankę i wybuchnęła gromkim śmiechem przez łzy. Miała już pomysł, jak odczynić urok.

Saszę obudził dźwięk przychodzącego esemesa. Otworzyła oczy i przez chwilę nie mogła sobie przypomnieć, gdzie się znajduje. Sufit ułożony był z gipsowych kasetonów udających sklepienie pałacu. Dopiero rzut oka na ścianę ozdobioną kolosalną głową Minotaura upewnił ją, że jest prawie na miejscu. Motel Żubr, bo zapewne łeb tego zwierzęcia zdobił apartament nowożeńców, w którym spała tej nocy, znajdował się przy wjeździe do miasteczka. Przez roboty drogowe i objazdy na autostradzie Załuska dotarła do Hajnówki grubo po drugiej w nocy. Wiedziała, że od razu po przyjeździe nie będzie w stanie zasnąć. W drodze wypiła taką ilość kaw i napojów izotonicznych, że była ostro nakręcona. Zamierzała tę energię wykorzystać do pracy. Kiedy zobaczyła neon „ubr” („Ż” nie działało), bez wahania wjechała na parking i wzięła jedyny wolny pokój. Mieli nawet Wi-Fi.

Odpaliła komputer i na jednym oddechu dopisała pół rozdziału o Osie. Zrobiła też listę pytań dodatkowych, jeśli uda się namówić więźniarkę do badań. Zasnęła grubo po piątej wyczerpana, ale z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku. Lubiła stan chwilowej satysfakcji Syzyfa. Znów udało się wtoczyć kamień na górę. To nic, że za chwilę głaz się stoczy i następnego dnia będzie się trudziła ponownie.

Zerknęła na starą delbanę. Wskazywała kwadrans po dziesiątej. O tej porze Sasza powinna już być w gabinecie dyrektora Ciszyni. Przez telefon lekarz nie silił się na uprzejmości. Wręcz przeciwnie. Robił wszystko, by zniechęcić ją do przyjazdu. Zgodził się na wizytę dopiero wtedy, gdy przedstawiła się jako przedstawiciel organów ścigania. Działania operacyjne, zastrzegła. Nie mając innego wyboru, ustalił termin spotkania na sobotę i kwaśno podkreślił, że robi dla niej wyjątek. Audiencja miała zająć godzinę, ale wyglądało na to, że w najlepszym razie Załuska wykorzysta z niej połowę. To nie miało znaczenia. Jeśli lekarza dopadnie, uzyska to, po co przyjechała. Potrzebowała odpowiedzi tylko na jedno pytanie. Gdy otrzyma tę informację, będzie wiedziała, czy musi planować pośpieszny wyjazd z kraju, czy też czeka ją całkiem nowy, spokojniejszy rozdział życia, a powrót do firmy będzie tego ukoronowaniem.

– Niech to szlag!

Pośpiesznie wciągała dżinsy. Słońce wdzierało się do pomieszczenia przez szpary wciąż zasuniętych kotar. Czuła piach pod powiekami i suchość w ustach od wypalonych w nocy papierosów. Szczoteczki do zębów oczywiście zapomniała. Wyciągnęła z dna walizki zmiętą koszulę, ale zmieniła zdanie i włożyła białe polo oraz granatowy rajtrok. Pod szyją zawiązała francuską apaszkę. To był jej dyżurny strój wyjściowy. Nie wymagał prasowania i w każdych okolicznościach robił pozytywne wrażenie. Biegając po hotelowym pokoju, rozczesywała włosy, zbierała nieliczne rzeczy do walizki, pakowała komputer i myła zęby palcem. W kilka chwil była gotowa do wyjścia. Ruszyła do recepcji, poprosiła o rachunek. Czekając, aż recepcjonista ściągnie z jej karty należność za pokój, zerknęła na wyświetlacz telefonu.

Wszystkie trzy wiadomości wysłał Duchnowski. Zachęcony wczorajszą dobrą passą próbował z nią flirtować. Oczywiście w swoim stylu. To były raczej końskie zaloty. Nie odpisała na dwie seksistowskie uwagi, ale „Uważaj na żubronie” zmusiło ją do uśmiechu.

Wybiegła z hotelu bez śniadania, choć recepcjonista zapewniał, że mają jedyny szwedzki stół w kraju, w którego ramach podają na śniadanie zestaw solonej słoniny z cebulą i kwaszonym ogórkiem. Przełknęła ślinę. Od wczorajszego śniadania przed strzelnicą nie zdążyła nic zjeść. Obiecała, że spróbuje lokalnego przysmaku następnym razem.

Kiedy jednak włączyła się do ruchu i zamiast tablicy z napisem Hajnówka powitał ją billboard tutejszych zakładów mięsnych „Nesteruk i spółka”, głód minął. Z plakatu uśmiechały się do przyjezdnego trzy różowe świnki. Nad ich głowami widniał slogan reklamowy: „Razem w przyszłość”.

Budynek Ciszyni, bo tak prywatny ośrodek całodobowej opieki dla zaburzonych nerwowo i psychicznie nazwał jego założyciel doktor Janka Zin, ukryty był w sercu brzozowego parku, na tyłach klasztoru sióstr Klarysek przy ulicy Lipowej. Otaczało go drewniane ogrodzenie pomalowane we wzory imitujące białoruską wyszywankę.

Sasza wjechała na parking po brukowej kostce. W bramie pod budynkiem głównym minęła się z czarną limuzyną, która pędziła z taką prędkością, że omal nie staranowała jej niebieskiego uniaka. Kierowca limuzyny – otyły łysol z kuriozalnymi wąsami – rozłożył ręce w geście irytacji. Podniosła dłoń na znak przeprosin. Twarzy człowieka, który siedział na miejscu pasażera, nie widziała. Musiał to być jakiś lokalny VIP, bo tylne szyby auto miało przyciemnione.

Zaparkowała koślawo, zajmując dwa miejsca, ale nie przejęła się tym zbytnio. Poza służbową furgonetką z logo piły tnącej drewno parking świecił pustkami. Wysiadła i pośpiesznie wysypała na maskę wozu prawie wszystkie przedmioty z torby. Ciszę przeciął lament dzwonów wzywających wiernych na liturgię do pobliskiej cerkwi. Saszetka z dokumentami była jak zwykle na samym dnie. Odetchnęła z ulgą, bo przez chwilę obawiała się, że tyle kilometrów pokonała bez dokumentów i nie tylko jej tutaj nie wpuszczą, ale w razie kontroli drogowej miałaby kłopoty. Wyjęła dowód osobisty i zapobiegliwie przełożyła go do kieszeni. Resztę przedmiotów wrzuciła byle jak do torby. Rozejrzała się.

W głębi kameralnego parku wygrzewali się na słońcu pensjonariusze. Większość siedziała na ławeczkach. Kilka par spacerowało w okolicy oczka wodnego. Dziewczyna w kwiecistej sukience odpoczywała przy fontannie w nienaturalnej pozie. Jej jasne włosy rozwiewał wiatr. Wtedy w zaroślach Sasza dostrzegła malarza. Stał przed pustym blejtramem, odwrócony do niej plecami. Nie miała szansy widzieć jego twarzy, ale serce natychmiast zabiło jej szybciej. Cofnęła się pół kroku. Wygrzebała z torby okulary. Niewysoki blondyn, nogi wygięte w łuk jak u kowboja, niebieska kangurka. Wpatrywał się badawczo w wyginającą się przed nim rusałkę. Saszy zajęło chwilę, by pojąć, że dziewczyna pozuje. Mężczyzna pochylił się teraz do

koszyka, wyjął farby i wymieszał je na palecie. Sasza wyraźnie widziała teraz jego profil. Spiczasty nos, wydatny owal szczęki, głęboko osadzone oczy. To tylko ktoś podobny. Odetchnęła z ulgą i pośpieszyła do budynku.

Ośrodek był opustoszały i lśnił, jakby ktoś spryskał każdy sprzęt środkiem nabłyszczającym. W podłodze można było się przeglądać. Nie pachniało tu szpitalem. Nie czuć było też potu ani wszelkich ludzkich wydzielin, charakteryzujących tego typu jednostki NFZ, w których przebywają ludzie z problemami psychicznymi. Panująca cisza całkowicie wyjaśniała nazwę tej placówki.

Kobieta w białym uniformie za ladą recepcji na pierwszy rzut oka też nie przypominała siostry Ratched. Obdarzyła Załuską łagodnym spojrzeniem i bez słowa wydała plakietkę „Gość”. Sasza ruszyła żwawym krokiem wzdłuż długiego korytarza. Poza nią i recepcjonistką nie było żywej duszy. Niepokojącą ciszę przecinał tylko dźwięk jej podkutych butów. Sasza przez moment wątpiła, że ośrodek normalnie funkcjonuje. Wielka, nowoczesna przestrzeń wydawała się całkowicie wyludniona. Zdawało się, że poza grupką w parku nie ma tu żadnych pacjentów. Potem Załuska pomyślała, że może jest na oddziale terminalnym.

– Gdzie jest gabinet szefa? – krzyknęła skonsternowana, kiedy dotarła do załomu korytarza i poza paprotką na stojaku napotkała tylko ścianę z tablicą ogłoszeń.

– Dalej w głębi i pierwsze drzwi na prawo – padło w odpowiedzi. – Ale jest tylko zastępca. Pan dyrektor musiał już wyjść.

Sasza pędem zawróciła.

– Byłam umówiona. Przejechałam pół Polski, żeby się spotkać z ordynatorem.

– Dyrektorem – kobieta nagle przestała być miła. W jej oczach pojawiła się czujność. – To jest placówka prywatna, a nie szpital. Choć przyjmujemy na obserwację pacjentów kierowanych do nas przez sądy czy biegłych powołanych przez prokuratora. Pani nazwisko?

– Załuska. – Profilerka spojrzała na zegarek. Nadal było kwadrans po dziesiątej. Wskazówki delbany stały w tej samej pozycji, kiedy się obudziła.– Która godzina?

– Trzy po dwunastej – pielęgniarka odpowiedziała jak automat, nie przerywając przeglądania papierów na biurku. Książka gości wirowała w jej palcach jak rysunki w filmie animowanym. Wreszcie karty się zatrzymały. Sasza przechyliła się za ladę i dostrzegła własne nazwisko z dopiskiem „Policja – prywatnie”.

– Dyrektor czekał na panią do wpół do dwunastej. Był trochę zły. Specjalnie przyjechał do firmy i wyszedł dosłownie przed chwilą. Musiała go pani minąć. Kierowca jeszcze chwilę temu tu siedział. Na tym krzesełku – pokazała.

Nagle rozległ się odgłos potężnego odkurzacza. Sasza nie dosłyszała ostatnich słów pielęgniarki. Odwróciła głowę i natychmiast pojęła, dlaczego jest tu tak sterylnie czysto. Za jej plecami przejechała właśnie wielka maszyna czyszcząca posadzki. Człowiek kierujący froterką miał na sobie uniform i czapeczkę z daszkiem. Zlikwidował najmniejszy ślad wędrówki Saszy do paprotki, a następnie skręcił za róg i wyłączył silnik. Sasza wpatrywała się w widowisko z niedowierzaniem. Takiego sprzętu używają supermarkety lub wielkie korporacje. Ciszynia musiała mieć spory budżet, skoro stać ją na profesjonalną maszynę do czyszczenia podłóg i etat dla jej kierowcy.

– Cholera – westchnęła ciężko. Odwróciła się ponownie do recepcjonistki. – Szlag by to trafił.

– Pani z Warszawy?

– Gorzej – Sasza uśmiechnęła się przepraszająco. – Z Gdańska. Dojechałam nad ranem. Zaspałam. Wiem, że brzmi to idiotycznie, ale zegarek mi stanął.

Pielęgniarka wpatrywała się w Załuską zaciekawiona. Zamiast czujności pojawiło się szczere współczucie.

– Zapraszam w poniedziałek. Przekażę, że pani była.

Sasza oparła się o blat. Wbiła spojrzenie w piwne oczy kobiety. Mówiła wolno, wyraźnie artykułując każdą sylabę.

– W poniedziałek muszę być z powrotem w Gdańsku. Dokładnie o ósmej mam test na strzelnicy. Muszę pomówić z dyrektorem teraz.

Pielęgniarka powoli kręciła głową. Znów czujność.

– Przykro mi.

– To niewielkie miasto – naciskała Sasza. – Gdzie on mieszka?

– Nie mogę. Niech pani zrozumie.

Piwne oczy teraz z trudem skrywały strach.

– Jakiś telefon. E-mail?

– Jest na stronie. Ale odczyta dopiero w poniedziałek. Dziś i jutro nie przyjdzie do pracy.

Sasza podparła się pod boki.

– Czyli spławia mnie pani?

– To nie tak – żachnęła się pielęgniarka. Naskrobała adres mejlowy na kartce. Dopisała też numer telefonu. – Mogę służyć tylko tym.

Sasza usiadła na krzesełku z karteczką w dłoni i wybrała numer w komórce. Rozległ się dzwonek telefonu na biurku recepcjonistki. Kobieta patrzyła na migającą diodę, ale nie podniosła słuchawki. Sasza zaśmiała się nieprzyjemnie. Rozłączyła się. Telefon na biurku recepcji umilkł.

– Sprytne – mruknęła. Wstała i poszła do wyjścia. – Dzięki za pomoc. Miłego weekendu.

Recepcjonistka zawahała się, a potem ruszyła za profilerką. Dogoniła Załuską, kiedy ta była już przy drzwiach.

– Jest zastępca. Pani doktor przyjechała do pacjentki. Może poda komórkę do dyrektora? Jeśli ją pani przekona. – Rozłożyła bezradnie ręce i zastrzegła: – Ale wchodzi pani na własną odpowiedzialność.

– Gdzie?

– Pokój trzynaście, na pierwszym piętrze. I dowód poproszę. Muszę zanotować pani dane.

Sasza wygrzebała dokument. Gdy tylko pielęgniarka przepisała jej PESEL do księgi wejść i wyjść, wyrwała go jej z ręki i prawie biegiem ruszyła do schodów. Była już na piętrze, gdy usłyszała warkot maszyny czyszczącej. Sprzątacz znów zatarł jej ślady. Dziwaczne miejsce.

Trudno było doktor Magdalenę Prus nazwać klasyczną pięknością, ale z pewnością była perfekcyjnie „zrobiona”. Wszystko było w niej tip-top, jakby obcować z jedną z madonn Botticellego. Inteligentne spojrzenie jedynie uwiarygadniało całość ideału. Sasza pomyślała, że taka kobieta z pewnością onieśmiela mężczyzn, w kobietach zaś wzbudza atawistyczną zawiść. Załuska czuła się przy Prus jak pucołowaty kocmołuch. Naturalne ciemnoblond włosy lekarka uczesała z prostym przedziałkiem na środku głowy i spięła srebrną klamrą. Zamiast białego fartucha nosiła dopasowaną sukienkę w niebieskie motyle, choć był to raczej nieduży kawałek cienkiego jedwabiu, który jak druga skóra otulał jej perfekcyjne ciało. W okolicy brzucha Sasza dostrzegła niewielkie wybrzuszenie. Widać je było przy bliższym przyjrzeniu. Tylko wtedy, gdy suknia się napinała. Lekarka musiała mieć przekłuty pępek i Sasza gotowa była się założyć, że tkwi w nim pokaźnych rozmiarów diament. Obuwie, jak na rodzaj wykonywanej pracy, było zdecydowanie na zbyt wysokim obcasie, ale kobieta poruszała się sprężyście, z gracją. Kiedy Sasza dopadła ją w trakcie wizyty u pacjentki – jak się okazało, czternastolatki cierpiącej na anoreksję – lekarka wyprosiła ją grzecznie z pokoju, a potem bez słowa otworzyła drzwi swojego gabinetu i kazała czekać.

Sasza spodziewała się przeprawy. Szykowała fortele, jak przekonać psychiatrę do tego, by zgodziła się odpowiedzieć na jej pytania. Była nawet gotowa się wyspowiadać, licząc, że jej historia urzeknie kobietę: o uwięzieniu, nałogu, pracy w CBŚ i nieudanej akcji przykrywkowej. Pod warunkiem że pani doktor zachowa wszystko w tajemnicy. Ale nie było takiej potrzeby. Prus od pierwszego spojrzenia wiedziała, kim Sasza jest i czego chce.

– Nie ma go już u nas – oświadczyła zamiast wstępów.

Sasza zamarła. Nie była przygotowana na taką ewentualność. To był scenariusz najgorszy z możliwych. Nawet przez moment nie brała go pod uwagę.

– Więc jechałam na darmo?

– Chodzi pani o Łukasza Polaka? – upewniła się lekarka i wskazała cienką teczkę z nazwiskiem pacjenta na grzbiecie. Przez cały czas trwania rozmowy trzymała na niej swoją wypielęgnowaną dłoń.

Załuska pożałowała, że nie przyszło jej do głowy pomyszkować wcześniej na biurku. Teczka cały czas musiała tam być. Nikt nie chował jej w szafie pancernej. Potwierdziła skinieniem głowy. Nie była w stanie wydusić słowa więcej.

– Obraz zabrał ze sobą – dodała lekarka.

Sasza aż się zapowietrzyła. W głowie tłukła się jej jedna myśl: ile jeszcze lekarka wie?

– Miał go ze sobą?

Obrazu poszukiwali bezskutecznie przez niemal cały okres trwania akcji. To on był głównym dowodem w sprawie. Powiedzieli jej, że Polak zginął w pożarze, co okazało się wierutną bzdurą. Teraz dowiaduje się, że obraz przetrwał. Czy policja o tym wiedziała? Sasza domyślała się, że nikt nie zbadał go pod kątem kryminologicznym. A już tym bardziej nie zajmował się analizowaniem jego przekazu z perspektywy profilu. Możliwe, że dziś, po tylu latach, nie miał już znaczenia dla nikogo poza nią. Ot, obrazek pacjenta namalowany w ramach terapii. Gdyby jednak Sasza go zobaczyła, wiedziałaby, czy to „Czerwony Pająk” go stworzył, i mogłaby doprowadzić do wznowienia śledztwa. Oryginał był wizytówką seryjnego mordercy. Sprawca zabijał, by dokończyć dzieło. Obraz tworzył komplet ze zdjęciami, które Sasza znała. A jeśli chodzi o detale, wydobyłaby je z archiwum. Będą dostępne przez najbliższe trzydzieści lat, chyba że zniszczono akta, w co jednak wątpiła. „Czerwony Pająk” wysyłał do komend polaroidowe fotki zwłok, by informować o kolejnych ofiarach. Dokładnie takie jak to, które umieszczono na profilu Lidki Wrony. Prowadził śledczych po sznurku, jak i gdzie mają szukać ciał. Bawiło go, że nie są w stanie go powstrzymać. Potem odtwarzał niektóre szczegóły z fotografii na obrazie. Sasza widziała obraz tylko raz, kiedy Łukasz ją uprowadził i uwięził. Przypominał w zamyśle dzieła Bosha, choć epatowanie makabrą było tu ważniejsze niż sztuka. Nikt nie znał detali dotyczących ofiar poza sprawcą morderstw. Jeśli zaś obraz jest jedynie inspirowany dziełem zabójcy, Łukasz jest niewinny. Mogłaby oczyścić go z zarzutów wyłącznie sama przed sobą, bo dla

polskiego wymiaru sprawiedliwości ta sprawa dawno została zamknięta. Dla niej zaś to była rzecz na miarę życia i śmierci. Dosłownie.

– Cały czas miał go u siebie? – powtórzyła Sasza z niedowierzaniem.

Prus przyjrzała się wnikliwie Załuskiej i rozciągnęła usta w złośliwym uśmiechu.

– Przez trzy lata. W kółko go poprawiał. Dostrzegam uderzające podobieństwo jednej z postaci. Powiedziałabym, kluczowej.

– Co dokładnie przedstawia obraz? – Sasza głośno przełknęła ślinę. – Poza moim aktem.

Lekarka poklepała dokumenty.

– Mamy jego fotokopię. Ale oczywiście nie mogę jej pani udostępnić – zastrzegła, wciąż trzymając dłoń na dokumentach. – Ustawa o ochronie danych. Musiałabym mieć upoważnienie.

– Od kogo?

– Prokuratury, ministra sprawiedliwości. Może by wystarczyło. Nawet rodzinie nie pokazałabym bez zgody pacjenta. Ale oczywiście to dyrektor podejmuje ostateczną decyzję – odchrząknęła i poprawiła się. – Wydaje ewentualną zgodę.

– Dyrektor się zgodzi. – Sasza wyciągnęła rękę po akta, ale lekarka szybko je odsunęła. – Śmiało. Wystarczy jeden telefon. Ministrem zajmę się za tydzień.

Uśmiech momentalnie zniknął z twarzy Prus. Na policzki wystąpiły drobne czerwone plamy i przez chwilę wyglądała na więcej niż czterdzieści lat. Pośpiesznie schowała dokumenty do szuflady. Widać lokalna piękność nie zna się na żartach, zarejestrowała Załuska z satysfakcją.

– Dokąd został przeniesiony? – spytała bez nadziei na odpowiedź. Myślała szybko nad kolejnym ruchem. Tym razem będzie musiała poprosić o pomoc Ducha. W Polsce są w tej chwili sto trzydzieści dwie komercyjne kliniki psychiatryczne. Nazywają się poetycko. Żadna nie udziela informacji o przebywających tam pacjentach. Szukaj igły w stogu siana.

– Został uznany za wyleczonego. Opuścił już nasz ośrodek.

– Wyszedł? Na wolność?

Lekarka skinęła głową. Pierwsze skrzypce to rola, jaką lubiła grać. Dodała więc triumfalnie:

– Nikt go nie trzymał pod kluczem. Był tu dobrowolnie. Opłaty wpływały regularnie, przeszedł wszystkie testy. Trzy zespoły go badały i ich opinie są zgodne: choroba ustąpiła.

Teraz już lekarka nie zamierzała ukrywać swojej niepodzielnej władzy. Jeszcze chwila i, Sasza była pewna, pognębi ją całkowicie. Nie mogła liczyć na żadną pomoc z jej strony, co najwyżej pani Prus dołoży jej przeszkód. Z pewnością też, choćby wiedziała, gdzie jest teraz Polak, nie piśnie ani słowa. Bo tak. Profilerka powinna była wyjść już teraz, ale za bardzo miała ochotę na konfrontację. Wkurzała ją ta mimoza. Poza tym zawsze dawała się brać pod włos. Ambicja to była jej pięta achillesowa.

– To znaczy, że nie wiecie, gdzie on jest?

– Pacjent nie jest ubezwłasnowolniony. Nie mamy prawa go inwigilować. Jest wolnym człowiekiem.

– To morderca! – Załuska podniosła głos. Mówiła chaotycznie, bez składu. – Brałam udział w dochodzeniu. Omal go nie zatrzymaliśmy. Jestem jedną z jego niedoszłych ofiar. Boję się, że… Czy pani rozumie? Muszę się dowiedzieć, gdzie on jest! – Głos nagle się jej załamał.

– To nasz pacjent. Nie żaden skazany. – Lekarka wymierzyła w Saszę stalowe spojrzenie. – Czego, tak naprawdę, chce się pani dowiedzieć?

– Muszę z nim pomówić.

– To pani jest Mileną, prawda?

– Słucham?

– Jego kochanką. Przez panią zachorował.

Sasza nie odpowiedziała. Czuła, że oblewa ją rumieniec. Zezłościło ją to.

– Był moim pacjentem – ciągnęła tymczasem lekarka. – Wiem o was wszystko.

– O nas? – fuknęła Sasza. – Nigdy nie było żadnych nas. Więził mnie.

– Proszę nie krzyczeć. – Prus uspokoiła ją gestem litościwej cesarzowej. Załuska natychmiast pożałowała swoich słów. Już nie miała ochoty na walkę. Nie dość, że przyjechała na próżno, to jeszcze została upokorzona.

Na dodatek wiedziała mniej niż przedtem. Prus tymczasem ciągnęła irytująco spokojna i grzeczna: – Prowadziłam go kilka lat. Właściwie od początku, jak tylko do nas trafił. I zapewniam panią, że poza głęboką depresją i PTSD nic mu nigdy nie było.

– Więc wszyscy się mylili? Pani zaś wie najlepiej.

– To nie jest człowiek chory psychicznie – podkreśliła Prus. – Z całą pewnością. Nie ma nawet borderline. To miły chłopak. Potrzebuje teraz wsparcia, a nie nagonki.

Saszy zbierało się na płacz. Wódka, likier, wino, najtańszy bełt. Czuła zbliżającą się panikę. Jechać do domu? Czekać tam na córkę? Czy może od razu zabrać ją z Krety do Sheffield? Była pewna, że skoro jest wolny, zechce zobaczyć dziecko. Wiedział już przecież o istnieniu małej. Nikt i nic go nie powstrzyma, by ją znaleźć. Może czeka już na nią pod klatką wejściową do mieszkania w Sopocie. Była zdruzgotana.

– Tym gorzej – odezwała się. Za wszelką cenę starała się być spokojna, ale wychodziło jej to słabo. W środku aż kipiała wściekłością. Przypomniało jej się, że mijała po drodze sklep monopolowy. To tylko kilka minut drogi stąd. Zignorowała tę myśl jak ujadającego ratlerka. Mówiła. Musiała zagadać pragnienie. Zamienić je na potok słów, wykrzyczeć złość. Byle się nie upić. Znów podniosła głos o kilka tonów. – Bo to znaczy, że wszystkie przestępstwa popełnił świadomie i mamy do czynienia z psychopatą. Sprawę trzeba wznowić i postawić go przed sądem.

– Wtedy pani też musiałaby odpowiedzieć za własne czyny – stwierdziła beznamiętnie Prus. – Przekroczyła pani obowiązki. Naraziła życie trzech kobiet. Wszystkie zginęły. Sprawca tych zabójstw nie został złapany. Łukasz mi opowiadał. Skąd mamy wiedzieć, czy nie współpracowała pani z prawdziwym zabójcą? Choćby nieświadomie.

Sasza z trudem zacisnęła usta, by nie powiedzieć niczego, czego za chwilę już by żałowała. Była wstrząśnięta bezczelnością lekarki, ale też ogromem jej wiedzy. Dotąd był to pilnie strzeżony sekret. Nikt, nawet profesor Abrams ani tym bardziej rodzina Załuskiej, nie znał tak wielu szczegółów tajnej operacji „Calineczka”. O tym, że i ona była w gronie podejrzanych, wiedzieli tylko Sasza, Dziadek i Polak. Temu ostatniemu przyznała się w łóżku. Ją też chcieli wyeliminować. Dowiedziała się o tym

i dlatego zawiązała z Łukaszem sojusz. Byli w tej samej sytuacji. Paradoksalnie pożar i ją uratował od zarzutów. Zatuszowali sprawę, ponieważ na „Czerwonego Pająka” nie mieli zupełnie nic. Nie wiedzieli nawet, czy Calineczka nie dostarczała mu danych pośrednio. Była taka hipoteza. Tyle że ściśle tajna i niepotwierdzona. A teraz, po latach, jako mrożącą krew w żyłach *urban legend*, mogą poznać ją wszyscy mieszkańcy tego miasteczka. Wystarczy, że lekarka na proszonym obiedzie opowie to jak zawodową anegdotę. Sasza nie mogła tego znieść. I nie chciała dać jej tej satysfakcji. Jedyne, co jej pozostało, to nie pozwolić, by Prus się zorientowała, jak wielkie wrażenie zrobiły na niej te słowa. Roześmiała się perliście, jak z dobrego żartu. Zadziałało. Prus całkowicie zbaraniała. Nagle zaczęła się śpieszyć. Składała szpargały do eleganckiej torebki. Porządkowała biurko. Nie zamierzała przedłużać rozmowy. Przeciwnie. Madonna Botticellego zmieniła się nagle w postać z Boscha.

– Z tego co wiem, nie prowadzono przeciwko Łukaszowi postępowania prokuratorskiego ani tym bardziej sądowego – z łatwością ucięła temat.

Sasza zmrużyła oczy. Była pewna, że Prus, mimo zmyłki, zarejestrowała jej strach. Była fachowcem. I to naprawdę dobrym. Trudno się dziwić. Badanie reakcji ludzi to był jej zawód, specjalizowała się w tym. Znów piłka była po jej stronie siatki. Wyjęła ponownie dokumenty Polaka. Przewertowała z zainteresowaniem.

– To, co pani mówi, jest dla mnie nowością – zaczęła flegmatycznie i z wyższością, by jeszcze bardziej wkurzyć Saszę. Zorientowała się, że jej pancerz obojętności działa profilerce na nerwy. – Proszę się jednak nie obawiać. Choć wiem, kim pani jest, i mam bardzo wiele danych o waszej krótkiej, acz intensywnej relacji, to tajemnica lekarska i taką pozostanie. Ale domyśla się pani zapewne, dlaczego zgodziłam się poświęcić jej czas w moim wolnym dniu? To ludzkie współczucie. Tylko to mną kierowało. Teraz jedyne, co mogę doradzić, to spotkanie z Łukaszem. Powinna pani z nim szczerze pomówić. Wyjaśnić sprawy, uporządkować dane. To nie jest jakiś diabeł z rogami. Jeśli będzie trzeba, mogę służyć jako mediator. Mam doświadczenie w sprawach rozwodowych. – Rozpromieniła się, jakby występowała w telewizji śniadaniowej.

– Niczego innego nie pragnę – skłamała Sasza. I zaśmiała się cierpko: – Jego adres lub telefon bardzo by to ułatwił.

Lekarka nie zareagowała. Udawała obojętną, lecz luz wychodził jej kiepsko. Spięła się tylko mocniej, zagryzła usta. Też się denerwowała. I to bardzo. Sasza nagle poczuła się lepiej.

– Nie sądzi pani?

– W tym niestety nie mogę pomóc.

– Wspaniale – zakpiła Załuska. – Gonię za nim krok w krok, a kiedy przyjeżdżam, okazuje się, że wy go wypuszczacie i radzicie mi szukać wiatru w polu. Gdybym wiedziała, że wychodzi, nie zawracałabym sobie głowy, tylko spierdalała na Antarktydę.

Prus potępiła ją wzrokiem, ale nie skomentowała przekleństwa.

– Gdyby chciał podać swój adres, już by go pani miała.

– Ciekawe jak.

– Przecież dostała pani pismo.

– Pismo?

– Przed wyjściem Łukasz napisał do pani list. Przesłał go na adres komendy policji w Gdańsku. Tam pani pracuje, czyż nie? A może to był jednak adres domowy? – Prus udała, że nie pamięta.

Sasza z trudem wyszła z szoku. Była pewna, że gdyby taki list przyszedł, Duchnowski z pewnością by go jej przekazał. Zaniepokoiło ją coś innego.

– On wie, gdzie ja pracuję? Gdzie mieszkam? Sam wysłał ten list?

Prus potwierdziła i zamknęła torebkę.

– To nietrudne ustalić komendę, jeśli ma się kogoś znajomego w policji.

– Dużo pani o mnie wie. – Sasza zmieniła strategię i przystąpiła do ataku. – Bardzo dużo. Jakie to uczucie grzebać w cudzych sprawach? Ma pani na to czas?

– To moja praca.

– Wręcz przeciwnie – zaprzeczyła Załuska. – To nie jest zainteresowanie zawodowe. Tyle że ja nie mam swojego życia. A pani?

Prus zbladła.

– Jest pani bezczelna.

– Po prostu znam się na tym. Też angażuję się w sprawy, które profiluję. Można przypłacić to niezłym świrem. Zgodzi się pani ze mną?

– To spotkanie uważam za zakończone – oświadczyła Prus, ale Sasza rozparła się tylko wygodniej na krześle. Zaczynało ją to bawić. Zastanawiała się, jak lekarka ją wyrzuci. Wezwie ochronę czy zacznie krzyczeć? Raczej to pierwsze. To typ, który używa innych, by realizowali jej plan. Klasyczna psychopatka. Za rok będzie tutaj szefem albo wyjedzie do innej placówki, bardziej prestiżowej.

– Czekała pani na mnie – powiedziała nagle Sasza. – Niech pani przyzna.

Lekarka nie obdarzyła jej nawet spojrzeniem, uznając obojętność za największą obelgę w trakcie gęstej konwersacji. Sasza zaś otrzymała odpowiedź. Była twierdząca. Obie to wiedziały.

– I co? Tak sobie mnie pani wyobrażała?

– Niezupełnie. Sądziłam, że wygląda pani młodziej.

– Przykro mi, że panią rozczarowałam.

– Starzenie to naturalny proces. Nie każdemu dane jest go powstrzymać.

– Więc to spędza pani sen z powiek? Dosyć miałkie, jak na osobę tej rangi – rzuciła Sasza z satysfakcją. – Tego się nie spodziewałam. To raczej żałosna puenta.

– Coś jeszcze, bo jestem spóźniona? – Lekarka z łatwością przełknęła obelgę.

Akta Polaka wciąż leżały na blacie. Lekarka nie zamierzała ich nigdzie ukrywać. Wyglądało na to, że po prostu je tak zostawi. Sasza nie mogła w to uwierzyć. Zwykła sprzątaczka może do nich zajrzeć w każdej chwili, a jej tego bronią.

– Moje nazwisko nie figuruje na oficjalnej stronie. Nie życzę sobie tego – oświadczyła z naciskiem. – Kto pomógł mu mnie namierzyć?

Prus wpatrywała się w nią szczerze rozbawiona.

– Może ja, a może ktoś inny. Jakie to ma znaczenie? Pani przesadza. Zachowuje się jak odrzucona. – Urwała, jakby ugryzła się w język. Znów założyła maskę profesjonalistki. – Pani nie przerobiła traumy. Boi się pani

tego spotkania. To moje zdanie. Po co mieszać do tego sprawy karne, wymyślać jakichś filmowych zabójców. Mówię tak po ludzku. Jak kobieta kobiecie. Czego tak naprawdę pani chce? Kocha go pani jeszcze?

– Ja przesadzam?

Sasza przypomniała sobie ciała zamordowanych kobiet. Ich łona pozbawione wnętrzności. Obsceniczne pośmiertne pozy, w które zwyrodnialec układał ich zwłoki. Przebierał, mył, czesał. Jeśli trzeba, łamał kości. Wszystko dla sztuki. By zdjęcia wyglądały imponująco, fotografował trupy z wysokości. Z tej perspektywy ułożone na trawie, piasku, w kolorowych sukienkach lub owinięte folią na żółtych naczepach, przypominały abstrakcyjne obrazy. Albo ta najmłodsza, wyłowiona z wody, zaplątana w rybacką sieć w kolorze intensywnego różu. Z bliska przerażało jego okrucieństwo, z oddali zachwycał zmysł estetyczny. „Czerwony Pająk” pragnął sławy, splendoru. Był próżny. Dlatego pisał listy, słał zdjęcia. Chciał, by o nim mówiono. Ale tego nie osiągnął. Udało się przed mediami zataić większość szczegółów, bo w większości to były prostytutki. Nikt ich nie poszukiwał, nie domagał się wyników śledztwa. Personaliów kilku nigdy nie ustalono.

Dwie z tych kobiet Sasza poznała osobiście. Kręciły się po klubach w poszukiwaniu klientów. Żadne go-go. Dobre restauracje, modne dyskoteki, elitarne kluby i hotele z pokojami na kartę magnetyczną. Kilka studentek udało jej się uratować. Ale nigdy nie pójdą do prokuratury, nie opowiedzą, co przeżyły, bo musiałyby ujawnić potem w sądzie, że poza administracją, chemią czy germanistyką studiowały też zaawansowaną ars amandi. Lidka Wrona też należała do tej elity. Dziś luksusowe kurewstwo nazywa się sponsoringiem i nawet matki panienek nie uważają go za nic zdrożnego. Tylko dziewczyny bez wyjścia stoją pod latarnią. Te z patologii, z kłopotami finansowymi, samotne, choć mające na karku nieślubne dzieci czy faceta w półświatku. Takich, kiedy nagle znikną, nikt nie szuka. Nikt za nimi nie tęskni. Tak jak tych trzech ostatnich. Rodzina nie wiesza plakatów na słupach. Ojcowie nie szukają zemsty. Ot, zniknęła, wyjechała na Zachód, dostała lepszą propozycję, uciekła przed opiekunem, dla którego brak wiadomości to dobra wiadomość. Jedna gęba do wyżywienia mniej. Pewnie za dużo paplała.

Lidka Wrona była jedyną, której sprawę nagłośniono. Studentka, porządna rodzina, choć niekompletna. Grono przyjaciółek jak z *Seksu w wielkim mieście*. Nikt się nie zająknął, że też była dziwką. Tyle że luksusową. Sasza ją poznała. Miała bzika na punkcie metek, z daleka rozpoznawała faceta przy forsie. W końcu przyszła kryska na Matyska. Nikt od Saszy nie wiedział lepiej, z jakich oszczędności Lidka kupiła matce mieszkanie. Wrona była ostatnia, a potem nastąpiła cisza. Załuska dotąd myślała, że psychopata nie mordował, bo był pod kluczem. Bezpieczny dla społeczeństwa i innych Lidek. Teraz, kiedy jest na wolności, z pewnością się to zmieni. Była prawie pewna.

– Teoretycznie to możliwe. Przesadzam – przyznała bardzo spokojnie. – Mam nierówno pod kopułą. Zapomniałam wspomnieć na początku.

Włożyła ręce do kieszeni, zacisnęła dłoń na papierosach. Uśmiechnęła się półgębkiem. Nie, nie da lekarce satysfakcji. Nie zapali wbrew przepisom. Ale wiedziała, co zrobi po wyjściu z tego przybytku. Kupi butelkę i wypije duszkiem, ile zdoła. Musiała się znieczulić. Kiedy tylko o tym pomyślała, od razu poczuła się lepiej. Głowa zawsze będzie już pamiętała stan upojenia. Luz pojawił się natychmiast. Widziała teraz sprawę znacznie jaśniej. Lekarka od początku nie była jej przychylna i nic by tego nie zmieniło, ale teraz wyszło na jaw, że wręcz trzyma stronę przystojnego pacjenta. Rozumiała ją. Sama przecież dała się nabrać na bajeczki Polaka. Psychopaci potrafią być ujmujący. Czarują, manipulują. Jeśli trzeba, zakładają maski niewiniątek. Znała to z autopsji. Lekarka już była jedną z jego ofiar. Tyle że jeszcze o tym nie wiedziała. Na razie używał jej jako alibi i możliwe, że dopóki będzie użyteczna, nie zginie. Zresztą była na to za stara.

– Cieszę się, że się zgadzamy. – Prus wstała. Spotkanie uznała za zakończone.

Sasza nie zareagowała. Wciąż siedziała na swoim miejscu bez ruchu. Zaczynało ją to wszystko bawić.

– Może faktycznie rozmowa z Łukaszem rozwiałaby wszystkie moje wątpliwości – gładko weszła w rolę ostro nawalonej dżinem Saszki sprzed lat. W takim stanie w jednej chwili umiała się zmienić z potulnej w drapieżną. Na tym zbudowała swoją przykrywkę. Też w jakimś stopniu

była psychopatką, co zresztą potwierdziły badania psychologiczne. Z siedemnastu cech testowych miała dziesięć. Dlatego była kiedyś niezłą przykrywką i dobrze rozumiała tych po drugiej stronie mocy. – Kiedy już dorwę jego adres, zapytam go, ile razy wyobrażał sobie, jak panią dusi, gwałci, rozkrawa ten płaski brzuch z kolczykiem w pępku, od łona aż po mostek.

Prus wzdrygnęła się.

– Może ponownie używa pani ciała – ciągnęła Załuska z udawaną rozkoszą. – W końcu byłoby jeszcze ciepłe: człowiek po śmierci tak szybko nie stygnie. Potem myje, przebiera i pozuje zwłoki w dowolnej pozie. Takiej, która pasuje mu do układanki. Z pewnością znalazłaby się pani na obrazie wyobrażona jako nagi paź królowej.

Magdalena Prus podeszła do Załuskiej. Zmusiła ją spojrzeniem do powstania. Była wzrostu Saszy, ale w tych obcasach zdawała się wyższa o dobre piętnaście centymetrów.

– To pani powinna się leczyć – oświadczyła dobitnie. Placki na twarzy powiększyły się w wielkie rumieńce. Sasza zastanawiała się, ile operacji Prus przeszła, by tak dobrze wyglądać. Czy ma zrobiony lifting, w czoło wstrzyknięty botoks, a za uszami jest pofastrygowana. Może to dlatego zdaje się, że nie okazuje emocji. Jad kiełbasiany jej w tym pomaga, a nie silna psychika. Tymczasem Prus podniosła głos o jeden ton i perorowała: – Dopóki nic się nie zdarzy, nie ma powodów do paniki. Pan dyrektor zadbał, by pacjent raz w miesiącu zgłaszał się na badanie kontrolne. Ja je prowadzę. Więc – zawahała się, widząc kpiarski uśmiech na twarzy Załuskiej – wszystko jest pod kontrolą.

– A jednak przestraszyła się pani. – Sasza znów była poważna. Uspokoiła się dzięki wspomnieniu stanu upojenia. W ustach czuła wyraźnie smak dżinu, w nozdrzach miała zapach jałowca, choć to przecież było niemożliwe. Czuła wręcz, jak gorący płyn przepływa jej przez gardło, kojąc przełyk. Bardzo niechętnie otrząsnęła się z tego wspomnienia. Zniżyła głos do szeptu: – Bo nie ma pani pewności. Takiej stuprocentowej, że nie mam racji. Zna pani jego wersję, jest pani dobrą lekarką, ale to ja jestem kryminologiem. I zaręczam pani, że następnym razem wrócę tu z odpowiednim kwitem. Wtedy nie będę prosić o te dokumenty.

– Z kwitem otrzyma pani pełną dokumentację.

Prus wyciągnęła dłoń do pożegnania.

Sasza niechętnie ją uścisnęła. Ale kiedy kobieta chciała zabrać rękę, Załuska zacisnęła ją jak w kleszczach.

– Gdzie on jest?

Prus zamrugała powiekami, lekko przestraszona.

– Gdzie?

– Nie wiem – skłamała lekarka.

– Oczywiście, że wiesz, piękna. – Załuska się uśmiechnęła.

Była pewna, że kiedy tylko wyjdzie, lekarka natychmiast zadzwoni do swojego ulubionego pacjenta. Czuła, że są w bliższej relacji, niż nakazują to formy. Ale gdyby ktokolwiek jej to zarzucił, zaprzeczyłaby, bo w papierach miała czysto. Tak czysto, jak na biurku, w torebce i samochodzie, który – Sasza była pewna, bo od początku nieświadomie ją profilowała – kobieta oddawała do myjni ręcznej przynajmniej raz w tygodniu. Zwierząt nie posiadała. Dziecko ewentualnie jedno, ale nie poszło jeszcze do szkoły. Zajmuje się nim teściowa albo płatna niańka. Ale raczej nie ma dzieci wcale. Mąż piastuje w mieście eksponowane stanowisko. Radny albo prawnik. Nie sypiają ze sobą. Gdyby miała dobre pożycie seksualne, trochę by się wyluzowała. A jej potrzeby są spore. Pewnie wzięła sobie kochanka, może ma nawet kilku – przygodnych. Znacznie przewyższa ich intelektem i pieprzy o poliamorii. Pewnie to fizyczni. Tylko klasyczny robol jest w stanie ją zdominować. Kiedy tylko jednak relacja zamienia się w zażyłość, pani doktor luzuje więzy. Bo boi się bliskości i tego, że musiałaby przestać udawać. Zawodowo bez zarzutu. Uchodzi za dobrotliwą, poświęcającą się. Typ misjonarki. Tu jest jej słaby punkt. Sasza powinna była to spotkanie rozegrać inaczej. Teraz już nic nie wskóra. Za ostro zagrała, złymi kartami. Trzeba było iść we współczucie, schować honor do kieszeni. Pozwolić poczuć się lekarce potrzebną, współczującą, niezastąpioną matką Teresą, przełożoną uciśnionych. Cholera, przeklęła w duchu Sasza. Znów spaliła akcję. A co gorsza, straty są nie do odrobienia.

– Nie proszę o dokładny adres. – Poluzowała uścisk. – Niech pani poda miasto. W jakim rejonie Polski mam go szukać?

Kobieta wyszarpnęła dłoń z ręki Saszy. Strzepnęła ją, jakby uwalała się czymś oślizgłym. Załuska od dawna nie czuła w sobie tyle determinacji. Natychmiast zmieniła strategię.

– Proszę! – Zrobiła najbardziej zbolałą minę, na jaką zdołała się zdobyć. – Tylko pani może mi pomóc.

– Jest tutaj – padło w odpowiedzi.

– W Hajnówce?

– Taki podał adres tymczasowego pobytu. – Prus odwróciła się. Sukienka w motyle miała głębokie wycięcie na plecach. Na lewej łopatce wytatuowana była kobra z wysuniętym do ataku językiem. – Żegnam.

Podkomisarz Przemysław JahJah Frankowski wszedł bez pukania do pokoju komendanta. Krystyna Romanowska siedziała za biurkiem w rozpiętym mundurze i kończyła malować paznokcie. JahJah ostrożnie położył na blacie karton bez przykrywki. Wewnątrz znajdowała się reklamówka z logo popularnego dyskontu.

– Dyżurny z nocnej zmiany znalazł to pod drzwiami.

Krystyna rozczapierzyła dłonie. Czarny lakier Noc Kairu był zbyt świeży, by ryzykować otwarcie przesyłki.

– Pomóż, bo będę miała smugi – poprosiła.

Dawno już mogła odejść na emeryturę, ale figurę nadal miała znakomitą. JahJah wiedział, że codziennie rano i wieczorem biega kilkanaście kilometrów po puszczy. Miała też czarny pas w karate. Raz w roku jeździła na zgrupowania do Centrum Japońskich Sztuk Walki Dojo w Starej Wsi. Kurze łapki wokół oczu dodawały jej twarzy klasy. Włosy strzygła po męsku. Nie nosiła biżuterii poza wodoodpornym zegarkiem na skórzano-nylonowym pasku, z funkcją mierzenia pulsu i latarką. Sam go jej podarował, kiedy byli jeszcze małżeństwem.

Zamruczał niezadowolony, ale rozchylił torebkę. Komendantka pochyliła się i zajrzała. Wewnątrz była ludzka czaszka i fragmenty kości. Kilka gałązek, mech, liście. Wszystko uwalane w ziemi.

– Świeżo wykopana – uprzedził jej komentarz JahJah. – Puściłem ludzi, żeby rozpytali w nadleśnictwie i kołach łowieckich. Jak na razie nul spostrzeżeń. Strażnicy leśni sprawdzają areały centymetr po centymetrze.

Romanowska pochwaliła go skinieniem głowy. Z trudem zachowała spokój. Twarz jej zbielała, zagryzła wąskie wargi.

– Daj to na oględziny. Wiesz przecież, co robić.

– Behemot przefotografował już zawartość razem z reklamówką. Pobrał biologię z rączki torby, ale szpatułka musi wyschnąć. Trzeba to puścić pocztą specjalną do zakładu medycyny sądowej. Może w laboratorium coś znajdą. Nic więcej u nas nie zdziałamy.

– Prokuratur powiadomiony?

– Dlatego przychodzę.

– Bardzo dobrze. – Wyciągnęła rękę po reklamówkę. – W poniedziałek też jest dzień. Na razie mamy co robić.

JahJah oddał ją po dłuższym wahaniu. Zerknął na drzwi, by upewnić się, że są zamknięte. Był w cywilnym ubraniu. Czarny T-shirt eksponował jego muskulaturę i rozliczne tatuaże. Gładka czaszka błyszczała od potu. Poprawił rogowe okulary. Odchrząknął znacząco i przestąpił z nogi na nogę.

– Coś jeszcze, JahJah’a? – Krystyna uśmiechnęła się uprzejmie. Zaczęła nakładać kolejną warstwę Nocy Kairu.

Pokręcił głową.

– Przecież widzę, że coś cię gryzie?

– Tym razem trzeba coś zrobić.

– Z czym? – Zakręciła buteleczkę z lakierem. – Notatka sporządzona, dochodzenie w toku. Jest nagranie z kamer, tak? Namierzymy życzliwego. Jaka to filozofia?

JahJah wykonał nieokreślony ruch głową. Oboje wiedzieli, że nie chodzi o rutynowe działania.

– Gdybym to ja miał decydować – zaczął i urwał.

Patrzyli na siebie w milczeniu. Kobieta przeczuwała, co JahJah chce powiedzieć. Problem nie był nowy.

– A ty znów to samo – jęknęła. – Że niby ma to związek z weselem? Czy masz mnie za idiotkę?

– A nie ma? – Policjant się ożywił. – Kiedy Bondaruk ogłosił ślub, dzieciaki znalazły pierwszą głowę. Nad ranem, w palenisku na Harcerskiej Górce. Nadal nie wiemy, kto ją podrzucił. Nie pamiętasz, co się działo w mieście, bo byłaś w dojo.

– Ależ pamiętam doskonale. Miałam tam zasięg. Znów chcesz zasiać panikę w mieście? Zwali się nam pół wojewódzkiej. Teraz? Kiedy przez to cholerne wesele nie mam kim robić?

JahJah nie odpuszczał.

– Byłem tam osobiście, w przeciwieństwie do ciebie. Przeczesaliśmy las. Nakłuwanie, pieski, śmigłowiec na podczerwień. Znaleźliśmy mogiłę z czasów wojny. Dym jest do tej pory. Ludzie chcą kolejnej ekshumacji. Nie podoba im się, że ofiary pogromu Burego pochowano na katolickim cmentarzu.

– Rzucam wszystko i lecę do IPN, by walczyć o prawosławnych – szydziła komendantka. Wzniosła oczy do sufitu. – Zaraz zaczyna się spotkanie rajców w Carskiej. Będą radni, burmistrz i wszyscy święci. Muszę tam być, trzymać gardę, a ty mi tu o drugiej wojnie. Wesele jest priorytetem. Są rzeczy ważne i pilne. Nigdy ich nie rozróżniałeś. Nie mówiąc o tym, że zabezpieczamy imprezę masową. Zresztą nawet nie wiemy, czy ta głowa jest współczesna. – Wskazała karton z przesyłką.

– Nie wiemy – przyznał JahJah. – Ale o ile tamta mogła być przypadkowa, w co wątpię, o tyle druga trafiła pod nasze drzwi akurat dzisiaj. – Zawiesił głos i dokończył dobitnie: – Ludzie gadają. Znów wypłynęła sprawa Łarysy Szafran. Trudno się dziwić. Facet nigdy nie został pociągnięty do odpowiedzialności.

– Wtedy nie byłam tu szefem. Złóż reklamację do Starego. Nie masz daleko, wystarczy przejść przez ulicę.

– Nie omieszkam – zapewnił ją JahJah. – Ale co on dziś może.

– Tyle samo, co kiedyś.

– Czyli nic. Oboje wiemy, jak jest. Teraz ty tu rządzisz. Możesz wszystko. Mam dosyć chodzenia na sznurku Okularnika.

– Znajdź trupa Łarysy, to wezwę ludzi z wojewódzkiej.

– Może to ona? – JahJah wskazał karton i widząc minę Krystyny, natychmiast zmienił temat: – Błażej omal klocka nie posadził. Młody jeszcze jest. Za młody na to stanowisko.

– Jaki on tam młody, trzydzieści siedem, stary trep! – zbiesiła się komendantka. – Nie mam nic niżej od oficera dyżurnego. Ty w jego wieku byłeś już w nielatach, a zaraz potem wziąłeś się za kurewstwo.

Frankowski się żachnął.

– Jak ty się wyrażasz?

– Bo co? Też pracowałam w obyczajówce.

– Zawsze uważałem, że to perwersja, żeby cała rodzina pracowała w jednej komendzie.

– A więc o to ci chodzi? Mam się przeprowadzić? – Podniosła głos. – Sam się przenieś, jak ci coś nie pasuje. Droga wolna.

– Nie o tym mówię, Krzysiu.

– To o czym? – Była już porządnie poirytowana. – Przypieprzasz się. Tyle ci powiem. Jak to Łarysa, dowiemy się pierwsi. Wtedy będzie czas na decyzje. Nie dziel skóry na niedźwiedziu.

– Jutro wesele Bondaruka. Ktoś musi mieć na niego oko. To dotyczy bezpośrednio jego. Wszyscy w mieście to wiedzą. Chociaż raz się postawmy.

Poddała się. Była już zmęczona wiecznym udowadnianiem, że jest kompetentna. Wciąż przechodzili przez to samo. Problem leżał w tym, że o ile inni szybko zaakceptowali awans Romanowskiej, o tyle jej były mąż wciąż traktował ją jak swoją małą Krzysię. I za każdym razem tłumaczył jej rzeczy oczywiste.

– Wiem. – Przyjęła taktykę uczennicy raportującej mistrzowi, bo ta zawsze działała. – Już wkrótce, zaufaj mi. A na razie zrobimy wręcz przeciwnie. Dostałam wyraźne dyspozycje z ratusza. Wyznaczyłam już cztery osoby. Pójdą w cywilu, pod bronią. Plus oczywiście patrol mundurowy. Zaostrzymy środki ostrożności. Włos mu nie może spaść z głowy.

– Poważnie? – JahJah się zbiesił. – Mam jeszcze tego fiuta ochraniać? Za publiczne pieniądze?

– Dziś na odprawie wydam dyspozycje. Jeśli masz jakieś uwagi, powiesz przy wszystkich. Poprę cię, w czym zdołam. Zgoda?

Frankowski natychmiast poczuł się doceniony.

– Ale ty zostaniesz w mieście – dodała pośpiesznie. – Komenda musi działać pod jakimś sensownym dowództwem.

– Jak to? – JahJah nie krył zawodu. Czuł się wyeliminowany z najlepszej zabawy. – Dlaczego ja mam zostać?

Krystyna wstała i podeszła do niego bardzo blisko.

– JahJah’a – zaczęła łagodnie, jak do dziecka. – W nocy wszyscy będą w Białowieży. Ja też muszę tam być. Uwierz mi, tak będzie lepiej. Nie mam nikogo, komu ufałabym bardziej. Może być różnie.

Wykrzywił kontrolnie twarz w grymas niezadowolenia, ale czuła, że jest bliska udobruchania rozjuszonego byka.

– Jutro ty będziesz tutaj szefem – zapewniła.

Na chwilę zapadła cisza.

– Fajnie! – Łypnął na nią, udając focha. – Będę szefem, dyżurnym, jednoosobowym patrolem i jeszcze może niańką do dziecka?

– Skąd wiedziałeś, że chciałam ci dać Błażeja?

– Krzysiu!

Rozpromieniła się.

– Żartowałam. Weźmiesz Supryczyńskiego. Można na nim polegać.

To zadecydowało. JahJah cenił tego aspiranta. Zresztą z wzajemnością. Młody był wpatrzony w JahJah’ę jak babuszki w ikonę Matki Bożej Poczajowskiej. Do tego, w razie impasu, mógł pomówić z Karolem o muzyce. Chłopak grał w zespole reggae, a Frankowski też kiedyś miał kapelę. Jutro w Hajnówce zapowiadał się raczej spokojny wieczór. Całe miasto wybędzie na tę noc do amfiteatru w Białowieży. Skoro tak, niech inni bujają się z pijakami po krzakach. Bo drzewny magnat na swoje wesele zaprosił całą okolicę. Na darmową wyżerkę i popijawę mógł przyjść każdy. Od wczoraj na paleniska zwożono wypatroszone świniaki, chór Małanka w Górniku ćwiczył pieśni weselne, a lokalny browar Yellow Dog ustawił się z cysterną na polu namiotowym. Przewidywano tłumy, jak na Grabarce w Spasa[4]. Zwłaszcza że gminna plotka niosła, iż zabawę dla tłuszczy uświetni Ałła Pugaczowa. Ponoć Bondaruk ściągnął ją na życzenie teściowej, która od lat jest jej wierną fanką. Ałła zaśpiewa swoje szlagiery w puszczańskim amfiteatrze Jagiellońskie, jedynej w Europie Środkowo-Wschodniej naturalnej muszli koncertowej.

– I przynajmniej nie będziesz musiał ochraniać tego, jak twierdzisz, fiuta. Znaczy się pana młodego.

– A to? – JahJah wskazał reklamówkę.

– Jakiś list, karteczka? Coś ponadto powinnam wiedzieć?

– Nic. Wtedy też nie było.

– Trudno, żeby było. Połowa czaszki była nadpalona. Ale ta reklamówka jest nowa. – Komendantka przyjrzała się siatce i zrobiła minę głupiutkiej damulki. – Może pracuje w tym sklepie?

– Bardzo śmieszne, Krzycha – obruszył się JahJah i dodał: – Ja bym to nagłośnił. To miasto ma uszy. Trzeba to wykorzystać.

– Daj już spokój! – zaprotestowała. – Więcej będzie roboty z donosami niż z samą sprawą.

– Niech gadają i pracują dla nas. W końcu oliwa wypłynie. A przynajmniej szumu się narobi.

– Teraz nie! – zaoponowała. – Kto miałby odbierać telefony? Ja czy ty? Kto będzie selekcjonował mejle wariatów? Agnieszka Włodarczyk zaraz idzie rodzić. Nie mam pieniędzy na dodatkowy etat dla telefonisty.

– W tajemnicy tego nie utrzymasz. Już i tak wrze. Wystarczy przejść się na Rubel Plac.

– Kto ma gadać, będzie gadał. Na razie bezterminowo odmawiam komunikatów – zdecydowała. – On tylko na to czeka. Jego powinniśmy znaleźć. Tego umyślnego.

– Dlaczego nie ona?

Komendantka przyznała mu rację.

– Myślisz, że ta sama osoba dostarczyła nam obie głowy?

– Może… – zawahał się – chce nam coś powiedzieć.

– Do filmu byś się nadawał – mruknęła. – Jakieś hipotezy śledcze? Co niby chce powiedzieć?

– Żebym to ja wiedział. – Wzruszył ramionami. – Coś.

Oboje spojrzeli na korkową tablicę. Pinezkami przypięto do niej ogłoszenia, wojskową mapę miasta, zdjęcia poszukiwanych przestępców, zaginionych oraz rachunek biegłego z dziedziny rekonstrukcji czaszek. Jedna z fotografii przedstawiała kobietę o twarzy androida w niemodnej peruce. Było wątpliwe, żeby ktoś na jej podstawie rozpoznał żywą osobę. Obok wisiało kiepskiej jakości zdjęcie nadpalonej czaszki, na podstawie

której dokonywano progresji wiekowej. Ekspert z Akademii Medycznej w Poznaniu policzył jak za zboże, ale nie postarał się zbytnio lub nie posiadał stosownego talentu. Zrobił jednak ekspertyzę szybciej niż Centralne Laboratorium Kryminalistyczne w Warszawie, które kazało im czekać rok, dwa, może więcej. Kiedy wysyłali gotowe fotografie poszukiwanej osoby do umieszczenia w bazie Itaki, liczyli na cud. Nie zdarzył się. Nie było nawet jednego wiarygodnego tropu.

– Dobrze, skoro się tak upierasz, wyślij mejla do wojewódzkiej – poleciła Krystyna. – Przyda nam się dupochron. Z resztą działań zaczekajmy do poniedziałku. Może da się to przeciągnąć z tydzień, dwa. Przecież i tak nie wyślą ekipy specjalnej dla jakiejś starej czaszki. Zwłaszcza że raz już to przerabialiśmy.

– Doskonała strategia, szefowo – parsknął JahJah. – To, co miałeś zrobić wczoraj, odłóż na jutro. Może sprawa sama się rozwiąże albo ludzie zapomną.

– Nie bądź złośliwy – odparła Romanowska bardzo spokojnie. – A jak wyjdzie, że to ofiara band? Koszty nam doliczą i będą do końca roku stękać, że zawracamy im głowę powojenną drobnicą. Ogarniemy wesele Bondaruka, zajmiemy się głową.

– Wesele będzie trwało z tydzień. Wiesz przecież, jak jest. To białoruska fiesta. Cepelia na maksa. Wszyscy chcą się podłączyć i zarobić. Chcesz tyle czekać?

– JahJah’a, poniedziałek jest pojutrze. Nie w następnej pięciolatce.

– Skoro szefowa podjęła decyzję.

– Podjęła i bierze za nią odpowiedzialność – potwierdziła. – Wysyłam dziś do Jagiellońskich prawie cały zespół. Porozumiałam się z posterunkiem w Białowieży. Współpracujemy. Ty pilnujesz podwórka. Co jeszcze mam zrobić? Zamieścić na Fejsie?

– Nie zaszkodziłoby. – Uśmiechnął się krzywo. – A może po prostu przycisnąć Bondaruka. Chętnie wezmę młodego starca na przetrzepanie.

– Będę pamiętała.

– On wie, kto kopie pod nim dołek.

Romanowska zaśmiała się kpiąco.

– Dlaczego nie zwierzył ci się z tego w dwutysięcznym, jak mu kobitę skasowali? Sam go przesłuchiwałeś w szpitalu. Dobrze pamiętam.

– Bo miał interes, by wyjść z tego z twarzą. Białorusinki nikt nie szukał. A jej dzieciaka usynowił. Ludzki pan.

– Faktycznie nasłuchałeś się tych przekupek z Rubel Placu. – Machnęła ręką. – Idź już. Muszę się przebrać. Nie pojadę przecież na proszony obiad w mundurze.

– Kiedy dobrze wyglądasz.

Spiorunowała go wzrokiem bazyliszka.

– Na moje oko to nie jest czaszka z wojny. – Nacisnął klamkę. Drzwi się uchyliły. – Zobaczysz.

– Bo ty się znasz.

– Bo gdybym ja był tutaj szefem, podjąłbym zupełnie inne decyzje – podkreślił JahJah i wskazał torebkę z czaszką. – Facet kilka lat temu był podejrzewany o zabójstwo żony.

– Był w gronie podejrzanych w sprawie o zaginięcie – sprostowała komendantka.

– Zuchwałe uprowadzenie.

– Nie strzelał przecież do siebie. Balistyk to wykluczył. Nie było nic poza odgłosem wystrzału. Okularnik zapadł się pod ziemię wraz z Łarysą. Amba fatima. Gdyby nie jego postrzał, właściwie żadnych dowodów, że do zdarzenia doszło.

– Może ktoś je nam właśnie dostarczył.

– Tak samo gadałeś przy pierwszej głowie – zbiesiła się Romanowska. Wskazała superprojekcję twarzy kobiety na tablicy korkowej. – I co się okazało? Że to jakaś NN. Zero powiązań z Bondarukiem. Nawet nie wiemy, co to za stokrotka.

– Nie moja wina, że antropolog dał ciała. – JahJah wzruszył ramionami. – Nikt by tej kosmitki nie rozpoznał. Chyba że jakiś Wenusjanin.

Potrząsnął kartonem, jakby wewnątrz były ozdoby choinkowe.

– To są zwłoki. Stara czy nowa głowa, nadal to ludzkie szczątki. Mamy do czynienia z zabójstwem i procedura jest taka sama. A ty mi każesz

chronić zabójcę i jeszcze masz pretensję, że paszczę.

– JahJah’a!

On jednak nie przestawał.

– Wkurwia mnie, że wszyscy stają na rzęsach. Drżą, by nie doszło do zamachu, jakby to on był tutaj ofiarą. Mam jeździć po mieście, żeby statystyki były w porządku. Nic cię nie obchodzi, jaka jest prawda. Facet morduje i uchodzi odpowiedzialności. Wszyscy się nim zachwycają, jakby był, kurwa, Rockefellerem. To prosty chłopak z Hajnówki. Każdy obcy śledczy zaraz by zobaczył, że to grubymi nićmi szyte.

– Daj mi dowody.

– Tylko procedura jest dla ciebie ważna. Ale jaki dowódca, taki porządek w oddziale. W dupie masz, jaka była prawda.

– Prawda? Cała prawda z Rubel Placu? Na tym mam oprzeć hipotezy śledcze? Na plotkach?

Romanowska wstała. Lakier już wysechł, więc zaczęła przekładać papiery. Zamknęła z impetem leżące na biurku akta. Gniotła zbędne szpargały i wrzucała je do kosza. Widział, że się zdenerwowała i stara się wyładować złość, by nie wybuchnąć, więc dolał jeszcze oliwy do ognia. Był teraz bezwzględny.

– Jeśli naślą nam kontrolę z wojewódzkiej, to ty będziesz się tłumaczyła. Jesteś wprawdzie komendantem, ale tylko p.o. W każdej chwili mogą cię posunąć. Nie przyzwyczajałbym się za bardzo.

Odwrócił się, gotów do wyjścia. Ale tej obelgi Romanowska nie zamierzała puścić mu płazem.

– Nie prosiłam się o to stanowisko – syknęła, a potem stopniowo coraz bardziej podnosiła głos. JahJah natychmiast zatrzasnął drzwi. Oparł się o nie plecami, by stłumić hałas, ale był pewien, że jej krzyki słyszą wszyscy pracownicy komendy powiatowej. – Dali mi je, żeby ratować twarz naszej jednostki. Jako jedyna nie nadużywam. A także dlatego, że jestem kobietą. Tak, to zaważyło. Jest dobrze widziane na górze. Po waszych wyczynach.

– Naszych? – Zrobił minę niewiniątka.

Wymierzyła w niego wskazujący palec.

– Brałeś udział w tej libacji. Też mogłeś zginąć lub kogoś postrzelić. Nie pierwszy raz piliście na służbie. Romek z Andrzejem też nie pierwszy raz strzelnicę sobie tutaj urządzali. Szkoda, że popa Roszki nie było do kompletu. Bobyście jeszcze samochody wzięli. Czy ja mała jestem? JahJah'a, zrozum, nie mogli cię awansować. Teraz nie. A że nadajesz się na to stanowisko sto razy bardziej, przyznaję. Przykro mi tylko, że nie umiesz znieść z godnością sytuacji, że wyżej w hierarchii stoi twoja eks.

– Krzysiu, przecież nie o to chodzi – zaczął łagodnie Frankowski, ale natychmiast przerwał.

Właściwie nie miał ochoty jej przepraszać. Wystarczająco źle znosił sytuację, w której wychodził na jelenia. Raz go upokorzyła, rozwodząc się z nim, a teraz kolejny raz, kiedy wyhuśtała go ze stanowiska. Od lat miał obiecany ten awans. Odmówił przejścia do wojewódzkiej, licząc, że zajmie to miejsce, kiedy tylko stołek się zwolni. Służył w policji znacznie dłużej od niej. I pochodził stąd. Romanowska była przyjezdna. To dzięki jego staraniom zatrudnili ją przed laty w komisariacie. Stary w każdej chwili miał odejść na emeryturę, a po przeniesieniu Domana do Białegostoku JahJah nie miał w jednostce żadnej konkurencji. Bo Kryński przecież nie brał pod uwagę. Była kobietą. To, że teraz był wice, niczego nie zmieniało, bo to ona, jego mała Krzysia, rządziła dziś w jednostce. Oboje wiedzieli, że komendantka ma rację. Był zazdrosny.

– Masz z tym problem, to sobie z nim radź – zakończyła dyskusję. – Odprawę zaczynamy punktualnie.

Kiedy JahJah wyszedł, przebrała się, wyszukała klucz i pierwszy raz otworzyła szafę pancerną Starego. Przez miesiąc, odkąd objęła gabinet wieloletniego komendanta, niczego w nim nie ruszała. Nie wierzyła, że zagrzeje tu miejsce dłużej niż kilka dni. Ale ją nominowali i dostała do odwołania funkcję p.o. Szafa jęknęła, zawiasy domagały się przesmarowania. Akt było niewiele. Wnętrze woniało piołunówką. Uchyliła drzwiczki szerzej. Wyturlały się z niej dwie puste flaszki. Pogrzebała między dokumentami i znalazła jeszcze jedną. Pełną, bez banderoli. Płyn miał złocisty odcień. Romanowska zaklęła pod nosem i przyrzekła sobie, że zaprowadzi w tej komendzie porządek. Zamierzała im wszystkim pokazać, że jest godna stanowiska. Utrzyma się na tym stołku, choćby kosztowało ją to wykopanie topora wojennego z JahJah'ą. Z impetem wrzuciła puste

butelki do kosza na śmieci. Pełną, z bimbrem lub domowej roboty nalewką, ustawiła na parapecie jak dowód rzeczowy. Nie zamierzała sprawdzać jej zawartości.

Potem podniosła pudełko z głową. Folia musiała przeciekać, bo denko było zamoczone. Spodziewała się, że kiedy wróci, cały gabinet będzie zionął trupem. Wyjęła reklamówkę, wywiesiła za okno. Dobrze umocowała, by wiatr nie zerwał torby. Sprawdziła raz jeszcze. Węzeł siedział solidnie. Karton wystawiła na korytarz koło śmietnika, by sprzątaczka jak najszybciej go zabrała. Pozbierała z biurka rozrzucone akta. Zapełniły dolną półkę szafy. Wreszcie wszystko wyglądało jak należy. Przekręciła klucz w zamku. Szyfru nie znała, ale i tak nikt z funkcjonariuszy nie odważyłby się tu grzebać. Wyjęła jeszcze tylko glocka z szuflady i włożyła do wizytowej torebki, którą zamierzała zabrać na VIP-owski obiad weselny w restauracji Carskiej. Była gotowa do wyjścia.

– Kierowniczko! – Do pokoju zajrzał jej syn Błażej. Droczył się z nią w ten sposób, kiedy byli w pracy. Krystyna pomyślała, że jest nieodrodnym synem swojego ojca. Za kilka lat będzie identycznym rarogiem. – Dzwonili z Bielska, że jest nakaz przeszukania u Żubrów. Ktoś znów zamalował białoruskie napisy na znakach drogowych w gminie Orla. Ponoć tydzień temu młody Bejnar kupował szpadel i przy okazji wziął kilka baniek niebieskiego spreju u Kuryluka. Może to on wykopał czachę?

– To weź kogoś i jedźcie – przyjęła ton i pozę szefowej. – I przy okazji sprawdźcie, czy nie ma czarnej farby, smoły, pędzli, rozpylacza czy czego tam jeszcze. Na Lipowej znów jest swastyka.

– A nakaz?

– Jak coś znajdziesz, załatwimy. Bo prokurator znów powie, że dzieciaki przechodzą bunt. I bez patriotów głowa mi się odkręca. Ale prześwietlcie ich i sprawdźcie, czy Krajnów ma alibi na dzisiejszy ranek. Może komando się aktywowało?

– Już rozpytałem. Prowadził lekcje. Nawet zrobił dzieciakom sprawdzian z religii. Jest kryty.

Romanowska pokiwała głową. Była dumna z syna. Myślał jednak szybciej niż jego własny ojciec. Może będzie jeszcze z niego porządny glina.

– Nie mam już siły do tego faszysty – mruknęła. – Miej oko na ochotniczego komendanta. Jutro mogą podjechać tarpanami. Dobrze by było zapobiec demonstracji siły. Jak znajdziesz sprej, daj znać. Burmistrz lubi takie akcje.

– Ciemiężeni Białorusini, biedactwa – syn wszedł jej w słowo. – Ale my ich ochronimy.

– Nie kpij, od razu otwiera się wtedy dla policji miejska kasa. Poczujesz w kieszeni. Odmaszerować.

Drzwi się zatrzasnęły. Romanowska usiadła za biurkiem. Pomyślała chwilę, nagle się zerwała.

– Błażej! – Złapała syna w ostatniej chwili. Był już pod dyżurką. – Zapytaj o ten szpadel. Po co mu on, co z nim zrobił. W razie czego zabezpiecz. Poszukajcie też kominiarki, ciemnych ubrań.

– Ciemnych ubrań?

– Takich, jakie miał na sobie ten klient, który przytargał nam głowę.

– Ale to robi Bielsk. Nie mamy uprawnień.

– To się z nimi dogadaj. Puść wici, że mamy nową czaszkę. Znaczy się starą. Drugą. Będą wiedzieli, o co chodzi. Przyda się wsparcie operacyjne. Tylko dyskretnie. Dasz radę?

– Będę twardy jak żelki z Biedronki.

– Co ci się stało? – Głos był delikatny, prawie dziecinny.

Sasza podniosła głowę. Chyba się przesłyszała. W pobliżu nie dostrzegła nikogo.

Od jakiegoś czasu siedziała w szpitalnym parku na ławce. Wsłuchiwała się w szum brzozowego zagajnika i analizowała swoją beznadziejną sytuację. Z gabinetu lekarki wyszła wściekła. W pierwszym odruchu planowała brawurową kradzież akt. W szpitalnej dokumentacji z pewnością był aktualny adres Łukasza, który najwyraźniej tutaj przez wszystkich uważany był za ofiarę. Wystarczyłby drobny fortel. Mogła powiedzieć, że zgubiła dokumenty. Pielęgniarka z recepcji z pewnością wpuściłaby ją do gabinetu lekarki i pozwoliła przeszukać pomieszczenie. Zabranie cienkiej teczki zajęłoby Załuskiej chwilę. Ich ukrycie w torbie między szpargałami też nie byłoby problemem. Zorientowaliby się dopiero w poniedziałek. Do tego czasu zdążyłaby je dostarczyć z powrotem. Pocztą. To byłaby najskuteczniejsza opcja. Ale czy warto ryzykować?

Teraz, kiedy pierwsza złość minęła, Sasza czuła się wyłącznie słaba. Po raz kolejny poniosła porażkę, a nie umiała przegrywać. Już w szkole, kiedy była kapitanem drużyny siatkarek, trener upominał ją, że jej największą wadą jest ambicja. Z twarzy Załuskiej po przegranym meczu można było wyczytać najniższe emocje. Nie chciała ich skrywać. Słynęła z tego, że jest zajadła. Mówiono, że to urodzona zwyciężczyni. Rywalki się jej bały. Ale siatka to sport zespołowy. Liczy się współpraca. Wspólna wygrana i porażka. Obie należy umieć przyjmować z godnością. Z trudem zmuszała się do uśmiechu, kiedy ściskała dłonie przeciwniczek. Słowa gratulacji cedziła przez zaciśnięte usta. Któregoś razu trener wziął ją na stronę.

– To będzie ostatnie ostrzeżenie – uprzedził ostro. – I jednocześnie najważniejsza lekcja filozofii życia.

Nie była w stanie powstrzymać kpiącego uśmiechu. Co ten mięśniak wie o filozofii, pomyślała. Wysłuchała go jednak z szacunku. W końcu to on zrobił z niej maszynę do rozgrywania meczów.

– Dam ci teraz receptę, która w przyszłości uczyni cię człowiekiem sukcesu. Czymkolwiek się zajmiesz – ciągnął już łagodniej. – Technicznie jesteś perfekcyjna. Ambicja daje ci napęd. W to, co robisz, zawsze wkładasz całe serce. Nigdy się nie poddajesz. Suma tych czynników zwykle czyni cię zwycięzcą. Tak będzie i w życiu. – Zatrzymał się.

Sasza aż zarumieniła się z zadowolenia. Kiedy ją wezwał, spodziewała się najgorszego. Bała się, że wypadnie z zespołu. A w najlepszym razie będzie musiała więcej trenować.

– Ale zwycięzcą nie jest się na zawsze. – Głos trenera miał w sobie nutę reprymendy. Sasza znów się spięła. – Bywa się nim, jeśli człowiek nieustannie się rozwija. Rozwój zaś zapewniają wyłącznie porażki. Naucz się przyjmować je z honorem. Czerp z nich bezcenną wiedzę, jak podwyższać poprzeczkę. Inaczej, mimo swoich walorów, przestaniesz wygrywać. Wtedy ambicja zacznie cię zjadać.

Sasza stała skonsternowana. Chciała zaprotestować. Wyjaśnić, że to nie jej wina, że przewaliły mecz. Cisnęły się jej na usta tysiące usprawiedliwień. Trener nie dał jej nic powiedzieć.

– Porażka pokazuje ci niedociągnięcia, demaskuje twoje słabe strony. To, nad czym musisz pracować. Pozwala przegrupować siły, by skutecznie iść naprzód. Jeśli nie posiądziesz tej wiedzy, nigdy nie osiągniesz celu. Sukces jest chwilowy. Klęska to lekcja do odrobienia. Wyciągaj wnioski, niweluj wady. Bój się, jeśli trzeba. Nieuzasadniona brawura przynosi więcej szkód niż zwłoka, która jest niczym więcej, jak przemyślanym działaniem w kilku krokach. Działaj rozważnie. Nie poświęcaj wszystkiego dla zaspokojenia rozbuchanej ambicji. Bo inaczej to ona, twój największy atut, cię zniszczy.

Następnego dnia Sasza wypisała się z sekcji i już nigdy nie zagrała ani jednego meczu. Od tamtej pory deklarowała, że nienawidzi sportu i wszelkiej aktywności fizycznej. Kiedy mijała trenera, patrzył na nią z nadzieją na rozejm. Nie zamienili jednak więcej ani jednego słowa. Oboje wiedzieli, że Załuska lekcję przyjęła, lecz nie chce się zmieniać. Paradoksalnie, po latach, właśnie te cechy zgubiły ją w policji. Dlatego zaczęła pić.

Dziś była jednak całkiem inną osobą. Każdego dnia starała się temperować swoje rozbuchane ego. Przypomniała sobie teraz słowa trenera i poczuła się pokrzepiona. A więc żadnego fortelu. Nic za wszelką cenę. Może los daje jej znak, że jeszcze nie czas na konfrontację? Trzeba wracać do domu. Profesor Abrams miał rację. Nie da się pójść naprzód, stojąc jedną nogą w kałuży z błotem. Może – tak jak jej doradzał – powinna zająć się swoim życiem, a nie ciągle oglądać za siebie. Ale jak to zrobić, kiedy przeszłość wisi nad tobą jak miecz Damoklesa i w każdej chwili może zapukać do drzwi? Co zrobi, jeśli któregoś dnia wolny i oczyszczony ze wszystkich podejrzeń Łukasz zechce wkroczyć ponownie do jej życia? Co powie córce, kiedy mała go zobaczy? Aż zatykało ją ze strachu, bo taka sytuacja nie była już science fiction.

Polak jest teraz wolnym człowiekiem i nikt – poza nią i kilkoma oficerami – nie wie, czego się dopuścił w sześciu miastach Polski. Wytrzewione zwłoki kobiet, upozowane w teatralnych pozach. Zdjęcia przysyłane policji. Makabryczny obraz, który zabójca malował, by prowadzić grę z organami ścigania. Był jedynym dowodem winy i miał spłonąć w pożarze. To wszystko jak makabryczny film przeleciało Saszy przed oczami. Czuła obręcz zaciskającą się na szyi. Chciała już przestać się bać i nie potrafiła. Nie miała stuprocentowej pewności, czy Łukasz zabił te kobiety. Wiedziała, jak to sprawdzić, lecz musiała stanąć z nim twarzą w twarz. Miała do niego tylko jedno pytanie. Jeśli nawet nie udzieli odpowiedzi, będzie wiedziała, czy to był on, czy faktycznie jest niewinny, w co bardzo chciała uwierzyć. I był jeszcze obraz. Musiała go zobaczyć.

– Płakałaś? – Tym razem wraz z głosem pojawił się długi cień. Kobieta odwróciła głowę. Pod drzewem, za jej plecami, stała drobnokoścista, błękitnooka nimfetka. Sasza dałaby sobie uciąć rękę, że dziewczyna nie jest pełnoletnia. Usta w kształcie serduszka przywodziły na myśl malinowe landryny. Sasza wpatrywała się w nią zauroczona. Kiedy dziewczyna uśmiechnęła się promiennie, Załuska pokręciła głową w zaprzeczeniu.

– Po prostu odpoczywam.

Kwiecista sukienka zawirowała i dziewczyna z gracją podeszła do ławki. Sasza się przesunęła. Siedziały chwilę w milczeniu. Grupka pensjonariuszy nadal uczestniczyła w warsztatach malarskich. Teraz artyście pozował otyły

mężczyzna. Uwagę przykuwały jego bose stopy; spuchnięte i zaczerwienione.

– Mirek nie nosi butów – wyjaśniła dziewczyna. I dodała: – Tej zimy odmroził sobie prawą nogę. Myślał, że mu ją obetną. Podobno jeśli długo chodzi się na bosaka, po jakimś czasie nic się nie czuje. Myślisz, że to prawda?

Sasza bąknęła coś w odpowiedzi. Nie obchodziło jej to.

– Wiesz, jakie ma podeszwy? Jak w moich jarmilkach – roześmiała się dziewczyna perliście.

Załuska nie miała teraz ochoty na rozmowę, a tym bardziej na słuchanie zwierzeń wariatów. Jedynym szaleńcem, którym była zainteresowana, był Łukasz Polak. Tyle że nie dane było jej go przesłuchać. Wstała.

– Muszę już iść.

Dziewczyna nie kryła zawodu.

– Do kogo przyjechałaś?

– Do znajomego. Do widzenia.

– Mnie prawie nikt nie odwiedza – poskarżyła się dziewczyna. Zadarła rękaw sukienki i podrapała się po gołej skórze. Sasza zobaczyła, że jest cała poraniona. Nie były to duże skaleczenia, raczej mikrourazy. Jakby ktoś wkłuł jej setki igieł w ciało. Większość ranek była podgojona. Tylko w miejscu świeżego zadrapania sączyła się kropelka krwi. Rękaw znów powędrował na miejsce. Dziewczyna jak gdyby nigdy nic kontynuowała: – Bardzo tęsknię za mamą. Tata prawie cały czas jest za granicą. Nikogo więcej nie mam. Poza bratem, ale on i tak z nikim nie rozmawia. – Wskazała w stronę zebranych w parku.

Saszę tknęło. Czyżby jawiła się szansa? Brawura – nie. Za wszelką cenę – nie. Działaj ostrożnie i rozważnie – tak. Rozejrzała się, czy w pobliżu nie ma nikogo z pracowników, i zapytała:

– Długo tu jesteś?

– Drugi rok. Brat przyjechał kilka miesięcy temu. Sąd wysłał go na badania do procesu, a po wyroku przenieśli go do Ciszyni. Podobno mnie jest lepiej, kiedy on jest blisko. Kiedyś byliśmy nierozłączni.

– To nieduży ośrodek. Znasz wszystkich?

Młoda pokiwała głową.

– Znałaś może Łukasza Polaka? – Załuska starała się, by w jej głosie nie było znać nadziei.

Dziewczyna zawiesiła się. Nie kojarzyła nazwiska.

– Blondyn, w miarę przystojny, tyle że do pół ucha. Duże usta, jasne oczy. Raczej spokojny. Może nosić kangurkę.

Zero reakcji.

– Na ramieniu miał bliznę. Taką śmieszną, niebieską. Spadł w dzieciństwie z huśtawki. Resztki farby zostały pod naskórkiem. Jakby w kształcie lecącego ptaka. Wszyscy myślą, że to tatuaż – dodała Sasza zrezygnowana.

– Jaskóła! – Dziewczyna zareagowała natychmiast. I zaśmiała się. – Nauczył Jacka malować. Brat tylko z nim rozmawiał. To twój kolega?

– Znałam go – odparła Sasza i ponownie usiadła. – Muszę się z nim skontaktować.

– Już wyjechał.

– Zostawił numer telefonu, adres?

– Nie ma komórki. Ale był tu tydzień temu. Zabrał mnie na wycieczkę – opowiadała dziewczyna rezolutnie.

Twarz Załuskiej zbielała. Wszystkie ofiary „Czerwonego Pająka” miały od osiemnastu do dwudziestu pięciu lat. Były ładne, drobne i samotne. Dziewczyna wpisywała się idealnie w profil mordercy, którego formalnie nigdy nie było.

– Często cię odwiedza?

– Tylko raz się z nim widziałam. Na czas kwarantanny zamieszkał w miasteczku. Mają taki projekt badawczy. On w nim uczestniczy. Sprawdzają, jak klimatyzuje się w społeczeństwie, czy coś. Nawet znaleźli mu pracę.

– Co robi?

– Nie mam pojęcia. Ale jest zadowolony. Mówił, że podoba mu się to miasto, bo jest spokojnie, zielono. Ludzie są mili. Tak mówił. Nie chce

wracać w swoje strony. Tam gdzie mieszkają jego rodzice, jest podobno spalony. Zrobił chyba coś złego. Jak my wszyscy. – Przerwała. – Ale rodziców ma fajnych. Przyjeżdżali raz w miesiącu. Bardzo eleganccy ludzie. Matka taka ładna jak księżna Di, gdyby oczywiście przeżyła. Bardzo się o niego troszczyli. – Zamyśliła się. – Ale Jaskóła wciąż jest na lekach i musi być pod opieką dyrektora.

– Pani Prus?

– Pana Saczki. To on decyduje tu o wszystkim.

– Nie było go dzisiaj.

– Pojechał na wesele. Dziś w Białowieży jest wielka impreza. Jakiś bogacz się żeni. Podobno panna młoda jest niewiele starsza ode mnie. A on ma sto lat.

Saszy to nie interesowało.

– Dałabyś radę zaprowadzić mnie do niego?

– Nie wiem, gdzie jest to wesele. Zresztą nie mam się w co ubrać.

– Chodziło mi o Jaskółę. Odwiedzimy go razem. Co ty na to?

Dziewczyna wahała się, ale widać, że miała ochotę. Walczyła ze sobą chwilę, wreszcie odparła bez przekonania:

– Nie wolno mi wychodzić bez pozwolenia.

– Łukasz miał dla ciebie pozwolenie?

– Mówiliśmy na niego Jaskóła.

– Miał dla ciebie przepustkę?

Dziewczyna skinęła głową. Sasza rozejrzała się po okolicy.

– Co by się stało, gdybyśmy teraz wyszły i wróciły za godzinę? Nikt by się nie zorientował. O której macie obiad?

– Nie mogę. – Przestraszyła się. – Naprawdę nie.

– Żartowałam. – Sasza zaśmiała się, pokrywając zdenerwowanie. – Ale Łukaszowi pozwolili zabrać cię poza ośrodek? Bez opieki kogoś dorosłego?

– Mam już osiemnaście lat. Skończyłam trzy miesiące temu. Mogę wychodzić na przepustki. Pani doktor się zgodziła, wstawiła się za mną u dyrektora. Byłam nawet w domu Jaskóły. – Rozpromieniła się. – Zrobił

mi kilka zdjęć. Chcesz zobaczyć? Świetnie wyszłam. Mówił, że jestem bardzo fotocoś.

– Zdjęć? – Sasza głośno przełknęła ślinę. Nie mogła uwierzyć, że dyrekcja dopuszcza się takiego ryzyka. – Pokażesz mi je? Te, które ci zrobił.

Dziewczyna pokiwała głową i natychmiast ruszyła do budynku. Sasza została sama. Biła się z myślami. Jeszcze kilka minut temu skłaniała się do powrotu. Czuła, że zapał do odnalezienia Łukasza zmalał, a cała sprawa wydawała się absurdalna. Tymczasem spotkanie dziewczyny całkowicie zmieniało sytuację. Czyżby „Czerwony Pająk” znów planował atak? Czy nie po to zaprzyjaźnił się z nimfetką?

Sasza miała ochotę natychmiast biec na policję i zawiadomić ich o tym, kim naprawdę jest Polak. Opowiedzieć, co wiedziała z czasów pracy w CBŚ. By tym razem nie było za późno. Ale nie mogła tego zrobić. Tajemnica operacji „Calineczka”, brak dowodów. Niepewne hipotezy. Domniemanie niewinności. Zgodnie z prawem Polak był wyleczony i miał prawo zachować anonimowość. Żyć, jak chciał. Prus miała rację. Z jednej strony jej obowiązkiem jest chronić małą przed atakiem, z drugiej zaś ta dziewczyna wie, gdzie mieszka przestępca, i mogłaby ją do niego zaprowadzić. Nie potrzebowałaby wtedy akt ani wsparcia szefów placówki. Tylko że jeśli wykorzysta ją na wabia, by spełnić swój prywatny cel, narazi ją na niebezpieczeństwo. Jak miała postąpić?

– Zobacz. – Lolitka wróciła już z plikiem wielkoformatowych odbitek i czekoladkami. Otworzyła pudełko. – Dostałam od Jaskóły. Z adwokatem.

Saszę ssało w żołądku, ale odmówiła. Chwyciła zdjęcia. Bez trudu rozpoznała znajomą manierę fotografa. Grube ziarno, minimalistyczne kadry, duży kontrast, gra formą. Zdjęcia były czarno-białe, wysmakowane niczym z agencji Magnum. Prawdopodobnie wykonane aparatem analogowym. Musiała przyznać, że Polak nie stracił formy. Młoda pensjonariuszka była wdzięczną modelką. Nie mizdrzyła się do aparatu. Autorowi zdjęć udało się przełamać jej słodycz. W spojrzeniu modelki Sasza wyczuwała jednak mroczny sekret. Przez chwilę zastanawiała się, z jakiej przyczyny znalazła się tu w wieku zaledwie szesnastu lat, ale nie odważyła się jeszcze zapytać.

Wbrew obawom Saszy nie były to kadry erotyczne. Nie było też w nich perwersji, która charakteryzowała zdjęcia „Czerwonego Pająka” wysyłane do komend policji. Słowem, nic nie wskazywało na złe intencje autora. Po prostu dwa portrety w opustoszałym mieszkaniu, jakich wiele w małych miasteczkach. W dalszym planie paprotka, wzorzyste firany, meblościanka na wysoki połysk. Sasza natychmiast wyobraziła sobie wnętrze lokalu, które Polak wynajął zapewne wraz z wyposażeniem od starszej osoby. Na jednej ze ścian pod wyszywaną makatką wisiała ikona. Wyglądała na oryginał. Sasza poczuła, że jest bardzo blisko. Znajdzie go, choćby miała zawalić test na strzelnicy. Najwyżej spróbuje znów jesienią. Duchowi jakoś to wytłumaczy, zdecydowała.

– To u niego?

Lolitka potwierdziła i wyjęła z teczki kolejne dwie znacznie mniejsze fotografie. Te dla odmiany zostały wykonane w plenerze. Jedno na obsadzonej lipami ulicy, drugie na podwórku. W tle widać było murowane śmietniki z graffiti cyrylicą na ściankach. Sasza odczytała napis: „Rezać Lachów”.

– Tu wyszłam najlepiej. – Pensjonariuszka wskazała klonową ulicę. – Nie wierzyłam, że takie zdjęcie można zrobić na podwórku przed blokiem.

Sasza wzięła fotografię do ręki. Dziewczyna faktycznie wyszła doskonale, ale to profilerkę interesowało najmniej. Analizowała szczegóły tła. Próbowała zapamiętać każdy detal, by w razie potrzeby odtworzyć go w wyobraźni. W przeciwieństwie do mieszkania fotografia zawierała mnóstwo danych. Sasza była pewna, że jeśli została zrobiona w Hajnówce, z łatwością znajdzie to miejsce. Klockowaty blok z lat sześćdziesiątych, od frontu ozdobiony czerwono-białymi wzorami. Fragment sklepu, chyba spożywczego, z niedokończonym afiszem „arcz”. Za plecami dziewczyny szyld „bowski i syn”.

– Zrobił mi to zdjęcie przed swoim domem. Nawet sobie nie wyobrażasz, jaką sensację wzbudziliśmy. Ludzie na ulicy się zatrzymywali. On ma taki starodawny aparat.

– Sinar? – Sasza przełknęła ślinę. – W statywie jedna noga drewniana?

Dziewczyna się zaśmiała.

– Znasz go. Naprawdę! Co za zbieg okoliczności.

– Pamiętasz adres? – Sasza starała się ukryć podniecenie w głosie.

– Gdzieś w centrum. Zaprowadzę cię, jeśli poprosisz pana dyrektora.

Sasza już widziała, jak dyrekcja idzie jej na rękę, ale spojrzała na nią z uśmiechem.

– Jak masz na imię?

– Danka.

– Myślałam, że to prywatna klinika. I możecie wychodzić, kiedy chcecie.

– Niektórzy są tutaj dobrowolnie. Ja też, ale tata płaci za mój pobyt i każe zgłaszać personelowi, z kim się kontaktuję i kto mnie odbiera. Już kiedyś uciekłam. Przez brata. Złapali nas w Kłobucku. Zakuli w kajdanki, bili. – Zamilkła.

– Bili? – Sasza nie dowierzała. Historia brzmiała jak słaba konfabulacja.

– Policjanci – wyjaśniła pośpiesznie Danka. – Od tamtej pory bardziej mnie pilnują.

Sasza przyjrzała się Dance.

– Dlaczego tu jesteś?

Dziewczyna się zawahała.

– Moja mama zginęła. Tata był wtedy w Afganistanie. Brat się mną zajmował.

– To ten przy blejtramie? Ten, którego Łukasz nauczył malować?

Potwierdzenie.

– Jak zginęła mama?

– Jacek obciął jej głowę.

Sasza wpatrywała się w małą. Czekała. Ale dziewczyna zamknęła się w sobie. Profilerka widziała w jej spojrzeniu, że chce opowiedzieć, a jedynie boi się reakcji. Postanowiła ją nieco ośmielić.

– Dlaczego to zrobił?

– Nie zapłaciła drugiej raty za mój obóz narciarski. Jako jedyna w szkole nie pojechałam. Mówiła, że nas nie stać. Mama sprzedawała witaminy przez telefon. Chyba nikt ich od niej nie kupował. Czasem nie mieliśmy co

jeść, bo ona wszystko wydawała na koty. Cały dom był w kocich kupach. Zbierała te koty z ulicy, leczyła. Wszędzie łaziły. O nie kłócili się, jak tata wracał. Robił jej awantury, że żyjemy w slumsie, a potem znów wyjeżdżał. Jest żołnierzem. Dostał nawet kilka medali. Prawie go nie było, a jak był, to tylko leżał. Patrzył w sufit i nic go nie obchodziło. Ani koty, ani my. Schowaliśmy mamę do szafy. Z głową się nie mieściła.

– Pomagałaś bratu?

Pochyliła głowę.

– Tato miał w piwnicy piłkę do metalu. Przyniosłam ją. Jacek włączył mi na słuchawkach *Sam i Cat*. To bardzo śmieszny serial. Nie słyszałam, kiedy to się stało. Dopiero potem. Przyszedł cały we krwi i kazał mi iść do sklepu po duże worki na śmieci. W ręku miał tysiąc złotych w dwudziestkach. To były pieniądze na mój obóz. Ona miała je, ale nie chciała wydać na obóz. Wtedy jeden z kotów chorował na babesziozę i leżał pod kroplówką. Te jego leki tyle miały kosztować.

Zamilkła. Siedziała bez ruchu. Przyciskała do piersi zdjęcia, które zrobił jej Łukasz.

– Potem wyjechaliśmy. Mieszkaliśmy u znajomych Jacka w górach do czasu, aż przyszła policja. To ja się wygadałam cioci. Bo Jacek mówił, żebyśmy poszli do mamy, że tam będzie nam najlepiej, ale ja się bałam. Nie chciałam być w szafie. Tam jest ciemno.

– Ile miałaś lat?

– Trzynaście.

Sasza spojrzała na podrygujące stopy Danki, a potem jej anielską twarz. Tym razem zamknęła się w sobie na dobre.

– Jeśli będę tutaj następnym razem, poproszę pana dyrektora, żeby pozwolił mi zabrać cię na spacer. Nie uciekniesz mi?

Danka się uśmiechnęła.

– Kupisz mi lody smerfowe? To mój ulubiony smak.

– Jasne. – Sasza wyjęła iPhone i wskazała fotografie. – Mogę zrobić kopię?

– Pewnie – zgodziła się dziewczyna. – Naprawdę pójdziemy na spacer?

– Pod warunkiem że będziesz grzeczna. Słowo?

– Słowo. A ty jak masz na imię?

– Ja? – zastanowiła się Sasza, ustawiając ostrość w telefonie i fotografując każdy z istotnych elementów lokacyjnych na zdjęciu. – Jaskóła mówił na mnie Milena. Pewnie słyszałaś o mnie na terapii.

– Nie. – Dziewczyna pokręciła głową. – Ale dużo mówił o jakiejś Karolinie.

Teraz Sasza kolejną godzinę jeździła po mieście, by znaleźć miejsce, w którym Polak fotografował Dankę. Bezskutecznie. Władze miasta zarządziły rewitalizację wszystkich budynków w centrum i większość ulic zasłonięta była rusztowaniami, na których stali robotnicy i malowali budynki w jaskrawe barwy. Prawie wszystkie szyldy były zdjęte. Resztę zaś elewacji szalony architekt miejski, a może raczej cukiernik, kazał pokryć kolorami sorbetu malinowego, seledynowego lub łososiowego. Wkrótce całe miasteczko będzie wyglądało jak ciasteczkowy potwór, bo poza kakofonią barw na tynkach komuś przyszło do głowy dodatkowo umaić elewacje nieregularnymi pasami indygo. Dlatego wzdłuż budynków wiszą teraz długie płachty papieru osłaniające okna, a na tynkach mnożą się błękitne iksy, poprzeczki i pionowe cięcia.

W okolicy miejskiego targowiska przy Trzeciego Maja teren podlegający rewitalizacji się kończył, a może robotnikom zabrakło już farby, bo horyzont zasłaniał brunatny kolos Muzeum Kultury Białoruskiej, postawiony widać już w latach dziewięćdziesiątych, lecz stylistyką nawiązujący do monumentalnych budynków uświetniających siłę komunistycznej władzy w Moskwie czy białoruskim Mińsku. U jego stóp zaś wisiał szyld restauracji: Leśny Dworek. Jakiś dowcipniś dopisał pod spodem sprejem: „Leśny Stworek”, co bardzo zachęciło profilerkę do zatrzymania się. Nagle poczuła się dotkliwie zmęczona, poirytowana i głodna. Profesor Abrams w takich sytuacjach zawsze przestrzegał: „Syty nie ryzykuje bez potrzeby”. Kobieta przerzuciła więc chwilowo uwagę na dylematy kulinarne. Zwłaszcza że tablica reklamowa zachęcała, by wpaść na pielmieni, solankę lub babkę ziemniaczaną. Sasza żadnej z tych potraw nigdy nie próbowała, a ceny były zaskakująco niskie. Skręciła dokładnie wtedy, gdy zaczęło jej głośno burczeć w brzuchu.

Restaurację urządzono w stylu rustykalnym. Mimo wczesnej pory panował w niej półmrok. Wyszywane obrusy, świece w intarsjowanych pojemnikach, lakierowane korzenie. Kwiaty doniczkowe u szczytu ławek opadały girlandami na oparcia wysokich krzeseł. Większość stolików była zajęta. Widać w Hajnówce, wbrew obiegowej opinii o małych

miasteczkach, ludzie chętnie stołowali się poza domem. Sasza zajęła jedyny wolny stolik w głębi sali – dwuosobowy, przy oknie. Miała przez nie widok na ogródek piwny, w którym jedynymi gośćmi było trzech podobnych do siebie karków. Nie zajęli miejsca przy stolikach, lecz na ławie z nieheblowanego drewna. Każdy z nich trzymał w rękach gruby zwitek banknotów. Liczyli je jak profesjonaliści, spluwając co jakiś czas na palce. Kiedy podano im piwo, schowali gotówkę do reklamówki z biedronką i zrobili sobie przerwę na napitek. Sasza spojrzała tęsknie na oszronione kufle i natychmiast odwróciła głowę od okna. Skupiła się na karcie dań. Chwilę potem podeszła do niej kelnerka. Na tacy miała niedużą kamionkę smalcu ze skwarkami i czarny chleb wyglądający na domowy wypiek.

– To miejsce jest zarezerwowane – oświadczyła. Była blada jak Królewna Śnieżka, czarne włosy miała skręcone żelem „na mokrą Włoszkę” i było jej w tej fryzurze bardzo do twarzy.

Sasza się rozejrzała. Nie dostrzegła żadnej tabliczki. Mimo to wstała, rzuciła okiem na salę. Ani jednego wolnego stolika.

– Ale dziś, wyjątkowo, może je pani zająć. – Dziewczyna się uśmiechnęła. – Nie sądzę, by pan Bondaruk dziś do nas zawitał.

Po czym ustawiła starter, wyjęła bloczek i przyjęła zamówienie. Załuska wybrała barszcz ukraiński, uszka z czosnkiem i surówkę z białej kapusty. Grubo posmarowała chleb smalcem i zjadła przystawkę w ciągu kilku minut. Taki drobiazg tylko wzmógł jej apetyt. Z nudów zerknęła w okno, ale na tarasie nie było już posiadaczy reklamówki z pieniędzmi. Na betonie, pod ławą, stały tylko trzy puste kufle oraz popielniczka pełna niedopałków. Jedzenie było tutaj wyborne. W połowie porcji pielmieni Sasza zamówiła repetę. Okazało się, że mają nawet białą herbatę. Bynajmniej nie z paczki. Kiedy czekała na drugą porcję pierogów, już spokojniejsza, podjęła decyzję, że zostanie w Hajnówce na kolejną noc i do Sopotu wróci dopiero w niedzielę wieczorem. Chciała się zmierzyć z Łukaszem, cokolwiek by z tego wyniknęło. Czuła, że jest blisko celu. Zdawała sobie jednak sprawę, że szukając go jako cywil, straci zbyt dużo cennego czasu. Jeżdżąc tam i z powrotem, kilkakrotnie mijała komendę powiatową. Za każdym razem zamierzała tam skręcić, powiedzieć, że jest profilerką, i poprosić o wsparcie. Koncept nie był zły, ale nie do końca zgodny z prawem. Wiedziała z doświadczenia, że w małych jednostkach takich ekspertów jak

ona nie traktuje się zbyt poważnie i wzywa do sprawy tylko w ostateczności. Mogła też obdzwonić kolegów z firmy i spytać, czy nie znają kogoś z tutejszej komendy, ale w wyobraźni już słyszała ich rechot. Kiedy ostatnio jechała w te strony do sprawy Staroniów, nikt z Trójmiasta nie potrafił jej pokazać najkrótszej drogi na mapie.

Zostawało jej tylko jedno. Zagrać w otwarte karty. Wszystko zależało od tego, na kogo trafi i czy zechcą jej pomóc poza protokołem. Co miała im do zaoferowania? Najwyżej uśmiech i obietnicę współpracy w przyszłości. Nawet gdyby zdarzył się cud i potrzebowaliby jej opinii teraz, nie mogliby wykorzystać ekspertyzy. Nie miała rekomendacji, a dopiero w poniedziałek oficjalnie wstąpi w szeregi policji. Tej ewentualności na razie nie mogła więc brać pod uwagę. Zresztą tutejsi funkcjonariusze z pewnością nie potrzebują do swoich śledztw profilera. Zakładała, że, co najwyżej, mają tu garść dobrze sobie znanych złodziejaszków, drobnych dilerów w dyskotekach i zastęp pijanych kierowców, z którymi radzą sobie lepiej niż niejedna jednostka wojewódzka. W kwestii zabójstw region hajnowski ma prawdopodobnie stuprocentową wykrywalność, bo wątpiła, by w tym sielskim miasteczku dochodziło do morderstw innych niż nieporozumienia rodzinne. I to pewnie raz na kilka lat.

– Dzień dobry – tubalny głos wyrwał ją z zadumy.

Podniosła głowę. Przed nią stał leciwy wąsacz. Bardzo chudy i wysoki. Policzki miał wręcz zapadnięte. Ubrany był w pasiastą koszulę z fularem i jasny, klasyczny trencz. Wąska ogorzała twarz, solidna szczęka, jasne oczy, które świdrowały ją na wylot. Włosy miał niemal białe. Wciąż jednak zbyt gęste, by dać się uporządkować. Zaczesywał je do góry, niczym Lynch. Gdyby nie sumiaste wąsy, mógłby uchodzić za podstarzałego żigolaka. Budził respekt. Biła od niego moc władcy. Skonsternowana nie wiedziała, jak się zachować. Czuła, że przyszedł na swoje miejsce. To jego stolik. Teraz nie była w stanie przypomnieć sobie nazwiska, które podała wcześniej kelnerka. Przez milisekundę przeleciała jej myśl, że gdzieś go już widziała. Albo był podobny do kogoś, kogo w przeszłości znała, uderzająco podobny.

– Przepraszam, zajęłam panu miejsce. – Zerwała się. – Właściwie skończyłam już obiad. Zaraz się zbieram.

– Niech się pani rozgości. – W odpowiedzi wykonał zapraszający ruch dłonią. Był spokojny, szarmancki. – To ja przepraszam, że przeszkodziłem. Będzie mi niezwykle miło, jeśli pozwoli mi się pani dosiąść.

Uśmiechnął się delikatnie. Zmarszczki wokół oczu, ust i nosa, jeśli faktycznie były mapą jego doświadczeń, wskazywały, że ten człowiek doznał w życiu bardzo wiele. To nie był typ byłego sportowca ani też chuchrowatego intelektualisty. Raczej były wojskowy, człowiek w przeszłości noszący mundur, który nie ma problemów z samokontrolą. Z całą pewnością nie jadał tutaj starterów. Składał się z samych żył i mięśni, niczym dobrze naciągnięta sprężyna. Praktycznie zero podściółki tłuszczowej. Dlatego też Sasza nie była w stanie określić jego wieku. Ale choć postawę wciąż miał nienaganną, z pewnością dawno przekroczył sześćdziesiątkę.

– Każdy myśli, że ja wolę być sam – powiedział i położył na ławce pustą reklamówkę.

Miała taki sam nadruk jak ta, w którą będący tutaj wcześniej atleci schowali banknoty. Saszy przyszło do głowy, że Biedronka to najpopularniejszy sklep w mieście. Jak widać, zaopatrują się w nim wszystkie klasy społeczne. Bo ten mężczyzna był bardzo dobrze sytuowany. Można było się tego domyślić po jego pewności siebie i swobodzie bycia.

– A tak nie jest? – Załuska się uśmiechnęła.

– Mądra z pani kobieta – odparł i zasznurował wargi. – Jak na swój wiek, oczywiście. Ile pani ma lat?

– Trzydzieści osiem.

Zaśmiał się.

– To już z górki.

Udało mu się ją rozbawić. Rozluźniła się. Starszy pan wydał się jej nader uroczy.

Wymianę zdań przerwała im spłoszona kelnerka, która podeszła z dokładką parujących pielmieni Saszy. Zaczęła się gęsto tłumaczyć, ale Bondaruk odprawił ją gestem. Profilerka momentalnie przypomniała sobie nazwisko gościa. Mimo iż nie złożył zamówienia, dwie setki czystej

i solona słonina z krążkami cebuli oraz kwaszonym ogórkiem na owalnym talerzu błyskawicznie pojawiły się na stole. Traktowali go tutaj o wiele lepiej niż jakiegokolwiek gościa. Wskazał szkło, oferując wspólną biesiadę, ale Sasza odmówiła bez cienia żalu. Odprężyła się w jego towarzystwie. Nie potrzebowała już znieczulenia.

– Powinienem być teraz gdzieś indziej. – Piotr jednym haustem opróżnił pierwszy kieliszek. A zaraz potem, nie czekając na jej odpowiedź, wlał w siebie drugi i trzeci. Westchnął znacząco. – *Woś życcio kastrapataje. Choczam, kab nas kachali. Ale czamu? Hetaha nichto nie wiedaje*.

Sasza skończyła swoją porcję i zdecydowała się jak najszybciej opuścić lokal. Wódka podawana w tej knajpie była zimna i gęsta. Taka, jaka być powinna.

– Niech pani jeszcze zostanie – poprosił tymczasem Bondaruk. Bez trudu rozpoznała ton alkoholika, jej bezimiennego kompana z dawnych lat. Kiedyś zostałaby i przy kolejnej flaszce rozprawialiby o sprawach ostatecznych do rana. Tym bardziej musiała się zbierać. Wolała nie doczekać momentu, kiedy będzie miała ochotę umoczyć w przezroczystej cieczy choć czubek języka. Dostrzegł jej panikę. Zmarkotniał.

– Trochę się śpieszę. – Posłała mu przepraszające spojrzenie i poprosiła o rachunek.

Ale choć kelnerka ją usłyszała, a nawet wydrukowała paragon, nie podeszła do stolika, lecz na długo zniknęła za barem. Saszy zdawało się, że w nieskończoność będzie napełniać kufle piwem. Zawiesiła się gdzieś w przestrzeni między nalewakiem a szkłem i jak zahipnotyzowana wpatrywała się w bursztynowy płyn, białą pianę. Czuła wręcz pękanie bąbelków na języku. Pomyślała, że wcześnie tu zaczynają bankiet. Nie minęła nawet czternasta. Powinna stąd uciekać. I to szybko.

– *Kali czaławiek śpiaszaje, czort wiesialicsa* – zauważył Piotr. Po kilku głębszych stał się weselszy, również się odprężył. Teraz miał ochotę na rozmowy. Zdawał się nagle zaciekawiony, kim Sasza jest, co ją sprowadza do miasteczka. Ponieważ Sasza nie zrozumiała, przetłumaczył jej przysłowie i dodał, przyjmując ton ojcowskiej troski: – Jest pani jeszcze młoda. Niech pani żyje wolno. Każdym tchnieniem niech pani czerpie z życia radość.

Następnie chwycił ją za rękę. Nie wyrwała się. Było jej go szkoda. Postanowiła, że da mu pięć minut i ani chwili więcej. Doskonale wiedziała, że teraz nastąpią porady: „co robić, jak żyć”, „jak nie zejść na manowce”, „co w życiu ważne”. Jeszcze niedawno sama tak przemawiała do przypadkowych ludzi w barach. Nie potrafiła siebie uleczyć, więc ciosała kołki na głowie innym. Klasyka.

– Życia mamy aż nadto – rozwijał się tymczasem mężczyzna. – Ale za młodu nie umiemy z niego korzystać. Potem wszystko przyśpiesza, a błędy zostają. Gdybym mógł cofnąć czas. Gdybym wiedział wtedy to, co dziś wiem. Życie nie jest ważne. Ważne jest poszukiwanie. Niech pani doświadcza, wyciąga wnioski, prostuje sprawy i nigdy nie zostawia za sobą niedomkniętych drzwi. Szczerość wobec siebie i innych to wszystko, co pani ma. Nie pieniądze, miłość, praca. To wszystko marność. Trzeba być w życiu egoistą. Tylko pani i świat. Jak to brzmi! – Rozpromienił się. Był wyraźnie dumny ze swego monodramu. I miał ochotę na więcej. To było widać.

– Nie mogę tu zostać. – Sasza wskazała na puste kieliszki. – Staram się nie bywać tam, gdzie jest alkohol – wyjaśniła.

Sama nie wierzyła, że to mówi. Wymknęło się jej. Powiedziała, a dopiero potem dotarł do niej sens tych słów. Ale zaraz potem przyszła świadoma refleksja. Chciała, żeby ją zatrzymał. By powiedział: „E tam, bzdura” i siłą posadził ją naprzeciwko siebie na krześle. By z czystym sumieniem mogła się znów upić. A potem, następnego dnia, zrzucić winę na niego. Na obcego faceta w barze, który ją do tego namówił. Klasyczna ucieczka od odpowiedzialności.

Jednak Bondaruk tego nie zrobił. Zmarszczył brwi, spoważniał i natychmiast zabrał rękę z jej ramienia. Zrozumiał.

– Więc nie przyjdzie pani na moje wesele – westchnął ze smutkiem. – Będą wszyscy. Starzy i młodzi. Bogaci i biedni. Jak na fieście w bajkach. Jestem wszak tutaj prawie królem – zaśmiał się szyderczo. Wydmuchał nos w materiałową chusteczkę z monogramem. – A potem powiedzą: „I ja tam byłem, miód i wino piłem”. Zamówiłem cysternę alkoholu. I jestem pewien, że nie zostanie ani kropelki.

A więc to był właśnie starzec, o którym mówiła Danka. To na jego wesele śpieszył się dziś dyrektor Saczko. To on wreszcie jest lokalnym krezusem, który bierze sobie żonę w wieku własnej wnuczki. Nie wyglądał z tego powodu na szczęśliwego. Przeciwnie. Jakby ten ślub był niechcianym obowiązkiem, który kiedyś na siebie wziął i musiał odbębnić. Po co się żenił? Jaki problem zjadał go od środka, że aż przyszedł się upić i robił to w towarzystwie całkiem obcej osoby? Zwierzenia przy alkoholu to ułuda, miraż. Zwykle mają niewiele wspólnego z prawdą. To tylko wentyl bezpieczeństwa. Spuszczenie frustracji i forma rozgrzeszenia. Bondaruk przyszedł do baru, bo nie chciał być sam. A kto w dniu swojego wesela ucieka od ludzi? Ktoś, kto, jak ona, pragnie odkupienia winy. Za co? Nie chciała wiedzieć. Każdy ma coś za kołnierzykiem.

– Jeśli będzie tam wódka, nie sądzę, bym dotarła. – Zapłaciła wreszcie rachunek, odmówiła przyjęcia reszty. Kelnerka dygnęła, oddaliła się bezszelestnie, a po chwili była ponownie, z pełną baterią dla prezesa. – Ale życzę panu szczęścia – powiedziała na odchodne Załuska. – Niech się panu darzy na nowej drodze życia.

Spojrzał na nią i zdawało się jej, że na chwilę otrzeźwiał. W jego oczach dostrzegła obawę, może nawet strach przed tym, co nowe. To była jednak tylko chwila. Zaraz znów wzrok mu się zamglił, łyknął więc szybko kolejnego szota.

– Tylko pani i świat – mruczał w pijackim słowotoku i gestykulował obficie. – Reszta nie ma znaczenia. Niech pani słucha starca, który wie, jak to się skończy. Zna datę własnej śmierci i nie ma wątpliwości, kto przymknie mu powieki.

Kiedy wychodziła, wciąż perorował, ale nie słuchała już jego pijackich mądrości. Dała mu znacznie więcej niż kwadrans. Było to z jej strony ogromne poświęcenie, choć wiedziała, że on sam tego nie doceni. Był w apogeum choroby alkoholowej. Na samym dnie. Choć gdyby mu to powiedziała, zachęciłaby go tylko do wynurzeń, nawet kłótni. Nie widziała w tym sensu. Nie czuła się misjonarką. Niech ktoś inny go zbawia, leczy. Całkiem możliwe, że jutro, kiedy Bondaruk obudzi się z potwornym bólem głowy, nawet nie będzie pamiętał, że ją kiedykolwiek spotkał. Ale ona nie zapomni. Zwłaszcza jego ostatnich słów, kiedy wyjaśniał, dlaczego wziął za żonę tak młodą kobietę. Która go nie kocha ani on nie kocha jej. Prawdę

mówiąc, nawet się nie znają za dobrze. Wybrzmiewały w jej głowie jak echo, do czasu aż uruchomiła silnik i wyjeżdżała z parkingu restauracji. Potem zdawały się jej idiotyczne, jak każde bajania pijaka. I Sasza nie wiedziała już, dlaczego tak ją poruszyły.

– Całe życie ktoś przeze mnie doznawał krzywdy. A ja nie zrobiłem nic, by temu zapobiec. Bałem się postawić mur, powiedzieć stop. Trząsłem się o swoje pieniądze, pozycję, miejsce na ziemi. Tak naprawdę pragnąłem tylko władzy. Jeśli teraz choć jedno dziecko uszczęśliwię, będę mógł spokojnie umrzeć. Bo kiedy nadejdzie śmierć, czas rozliczenia z win, nic nie wezmę do grobu. Pójdę sam. Goły i próżny. Jak szedłem przez całe życie. Gdzie ja miałem głowę? Zbierałem nic niewarte graty. Walczyłem o kotwice, zbędny balast. Podczas gdy trzeba było czynić odwrotnie. Dziś wiem, jak to się potoczy. Co będzie, gdy potwór zerwie się ze smyczy. Bo ten powróz, który trzymał go w karbach, miałem ja. Tutaj. – Podniósł do góry pustą reklamówkę, z którą wszedł do restauracji i Sasza była prawie pewna, że to ta sama, z której wyjmowali pieniądze trzej osiłkowie. – Ale dziś go puszczam i bawię się na całego. Niech karawana jedzie dalej. Beze mnie. Chcę ostatni raz oderwać się od ziemi. I tak wszyscy do niej trafimy. Wszyscy. Ziemia, nasza pramatka, wchłania krew, czyści sumienia i zostawia ślad tylko w ludzkiej pamięci. Nawet jeśli ludzie milczą, ziemia wie. Ona skrywa wszystkie nasze tajemnice.

Przy wyjeździe z targowiska zrobił się zator. Sasza ustawiła się w ogonku aut, nie mogąc się nadziwić, że stoi w miejscu kolejny kwadrans. Wcześniej była pewna, że mieszkańcy tego niespełna trzydziestotysięcznego miasteczka nigdy nie doświadczają korków drogowych. Ulic w Hajnówce było zaledwie kilka. Całe miasto, w tę i z powrotem, można było przejechać w ciągu godziny. Tym bardziej kuriozalne wydało się jej, że w takiej dziurze nie może znaleźć bloku Polaka.

Kiedy przesunęła się bliżej bazaru, poznała przyczynę zastoju. Przed kolumną samochodów defilował mężczyzna z taczką, na której kiwała się pokaźnych rozmiarów głowa Lenina. Mężczyzna, mimo upału, odziany był w wełniany szynel ze złotymi guzikami i czapkę wojaka z czerwoną gwiazdą na otoku. Za nim maszerowało kilku tragarzy. Do białej furgonetki nieśli pakunki wyglądające jak muzealne eksponaty: flagi, manekina w stroju radzieckiego rewolucjonisty, strzelby, a także skrzynkę mniejszych Iljiczów, które mogłyby służyć jako przyciski do papieru dla dinozaura-biurwy. Każdą z tych rzeczy oglądał i archiwizował nieduży facet w sztruksowym garniturze i butach na słoninie, mającej z pewnością przydać mu kilka centymetrów wzrostu, po czym wskazywał, gdzie umieścić je na pace.

Naprzeciwko zebrała się już grupka gapiów. Stali w poprawnym rządku, w milczeniu przyglądając się widowisku. Żadnych transparentów, okrzyków, gwizdów. Tylko jedna z kobiet podeszła do człowieka z taczką i zapytała, czy może sobie zrobić słitfotę i wrzucić na Fejsa. Facet bardzo się z propozycji ucieszył. Zdjął nawet czapkę czerwonoarmisty i założył kobiecie na głowę, a potem chwilę szczerzyli się do iPhone’a. Z boku Sasza dostrzegła dwóch operatorów, którzy nie uronili z show ani sekundy. Mimo to defilada z głową Lenina w taczce została na potrzeby dziennikarzy powtórzona jeszcze kilkakrotnie. Fotografowie mieli wersję w szynelu i bez szynela.

Przedstawienie trwało do czasu, aż zniecierpliwieni kierowcy zaczęli trąbić na Wojciecha Rynarzewskiego, właściciela kultowego baru U Wołodzi, którego majątek właśnie zajmował komornik, o czym Sasza

dowiedziała się już od śledzikującego policjanta, który pojawił się nie wiadomo skąd i zaczął kolejno legitymować kierowców. Jak się okazało, na czas egzekucji komorniczej droga była wyłączona z ruchu kołowego, więc wszyscy z ogonka, jak jeden, złamali całą listę przepisów drogowych. Nie pomogło tłumaczenie, że znak zasłaniała biała furgonetka. Policjant każdemu, poza Saszą, wlepił demokratycznie po dwieście złotych kary. Tylko uniak matki Załuskiej został odholowany na policyjny parking. Ona sama zaś trafiła na komendę, ponieważ okazało się, że profilerka nie ma ze sobą dokumentów wozu, prawa jazdy, kart kredytowych ani pieniędzy. Dopiero w trakcie tej kontroli zorientowała się, że jej saszetka z dokumentami zniknęła. Współczucie do Danki, która z bratem zabiła matkę, minęło jej jak ręką odjął.

– Sympatyk CBŚ – zamruczał po raz kolejny przesłuchujący Saszę funkcjonariusz.

Białą plastikową kartę ze zdjęciem, jedyny dokument, jaki profilerka wygrzebała z torby, by uwiarygodnić swoje personalia, trzymał już w ręku tak długo, że jego kawa zdążyła wystygnąć, a fusy opaść na dno metalowego kubka.

Była to nic niewarta plakietka, którą Duch wręczył jej zaledwie wczoraj. Sasza nie poinformowała policjanta, że mógł ją otrzymać każdy, także kochanka współpracownika policji pracującego na etacie cywilnym, gdyż obstawiała na dziewięćdziesiąt dziewięć procent, że funkcjonariusz o tym wie, choć, na razie, za nic nie dawał tego po sobie poznać.

Rozejrzała się. Budynek policji był świeżo po remoncie. Wręcz pachniał nowością. Wyposażenia dyżurki mogły zazdrościć Hajnówce powiatowe komendy z najbogatszych regionów Polski. Nowoczesny sprzęt zainstalowano zaledwie przed miesiącem, o czym Załuska dowiedziała się od wolno myślącego o CBŚ funkcjonariusza, więc na razie dyżurka wyglądała jak centrum dowodzenia Star Wars. Profilerka myślała jednak tylko o tym, że chińskie przekleństwo: „Oby wszystkie twoje marzenia się spełniały”, właśnie znalazło swoje zastosowanie. Oto znalazła się u upragnionego celu – w lokalnej komendzie policji.

Przebieg tej wizyty nie był może dokładnie taki, jak to sobie wyobrażała, ale nie było źle. Sądziła, że jakoś się z tego wykaraska, a przy okazji opatrzy z ludźmi. Dmuchała już w alkomat, wypełniła wniosek o ściganie złodziejki i zadzwoniła do matki. Niestety, w sobotę w gdańskiej komendzie nie było nikogo, kto potwierdziłby personalia Saszy na telefon, Laura Załuska zaś miała głupi zwyczaj nienoszenia ze sobą komórki. Traktowała ją jak telefon stacjonarny i zarówno w gdańskim mieszkaniu, jak i na wakacjach trzymała na nocnej szafce i dzwoniła z niej o określonych porach: o siódmej rano i wieczorem.

Sasza zerknęła na antyczny zegar z kukułką wiszący nad głową policjanta. Dochodziła piętnasta. Nie było sensu ponownie się nagrywać.

Laura odezwie się, dopiero jak metalowy ptaszek zakuka siedem razy. Załuska miała nadzieję, że do tego czasu coś wymyśli i nie będzie musiała tutaj tyle siedzieć. Brat mógłby przefaksować jej paszport. Miał klucze do jej mieszkania. Niestety, odsypiał melanż, jeździł na rowerze po parkach w poszukiwaniu małolatek albo już randkował. Była przecież sobota, sam środek weekendu – ulubiony dzień tygodnia Karola. Sasza obawiała się, że jeśli wyrwał nową pannę, odezwie się najwcześniej za tydzień. Więcej bliskich nie posiadała. Rozważała, czy nie zadzwonić do Ducha, ale trochę się wstydziła. Nie byłby sobą, gdyby nie nabijał się z jej naiwności przez najbliższą pięciolatkę. Zostawiła sobie tę możliwość na czarną godzinę. Kiedy naprawdę będzie z nią krucho. Nie czuła niepokoju, raczej znużenie. Nie z takich opresji wychodziła obronną ręką. Miała jednak nadzieję, że nie wpadną na pomysł, by ją zrewidować. Znaleźliby berettę Ducha, na którą nie miała pozwolenia, a to postawiłoby ją w podejrzanym świetle i z pewnością nie poprawiło jej sytuacji.

Nagle do pokoju przesłuchań wszedł potężny wytatuowany mężczyzna i huknął na funkcjonariusza:

– Co z tym szpadlem, Błażej?

– Zabezpieczony – zaraportował natychmiast policjant. – Behemot zdejmuje paluchy. Dam znać, kiedy będą wyniki. Średni Żubr podobno kupił łopatę, żeby przekopać ogródek. Sprawdziłem. Faktycznie, sadzonki pomidorów były świeże. Potem była wielka chryja, bo musiałem sprawdzić, czy pod pomidorami nie schował jakiejś czachy. Ale gleba czysta. Matka zapluła się ze złości, kiedy zjeżdżaliśmy z Chemicznej. Musiałem ukarać ją mandatem za lżenie funkcjonariusza.

– A farba?

– Nic. – Policjant wzruszył ramionami. – Zero farby, smoły ani sprzętu graficiarzy. Zdążyli usunąć.

– To jak wziąłeś szpadel? Bez kwita? Bielsk poświadczył, czy jak jest?

– Szefowa kazała. Źle?

– Procesowo chujowo – zrymował wytatuowany i w dwóch łykach wypił młodemu kawę, po czym rozsiadł się obok Saszy. – Pani pracuje dla policji. W Gdańsku, tak?

– Mogę pracować także dla was – odparła Sasza. Natychmiast zorientowała się, że to funkcyjny. – Ale w Trójmieście mieszkam. Dlatego najwięcej zleceń mam z gdańskiej komendy.

JahJah się przedstawił. Uścisnęli sobie dłonie. To widać Frankowskiemu na razie wystarczyło, bo stracił zainteresowanie Saszą i wziął do ręki gazetę, po czym się nią zasłonił. Załuska i młody funkcjonariusz nie bardzo wiedzieli, jak się zachować.

– Nie przeszkadzajcie sobie. – JahJah podniósł wzrok znad dziennika i dźgnął młodego funkcjonariusza w bok. – Mnie tu nie ma. Hydraulicy mi kaloryfer w gabinecie naprawiają. Julian dziurę wywalił w ścianie, jakby robił podkop, i szukają teraz wiadra, bo gruz im leci na wszarze. Cała podłoga jest już w kawałach cegły. Takich przekleństw, jakie oni znają, w życiu nie słyszałem. Pani wybaczy, że nie powtórzę, gdyż niegodne to pani szlachetnych uszu – dokończył.

Gazeta nadal osłaniała JahJah’ę, ale już nie udawał, że przechodził tędy przypadkowo. Zastygł w oczekiwaniu. Zamienił się w słuch.

Błażej, pewnie by się popisać przed starszym kolegą, odłożył natychmiast plakietkę sympatyka CBŚ na bok i zaczął zadawać te same pytania od początku. Załuska zaś, starając się nie okazywać irytacji, powtórzyła złożone wcześniej wyjaśnienia kropka w kropkę. Niektóre fakty ze swojego życia osobistego i tym razem przemilczała. Natomiast o podejrzeniu kradzieży dokumentów przez jedną z pensjonariuszek mówiła już kilka razy, co podkreśliła. Trzykrotnie też zaznaczyła, że nie zna personaliów dziewczyny i widziała ją pierwszy raz w życiu. Na razie jednak, poza wypełnieniem wniosku o wszczęcie postępowania, młody policjant nie zamierzał zrobić nic więcej.

– Przyjechałam na spotkanie z dyrektorem prywatnego szpitala dla umysłowo chorych, niejakim panem Saczką. Niestety do rozmowy nie doszło. Miałam przyjemność mówić jedynie z zastępcą. Jeśli panowie mają ochotę, możecie potwierdzić u źródła. W ośrodku do niedawna przebywał pacjent, który interesuje mnie operacyjnie. To były przestępca. Przed laty uniknął procesu, ponieważ biegli stwierdzili u niego chorobę psychiczną. Niejaki Łukasz Polak. Miałam nadzieję go przesłuchać. Niestety, opuścił szpital, a pan dyrektor wyjechał na przyjęcie weselne. Rozmawiałam

z panią Prus. Z całą pewnością moje nazwisko jest w kajecie recepcji. Kobieta na dyżurce powinna mnie pamiętać. Umawiałam się oficjalnie. Wysłałam także pismo, które powinno być zarchiwizowane. Czy może pan wreszcie posłać do Ciszyni kogoś, by znalazł tę Dankę i odzyskał moje dokumenty oraz pieniądze? Ja na pana miejscu bym się pośpieszyła.

Policjanci wymienili się spojrzeniami. JahJah uniósł lekko podbródek, ale zaraz chwycił gazetę i wrócił do lektury. Błażej spiął się, jakby miał puścić cichego bąka, po czym wziął do ręki na wpół zapisaną notatkę i podniósł ją wyżej, by dodać sobie powagi. Sasza widziała, jak JahJah z trudem powstrzymuje wybuch śmiechu. Nieoczekiwanie jej samej też zrobiło się wesoło. Sytuacja była absurdalna. Widać stary testował na niej młodego. Nie zostało jej nic, tylko grać w ich show.

– Jest pani policjantką – stwierdził groźnym tonem Błażej.

– Profilerką – Sasza zaprzeczyła szybko, ale młody natychmiast jej przerwał. Nadął się i dokończył, jakby ferował wyrok:

– To będzie inna procedura. Musimy zawiadomić jednostkę.

JahJah zatrzepotał gazetą, zmiął ją i rzucił na blat stołu.

– Ona nie pracuje w policji, synu.

– Jestem człowiekiem do wynajęcia. Niezależnym ekspertem – podjęła pałeczkę Załuska. – Pomagam policji w przesłuchaniach, analizuję ślady behawioralne. Wykonuję ekspertyzy, przygotowuje taktyki przesłuchań, dokonuję konfrontacji, profiluję geograficznie.

Przerwała, bo obawiała się, że trafiła na sceptyka, który nie ma pojęcia, kim jest taki ekspert, i wcale go to nie interesuje. Przerabiała to tysiące razy. Myliła się. Choć czuła, że Frankowski pierwszy raz rozmawia z profilerem, cała zaś jego wiedza pochodzi z amerykańskich filmów, JahJah wiedział, kim jest psycholog śledczy, i nie ukrywał swojego zainteresowania.

– Dzwoń do Saczki, Błażej – rzucił do młodego. – I puść człowieka, żeby zgarnęli tę Dankę. Ile to jeszcze będzie trwało.

– Kiedy dokumenty niewypełnione.

– Zlituj się nad kobietą, chłopie. Jakbyśmy w takim tempie złodziei łapali, toby nam dyżurkę rozkradli. Później to sobie wypełnisz. Pani zaczeka. Mam rację?

– Zaczekam, ile będzie trzeba. – Sasza podziękowała uśmiechem za pomoc. – W saszetce było osiemset złotych. W setkach. Karty już zastrzegłam. Ale najbardziej mi zależy na dokumentach wozu. Chciałabym jakoś wrócić do domu.

– Czyń swoją powinność, synu – pogonił go podkomisarz. – Ja tu panią zabawię rozmową.

Młodszy policjant chwycił archaiczny model nokii i wyszedł z pokoju. Kiedy tylko zostali sami, Frankowski zwrócił się do Saszy. Wydawał się zaintrygowany. Znała ten typ. Najpierw niedowierzanie, potem test wiarygodności i wreszcie pytanie o sukcesy. Wtedy zaczną mówić o konkretach. Na koniec potencjalna oferta i sondowanie stawki.

– Pracuje pani w całym kraju? Nie macie rejonizacji?

– Nie ma nas tak wielu – wyjaśniła. – Nie jestem zrzeszona. Dotąd tak było mi wygodniej. Prawie każda komenda wojewódzka potrzebuje takiego eksperta na co dzień. W wydziale zabójstw lub kryminalnym powinien być choć jeden taki człowiek. Jeśli dostanę dobre warunki, mogę pracować także dla was – powtórzyła i uśmiechnęła się nieśmiało.

– Ma pani jakieś sukcesy?

– Jakieś tak. – Wzruszyła ramionami. Wskazała teczkę z komputerem. – Mogę?

Wyjęła z bocznej kieszeni zbindowany dwujęzyczny booklet opatrzony logo University of Huddersfield, który przekazywała komercyjnym klientom. Było to streszczenie jednej z jej prac zaliczeniowych na pierwszym roku, ale laikom wystarczało jako pigułka wiedzy o psychologii śledczej i metodach jej pracy. Wskazywało możliwości, odmitologizowało oczekiwania. Na końcu broszury znajdowały się ceny za konkretne usługi. Większość kwot zawierała cztery zera. Na tej stronie JahJah się zatrzymał. Gwizdnął przeciągle.

– To nie są tanie rzeczy.

– Jeśli przestępstw jest kilka, to najlepiej wydane pieniądze – oświadczyła. – Z pewnością skuteczniejsze niż jasnowidz czy poszukiwania za pomocą lokalnych patroli. Chyba że zależy panu na zadeptaniu śladów i spłoszeniu sprawcy.

Zaśmiał się.

– Jest pani pewna siebie.

Wszedł Błażej. Odłożył służbową cegłę i spojrzał na Saszę. JahJah odchylił się na krześle.

– Dyrektor Saczko nie potwierdził, że panią zna – oświadczył młody. I dodał bardziej do JahJah'y niż do zatrzymanej: – Co robimy? Ona nie ma żadnych dokumentów. Wóz nie należy do niej. Zatrzymanie czy mandat?

– Należy do mojej matki – westchnęła Załuska. – Wciąż mam angielski adres w papierach. Nie mogę go przerejestrować. To jakiś absurd. Powinien pan posłać kogoś do kliniki. Ta dziewczyna je ma!

– No i co będzie? – JahJah uderzył się po udach. Wstał.

Sasza wzruszyła ramionami. Było jej już wszystko jedno.

– Zostaniesz tu, Błażej – powiedział JahJah i narzucił na plecy kurtkę. – A ja wracam za półtorej godziny. Wezmę krótkofalówkę. Tam w lesie czasami nie ma zasięgu.

– A co z nią? – zaoponował młody policjant.

– Spisz notatkę. Działaj. Musimy ustalić pani tożsamość.

JahJah oddał Saszy booklet o profilowaniu.

– Proszę zatrzymać – zaproponowała. Nie bardzo wiedziała, co się dzieje.

Frankowski zwinął broszurę w rulon. Schował do tylnej kieszeni dżinsów. Wyszedł z pomieszczenia bez słowa.

Jego krzesło zajął Błażej. Rozsiadł się wygodnie i nieświadomie zaczął naśladować gesty Frankowskiego. Był jak skóra zdjęta z JahJah'y. Tyle że szczuplejszy, mniej umięśniony i nie nosił jeszcze okularów. Wykrój ust też miał inny, ładniejszy, ale może to tylko kwestia braku zarostu. Sasza dałaby sobie rękę uciąć, że jest spokrewniony z podkomisarzem. Podobna mimika twarzy, gesty i ta poza macho. Starego i młodego różniło też to, że Błażej, w przeciwieństwie do ojca, od pierwszego wejrzenia ją irytował.

– To jeszcze raz – zaczął Błażej urzędowo. – Ktoś może potwierdzić pani personalia?

Wyjął z drukarki nową kartkę, zanotował datę. Sasza zawahała się, a potem wzruszyła ramionami.

– Na razie najwyraźniej nie. Znaleźliście tę Dankę?

– Sprawa jest w toku. Na razie poza pani słowem nie mam nic więcej.

– Rozmawiałam z panią Magdaleną Prus. Mówiłam już, że dyrektora nie było. – Zerknęła z nadzieją na drzwi. Wciąż były zamknięte. – Wydaje mi się, że wyraziłam się jasno. Jak pan znajdzie tę dziewczynę, będzie miała moje dokumenty.

Policjant jakby jej nie słyszał.

– O duplikat dokumentów możemy się zwrócić dopiero w poniedziałek. Do tego czasu zostanie pani u nas. Zaoszczędzi pani na noclegu.

Załuska nie wierzyła w to, co słyszy.

– Nie ma takiej opcji – odparła butnie. – Auto nie znajduje się na liście poszukiwanych. Nie ma pan podstaw. Znam swoje prawa. Powinien mnie pan co najwyżej ukarać mandatem.

– Podszywa się pani pod pracownika MSW – stwierdził Błażej. – Sprawdziłem w systemie. Nie ma pani na liście biegłych sądowych ani też w Polskim Towarzystwie Kryminalistycznym, ani na liście naukowców żadnej polskiej uczelni.

– Bo robię doktorat na uniwersytecie w Huddersfield. Zadbałam o to, by moje nazwisko nigdzie się nie pojawiało. Profil to ekspertyza wyłącznie operacyjna. Nie muszę dawać swojej twarzy na stronę internetową.

– Tym gorzej dla pani – zauważył. – Zwłaszcza że pani Prus także pani nie zna.

– Co? – Sasza nie mogła w to uwierzyć.

– Przed chwilą z nią rozmawiałem. Zaprzeczyła, że ktoś z policji u niej był.

Sasza miała ochotę powiedzieć młodemu, że jest po prostu głupim fiutem, który wyżywa się na innych, bo ma kompleksy, ale się powstrzymała. Zamiast tego rzekła:

– Cały ten czas pan sprawdzał mnie. Nawet pan nie sprawdził, czy ta dziewczyna jest w klinice, prawda?

– Nie ma jej – odparł. – Dziś rano wyszła na przepustkę. Nie mogła jej pani spotkać w parku. Nic tu nie trzyma się kupy. Każde pani słowo zalatuje kłamstwem. Nie mamy pewności, że nie jest pani oszustką. Może ojca pani omotała. Ale ja na zagraniczne wydruki ksero się nie nabiorę.

Otworzył drzwi i krzyknął:

– Supryczyński, znajdźcie jakiś czyściejszy koc i zarezerwujcie jedynkę na dołku!

Załuska westchnęła ciężko.

– Pewien policjant z Trójmiasta. Szef wydziału kryminalnego może to potwierdzić. Musiałabym zadzwonić.

W drzwiach pojawił się szczupły brunet w mundurze. Na pagonach miał stopień starszego aspiranta. Błażej przyjął pozę szefa i z kpiącym uśmiechem powtórzył:

– Koc potrzebny. Znajdź jakiś mało używany. Nie chcemy, żeby dama dostała u nas wszy.

– Jeśli trzeba, szef kryminalnego nadkomisarz Robert Duchnowski wyśle panu stosowne pismo, że jestem stałym współpracownikiem komendy – powtórzyła z naciskiem Sasza i zatrzymała w ustach obelgę. Chłopak musi się jeszcze wiele nauczyć. – Wystarczy?

Błażej nie zareagował. Postukał tylko długopisem o blat.

– Będzie pismo, będzie wolność.

Idiota, pomyślała Sasza, ale nie powiedziała tego na głos. Włożyła do kieszeni rękę, by wyjąć telefon. Razem z komórką wyjęła dowód osobisty, którego na szczęście po wizycie w szpitalu nie przełożyła do saszetki. Położyła kawałek plastiku przed policjantem i uśmiechnęła się z satysfakcją, widząc jego tężejącą minę.

– To jakieś żarty?

– Zauważyłam, że ma pan specyficzne poczucie humoru. Radziłabym natychmiast wysłać człowieka do kliniki. Dziewczyna zawinęła mi wszystkie papiery i pieniądze. Jeśli pan tego zaraz nie zrobi, to ja złożę zażalenie do pana zwierzchnika. I to nie w komendzie powiatowej.

Błażej wpatrywał się w jej dowód osobisty, jakby wielokrotnie odczytywał jej imię i nazwisko oraz angielski adres. W końcu przepisał dane do dokumentów, podsunął jej do podpisania zeznanie. Kiedy usłyszał głos Frankowskiego dobiegający z korytarza, natychmiast wyleciał z pokoju, jakby go gonili. Drzwi pozostały otwarte, więc Sasza słyszała, jak się naradzają. Frankowski beształ podwładnego, używając słów „baszmak” i „żulik”. Z drugiej kieszeni wyjęła papierosy i zapaliła, nie troszcząc się o pozwolenie. Miała już dość tej zabawy.

Wszedł JahJah. Pod pachą miał jej booklet, rozwinął go i zaczął prostować.

– Idź, synek, do swoich kieszonek. – Przegonił Błażeja ruchem ręki. – Możesz nam przynieść świeżej kawy. Cukier jest w puszce na szafie pancernej. Tej po kakao, jak sama nazwa wskazuje. Możesz też skopać dupę Julianowi, że mnie pozbawił lokalu do czerwca. Matkę zawiadom, że po nią nie przyjadę. Jak będziesz latał przez miesiąc po piwo dla tatusia, może jej nie powiem, jaką dałeś plamę przed panią profiler.

Usiadł. Na stole postawił kryształową popielnicę.

– Jeśli to ta wariatka je wzięła, znajdziemy dokumenty. – Mrugnął do niej porozumiewawczo. Już wiedziała, że trafiła wreszcie na właściwego człowieka.

– Liczę na to. Zostałam bez grosza.

– Ma pani ze sobą broń?

Sasza zbladła. Wahała się krótką chwilę.

– Nie noszę broni – skłamała. – W mojej pracy używam intelektu. Stawiam hipotezy. Jedynie pomagam. To śledczy zatrzymują podejrzanych.

JahJah rozparł się na krześle. Był z siebie bardzo zadowolony.

– Potrafi pani znaleźć ciało?

– Pierwsze czy kolejne?

– To ma znaczenie?

– Wszystko ma znaczenie – odparła. – Również czas, jaki minął od zaginięcia. Zebrane dane wiktymologiczne. Lokacja. Taktyka przesłuchań

powiązanych z ofiarą osób. Zależy, jakie dane pan mi dostarczy i jakie sama zbiorę. Szuka pan kogoś?

Niebieski sprej skończył się, zanim Asia Pietruczuk dokończyła graffiti. Potrząsnęła opakowaniem, by wycisnąć jeszcze choć kilka kropel, ale uzyskała tylko dwa małe kleksy. Pogrzebała w saszetce przytroczonej do pasa. Komórka wysunęła jej się z kieszeni, odbiła od wąskiej deski rusztowania i runęła w dół tak szybko, że Asia straciła ją z oczu, zanim osiągnęła poziom jej stóp. Dziewczyna raczej wyobraziła sobie, niż usłyszała, głuche stuknięcie o beton.

Z trudem zaakceptowała stratę, ale pocieszyła się, że to nie ona sama spadła. Po dwudziestu ośmiu metrach lotu zostałaby z niej tylko mielonka z mięsa i kości. Tym razem musi być ostrożniejsza. Zębami przytrzymała rękawiczkę, uwolniła jedną rękę. Do połowy zasunęła zamek piterka, by nic więcej z niego nie wypadło, oraz sprawdziła raz jeszcze zawartość sprzętu podstawowego. Tak jak podejrzewała – zostały wyłącznie puste opakowania. Co za pech, a może raczej głupota. Wspinaczka na zabytkową wieżę ciśnień przy ulicy Skarpowej i spuszczenie się na linie, ryzykując upadek, bo dwa stare karabińczyki alpinistyczne z pewnością nie utrzymałyby jej pięćdziesięciu kilogramów, zajęły prawie godzinę. Malunek robiła drugie tyle. Wszystko poszło zgodnie z planem, ale nie dokończyła napisu głównego, bo wzięła o jedną puszkę farby za mało. Będzie musiała wrócić tu jeszcze raz. Nie była pewna, czy zdobędzie się na to w ciemności. Zwłaszcza wyjście poza obręb zewnętrznej antresoli napawało ją lękiem. Jutro klucze do wieży muszą być znów na miejscu. W poniedziałek wraca z delegacji jej ojciec, który jest głównym dowodzącym ekipą remontową wieży.

Asia wiedziała, że do poniedziałku w nocy robotnicy zdejmą rusztowanie, które teraz skutecznie zasłaniało ją oraz jej dzieło przed wścibskimi oczami przechodniów. Otwarcie klubokawiarni z punktem widokowym zaplanowano na wtorek. Nikt nie wiedział, jak odnowiono wieżę. Miała to być niespodzianka dla mieszkańców miasta. Burmistrz przetnie wstęgę, po schodach wędrować będzie tłum zwiedzających. Polscy Białorusini mieli zyskać tutaj kolejną cepeliadę. Asia miała dość tej polityki władz. Polaków w Hajnówce dyskryminowano. Każdy, kto odważył się

mówić głośno o tym, że miejskie pieniądze idą wyłącznie na imprezy narodowościowe, natychmiast znajdował się na czarnej liście polskich faszystów. Kilku znajomych Asi ze szkoły miało już takie łatki oraz założone sprawy w sądzie o obrazę moralności lub podżeganie. Często nie robili nic złego. Ot, przyszli z transparentem w Święto Niepodległości lub ośmielili się podniesionym głosem skrytykować działania włodarzy miejskich w trakcie oficjalnych uroczystości. Policja karała obywateli nawet za okrzyki typu „Precz z komuną” czy „Chwała Bohaterom”.

Asia nie była zaliczana do tej grupy. Nikt nigdy nie odważyłby się zakwalifikować jej do tutejszych kinderskinów, choć nosiła czarne bojówki i strzygła włosy na zapałkę. Była córką dawnego robotnika tartaku, który obecnie na zlecenie urzędu miejskiego wykonywał wszelkie prace budowlane, i wzorową uczennicą trzeciej klasy pierwszego liceum, zwanego „polakiem”, bo w Hajnówce były tylko dwie średnie szkoły ogólnokształcące. Co roku miała świadectwo z czerwonym paskiem, ale uchodziło ono za gorsze, bo nie uczyła się w tym drugim, bardziej prestiżowym liceum, z białoruskim językiem nauczania, lepiej wyposażonym i oferującym młodzieży więcej wszystkiego: stypendia, dofinansowania, lektoraty językowe, koło młodych filmowców i własną gazetę. Nawet klub siatkarski, który grał w pierwszej lidze i był finansowany z pieniędzy publicznych, ponieważ LO z BJN, jako placówka krzewiąca kulturę mniejszości narodowej, dostawało wór pieniędzy zarówno z UE, jak i licznych ministerstw. Dyrekcja szkoły szczyciła się też dobrymi kontaktami i wsparciem placówek zza wschodniej granicy. Absolwenci „białorusa” mogli liczyć na stypendia z Moskwy, białoruskiego Mińska czy innych uczelni dawnego bloku komunistycznego. Uczniowie „polaka” nie mieli szans z Białorusinami, którzy w tym mieście na każdym kroku dostawali wsparcie. Asia nieustannie słyszała w domu utyskiwania ojca.

– Tutaj władzę nadal trzymają Sowieci – powtarzał jej jak mantrę. – Hajnówka była i jest czerwona. Nic nie zmieniło się od lat trzydziestych ubiegłego wieku. To dawna osada robotnicza, enklawa potomków proletariatu. Choć w kraju niby mamy demokrację, tutaj wszystko ostało się jak za komuny, bo u sterów są byli ubecy i nowi komuniści, choćby kandydowali pod zupełnie innym sztandarem. Co zresztą robią.

Podsuwał jej różne publikacje, artykuły z prawicowej prasy. Wysyłał na e-mail linki. Nigdy jednak nie odważył się wyrazić swojego zdania publicznie. Córka zgadzała się z ojcem, ale i miała go za tchórza. Kłócili się zajadle, kiedy zarzucała mu konformizm. Ojciec nigdy nie wytłumaczył swojego postępowania. Czasami tylko bezsilnie rozkładał ręce, komentując, że on – w przeciwieństwie do niej – nie ma już wyboru. Mieszka tu od dziecka. Dzięki temu systemowi wyrwał się ze wsi, zrobił studia. Nie wyjechał, kiedy był na to czas. A teraz musi tylko dbać o rodzinę, zapewnić jej lepszy start. By jak najszybciej opuściła to miasteczko i nie musiała żyć w zakłamaniu, jak oni z matką.

– Zrozumiesz to, jak dorośniesz – zbywał ją.

– Jestem już prawie pełnoletnia – odpyskiwała.

Ojciec tylko się śmiał.

– Jeśli wejdziesz między wrony, musisz krakać jak i one.

A matka dodawała, że pokorne cielę dwie matki ssie.

– Raczej zdycha z głodu – mruczała rozzłoszczona Asia i zamykała się w swoim pokoju, by czytać o prawdziwych bohaterach. Ludziach, którzy niczego nie chcieli udawać, nawet w czasie wojny, a ryzykowali znacznie więcej. Nie utratę pracy, kontaktów, sympatii społecznej, lecz własnego życia.

Imponowała jej ich postawa. Chciała sama tak żyć. Bezkompromisowo, odważnie dokonywać wyborów. Mówić, co naprawdę myśli, i uparcie walczyć o swoje ideały. Burego, Inkę, Łupaszkę, Żelaznego i Rekina nosiła w sercu jak przyszywaną rodzinę i dlatego to właśnie ich wizerunki namalowała przed chwilą na froncie wieży. Po odsłonięciu plandek remontowych jej kolosalne graffiti przedstawiające żołnierzy wyklętych będzie widoczne już z ronda przy kościele.

To był jej hołd wobec bohaterów i jednocześnie własny coming out. Asia miała już dość bycia grzeczną dziewczynką. Przyznawała rację ojcu, ale właśnie dlatego postanowiła, że skoro otwarta walka nie przynosi efektu, należy zejść do podziemia i rozbić system od środka. Prowokację wymyśliła kilka dni temu, kiedy Bractwo Młodzieży Prawosławnej zaprosiło młodzież tutejszych szkół na projekcję filmów dokumentalnych Jerzego Kaliny. W ramach projekcji miała się odbyć dyskusja pod hasłem

„Bury – nie nasz bohater”. Dla tutejszych Białorusinów Romuald Rajs był tylko i wyłącznie okrutnym mordercą. Zbrodniarzem wojennym, psychopatą, który czerpał przyjemność w dręczeniu innych nacji niż polska. Fakt, że został pośmiertnie zrehabilitowany i odznaczony, a o jego działalności tutejsze dzieci miały się uczyć w szkołach, wzbudzał w Hajnówce wielkie emocje.

Asia była pewna, że w razie draki polscy nacjonaliści ją wesprą. Oczywiście się bała. Z jednej strony miała nadzieję, że jak najdłużej uda się jej zachować autorstwo graffiti w tajemnicy, a może nawet policja nigdy nie dojdzie, kto je stworzył, ale tak naprawdę, w głębi serca, nie mogła się doczekać, aż znajomi ze Stowarzyszenia Historycznego imienia Danuty Siedzikówny odkryją prawdę. Była przekonana, że robi dobrze, choćby mieli wyrzucić ją ze szkoły lub ukarać sądownie. Jeśli sprawa wyjdzie na jaw, weźmie winę na siebie, bo jej największa idolka – Inka – tak właśnie by zrobiła.

Nagle stopa jej się omsknęła. Asia zachybotała się. W ostatniej chwili schwyciła linę. Karabinek zaskrzypiał, zapięcie zatrzeszczało złowróżbnie, ale nie pękło. Udało jej się utrzymać równowagę. Na moment była jednak zmuszona spojrzeć w dół. Żołądek natychmiast podszedł jej do gardła, nogi zaczęły drżeć. Kiedyś cierpiała na lęk wysokości. Matka nie pozwalała jej wieszać w domu nawet zasłon, bo kilka razy córka omal nie spadła z drabiny. Cała rodzina lamentowała, kiedy Asia, jako jedyna z uczniów hajnowskiej szkoły, zakwalifikowała się na kurs językowy na „Pogorii” i zapowiedziała, że popłynie mimo akrofobii. Statek poruszał się wyłącznie za pomocą siły wiatru. Silnik „Babci”, jak pieszczotliwie zwano najstarszy pływający polski żaglowiec szkoleniowy, włączano tylko w razie sztormu. Uczestnicy kursu byli jednocześnie załogantami. Pod opieką doświadczonych marynarzy odbywali wachty, taklowali żagle, sprzątali mesę, sterowali okrętem i gotowali posiłki. Po rejsie, podczas którego Asia była po prostu zmuszona wspinać się na reje, stawiać żagle, bo inaczej straciłaby twarz i została wykluczona z grupy, dziewczyna pojęła, że akrofobię jej wmówiono, a ponadto, jak każdy lęk, można ją pokonać. Wystarczy się z nim zmierzyć, stanąć twarzą w twarz. Najlepiej na wysokości kilkudziesięciu metrów nad ziemią.

Rodzicom jednak nigdy tego nie wyjawiła. Wyjeżdżając, złożyła bowiem matce obietnicę, że nigdy nie wejdzie na reję, nie spadnie, nie osieroci rodziców. Była jedynaczką, późnym dzieckiem Pietruczuków. Wychuchanym, wyczekanym, więc ciążyła na niej odpowiedzialność woli życia za wszystkie zmarłe płody, które przytrafiły się jej rodzicom, zanim szczęśliwie przyszła na świat jako niespełna półtorakilogramowy wcześniak. Matka mówiła jej niemal codziennie, że mają tylko ją, i faktycznie na punkcie jej bezpieczeństwa wprost dostawali bzika. Dla ich dobra kłamała, że jako jedyna nie była na bocianim gnieździe, choć znajdowało się ono na najniższym poziomie jej codziennej wspinaczki, i nawet się nie zająknęła, że codziennie taklowała żagle na najwyższej, piątej rei. A czuła się tam wspaniale. Wolna jak ptak. Gdyby matka się o tym dowiedziała, niechybnie umarłaby na zawał. Asia do dziś, przed wszystkimi, wciąż udawała, że boi się wysokości. O jej tajemnicy nie wiedział nikt.

Teraz jednak dawny lęk wrócił ze zdwojoną siłą. Zamknęła oczy, pomyślała o Ince, Burym i Żelaznym. A potem przypomniała sobie powiew wiatru na Atlantyku, sól na wargach i miękko, niczym kot, przemieściła się poza rusztowanie. Przełożyła nogę za okno, odpięła jeden karabińczyk. Skaleczyła dłoń o framugę, kiedy przekładała drugą. Kiedy stała już bezpiecznie na twardej powierzchni, drugi karabińczyk rozpękł się w kawałki i runął w dół za komórką. Odetchnęła z ulgą, że znów jej się udało, choć oszalałe z wrażenia serce wprost wyskakiwało z piersi.

Szybko zbiegła po schodach i przekręciła klucz w drzwiach wieży. Na dole, choć wiedziała, że powinna jak najszybciej uciekać z ogrodzonego terenu, nie mogła się powstrzymać i poszła sprawdzić, czy graffiti robi wrażenie. Zadarła głowę i uśmiechnęła się z zadowoleniem. Z tej perspektywy nie było widać zbyt wiele. Plandeka skutecznie zasłaniała jej dzieło. Ale to tylko ją upewniło, że nikt nie odkryje malunku przedwcześnie. Kiedy się jednak wiedziało, że poza białoruskimi emblematami zaakceptowanymi przez urząd miejski na froncie wieży znajduje się monstrualny komiks, można było odczytać napis WIELKIEJ POLSKI MOC TO MY oraz dopatrzyć się twarzy bohaterów wojennych, którzy w tych rejonach uchodzili za psychopatycznych morderców. Wizerunki żołnierzy nie były oddane wiernie, Asia nie grzeszyła talentem

plastycznym, ale liczył się zamysł. Była pewna, że kiedy zostanie to ujawnione, w mieście wybuchnie prawdziwa awantura.

Odpięła saszetkę od paska, wrzuciła ją do wojskowego plecaka i obeszła wokół wieżę w poszukiwaniu kawałków telefonu. Znalazła właśnie złamany karabińczyk i kawałek obudowy komórki, kiedy usłyszała szybkie kroki, a włosy momentalnie zjeżyły jej się na karku. Natychmiast poderwała się i błyskiem ukryła za rusztowaniem. Błogosławiła teraz plandekę, która szczelnie ją osłaniała. Nie było mowy, że zostanie dostrzeżona. Miała tylko nadzieję, że nikt jej nie widział, jak wychodziła z budynku.

– Joanna?

Zamarła w bezruchu. Zacisnęła usta. Starała się nie wydać z siebie nawet westchnienia.

– Wiem, że tam jesteś. Widziałem cię, jak wychodziłaś z wieży.

Asia przymknęła oczy. Myślała szybko. Rękawiczki wcisnęła do kieszeni, rozpięła zamek kangurki i ukryła w rękawie karabinki i liny. Wybrzuszenie można było dostrzec, ale gorzej by było, gdyby miała ten sprzęt na wierzchu. Pomyślała o Ince. Co ona by zrobiła?

Nie zdążyła nic odpowiedzieć, bo ktoś podszedł bezpośrednio do niej i odsłonił folię. Przed nią stał katecheta z gimnazjum. Najprzystojniejszy nauczyciel w szkole.

– Co pan tu robi? – zdołała wydukać Asia i zaraz pożałowała, że zachowała się jak ostatnia idiotka.

Kiedyś była w nim śmiertelnie zakochana, jak prawie wszystkie dziewczęta z ostatnich klas. Leszek Krajnów miał wtedy żonę, małe dziecko i oczywiście nie zwracał na nią uwagi. Asia wiedziała, że dziś sytuacja znacznie się zmieniła. Od roku jest rozwiedziony, z trudem znosi życie w pojedynkę, bo opiekę nad córką sąd przyznał matce. Wszyscy w mieście wiedzieli, że dlatego pod pretekstem krzewienia wiary „ojcuje” młodzieży z patologicznych domów. Pomaga dzieciakom finansowo, organizuje „tajne komplety”, czyli domowe lekcje historii, prowadzi pielgrzymki na Jasną Górę. Dom Krajnowa był zawsze otwarty dla zagubionej młodzieży, której nieobce były wartości: „Bóg, Honor i Ojczyzna”. Mówiono także, że potajemnie dowodził zbrojnym

komandem, które szkolił w strzelaniu, podchodach i działaniach sabotażowych, by w razie wybuchu wojny nowi Kolumbowie mogli uratować te tereny przed przejęciem przez ruskich.

Asia w to nie wierzyła. Krajnów był głęboko religijny. Wybitnie inteligentny i łagodny jak jeden z apostołów. Był jedynym człowiekiem w mieście, który odbył audiencję u samego Jana Pawła II. Ale kacapy są skłonni wymyślić każdą bzdurę, by zdeprecjonować Polaków. W pokrętny sposób przedstawiają nawet historię najnowszą, byle tylko udowodnić, że są ciemiężeni. A sami nie zrobili nawet jednego powstania. Pochylają głowę przed Moskwą i liżą Putinowi rowek między pośladkami.

Dziewczyna nie miała pojęcia, że Krajnów tak bardzo nienawidził kacapów, że aż dołożył sobie kreskę nad „o” w nazwisku, by nikomu nie przyszło do głowy, że może mieć białoruskie korzenie.

– Spaceruję. – Uśmiechnął się jak zwykle powalająco.

Wyciągnął w jej kierunku wojskowy chlebak i rozłożył jego poły. Asia zajrzała do środka. Wewnątrz był gruby plik powielonych domowym sposobem miniaturowych plakatów z wizerunkiem Romualda „Burego” Rajsa, niebieski sprej i czarna farba.

Asia w odpowiedzi wyjęła klucz do wieży. Kiedy wspięli się do sali głównej, gdzie miała się odbyć ceremonia przecięcia wstęg, bez słowa chwyciła za jeden z pędzli i umoczyła w smole. Na godle białoruskiej Pogoni namalowali wspólnie symbol mieczyka Chrobrego, a Asia niżej, wielkimi literami dopisała: ŚWO. Dokładnie taką czcionką, jaką na tarczach mieli to wypisane żołnierze niezłomni na rękawach mundurów podziemia antykomunistycznego. Czuła się teraz jak jedna z nich.

– Śmierć wrogom ojczyzny – powiedziała patetycznie, kiedy wspinali się wyżej, by rozrzucić ulotki.

– Nasza Inka. – Krajnów poklepał ją po ramieniu.

Asia nawet na piątej rei, smagana wiatrem Atlantyku, nie czuła się szczęśliwsza.

Mariusz Korcz wyłączył silnik furgonetki swoich rodziców. Spojrzał na Jauhiena Paszkę, który siedział obok na siedzeniu pasażera, a potem odwrócił się i z tylnego siedzenia wyjął kamerę. Włączył nagrywanie i skadrował szpaler kinderskinów okupujących wejście do Hajnowskiego Domu Kultury „Górnik”. Nad ich głowami znajdował się monochromatyczny plakat z wizerunkiem dziecka, które przerażone wpatrywało się w żołnierza z karabinem. Czerwony napis głosił: „Bury – nie nasz bohater”.

– Dzwonić do Błażeja? – zapytał po białorusku Korcz.

– Puść mu szczura – odparł Jauhien. – Albo lepiej esa. Jakby było gorąco, nie zdążysz odebrać. Niech sam zdecyduje, czy dać nam wsparcie.

Wyjrzał za okno.

– Chyba ściągnęli tu wszystkich kiboli Jagiellonii.

– Raczej Wisły Kraków, chłopie – mruknął Mariusz. Rozejrzał się. – Musieli przyjechać wynajętymi autokarami. To nie są tutejsze rejestracje.

Szybko napisał wiadomość, a potem dyskretnie zrobił komórką zdjęcie zgromadzonych i je także wysłał jako potwierdzenie. Odpowiedź przyszła niemal w tym samym momencie.

– Wysyła radiowóz. – Mariusz się rozpromienił i włożył do ust truskawkową gumę balonową.

– Tylko jeden?

– Pyta, czy są uzbrojeni, i prosi, żebyś zostawił kamerę w aucie. Będą mieli na nią oko.

– Nic z tego. – Jauhien pokręcił głową i wysiadł z wozu.

Ruszyli jak rewolwerowcy do saloonu, w którym siedzi Zły. Z daleka wyglądali jak Flip i Flap. Tyle że Mariusz Korcz, szczupły i nieprawdopodobnie wysoki, byłby zanadto przystojny, by zagrać Flipa. Choćby był wściekły, patrzył łagodnie jak wierny pies i właściwie nie było kobiety, która nie chciałaby się nim zaopiekować. Długie włosy nosił zaplecione po babsku, co zmiękczało mu jeszcze bardziej rysy i przydawało

uroku, lecz musiało drażnić nazioli jak czerwona płachta byka. Z pewnością mieli go za pedzia. Jauhien zaś był łysy, napakowany i spokojnie mógłby zamienić się miejscami z którymś z delikwentów przed wejściem. Dziś też – w przeciwieństwie do Korcza – nie włożył garnituru, ponieważ takowego nie miał. W „pogrzebówkę” od matury dawno się nie mieścił w barach. Nie włożył też gładkiego czarnego T-shirtu, który zwykle służył mu jako strój wieczorowy. Z prostej przyczyny – miał takie tylko dwa i oba były brudne. Przyszedł więc w polówce Freda Perry’ego, a na głowę wrzucił patelnię z napisem „Kryminalna Piła”. Na ich widok już z daleka łysi zaczęli skandować, ale zaraz dostrzegli kultowy laur Perry’ego na piersi Jauhiena i rozstąpili się skonsternowani.

Wewnątrz, przed drzwiami do sali kinowej, czekała już Marysia Sofińska z Bractwa Młodzieży Prawosławnej, która organizowała projekcję filmu. Na ekranie wyświetlono wielki plakat – ten sam, który wisiał przed wejściem. Jego przekaz był jasny. Psychopata z karabinem w polskim mundurze za chwilę zabije bezbronne dziecko.

Sala była pełna, choć kibole sprzed wejścia nie zaszczycili jeszcze publiki swoją obecnością. Jauhien rutynowo skręcił przebitkę, a potem usiadł w wyznaczonym miejscu na scenie i wyjął elektronicznego papierosa. Obok niego umiejscowił się Mariusz, poprawił fular. Podeszła Marysia, rozdała mikrofony.

– Dziękuję państwu za tłumne przybycie – powiedziała. Przedstawiła socjologa oraz reżysera. Jauhien i Mariusz skłonili się. – Ale zanim zaczniemy tę kontrowersyjną dyskusję, zapraszam państwa na pokaz filmów dokumentalnych o zbrodniach dokonanych na naszych terenach przez oddział zbrojnego podziemia dowodzonego przez Romualda Rajsa „Burego”.

Nagle drzwi się otworzyły. Wszedł Leszek Krajnów w asyście młodzieży ogolonej na łyso, glanach zasznurowanych na biało-czerwono w bojowy ukośny wzór i czarnych flyersach. Było wśród nich też kilka dziewcząt. Musiały przed wejściem ograbić jedną szczękę na Rubel Placu, bo wszystkie miały na sobie dopasowane odblaskowe dresy w kolorze reprezentacji narodowej.

– Jestem tylko prostym operatorem. Nie spodziewałem się aż takiej frekwencji – zażartował Jauhien, ale nikt się nie roześmiał, więc dodał już całkiem poważnie: – Reżyser filmu Jerzy Kalina jest chory. Przepraszał, że nie może przybyć. Mamy nadzieję, że będziemy godnie reprezentować współtwórcę.

Rozległy się brawa. Jauhien chciał chwycić kamerę, ale Mariusz zdążył powstrzymać go gestem.

– Błażej może nam dać tylko jeden patrol. Nie prowokuj.

Z pierwszego rzędu zerwał się prawosławny ksiądz i stanął przy wejściu do sali niczym cerber. Autorytet sutanny skutecznie zatrzymał Krajnowa i jego chuliganów. Doszło do krótkiej wymiany zdań. Wreszcie pop sięgnął po środki ostateczne.

– Tamten pan jest pijany – naskarżył dyszkantem.

Po czym zaczął się zajadle kłócić z dobrze odżywionym trollem w pikowanej kurteczce w romby, sięgającym mu do koloratki.

Krajnów dał znak swoim podopiecznym niczym komendant oddziału. Kibole zatrzymali się w pół kroku. Leszek podszedł do trolla, obwąchał go jak pies, po czym strzelił go kantem dłoni w ucho.

– Zaczekaj na zewnątrz, Konrad – wydał polecenie. – Pogadamy po projekcji.

Kiedy brodaty krasnal opuszczał salę, z tylnych rzędów padło kilka szyderstw.

– Lewandowski nogami do przodu! Zbierają na tacę, żeby świętemu Buremu pomnik postawić. Polacy do kościoła! Dać Rzepie wódki!

Atmosfera wyraźnie się rozluźniła, co stawało się niesmaczne, biorąc pod uwagę temat spotkania. Ale wszyscy w mieście znali tego hejtera. Lewandowski pod pseudonimem „Rzepa” lub „Rzecz Pospolita” wypluwał nacjonalistyczny jad na forach internetowych, pisywał do „Naszego Dziennika” i prawicowych portali. Był znanym naziolem i sam o sobie mówił z dumą „polski faszysta”. A kiedy został sfotografowany ze swastyką na transparencie podczas ostatnich obchodów Święta Niepodległości, chwalił się tym na Fejsbuku. Bardzo się zdziwił, kiedy

prokuratura wezwała go na przesłuchanie. Nie omieszkał napisać o tym do „Naszego Dziennika”.

Krajnów spojrzał teraz w stronę rozbawionej publiczności i przemówił:

– Jesteśmy Polakami i mamy prawo tu być. Żyjemy w wolnym kraju.

A potem zwrócił się do popa:

– To otwarte spotkanie. Nie może nas ojciec wyrzucić.

Słowo „ojciec” dobitnie podkreślił. Ksiądz natychmiast zrobił się czerwony.

– Tylko bez awantur, proszę. – Przesunął się.

– A kto się awanturuje? – Krajnów uśmiechnął się tajemniczo. I dodał kilka tonów głośniej: – Wasi widzowie.

Wśród dresiarzy rozległ się szmer.

– Pan za nich odpowiada – odciął się pop. I uśmiechnął się. – Chyba dobrze się rozumiemy, panie Lechu?

– Za kogo mnie ojciec ma? – Krajnów z godnością dowódcy pomaszerował do pierwszego rzędu. Zajął centralne miejsce naprzeciwko zaproszonych gości. Usatysfakcjonowany dał znak reszcie. Mariusz i Jauhien patrzyli teraz, jak tłum kiboli w milczeniu wlewa się do sali i ustawia pod ścianami na baczność, niczym oddział prewencji na meczu piłkarskim. Żaden nie usiadł, ale i żaden nie miał w ręku pałki ani innej broni. Tylko ich zacięte miny świadczyły, że są cały czas w pełnej gotowości do ewentualnej walki. W sali było teraz cicho jak makiem zasiał. Milczący nacjonaliści zdawali się znacznie groźniejsi. Żaden odważny Białorusin nie śmiał nawet pisnąć. Zgasło światło, pojawiły się napisy, z głośników puszczono pierwsze takty wojennej piosenki. Nagle taśma się zerwała, zapadła cisza. Znów rozbłysły jarzeniówki.

Ponieważ projekcja się opóźniała, Mariusz wszedł na Fejsbuk i umieścił zdjęcie szpaleru skinów na swoim profilu. Z satysfakcją obserwował, jak lawinowo rośnie mu liczba lajków. Jauhien już przed wejściem wyciszył telefon. Położył teraz kamerę na kolanach, uprzednio jednak dyskretnie nacisnąwszy przycisk REC. Zastanawiał się, co ma o tym sądzić. Zaniepokoiło go, że grupa była nadzwyczaj liczna, a na hajnowskich patriotów składała się zaledwie garstka gimnazjalistów plus kilku

chłopaków z zawodówki, którym chodziło głównie o spuszczenie pary z gwizdka w trakcie bójek niż o ojczyznę. Jauhien znał ich wszystkich i te twarze również dostrzegał w tłumie.

Martwiło go coś innego. W dzisiejszej obstawie Krajnowa rozpoznawał kiboli z Białegostoku, Bielska Podlaskiego, a nawet Krakowa. Naziolskich sportowców. Ludzi, którzy mieli w nosie wartości patriotyczne. Po prostu lubili się ponaparzać. Jauhien wiedział o tym lepiej niż ktokolwiek inny, ponieważ rok temu robił zdjęcia do filmu o nich dla TVN-u. Spędził w tym towarzystwie prawie pół roku i znał ich metody. Teraz, kiedy patrzył na ciasny szpaler łysoli przy ścianie „Górnika", wietrzył kłopoty. Nawet jeśli dziś uda im się wyjść z tego cało, zbiera się tu na burzę, i to z gradobiciem. To tylko kwestia czasu. Postanowił pomówić o tym z Mariuszem, kiedy będą wracali do Bielska. Na jego nosa wkrótce cała Polska usłyszy o małym miasteczku o nazwie Hajnówka. I tym razem nie będzie to relacja z festiwalu muzyki cerkiewnej w paśmie Telewizji Polonia. To będzie *prime time*. Wszystkie programy informacyjne będą grzały temat, a na gorących paskach pojawi się napis: wojna polsko-białoruska. Był tego niemal pewien.

Korcz wyszedł już z chyba z Fejsbuka, bo machał Jauhienowi wyświetlaczem telefonu przed oczami, a twarz całkiem mu zbielała.

– Co jest? – wysyczał Paszko.

– Radiowóz był i pojechał. Szukają jakiejś podejrzanej – wyjaśnił socjolog. – Żeby mi tylko szyby w aucie nie zbili. Wziąłem wóz bez wiedzy starego.

– Jakby co, wszystko będę miał na taśmie. – Jauhien rozparł się w fotelu i zamarkował gest, że chwyta za sprzęt.

Kilku łysych natychmiast zaprotestowało. Marysia pokazała, by operator odłożył kamerę. Potem złożyła dłonie jak do modlitwy i zrobiła dzióbek.

– Tak tylko żartowałem, Maniu. – Jauhien wzruszył ramionami i pochylił się do Korcza. – Zobaczysz, dziś nic nie będzie. To na razie tylko manifestacja siły. Pogrom w przyszły wtorek. Chyba że nadarzy się lepsza okazja. Ale już szukają pretekstu do bójki. Zważaj na słowa.

– Jakby co, za sceną jest boczne wyjście – szepnął Korcz. – Nie chcę mieć obitej gęby przed rozpoczęciem kampanii wyborczej. Auto postawię

z tyłu, koło cerkwi. Tam mnie szukaj.

Jauhien machnął ręką.

– Dam se radę. Bylebyś mnie tu nie zostawił, tchórzofretko – mruknął, a potem wskazał coś palcem.

Korcz się odwrócił i w tłumie nacjonalistów dostrzegł Asię Pietruczuk. Zdziwił się. Była córką jego przyjaciela, który w zamian za załatwienie kontraktu budowlanego z bielskim urzędzie wspierał finansowo jego kampanię wyborczą. Teraz jeden z łysych przesunął się szarmancko, by zrobić dziewczynie więcej miejsca. Wyglądało na to, że młoda od Pietruczuka dobrze się czuje z tymi ludźmi. Poklepywali ją po plecach, traktowali jak swoją. Dziewczyna spłoniła się, kiedy Zaspa – wielokrotnie karany za zakłócanie porządku w trakcie wystąpienia starosty i nazywanie go esbekiem, komuchem i czerwonym pająkiem – oddał jej swojego Freda Perry'ego w pepitkę, ale ochoczo skorzystała z oferty i ustawiła się w miejscu, skąd miała lepszy widok na scenę. Paszko widać czytał w myślach Korcza, bo nachylił się do ucha kolegi i rzekł:

– Młoda jest. Krew jej się burzy. W takim wieku każdy chce wojować.

– Wolałbym, żeby burzyła się jej w ramach Ruchu Autonomii Podlasia. Potrzebujemy takich działaczek. Andriej mi ją obiecał na działaczkę, a tu taka niespodzianka. Tak Małej Białorusi nie stworzymy.

Paszko się zaśmiał.

– Przecież ta partia nie istnieje. Ostatnio w wywiadzie zaprzeczyłeś, że chcesz przesunięcia granic.

– Mała Białoruś jeszcze nie istnieje. Ale daj mi pięć lat. Będzie istniała. A Ruch Autonomii Podlasia to ja. Tylko na razie lepiej wystartować z Korwinem. W wielu sprawach się zgadzamy.

– Białoruski faszysta.

Piękną twarz Korcza rozjaśnił szeroki uśmiech.

– I do tego skuteczny.

Zgasło światło. Na ekranie pojawiły się wreszcie napisy czołówki i tytuł filmu: *Jako i my odpuszczamy*.

Pod Carską nie było już miejsca, więc Romanowska zaparkowała na poboczu i przeszła te sto metrów piechotą. Wieża starego dworca kolejowego, w której nowożeńcy mieli spędzić noc poślubną, udekorowana była żywymi czerwono-białymi kwiatami tworzącymi wzór białoruskiego haftu. Romanowska minęła ją bez zatrzymywania. Wieża w żadnym wypadku nie budziła w niej takiego zachwytu jak w zatrzymujących się tu nieustannie turystach. Niektórzy wysiadali z wozów i robili sobie na jej tle selfie. Krystynie tak ekstatycznie wystrojona budowla kojarzyła się najwyżej z mrocznym skrzydłem zamku Sinobrodego.

Na torach stały wyremontowane lokomotywy, w pełni przystosowane do potrzeb restauracji, hotelu i sali balowej. Mimo iż kompleks był rozległy, Romanowska szybko się zorientowała, gdzie będzie celebrowany przedweselny obiad. Nie wzięła zaproszenia, ale nie sądziła, by ktoś je zamierzał sprawdzać. Sądząc po markach zaparkowanych aut, do Carskiej przybyła wyłącznie hajnowska śmietanka. Przed wejściem do dawnej poczekalni kolejowej stał dwudziestoosobowy chór. Wraz z młodym akordeonistą czekali tylko na znak, by rozpocząć przyśpiewki. Jeszcze nie zaczęli śpiewać, a Krystyna już czuła, że będzie ją bolała głowa.

Kelnerka uczesana w rosyjski kok, niechybnie potomkini jednej z trzech sióstr Czechowa, skłoniła się lekko komendantce, kiedy ta stanęła u wejścia. Poprosiła o płaszcz, ale Krystyna spiorunowała ją wzrokiem. Nie pojechała na obiad w mundurze, ale też nie była w stanie zmusić się do przywdziania toalety, w jakie z pewnością będą wystrojone małżonki lokalnych notabli. Widać jednak w czarnych cygaretkach, białej koszuli rozpiętej do trzeciego guzika oraz smokingowej marynarce nadal wyglądała tak, jakby pracowała w służbach mundurowych. Sportowego zegarka nie zdjęła. Jedynymi kobiecymi elementami jej stroju były buty na szpilce i lakier do paznokci, który nałożyła specjalnie na tę okazję.

Wnętrze urządzono ze smakiem. Zachowano klimat dawnej Rosji z iście muzealną precyzją. Na stołach szydełkowe serwetki, turkoczące samowary. Ściany udekorowano ikonami, zdjęciami rosyjskich rodzin lub autentycznymi obrazami z epoki. Ani śladu kiczu czy przeładowania.

Romanowska była tutaj wcześniej tylko raz i to służbowo. Pamiętała, że wtedy za czaj z konfiturą, zupę z borowików, bliny z kawiorem i kawałek sernika zapłaciła jak za tygodniowe zakupy w Kauflandzie. Ciastko jednak, choć niewarte aż takiej ceny, wprost rozpływało się w ustach. Mimo to chciała wtedy jak najszybciej wyjść, bo bała się, że pobrudzi wykrochmalony na sztywno obrus i pociągną ją za to do odpowiedzialności. Teraz tamta sala była opróżniona. Krzesła ustawiono pod ścianami, odsłaniając oryginalną klepkę. Romanowska domyśliła się, że jutro będzie tu potańcówka. Z jednej z bocznych sal, przystosowanych do kameralnych przyjęć, dochodziły już odgłosy stosowne dla biesiady.

– *Budźcie zdarowi*, Geniu – usłyszała toast, kiedy kelnerka otworzyła jej drzwi.

Romanowska skłoniła się zebranym. Kilku mężczyzn natychmiast poderwało się, by ją powitać. Przykleiła do twarzy oficjalny uśmiech i kolejno ściskała dłonie. Nieformalna starszyzna miasta liczyła siedmiu mężczyzn i siedzieli oni przy głównym stole. Byli w dojrzałym, a niektórzy sędziwym wieku.

Krystyna natychmiast rozpoznała Adama Gawła, starostę powiatu; Tomasza Terlikowskiego, poprzedniego komendanta policji zwanego Starym, którego gabinet aktualnie zajmowała; Mundka Sulimę, właściciela telewizji kablowej, zwanego Małym Wujkiem, gdyż mierzył niespełna metr sześćdziesiąt i teraz też ledwie wystawał znad stołu; Krzysztofa Saczkę, dyrektora prywatnej placówki Ciszynia dla umysłowo chorych na Lipowej, oraz Anatola Piresa, założyciela liceum z białoruskim językiem nauczania z nieodłącznym psem sfinksem u stóp, któremu każdy ze „sprawiedliwych” rzucał co lepsze kąski z pańskiego stołu. Szóstego starca, ubranego jak łachudra w stary pocerowany garnitur, lecz z zawadiacką muchą w grochy pod brodą, znała doskonale, choć od kilkunastu lat nie zamienili nawet słowa. Siwą szczecinę na głowie mężczyzna miał gęstą jak u teriera, lecz jako jedyny z towarzystwa był gładko ogolony, bez wąsów, co jeszcze bardziej podkreślało jego nadmierną tuszę. Miał z osiemdziesiąt lat, jeśli nie więcej. Siódme miejsce było puste. Nakrycie również wyglądało na nieużywane. Domyśliła się, że krzesło zarezerwowano dla pana młodego – Piotra Bondaruka. Najwyraźniej jednak goście doskonale bawili się bez gospodarza.

Ci, którzy dodatkowo dostąpili dziś zaszczytu zaproszenia na obiad do Carskiej, jak choćby Krystyna, mogli czuć się wybrani. Zajmowali mniejsze stoliki, ustawione wokół głównego niczym planety Układu Słonecznego. Faktycznie to jednak siedmiu sędziwych starców, a nie figuranci z urzędu miejskiego ani nawet nie burmistrz, trzymało w swoich rękach realną władzę. Każdy to wiedział. Nawet dziecko w podstawówce, choć jeszcze sobie tego nie uświadamiało. Ale trzeba przyznać, że większość zasłużonych dla miasta drobniejszych urzędników znalazła się dziś tutaj i była już porządnie pijana. Krystynę usadzono przy stole bocznym, tuż obok głównego. Plecami stykała się z łachudrą, którego znała.

Rozejrzała się, kto przyszedł. Obok niej z żartów pięciu białoruskich radnych zaśmiewał się do rozpuku burmistrz. Dalej dostrzegła trzech synów Bondaruka. Wszyscy, jak jeden, z kwaśnymi minami. Oczywiście kapelan, czterech popów, wiecznie nafuczony i z rozbieganym wzrokiem dyrektor białoruskiego Radia Racyja, łagodny jak labrador właściciel Rubel Placu, dyrektor więzienia, którego żona dzierżawiła od miasta dół muzeum białoruskiego i prowadziła restaurację Leśny Dworek, oraz schorowany szef szpitala. Do tego pięciu przedsiębiorców, w większości konkurentów drzewnych Bondaruka, którzy co jakiś czas oglądali się na puste miejsce przy stole głównym i konfidencjonalnie do siebie szeptali. Większość biesiadników musiała obradować w Carskiej dobrych kilka godzin, bo na twarze wystąpiły im rumieńce od nadmiaru wypitej wódki. Nagle jeden z lizusowatych radnych zachybotał się na krześle i oblał Romanowską czerwonym winem. Zdążyła się uchylić i oszczędzić białą koszulę. Zawartość kieliszka wsiąkła w krzesło, marynarkę i wlała się jej do torebki.

– Co za refleks – pochwalił ją burmistrz. – To jest kobieta dynamit.

– Ja już bym był cały zalany – podlizywał się inny radny i zaczął przepraszać Romanowską w imieniu kolegi. – Wapniak to słoń w składzie porcelany. Dlatego zajmuje się u nas budownictwem.

– A ty, chłoptasiu, nie podskakuj – śmiał się burmistrz. On chyba najlepiej się bawił w tym gronie. – Jakbyś zniszczył bluzkę pani komendant, byłbyś już wylany.

Romanowska udała, że bawi ją ich gadanie. Wstała od stołu i zdjęła marynarkę. Zawiesiła ją na krześle. Chciała udać się do toalety, by choć trochę się osuszyć i sprawdzić, jak się czuje jej glock po dwustu mililitrach wina, ale gość siedzący za jej plecami wpadł widać na podobny pomysł, bo odsunął krzesło w tym samym momencie i zablokował jej przejście.

– Dziadzia Mikołaj. Rzeźnik – przedstawił się ochrypłym głosem i skłonił się jej z szacunkiem.

– Nesteruk i spółka – padło z głębi sali. – Najlepsza palcówka w mieście. I salceson we flaku. Można popróbować, jest jeszcze resztka na półmisku. Ale czosnkowy.

Rozległy się śmiechy.

– Znamy się – odpowiedziała i wyciągnęła ku niemu rękę. – Krystyna Romanowska. Z policji. Trochę się zmieniłam.

Rzeźnik należał do pokolenia, które kobietom dłoni nie podawało. Chwycił ją za czubki palców i cmoknął ku uciesze rajców.

Kelnerka ustawiła przed komendantką nowe nakrycie, nalała wódki do solidnego stakana. Romanowska, stojąc w samym środku bankietu, mogła się rozejrzeć. Była jedyną kobietą w tym gronie.

W tym momencie do najmłodszego, najdrobniejszego i najprzystojniejszego z synów Bondaruka – jasnowłosego Tomika, podbiegł kelner. Na srebrnej tacy przyniósł mu zapieczętowaną kopertę, a potem dyskretnie nachylił się do ucha mężczyzny i szepnął mu kilka słów. Rozległy się przytłumione głosy.

Tomik uderzył trzykrotnie w kryształowy kieliszek. Choć miał dopiero dwadzieścia lat, znał wszystkie tajemnice i plany zakładu i uchodził za prawą rękę ojca. Z tego powodu bracia – Wasyl i Fionik – nie znosili go. Tworzyli przeciwko niemu wspólny front. Gdyby jednak przyszło im walczyć o spadek, utopiliby się wzajemnie w łyżce wody. Każdy z synów Bondaruka miał inną matkę.

– Są już wszyscy. Możemy rozpocząć – zaczął przemowę Tomik. Ręce mu drżały. Romanowska zastanawiała się, czy z przepicia, czy może ze zdenerwowania. – Ojca zatrzymały ważne obowiązki biznesowe. Poprosił

mnie, bym odczytał państwu ten dokument. Jego treść i dla mnie jest zagadką. Widzę ten list pierwszy raz na oczy.

Uśmiechnął się chytrze i zaprezentował pieczęć na dokumencie. Mężczyźni przestali jeść. Przez chwilę nikt nie sięgał po kieliszek. Dla wszystkich było jasne, że nieobecność pana młodego oznacza kłopoty. Wtedy zadzwoniła komórka redaktora naczelnego tutejszej gazety. Sierioża Mikołajuk, szef „Gościńca” wyszedł z nią przy uchu, zasłaniając szczelnie słuchawkę.

Tomik komisyjnie rozerwał kopertę, wyjął czerpany papier listowy i szybko przeleciał go wzrokiem. Podniósł do góry. Wszyscy mogli się przekonać, że tekst był krótki, napisany odręcznie. Bondaruk nie używał sprzętu elektronicznego, nie odbierał mejli. Wszystkie sprawy załatwiał twarzą w twarz lub telefonicznie. Ale mało kto w mieście miał numer jego komórki. Nawet zagraniczni kontrahenci kontaktowali się najpierw z jego asystentami.

Ku zdziwieniu Romanowskiej tekst był po białorusku. Oczywiście znała ten język. Mieszkała tutaj tak długo, że musiała się go nauczyć. Obawiała się jednak, że jeśli będą tam trudniejsze sformułowania, nie pojmie niuansów. Najwyraźniej nikt nie zamierzał tłumaczyć na polski. Zebrani wpatrywali się wyczekująco w młodego Bondaruka i czekali na wybuch bomby.

Ja, Piotr Bondaruk, syn Stanisława i Aliny, urodzony w Zaleszanach w 1948 roku, w dniu jutrzejszym wstąpię w związek małżeński z Iwoną Bejnar, lat dwadzieścia pięć. To będzie mój pierwszy związek małżeński i ostatni, jaki zawieram z kobietą w moim życiu. Jeśli Bóg da mi jeszcze jakieś potomstwo, w co wątpię, będę rad i zadbam, by zostało zabezpieczone do końca swych dni, podobnie jak jego matka oraz jej rodzina.

Bardzo proszę o odczytanie tego listu do ostatniej linijki w obecności wszystkich zaproszonych gości. Nie bacząc na treść ani osobiste obiekcje. Chcę, by moja wola stała się publiczna, a taka być może tylko wtedy, gdy poznają ją włodarze tego miasta.

Licząc się z rychłą śmiercią, oświadczam, że od dnia jutrzejszego, jako pełnoprawny mąż Iwony Bejnar, odchodzę na zasłużoną emeryturę. Będę wędkował, pił bimber na tarasie i jadł słoninę, której zabrania mi kardiolog, przedsiębiorstwo zaś przekażę w młodsze ręce, by dalej rozwijało się prężnie, a nie zostało rozgrabione i zmarnotrawione.

Każdy z moich trzech synów otrzyma notarialnie potwierdzony dokument, w którym zostaną wskazane dobra, jakie mu przekazuję. Jednak zakład, który jest zarówno dobrem moim, jak i całej tutejszej społeczności, gdyż tartak zbudowaliśmy wspólnie, a ja go jedynie przez lata rozwijałem, musi być zarządzany przez osobę do tego kompetentną. Żaden z moich synów nie spełnia tych wymagań. Tomik jest wykształcony, lecz tchórzliwy.

Tomik przerwał. Odchrząknął. W pomieszczeniu panowała cisza.

– Nie wiem, co ojciec chciał osiągnąć, pisząc ten list – powiedział po polsku.

– Ojciec kazał czytać, więc jedziesz, chłopie – popędził Tomika rozbawiony Wasyl.

– Sam chciałeś – burknął brat i ponownie rozprostował kartkę.

Fionik przepuści każdą złotówkę na spódniczki, a Wasyl nigdy nie interesował się przedsiębiorstwem, więc teraz też nie będzie musiał. Niniejszym oświadczam, że majątek mój zdecydowałem przekazać swojemu czwartemu nieślubnemu synowi. Znają go państwo zapewne. To redaktor Mikołajuk. Sierioża, wybacz, że tak się dowiadujesz. Taka była jednak wola twojej matki.

W sali zawrzało. Romanowska obserwowała twarze obecnych i chciało jej się śmiać. Miała wrażenie, że jest w teatrze, uczestniczy w inscenizacji. Synowie już zaciskali pięści ze złości. Po czymś takim z pewnością zbojkotują ślub i zaskarżą ojca do sądu. Lubiła Mikołajuka. Był drobnym, nieszkodliwym cwaniaczkiem idącym z różnymi ludźmi na układy, ale dało się z nim dogadać. Często dostarczał jej nieoficjalnie dane. Kiedyś mówiono by, że donosi. Czasy się jednak zmieniły. Teraz nazywało się to przysługą. Współczuła mu jednak niepomiernie. Po takiej akcji chłopak miał przekichane. Tej decyzji nikt oficjalnie nie skrytykuje, ale ludzie

zaczną gadać. Czuła, że będzie dym. Dla niej oznaczało to, że wesele bogacza musi być pilnowane szczególnie. Wyjęła komórkę i napisała esemes do JahJah'y, żeby szybko wysłał radiowóz pod Carską. Prewencyjnie. Ostrożności nigdy dość. Jak się popiją po takiej wiadomości, wszystko może się wydarzyć. Podkomisarz natychmiast odpisał, że radiowóz już stoi, ale on sam po nią nie przyjedzie, bo ma pilniejszą sprawę. Po czym dodał jako PS: „Jakiś troll zawinął godło z Górnika. Dyrektor domu kultury siedzi mi na linii". Nie odpisała. Skoro miał u siebie tyle roboty, nie chciała mu przeszkadzać.

– Niech pan czyta dalej. Wódka stygnie – popędził Tomika rozochocony burmistrz. Był niezwykle ciekaw, co jeszcze wymyśli niesforny Piecia. Burmistrz podejrzewał, że to tylko głupi żart. Ojciec sprawdza w ten sposób synów, swoich sojuszników, dalszych i bliższych kontrahentów. Tak mogło być. Bondaruk był znany z tego, że robi, co chce i kiedy chce. W żadnym wypadku nie przejmując się, co ludzie powiedzą. Był człowiekiem, którego można by określić mianem MOGĘ WSZYSTKO, i faktycznie tak było. Prawdopodobnie przez swoją niesubordynację i bezwzględne dążenie do własnych celów, nie oglądając się na innych, w tak trudnych czasach zgromadził aż taki majątek. Ale dziś przeszedł samego siebie. To był jego najlepszy numer w życiu. Miał facet jaja. – Ojciec kazał czytać bez względu na okoliczności. To czytaj pan albo ja dokończę – zbeształ młodzika.

Najmłodszy syn Bondaruka zmierzył rajcę zimnym spojrzeniem, ale podniósł kartkę i kontynuował:

Jeśli Sierioża zechce pracować z moimi synami, zezwalam pozostać im na stanowiskach. Jeśli zaś odmówi objęcia mojego stanowiska, niniejszym ogłaszam konkurs, w którym może wziąć udział każdy mieszkaniec miasta, niezależnie od płci. Warunkiem jest, by spełniał kryteria: był Białorusinem, nie przekroczył pięćdziesięciu lat i miał kompetencje do zarządzania zakładem drzewnym. Jeśli któryś z szanownych gości wpisuje się w ten wzór, może przystąpić do konkurencji. Powodzenia. W przypadku mojej gwałtownej śmierci, także naturalnej lub na taką wyglądającej, osobę zarządzającą przedsiębiorstwem wyznaczy dziadzia Mikołaj Nesteruk. Moja wola jest ostateczna, a decyzję tę podjąłem w pełni władz umysłowych i na

trzeźwo. Choć kiedy czytacie te słowa, pewnie już trzeźwy nie będę. Podobnie jak i wy.

Piotr Bondaruk

Tomik odłożył kartkę. Nalał sobie stakan wódki, wypił. Burmistrz zaraz dolał mu drugi, ale Tomik go nie ruszył. Nabrał powietrza, chciał coś powiedzieć i opadł na krzesło.

– Tatko oszalał – jęknął.

– Spokojnie – zaśmiał się burmistrz, zawiedziony, że w liście nie było paszkwilu albo jakiegoś pikantnego wyznania. – Zestrachał się przed żeniaczką. Młoda jest *dziauczynka*, wymagająca, a jajca mu sparciały, więc ma lekkiego cykora. Po weselu wszystko wróci do normy. Dopóki nie ma dokumentów notarialnych, nie ma co się martwić, baszmaki. Napijmy się.

– No, panowie – mruknął pod nosem Anatol Pires, były dyrektor liceum i najsłynniejszy hajnowski bankrut. Kilka lat temu próbował konkurować z Bondarukiem w branży drzewnej, ale wyłożył się z kretesem i stracił wszystko. – Ja spełniam wszystkie wymagania poza wiekiem. Zachachmęcimy coś w papierach i kto wie, czy wkrótce u mnie nie będziecie zamawiali schodów. W dwa miesiące rozłożę New Forest Hajnówka na łopatki. Jakem Pires.

Rozległy się stłumione śmiechy. Po czym znów zapadła cisza. Niektórzy chichocząc, zaczęli jeść, inni oburzali się, szeptali między sobą:

– Nie przyjdzie? Co za tupet!

Wasyl i Fionik, dwaj starsi synowie Bondaruka, ostentacyjnie wstali od stołu i wyszli bez pożegnania. Zaraz za nimi podreptał Tomik. Pierwszy raz widziano ich we trzech tak zgodnych. Potem wyszło jeszcze kilku gości, którzy wolę Bondaruka uznali za oburzającą. Reszta pozostała na swoich miejscach. Jeden z radnych zaczął polewać do stakanów. Zwrócił się do zebranych.

– A to *znajesz*, dziadzia Kola? – I nie czekając na odpowiedź Nesteruka, zaczął opowiadanie dowcipu: – *Pryjiżdżaj u subotu na wiosku! Ne choczu. Czom? Budzie piwo, grill, fajny dziauczata, harmoszka. Krasota! Tato! Ja uże druhi raz ne naberusie. Kopajte samyje swoi kartofli!*

Nikt nie zareagował. Ale kiedy tylko teren oczyścił się z opozycjonistów Bondaruka, biesiadnicy poczuli się swobodniej. Romanowska podejrzewała, że niektórzy z obecnych dużo wcześniej znali wolę prezesa. Pomyślała, że przedsiębiorca musiał uzgodnić z włodarzami miasta swoją decyzję. Z całą pewnością wiedzieli o niej starcy od stołu głównego. Na ich twarzach widziała triumf zamiast zdziwienia czy szoku. Ona sama niewiele z tego rozumiała, ale też i niewiele mogła zrobić. Odetchnęła głębiej i uśmiechnęła się do staruszka Mikołaja, który siedział niewzruszony wciąż w tej samej pozycji. Odpowiedział jej mrugnięciem, choć mógł być to tylko tik nerwowy. Ośmielona chwyciła widelec i nałożyła sobie wyglądającej przepysznie kiszki ziemniaczanej oraz nabrała sporą porcję potrawki z żubra. W skansenie Sioło Budy, gdzie podawano ten specjał, za jeden kotlet trzeba było zapłacić okrągłą bańkę. Skoro już tutaj przyszła, nie odpuści tak wytwornego obiadu.

Wtedy do pomieszczenia wrócił Sierioża. Miał podbite oko, z nosa ciekła mu krew. Burmistrz zerwał się na jego widok, posadził na krześle, zaczął wycierać, a potem przyłożył mu lód z wiaderka od szampanskoje, które właśnie podano.

– Siadaj, *synok*. I nie chlipaj. Taki los włodarza, że większość przyjaciół się traci, a w zamian zyskuje zastęp wrogów. Masz dziś swoją czołóweczkę. Osobistą – zarechotał. – Umarł król, niech żyje król.

– Nie jestem synem pana Piotra – szepnął Sierioża łamiącym się głosem. – Zrobię testy, udowodnię. To jakieś nieporozumienie.

– Ale mógłbyś być. Kogo zresztą prawda obchodzi? – odezwał się Mikołaj. Wszystkie oczy zwróciły się teraz ku rzeźnikowi. Bardzo rzadko zabierał głos. Prawdę mówiąc, wcale. – A to Piotrowi wystarczy, by zacząć pogrom.

Poranną audycję Polskiego Radia zagłuszył jazgot silnika motocykla. Bożena Bejnar, wystrojona w brzoskwiniową sukienkę z tafty z mnóstwem falbanek i koronki, podeszła do okna. Ze zmarszczonymi brwiami wpatrywała się w przystojnego młodego blondyna opartego o żółty ścigacz. Kiedy tylko córka wyszła z kąpieli, zasunęła firankę.

– Ani mi się waż wychodzić – syknęła, zdejmując lokówki z głowy.

Iwona nie odpowiedziała. Na jej twarzy błąkał się jednak uśmiech satysfakcji i z trudem skrywanego szczęścia. Nie musiała podchodzić do okna, by się domyślić, kto czeka na ulicy. Bez trudu rozpoznała znajomy warkot silnika. Była prawie pewna, że Quaku, zastraszony przez jej braci, nie pojawi się na ceremonii zaślubin. Nie dlatego, że jest tchórzem. Przeciwnie, trzydziestoszesciolatek rywalizację miał we krwi. Wiedział jednak, z kim nie należy zadzierać. Bondaruk należał do pierwszej ligi takich osób w mieście. I choć postawa byłego narzeczonego jej schlebiła, fakt, że mężczyzna się tu pojawił, zwiastował poważne kłopoty. Dla niej i dla niego. Znacznie większe dla niego. Postanowiła natychmiast się z nim rozmówić.

Pośpiesznie włożyła strój, który z samego rana przyniesiono od krawcowej. Tym razem zarówno spódnica, jak i bluzka leżały idealnie. Pachniały lawendą. Zawiązała w talii specjalną przepaskę, ale kiedy spojrzała w lustro i zobaczyła nie siebie, lecz przebraną na ludowo lalkę, rozwiązała fartuszek i rzuciła go na krzesło. Przystąpiła do rozczesywania wilgotnych włosów. Matka tymczasem wybrała numer w komórce. Próbowała się do kogoś dodzwonić, ale nie odbierał. Kiedy ruszyła do kuchni, by spróbować ze stacjonarnego, Iwona wciąż stała przed lustrem. Z pietyzmem tuszowała rzęsy, malowała na czerwono usta. Quaku lubił, kiedy była mocno umalowana.

– Jednak przyjechał – szepnęła do słuchawki Bożena. – Też sądziłabym, że to niemożliwe, ale stoi mi pod chałupą i warczy tym swoim struclem.

Potem długo się nie odzywała. Wyciągnęła ostatniego papierosa z paczki i przewróciła wszystko na stole, bezskutecznie szukając zapalniczki.

Wreszcie pochyliła się nad kuchenką gazową i odpaliła, cudem nie wzniecając pożaru, bo jedna z lokówek rozwinęła się i spłynęła kaskadą nad płomienie.

– Przypilnuję jej – obiecała matka. Zakręciła kurek gazu. Płomień definitywnie zdechł. – Niech cię głowa nie boli, synek. Będziesz miał swoją ziemię. Wszystkim nam zależy, a Iwonka też się stara.

Rozległo się stuknięcie. Bożena rzuciła słuchawkę i błyskawicznie znalazła się w pokoju. Firana u wejścia, mająca chronić dom przed insektami, wirowała w przeciągu. Po Iwonie został tylko wyszywany fartuszek na krześle i chybocząc się rytmicznie drzwi wyjściowe z dykty. Motocykl wszedł na wyższe obroty i po chwili znów słychać było tylko muzykę ze starego odbiornika radiowego. Zapowiadali kolejną upalną niedzielę. Czerwiec tego roku miał być piękny i suchy. Za trzy tygodnie rozpoczynał się w Hajnówce przegląd muzyki cerkiewnej. W tym samym czasie odbywała się konkurencyjna impreza w Białymstoku, której błogosławieństwa odmówił arcybiskup Sawa. Bożena ze złością przekręciła gałkę radia do pozycji off.

– Zmieniłem zdanie – oświadczył Quaku, kiedy zatrzymali się przed szopą na samym środku niezaoranego pola.

Motor buksował w suchym piachu. Quaku myślał, że będą musieli dojść dalej na piechotę, ale udało mu się przejechać do ubitej drogi. Ziemia nie była uprawiana od lat. Za młodu matka Jurki sadziła tu ziemniaki. Jeszcze w latach osiemdziesiątych większość areałów oddała państwu i przez lata żyli z jej niewielkiej renty. Zostawiła tylko to kartoflisko. Przed wojną była tu najbogatsza wioska w okolicy – Załuskie. Dom jej przodków był największy, a mężczyźni z jej rodu do trzeciego pokolenia piastowali we wsi stanowiska sołtysa. W czasie wojny osadę doszczętnie spalono, ludzie zginęli w płomieniach lub od kul. Ci nieliczni, którzy pozostali przy życiu, wynieśli się do pobliskich wiosek lub czworaków robotniczych w mieście. Matka Quaka, Dunia Orzechowska, z domu Załuska, też tak zrobiła. Kupiła starą leśniczówkę pod Hajnówką i tam się osiedliła. Do dziś nie ma bieżącej wody ani łazienki. Jej potrzeby są niewielkie. Właściwie żyje modlitwą, wizytami w cerkwi, pomaganiem innym. Nazywają ją szeptunką, babką, znachorką, choć ona sama mówi, że nie różni się od przeciętnej staruchy z wiejskiego chóru. Bóg dopiero na starość do niej przemówił, choć moc miała ponoć od dziecka. Kiedy przychodzili do niej potrzebujący, zawsze mówiła, że to nie ona leczy, lecz wiara pacjenta. Jeśli jej nie ma, i Hospodi nie pomoże.

Wielu uciekinierów ze wsi Załuskie dopiero na starość wróciło do swojej religii. Prawosławie po wojnie nie było w modzie. Antagonizmy polsko-białoruskie wciąż pozostawały żywe. Białorusini nie mogli darować Polakom, że wydali ich bliskich bandom. Kiedy nastała demokracja, miastowi zaczęli masowo gromadzić ziemię. Można było wtedy kilka hektarów trzeciej klasy dostać za bezcen. Dunia marzyła, że jej jedyny syn na ziemi, za którą jej bliscy przelali ostatnie krople krwi, postawi kiedyś dom, założy rodzinę i będzie gospodarzył. Quaku jednak brzydził się pracą na roli, wstydził pochodzenia. Wieśniak było w jego ustach największą obelgą. Na próżno Dunia przekonywała go, że tak naprawdę większość miastowych swoje korzenie ma w chłopstwie. Arystokracja

i mieszczaństwo poginęły na polach bitew. Ziemianie zostali rozkułaczeni, a biedota, bezrolni parobkowie poszli do fabryk i pod szyldem „Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się” zdobyli dzisiejsze domy i samochody.

Za późno próbowali ten spłachetek ziemi spieniężyć. Gdyby trafił się zmyślny gospodarz, posadziłby tutaj drzewa i czekał, aż urosną, by potem sprzedać tarcicę w którymś z tartaków, lub choćby zawiózł miastowym na opał. Niewiele rodzin w tamtym czasie miało centralne ogrzewanie. Ale ci, co mieli kupić, zaopatrzyli się już u sąsiadów. Ludzie z pobliskich wsi, którzy byli zainteresowani dołączeniem tego kawałka do swojego pola, nie śmierdzieli groszem. Dawali za mało, by Dunia chciała im oddać krwawicę antenatów. A potem, gdy już je mieli z Unii, wydawali na samochody, plazmowe telewizory czy nowiutkie kombajny, które łatwo było rozliczyć w Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa. Quaku nawet nie wystartował w projekcie „Młody rolnik”, choć szanse na zgarnięcie bezzwrotnej pożyczki miałby wysokie. Punktów starczyłoby mu aż nadto. Mógłby dokupić ziemi, zacząć żyć jak Bozia kazali. Nie chciał dla zasady. Kątem żył u gospodarzy w mieście, matki się wstydził. Kiedy go zapytała, czy się dostał do projektu, burknął, że źle wypełnił formularz. Potem był tylko impas. Każdy z tutejszych wiedział, że to *pyszczyny* – piaszczysta gleba najniższej klasy, która nadaje się tylko do sadzenia ziemniaków. Ziemia Załuskich przez lata leżała odłogiem, chałupa niszczała. I nic nie wskazywało, żeby coś miało się zmienić.

Quaku szarmancko podał Iwonie dłoń. Z gracją zsiadła z motocykla. W trakcie jazdy musiała zadrzeć pasiastą spódnicę aż po uda. Obciągnęła ją teraz, z satysfakcją łapiąc jego łakome spojrzenie. Nie widzieli się od zimy, kiedy odwiedziła go w areszcie.

– Opalałaś się już? – spytał, udając obojętność. Dostrzegł, że wciąż nosi obrączkę od niego, ale nic nie powiedział.

– Trochę, za domem – mruknęła. Wskazała chałupę. – Schowajmy się, zanim ktoś nas zobaczy i doniesie moim braciom. Źle zrobiłeś, przyjeżdżając – złajała go.

Kiedy wprowadził motor pod dach i zamknął drzwi na skobel, odsunęła się aż pod ścianę. Bała się, że wygłodniały rzuci się na nią, wykorzystując

moment odosobnienia. Tymczasem on nie próbował jej nawet przytulić. To ją zaniepokoiło.

– Co się dzieje? – Pochyliła głowę. – Jesteś zły?

– Zmieniłem zdanie – powtórzył z zaciętą miną. Podszedł jednak bliżej, demonstracyjnie uniósł jej podbródek. Gest nie był pieszczotą, raczej próbą pokazania władzy. Poddała się mu. Zinterpretował jej uległość jako przyzwolenie na ciąg dalszy. Teraz już, bardzo delikatnie, pogładził ją po twarzy. Wtuliła się w jego dłoń, a potem chwyciła i zatrzymała w swojej. Wtedy nachylił się i pocałował ją we włosy, w sam czubek głowy. Była w tym prawdziwa czułość. A kiedy na niego spojrzała, w jego oczach widziała już pożądanie. Mimo to oświadczył twardo:

– Nie zgadzam się na tamten układ. Nie będę na ciebie czekał.

Przestraszyła się.

– Przecież się umówiliśmy.

– Ty się ze mną umówiłaś – odparował. – To był twój plan.

– Zgodziłeś się.

Podeszła do jedynego okna. Było upstrzone owadzimi odchodami. Martwe muchy leżały na prowizorycznym parapecie, tworząc chitynową pierzynkę. Miała ochotę otworzyć okno, wpuścić trochę świeżego powietrza, bo wewnątrz panował zaduch. Wiedziała jednak, że nie wolno jej tego zrobić. Z daleka ktoś mógł się zorientować, że w szopie jest intruz. Chata powinna wyglądać na opuszczoną.

Iwona przeszła szybko dalej, do pomieszczenia na sprzęt rolniczy. Otworzyła drzwiczki do izby, w której dawniej mieszkały zwierzęta. Nie było okien. Wewnątrz panowały ciemności, choć oko wykol. Wzrok szybko się jednak przyzwyczaił. Chwilę potem, pod ścianami, dostrzegła kontury drewnianych pojemników zapełnionych czarną breją. Domyśliła się, że to stare koryta do karmienia świń. Nie chciała wiedzieć, co za substancja się w nich dziś znajduje.

W rogu pomieszczenia, za zwałem siana, w niewielkiej ilości światła odbijał się nieduży trójkąt. Kiedy dziewczyna podeszła bliżej, zobaczyła pękate torby podróżne, trzy zawiniątka, chyba ze śpiworami, kanister ropy, kuchenkę i wojskowy plecak. To jego odblask widziała z daleka. Quaku

zapakował do niego kaszę, makaron, konserwy i bukłak słodkiej wody do picia. Jeśli będą oszczędni, żywności starczy im na dwa tygodnie. Potem i tak zmienią kryjówkę. Może wcześniej, jeśli uda się załatwić auto. Wodę Jurka miał przynosić nocami, z pobliskiej „świętej rzeczki". Kiedy spędzali tutaj trzy lata temu wakacje, strumyk niósł chusteczki wotywne, którymi prawosławni wierni pragnący, by „żywa woda" uleczyła ich chrome członki, obmywali się w trakcie odpustu. „Krynoczka" ożywała tylko raz w roku i ściągała z okolicy prawdziwe tłumy wiernych. Iwona nie wierzyła w te bajeczki. W przeciwieństwie do Quaka, który wychował się w rodzinie prawosławnej. Kiedy więc znalazła wtedy w rzece włoską chustę z jedwabiu, bez skrupułów uprała ją, wyprasowała i nosiła, aż apaszka się wystrzępiła. Matka Quaka twierdziła, że przyniesie jej nieszczęście. Że wzięła na siebie wszystkie ludzkie troski, które ktoś z siebie zmył. Ale Iwona uznała to za bujdę.

Teraz wygrzebała z plecaka latarkę. Poświeciła Quakowi w twarz.

– Przestań, Iwek! – Zasłonił się. – Zwariowałaś?

Zaśmiała się i skierowała snop światła na dół. Podłoże było czarne, gdzieniegdzie zawilgocone. Kiedy przesunęła czubkiem swojego lakierowanego czerwonego trzewika kilka drzazg wystających z ziemi, dostrzegła grudki piachu i trawę. Stali na klepisku. Dopiero do niej dotarło, że ma tutaj spędzić najbliższy miesiąc. Gdzie będzie spać? Brakowało nawet dmuchanego materaca czy choćby karimaty. Czy ona oszalała? Ogarnęły ją wątpliwości. Wtedy dostrzegła metalowy stół. Był nowoczesny, lśniący i czysty. Jakby ktoś pieczołowicie go wyszorował. Był też jedynym elementem wyposażenia, który przypominał jej, że żyją w XXI wieku. Pod stołem stała metalowa waliza. Nie wiedziała, co Quaku w niej trzyma, ale teraz było jej to obojętne. Chwyciła jeden ze śpiworów, rozpakowała i rozłożyła na stole. Jarek pokręcił głową. Przemieściła więc śpiwór na siano i położyła się na nim.

– Chodź. – Przywołała go gestem, ale nie ruszył się. Wciąż się wahał.

– Boski Kochany Quaczku! – Podeszła i szepnęła mu do ucha: – Jestem twoja, tylko twoja. Wiesz przecież.

Pociągnęła go za sobą. Położyła jego rękę na swojej piersi i jednocześnie pocałowała go w usta. Nie pozostał bierny. Czuła już, że będzie

współpracował. Usilnie starał się rozsupłać troki weselnej bluzki. Pomogła mu, poszło sprawnie. Spódnicę i bieliznę zdjęła już bez jego pomocy. Patrzył, jak precyzyjnie pozbywa się garderoby. Odwiesiła wszystko na przerdzewiały hak do wieszania martwych zwierząt, który umieszczono tutaj kiedyś na potrzeby uboju. Mięso w trakcie rozbiórki nie mogło zawierać krwi. Szybciej się psuło. Wiedziała to, bo przez kilka miesięcy odbywała praktyki w hajnowskim zakładzie u Nesteruka. Miała tam szanse na etat, dobrze się spisywała. Zrezygnowała, bo właściciel płacił jej wędlinami i mięsem, a ona była wegetarianką, więc tylko bracia mieli korzyść z jej pracy. Podejrzewała, że hak, podobnie jak pozostałe tutejsze sprzęty, nie był używany od lat. Martwiła się, że na bluzce zostaną ślady rdzy, ale jeszcze bardziej obawiała się, że w wełniany materiał spódnicy wbiją się kawałki słomy. Nie byłaby w stanie szybko ich obrać.

Teraz stała przed nim naga. W półmroku widział tylko kontury jej ciała.

– Nie zdążysz do fryzjera – powiedział, wyrażając swoją ostatnią wątpliwość wyłącznie werbalnie. Zaraz potem stwierdził empirycznie, że w dotyku skóra Iwony jest jak satynowa koszulka do spania, którą kiedyś dla niej ukradł z butiku Marczuków.

– Zorientują się – dodał niezbyt przekonująco.

– Jak będziesz się tak guzdrał, na pewno nie zdążę – roześmiała się i rozpięła klamerkę paska jego spodni.

Całowali się łapczywie.

– Będzie dobrze – szepnęła mu do ucha, gdy wreszcie mogła nabrać powietrza. Leżeli twarz przy twarzy na sianie, które pachniało stęchlizną i ziemią. Żadne zwierzę poza kozą nie chciałoby go jeść. Ale jej to nie przeszkadzało. Zatonęła w jego oczach.

– Spałaś z nim? – zapytał łagodnie. W napięciu czekał na jej odpowiedź.

Uśmiechnęła się i pokręciła głową.

– Nie bądź zazdrosny. On jest po naszej stronie – odparła. – Będzie nas chronił, dopóki zdoła.

– Dlaczego? – zdziwił się Quaku. I zaraz dodał: – Dlaczego to robi?

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Ma w tym jakiś interes. Ale dopóki jest zbieżny z naszym, powinniśmy to wykorzystać. Tylko nie

spieprz tego, Quaku. Ufasz mi?

– Nie. – Spojrzał jej w oczy. – Ale cię kocham.

Uśmiechnęła się rozanielona. Był piękny i rozbrajający jak mały chłopiec. Lubiła go. Tego była pewna. Może znów się w nim zakocha? Zobaczymy, jak będzie.

– Dlatego muszę za niego wyjść.

– Nigdy się na to nie zgodzę – szepnął i jęknął, bo Iwona przesunęła już dłoń w kierunku jego podbrzusza.

Cerkiew była wypełniona ludźmi po brzegi, ale niemal wszyscy stali tyłem do ołtarza.

– Gdzie? Nie widzę – krzyknęło jakieś dziecko.

– Bóg widzi wszystko – natychmiast zganiła je stojąca przy ladzie ze świeczkami i dewocjonaliami kobieta.

Była w złoconej chustce na głowie i potępieńczo spoglądała na wydekoltowane i obnażone młode kobiety, którym na niedzielną liturgię nie pozwoliłaby wejść tak ubranym do świątyni.

Batiuszka w złotej mitrze na głowie i pełnym rynsztunku prawosławnego duchownego, czyli w złoconym chałacie i z kadzidłem w ręku, stał w kąciku i żywo dyskutował z panem młodym. Bondaruk tylko potulnie potakiwał. Na koniec pochylił głowę, dotknął palcem ziemi. Pop wystawił pierścień do pocałowania. Piotr cmoknął go w błyszczący rubin wielkości mirabelki oprawiony w czerwone rosyjskie złoto.

– Młody się zapienił – mruknął JahJah do Romanowskiej i zerknął na zegarek. Stali w przedsionku cerkwi i obserwowali sytuację.

– Jaki on tam młody – zaśmiała się kobieta przed nimi. – Włożył rubaszkę i zdaje mu się, że odmłodnieje przy dziouszce. Jeśli ona w ogóle przyjdzie. Co za wstyd.

Wzięła twarz w dłonie i pokręciła głową, udając troskę.

Bożena Bejnar maszerowała tam i z powrotem od dywanika, na którym mieli stanąć nowożeńcy, do wyjścia ze świątyni. Chyba nigdy tyle razy tak wielkiej publiczności nie zaprezentowała swojej jedynej wieczorowej sukni, uwydatniającej jej okazałe kształty. Wreszcie to ją niezorientowani zaczęli wskazywać jako pannę młodą. Bo po defiladzie Bożena podchodziła do Bondaruka i szeptała mu coś na ucho. On zaś tylko poklepywał ją i przytulał, jakby starał się załagodzić jej złość.

– Eleganccy ludzie się spóźniają – zapewniał. – Pewnie u fryzjerki zabawiła. Pięć minut to dla kobiety pół godziny. Siła spokoju, pani matko.

Bożena wiedziała swoje. W głowie wciąż miała warkot żółtego ścigacza. Nie odważyła się jednak powiedzieć o tym Bondarukowi. Wysłała synów na zwiad i czekała, aż znajdą wyrodną córkę. Mieli dostarczyć ją do cerkwi siłą. Ale na razie nie było ani ich, ani Iwony.

Piotr zgolił wąsy i bez zarostu wcale nie wyglądał na swoje lata ani też się nie zachowywał jak starzec. Owszem, dawano mu wiek pięćdziesiąt plus, ale nikt z obcych nie zgadłby, że zbliża się już do siedemdziesiątki. Wysoki, żylasty, chorobliwie wręcz chudy. Trzymał się prosto, jakby miał na sobie wojskowy mundur. Włosy, dziś gołębie, kontrastowały z czarnymi brwiami i razem z orlim nosem przydawały jego twarzy wygląd drapieżnego ptaka. Nie znać było po nim zdenerwowania. Ale to wcale nie znaczyło, że jest spokojny. Każdy, kto go znał, domyślał się, że w środku aż trzęsie się z niepokoju.

Świadkowie stali w garniturach, do których włożyli białoruskie rubaszki. Na rękach mieli białe rękawiczki. Korony nowożeńców czekały na aksamitnych poduszkach. Po wczorajszej sensacji z oświadczeniem Piotra, która błyskawicznie rozeszła się po mieście w postaci kuriozalnej plotki, obawiano się, że synowie udaremnią ślub. Mówiono, że zdarzyć się może tragedia. Całą noc przed domami redaktora „Gościńca” i jego domniemanego ojca stały radiowozy. Komendantka zebrała też grupę ochotników, by interweniowali, gdyby doszło do zamieszek. Biorąc pod uwagę liczbę kiboli w mieście, którzy wczoraj przybyli na bojkot pokazu filmu o Romualdzie Rajsie „Burym”, można było się spodziewać wszystkiego.

Nagle drzwi cerkwi się otworzyły i do pomieszczenia wkroczyła postać w długiej powłóczystej szacie. Ponieważ za plecami miała słońce, trudno było w pierwszej chwili rozpoznać, kim jest. Dopiero kiedy z przedsionka weszła za próg świątyni, zebrany tłum wydał gremialny odgłos ulgi. Ludzie natychmiast odwrócili się twarzami do ikonostasu.

Panna młoda miała na sobie kompletne białoruskie przebranie, wraz z przepaską i koroną z kwiatów. Trawiastozielona spódnica w pasy sięgała jej do ziemi. Kiedy szła, widać było czubki koralowych lakierowanych czółenek. Białą koszulę wyhaftowano ręcznie w barwne kwiaty i obramowano tradycyjną białoruską lamówką. Twarz młodej zasłonięta była gęstym woalem. Zwisał z ogromnego jak korona wianka z żywych

czerwonych i białych kwiatów. Włosy miała upięte. Spod kwiecistej korony nie wydostał się żaden kosmyk. Zamiast włosów po plecach, niczym tęczowa peleryna, spływało kaskadą mnóstwo jedwabnych wstążek. W ręku niosła gruby na pięść warkocz.

Batiuszka przygarnął oboje młodych i po chwili wspólnie ruszyli do ołtarza. Nawet sceptycy, przedkładający białą, klasyczną suknię ślubną nad strój ludowy, musieli przyznać, że dziewczyna wygląda przepięknie.

– To białoruski czepiec? – zainteresowały się natychmiast plotkarki. – Dlaczego kosa jest osobno?

Choć synowie Piotra nie zaszczycili uroczystości swoją obecnością i brakowało kilku oficjeli, wszystko zdawało się iść zgodnie z zapowiadanym wcześniej w mediach scenariuszem. Rozluźnieni goście szykowali się na tygodniową fiestę. Pracownicy tartaku z tej okazji mieli wolne aż do środy. Piotr ogłosił, że zakład będzie zamknięty. Nawet działające całodobowo laboratorium klejów miało być zamknięte na głucho. Widać prezes wkalkulował wesele w budżet i uznał, że może sobie pozwolić na straty.

– Ślub biorę tylko raz w życiu – wyjaśnił lokalnej telewizji przed wejściem do cerkwi. – Niech moi pracownicy cieszą się wraz ze mną.

Jego konkurenci zacierali ręce. Zwłaszcza że przewidywali długi czas bezkrólewia i walkę o tron. Po weselu władzę miał przejąć młody redaktor, ale prawdę mówiąc, nikt nie wierzył, że utrzyma to stanowisko dłużej, niż wymagać tego będzie złożenie wniosku sądowego. Żaden z synów Piotra nie pozwoli, by obcy sprzątnął mu sprzed nosa wielomilionowy kapitał zakładowy. Sierioża stał teraz pod ścianą przerażony odpowiedzialnością, jaką obciążył go Bondaruk. Jego bezpieczeństwa pilnowało dwóch ochroniarzy w za dużych marynarkach.

Chór zaczął śpiewać. Złote korony zawisły w dłoniach świadków nad głowami nowożeńców. Mieli tak trwać przez dwuipółgodzinną liturgię. Piotr uprzedził, że nie będzie skrótu. Kiedy młoda para przyjmowała komunię: wino z kielicha i pokrojoną prosforę, JahJah nachylił się do Romanowskiej i oświadczył, że idzie dotlenić płuca.

– Będę na posterunku – odparła z uśmiechem.

Przed wejściem stały już przygotowane bryczki. Konie były przystrojone, woźnice na galowo. Palili teraz ruskie cygarety i wystawiali sumiaste wąsy do słońca. Do Jagiellońskich przyjdzie im na pewno zrobić wiele kursów. Niecierpliwi goście mogli też dojechać na biesiadę specjalnym autokarem. Tylko nieliczni przybyli na uroczystość swoimi samochodami. Wiadomo było, że do Jagiellońskich przyjadą dziś wszyscy i nie będzie gdzie zaparkować. Policja już zapowiedziała ostre kontrole pod kątem zawartości alkoholu we krwi.

Na dziedzińcu zebrali się mieszkańcy Białowieży. Ludzi sukcesywnie przybywało. Każdy chciał zobaczyć wybrankę drzewnego magnata. Tłoczyli się przed wejściem, na pierwszej linii. Szykowano woreczki z drobnymi monetami. Kwiaciarki wciąż dostawiały nowe wiaderka z towarem. Na żadnym ślubie od lat nie miały takiej hossy.

JahJah spalił trzeciego papierosa i zamierzał przedostać się z powrotem do Krystyny, ale tłum mu to uniemożliwiał. Zerknął na Supryczyńskiego. Karol rozłożył ręce w geście rezygnacji. Wypadało tylko liczyć, że nie nastąpi pożar. Wyjścia ewakuacyjnego w cerkwi nie było. Ludzie momentalnie zdeptaliby się na miazgę. JahJah skierował się do bocznego wyjścia i musiał użyć siły swoich muskułów, by się przecisnąć przez tłum. Nagle tuż obok dostrzegł Bożenę Bejnar, matkę panny młodej. Bezskutecznie torowała sobie drogę w przeciwnym kierunku niż on. Wessał go tłum. Ceremonia chyba się kończyła, bo ludzie zaczęli się tłoczyć do kobierca. Każdy chciał na szczęście dotknąć sukni panny młodej, złożyć jej życzenia, urwać wstążkę z wianka. JahJah zauważył, że Bożena ma na policzku czarne smugi od tuszu. Płakała? Zrzucił to na karb wzruszenia i przedostał się do Krystyny. Teraz miejsca wokół niej było już pod dostatkiem. Wszyscy kierowali się do wyjścia. Chcieli zająć jak najlepsze miejsca w kolaskach, które zawiozą ich na biesiadę.

– Dziwne. – Romanowska pokręciła głową, kiedy JahJah stanął obok.

Rozmawiali szeptem, a każde z nich w trakcie konwersacji z przyklejonym uśmiechem kiwało do kolejnych przechodniów. Ponieważ znali ich prawie wszyscy, kiwali raz za razem, w czym – przynajmniej zdaniem JahJah’y – przypominali styropianowe pieski, które w latach osiemdziesiątych niektórzy kierowcy montowali na deskach bagażnika auta.

– Co dobrego? – Kiwnięcie do burmistrza.

– Do końca nie odkryła twarzy – odparła Krystyna. – Panna młoda cały ślub była zasłonięta. Już nie pamiętam, ale to chyba nie jest zgodne z procedurą.

– Procedury to my mamy u nas, pani nadkomisarz – droczył się z nią JahJah. – Tutaj jest tradycyjna ceremonia. A ty odkryłaś twarz?

– Nie miałam welonu, jak wiesz.

Kiwnięcie do właściciela kablówki.

– Może ma limo za spóźnienie.

– Tym bardziej trzeba ją obejrzeć z bliska – mruknęła komendantka i posłała uśmiech Alinie Gryc, szefowej biblioteki miejskiej w Hajnówce.

– Chcesz, żebym jej zrobił rewizję osobistą?

– Jeśli będzie trzeba, sama się tego podejmę.

Zimny ukłon do właściciela zakładu pogrzebowego. Odwzajemniony czujnym spojrzeniem. Potem rzeźnik, kilku lekarzy. Szefowa hufca. Przedszkolanka.

– Mamy profilerkę w mieście. – JahJah nagle zmienił temat. – Już z nią mówiłem.

– Kogo? – Z wrażenia komendantka nie odpowiedziała na pozdrowienie wychowawczyni ich syna.

– Karol zatrzymał wczoraj podejrzaną kobietę. Załuska się nazywa. Psycholog śledczy, kryminolog.

– Nazwisko jakby nasze.

– To nietutejsza. Przyjechała z Wybrzeża. Zresztą ryża jak wiewiórka.

Romanowska zmierzyła JahJah’ę bacznym spojrzeniem.

– Ruda – podkreśliła znacząco. – Ma wyrazisty kolor włosów. To nie znaczy, że wredna.

– Nie postawiłbym za to głowy – zaśmiał się JahJah.

– Co ma na sumieniu?

– Potem ci opowiem – uciął. – Niezłe jaja były. Szuka Doktora Śmierć.

– Przestań. Jeszcze Saczko usłyszy – syknęła Romanowska i rozejrzała się. – Ale chyba go nie ma. Ciekawe. To przecież syjamscy bracia. To on dał mu glejt na niewinność po zniknięciu Łarysy. O co chodzi z tą panią kryminolog?

– Obiecałem, że jej pomogę. A wtedy… – zawiesił głos, jakby szykował niespodziankę.

– Co?

– Ona umie znajdować ciała.

– No i?

– Nie musimy mieszać w to wojewódzkiej. To znaczy niech przyjadą, robią, co do nich należy. Ale skoro nie chcieli wtedy dać na profilera, będziemy mieli własnego. I to za *free*.

– JahJah'a! – żachnęła się komendantka. – To niedopuszczalne. Nie zgadzam się, żebyś werbował ludzi do pracy bez mojej wiedzy.

– Przecież już wiesz.

– Powinieneś był mi wcześniej powiedzieć.

– Przecież wiem, co byś powiedziała. *Niet*.

A potem pochylił się do twarzy Krystyny, aż poczuła jego nieświeży oddech, i ujął ją za oba ramiona.

– Słuchaj, Krzycha. Ta baba ma ciśnienie. Sama chce działać. To samotna wilczyca. Wystarczy, że nie będziemy jej przeszkadzać. Trochę tropów rzucimy, podamy jakiś adres, podwieziemy do kluczowego świadka. A tutaj jest doktorek, tak?

– Nie widziałam go.

– A ja tak. Przyszedł z tą wyfiokowaną lalą, co ma mózg Einsteina. Nie wierzę, że ze sobą nie sypiają. Widziałaś, jak się ubrała?

– Coś ci się pochrzaniło. Saczki nie ma.

– Jest czy nie ma. Jaka to różnica! Załuska sama go sobie znajdzie. A potem, w ramach rewanżu, ona zajmie się naszymi czachami. Odszuka zwłoki, przestanie być potrzebna. A zanim się połapie, zdążymy sprawę przejąć i zgarnąć premie z wojewódzkiej. – Uśmiechnął się triumfująco. – Zresztą ona jeszcze nic nie wie. Bez ciebie jej nie wtajemniczałem. Niech

cię głowa nie boli, nie od dziś robię w tym biznesie. Tak tylko ją sprawdzałem. My nic nie ryzykujemy, bo ona jest obca.

– Ot, i wymyślił.

– Mam na nią haka.

– Jakiego niby?

– Prowadzenie bez prawa jazdy i dokumentów wozu. Brak pozwolenia na broń.

– Broń?

– W każdym razie przy sobie. Stworzenie zagrożenia dla życia i zdrowia, jak się uprę. Dyskretnie zrewidowałem jej auto, jak Błażej strugał downa. Protokół sporządziłem in blanco. Czeka na ciebie na biurku z wczorajszą datą. Ale na razie niezarejestrowany. W każdej chwili możemy go dołączyć do akt w odpowiednim miejscu.

– Chcesz ją w coś wrobić?

– Jeśli okaże się pomocna, w życiu! Ale strzeżonego pan Bóg strzeże.

Romanowska się zamyśliła. Przyjrzała się spod zmrużonych powiek byłemu.

– Czyli przyjąłeś ją w moim gabinecie i udawałeś szefa – zaśmiała się. – Chodź na dwór pogadać. Nadal mało rozumiem.

– A co tu jest do rozumienia? Każdy facet by to pojął. Z babami to tak zawsze – obruszył się JahJah i zaraz uśmiechnął się szeroko, bo obok przechodził ksiądz, który przebrał się już w mniej odblaskową sutannę.

– *Sława Hospodu*, batiuszka! Świetny ślub. Widzimy się? – Poklepał się po szyi.

– Oj, Franek, Franek! – Ksiądz pokręcił palcem. Wszyscy w mieście wiedzieli, że niedawno batiuszka stracił prawo jazdy. Kiedy zatrzymał go patrol, duchowny miał ponad dwa promile we krwi. Teraz jednak zrobił minę świętego. – *Ile ciebie let*?

– Dwa razy mniej niż wam, batiuszka.

Pop natychmiast pośpiesznie się oddalił.

– Cieszę się, że już nie jesteśmy małżeństwem – westchnęła Romanowska. – Kiedyś mnie wykończysz.

– Ja? – JahJah szczerze się zdziwił. – To ty bojkotujesz wszystkie moje pomysły.

– Chyba torpeduję.

Cerkiew już opustoszała. Jeszcze chwila, a ich głosy rozbrzmiewać będą już echem. Krystyna spojrzała na wyjście i dała znak, że powinni wyjść. Przez tę konwersację o profilerce straciła z oczu młodych, którzy stali teraz na zewnątrz i przyjmowali gratulacje. Młoda wciąż była zamaskowana.

– Może nie odsłania twarzy, bo to inna baba niż ta, za którą ją wszyscy mają? – zażartował JahJah i głośno się roześmiał, czekając na zgryźliwy komentarz Krystyny, ale była żona pierwszy raz spojrzała na niego z podziwem.

– Idziesz i to sprawdzasz. – Wbiła mu wskazujący palec w splot słoneczny.

– Głupia. Tylko żartowałem.

– Pozwolę twojej Załuskiej zająć się czaszkami. – W jej głosie była determinacja.

– Po pierwsze, nie mojej – zaczął. – Nie znam tej baby. Po drugie, nie mam pewności, czy się zgodzi. A po trzecie, to idiotyzm. Tak tylko się wygłupiam.

Romanowska chwyciła go za ramię.

– Chcę wiedzieć, kto jest pod zasłoną. Może to Dunia wreszcie go złapała? Jak często cię o coś proszę? Bądź mężczyzną!

– Idiotka! – JahJah machnął ręką, ale przecisnął się przez tłum i ustawił na końcu ogonka do złożenia życzeń.

W tym momencie tłum się rozstąpił. Do młodych zmierzała starucha w łachmanach. Idąc, Ałła podpierała się kosturem. Pod drugie ramię podtrzymywała ją śliczna Białorusinka w glanach. Zapach, jaki ciągnął się za kobietą, nie był atrakcyjny. Ludzie dyskretnie osłaniali nosy, odwracali głowy. Ałła podeszła do nowożeńców, uniosła welon i schowała się pod nim jak pod epitrachelionem popa po spowiedzi.

– Pocałowała ją w czoło – dziwili się ludzie. – Co to znaczy?

– Zdrajca całuje w policzek, kochanek w usta, a rodzic w czoło – ktoś z tłumu zacytował fragment białoruskiej epopei narodowej. – Pobłogosławiła ją.

Ałła nie mogła tego słyszeć. Odeszła z czarnym warkoczem panny młodej w ręku, ale w zamieszaniu nikt z gości tego nie zauważył. Wkrótce młodzi wsiedli do jednej z bryczek i ruszyli do Jagiellońskich. Za nimi ruszył orszak gości.

Romanowska podeszła do JahJah’y.

– I co?

– Nie widziałem.

– To nie ona. – Tomik puścił w obieg złoty iPhone.

Dwaj starsi bracia przyglądali się niewyraźnej fotografii, którą przysłał im przekupiony ochroniarz.

– To jakaś starucha – oszacowała Marta, narzeczona Tomika. – Patrz na jej ręce. Tutaj, gdzie kończy się rękawiczka. Jakie żyły! Nawet ja takich nie mam.

Zaprezentowała swoje pulchne przedramiona. Faktycznie były gładkie jak pupa niemowlęcia. Marta była dumna ze swojej solidnej podściółki tłuszczowej, która skutecznie chroniła ją przed pomarszczeniem na długie lata. Teraz już wszyscy pochylili się nad telefonem.

– Złudzenie optyczne. – Wasyl tylko rzucił okiem na zakutaną pannę młodą. – Młoda Żubrówka to jeszcze dzierlatka. Nie ma zmarszczek. I drugiego podbródka też. – Spojrzał na przyszłą szwagierkę znacząco.

Tylko fuknęła.

– Podobno była zasłonięta przez całą ceremonię – dodał Fionik. – Tak ludzie gadajo.

– Może to była jaka podstawiona? – obwieściła Marta teatralnym szeptem. Dramatycznie przeciągała sylaby, jakby grała w filmie.

– Podstawiona? – żachnął się Wasyl. – Zdjęcie jest kiepskiej jakości.

– To trzeba było iść i samemu zobaczyć. Ochroniarz ma starą nokię. Zrobił, jak umiał – zdenerwowała się Marta, która osobiście w tę usługę zainwestowała dwieście złotych. – Teraz musztarda po obiedzie.

Nie mogła darować narzeczonemu, że zabronił jej pójść na ślub przyszłego teścia. Nikt teraz nie zobaczy jej nowej sukni z kołnierzem z jenota, kupionej w butiku Ewy Minge. Kolejna okazja na włożenie wystrzałowej panterki z gołymi plecami nie nadarzy się prędko. Chyba że Tomik szybko ogarnie sprawę testamentu i weźmie ją na sylwestra do Żubrówki. Wtedy może by mu wybaczyła. Może. Nie była jeszcze pewna.

– Cokolwiek się stało w Carskiej, powinniśmy tam dziś być i trzymać się razem. Może ojciec dałby się udobruchać? – tłumaczyła jeszcze z samego

rana.

Ale Tomik ją zbył. Marta była niepocieszona.

– Nie będę się wystawiał na kpiny – rzucił i zamknął temat.

Siedzieli teraz w Starówce, knajpie należącej do Wasyla, o tej godzinie całkowicie wyludnionej. Najpierw przekrzykiwali się nawzajem, potem jedli. Wreszcie uradzili, że najskuteczniej byłoby doprowadzić do obalenia testamentu ojca ze względu na jego zaburzenia psychiczne. Podstawa była. Wystarczy wyciągnąć dokumentację z obserwacji psychiatrycznej Piotra w Ciszyni i odpowiednio nadinterpretować. Dzięki zespołowi Otella Piotr uniknął przecież odpowiedzialności za zabójstwo Łarysy. Gdyby doszło do procesu, i tak byłby poszlakowy – nie znaleziono ciała. Ale dzięki Saczce Bondaruk nie został nawet postawiony w stan oskarżenia. Teraz synowie głowili się, jak załatwić ojca jego własną bronią. No i oczywiście Piotr musiałby znów trafić na obserwację. Pretekst był. Zaginione matki Fionika i Wasyla. Problem stanowił tylko dyrektor ośrodka. Bondaruk przyjaźnił się z Saczką i lekarz nigdy nie wystawi zaświadczenia o niepoczytalności biznesmena. Zbyt wiele mu zawdzięcza. Szukanie psychiatry z innego miasta nie wchodziło w grę. Mogłoby wyjść na jaw, że dzieci mają złe intencje. Cała rodzina wiedziała, że ten pomysł to przegrana sprawa. Chyba że ktoś przekonałby Saczkę. Nastraszył go lub wręczył stosowny czek. Nie wiedzieli jednak, ile za taką usługę zaproponować. I kto by to efektywnie zrobił, by nie pogorszyć sprawy.

– Łatwiej byłoby już załatwić jakiegoś kilera – mruknęła Marta i zaśmiała się nerwowo.

– Co ty mówisz? – żachnął się Fionik. Odezwał się pierwszy raz, odkąd podano obiad.

– Sam przecież kiedyś groziłeś tym bratu – oburzyła się Marta. – Dobrą masz pamięć, tylko krótką. Nie martw się. Wala nie słyszy.

Walentyna, żona Fionika, nie siedziała przy stole. Nigdy się nie mieszała do spraw Bondaruków. Wola boska – stwierdziła, kiedy dowiedziała się o decyzji teścia. I dodała, że nie zależy jej na pieniądzach. Są zdrowi, mają dom. Ona jest rzecznikiem w urzędzie, robi swój blog o gotowaniu. Fionik ma sieć sklepów spożywczych. Bóg nie lubi pazernych. Przyszła na spotkanie rodzinne, bo taka rola żony, ale głównie biegała za synem po

knajpie i ratowała scenografię. Pięcioletni Lew był niezwykle żywym chłopcem i właśnie próbował ściągnąć na siebie ogromny wazon z kwiatami. Ale Fionik wiedział, jak będzie. Jeśli ojciec przeforsuje swoją wolę, stracą wszystko. Jak zaczną im zabierać dom za długi, bo sklep nie przynosił wcale kokosów i tylko dzięki wsparciu ojca Fionik rok temu musiał wziąć kolejny kredyt pod zastaw domu, Wala inaczej będzie śpiewała. Zwłaszcza jeśli na dodatek z dnia na dzień zostanie bezrobotna, co, sądził Fionik, stanie się niechybnie, jak tylko urzędnicy miejscy uradzą o okazaniu wsparcia Bondarukowi.

– To nawet nie jest wasz prawdziwy tata. – Marta wzruszyła ramionami. Znów odzyskała pewność siebie. – Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy. Usynowił was, wykształcił. Zgoda. Ale Bondaruk to nie wasza krew. O innych sprawach już nie wspomnę ze względu na obecność dziecka. Jeszcze usłyszy i powtórzy w przedszkolu.

Tomik natychmiast zrobił się czerwony na twarzy.

– Zamilknij, kobieto! – podniósł głos.

Wasyl uspokoił go gestem.

– Prawda w oczy kole – poparł przyszłą bratową. – Daj Marcie skończyć, bo mądrze prawi. Gdyby nie wspólny wróg, nigdy byśmy wszyscy trzej nie zasiedli przy tym stole.

– Co racja, to racja – krzyknęła z głębi sali Walentyna.

Wszyscy się zdziwili. Nie spodziewali się, że kobieta jest na bieżąco z dyskusją. Marta rozparła się wygodniej na krześle. Nabrała powietrza w solidną klatkę piersiową, podziękowała Wasylowi i Wali uśmiechem.

– Piećka już i tak niedługo pociągnie. Sam zdaje sobie z tego sprawę, skoro pisze takie bzdury. Może chory jest? Czytałam, że ludzie robią takie dziwactwa za życia, a potem przy sekcji wszystko się wyjaśnia. Guz mózgu, który uciska przewody nerwowe.

– Chyba to nie na tym polega.

– Jeden pies. – Marta machnęła ręką. – Ale gdyby Piecia nagle zmarł, każdy z was by na tym skorzystał. Nie mówię przecież o spektakularnej zbrodni. Jakiś wypadek, coś łagodnego. Że niby umarł na starość. Bywa

w jego wieku. Podzielilibyście majątek między wszystkich, po równo. Żubrówkę by się spłaciło i fora ze dwora.

Tomik wziął do ręki komórkę. Wyświetlił ponownie zdjęcie panny młodej.

– Ale o co tu chodzi?

Nikt jednak nie podjął ponownie wątku zasłony. Milczeli, rozważając propozycję Marty. Lew, korzystając z okazji, pociągnął za obrus i zrzucił na siebie świecznik wraz z porcelanową zastawą. Na szczęście świece zgasły, zanim ogień dosięgnął włosów malca.

– Znam takiego jednego – wychrypiał Wasyl. – Ma agenturkę w Białowieży. Dziewczynki, ochroniarze. Wszystko ze Wschodu, bez papierów. Żadnej pracy się nie boją. Swego czasu Nikolai obiecywał pomóc. Pamiętacie? – Zawiesił spojrzenie na Tomiku. – Wtedy obiecał, że kogoś przyśle. Mogę ponownie zbadać sprawę.

Nikt mu nie odpowiedział, ponieważ nagle zadźwięczał dzwonek przy drzwiach wejściowych i mimo iż zawieszono plakietkę „Zamknięte”, do pomieszczenia wszedł starszy mężczyzna w wygniecionym kapeluszu. Zarośnięty jak Rumcajs, z długimi poskręcanymi w kołtun siwymi włosami. Przy jego nodze, bujając się na boki, maszerował równie stary żółty amstaf. Mężczyzna skinął głową zgromadzeniu, ale nie podszedł bliżej.

Ruszył prosto do baru, zamówił podwójne piwo i usiadł z dwoma litrami bursztynowego płynu w kącie, po drugiej stronie sali. Synowie Bondaruka wpatrywali się w niego zza paprotki.

– Idź do niego. – Marta pociągnęła narzeczonego za rękaw. – Przecież nie będzie tu siedział w nieskończoność. Niech pogada z Saczką i załatwi sprawę. Tylko negocjuj cenę!

– Ale ja go właściwie nie znam – próbował się migać od odpowiedzialności Tomik.

– Uczył cię przecież niemieckiego – mruknął Wasyl. – Przypomnij mu o „Tygodniku Powszechnym”. Ucieszy się, że pamiętasz. Może da promocję.

– To ty do niego dzwoniłeś – Tomik odbił piłeczkę.

– Ale mnie stawiał ledwie trója z lejcami – odciął się Wasyl. – *Ich ferszteje nicht*. Ty idź, zawsze byłeś pupilkiem belfrów.

Podziałało. Tomik wstał. Spojrzał na znudzonego psa, który jak sfinks siedział obok krzesła Piresa i nie spuszczał wzroku z dziecka czołgającego się teraz po podłodze w poszukiwaniu rozrzuconych klocków. Najmłodszy syn Bondaruka otrzepał sweter z niewidocznych paprochów, poprawił kołnierzyk i ruszył jak na ścięcie. Reszta odprowadzała go wzrokiem pełnym nadziei.

– Dzień dobry, panie profesorze.

Ledwie usiadł, natychmiast wszedł w skórę uczniaka, który drżał na sam widok Anatola Piresa, kiedy ten był jeszcze dyrektorem „białorusa". Charyzmatycznym, pewnym siebie i radykalnym w sądach. Nigdy nie było się pewnym, co knuje. To za jego sprawą tę szkołę postawiono. Walczył o *licej* w ministerstwie jak lew. Ale już kilka lat później zależało mu znacznie mniej i dyrektorski fotel bez żalu oddał swojemu własnemu wychowankowi, któremu z niemieckiego nigdy nie postawił nawet trói z lejcami. Oficjalnie zdegradowano go za „rozpolitykowanie" do zastępcy, a potem zwykłego germanisty. Ale się nie przejmował i z rzadka pojawiał się w szkole. Dużo wtedy podróżował.

Za komuny, jako jeden z niewielu mieszkańców miasteczka, nie miał problemów z paszportem i jeździł po świecie bez ograniczeń. Niemcy, Finlandia, Stany Zjednoczone. W starych dokumentach miał chyba wszystkie pieczątki celne. O krajach byłego bloku radzieckiego nie wspominając. Poza germańskim znał biegle siedem języków. Szczycił się tym, że w większości jest samoukiem, jak polski papież. W czasach czystek prowokacyjnie czytał „Tygodnik Powszechny" i nie bał się wieszczyć, że ten system pada. Bawiło go to. Nigdy go nie zgarnęli, choć zawsze odstawał. Mówiono, że był w wywiadzie. Wtedy nikt w to nie wierzył.

Dziś, choćby był ostatnim mężczyzną na tym globie, żadna kobieta nie spojrzałaby na niego łaskawszym okiem, może tylko z przebłyskiem współczucia, ale kiedyś było zupełnie inaczej. Pires nigdy nie był atrakcyjny, ale za to zawsze ekscentryczny i wpływowy. To zresztą mu pozostało do dziś. Wtedy skrzętnie wykorzystywał swoje atuty i romansował, z kim się dało. Podrywał nawet uczennice pierwszych klas

i wszyscy w mieście o tym wiedzieli. W tamtych czasach takich spraw prokuraturze nie zgłaszano. Skandale tuszowano i tylko ludzie mieli o czym gadać. Zwłaszcza że jego żona Jagódka, święta kobieta, zdawała się nie przywiązywać do tego zbyt wielkiej wagi. Zmarła kilka lat temu i dopiero wtedy Pires zrobił to, o czym marzył zawsze. Spieniężył wszystko, co miał, kupił jacht i założył firmę eksportującą parkiet. Splajtował w ciągu roku. Nie wytrzymał konkurencji z firmą Bondaruka. Potem rozpił się, jacht przegrał w karty i zyskał miano lokalnego wariata. Dziś żyje jak żebrak na portierni wysypiska śmieci, gdzie zatrudnił się za wikt i dach nad głową po bankructwie, bo taki miał akurat kaprys. Łazi po mieście z uratowanym ze schroniska psem bojowym i nie wiadomo do końca, kogo przechodnie omijają szerokim łukiem – człowieka czy zwierzę. Młodzież nie zna jego dramatycznej historii, a jego wygląd budzi w niej wyłącznie litość, więc mało kto z młodych traktuje go poważnie. Był więc Pires kilkakrotnie atakowany przez kinderskinów. A raz nieznani sprawcy próbowali go zakopać żywcem w starej żwirowni. Ponoć widział ich twarze, ale nie wydał żadnego. Za to rodzice trzech wojujących nacjonalistów tego samego dnia stracili pracę w tartaku i do dziś nikt nie chce ich zatrudnić. Od tamtej pory nikt, nawet narodowcy, nie ważą się do tego wariata zbliżać.

W gronie starszego pokolenia nigdy nie przestał uchodzić za wpływowego. Zna wszystkich, na wielu ma haka. Mówią, że tak naprawdę jest szarą eminencją i należy do nieformalnej starszyzny miasta, choć na rautach nie pojawia się prawie nigdy. Gdyby chciał, prowadziłby zupełnie inne życie. Z jakiegoś powodu wybrał los kloszarda. Tylko kiedy ktoś postawi mu drinka i o to zapyta, ryzykując przy tym, że sam się porządnie skuje, bo Pires nadal ma mocną głowę, odpowiada, że jest „indi” – ostatni niepodległy w tym mieście. Ale wszyscy się z tego śmieją.

– Jaki tam dobry. Nędza was czeka, dzieci – mruknął Indi i zdjął kapelusz.

Tomik pochylił głowę.

– My w tej sprawie dzwonili do was, profesorze. Wszystko się pokiełbasiło. Ojciec oszalał.

– Rychło w czas – dodał Indi z nieskrywanym szacunkiem.

Splunął na dłoń, przyklepał włosy. Tomik zerknął na swoją rodzinę.

– To moi bracia. Chcieliby uczestniczyć w naszej rozmowie – zaczął. – Posłuchać, jaki pan ma plan, by sprawę wyprostować.

– Nie mam planu. – Pires upił z kufla, aż zabulgotało. Kiedy odstawił szkło, została połowa jego zawartości. – Ale możesz mi zamówić jeszcze raz to samo.

Tomik skinął na kelnerkę. W tym momencie Indi klepnął go po plecach, aż młody mężczyzna ugiął się nad stołem.

– Nie martw się tak, mały. Nie takie rzeczy robiło się ze szwagrem. Znasz ten dowcip o optymiście? Dobry, bo radziecki.

Tomik pokręcił głową. Naprawdę nie miał ochoty słuchać idiotycznych żartów tego świra. Pires nic się nie zmienił, a raczej mu się pogorszyło. Ale Indi nie czekał na przyzwolenie. Zaczął mówić:

– Rodzice mieli dwóch synów. Na gwiazdkę postanowili zrobić eksperyment. Jednemu kupili klocki lego, a drugiemu w kolorowy papier zapakowali końskie łajno. Pesymista otwiera klocki i kwęka: „Ojej, znów klocki. Mam już takie. Będę musiał je składać. Ile to mi zajmie?”. To ty. – Skierował w Tomika swój brudny palec. I kontynuował: – Optymista patrzy na brata i uśmiecha się do swojego prezentu. „A u mnie dziś w nocy konik był!” – Pogłaskał się po waciaku. – To ja. Czekałem ze trzydzieści lat, aż noga się Okularnikowi powinie. Myślałem już, że tego nie dożyję. Bo nigdy dotąd polski kacap nie stracił rezonu. Nie popełniał książkowych błędów. Ja się wykopyrtnąłem, a on z trzech spraw karnych się wymotał, biznes wyprowadził za morze. Jakby miał chuja ze stali – zarechotał.

Tomik nadal siedział skwaszony. Musiał zrobić wyjątkowo głupią minę, bo Pires przestał się śmiać, włożył kapelusz.

– Nie ufam ludziom, którzy nie znają się na żartach – rzekł.

– Trochę mi nie do śmiechu. – Tomik się naburmuszył. – Myśleliśmy, żeby zarekomendował pan nasz pomysł dyrektorowi Ciszyni. To dla nas dosyć pilne. Mamy na to budżet.

– Jeśli jest kasa, sprawę z Doktorem Śmierć da się załatwić bez problemu – wszedł mu w słowo Indi. – Pół miasta chce tego samego co wy. Ale jeśli to ja mam pogadać z Saczką, będzie cię to trochę więcej kosztowało.

– Jestem gotów zapłacić podwójnie.

Tomik natychmiast pożałował swoich słów. Już widział, jak Marta ciosa mu kołki na głowie za nieudane negocjacje.

– Chłopie, na co mi pieniądze! – Indi zaśmiał się gromko. – Chcę czegoś cenniejszego niż złoto. Tego, co wiąże ludzi na zawsze. Skup się i pojmij wreszcie, chłopie, bo twój ojciec doszedł do tego miejsca, w którym jest, tylko dlatego, że dobrze zna tę zasadę. Przysługa!

Tomik z trudem zachował spokój. Wiedział, że to tylko wstęp do bomby, którą właśnie podkłada pod jego krzesło Pires. Już w szkole obcowanie z tym dziwadłem przypominało siedzenie na rozżarzonych węglach. Poza tym za cholerę nie rozumiał, o co dziadowi chodzi.

– Znajdziesz w domu starego dokumenty.

– Dokumenty?

– Plik oryginalnych dokumentów wozaków zamordowanych w pogromie wsi prawosławnych. Dokładnie czterdzieści dziewięć sztuk. Chcę je mieć. Oryginały, nie kopie. Rozumiesz, cwaniaku?

– One się nie zachowały – odważył się wreszcie wtrącić Tomik. – Druga ekshumacja odbyła się rok temu. Tam było tylko trzynaście ciał. Pochowane są teraz na cmentarzu wojskowym w Bielsku.

– Słuchaj mnie, dziecko – zbiesił się Indi. – Nie obchodzi mnie wersja oficjalna i edukować cię nie będę, skoro jakoś dożyłeś bez podstawowych danych o swoim rodzie. Twój ojciec je ma. Wszystkie czterdzieści, kurwa, dziewięć. Zaufaj mi. Spłonął tylko jeden. Nie powiem ci czyj, bo nie wiem.

– Jak mam to zdobyć? – wyszeptał Tomik.

– Gdybym wiedział, sam bym je sobie wziął, czyż nie?

Indi zerknął na psa. Pogładził go po wielkim łbie. W tym momencie do stolika podbiegł Lew i zaczął przytulać się do amstafa. Pies dawał się obściskiwać i długo siedział niewzruszony. Kiedy jednak chłopiec dotknął jego ogona, kłapnął bez ostrzeżenia. Nie wydał przy tym nawet warknięcia. Wszystko odbyło się w ciszy. Dzieciak natychmiast wybuchnął rozpaczliwym płaczem. Zaraz przy stoliku pojawiła się Walentyna.

– Pani pilnuje swojej bestii – zbeształ ją Indi. I nie przejmując się jej komentarzami, dokończył: – Furmanów było pięćdziesięciu. Znaleziono

tylko trzynaście ciał. Reszta gnije gdzieś w ziemi. Może psy dawno rozniosły kości. A może nie. Raczej nie, bo ludzie jeszcze pamiętają. Powiedzą, gdzie ta felerna ziemianka, tylko temu, kto ma kwity. Wciąż się boją, pewnie, ale od strachu silniejsza jest ciekawość.

Tomik obejrzał się na braci. Udawali, że są zajęci rozmową. Słuchali jak na tureckim kazaniu szczebiotu Marty, która prezentowała właśnie podarunek od narzeczonego – antyczne kolczyki z karneolem.

– To chyba niemożliwe – rzekł po namyśle Tomik. – Byłbym w tym względzie pesymistą. Ojciec nigdy o tym nie wspominał.

– A jak zginęła pana matka, opowiadał? – Pires się rozpromienił, ukazując czarne od tytoniu dziąsła.

Tomik wyprostował się na krześle. Poczuł grozę.

– Jestem adoptowany.

– Jak pozostałe dwa bękarty, których matki Okularnik osobiście skasował.

– Więc Bondaruk znał moją matkę? Byli w potajemnym związku?

Indi pierwszy raz spojrzał na Tomika z szacunkiem.

– Jak się sprawisz, zapoznam cię z babcią. Mieszka we wsi pod Ciechanowcem. Swego czasu intensywnie szukała córki. A jak nie żyje, dam ci numer sprawy. Poczytasz o swojej rodzinie i gul ci skoczy. Myślisz, że dlaczego cię przysposobił? Kobita zaginęła tak samo sekretnie jak Łarysa i Mariola. Nie jest wcale tak, że załatwił cię z domu dziecka. Zresztą, co mi tam, spytaj ojca o Jowitę. To był jej pseudonim artystyczny. Ładna była, stokrotka. Sam smaliłem do niej cholewy. Podobny jesteś do niej, jak skórę zdjąć.

Tomik zapadł w stupor. Trawił dane.

– To pewna informacja? – odezwał się po dłuższej chwili. Indi wyczuł, że rozmowa wchodzi na inny poziom. Tomik chciał poznać prawdę.

– Ty masz swoją historię, ja mam swoją – odparł Pires. – Kasy, jak powiedziałem, nie chcę. Tyle co na czynności operacyjne. Wśród zamordowanych wozaków był mój ojciec. Chcę znaleźć jego grób, zanim sam sczeznę pod śmieciami na Parajewie.

Zapadło niezręczne milczenie. Tomik nie wiedział, co powiedzieć. Chciał spytać, dlaczego jego ojciec trzyma te dokumenty. Co ma z tym wspólnego? Co dziadyga wie o śmierci jego matki? Czy może ona żyje? Opuściła go i uciekła, bo przecież tak mówiono mu od dziecka i tak przez lata plotkowali ludzie. Bał się jednak odpowiedzi. Nie spytał o nic.

– Poszukam – obiecał.

– Bardzo mnie to cieszy – westchnął smutno Indi. – Bo do mnie, proszę pana, konik przychodzi każdej nocy. A jak znam Okularnika, to ceratowy notesik z pieczołowicie zapisanymi zasługami obecnej rady starszych tego zgniłego miasta też gdzieś ma zachomikowany. Znajdź go. Wtedy Tezeusz pójdzie do labiryntu. – Wstał. Wygulgotał do reszty piwo z drugiego kufla i oba naczynia schował do kieszeni jak swoją własność. – A sprawa spadku pozamiatana: Iwona bierze wszystko. Nie było żadnej podmianki – dodał.

Po czym przypiął smycz milczącemu psu i wyszedł, brzęcząc szkłem jak samolotowy minibar.

Sasza nie była w stanie przedostać się przez tłum pod cerkwią. JahJah, który ostatecznie uwolnił ją z komendy powiatowej, pokazał jej wprawdzie gazetowe zdjęcie lekarza, z którym chciała pomówić o Łukaszu, ale ludzi było tylu, że szanse na znalezienie dyrektora Ciszyni szacowała w okolicy zera. Liczyła, że policjant pomoże jej na miejscu, ale były to nadzieje płonne. Przydybała go, kiedy wyszedł zapalić za bramę.

– Choćbym chciał, nie mogę zmusić doktora, żeby z panią rozmawiał – oświadczył jej i, niczym Piłat, umył ręce od sprawy.

– Nie może pan czy nie chce mnie przedstawić?

Podsunął okulary na nos i nachylił się do jej twarzy. Był od niej wyższy o dwie głowy.

– Tego nie powiedziałem – uśmiechnął się szeroko. – Doktor Śmierć lubi brąz. A zielony to jego ulubiony kolor.

Rozejrzała się. Nie dostrzegła nikogo mocno opalonego w garniturze tego koloru. Sądziła zresztą, że dawno już wyszedł z mody. Wyczuła, że panowie się nie lubią lub wręcz mają ze sobą na pieńku. Bo że znali się, było pewne jak w banku. W tak małym miasteczku każdy znał każdego. Przynajmniej z widzenia.

– Może jaśniej – poprosiła. – Nie jestem dobra w szaradach.

– A to szkoda, bo na to właśnie liczyłem.

JahJah nie zamierzał niczego więcej wyjaśniać. Po prostu sobie poszedł. Szukała go wzrokiem, ale udawał, że jej nie widzi. Potem był mocno zajęty flirtowaniem z jakąś twardą babką ostrzyżoną na zapałkę. Z daleka wyglądali na parę.

Prawie wszyscy goście wsiedli już do bryczek i specjalnie udekorowanych autokarów. Ich rozproszeniu towarzyszyły śpiewy, piszczałki i muzyka ludowa. Sasza nie znosiła wesel. Nowoczesnych ani ludowych. A już tym bardziej nie chciała jechać na publiczną popijawę. Wciąż nie czuła się na siłach uczestniczyć w takich spędach, gdzie wódka, piwo i wino leją się strumieniami. Wyglądało jednak na to, że nie będzie

miała wyjścia. Po długim namyśle ruszyła więc za weselnikami w długim korowodzie.

JahJah zapewnił ją w komendzie, że doktor Krzysztof Saczko, dla przyjaciół Doktor Śmierć, będzie zarówno na ślubie, jak i na weselu. Miała szansę załatwić sprawę i opuścić to piękne miasto raz na zawsze. Jak się dowiedziała od Frankowskiego, pozostanie do poniedziałku wcale nie gwarantowało, że dostąpi audiencji w Ciszyni.

– Obstawiam, że przez pierwsze trzy dni po biesiadzie doktorek nie pojawi się w pracy. Jedyna szansa dla pani to dopaść go na festynie. Będzie pijany i niebywale rozmowny. Radziłbym też ubrać się bardziej kobieco. Saczko jest wzrokowcem. – Odchrząknął znacząco, patrząc na jej dżinsy i rajtrok oraz dekolt zakutany aż pod brodę apaszką, po czym dodał: – Jest blisko związany z rodziną młodego. Znajdzie go pani bez trudu. Nie zdziwiłbym się, jeśli przy weselnym stole zasiądzie zamiast ojca Bondaruka – dodał JahJah.

Sasza otrzymała dane. Dalej musiała działać sama. Wsiadła do auta i ruszyła w kierunku Białowieży. Po drodze zahaczyła o szpital, ale nikt nie znalazł jej dokumentów. Była tam już policja. Wysłali za Danką kilka patroli. Rogatki miasta też były obstawione. Pociągi tu nie docierały, więc na dworcu Sasza pocałowała klamkę, autobus jeździł tylko dwa razy dziennie, około piątej nad ranem do Warszawy i o trzeciej po południu do Białegostoku. Danka zaś jakby zapadła się pod ziemię. Sasza przeklęła w myślach swoją łatwowierność. Dziewczyna zdobyła pieniądze i uciekła. Te kilkaset złotych wystarczą jej na przedostanie się na drugi koniec Polski i przetrwanie, zanim ogoli na litość kolejną osobę. Mogli jej szukać do świętego nigdy. O karty się nie bała. Zastrzegła je natychmiast po odkryciu kradzieży. Gorzej będzie, jeśli na jej papierach młoda przekroczy granicę lub dokona przestępstwa.

Wczoraj wieczorem, mimo iż sprawa skończyła się na mandacie i zatrzymaniu auta, zdecydowała, że czas poinformować Ducha. Z niechęcią wysłała esemes, że potrzebuje jego pomocy. Oddzwonił natychmiast.

– Nabroiłaś – stwierdził.

W tle słyszała odgłosy zabaw dzieci. Poczuła déjà vu. Dziadek, rozmowa z nim na wiosnę. W tym momencie intuicja podpowiedziała jej, gdzie mogła ukryć się Danka. Może wcale nie wyjechała. Dlatego nie mogą jej znaleźć. Zaszyła się, tak jak Łukasz. W tym samym lokalu. Dwie pieczenie na jednym ogniu. Jeśli Sasza znajdzie mieszkanie ze zdjęcia, będą tam też jej kwity. Bezpiecznie wróci do Sopotu.

– Możesz mówić? – upewniła się.

– Jasne. Moja była aktualna żona przygotowuje właśnie obiad – odparł. – Siedzimy z jej policjantem i popijamy piwko.

Sasza nie rozumiała zawiłości tej relacji, ale nie miała ochoty teraz na osobiste zwierzenia Ducha.

– Nie da się przesunąć mojego egzaminu? Formularze wypełniłam. Testy przeszłam na pięć i pół punktu. Została tylko strzelnica.

Milczał, kiedy streszczała sytuację. Co jakiś czas wzdychał albo naśmiewał się z jej głupoty. Wreszcie powiedział, że następny nabór będzie jesienią, ale nie jest pewien, czy wtedy Sasza trafi do jego zespołu.

– Do mnie, mała, ludzie starają się dostać latami. A to biurko, przy którym siedziałem, to już prawdziwy luksus – rzekł.

– Wiem, wiem – zaśmiała się Sasza. – Płyta paździochowa i ciężka orka, bez płatnych nadgodzin. Ekskliziw jak się patrzy. Ale ja nie jestem kobietą luksusową, Duchu. Wiesz, że się staram. Nie leżę tu odłogiem, ciężko tyram. Tylko żebyś potem nie mówił, że nie ostrzegałam. Zaryzykuję spóźnienie.

– Może przyjadę po ciebie? – spytał. – Jeśli sama nie możesz prowadzić.

Sasza zamarła. Wykrzywiła twarz w geście rozpaczy.

– Nie upiłam się, Duchu. Nie zabrali mi jeszcze prawka – odparła zimno. – Po prostu ukradli mi saszetkę z dokumentami. Liczę, że do niedzieli wieczór ją znajdą i wracam zgodnie z planem.

Nie powiedziała mu wszystkiego. Zataiła cel swojej wizyty w Hajnówce i chciała, by tak pozostało. Historia z Polakiem to jej prywatna sprawa. Po co też miała mówić o poszukiwaniach dyrektora? O kradzieży dokumentów też nie wiedział wszystkiego. Wyznała mu tylko, że ich nie ma. Dla niego przekaz był prosty. Nie może prowadzić. Nie ma na bilet. Wymaga pomocy.

Jego silnego ramienia. Dzwoni, więc Duch się musi sprawić. Stąd oferta. Sasza ciężko westchnęła nad prostotą obsługi tego egzemplarza mężczyzny.

– Jesteś?

– Tak – mruknęła. – Jak ich nie znajdą do wieczora, wrócę autobusem, pociągiem. Na stopa. A w domu wyrobię sobie duplikaty i przyjadę tu jeszcze raz po wóz.

– Zajmie ci to trzy dni. Mówiłaś, że tam nic nie dojeżdża.

– Jakoś wrócę – uparła się.

– Wyślij mi adres hotelu. Zjem, prześpię się i jadę – nie dawał się przekonać.

Wiedziała, że chce, by zdała ten egzamin. To także dla niego była sprawa honorowa. Poręczył za nią. Jeśli Sasza nie dotrze, on straci twarz przed szefostwem.

– Ile piw wypiłeś? – skapitulowała.

– Trzy – odparł. – I pół. Ale już nie dopijam.

– Daj spokój. Nie możesz dziś prowadzić – zaoponowała. – Jeśli coś pójdzie nie tak, odbierzesz mnie jutro z Białegostoku. Będzie szybciej. Sprawdzę pociągi i dam znać do wieczora.

– Okej – zgodził się łaskawie i upił kolejny łyk.

Sasza już wiedziała, że tylko żartował z podwózką. Wcale nie zamierzał rzucać wszystkiego i po nią gnać na drugi koniec Polski. Zrobiło jej się przykro.

– Poza tym wszystko dobrze? – Wyczuł spadek jej nastroju.

Zawahała się. Miała ochotę powiedzieć mu coś więcej, poprosić, by sprawdził Łukasza Polaka, ale się nie zdecydowała. Jeszcze spróbuje powalczyć sama.

– Po prostu się zamyśliłam. Smacznego.

– To cześć. – Odłożył słuchawkę.

Dopiero kiedy zapadła cisza, dotarło do niej, na co się zgodziła. Przyjedzie po nią? Aż tutaj? A jeśli Sasza się myli i nadkomisarz naprawdę ruszy w drogę? Wątpiła, ale jeśli tak by się stało, oznaczało to rychłe zaloty, romans. Szybko napisała mu esemes: „Poradzę sobie. Nie jedź!

W kontakcie”. Odpisał niemal natychmiast: „Nie denerwuj mnie!”. A po chwili: „Jesteś pewna?”. Miała ochotę odpowiedzieć lakonicznym „Nie”, ale wiedziała, że wtedy będzie ją dręczył telefonami. Odpisała: „Dzięki. Kiedy będę cię naprawdę potrzebowała, powiem”. „Będziesz się łasić?” – zapytał. „Będę żądać. Już się możesz bać”. „Zuch” – dostała w odpowiedzi. A po chwili: „Zuchówka”. Mimo wszystko znów udało mu się wywołać uśmiech na jej twarzy.

Odpaliła silnik i ruszyła do Jagiellońskich. JahJah przymknął oko na jej brak dokumentów i wystawił jej specjalny kwit zastępczy, z którym mogła poruszać się na jego terenie. Potem, poza jurysdykcją hajnowskiej komendy, miała sobie radzić sama. Chociaż tyle. Aż tyle – poprawiła się w myślach. Szklanka nadal jest w połowie pełna.

Bożena Bejnar była pełna najgorszych przeczuć, choć wszystko zdawało się iść zgodnie z planem. Iwona zdążyła na ślub. Zbierała komplementy za wygląd. Jej ojciec leżał pewnie gdzieś pijany pod płotem, bo nie dotarł do cerkwi, by dopełnić swych gróźb. Choć raz w życiu coś mu się udało. Nie zepsuł córce wesela. Bondaruk po ceremonii podpisał umowę dożywotniej dzierżawy ziemi dla jej najstarszego syna. Targu dobili za symboliczną złotówkę. Władysław wkrótce postawi na tej ziemi dom. Może założy legalną firmę, marzyła. Wyniosą się wreszcie ze slumsów na Chemicznej.

Serce matki jednak czuło, że Quaku nie przybył bez powodu. Bożena nie dała się udobruchać prostym: „Mamo, nie martw się. Już go nie kocham". Wiedziała z doświadczenia, że „już go nie kocham" nie przychodzi kobiecie tak łatwo. Tym bardziej gdy córka przed swoim własnym weselem znika na pół dnia z byłym narzeczonym. Co młodzi ludzie, jeszcze kilka miesięcy temu szaleńczo w sobie zakochani, robią przez tyle godzin? Bożena nie miała złudzeń. Coś wisiało w powietrzu. Coś, z czego była wykluczona. A Bożena nie lubiła, kiedy sprawy załatwiano za jej plecami. Dlatego też siedziała przy weselnym stole jak struta. Co rusz zerkała na Iwonę i szukała podejrzanych zachowań. Do niczego jednak nie mogła się przyczepić. Wreszcie jeden z synów zwrócił jej uwagę, że zachowuje się jak strażnik.

– Już nie jest panną. Nie puści się. – Ireneusz się zaśmiał. – Dobrze ją sprzedałaś, więc chociaż się najedz.

– Ja na przykład zjem tyle, aż mi się zwróci – dodał młodszy syn. Tym żartem trafił dokładnie w gust siedzących obok gości, bo roześmieli się w głos.

Stoły uginały się od półmisków, ale Bożena nie była w stanie przełknąć nawet kęsa. Goście krzyknęli „Gorzko, gorzko". Młodzi pocałowali się dyskretnie pod welonem. Rozległy się gwizdy. Nie na takie całusy czekała publika. Bondaruk podniósł rękę i tym jednym gestem zaprowadził porządek przy stole. Bożena szczerze go podziwiała. Złapała się na tym, że myśli, jakim człowiekiem był za młodu i dlaczego wtedy się za nim nie zakręciła. Gdyby Iwona nie dotarła, z rozpaczy zaproponowałaby mu chyba

swoją kandydaturę. Tak naprawdę wyszłaby za niego z dziką rozkoszą, choć wiedziała, że jej – starej – by nie chciał. Niech żałuje.

Obiad dla VIP-ów podano w restauracji obok muszli koncertowej przerobionej z carskiej powozowni. Plebs bawił się na zewnątrz, pod gołym niebem. Impreza dopiero się zaczęła, a na stołach piknikowych brakowało już mięsa. Kelnerzy donosili kolejne płonące prosiaki. Ludzie jedli i pili, jakby od jutra miał zapanować w okolicy głód. By zdobyć kawałek darmowej strawy, gotowi byli się stratować. Trunki podawano w plastikowych kubkach. A i tak na ubitej ziemi stłuczone butelki za chwilę stworzą szklany dywan. Nieczęsto odbywała się w tej okolicy darmowa fiesta takiej rangi. Powoli zapadał zmierzch, a ludzi wciąż przybywało. Miała być zabawa taneczna, koncert Pugaczowej, tradycyjne gry weselne i pokaz sztucznych ogni. Na razie nikt nie zaprzątał sobie głowy, co będzie się tu działo nocą po krzakach.

Chórzyści posilili się i wstali od VIP-owskiego stołu. Ukłonili się sponsorowi, dając znak, że są gotowi do pracy. Bondaruk zezwolił im opuścić salę. Za kwadrans zaplanowano w amfiteatrze leśnym mecz chórów, także cerkiewnych. Zamówiono i ludowe przyśpiewki. Pełen folkowy repertuar. Wydarzenie miała transmitować Telewizja Białystok. Zaraz po nich, przez godzinę, produkować się będzie boska Ałła. Rosjanka zgodziła się przyjechać, ale w umowie miała, że do ostatniej chwili pozostanie w hotelu. Przed Żubrówką kłębiły się już tłumy jej wielbicieli.

Bożena dyskretnie wstała od stołu. Ruszyła do drzwi. Miejsca w amfiteatrze było dosyć, ale ławek tylko kilka. Zarezerwowano je dla rodziny młodych. Zamierzała zasiąść w pierwszym rzędzie i przestać się zamartwiać.

– Pani Bożenka jak zwykle najpiękniejsza. – Ktoś pociągnął ją za szal. Oniemiała. W drzwiach stał Quaku. Był ubrany w czarny skórzany kombinezon. Pod pachą miał kask motocyklowy. Błysnął białym uzębieniem w szerokim uśmiechu. – Chciałem się pożegnać i podziękować. Za wszystko. Co złego, to nie ja.

Bożena przez chwilę przyglądała się mężczyźnie. Nie dziwiła się, że Iwek go wybrała. Jej Dawid też kiedyś podobnie wyglądał. Matka i córka musiały mieć w genach słabość do drani i patologicznych biedaków. Ale

Bożena przeżyła swoje i wiedziała, że małżeństwo to przede wszystkim instytucja prawna. Za mąż należy wyjść z rozsądku i nie mieszać do tego uczuć. Jeśli jest przy okazji miłość – świetnie. Jeśli zaś jej nie ma – jeszcze lepiej. Emocje to bałagan. A w życiu trzeba mieć posprzątane.

– Co knujesz, wężu? – syknęła.

– Wyjeżdżam – odpowiedział. Chyba szczerze.

Poczuła ulgę. Wyciągnęła ramiona i przytuliła go do piersi jak niesfornego syna. Jeśli ktoś obserwowałby ich z oddali, pomyślałby, że są sobie wyjątkowo bliscy. Byłby w błędzie.

– Nigdy tu nie wracaj – ostrzegła go z udawaną troską i ścisnęła tak mocno, aż poczuł zapach jej potu. Ona zaś wyczuła wódkę. Coś ją tknęło. Wzmocniła groźbę. – Osobiście cię unieszkodliwię. Zrozumiałeś?

– Chyba żeby stary nagle zmarł – zaśmiał się Jurka.

Ona też się zaśmiała. Ale w oczach miała wrogość. Odpowiedział tym samym. Był jednak godnym przeciwnikiem. Prawdziwy żulik.

– Na razie mąż Iwony ma się dobrze. – Zmierzyła go bacznym spojrzeniem. – Dam ci znać, jeśli to się zmieni. Do tego czasu się nie kolegujemy.

Rozstali się. Bożena zajęła miejsce na jednej z ławek i patrzyła, jak Quaku wsiada na motor, odjeżdża. Otarła dyskretnie łzę. Lubiła łobuza. Czuła się teraz jak stara królowa. To ona rozdawała w tej partii karty. Lubiła ten stan. Wiedziała, że to widać. Ludzie dyskretnie się jej przyglądali. To było wesele jej córki i jednocześnie pierwszy dzień wielkiego triumfu Bożeny. Córka odmieniła swoje życie na lepsze, ale to jej matka doprowadziła sprawę do szczęśliwego finału. Nie mogła dopuścić, by ktokolwiek to zepsuł. Musiała być czujna.

– Sio – przegoniła fotografa, który tanim aparatem cykał jej zdjęcia.

Ale kiedy pojawiła się kamera, natychmiast się wyprostowała i zaczęła pozować. Chwilę potem wokół zaroiło się od publiki. Bondaruk zajął miejsce obok teściowej i oboje uśmiechali się do kamery, pozowali jak para. Jutro znajdą się na ekranach lokalnych telewizorów i w internecie. Miała nadzieję, że wyjdzie korzystnie.

– Gdzie Iwona? – zapytała, kiedy dziennikarze przenieśli się z kamerami pod scenę.

Ktoś puścił plotkę, że Pugaczowa wyjechała właśnie opancerzonym samochodem spod Żubrówki. Makijażystka czekała już na nią w garderobie pełnej kwiatów. Schłodzony szampan i truskawki stały na stoliku wraz z weselnym kołaczem, który zamówiono w lokalnej cukierni. Braku korowaja dotąd nikt nie skomentował.

Bożena nie mogła się doczekać osobistej audiencji, którą obiecał jej Piotr. Miała przygotowane do podpisu wszystkie płyty pieśniarki. Fantazjowała, że spędzą wspólnie miły wieczór. Wyrzucała sobie, że kiedyś nie doceniała siły pieniądza. Tymczasem szczęście można kupić. Wszystko ma swoją cenę. Dowiedziała się tego dużo za późno. Ale to zawsze lepiej niż wcale. Córce nie pozwoli być tak głupią, by miłość przedkładać nad rozsądek.

– Poszła do toalety – odparł Piotr.

Wstał, by przywitać się z dyrektorem Saczką. Zrobili niedźwiadka. Bondaruk z trudem objął opasłego lekarza, którego mahoniowa opalenizna przywodziła na myśl świeżo upieczoną skwarkę. U ramienia grubasa, niczym hostessa, wisiała przepiękna kobieta. Dawno już przekroczyła czterdziestkę, ale figurę miała znakomitą oraz dużo odwagi. Włożyła na uroczystość skąpą suknię do kostek, w kolorze pistacji, odsłaniającą jej plecy aż po pośladki. Tatuaż przykryła muślinowym szalem, dzięki czemu kobra zdawała się namalowana na płótnie. Biustu mogły jej pozazdrościć dwudziestolatki.

– Magdalena Prus – przedstawiła się Bożenie i przeprosiła za nieobecność w cerkwi, lecz zatrzymały ją obowiązki służbowe.

– Jedna z pensjonariuszek postanowiła zwiedzić miasto – zażartowała.

Piotr z szacunkiem ucałował jej dłoń. Przytrzymał ją dłużej przy ustach, a kobieta zarumieniła się aż po czubki uszu. Znali się, zarejestrowała Bożena. I to blisko. Poczuła ukłucie zazdrości. Saczko jednak jakby tego nie zauważał.

Bożena odwróciła się obrażona, że jej nie oddawano takich honorów. Wtedy na szczycie schodków wyjścia z amfiteatru, między sosnami, dostrzegła wirującą trawiastą spódnicę panny młodej. Pojawiła się na

moment i natychmiast zlała z kolorem leśnej gęstwiny. Zaraz potem zdało się Bożenie, że od strony szosy znów słyszy warkot ścigacza. Matka bez słowa zerwała się i ruszyła w tamtym kierunku.

Sasza w życiu nie stała tyle w korkach, co teraz – na Podlasiu. Tym razem ogonek aut sięgał spod wejścia do Parku Narodowego aż do Jagiellońskich. Okazało się, że przyjazd na wesele autem był najgorszym z pomysłów. Na dodatek wszędzie stały radiowozy blokujące drogę. Legitymowano kierowców i wpisywano ich dane do kajetu. Wszyscy grzecznie czekali, aż korek się rozładuje, ale wiadomo już było, że stanie się to dopiero za godzinę, gdy Ałła Pugaczowa zakończy koncert i wróci do Żubrówki.

Sasza miała wprawdzie dokument od JahJah'y, ale kolejny raz nie zamierzała się już tłumaczyć nadgorliwym funkcjonariuszom. Zawróciła w boczną drogę prowadzącą do Sioła Budy, potem zamierzała wycinką ominąć Teremiski i ruszyć przez las traktem dla gajowych. Ostatnim razem, kiedy tu była, mówiono, że najlepszym autem do jeżdżenia po puszczy jest fiat 126p. Sasza wciąż jeździła uniakiem matki. Był równie mały i obrotny jak maluch. Dodatkowo miał na tyle wysokie zawieszenie, że była w stanie przejechać nawet po wysokiej trawie. Jeśli nie trafi na konar, będzie na miejscu w ciągu kilkunastu minut, planowała. Tym sposobem dotrze do Białowieży szybciej i bez sprawdzania dokumentów.

Na jednej z map w komórce znalazła doskonały objazd. Rozłożyła też mapę topograficzną, którą wcześniej kupiła na stacji benzynowej. Dodatek do mapy ukazywał plan wycieczek pieszych. Oznaczono w niej szlaki leśne oraz granicę rezerwatu. Dostrzegła małą drogę, która prowadziła przez las do amfiteatru. Była zadowolona z siebie, że znalazła ten skrót. Jeśli oczywiście nie zatrzyma jej jakiś cwany gajowy. Wiedziała już jednak, co mówić. Powoła się na Frankowskiego. Zasłoni jego kwitem. Liczyła, że podkomisarz jest autentyczną szychą, skoro był władny załatwić jej ten glejt.

Początkowo wszystko szło zgodnie z planem. Szarówka doskonale ją kamuflowała. Szybko oddaliła się od tłumu. W lesie panowała cisza. Słychać było jedynie śpiewy i muzykę. Załuska jechała ostrożnie, nie przekraczając dziesięciu kilometrów na godzinę, aż nagle droga się skończyła. Zerknęła do mapy. Tej ślepej nie oznaczono. Na rysunku

wyraźnie stała jako przejezdna. Była jednocześnie zbyt wąska, by zawrócić. Sasza zaczęła cofać.

Nagle, w lusterku wstecznym, między drzewami, Sasza zobaczyła dziewczynę. Biegła dosyć szybko, z trudem łapiąc oddech, jakby przed kimś uciekała. Na sobie miała strój ludowy. Jedna z chórzystek, pomyślała najpierw Załuska. A kiedy uciekinierka znalazła się bliżej, bez trudu rozpoznała w niej pannę młodą. Za dziewczyną z dużą prędkością pędził czarny mercedes. Charakterystyczny model z podwójnymi światłami, zwany okularnikiem. Auto było całe odrapane, poobijane. Dymiło mu z chłodnicy. Musiał gnać za dziewczyną po wertepach, między drzewami. Sasza zatrzymała się w ostatniej chwili, zanim doszło do zderzenia. Tamten nawet nie zamierzał hamować. Dziewczyna natychmiast podbiegła do drzwi pasażera. Chwyciła za klamkę uniaka Saszy. Wsiadła.

– Jedź! – krzyknęła spanikowana.

Sasza na chwilę zapadła w stupor. Obejrzała się. Były w potrzasku. Nie mogła ruszyć w żadną stronę. Przed nimi ściana lasu. Za nimi czarny wóz. Stał na wolnych obrotach, zmyślnie tarasując jedyny przejazd na wstecznym. Wtem rozległ się trzask otwieranych drzwi. Sasza w lusterku dostrzegła idącego w ich kierunku mężczyznę. Również miał na sobie ludowy strój i kominiarkę.

– Kto to? – spytała. – Znasz go?

Zamiast odpowiedzieć dziewczyna wpadła w histerię.

– Niech pani wezwie pomoc. Boże, o Boże! On mnie zabije.

Sasza wcisnęła przycisk centralnego zamka. Wszystkie drzwi się zamknęły. Wyjęła z torebki telefon. Wsunęła go do ręki młodej.

– Sto dwanaście – powiedziała. – Tylko nie becz! Podaj współrzędne.

Rzuciła jej mapę.

Mężczyzna, ubrany jak białoruski pan młody, nachylał się już od strony pasażera. Był zamaskowany. Sasza widziała tylko jego oczy. Były zielone, w jasnej oprawie rzęs. Blondyn. Dziewczyna odruchowo odsunęła się od szyby. Panicznie się bała.

– Niech pan odejdzie – zwróciła się Sasza do napastnika, by odwrócić jego uwagę. Sama grzebała w torebce w poszukiwaniu beretty. – Ta pani nie

chce z panem rozmawiać.

Agresor jakby nie słyszał. Wyjął zza pazuchy potężną siekierę i uderzył w szybę, gdzie siedziała dziewczyna. Okno nie stłukło się, ale rozpękło promieniście na tysiąc małych fragmentów. Teraz nie było już nic widać. Sasza się wściekła. Facet zniszczył jej wóz! Nie wiedziała, o co chodzi w tym małżeńskim konflikcie, ale gość przeholował. Koniec negocjacji. Drżącą ręką wyszukała w torbie berettę. W bocznej kieszeni, gdzie położyła wcześniej naboje, znalazła tylko dwa. Nie było czasu na dalsze poszukiwania. Załadowała je do magazynku. Facet wyglądał na niezłego świra. Otworzyła drzwi od swojej strony, wysiadła z wozu. Oparła dłonie o dach auta. Miała go na muszce. Wiedziała, że jeśli zechce, trafi go teraz w sam środek czoła. Przestraszył się. Zamarł bez ruchu.

– Jest naładowany – ostrzegła go. – Ruszaj się wolno, bo będę strzelała. Odsuń się od wozu.

Wykonał polecenie.

– Połóż się na brzuchu. Ręce na głowę.

Stał w miejscu. Sasza czuła, jak kropla potu spływa jej po kręgosłupie.

– Ręce na głowę – powtórzyła. – I na ziemię, palancie.

Mierzyli się wzrokiem. Widziała jego jasne tęczówki niewyrażające żadnych emocji. Przywodziły na myśl węża. Zaczął podnosić ręce. Nagle mrugnął, spojrzenie uciekło mu w lewo. Odwróciła się za późno. Dostała w tył głowy. Cios był nietrafiony, tylko ją otumanił. Ktoś wykręcił jej rękę, próbował wyrwać pistolet. Niechcący nacisnęła spust. Nie widziała, gdzie trafia, strzał był jednak celny. Ktoś zawył z bólu. To był damski głos. Sasza przestraszyła się, że trafiła młodą żonę. Napastnik, jakby w odwecie, nadepnął jej na ramię i stanął na nim całym ciężarem. Ból był nie do zniesienia. Czuła, jakby ktoś wwiercał się jej gwoździem w dłoń. Beretta wypadła jej z ręki. Potem usłyszała trzask łamanej kości. Ramię puchło momentalnie. Kiedy próbowała się podnieść, znów dostała w skroń. Tym razem czymś twardym, celnie. Zanim osunęła się na ziemię i straciła przytomność, usłyszała drugi strzał.

STASZEK
(1946)

Żółte, dorodne dynie ułożono jedną obok drugiej aż pod słomianą strzechę. Tuż po wojnie brukiew, gruszki ulęgałki i właśnie dynie żywiły na przednówku całe białoruskie wsie. Gotowali z nich zupy, piekli kołacze i jedli na surowo z miodem, jeśli nie były nadpsute. Pestki suszyli, dawali dzieciom zamiast łakoci. Wydrążone skorupy skutecznie rozpychały brzuchy domowych zwierząt. Na przednówku była to jedyna porcja świeżej żywności, jaką mogły dostać. Smak mięsa, chleba i wódki mało kto we wsi pamiętał. Radzieccy żołnierze przychodzili po żywnościowy haracz za dnia. Nocami jaja, słoninę i ziemniaki zabierały im bandy. Dyni nie chciał ani ruski, ani polski wojak. Dlatego dla tutejszej ludności to podłe warzywo było niczym skarb.

Dwudziestopięcioletnia Katarzyna Załuska z trudem wspięła się po szczeblach drabiny. Ręce miała zgrabiałe, gdyż wełniane rękawice oddała rano sześcioletniej córce, by Dunia mogła z dziećmi sąsiadów pobawić się w śnieżki. Kiedy kobieta dotarła do szczytu, sapała już jak stary parowóz. Przy każdym oddechu z jej ust dobywał się obłoczek pary. Mróz zelżał od wczoraj, ale i tak sięgał dwudziestu stopni Celsjusza. Katarzyna była w kufajce i kalesonach męża, na które włożyła wszystkie trzy posiadane spódnice. Kożuch zdjęła jeszcze na dole. Nie dopinał się na brzuchu. Bała się, że zaczepi rozchyloną połą o szczebel i spadnie w trakcie wspinaczki. Teraz żałowała tej decyzji, bo wprost trzęsła się z zimna.

Nagle poczuła skurcz. Zacisnęła usta, dłoń zwinęła w pięść, zerknęła na swoje paznokcie, by przepędzić urok. Jeszcze nie czas. Dopiero kończył się siódmy miesiąc. Kiedy chodziła w ciąży z Dunią, do dnia rozwiązania pracowała przy kopaniu ziemniaków. Wtedy nikt tutaj w wojnę nie wierzył. Kartofle były ważniejsze niż naloty w Warszawie. Urodziła córkę wieczorem, jeden dzień poleżała, a następnego dnia znów była na polu. Dziecko zawinęła ciasno w becik i ułożyła w koleinie pod lasem. Dunia wzorowo spała między karmieniami. Trzeba było skończyć wykopki, zanim na Kresy zawita Armia Czerwona czy Niemcy. Taka już Katarzyna jest: dzielna, dumna i robotna – mówiono, kiedy Bazyli, właściciel folwarku Załuskie, przyszedł do niej w swaty. I nie mylili się. Jej chata lśniła

czystością. Obiad zawsze ugotowany, choćby miała wyczarować zupę z gwoździa. Liczne rodzeństwo zaopiekowane, zwierzęta oporządzone.

Bazyl Załuski, jej mąż, był jak jego ojciec i dziad – przed wojną najbogatszym kułakiem w okolicy. Cała ziemia, jak okiem sięgnąć, od skraju wsi Załuskie aż po ścianę lasu, należała do niego. I żadnego roku nawet spłachetek nie leżał odłogiem. Dlatego też gospodarz rzadko bywał w domu. Katarzyna sama musiała sobie radzić z gospodarstwem. Nigdy się nie skarżyła. Była zorganizowana i zawsze pogodna. Znajdowała jeszcze czas, by uszyć coś sobie lub kobietom ze wsi. Nawet w czasie ostatnich nalotów, kiedy wszyscy chowali się do ziemianek, siedziała przy maszynie. Nie lubiła zostawiać niedokończonej roboty.

Teraz było podobnie. Choć każda inna ciężarna wykorzystałaby swój stan i odmówiła pomocy sąsiadkom, Katarzyna obiecała, że pomoże Mackiewiczom w zrzuceniu ze strychu dyń. Miały być przewiezione furą do ziemianki w lesie. Dlaczego? To jej nie interesowało. Nie należała do wścibskich kobiet. Wynegocjowała, że jej rodzina dostanie za fatygę dwadzieścia zdrowych sztuk. W czasie wojny wszyscy mieli tylko tyle, ile im nie zrabowano. Polecenie przyszło z samego rana. Problem polegał na tym, że prawie wszyscy mężczyźni w sile wieku, mający konia z furmanką, z mężem Katarzyny na czele, zostali wezwani do Orli, by odpracować szarwark dla gminy. Tym razem padło na ich wieś. Mieli przywieźć drewno z hajnowskich lasów i przetransportować je do szkoły w Orli. Katarzyna wiedziała, że mężczyznom zajmie to cały dzień, aż do zmierzchu. Kiedy wrócą, będą głodni. Z przyjemnością zjedzą dyniowy placek i zacierkową na mleku. W dzisiejszych czasach będzie to prawdziwa uczta. By zdobyć cenne warzywo, mogła liczyć wyłącznie na siebie, siostrę i dzieciaki. Kiedyś to ona zlecała takie prace innym, dziś sytuacja się zmieniła.

– Korona mi z głowy nie spadnie – odparła.

Stała jeszcze chwilę na ostatnim szczeblu i odpoczywała. Nogi trzęsły się jej jak studziennica. Przez chwilę obleciał ją strach. Jak zejdzie na dół? Na razie jednak nie chciała o tym myśleć. Jakoś sobie poradzi. Teraz miała inny, poważniejszy kłopot. Jak wdrapać się na górę i nie zrobić krzywdy nienarodzonemu dziecku. Zdenerwowało się już, kopało jak najęte. Katarzyna była pewna, że tym razem powije dorodnego chłopaka. Brzuch był wypukły i twardy jak otaczające ją aromatyczne dynie. Przez cienką

skórę widać było często wypukłości stópek płodu. Dunia, jak to dziewczynka, nie biła jej tak wytrwale. Na szczęście Olga, młodsza od Katarzyny o siedem lat, była już na górze i wyciągała do siostry pomocną dłoń. Kobieta podciągnęła się ostatkiem sił i wprost wturlała na podłogę strychu. Leżała potem długo na plecach, gładząc się po brzuchu i odpoczywając.

– Nie dam ci zrobić krzywdy – szepnęła po białorusku do dziecka.

Potrzebowała chwili, by się uspokoić. W głowie kręciło się jej od wysiłku. Serce biło jak oszalałe.

Kiedy uniosła głowę, oceniła bogactwo sąsiadów. I jednocześnie przeraziła się, ile będzie z tym zadaniem pracy. Cena, jaką Mackiewiczowie obiecali zapłacić za fatygę, nie wydawała się już wygórowana. Jak mają to wszystko zrzucić na ziemię? Która furmanka to zmieści? Jeśli jedna, będzie musiała zrobić kilka kursów tam i z powrotem. Katarzyna poprawiła kwiecistą chustę na głowie, którą sama utkała z wełny własnych owiec, i usiadła z trudem. Nie była jeszcze gotowa do pracy. Olga tymczasem turlała już żółte kule do dziury w podłodze. Jedna z dyń z impetem potoczyła się w dół i rozprysła na miazgę. Katarzyna zbeształa ją wzrokiem.

– Jak we dwie to zniesiemy? – żachnęła się Olga. – Tylko ty mogłaś obiecać coś tak głupiego. Nie damy rady!

W przeciwieństwie do siostry Olga nie lubiła się męczyć. Była niewysoka, koścista. Chuchro, naśmiewał się z niej ojciec. Kasia była jego pupilką. Tak było zawsze i Olga nigdy siostrze tego nie wybaczyła. Miała jednak swój spryt. Wiedziała, że na gospodarce kobiety jej postury szybko marniały. Olga nauczyła się skutecznie migać od pracy. Była w tym prawdziwą mistrzynią. Dziś nie miała wyjścia – Katarzyna obiecała jej nową bluzkę. Ale i tak nie była w stanie powstrzymać się od utyskiwania.

– Pojedynczo zajmie nam to tydzień. Ja się na to nie piszę.

– Nie będziemy nimi rzucać – zawyrokowała Katarzyna i uśmiechnęła się pobłażliwie do siostry. – Bo wszystkie się potłuką. A te, które się ostaną, zgniją od zagnieceń, zanim zdołamy je zgotować.

– Nasze zniesiemy. – Olga wzruszyła ramionami. – A pozostałe? Trzeba je sturlać. Co nas to obchodzi! Niech oni się martwią.

– To nieuczciwe – zgromiła siostrę Katarzyna.

Wyprostowała spódnicę na brzuchu. Dziecko zasnęło. Chwyciła się belki podtrzymującej strop, podciągnęła, trzymając za zwisającą płachtę. Derka się zsunęła. Pod słomianą strzechą ukazał się schowek. Katarzyna wstała, zajrzała głębiej. W porannym słońcu błysnęły lufy karabinów, taśmy z nabojami. Katarzynie z wrażenia aż dech zaparło. Pośpiesznie nakryła tajny skład amunicji.

Dla kogo Mackiewicze to trzymali? Oficjalnie deklarowali, że polityka ich brzydzi. Żyli obok folwarku Załuskich chata w chatę, od pokoleń. Nieważne, że jedni chodzili w niedzielę na mszę, a inni na liturgię do cerkwi. Obie były święte. Bóg zaś jeden, ten sam. Dotąd nie mieli we wsi konspiratora. Tak w każdym razie deklarowali. Katarzyna wiedziała, że musi pomówić o tym z mężem. Bandy cały czas szukały broni. Mściły się na chłopach, którzy pomagali obecnym władzom. Broń rekwirowano, ludzie zaś ginęli. Za taki arsenał płonęły całe wsie. Chyba że to było przeznaczone dla polskich partyzantów. Mackiewicze byli katolikami. Otuliła starannie broń derką, jakby zamiast składu żelastwa mieszkały tam *dzieciata*. Zanim Olga ruszyła w jej stronę, Katarzyna odsunęła się na bezpieczną odległość. Starała się przyjąć normalny wyraz twarzy. Odzyskała już oddech.

– Jeśli wroga nie możesz pokonać siłą, spróbuj fortelu – mruknęła i zatoczyła ramieniem okrąg.

Olga natychmiast wycofała się w głąb strychu. Chciała jak najszybciej wrócić do ciepłego pieca. Położyć się i przespać zimę. Tak by wolała. Niech sobie Katarzyna wymyśla fortele.

Tymczasem siostra kroczyła między żółtymi kulami niczym dyniowa władczyni. Nie było jej już tak zimno. Temperatura na górze była nawet znośna. W głębi pomieszczenia, przy ścianie, dostrzegła koryto do pojenia krów. Było ułamane z jednej strony, dlatego trafiło na strych. Kasia pochyliła się i wturlała do niego dynię. Pasowało idealnie. Dała znak Oldze i wezwała dzieciaki grające na podwórku w śnieżki. Jak rozradowane małpki zaczęły się wspinać po szczeblach drabiny.

– Powoli, nie wszyscy naraz – zaśmiała się. I dodała „po swojemu”: – Część z was musi zostać na dole. Będziecie dziś grali w ogromniaste kule.

– Olu, ty zejdziesz na dół. – Wskazała koryto. – Podam ci je, kiedy będziesz w połowie. Niech dzieci przytrzymają, żeby się nie rozbiło.

– Ale po co? – zbuntowała się siostra. Nic nie rozumiała. – Nie lepiej po bożemu? Po jednej, dwóch zrzucimy je do wieczora. Nie mówili, że ma być szybko. O zmierzchu chłopy wrócą i nam pomogą.

– Same damy radę – mruknęła Katarzyna.

– Im więcej baba robi sama, tym bardziej chłop się leni – utyskiwała Olga.

Katarzyna nie skomentowała, choć było w tym dużo racji. Bez słowa wręczyła siostrze koryto. Kazała przemieścić je do otworu w podłodze. Sama rozłożyła spódnicę i usiadła po turecku.

– Nie wiem, jak długo wytrzymam – uprzedziła.

Dała siostrze znak, by ustawiła się na drabinie, a dzieciakom kazała turlać dynie w jej kierunku.

Olga była drobna. Z daleka wyglądała jak dziewczynka. Była jednak młoda i nie była w zaawansowanej ciąży. Chwyciła koryto, sprawnie spuściła je w dół.

– Ustaw jak zjeżdżalnię. Zaczynamy! – krzyknęła podekscytowana Katarzyna.

Jej nastrój udzielił się maluchom.

Dzieciaki turlały dynie z głośnym chichotem, doskonale się przy tym bawiąc. Te, które pozostały na dole, układały je pod płotem. Znów zaczął padać śnieg, więc Katarzyna poleciła umieścić warzywa pod stertą jałowca. Szło im sprawnie. Kiedy żółte i pomarańczowe dynie lśniły już jak wielka złota płachta pod jałowcem, za płotem dostrzegła mężczyznę. Przypatrywał się im zaciekawiony, ale nie kwapił pomagać. Katarzyna rozpoznała Staszka Gałczyńskiego. Najmował się do prostych prac w gospodarstwie Załuskich jako parobek od wszystkiego. Był cherlawej postury, a jeśli się przyjrzeć, zezował. Żadna dziewczyna we wsi nie traktowała go poważnie i nie chodziło o kaprawe oko. Gałczyńscy nie mieli swojej ziemi. Stacho mieszkał z matką w ziemiance pod lasem, w pobliskiej wsi – Zaleszany. Mówili, że ojciec Gałczyńskiego zostawił żonę w połogu, zaciągnął się do partyzantki i nigdy już nie wrócił. Kobieta z trudem wychowywała

chłopaka. Gdyby nie litościwy pop z Kleszczel, zmarliby oboje z głodu. Kiedy dzięki staraniom ludności odbudowano tam kaplicę, przyjechał kapelan, korzystał z jej pomocy jako gospodyni. Nie przeszkadzało jej, że pracuje dla prawosławnego księdza. A on szanował jej wiarę i nie zamierzał nawracać. Tak chłopak dorósł i przez lata odrabiał swój osobisty szarwark na prawosławnej plebanii. Czasami też służył do mszy, naprawiał dach, sprzątał.

Ani ksiądz nie przetrwał wojny, ani cerkiew się nie uchowała. Rosjanie wysadzili kaplicę, kiedy się wycofywali. Staszek z matką zostali po wojnie bez środków do życia. Wtedy Bazyl Załuski zlitował się nad chłopakiem i zatrudnił go u siebie, choć Stacho nie garnął się do ciężkiej pracy w polu. Przychodził właściwie tylko dla Olgi. Katarzyna wiedziała, że młodziak od lat podkochuje się w jej młodszej siostrze, ale ta jakby nie zauważała parobka. Marzyła o lepszym absztyfikancie. Chciała do miasta. Zresztą żaden, nawet najbogatszy rolnik jej nie imponował. Wodziła oczami za wojskowymi, kiedy przychodzili nocami do wsi po żywność. Na dźwięk słowa Warszawa zawsze dostawali dodatkową porcję mięsa. Mówiono, że to dla Olgi Staszek zaczął kolaborować z polską partyzantką.

– Zawołaj zaleszaniaka! – krzyknęła teraz Katarzyna do siostry po białorusku.

Olga odwróciła się i syknęła:

– To konus.

– Facet nawet jak żaba silniejszy niż baba – odparła Katarzyna i zamachała do mężczyzny. Z ociąganiem ruszył w ich kierunku. Olga spojrzała na siostrę wymownie.

– Pomóc? – spytał po polsku.

– *Nie treba* – prychnęła Olga „po swojemu”. Wiedziała, że Staszek rozumie. Był katolikiem, ale mieszkał przecież w białoruskiej wsi od dziecka. Polskich rodzin w okolicy było zaledwie kilka. Jakby poszukać w ich rodowodach, większość tutejszych była mieszana. Polacy i Białorusini zawsze żyli tu obok siebie. – Teraz już nic tu po tobie. Stąd widok na mój tyłek nie będzie taki dobry.

– Olga! – zganiła ją starsza siostra i zawołała: – Ale ja poproszę. Nie wiem, czy z tym bębnem dam radę zejść.

Staszek zakasał rękawy i skłonił się szarmancko.

– Zniosę panią – zapewnił. – Jeśli trzeba, nawet na własnych plecach.

– Jaka tam pani. Katiusza! – odkrzyknęła Katarzyna. – I jeszcze nie teraz. Mamy trzy metry dyń do zrzucenia.

Zanim zaszło słońce, pod jałowcem leżało całe złoto Mackiewiczów. Ludzie z pobliskich domów przychodzili podziwiać ich dzieło. Katarzyna zezwoliła niektórym wziąć po jednej sztuce. Ludzie byli głodni, nie godziło się skąpić. Dzieci zarumienione od wysiłku znów rzucały się śnieżkami. Katarzyna stanęła wreszcie na twardym gruncie, narzuciła na plecy kożuch. Stwardniał od mrozu, ale wiedziała, że skóra zaraz się nagrzeje. Nie mogła się doczekać, aż siądzie przy rozgrzanym piecu i ugotuje na mleku pyszną zupę. Jako jedyni we wsi wciąż mieli w oborze cztery krowy. Tylko czerwona nie dawała mleka, ale i tak zwlekali, żeby ją zarżnąć. Była ich mięsną inwestycją na czarną godzinę. Kiedy przychodzili partyzanci, chowali Krasulę za snopowiązałką. Zwierzęta nauczyły się być cicho. Tak przetrwały ostatnie lata wojny. Teraz przyszła wolność i będzie już tylko lepiej. Odbiją się, myślała Katarzyna. Wzniosła oczy do nieba i przeżegnała się, składając trzy palce, jak czynią to prawosławni.

Staszek siedział tymczasem na kawałku pnia z Olgą. Rozmawiali półgłosem. Katarzyna nie chciała im przeszkadzać. Kątem oka dostrzegła jednak, jak Olga pacnęła Staszka dłonią. Domyśliła się, że uczynił siostrze afront. Cała wieś śmiała się z jego nieudanych umizgów. Wtedy do Katarzyny podbiegła sześcioletnia córeczka. Przyłożyła ucho do brzucha. Udała, że puka.

– Tonia? To ja, Dunieczka – wyszeptała. – Już niedługo będziemy się razem bawiły. Mamusia cię urodzi, ale to ja będę cię prowadzała pod gruszę do babci Ałły, niemowy. Woziła jak lalę. Karmiła mleczkiem. A jak będziesz chłopcem, to ci pokażę domek na drzewie. Spodoba ci się.

Katarzyna poprawiła córce uszankę i potarła nosem o jej nosek. Był zimny jak u psiaka.

– Pokaż rączki – poleciła zaniepokojona. – Bardzo zmarzłaś?

Dunia wyciągnęła ramionka zakończone za dużymi rękawicami matki.

– Cały czas biegałam, jak kazałaś. A ty?

Katarzyna schowała swoje dłonie głębiej w rękawy. Nie chciała, by córka widziała jej odmrożenia. Skóra na rękach była dziś jeszcze bardziej czerwona i spękana niż zwykle. Wstydziła się.

Nagle usłyszała tętent kopyt. Wybiegła na drogę. Ktoś jechał na oklep, a za nim toczyły się dwie puste furmanki. Rozpoznała wozy braci. Kiedy jednak zobaczyła napiętą twarz kuzyna, natychmiast zmarkotniała.

– Chowaj dzieci, Katiusza! – krzyknął Mikołaj Nesteruk. Nie skończył jeszcze piętnastu lat, ale choć miał nadal dzieciuchowate rysy, a na twarzy nawet śladu zarostu, był potężnie zbudowany od orki w polu i zaradny. Wojna przedwcześnie uczyniła go mężczyzną. – Mackiewicz nie przyjedzie po dynie. Banda go zabrała. Wzięli też nasz wóz.

– A Bazyl? – jęknęła pełna najgorszych przeczuć.

– Pojechał z resztą wozaków – odparł. – Miał dobrego konia. Mnie odesłali, bo klacz kuleje. Jadę ostrzec ludzi we wsi. Niech się pochowają.

– Kto to? Rosjanie?

Spojrzał na nią, jakby się wahał. Potem powoli pokręcił głową.

– Jeden był w radzieckim mundurze. Ale chyba dla maskarady. Mówili po polsku. Będą sprawdzać, za kim jesteśmy.

Odetchnęła z ulgą. Rosjanom było wszystko jedno, kogo i jak napadają. Kto się napatoczył, mógł zginąć, bo spojrzał nie tak, jak powinien. Kobiety gwałcili, palili żywcem w chatach. Słoma szybko się zajmowała, więc pożar niósł się całymi osadami. Tak mówiono, bo Załuskie leżały na uboczu i udało im się przetrwać wojnę praktycznie bez szwanku. Znali głód, biedę, upokorzenie, ale wciąż żyli.

– Dowódca bandy ma na czapce orła z koroną, a w klapie munduru obrazek Matki Boskiej i ryngraf z trupią czaszką.

– Buryj! – Katarzyna aż zasłoniła usta.

Żołnierze Narodowego Zjednoczenia Wojskowego byli wrogo nastawieni do tutejszej ludności. Uważali miejscowych za donosicieli władzy ludowej. Romuald Rajs zaś, pseudonim „Bury”, szczególnie nienawidził tutejszych.

– Dzieci zabierz – dodał Mikołaj. – Wyjmij katolicki obraz, gromnicę zapal. Niech Bóg ma nas w opiece.

Natychmiast, jak kwoka, zagarnęła wszystkie dzieci. Zagoniła je na drogę, wsadziła na furmankę jednego z młodszych braci. Kazała Duni słuchać się wujka. Sama biegła ile sił do kolejnych chałup i przekazywała wieści. Na twarzach mężczyzn malowało się milczące przerażenie. Kobiety lamentowały po białorusku.

Kiedy byli już w połowie drogi, odwróciła się. Zerknęła na dynie. Nie zabrała swojej zapłaty za ciężką pracę. Liczyła, że może choć kilka wezmą Olga ze Staszkiem. Zmierzchało już, ale nie było na tyle ciemno, by nie dostrzec sylwetek. Wtedy dotarło do niej, że młodych nigdzie nie ma.

– Kola! – Szarpnęła kuzyna za rękaw. – Gdzie Olga?

Obejrzał się.

– Nie było jej.

– Była – upierała się Katarzyna. – Siedzieli tam na drwach ze Staszkiem od Gałczyńskiego.

– Olga? – zdziwił się. – Z tym Lachem?

– To katolik, ale dobry chłopak. Zawracaj!

Szukali ich po całym obejściu Mackiewiczów. Dunia nie chciała dłużej zostać z wujem, więc Katarzyna wzięła ją na ręce i nosiła wszędzie ze sobą. Chwilę później było już całkiem ciemno. Gdyby nie śnieg, musiałaby poprosić o lampę naftową sąsiadów. Wiedziała jednak, że zabarykadowali się w domu i za nic nie będą chcieli otworzyć. Czuła dotkliwe zmęczenie. Nie pragnęła niczego bardziej, niż wracać do chaty. Zajrzała ponownie do stodoły Mackiewiczów, żeby potem nie mieć do siebie pretensji, że nie sprawdziła każdego kąta.

– Olga! – zawołała spanikowana. – Staszek!

Nagle z jednego z sąsieków dobiegł ją stłumiony krzyk.

– *Siastryczka, dapamaży!*

Rozchełstana Olga biegła w kierunku siostry. Piersi miała obnażone, włosy w nieładzie. Katarzyna zasłoniła oczy córce. Za Olgą wyszedł Staszek. Wkładał na grzbiet kufajkę, dopinał spodnie.

– Nic jej nie zrobiłem! – Pochylił karnie głowę.

– Nie zdążył, skurwysyn – syknęła Olga i skryła się za plecami ciężarnej siostry. – W ostatniej chwili przyszłaś. O ja przeklęta! Zhańbiona.

Choć siostra ciągnęła ją do wyjścia, Katarzyna ruszyła dwa kroki w kierunku Staszka. Bez słowa chlusnęła mu w twarz plwociną. Dunia wpatrywała się w matkę, zacisnęła jej rękę. W tym momencie do stodoły wszedł Mikołaj. Nie od razu zorientował się, do czego doszło. Dopiero kiedy Olga znów uderzyła w gromki lament, oddał jej swój kożuch i zamachnął kilka razy biczem na Staszka.

– Ubiję jak sobakę.

Staszek skulił się odruchowo. Kiedy podniósł głowę, twarz miał rozciętą w dwóch miejscach. Krew zalewała mu oczy.

– Zostaw go – poprosiła Katarzyna.

Mikołaj nie miał jednak takiego zamiaru.

– Dobry chłopak z tego Lacha – szydził Mikołaj. Ciskał w stronę Katarzyny błyskawice z oczu, jakby była współwinna. – Zaraz wyrucham tego Polaczka.

Ciskał przekleństwami i raz po raz brał zamach. Nie przestał nawet, gdy siostrzenica, próbując go powstrzymać, chwyciła go za ramię, i mała omal nie dostała po plecach końcem grubego rzemienia. Cios przejęła Katarzyna. Osłoniła córkę w ostatniej chwili. Zgięła się wpół z bólu. Tego było już dla niej za wiele.

– Bóg go ukarze – powiedziała do małej. Natychmiast schowała zranioną dłoń do kieszeni, by dziewczynka nie widziała strużki krwi. Mróz nieznacznie znieczulał ból, ale pieczenie narastało.

Odsunęła się na bezpieczną odległość. Dunia cicho kwiliła. Zbyt przerażona, by płakać z całych sił. Olga wpadła w histerię. Katarzyna musiała je obie odholować w bezpieczne miejsce. Wciąż słyszała świst bicza, kiedy opuszczały stodołę.

Szła na drżących nogach, zmęczona i przejęta. Dziecko w brzuchu znów zaczęło kopać. Miała nadzieję, że Mikołaj nie zrobi gwałcicielowi poważniejszej krzywdy, ale z pewnością upokorzy go przed całą wsią. Staszek mógł już pakować manatki i wyjeżdżać z Zaleszan. Ludzie nie wybaczą „swojemu” takiej zniewagi. Czekał go lincz. Katarzyny to nie

interesowało. Z trudem wdrapała się na kozioł, pogoniła konia. Miała poważniejsze problemy. Tutaj wojna się nie skończyła. Nie była pewna, czy zobaczy jeszcze męża. Nie miała nawet pewności, czy i jak przetrwają noc. W głowie miała tylko dwa słowa: „Buryj idzie”.

Wartownik usłyszał trzask w głębi lasu. Przeładował karabin i wytężył wzrok. Pomiędzy drzewami przemknął cień, a chwilę potem drogę przeciął spłoszony zając. Mimo iż wokół panowała nocna cisza, żołnierz był pewien, że ktoś obserwuje ich kryjówkę. Zagwizdał dwukrotnie, udając ptaka. Z szałasu wychylił się jeden z dowódców, dla niepoznaki odziany w kufajkę zrabowaną białoruskiemu chłopu. Na głowie miał uszankę. Tylko harde spojrzenie i schodzone oficerskie buty zdradzały prawdziwą profesję Romualda Rajsa, szefa Pogotowia Akcji Specjalnej, bardziej znanego jako Bury. Na tę okazję dowódca zapuścił białoruskie wąsy, by wtopić się w tłum mieszkańców wsi pogranicza.

– Ktoś się skrada – zaraportował wartownik i uniósł lekko podbródek. – Gdzieś tam.

Bury dał znak ludziom. Podeszło trzech żołnierzy w polskich mundurach. Na czarnych naramiennikach mieli doszyty trójkąt z białym napisem „Śmierć Wrogom Ojczyzny”. W klapie nosili ryngraf z trupią czaszką i obrazek Matki Boskiej. Dowódca podał im erkaem i kilka granatów.

– Zdejmijcie go.

Żołnierze się rozpierzchli. W oddali słychać było pohukiwanie sowy.

Bury wrócił do opuszczonej leśniczówki. Przy prowizorycznym stole skleconym z omszałych desek, skupieni wokół Zygmunta Szendzielarza zwanego Łupaszką, stali dowódcy pozostałych brygad: Władysław „Młot” Łukasiuk, Marian „Mścisław” Pluciński i Kazimierz Chmielowski, zwany Rekinem, bezpośredni zastępca Rajsa. Przed nimi leżała odręczna mapa, kompas oraz niemiecka latarka. Łupaszka trzymał cyrkiel i odmierzał kilometry wzdłuż trakcji kolejowej. Czerwony punkt, przywodzący na myśl kroplę krwi, oznaczał pobliskie miasteczko – Hajnówkę, z której następnego dnia odprawić się miał do Związku Radzieckiego ostatni oddział Armii Czerwonej. Razem z wojskiem odsyłano solidny transport czołgów, broni i żywności. Partyzanci zamierzali popisowo napaść na pociąg i zrabować sprzęt. Żołnierzy wyrżnąć. Zdrajców ojczyzny powiesić.

Szykowała się jatka, bo akcja miała być manifestacją siły antykomunistycznego podziemia wojskowego, dla którego wojna wciąż trwała. Broni, dział przeciwpancernych i amunicji mieli pod dostatkiem. Współpracujący z nimi nieliczni Polacy, zamieszkujący białoruskie wsie, przetrzymywali ich uzbrojenie w stodołach i chlewikach. Czekali tylko na znak, by wydać gorący towar żołnierzom. Partyzanci przewidywali, że w wigilię wyjazdu do domu radzieccy wojacy popiją się z radości i posną. Napad zaplanowano na dziś, przed świtem. Informatorzy donieśli im niecałą godzinę temu, że miasto huczy od zwycięskich salw.

– W okolicy nie znajdziesz żadnej wolnej kurwy – raportowano.

– Mamy szpicla – syknął Bury.

Łupaszka nie oderwał się od liczenia. Dopiero kiedy skończył i zanotował na marginesie liczbę dwudziestu siedmiu kilometrów, co oznaczało zbyt dużą odległość na bezpieczny pieszy odwrót w razie fiaska operacji, mruknął:

– Chcę go żywego. Nawet jeśli to kacap.

Bury stał wciąż w tym samym miejscu. Nie odezwał się nawet słowem. Wszyscy wiedzieli, jak bardzo nienawidzi Białorusinów. W pobliskich Zaniach na początku wojny był szpital polowy, do którego trafił młodszy brat Rajsa. Siedemnastego września 1939 roku białoruscy nacjonaliści internacjonalistycznej sowieckiej armii wymordowali wszystkich znajdujących się tam polskich żołnierzy.

Tereny, na których teraz prowadzili działania zbrojne, uchodziły za najmniej sprzyjające polskim partyzantom. Robotnicy z Hajnówki, podobnie jak ludność zamieszkująca jej okolice, byli silnie skomunizowani i wrogo nastawieni do idei niezawisłej Polski. Od pierwszych dni po wyzwoleniu stanęli w szeregach walczących o umocnienie władzy ludowej. Jawnie wyrażali jej swoje poparcie, tłumacząc, że dźwigają z gruzów zakłady przemysłowe miasteczka. Deklarowali, że chcą chleba i pracy, a nie ciągłej wojny.

Lokalni chłopi nie angażowali się w politykę oficjalnie, lecz dostarczali komunistom obowiązkowe dostawy drewna i żywności. Było już kilka incydentów, które dodatkowo zaogniły nienawiść Burego. Kiedy w kilku domach pojawiły się oddziały polskiej partyzantki, chłopi nie tylko

odmówili oddania dobytku, ale donieśli o kryjówce partyzantów UB oraz milicji. Bury ledwie zdążył wyprowadzić oddział. Siedzieli w ziemiankach miesiącami. Głodni, pałający wściekłością. Nie chcieli ginąć jak psy. Woleli umrzeć w otwartej walce. Bury posłał na zwiad kilka patroli żywnościowych. Dwa dostarczyły mizerny łup. Przyniosły też nowiny: nazywają nas bandą. Jawnie okazują wrogość. Dzieci wieśniaków pluły nam na buty. Trzeci patrol nie wrócił wcale. Mieszkający opodal Polacy donieśli, że żołnierze Burego zostali zaatakowani przez trzech wieśniaków współpracujących z komunistami. Roznieśli ich na widłach, a broń zabrali. Już wcześniej Polacy ostrzegali ich przed agresywnymi kacapami, z którymi na co dzień żyli drzwi w drzwi.

– W niejednym białoruskim obejściu, w stogach siana czy pod chrustem, znajduje się arsenał – mówiono. – Tu na wsiach jest wielu dawnych działaczy Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi. Przetrzymują też partyjne dokumenty. Donoszą na nas do ubecji.

Polacy zapewniali, że boją się Białorusów. Prosili o pomoc, bo we własnym kraju nie mogą czuć się bezpiecznie. Bury obiecał im odwet za wszystkie krzywdy. Już wkrótce karta się odwróci, zapewnił.

– Są uzbrojeni, skoro moje patrole regularnie nie wracają – przekonywał Łupaszkę Bury. Ale dowódca miał na głowie ważniejsze sprawy niż porachunki z miejscową ludnością. Nakazał tylko Rajsowi, by zachował większą ostrożność. I dodał, że przecież dotąd nikogo nie złapano za rękę. Bury nie potrzebował dowodów. Słowa Polaków mu wystarczały. Uważał, że rodacy nie mają interesu kłamać swoim żołnierzom.

– To teren wroga – zakończył dyskusję Łupaszka. I dodał: – Dla nas ta wojna się nie skończyła. Przyjdzie czas odpłaty.

Wszyscy członkowie oddziału wiedzieli, że nie mogą liczyć na przychylność białoruskiej ludności. To tutaj po wyzwoleniu powstały pierwsze komórki PPR. Stąd rekrutowała się znaczna część pracowników białostockiego UB i komendy Milicji Obywatelskiej oraz innych ogniw aparatu państwowego. Z tego wreszcie powodu partyzanci 3. Wileńskiej Brygady NZW wybrali atak na Hajnówkę jako manifestację mocy polskiego podziemia zbrojnego. Dla członków oddziału Białorusin

wyznania prawosławnego, czyli większość tutejszych, był synonimem zdrajcy.

– Zmienić rozkazy – polecił teraz Buremu Łupaszka. – Najpierw z nim pomówimy. Jeśli to kacap, nie wyjdzie stąd żywy. Masz moje słowo.

Bury stuknął obcasami i wyszedł z szałasu. Czekając na zwiadowców, skręcił sobie papierosa. Nie zdążył dopalić, a już prowadzili ku niemu ubranego po wiejsku mężczyznę. Nie miał więcej lat niż zwiadowcy, wiosnę temu lub dwie osiągnął pełnoletność.

– Mówi, że jest Polakiem.

Bury zaśmiał się pod nosem. Rzucił peta w śnieg.

– Tutaj nie ma ruskich. Każden jeden, jak go posadzisz gołą dupą na piecu, mówi, że Polak. Powiedz pacierz – rozkazał.

– Ojcze nasz, któryś jest w niebie. Święć się imię twoje – zaczął szeptać Staszek Gałczyński. – Zdrowaś Mario, łaskiś pełna. Pan z tobą.

– Przeżegnaj się.

Przerażony mężczyzna wykonał znak krzyża całą dłonią. Prawosławni żegnali się, używając trzech palców. To nie był wystarczający dowód. Bury widział już różne sztuczki. Tutejsi byli zbyt sprytni. Szybko zorientowali się, że oddziały NZW traktują katolików łagodniej, więc połowa z nich znała kilka polskich modlitw. Jednym zamaszystym ruchem Rajs rozdarł jeńcowi koszulę. Na piersi pojmanego błyszczał katolicki krzyż.

– Ojciec walczył w brygadzie Rekina. Zginął na froncie w czterdziestym drugim. Ku chwale ojczyzny. – Nieudolnie zasalutował pojmany.

Bury przyjrzał się mu wnikliwie.

– Myślałem, żeś kacap. – Chwycił Staszka za kołnierz. – Mało cię nie rozwaliliśmy.

– Panie kapitanie, mam wiadomości. Sąsiadka, u której przechowujecie erkaemy, karabiny i amunicję, powiedziała mi, że gdzieś tutaj stacjonujecie. Pół nocy was szukałem.

Z szałasu wyszedł Łupaszka. Kilka kroków przed nim szedł jego ochroniarz. Naładowaną strzelbę niósł przed sobą, wymierzoną wprost

w wieśniaka. Na widok dowódcy Staszek pobladł, a potem padł na kolana, jakby zobaczył samego Boga.

– Nie zabijajcie, majorze.

Bury patrzył na niego z politowaniem. Podniósł go za kołnierz.

– Z czym przychodzisz? Gadaj, nie będziemy czekać całą noc.

Staszek się wyprostował. Nie był w stanie trzymać głowy prosto. Bury poluzował uścisk. Staszek upadł. Któryś z żołnierzy trącił go bagnetem. Jeniec wstał momentalnie. Przyjął pozycję zasadniczą, podniósł głowę i wyrecytował:

– Szukacie białoruskich dywersantów, panie. We wsi Załuskie, obok Zaleszan, gdzie mieszkam, jest trzech takich. W chlewiku mają broń. Zbierają dla Białorusów od lat. Tych trzech, co ich wam zabili. – Staszek spojrzał na Burego. – Tych, co szli po żywność. Wiem, kto to zrobił.

– Widziałeś to?

Staszek natychmiast pokręcił głową.

– Ludzie gadali w cerkwi, zanim spłonęła. Naprawiałem tam dach. Nie jestem ruski – zapewnił. – Ich mundury też tam znajdziecie. Nie zdążyli się ich pozbyć. Są w domu obok tej chaty, gdzie na podwórku pod jałowcem leżą dynie.

Bury chwycił go za klapy.

– Nazwiska.

Staszek spojrzał na rękę, która uniosła go do góry.

– Jestem po waszej stronie – oświadczył hardo. Czuł się już pewniej. Wiedział, że jego słowa padły na żyzny grunt. – Ci trzej powinni dostać karę. A dla zdrajców ojczyzny jest tylko jedna. Śmierć.

Bury puścił chłopaka.

– A tych trzech to bracia: Stepan i Leonid Piresowie z Zaleszan, moi sąsiedzi, oraz najstarszy Nesteruk ze wsi Załuskie. Zwłaszcza Mikołaj Nesteruk jest niebezpieczny. – Staszek dotknął ran na twarzy. – On mi to zrobił. To on podburza ludność przeciwko wam. Tacy jak on chcą przyłączyć te ziemie do Sowietów. Mówią, że to on zabijał waszych żołnierzy. Młody jest, ale wszyscy we wsi się go boją. Jak trzeba, pokażę,

gdzie mieszka. Tylko katolików oszczędźcie. Nas tam niewielu. Pięć rodzin. Wszyscy modlimy się o was i zawsze służymy gościną, strawą.

– Co za to chcesz? – Bury przyjrzał się Staszkowi. To wszystko wydawało mu się zbyt łatwe. Od miesięcy szukali sprawców mordu na patrolu. Nikt nic nie widział, nic nie podejrzewał. A teraz nagle pojawia się ten donosiciel. I to jeszcze dziś. W tak ważnym momencie dla kraju. Rajs wietrzył podstęp. Zaśmiał się. – Pieniędzy nie mamy.

– Chyba że amunicją odpłacę – zawtórował mu jego zastępca, Rekin.

Chłopak wzruszył ramionami.

– To wszystko prawda. Czy narażałbym się, przychodząc do was, gdyby mnie złość na tych rusków nie brała? – zapewnił. – Chcę sprawiedliwości. Żyć tu spokojnie. Z matką w ziemiance się gnieździmy. Kościół żeby odbudowali. Polska dla Polaków – zakończył.

Bury poklepał chłopaka po plecach.

– Skoro taki jesteś wojak, pojedziesz z nami. Chłopcy, przeszkolcie Stefkę. – Popchnął go w kierunku wojskowych. – Podoba ci się ksywa?

Rozległ się gremialny śmiech. Staszek nie tego się spodziewał.

– Ale ja muszę wracać – próbował oponować. – Matka sama została.

Bury podszedł do niego i bardzo spokojnie oświadczył:

– Tak się składa, że potrzebujemy przewodnika.

– Gratuluję – włączył się Łupaszka. – Właśnie dołączyłeś do PAS.

Dosiadł konia i odwrócił się do Burego.

– Dziś ważny dzień dla Polski. Dowodzisz. I żadnej brawury.

Zwiadowca ruszył pierwszy. Młot, Żelazny i reszta oddziału za nimi.

– No, Stefka. – Bury się uśmiechnął. Wyjął piersiówkę i pozwolił Staszkowi golnąć spirytusu. – Pokażesz mi tych skurwysynów. A jeśli to oni, puszczę cię wolno. Będziesz żył. Zdaje się, że mamy wspólny interes, by tych kacapków ukarać.

Odwrócił się do swoich ludzi.

– Związać go.

Bazyli przemarzł na kość. Kiedy padła komenda, by jechać na szarwark, ubrał się pośpiesznie i ruszył, jak stał, by jak najszybciej odfajkować niechciany obowiązek. Wziął krótszy kożuch wygodniejszy do pracy w lesie, ale teraz dałby wszystko za dodatkową kufajkę. Niemal całą noc przesiedział z innymi furmanami skulony na stercie drewna, które już dawno powinno być rozładowane pod szkołą w Orli. Zostało ich trzydziestu. Dwudziestu wozaków z jego wsi, siedmiu z pobliskich. Widywał ich w cerkwi. Resztę znał tylko z widzenia. Wszyscy marzyli tylko o tym, by banda ich puściła. Z ociąganiem wykonywali rozkazy, mruczeli pod nosem przekleństwa. Dwudziestu katolików, którzy ochoczo poszli z oddziałem Burego, miało mniej szczęścia. Większość z nich nie wróci, myślał Bazyli. Załuski nie zamierzał być bohaterem. Miał ziemię, żonę, córkę i kolejne dziecko w drodze. Miał dla kogo żyć.

Kiedy obok swoich wyłożonych gazetami walonków ujrzał wypastowane wojskowe buty, nawet nie podniósł głowy. Żołnierz był w pełnym umundurowaniu, pod bronią. Dopiero kiedy Bazyli usłyszał ładowanie karabinu i dostrzegł wylot lufy na wysokości wzroku, zerwał się na baczność. Wartownik nie musiał nic mówić. Po jego minie rolnik zorientował się, że przyszły rozkazy. Ucieszył się w duchu. Może wreszcie ich puszczą.

Zanim zaczęło świtać, Bury z wojskiem ruszyli na Hajnówkę. Choć w oddali co jakiś czas wciąż słychać było jeszcze odgłosy wystrzałów, ze strzępek rozmów wojskowych Bazyli domyślił się, że oddział Rajsa poniósł klęskę. Armia Czerwona miała transport pełen amunicji i miażdżącą przewagę liczebną. Nie dalej jak pół godziny temu do obozowiska w lesie dotarł ranny żołnierz. Rozkazy przekazał ostatkiem sił, zanim wyzionął ducha. W ten sposób wszyscy dowiedzieli się, jaki był finał potyczki polskiego oddziału z wycofującymi się czerwonoarmistami. Ubecja na czas dostała informację o ataku. Do walk powołano ludność cywilną Hajnówki, siły milicji i tajniaków. Kiedy Bury dotarł z oddziałem, stawili mu skuteczny opór. Rozgromili polskie siły zbrojne w pył. Połowa ludzi Rajsa

poległa. Reszta była ranna. Tylko garstka oficerów ukryła się w lasach, czekając na wsparcie, które jednak nadeszło za późno.

Bury wydał natychmiastowy rozkaz odwrotu. Furmani mieli ruszyć okrężną drogą przez las do Hajnówki i tam przejąć resztę wojska. Inni wozacy cieszyli się z porażki oddziału, liczyli na szybkie ich odbicie. Ale Bazyli podsłuchał rozmowę wartownika z rannym i wiedział, że nie puszczono za Burym oddziału pościgowego. Wyglądało na to, że nikt ich nie szukał. Na razie nie podzielił się złą nowiną z kompanami. Czekał na okazję, by wykorzystać chwilę nieuwagi i zbiec. Ale na razie było tylko gorzej. Bury szedł z oddziałem od wsi do wsi, paląc i łupiąc kolejne chaty, nieniepokojony przez nikogo. Ani śladu milicji, tajniaków, wojska. Dla nich, cywili, znaczyło to tylko jedno – rychłą śmierć.

– Znasz ten las? – wartownik zwrócił się do Bazylego.

Chłop wpatrywał się twarz dzieciaka przebranego w mundur i zastanawiał się, jak długo jeszcze ten młodziak wytrwa na froncie. Powinien chodzić do szkoły, spotykać się z dziewczętami, bawić na potańcówkach. Na wojaczkę był za młody i zbyt delikatny. Teraz zaś na dodatek panicznie bał się pojmania. A że ich złapią i skażą na śmierć – było więcej niż pewne. Gdy tylko ubecy znajdą „bandę”, powieszą ich popisowo, choćby na suchej gałęzi. Nawet jeśli uda im się wydostać z puszczańskich lasów, czeka ich sąd wojskowy. Zrobiło mu się żal Polaka. Skinął głową na potwierdzenie.

– Pojedziesz pierwszy – polecił żołnierz. – Za kilka minut będą już Pod Płaczącą Wierzbą. Na rozstaju dróg. Znasz?

Bazyli wpatrywał się w niego spod oszronionej czapki. Nie reagował.

– Po polsku nie rozumiesz, kacapie? – wściekł się partyzant i uderzył Załuskiego w twarz kolbą od karabinu.

Zaskoczony mężczyzna nie zdążył się uchylić. Był otępiały z głodu i niewyspania. Poczuł w ustach krew i kilka zębów. Upadł na plecy. To jednak tylko rozochociło wojaka. Kopał go podkutymi oficerkami, rozpaczliwie próbując zamaskować swój strach. Poszkodowany z trudem się podniósł. Kolejny cios przyjął już bez utraty równowagi. Pozostali furmani przyglądali się temu apatycznie. Żaden nie chciał podzielić losu Załuskiego. Żaden nie stanął w jego obronie.

– Ja wiem, gdzie to jest. – Staszek wystąpił przed szereg. Bazyli spojrzał na Polaka z wdzięcznością. Otarł krew cieknącą z nosa. – Mogę?

– Ruszamy za trzy minuty.

Wojskowy rozciął katolikowi więzy, wskazał miejsce na koźle i odszedł szybkim krokiem. Kiedy ucichło skrzypienie śniegu, Bazyli wypluł wybite trzonowce wraz z krwistą flegmą. Zerknął na pozostałych wozaków. Byli jakby pogodzeni z rychłą śmiercią. Żaden nie zamierzał nawet podburzać reszty do buntu. Ktoś podzielił się z Bazylim ostatkiem tytoniu. Wszyscy byli głodni. Nikt się nie spodziewał, że zabawią na szarwarku drugą dobę. Janka Korcz wyjął butelkę z resztką samogonu. Podał stojącym obok furmanom. Kiedy kolejka dotarła do Bazylego, wziął porządnego łyka, aż zapiekło, wypłukał usta i połknął trunek. Potem z czułością poklepał swoją kobyłę, poprawił jej wełnianą derkę, chwycił lejce. Staszek siedział już na koźle z głową wtuloną w owczy kołnierz lichej kurtki.

Ruszyli wąską drogą przez las. Za nimi podążała reszta – w sumie pięćdziesiąt furmanek. Prawie wszystkie puste. Mieli wsiąść do nich wycofujący się żołnierze Burego. Tylko na ostatniej leżał martwy posłaniec. Wartownik początkowo chciał go pogrzebać gdzieś w lesie, ale zmienił zdanie ze strachu przed sądem wojennym. Bury trzymał swoich ludzi w wielkiej dyscyplinie. Oddział Rajsa słynął z kar za niesubordynację. Dowódca potrafił bić swoich żołnierzy, zmuszał ich do wyczerpujących treningów. Każda plama na honorze mogła skutkować wyrokiem śmierci.

– *Mołodiec!* – Bazyli poklepał Staszka, ale chłopak tylko machnął ręką. Wtedy Bazyli pochylił się do niego i zapytał: – Czemu cię wzięli? Fury ani konia nie masz. Ani ty nie ruski.

Staszek mruknął coś w odpowiedzi, ale Bazyli nie zrozumiał. Jechali jakiś czas w milczeniu. Nagle Gałczyński nachylił się do sołtysa i wyciągnął zza pazuchy srebrny krzyż.

– Jak pana zapytają, niech pan mówi, że pan katolik.

Bazyli się zdziwił.

– Jestem Polak, ale tutejszy, prawosławny. Jak chcieli mnie wysiedlić na Białoruś, odmówiłem. Tu mój dom. Moja ziemia. Jak miałbym się tego wyrzec?

– To zginiesz, sołtysie – westchnął Staszek i odwrócił głowę. – Dobrze radzę.

Aleksander Krajnow, sekretarz PPR w Bielsku Podlaskim, wysiadł z pociągu w Zaleszanach i raźnym krokiem ruszył do budynku stacji. Kiedy przyjeżdżał na tajne spotkania białoruskich konspiratorów, kolejarze zawsze pożyczali mu rower, a jak się jakiś traktor znalazł, to podjeżdżał na furze do Marka Frankowskiego, sołtysa wioski Zanie, który na tym terenie piastował stanowisko szefa powiatu. Krajnow był przed wojną krawcem. I choć od wyzwolenia nie uszył nawet jednej sztuki odzieży, zawsze miał ze sobą dyżurną paczkę niedokończonych spodni, którą wiózł niby do przymiarki. Kiedy zatrzymywały go służby, okazywał milicjantom fachową fastrygę jak swoje wielkie dzieło i utyskiwał popisowo, że drożyzna, panie, maszyny do szycia nie ma kto naoliwić, bo wszyscy do Hajnówki wyjechali i w tartaku robią, a o nici trzeba się wystarać aż z Warszawy. Co za czasy, o kupnie materiału już nie wspominając. Ta litania zawsze działała niezawodnie. Mundurowi już po pięciu minutach narzekania mieli go dosyć i puszczali wolno.

Żona śmiała się, że fortel jest grubymi nićmi szyty i kiedyś go aresztują jak nic, ale on niestrudzenie opowiadał tę samą bajeczkę, nawet jeśli była to tylko rutynowa kontrola. Czujnie sprawdzał tylko, czy tego milicjanta już wcześniej nie spotkał.

– Lepiej dmuchać na zimne – wyjaśniał małżonce, która pojęcia nie miała o jego politycznych ambicjach. – Nigdy nie wiadomo, na kogo się trafi.

Racja była po jego stronie i Krajnow wiedział, że powinien być nadzwyczaj ostrożny. Zwłaszcza że pod zwojem materiału wiózł propagandowe ulotki ruchu Wolna Białoruś. Początkowo tutejsi chłopi chcieli być jak najdalej od polityki. Mówili, że obchodzi ich tylko ziemia i to, co ona rodzi, bo ziemia ich żywi, a polityka przynosi wojny. Od gadania nikomu jeszcze chleba, mięsa i pieniędzy nie przybyło. Krajnow nie mógł się z tym zgodzić. Jeździł na zgrupowania partii, uczestniczył w plenum, sam przemawiał na imprezach terenowych i wiecach. A odkąd porzucił krawiectwo i zajął się polityką, w jego spiżarni było więcej mięsa

niż kiedykolwiek, nawet w czasach, kiedy jeszcze szył nocami, zaniedbując rodzinę.

Teraz westchnął ciężko, wspominając, ile to się z Frankowskim namęczyli, aby namówić oporną na propagandę ludność, by zaczęła przychodzić do gminnego klubu. Dopiero kiedy zaczęło prężnie działać koło gospodyń wiejskich i okoliczna Samopomoc Chłopska dała rolnikom kredyt na zakup towarów w ich placówce, zwietrzyli profity i przestali się wstydzić. Kobiety przychodziły chętniej. Mogły pośpiewać, poczytać magazyny, wymienić się przepisami. Nie dalej jak tydzień temu przywiózł im na taczce pralkę. Była wprawdzie uszkodzona, ale to i tak nie miało znaczenia, bo nowinką techniczną Krajnow zdobył ich dozgonne uznanie. Wiedział, że teraz baby ciosają swoim mężom kołki na głowach, by jak najszybciej zapisali się do partii i zelektryfikowali wieś.

I dziś Aleksander miał ze sobą sztukę nowiutkich spodni, które wiózł jako alibi. Tak naprawdę mieli z Markiem do pogadania o interesach.

W hajnowskich zakładach drzewnych potrzebowali ludzi. Z trudem stłumiono strajk, a roszczenia robotników wciąż rosły. Potrzebni byli wieśniacy, dla których wyjazd do miasta będzie awansem społecznym. Ci – to Krajnow wiedział z własnego doświadczenia – zrobią wszystko dla kariery. Zwłaszcza jeśli pochodzili z wielodzietnych rodzin i ziemi nie starczy im do podziału, bo schedę po rodzicach zwykle brał najstarszy. Życie reszty sprowadzało się do bycia parobkiem w rodzinnym domu. Zostawał tylko alkohol, choćby i pędzony w stodole, oraz spódniczki, by ukoić frustrację. Partia zaś zapewniała miejsca noclegowe i stałe honorarium.

Zamierzał przekonać młodych, by wyjeżdżali ze wsi, wsparli miejską pensją rodziców na gospodarce. Krajnow naprawdę wierzył, że z nastaniem Polski Ludowej wszystko się w ich życiu odmieni. Kilka razy jeździł już z hajnowskimi dygnitarzami czajką i miał obiecane, że jeśli będzie się nadal tak dobrze sprawował, on sam wkrótce dorobi się auta z chromowanymi klamkami. Problemem były tylko związki zawodowe, które obecni robotnicy z Hajnówki właśnie założyli, bo zapisywali się doń potajemnie wszyscy słabo uposażeni. Czyli osiemdziesiąt procent pracowników. Krajnow dostał więc od swoich zwierzchników zadanie, by podmienić

awanturników na bezrolnych chłopów, którym z wdzięczności do głowy nie przyjdzie, by się buntować przeciwko łaskawym towarzyszom.

Rower był zardzewiały, skrzypiał przy każdym obrocie koła. Wąskie opony ślizgały się na oblodzonej drodze. Aleksander z trudem, zlany potem aż po otłuszczone pośladki, dotarł do pierwszych chałup Zań. Dom Frankowskich stał w samym środku wsi, zaraz koło budynku kulturalno-oświatowego. Krajnow miał jeszcze kawał drogi do przejechania, ale zmęczył się mordęgą. Zsiadł z roweru i zaczął go prowadzić. Dopiero wtedy ze zdziwieniem stwierdził, że obejścia są wyludnione, jakby jaka zaraza zaatakowała wioskę.

W oknach chałup zamknięto nawet okiennice. Niektórzy gospodarze pochowali zwierzęta. Wszechobecna cisza niepokoiła sekretarza. Tylko gdzieniegdzie psy rzucały się na łańcuchach. W połowie wioski Krajnow dostrzegł kobietę z dzieckiem, która przez okno dawała mu tajemnicze znaki. Podjechał do jej płotu, tuż obok przydrożnej kaplicy, ale zaraz schowała się i zaciągnęła szczelnie zasłony. Postawił rower pod płotem i ruszył dalej pieszo.

Nie było mu zimno. Zgrzał się, jadąc. Na dodatek czuł narastający głód. Liczył, że, jak zwykle, żona Frankowskiego poczęstuje go gorącą zupą. I o tej polewce myślał, kiedy w oddali zamajaczyło mu niepokojące zgromadzenie ludzi. A kiedy uszedł jeszcze kilka kroków, zdębiał i momentalnie stracił apetyt, bo po drugiej stronie ulicy dostrzegł grupę wojskowych pod bronią.

Fury stały rządkiem wzdłuż zabudowań. Zmęczeni wozacy odwrócili na jego widok głowy. Tylko jeden z nich – dotkliwie pokancerowany na gębie – dał mu znak, który Aleksander słusznie odczytał jak ostrzeżenie. Sekretarz natychmiast ukrył się za kupą chrustu. To był doskonały punkt obserwacyjny.

Wyglądało na to, że w budynku, który z Frankowskim zaadaptowali na klub kulturalno-oświatowy, odbywa się tajne zebranie. Zdziwił się i zaniepokoił. Nic o tym nie wiedział. Chwilę potem ludzie weszli do środka pod eskortą wojskowych. Na zewnątrz zostali tylko żołnierze i dzieci, które korzystając z aury, w najlepsze rzucały się śnieżkami. Któreś omyłkowo trafiło w plecy jednego z oficerów. Żołnierz odwrócił się,

wymierzył do winowajcy z karabinu i powiedział tylko dwa słowa, które sprawiły, że wszystkie dzieciaki z piskiem uciekły pod płot. Aleksander nie mógł usłyszeć słów partyzanta, ale zrozumiał, że sprawa jest poważna i wkrótce może się tu stać coś niedobrego. Chyłkiem, za chatami, przedostał się do wozaków. Byli przemarznięci, apatyczni. Żaden z nich nie chciał rozmawiać.

– Co tu się dzieje, ludzie? – Szarpnął za rękaw postawnego chłopa z obitą twarzą, który wyglądał mu na przywódcę. Zdawało mu się, że już się kiedyś spotkali. Gdy mężczyzna się odezwał, Krajnow przypomniał sobie sołtysa wsi Załuskie. Bazyli wyrzucił Krajnowa ze wsi za rozpowszechnianie komunistycznych ulotek. Mówił, że on i jego ludzie w polityce nie grzebią. Chcą dożyć sędziwego wieku, dzieci wychować, a nie, zanim wąs się sypnie, zostać martwymi bohaterami.

– Frankowskiego szukają, towarzyszu Krajnow. – Bazyli w mig rozpoznał sekretarza. – Ponoć ktoś z tej wsi doniósł ubecji, że Bury planuje atak na Hajnówkę. I niby mieszka tu gdzieś były członek KPZB.

– Ktoś z tej wsi? – Aleksander przełknął ślinę, rozejrzał się. – I znaleźli go?

Załuski zaprzeczył.

– Ludzie ze wsi mówią, że to kłamstwo. Nikt się tu polityką nie zajmuje. A ci upierają się, że centrala białoruskiej partii tu jest. Ktoś donosi. Zna pan tego kapusia? Bury chce, żeby ludzie wydali konspiratorów. Inaczej całą wieś ukarze. Pomóżcie, towarzyszu. Wy wiele możecie.

– Nie mówcie, że mnie widzieliście – syknął Krajnow i chyłkiem się wycofał. Rzucił tylko na odchodne: – Zawiadomię stosowne władze.

Dopóki był w zasięgu wzroku, starał się iść spokojnie, ale kiedy minął ostatniego furmana, rzucił paczkę ze spodniami pod płot i biegł, ile sił w nogach.

– Ej, człowieku! Zgubiłeś coś – krzyknął za nim wozak. Podniósł tkaną ręcznie siatkę. Ulotki się wysypały. Kilka z nich uniósł wiatr, co natychmiast zauważył jeden z żołnierzy i jął iść w kierunku wozaka.

Aleksander już nie słuchał. Nawet się nie obejrzał. Chwycił rower i pedałował, byle dalej od Zań.

Kiedy godzinę później dotarł do kolejki, w oddali na niebie widać było już pomarańczową łunę. Wieś płonęła. Nie trzeba było wielkiej wyobraźni, by dopisać ciąg dalszy zdarzeń.

Aleksander odwrócił głowę od okna, rozsiadł się wygodnie w przedziale i zabrał do czytania nowego biuletynu partii. Nie zajmowała go jednak lektura, jak mogliby sądzić przypadkowi obserwatorzy. W myślach Krajnow układał raport, który kierownik stacji jeszcze tego samego wieczoru przetelegrafował do komendy Urzędu Bezpieczeństwa w Hajnówce. Rozkaz otrzymał niemal natychmiast. Milczeć. Władze wiedziały o wszystkim. Sytuacja była opanowana. Krajnow odetchnął z ulgą.

– Miałem dziś dużo szczęścia – powiedział do żony, kiedy wszedł do domu. W izbie było ciepło, pod fajerką buzował ogień. – Głodny żem jak wilk.

Po chwili stał już przed nim parujący talerz grzybowego barszczu. Typowy dla tych stron kwaskowy smak zawdzięczał kilku kroplom octu jabłkowego, który jego żona robiła osobiście. W żadnej części Polski nie można było zjeść takiej zupy z podgrzybków.

– Co tam u Marka? – zagaiła żona Krajnowa. – Dzieci zdrowe?

– Tak, tak. – Pokiwał głową i siorbnął głośno. – Stara bieda.

Ogień pożerał słomę dachu chaty Załuskich. Wiatr w okamgnieniu przenosił płomienie na kolejne zabudowania. Nie minęły trzy godziny, a najbogatsza wieś w okolicy stała już w płomieniach. Niebo, aż do ściany lasu, jarzyło się jak pomarańczowa zasłona. Tegoroczne święto Matki Boskiej Gromnicznej przejdzie do historii Polski na zawsze i zapisze się w pamięci tutejszych jako niechlubna karta.

Przed wejściem do każdego z prawosławnych domostw stali żołnierze z wymierzonymi karabinami. Mieli rozkaz strzelać do wybiegających z chat pogorzelców. Wcześniej każdy z ludzi Burego dostał po paczce zapałek. Racami i miotaczami podpalali kolejno każdą z chałup. Ogień trawił tylko domy Białorusów. Bury wydał rozkaz, by Polaków oszczędzić. Ponieważ wiatr się wzmagał, nie podłożono ognia także pod zabudowania sąsiadujące z katolikami. Polacy mieli przeżyć. Białorusini zostać w tej ziemi na zawsze.

Katarzyna kazała Oldze i Duni położyć się pod łóżkiem. Sama zawinęła się najgrubszą pierzyną i patrzyła, jak płomienie pożerają okiennice. Obawiała się, że gdyby weszła pod łóżko, nigdy by się już spod niego nie wydostała. Brzuch był zbyt duży. Pół twarzy miała poparzone, ale nie czuła bólu, wyłącznie strach.

W pomieszczeniu było już piekielnie gorąco. Dym wypełniał wnętrze aż po dach. Kiedy zaczęło brakować jej powietrza, ruszyła do komórki i wybiła stołkiem okienko pod sufitem. Wspięła się po maselnicy, powyciągała odłamki szkła, torując wąskie przejście. Wyciągnęła na wpół przytomną siostrę oraz córkę spod łóżka i kazała im skakać.

Olga rzuciła się do ucieczki pierwsza. Ale, choć chuda jak szczypior, była jednak dojrzałą kobietą. Po kilku bezskutecznych próbach przeciśnięcia przez okienko szerokich bioder zmuszona była cofnąć się do pomieszczenia.

– Nie chcę tak umierać – jęknęła.

– Módl się – krzyknęła Katarzyna. – Głośno!

– To nic nie da! – Siostra się poddała. Opadła zrezygnowana na podłogę i wyła jak zwierzę. – Zabiją nas!

– Bóg się ulituje, jeśli wierzysz. *Otcze nasz. Wieruju. Iże hieruwimy*…

– Nie wierzę – jęknęła Olga i zapadła w stupor.

Katarzyna nie miała sił motywować dalej siostry. Podsadziła córkę. Dunia bez trudu prześlizgnęła się przez niewielki otwór. Siedziała teraz na framudze i pytająco patrzyła na matkę. Nie płakała.

– Skacz! – rozkazała Katarzyna, ale zaraz dodała łagodniej: – To tylko tak wygląda, że jest wysoko.

Dziewczynka miękko wylądowała w śnieżnym puchu. Matka wspięła się znów po maselnicy i wystawiła głowę przez okienko.

– Wspaniale ci poszło – uśmiechnęła się. Wskazała ścianę lasu. – Biegnij, Dunieczko. Jak najdalej stąd.

– A ty? – Dolna warga małej zaczęła drżeć. – Sama się boję.

– Znajdę cię koło Płaczącej Wierzby – odparła łagodnie Katarzyna. Z trudem się powstrzymywała, by nie zanieść się płaczem. Wiedziała jednak, że przy dziecku nie wolno jej okazać słabości. – Schowaj się w szałasie. Jeśli napotkasz ludzi, mów po polsku. Nie po naszemu. Rozumiesz?

– Mamusia! – jęknęła nagle dziewczynka i rzuciła się gwałtownie do góry, by wspiąć z powrotem po ścianie chaty. Małe rączki bezskutecznie chwytały bale. Nóżki w walonkach uparcie zsuwały się w dół. – Ja chcę z tobą!

– Dunia! – zdyscyplinowała ją Katarzyna i pogroziła palcem. – Tata będzie zły, jak nie będziesz mnie słuchała. Uciekaj i schowaj się w lesie! Ale już! Bystro!

Dziewczynka wciąż się wahała. Ocierała zasmarkaną twarz rękawem futra. Chlipiąc, podniosła czapkę z ziemi.

– Ja chcę z tobą.

Katarzyna czuła, że i po jej twarzy płyną teraz łzy. Nie była w stanie dłużej ich powstrzymać. Kiedy się odezwała, głos jej drżał.

– Ja jestem, Dunieczko – zapewniła. – Zawsze będę z tobą. Pamiętaj. Zawsze będę twoim aniołem stróżem. I nie dam cię ukrzywdzić. No już, żuliku, uciekaj – zaśmiała się smutno, by pokryć rozpacz. I dodała, choć sama w to nie wierzyła: – Za chwilę widzimy się w szałasie. Przyjdę i już nigdy więcej cię nie opuszczę. Obiecuję.

Na szczęście dziewczynka uwierzyła matce. Zaczęła biec. Potykała się o hałdy śniegu, wstawała i ruszała dalej. Wtedy padł strzał. Katarzyna zamarła. Wychyliła głowę najdalej, jak zdołała. Za rogiem chaty zobaczyła młodego żołnierza. Stał szeroko na nogach, z papierosem w ustach, i mierzył do jej córki, jak myśliwy do uciekającej sarny. Za jego plecami było jeszcze kilku mundurowych. Kibicowali mu w popisie strzeleckim.

– Biegnij, Dunieczko! – krzyknęła po swojemu i zaniosła się kaszlem, bo całe wnętrze domu było już zadymione. Głos uwiązł jej w gardle. – Kocham cię – szepnęła prawie bezgłośnie. A potem przeżegnała się i zaczęła cicho modlić. Nie spuszczała ani na chwilę wzroku z uciekającej córki. – Święta Anno, miej ją w swojej opiece. Nie daj jej ukrzywdzić. Święta Anno, matko Bożej Matki. Zlituj się nad nami.

Padł kolejny strzał. Katarzyna przymknęła oczy. Łzy leciały strumieniami. Twarz wykrzywił grymas rozpaczy.

– Weź mnie – błagała. – Ją ratuj.

Otworzyła oczy. Żołnierz leżał na śniegu, płonąc jak żywa pochodnia. Jego kamraci próbowali gasić na nim ogień, ale nie na wiele się to zdało. Uszkodzony karabin leżał u jego stóp, magazynek przypominał rozwinięty kwiat. Musiał wybuchnąć przy drugim wystrzale. Wojak jęczał z bólu, wydając z siebie ostatnie tchnienia. Dunia, cała i zdrowa, znikała już w puszczy.

– *Sława Hospodu* – szepnęła Katarzyna. – Na wieki wieków. Amen.

Kiedy miała już pewność, że żaden z żołnierzy nie zatrzymał jej córeczki, odwróciła się do siostry. Olga leżała zwinięta w kłębek, odurzona dymem, na wpół przytomna.

– Wstawaj, Oleś! – Potrząsnęła nią gwałtownie. Wcisnęła jej w rękę świecę gromniczną. Sama wyciągnęła pokryty pajęczynami katolicki obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, który został po jednej z dojarek zatrudnianych przed wojną, kiedy jeszcze mieli całe stado czerwonych

krów. – I ani słowa po naszemu – syknęła do siostry. – A jak wyjdziemy, ruszaj w lewo, do Mackiewiczów. Niech cię ukryją. Ja zagadam żołnierzy. Nie będą przecież strzelać do ciężarnej.

Wyszły frontowymi drzwiami wprost na żołnierzy Rajsa. Olga sprytnie umknęła, tak jak nakazała jej Katarzyna. Żołnierz pilnujący drzwi był zbyt zaskoczony, by zareagować. Skupił się na ciężarnej z katolickim obrazem.

– Białoruska? – prawie wyrwał jej Matkę Boską z rąk. Obejrzał.

– Polka, panie – zapewniła Katarzyna i zarumieniła się aż po czubki uszu. Nigdy nie umiała kłamać. – Niech pan zapyta Mackiewiczowej, ona katoliczka.

A potem zaczęła odmawiać świąteczną modlitwę do Matki Boskiej Gromnicznej. Skonsternowany żołnierz wpatrywał się w jej ogromny brzuch. Wreszcie pozwolił jej odejść. Stanęła pod płotem razem z innymi ocalonymi. Pochyliła głowę. Przyglądała się rzędowi ciał, które leżały powykrzywiane, większość plecami do góry. Nie widziała twarzy zamordowanych, ale głowy mieli roztrzaskane od kul, kamieni, drągów. Jednego rozpoznała. To jej rówieśnik – Janek Karpiuk. Chodzili do jednej podstawówki w gminie. Kiedy była jeszcze panną, tańczyli do rana na zabawach. Ładna byłaby z nich para. Wszyscy sądzili, że to za niego wyjdzie. Musiał dostać cios przed momentem. Oczy wciąż były szeroko otwarte, ale z brzucha wypływała gęsta krew. Bulgotała jak z beczki i szybko wsiąkała w śnieg. Katarzyna zdusiła w gardle krzyk. Widziała, że Janek jeszcze żyje. Na pewno słyszał rozmowy. Był wciąż przytomny. Gdyby teraz udzielić mu pomocy, przeżyłby. Poruszał rękoma, wpatrywał się w nią, choć nie był w stanie nic powiedzieć. A ona nie mogła mu pomóc. Nie mogła do niego nawet podejść, by w te ostatnie sekundy życia potrzymać go za rękę.

– *Hospodi pomiłuj* – szepnęła do siebie i wzniosła oczy do nieba. – Ratuj Dunieczkę. Nie pozwól, by stała się jej krzywda. *Spasi i sochrani*.

Żołnierze szukali broni. Po kolei podchodzili do jeńców i brali ich na spytki. Katarzyna poczuła, że ją mdli. Gdyby wydała sąsiadkę, zostawiliby przy życiu pozostałych mieszkańców wsi. Kiedy jednak przyszła jej kolej na zeznania, nie była w stanie donieść na Mackiewiczów. Pokręciła głową, że nic nie wie. Obejrzała się. Ich dom wciąż był cały. Pod jałowcem wciąż

leżały dynie. Nie miały nawet zadrapania. Byli katolikami. Katarzyna pomyślała, że ludziom Burego nawet nie przyjdzie do głowy tam szukać.

Chwilę później żołnierz popchnął w jej kierunku kobietę. Twarz miała wykrzywioną wściekłością. Żołnierz trzymał ją w ciasnym uścisku.

– Puszczaj, chamie! – krzyknęła sąsiadka.

Katarzyna zobaczyła Beatę Szymańską, córkę starego Mackiewicza. To ich dynie dziś rano zrzucała ze strychu z Olgą. Jeszcze przedwczoraj jej synek bawił się z Dunią w chacie Załuskich, kiedy Beata poszła do księdza po zapomogę. Znały się prawie od dziecka, choć Kasia była dużo starsza, a przed wojną uchodziła za bogatą we wsi – panią sołtysową. Uszyła Beacie wyprawę ślubną i nie wzięła za to ani grosza. W rewanżu Szymańska czasem pomagała jej przy Duni. Sama długo nie mogła mieć dzieci. Kiedyś, gdy na przednówku zabrakło Mackiewiczom mięsa, Katarzyna poprosiła męża, by oddali im świński bok z zimowych zapasów, i nigdy nie dopomniała się o zwrot. Teraz uśmiechnęła się z nadzieją do sąsiadki.

– To Polka? – żołnierz zwrócił się do Beaty i wskazał Załuską.

– A tak powiedziała? – zaśmiała się nieprzyjemnie sąsiadka.

– Ty kacapka! – Żołnierz zamachnął się i zbliżył do Katarzyny. Ale nie miał odwagi uderzyć. Zmrużył tylko oczy i przystawił jej bagnet do podbródka.

Katarzyna podniosła dumnie głowę.

– Tutaj moja ziemia, panie. Tu Polska, a ja jestem stąd.

Zmierzył ją spojrzeniem.

– Wasza ziemia, kacapy? Tutaj? – Skierował palec w kierunku podłoża. – Więc tutaj zostaniecie. W swojej ziemi. Na zawsze.

Podeszło kilku żołnierzy z oddziałem. Jeden z nich wystąpił, wyjął z kieszeni zmiętą kartkę. To pewnie dowódca, pomyślała Katarzyna. Może sam Romuald Rajs. Miał epolety i oficerskie naszywki na klapach. Głęboko osadzone oczy i kanciasta szczęka przydawały mu charyzmy. Wtem w tyle, w trzecim czy czwartym rzędzie, Katarzyna dostrzegła Staszka Gałczyńskiego. Był w cywilnym ubraniu, ale musiał należeć do brygady. Był z partyzantami w dobrej komitywie. W Katarzynę wstąpiła nadzieja. Wpatrywała się w Staszka, wręcz go hipnotyzowała wzrokiem, nie dał po

sobie poznać, że ją zna. Nie stanął w jej obronie. Nie powiedział nawet słowa.

– Rekin. – Usłyszała głos drugiego wojskowego. Był wyższy, z zarostem jak u kozła. – Zostaw ją. Spodziewa się dziecka.

Przed sobą, jak więźniów, oddział prowadził kilku mężczyzn. Na głowie mieli uszanki. Jeden z nich był tylko w bieliźnie. Miał związane ręce, nogi splątane jak u niewolnika. Mógł iść, wyłącznie drobiąc małe kroki. Żołnierz eskortujący go co rusz popychał go kolbą od karabinu. Twarz więźnia przypominała miazgę. Z tej odległości Katarzyna nie była w stanie rozpoznać rysów. Domyśliła się po zgarbionej sylwetce, sposobie poruszania, że to nie jej mąż. Bazyli szedłby hardo, wyprostowany jak struna.

Rekin odczytał z powagą formułkę wyroku i strzelił mężczyźnie w głowę, jakby wbijał gwóźdź. Tak postąpił jeszcze sześć razy wobec pozostałych. Katarzyna nawet na chwilę nie podniosła głowy. Nie wydała z siebie dźwięku. Modliła się, patrzyła w las, gdzie ukryła się jej córka. Na twarzach niektórych zabitych, którzy padali u jej stóp, na zawsze pozostał pośmiertny grymas niedowierzania. Tych, którzy jeszcze się ruszali, niżsi rangą wojskowi dobijali kijami, kamieniami, rzadziej strzałem w brzuch. Szkoda im było amunicji na prawosławnych wieśniaków.

– To kacapka. – Żołnierz, który pilnował domu Załuskich, wskazał Katarzynę. – Skłamała.

– To ruska – potwierdziła szybko Szymańska. – A jej siostra ukryła się pod chrustem na moim podwórku. Tam jest! – Pokazała sąsiednie zabudowania. W tym momencie Olga zaczęła uciekać.

Katarzyna nie mogła uwierzyć w podłość sąsiadki. Patrzyła Szymańskiej w oczy, czuła, jak nienawiść zalewa jej ciało. Dziecko w brzuchu było wyjątkowo spokojne. Katarzyna pomyślała, że pewnie udusiło się od dymu, strachu i Bóg zabrał je już do siebie. Czuła tylko spokój. Była gotowa umrzeć.

– Niech idzie – zdecydował Bury. – Mamy jeszcze dużo pracy. W drogę.

Nagle padła śnieżka. Trafiła wprost w plecy Rekina. Rozległ się chichot. Wszyscy zamarli. Katarzyna zauważyła dwóch chłopców, którzy ukryli się za płotem w zabudowaniu Szymańskich.

– Idźże, pieronie! – krzyknęła do nich Beata. Bury zmierzył ją czujnym spojrzeniem. – Panowie wybaczcie, to tylko dzieci. My katolicy.

– Mama! – rozległo się z drogi.

W ich stronę biegło dziecko. Kolejna śnieżka. Chichot. Rekin uniósł karabin. Katarzyna dostrzegła ten drobny gest pierwsza. Ruszyła w kierunku dziecka. Kiedy biegła, wiedziała już, że to nie jest jej Dunia, lecz synek sąsiadów, ale nie zdołała się wycofać. Znalazła się na linii ognia.

Strzał padł nieoczekiwanie. Katarzyna chwyciła się za brzuch i padała powoli. W ostatniej chwili oparła się o ziemię ręką i przekręciła na plecy. Nad sobą miała zasnute dymem niebo. Nie czuła zimna. Śnieg przyjemnie znieczulał oparzenia na twarzy, dłoniach. Był miękki jak nowa pierzyna.

Chłopiec nie zdołał do nich dobiec, także padł raniony celnym strzałem. Katarzyna kątem oka widziała broń w ręku Staszka. Wydawało się, że on także był tym zaskoczony. Jeden z żołnierzy natychmiast zabrał wieśniakowi pistolet. Pozostali roześmieli się, poklepali Gałczyńskiego po plecach.

Dunieczka, myślała Katarzyna przed śmiercią, zanim na zawsze zasnęła, aniołem twoim będę. Pamiętaj.

Rozległ się strzał z automatu. Stojący pod płotem ludzie padali kolejno. Po zabójstwie ciężarnej i dziecka oddział musiał wyeliminować wszystkich świadków.

Dunia słyszała tę serię wystrzałów jak zza szyby. Ukryła się w ziemiance, w sosnowym młodniku, zwinięta w kłębek. Nie wyszła aż do rana. Pragnęła dołączyć do mamy, ale nie miała sił się ruszyć. Czekała, aż Katarzyna do niej przyjdzie, pocieszy i przytuli. Popłakiwała cichutko, by nie robić hałasu, aż w końcu ze zmęczenia zasnęła. Kiedy się obudziła o świcie, cała skostniała, ruszyła przez pole do domu.

Ich podwórko wyścielone było ludzkimi trupami, które zbierano na wozy i układano pod płotem. Dunia znalazła Katarzynę. Leżała z boku, z dala od innych martwych ciał. Twarzą wpatrzona w niebo. Usta miała rozchylone, jakby się uśmiechała. Dziewczynka ułożyła się na śniegu obok matki i przytuliła do zimnego ciała.

Pod jałowcem u Mackiewiczów wciąż świeciły się żółte jak złoto dynie.

Staszek stał pod brzozą w uroczysku zwanym Pod Płaczącą Wierzbą i czekał na swoją kolej. Wozacy padali kolejno. Procedura była prosta i szło sprawnie. Bury odczytywał wyrok, żołnierze dobijali wieśniaków: kamieniami, drągami, kolbami karabinu. Z rzadka tracili amunicję na głowy cywili. Kiedy przyszła kolej na Bazylego, Bury musiał interweniować. Wozak walczył jak lew, prawie wydłubał oko jednemu z żołnierzy. Wreszcie dostał strzał w brzuch, a potem rozpłatano mu czaszkę kolbą. Więcej kacap się nie podniósł.

Staszek nie wierzył, że ktokolwiek, choćby sam Bóg wszechmogący, zamierza go ocalić. Wieś Puchały Stare znajdowała się w zasięgu wzroku. Jej mieszkańcy musieli słyszeć odgłos wystrzałów, jęki umierających. Mogli widzieć resztkę oddziału Rajsa i pewnie widzieli. Nikt nie przyszedł furmanom na pomoc. Nikt nie wychylił nosa ze swojej chaty. Jeszcze godzinę temu Staszek osobiście pogłębiał ziemianki, w których przed wojną zimowały warzywa mieszkańców pobliskich wsi, a od dziś na wieki spoczną prochy wozaków. Teraz oparty o łopatę wpatrywał się w ustawionych w równy szereg furmanów i nie był w stanie zmówić choćby wersu pożegnalnej modlitwy.

Ręce miał w pęcherzach, sączyła się z nich ropa, która momentalnie zasklepiała się na mrozie w niełądne wzory. Ale nie czuł bólu. Jakby śnił, że to wszystko się dzieje, lecz nie zdarzało się naprawdę. Rozczapierzył palce, odwrócił dłonie grzbietem do dołu. Zdziwił się, bo nic nie różniło tych dłoni, które podawały czaszę księdzu, kiedy wierni stawali do komunii w oczekiwaniu na hostię, od tych obecnych, na których była krew niewinnych. Tego dziecka, do którego strzelił przypadkiem i ze strachu. Pierwszy raz miał w ręku pistolet. Po prostu nacisnął spust. Chłopiec złamał się wpół, padł twarzą do ziemi. Tych białoruskich konspiratorów, których dom Staszek wskazał palcem, choć nie miał żadnej pewności, że denuncjowali ubecji. I setek osób, które zginęły przy okazji morderczej pielgrzymki oddziału Burego po białoruskich wsiach. Nie tak miało być. Staszek chciał tylko małego zadośćuczynienia. Za upokorzenie, jakiego doznał od Mikołaja, poniżenie go przed Olgą. Ale brata dziewczyny nie

znaleziono. Może spłonął żywcem w którejś ze stodół, a może, jak pies, ukrył się w leśnej głuszy i przeczekał pogrom.

Staszek chciał teraz już tylko, by ktoś to dokończył. Bo sam nie będzie w stanie zawiesić pętli na gałęzi i włożyć w nią głowy. Nie wierzył już w Boga, ojczyznę ani czyjkolwiek honor. To nie było bohaterstwo w imię wyższych wartości, lecz okrutna, bezsensowna zbrodnia na niewinnych. Tak to widział.

W oddziale Burego byli katolicy, prawosławni i dwóch Żydów. Każdy z nich walczył o niepodległą Polskę. Walczyli z komunistami. Mieli szczęście – święcie wierzyli w swój fach. Śmierć wrogom ojczyzny. Polska dla Polaków. Tymi prostymi hasłami usprawiedliwiali swój sadyzm. Mieli Staszka za tchórza, choć – fakt – czystej krwi krajana. Choćby sami byli pospolitymi kundlami.

Po zakończonej egzekucji każde z pięćdziesięciu ciał zepchnięto kopniakiem do ziemianek jak worki kartofli. Staszek już na to nie patrzył. Kucnął, dłubał w ziemi. Jeden z wozaków upuścił kozik, leżał teraz ostrzem do góry jak wyrzut sumienia. Człowiek nie zdążył go użyć. Nóż był czysty, ostrze błyskało w słońcu. Staszek podniósł go i przyjrzał się słowom wypalonym cyrylicą na drewnianej rączce: *Chleb nasz nasusznyj*. Staszek pomyślał, że człowiek zrobił ten nóż, by kroić nim pieczywo, a nie rezać ludzkie ciała. I choć miał go ze sobą w sytuacji krytycznej, nie potrafił użyć do obrony własnej. Gałczyński zacisnął pięść na rękojeści i bez wahania wyciął na jednym z drzew prawosławny krzyż. Tak zastał go Bury. Staszek odwrócił się gwałtownie, zasłonił emblemat ciałem i wymierzył kozik w Rajsa. Tą nieporadną groźbą tylko rozbawił dowódcę.

– Spalisz to. – Bury wcisnął Staszkowi w dłoń brudne zawiniątko.

Gałczyński natychmiast opuścił broń. Wpatrywał się w żołnierza i wiedział, że nie jest w stanie zrobić mu nic złego. Jednak chciał żyć. Za wszelką cenę. Mundur Burego poznaczony był maleńkimi kropkami krwi. Gdzieniegdzie znać było fragmenty mózgu, włosów ofiar. Rajs otrzepał się jak z okruchów chleba po śniadaniu, poprawił przekrzywioną czapkę. Orzełek znów znalazł się we właściwej pozycji. Ktoś podał mu wełniany płaszcz, odpalił papierosa. Bury wydmuchał dym nosem i dodał:

– Nigdy nikomu nie powiesz, co tu zaszło.

– Tak jest – odparł automatycznie Staszek i rozejrzał się szczerze zdziwiony, że nie podzieli losu furmanów. Chciał spytać, dlaczego go oszczędzili, ale nie zdążył.

– To krew przelana za ojczyznę. Będzie ci wybaczone.

– Będę milczał – zapewnił Gałczyński.

– Powinieneś – przyznał Bury. – Każdy z nas widział, jak pada to dziecko. To nie było potrzebne. Ale każdy z nas ma na koncie taką ofiarę. To jest wojna.

Potem Staszek wskazał im drogę bezpiecznego odwrotu przez las. Patrzył, jak odjeżdżają nieniepokojeni przez oddział pościgowy czy choćby milicję. Kiedy zniknęli za horyzontem, rozpalił ognisko i zajrzał do paczki owiniętej haftowaną w białoruski wzór makatką. Wysypał do ognia dokumenty zamordowanych wozaków. W całości spłonął tylko jeden – Załuskiego. Resztę Staszek wyciągnął w ostatniej chwili. Były tylko nadpalone na okładkach. Owinął je ponownie w ręcznik razem z nożem jednego z Białorusinów. Ruszył na piechotę do swojej wsi. Czuł, jak zawiniątko pali go w pierś, ale się nie zatrzymał.

Maszerował dwa dni. Spał w lesie. Poza śniegiem nie miał nic w ustach, ale nie czuł głodu. Kiedy dotarł do wioski, zastał pogorzelisko. W sąsiedniej osadzie ludzie otoczyli go kołem, jeden przez drugiego zaczęli opowiadać, co się stało. W szpalerze pogorzelców dostrzegł Mikołaja Nesteruka. Chłopak odwrócił głowę na jego widok.

Matce Staszek powiedział, że Bury puścił go wolno jeszcze przed uprowadzeniem wozaków. Skłamał, że dowódca 3. Wileńskiej Brygady pamiętał jego ojca z frontu. Płakała, słysząc o bohaterskich czynach swojego męża, ale zakazała komukolwiek o tym opowiadać.

– To jest teraz źle widziane – wyjaśniła.

Tydzień później Staszek uczestniczył w tajnej wspólnej mszy katolików i prawosławnych ku pamięci cywili poległych w okolicach Hajnówki. Władze miasta zapewniły pomoc ofiarom pogromu. Staszka poklepywano po plecach, ponieważ jako jeden z niewielu mężczyzn z okolic Załuskich pogrom przeżył. Garstkę dzieci i kobiet, które również ocalały, a były spadkobiercami ziemi uprawnej, przesiedlono do sąsiednich miejscowości. Ludzie pomogli im się odbudować. Niektórzy, w tym Staszek, wyjechali do

miasta. Dostali zatrudnienie w hajnowskim tartaku. Wozaków nikt nie szukał. Nikt o nich nie mówił. Staszek też starał się zapomnieć o egzekucji pod Puchałami.

Ziemianka, w której mieszkał z matką, zarosła trawą tego samego lata. Sięgała Staszkowi do kostek, kiedy Aniela Bondaruk, córka dyrektora szkoły w Hajnówce, podeszła do niego na partyjnej uroczystości i szepnęła, że gdyby miał ochotę, mogliby kiedyś pójść do lodziarni na Buczka. Staszek chciał. Następna niedziela miała być upalna. I taka była. Anieli nie przeszkadzał nikczemny wzrost Gałczyńskiego ani jego kaprawe oko.

Oddział pościgowy wyruszył za oddziałem Burego dopiero pod koniec marca. Dowódcę i kilku najwierniejszych kompanów, w tym Rekina, Urząd Bezpieczeństwa zatrzymał na południu Polski dwa lata później, w listopadzie. Staszek był już wtedy kierownikiem hali liściastej w hajnowskim tartaku. Miał pod sobą siedemdziesięciu robotników z pobliskich wsi, którym osobiście pomógł w zatrudnieniu. Byli mu wdzięczni i na każde imieniny przynosili mu gorzałkę, którą wypijał samotnie po robocie. Kilka miesięcy później przeprowadzili się z Anielą do mieszkania służbowego w hajnowskich czworakach. Zdążył dokończyć remont mieszkania, zanim urodził mu się syn. Dali mu na imię Piotr. Teść zaproponował, by wnuk nosił jego nazwisko. Było białoruskie, a to w tych stronach uchodziło za lepiej widziane. Staszek nie miał nic przeciwko temu. Rok później zniknęło już z ich izby palenisko zastąpione przez centralny piec kaflowy. Na tamte czasy był to prawdziwy luksus.

Kiedy Piotrek szedł do szkoły, w nowej edycji wydawnictw kartograficznych nie uwzględniono już wsi Załuskie. Resztki domów po pogorzelcach ludzie rozebrali na opał, ocaleni zaś z pogromu mieszkańcy osady zaludnili sąsiednie wsie. W miejscu Załuskich została tylko ubita ziemia.

Hajnówka, 2014

Szli tyralierą w trzymetrowych odstępach. Rozgarniali chaszcze, leśny gąszcz. Większość miała w rękach potężne latarki. Kto mógł, przytargał do lasu agregaty. Na polanach było widno jak w dzień. Zgłupiałe zwierzęta przemykały im przed stopami. Kilku pijanych weselników cudem uniknęło poturbowania przez oślepione stado łosi.

Policja rozgoniła tłum, zapobiegając panice. Poza ochotnikami wezwano drużynę alarmową z wojewódzkiej. Dostali też wsparcie z sąsiedniego powiatu. Do akcji poszukiwawczej włączyli się strażacy, harcerze i wszyscy chętni uczestnicy biesiady. Ludzie od fajerwerków wypuszczali race, by rozjaśnić ciemność. Po dziewczynie nie było śladu.

Do świtu Jagiellońskie opustoszały. Ludzie rozeszli się do domów.

Wracające do bazy patrole w okolicy Czerlonki znaleźli porzucone niebieskie uno. Prawa przednia szyba była stłuczona. Tapicerka fotela pasażera zbryzgana krwią. Na podłodze leżał weselny strój panny młodej.

JahJah od razu rozpoznał auto. Należało do profilerki, którą wczoraj wypuścił z komendy z dokumentem zastępczym, by mogła dojechać do hotelu. Zasznurował usta. Chwilę potem przez krótkofalówkę dostał wezwanie. Kilka kilometrów dalej znaleźli przywiązaną do drzewa nieprzytomną kobietę. Była poturbowana, zakneblowana, w samej bieliźnie. Ale żyła. Zakładano, że mogła być naocznym świadkiem uprowadzenia. JahJah nakazał nie przerywać poszukiwań, sam zaś natychmiast ruszył do szpitala. Kiedy do niego docierał, zadzwoniła Romanowska.

– Mamy okularnika.

– Aresztowałaś go?

– Pamiętasz wóz, który w dziewięćdziesiątym dziewiątym zaginął wraz z Łarysą Szafran?

– Tą Białorusinką? Drugą kobietą Bondaruka?

– Samochód jest teraz czarny. Ma zdjęte blachy. Ale technicy zabezpieczyli pod wyściółką drzwi stare ślady po postrzale. Kaliber się zgadza.

– Wezwij wojewódzką.

– Już do nich dzwoniłam. Wysyłają do nas specjalną ekipę.

Piotr stał przy oknie, obserwując wschód słońca, kiedy gosposia zaanonsowała przybycie teściowej. Tej nocy świeżo upieczony mąż nie zmrużył oka. Kwadrans temu przebrał się w żółty sweter i materiałowe spodnie. Pod oczami miał sine podkówki. W jedną noc postarzał się o dziesięć lat.

– Wróci – powiedziała zamiast powitania Bożena.

Wskazał jej fotel. Klapnęła na niego zrezygnowana. Taftowa suknia była zgnieciona i brudna. Kobieta nie miała czasu się przebrać. Brała udział w poszukiwaniach aż do teraz. Rzucił jej drelichową bluzę z firmowym logo piły tarczowej i choinki, jaką dostawali jego pracownicy na ścince jako odzież roboczą. Włożyła ją z ulgą, zamek zapięła aż pod szyję. Mimo to nadal drżała. Podał jej stary kraciasty koc. Okryła się nim szczelnie.

– Herbaty?

Pokręciła głową.

– Wróci sama lub przyprowadzą ją siłą. Chłopcy ich znajdą – zapewniła ponownie.

Usiadł naprzeciwko. Skinął na gosposię. Podała parujący czajnik i konfiturę. Włożył sobie do napoju kilka łyżeczek. Mieszał dokładnie.

– Nie tak się umawialiśmy.

Pochyliła głowę.

– Wiem, że to nie twoja wina. – Przesunął filiżankę w jej kierunku. – Zmarzłaś. Dobrze ci zrobi.

Spojrzała na niego z wdzięcznością, ale odwrócił się do okna.

– Ziemię możesz zachować – powiedział. – Pieniądze też. Jednak pozostałe punkty naszej umowy są już nieaktualne.

Bożena łyknęła herbaty. Wrzątek parzył jej usta.

– Znajdą ją. A ludzie zapomną.

– Ja nie zapominam – przerwał jej. – Nie musi ze mną żyć, skoro tego nie chce. Wystarczyło powiedzieć. Nie zmuszałem jej do ślubu.

Mówił spokojnie, dobitnie. Tonem nieznoszącym sprzeciwu. Bożena nie śmiała się odezwać.

– Ogłoś, że wyznaczyłem nagrodę. Pięćdziesiąt tysięcy, jeśli znajdzie się żywa. Ty zapłacisz. Z gotówki, którą ci dałem. Jeśli pojawi się do jutra rana, rozmówię się z nią. Będzie mogła odejść z twarzą. Pieniądze zabierzesz. – Zatrzymał się. Także sobie nalał filiżankę herbaty. Widziała, jak drżą mu ręce. Sobie nie posłodził. Upił łyk gorzkiego wrzątku i dokończył: – Martwa nie jest dla mnie nic warta.

Bożena zawiesiła na nim czujne spojrzenie.

– Martwa?

– Prosiłem tylko o lojalność. Wierności nie chciałem. Mogła mieć ciastko i zjeść ciastko. Dokonała wyboru. Wystawiła mnie na pośmiewisko, więc nie będziemy już małżeństwem.

Bożena odstawiła filiżankę na spodek. Dolna warga jej drżała. Oczy niebezpiecznie się zaszkliły.

– Co jej zrobiłeś?

– Możesz iść – rozkazał. – Przed nami długi dzień.

Kiedy wyszła, wyciągnął się na tapczanie i przykrył z głową tym samym kocem, którym przed chwilą okrywała się matka Iwony. Tylko bose stopy wystawały mu aż po brzeg spodni. Nie zamierzał spać. Myślał. Leżał tak z otwartymi oczami przez dobrą godzinę. Potem wstał, wszedł głównym wejściem do garażu. Jego trzy nowiutkie samochody stały na swoich miejscach. Czwarte, w głębi hali, które jako jedyne miało oddzielny wyjazd, było puste. Na samym środku została tylko tłusta plama. Ukucnął, roztarł substancję i powąchał. Olej lub płyn hamulcowy. Obejrzał podjazd. Kierowca musiał ruszać z impetem, bo na podłożu widać było wyraźne ślady opon. Podszedł do drzwi. Kłódka była przepiłowana. Zdjął ją i schował do kieszeni. Założył nową, w pełni sprawną. Potem wrócił do domu, zwolnił gosposię, dając jej sowitą odprawę, i pojechał do tartaku. Choć w zakładzie nie było żywej duszy, miał ochotę popracować. Po drodze wykonał kilka telefonów. Jednym z ważniejszych było wezwanie notariusza.

– Chcę zmienić testament – oświadczył, ostrząc siekierę. – Proszę zarezerwować kilka godzin. Niech pan przyjedzie sam. Żadnych świadków. I proszę wziąć wszystkie pieczątki.

Potem wszedł do drewutni i rąbał drwa, aż opadł z sił.

Gips był założony, ale kazali jej leżeć. Prześwietlili ją, opatrzyli rany na głowie. Nie było tak źle, jak się spodziewała. Ktoś przywiózł jej rzeczy. Walizka była otwarta, komputer cały. Sprawdziła hasło. Nikt go nie włączał. Przebierała się właśnie ze szpitalnej piżamy, kiedy do drzwi zastukała pielęgniarka.

– Zmierzę pani ciśnienie.

– Czuję się dobrze – fuknęła Sasza, z trudem wciągając dżinsy. Nie była w stanie ich zapiąć. Miała tylko jedną sprawną rękę. Kobieta podeszła i jej pomogła.

– W walizce powinnam mieć jakiś grzebień. Może mi pani podać?

Kobieta usłużnie przetrząsnęła jej dobytek.

– Może w kosmetyczce – podsunęła Załuska.

– Nie wolno pani jeszcze opuścić szpitala – zastrzegła pielęgniarka. – Miała pani wstrząśnienie mózgu. Powinna pani zostać u nas na obserwacji.

Sasza ją zignorowała. Sprawną ręką rozplątywała skręcone włosy. Wreszcie pielęgniarka znalazła w bocznej kieszeni walizki grzebień z zakręconą na nim gumką zdobioną kryształowym jednorożcem. Sasza poczuła dławienie w gardle. Chciała jak najszybciej zadzwonić do córki.

– Policja chce panią przesłuchać. Zaraz będą – poinformowała Załuską pielęgniarka, czesząc jej włosy.

– Prosiłabym, żeby zrobiła mi pani kucyk – jęknęła Sasza.

Nagle poczuła się słabo. Opadła na łóżko.

Pielęgniarka przyłożyła jej dłoń do czoła.

– Jest pani rozpalona. Dam coś przeciwbólowego.

Podniosła kołdrę. Wygładziła prześcieradło.

– Proszę się położyć – poleciła.

Sasza nie miała sił się rozbierać. Położyła się, tak jak stała. Zamknęła oczy. Zdawało się jej, że tylko na chwilę, ale kiedy je otworzyła, za oknem już zmierzchało. W drzwiach stała kobieta. Rozpoznała krótko ostrzyżoną

towarzyszkę policjanta z wesela. Za nią stał funkcjonariusz w mundurze. Ten sam, którego syn Frankowskiego wysyłał po koc.

– Nadkomisarz Krystyna Romanowska – przedstawiła się komendantka. – Jak się pani czuje?

– W ogóle się nie czuję – mruknęła Sasza. Nie miała nawet sił zgrywać twardzielki.

– Domyślam się, ale nam zależy na czasie. Musimy pomówić.

Załuska skinęła tylko głową. Rozumiała sytuację. Uniosła się na zdrowym ramieniu. Była gotowa do przesłuchania.

– Nie widziałam jego twarzy – powiedziała. – A to, co zaszło, streściłam policjantowi w karetce. Liczę, że pomogłam.

– Przekazał mi każde pani słowo – potwierdziła Romanowska i wskazała stojącego obok młodego policjanta. – To starszy aspirant Karol Supryczyński, nasz rysownik. Zlecenie z wojewódzkiej. Zna pani procedury. Wiem, że go pani nie rozpozna, ale musimy mieć to na papierze.

Sasza położyła zdrową dłoń na czole. Sama prosiła się o kłopoty. A kto szuka guza, ten go znajdzie. Dziś rano powinna była być na strzelnicy w Gdańsku. Cały dzień przespała. Nie zawiadomiła Ducha. Nie dała znaku życia. Pomyślą, że stchórzyła. Była na siebie wściekła.

– Szczupły, metr osiemdziesiąt. Czarna kominiarka. Ludowe przebranie. Rękawice motocyklowe – powtórzyła wcześniejsze zeznania.

Rysownik podawał jej kolejne modele twarzy. Nie była w stanie wybrać. Pod kominiarką mógł się ukrywać każdy. Bardzo dokładnie opisała oczy mężczyzny, choć wiedziała, że ten szczegół na niewiele przyda się śledczym.

– Jasne, chyba zielone, jeśli nie miał kontaktów. Białe rzęsy, pewnie blondyn. Wątpię, by były pomalowane.

Wyglądało na to, że profilerka nie jest najlepszym świadkiem. Niestety jedynym. Będą ją teraz dręczyli przez cały czas trwania dochodzenia.

– Drugiego napastnika nie widziałam – zapewniła. – Zaatakował mnie od tyłu. Musiał być słabszy i dużo niższy ode mnie. Za pierwszym razem trafił mnie niecelnie. Dopiero kiedy się pochyliłam, dostałam w skroń. Tak mi się wydaje, że to mogła być kobieta. W szpilkach.

– Kobieta? – Romanowska zanotowała w notesie i podniosła głowę. – Coś konkretniejszego?

– Raczej drobna. – Postukała w gips. – Wbiła mi obcas w dłoń. Tak wtedy pomyślałam. Nie była zbyt ciężka.

– A auto?

– Czarny mercedes. Nie nowy, ale w dobrym stanie.

– Model zwany okularnikiem – odczytała policjantka z protokołu. – Jest pani pewna?

Sasza potwierdziła.

– Charakterystyczne światła. Jechał na włączonych, kiedy ścigał tę małą. Numerów rejestracyjnych nie zanotowałam.

– Bo ich nie miał. – Romanowska się uśmiechnęła.

Sasza zmarszczyła brwi.

– Nie zwróciłam uwagi. To wszystko trwało może dziesięć minut.

– Zabezpieczyliśmy ten wóz. Miska olejowa mu poszła. Dlatego się zatrzymał.

Romanowska odprawiła rysownika. Sama jednak nie ruszała się z miejsca. Sasza wpatrywała się w komendantkę w napięciu.

– Co panią tak naprawdę do nas sprowadza?

Profilerka się zawahała.

– Sprawa prywatna – skwitowała. – O tej porze miałam być w Gdańsku i świętować powołanie do służby. Ale wygląda na to, że, jak zwykle, siedzę po kolana w gównie.

Romanowska zachowała twarz szachisty. Zamknęła notes, zerknęła na zegarek.

– Czy sądzi pani, że ten napastnik mógł był dojrzały? Bardzo dojrzały? Na przykład przekroczyć sześćdziesiątkę?

– Wątpię – profilerka natychmiast zaprzeczyła. – Był silny, dobrze zbudowany. Przez cienką koszulę czułam solidny biceps. Sądzę, że miał góra trzydzieści, czterdzieści lat. Pewności nie mam. Był przecież zamaskowany. – Sasza opadła na poduszkę. Czuła się wyczerpana. – Ale

nie sądzę, żeby to był zazdrosny małżonek, jeśli to pani sugeruje. Widziałam Bondaruka, czy jak on się tam nazywa, z bliska. Przez godzinę siedzieliśmy przy jednym stoliku w Leśnym Dworku.

Romanowska zmarszczyła czoło.

– Przypadkowe spotkanie – wyjaśniła Sasza. – W sobotę, około piętnastej. Kończyłam obiad, kiedy przyszedł się upić. Rozmawialiśmy chwilę. Chyba był w depresji. Nie wyglądał na szczęśliwego nowożeńca. Raczej jakby szykował się na pogrzeb. Ale zaprosił mnie na swój ślub. Odmówiłam. Nie miałam wtedy pojęcia, że trafię w te okolice. W ogóle nie wiedziałam wtedy, kim ten facet jest.

– To nie mógł być on? – Komendantka z trudem maskowała ekscytację.

– Tego nie powiedziałam – odparła szybko Sasza. – Ostatecznie mogę stwierdzić przy okazaniu. Jeśliby się zgodził na wizję lokalną. Sama pani wie. Mam zawroty głowy. Myślę, że mogę nie pamiętać wszystkiego. Jeśli coś mi się przypomni, dam znać.

– I tak będziemy musieli przesłuchać panią jeszcze raz.

– Wiem. – Sasza zmarkotniała.

– Czekamy teraz na ekipę z wojewódzkiej. Do tego czasu badamy sprawę naszym zespołem. A dziewczyna?

– Nie jestem pewna, czy to była kobieta – sprostowała Sasza. – Mógł to być też drobny mężczyzna, dużo niższy ode mnie. Kiedy wbił mi to coś w dłoń, pomyślałam, że to szpilka. Obcas – poprawiła się. – Ale teraz sama już nie wiem, dlaczego mi to przyszło do głowy. Może takie babskie myślenie. Zastanowię się jeszcze.

– Chodziło mi o Iwonę Bejnar. Obecną żonę Bondaruka. Nie współpracowała z porywaczem? Nie grała?

– W żadnym wypadku – zaprzeczyła Sasza zdecydowanie. – Była przerażona. Wpadła w histerię.

– Ma pani pozwolenie na broń?

– Nie przy sobie. – Sasza spuściła wzrok. – Nie mam przy sobie żadnych dokumentów, ale to chyba już pani wie. Znaleźliście może tę Dankę z Ciszyni?

– Pracujemy nad tym – odpowiedziała komendantka. Nie dała się zbić z tropu. – Ta broń nie jest na panią zarejestrowana.

– Znaleźliście ją?

Potwierdzenie.

– Starto z niej odciski palców. Ktoś ją dokładnie wypucował i zostawił w skrytce pani auta.

Sasza pochyliła głowę i przyznała się:

– Dostałam tę berettę przed wyjazdem od kolegi z wydziału. Są na to papiery. Zaraz do niego zadzwonię. Wiem, że to wszystko wygląda dziwnie, ale niech mi pani wierzy, na wszystko dostarczę dokumenty.

– Niech pani to zrobi jak najszybciej. Jak przyjadą z wojewódzkiej, musimy mieć w papierach czysto. Do tego czasu daję pani mój osobisty kredyt zaufania. Ale nie wiem, na jak długo wystarczy – uśmiechnęła się.

Obie wiedziały, że nad Saszą zawisł właśnie miecz Damoklesa. Gdyby wyszło na jaw, że Załuska posługuje się niezarejestrowanym pistoletem, żadna komenda już jej oficjalnie nie zatrudni. Romanowska odebrała jej resztkę nadziei.

– W pani torbie była też amunicja. Pasuje do tego modelu. Swoją drogą, ładny drobiazg. Na niej są odciski.

Sasza przemilczała komplement. Sądziła, że jest w kłopotach, ale okazało się, że to dopiero wierzchołek góry lodowej.

– Moje – potwierdziła. – Nie musi pani oddawać do badania.

W napięciu czekała na ciąg dalszy. Było jej już wszystko jedno. Tymczasem Romanowska wstała. Była gotowa do wyjścia. Sasza się zdziwiła. To przesłuchanie było pośpieszne, niedbałe. Jakby policjantka jedynie ją sondowała.

– Na razie to wszystko. Dziękuję.

– To znaczy, że mogę wracać do domu?

– Szpital raczej pani nie wypuści. Ale jeśliby się tak zdarzyło, mamy pani dane. Nadkomisarz Duchnowski dziś potwierdził wszystkie dokumenty. Nie mam zastrzeżeń. Zapewnił, że najpóźniej jutro rano przyjedzie, by zabrać panią do domu.

– Zawiadomiliście go? Wie o wszystkim?

Romanowska potwierdziła skinieniem i uśmiechnęła się pobłażliwie.

– Nie o wszystkim. Tylko o dokumentach i broni. To on poprosił mnie o tę przysługę.

Rozejrzała się czujnie, ale nawet korytarz był pusty. Położyła na stoliku szarą kopertę. Kiedy metal dotknął blatu, usłyszały ciche stuknięcie, a potem odgłos przesypujących się nabojów.

– Lepiej będzie, jeśli to pani dobrze schowa. Papierów nie zniszczyłam. Na razie.

Sasza w tym momencie zrozumiała, że ma w niej sprzymierzeńca. Ona jakby też ją polubiła, choć oczywiście nie mogła tego okazać oficjalnie.

– Zataiłam też, że jeździła pani bez dokumentów – powiedziała. – I oczywiście nie wszczęłam dochodzenia w sprawie beretty, choć powinnam, bo padły z niej trzy strzały.

– Trzy? – zdziwiła się Sasza. Zamyśliła się, a potem dodała: – Załadowałam tylko dwa naboje. Tylko tyle zdołałam wyszperać w torbie.

– Jest pani pewna?

– Całkowicie.

Komendantka chwilę trawiła nową informację. Ciszę przerwała Sasza.

– Dlaczego zostawili pistolet?

– Też się nad tym zastanawiałam – przyznała Romanowska. – Zobaczymy, co wykażą oględziny samochodu. Pani auto musi u nas zostać. Technicy przy nim pracują. Jeśli ludzie z wojewódzkiej będą mieli wątpliwości, spróbuję to jakoś przeciągnąć.

– A co z bronią? Padły przecież strzały. Jak to będzie wyglądało w aktach?

– Balistyk zbadał pistolet. Jest już wstępna opinia – powiedziała. – Na razie wpisaliśmy, że narzędzia zbrodni nie znaleziono. Dla pani dobra. Liczę, że ma pani jednak czyste intencje.

– Jestem pani dłużniczką.

Romanowska skinęła głową. Zerknęła na zegarek.

– Tak mi się wydaje. Ale w razie zwrotu w śledztwie mam na panią wszystkie kwity – roześmiała się, choć Sasza wyczuła, że żart był podszyty szantażem. Nie skomentowała tego. Czuła ulgę, ale i niepokój. Tymczasem Romanowska ciągnęła: – I choć mi przykro, to jednak cieszę się, że właśnie pani jest świadkiem w tej sprawie.

– Ja mniej – mruknęła Sasza i spojrzała pytająco na Romanowską, która znów była oficjalna. – Dlaczego pani mi pomaga?

Komendantka się spłoszyła. Jakby nie była przygotowana na tak zadane pytanie. Chciała powiedzieć, że potrzebują jej pomocy, profilu, ale rozmyśliła się. Nie mogła jeszcze tego przyznać.

– Wszystko w swoim czasie – odparła. – Szkoda, że zapamięta pani wizytę u nas tak haniebnie.

Sasza trafnie odczytała, że Romanowska wymigała się od odpowiedzi. Spróbowała się uśmiechnąć. Warga ją zapiekła.

– Też żałuję. Jakby co, jestem do dyspozycji – zaoferowała. – Gratis.

Romanowska obejrzała portret pamięciowy naszkicowany przez Supryczyńskiego i cmoknęła niezadowolona. Nikt go nie rozpozna. Była pewna. Znów mają uprowadzenie widmo. Jak przed laty, kiedy zaczynała w policji.

– Będę pamiętała – rzuciła niby od niechcenia. – Proszę o siebie bardziej dbać. Widzę, że kłopoty panią lubią.

– Coś w tym jest.

Komendantka znów zrobiła jakąś notatkę w służbowym notesie, a potem wydarła kartkę i położyła ją na stoliku przy łóżku Saszy.

– Łukasz Polak, pensjonariusz dyrektora Saczki, którego pani szuka, mieszka pod tym adresem. – Zatrzymała się przy drzwiach. – A ten numer to moja prywatna komórka. Jeśli następnym razem popadnie pani w pierepałki, proszę przychodzić od razu do mnie.

– Pierepałki? – powtórzyła profilerka.

– W razie kłopotów kobieta zawsze lepiej dogada się z kobietą. Oszczędzi nam pani wielu kwitów do wypełnienia, a potem zniszczenia. – Ruszyła do wyjścia.

Profilerka rzuciła okiem na karteluszek. Trzeciego Maja 18/4. Przejeżdżała tą ulicą wielokrotnie. Poczuła, jak stres odpuszcza. Chwyciła telefon i wybrała numer do matki.

– Babcia nie może teraz rozmawiać, ale możesz zadzwonić później – na poczcie głosowej usłyszała głos Karoliny.

Opadła na poduszkę. Zgniotła cenny kawałek papieru do rozmiaru niedużej kulki i wrzuciła do szuflady. Kilka minut później znów spała.

Ziemia była świeżo udeptana. Co kilkadziesiąt centymetrów z morza młodej trawy prześwitywały wyspy czarnej gleby. Wandale znów rozkopali symboliczną mogiłę, ale tym razem nie zabrali krzyża. Leżał w krzakach. Brakowało jedynie prawosławnej poprzeczki. Dunia Orzechowska chwyciła kamień i podpierając się na wystruganym własnoręcznie kosturze, wbijała go w ziemię dotąd, aż poczuła, że oparł się o coś twardego. Wtedy uklękła, a raczej opadła na kolana, ciężko dysząc z wysiłku. Długo modliła się o spokój leżących tu ofiar. Odmówiła akafist i pokłoniła się, trzykrotnie dotykając czołem ziemi. Z trudem się podniosła, otrzepała łachmany. Kręciło ją w kościach niezależnie od pogody.

Do domu miała dobrych kilka kilometrów. Lasem byłoby szybciej i nie bała się, że zabłądzi. Wychowała się w tych okolicach. Każdy centymetr tej ziemi znała jak własną kieszeń, ale od miesiąca nie padało i wiedziała, że na *pyszczynach* ugrzęźnie po kolana. Dlatego wybrała okrężną drogę wzdłuż szosy. Po cichu liczyła na jakąś okazję. Jeśli nikt się nie zatrzyma, dotrze do domu dopiero po zmroku.

Kiedy była już na szosie, drogę zajechał jej nowiutki dostawczak zakładów mięsnych. Odsunęła się na pobocze, zasłoniła twarz chustą. Z auta wysiadł mężczyzna z dekadę starszy od niej, ale wyglądali na rówieśników. W ostatnim czasie Dunia schudła i zmieniła się w staruchę, podczas gdy on tylko przybrał na wadze. Nesteruk podszedł, chwycił ją pod ramię.

– Wsiadaj, Dunieczko – powiedział i otworzył drzwi auta. Dunia rozpoznała kobietę siedzącą za kierownicą. Bożena Bejnar skłoniła się staruszce, ale ta jej nie odpowiedziała.

– Kury muszę nakarmić. – Pokręciła głową. – Psy same od rana siedzą.

– Podwieziemy cię.

– Nie chcę pobrudzić wam siedzeń – odparła i opierając się na lasce, powlokła wzdłuż jezdni.

Mikołaj szedł za nią o krok. Nic więcej nie powiedział. Bożena zamknęła drzwi po stronie pasażera i też ruszyła wolno za nimi. Z daleka

wyglądali jak niewielki kondukt. Nagle Dunia zatrzymała się i zwróciła do Mikołaja:

– Czego ona chce?

Pochylił głowę. Wyciągnął jedwabną wstążkę. Bożena stała w bezpiecznej odległości. Słyszała każde ich słowo.

– Dziewczyna jej zaginęła. Twój chłopak ją porwał.

Dunia pierwszy raz wykazała zainteresowanie.

– Córka? – Wskazała Bożenę palcem. – To jej córka?

Mikołaj potwierdził.

– Obiecałem, że zapytam. – Zawiesił głos. – Gdzie Jurek ją ukrył?

– Nie widziałam syna od zimy. Był przez tydzień, jak go wypuścili z aresztu. Potem, jak zwykle, chodził swoimi drogami. Czasem w nocy przyjeżdżał. Motor stawiał w drewutni. Słyszałam odgłos silnika, ale do domu nigdy nie wchodził. Rano już go nie było. Wstydzi się tego aresztu, jakbym ja życia nie znała – objaśniła po białorusku.

Mikołaj wpatrywał się w nią, czekał. Nie dodała nic więcej.

– A może byś się pomodliła?

– Przecież ona nie wierzy – prychnęła Dunia, ale wzięła wstążkę. Zaczęła mruczeć pod nosem modlitwę w staro-cerkiewno-słowiańskim. Brzmiało jak zaklęcia. Nagle przerwała. Pokręciła głową.

– Co to znaczy?

– Nic nie czuję. Ostatnio czasem tak jest. Kończę się – zażartowała, ale na twarzy nie pojawił się nawet cień uśmiechu.

Mikołaj dotknął jej ramienia, przyciągnął do siebie. Nie dała się przytulić. Stali oboje schyleni. Dwójka staruszków, którzy wiedzą, że śmierć jest bliżej niż dalej.

– Jak mnie znalazłeś, wujku?

– Dziś rocznica ich śmierci, Dunieczko. – Wzruszył ramionami. – Nie musiałem szukać. Przecież co roku tutaj przychodzisz.

– Ktoś znów wyrwał krzyż – poskarżyła się.

– Im już wszystko jedno! – Machnął ręką z wyrzutem. Ale widząc jej minę, dodał: – Zajmę się tym.

– Nie trzeba. Bóg ich osądzi.

– Pomóż – poprosił. – Ta dziewczyna niewinna. Matka chce tylko wiedzieć, czy nic jej nie jest.

Podał kobiecie zdjęcie Iwony i zielony grzebień z ułamanym zębem. Była na nim garstka czarnych włosów.

– Tyle po niej zostało. I wstążki.

Dunia rzuciła okiem na fotografię. Było to zdjęcie z dowodu osobistego. Iwona miała na nim osiemnaście lat. Nosiła wtedy długie włosy, ciemna grzywka kończyła się nad brwiami. Uwagę przykuwało skupione spojrzenie.

– Krasawica – pochwaliła szczerze Dunia. I zaraz zmarszczyła czoło. – Co mój syn ma z nią wspólnego?

– Nic nie wiesz? – zdziwił się Mikołaj. – Mówią, że z nim uciekła z wesela Piećki. Ludzie ich widzieli. Poturbował jakąś przyjezdną. Musieli się gdzieś ukryć.

– Trzeba było tak od razu.

Odeszła w głąb lasu, przymknęła oczy. Mikołaj pozostał kilka kroków dalej. Dał znak Bożenie, by wróciła do auta i wyłączyła silnik. Dunia zaczęła szeptać pod nosem słowa prawosławnych modlitw. Nie przerwała nawet wtedy, gdy z trąbieniem minęło ich pędzące szosą auto. Nagle zamilkła i szybkim krokiem ruszyła wzdłuż drogi. Wtedy z auta wysiadła Bożena. Podbiegła do Mikołaja.

– Co powiedziała?

– Nic – odparł. Zdawał się zasmucony. Zdjął czapkę z głowy, przyłożył ją do piersi. Przeżegnał się.

– Niech pan ją zapyta! – Bożena chwyciła się poły jego kurtki. – Proszę, niech pan z nią pomówi. Co to może znaczyć?

Rzuciła się za staruszką.

– Nie żyje? – krzyczała rozpaczliwie. A potem szarpnęła, omal Duni nie przewróciła. – Powiedz mi, proszę. Niech pani mi powie, że to nieprawda.

Mikołaj zagarnął Bożenę ramieniem. Próbował ją uspokoić. Wreszcie usadowił zrozpaczoną matkę w wozie, a potem sam dogonił Dunię.

– Niech ona tu nie wraca, Kola – powiedziała, zanim Mikołaj o cokolwiek spytał. – Powinna się ukryć lub wyjechać na zawsze. Tak jej powiedz, jeśli ją spotkasz.

Mikołaj pochylił głowę. Chwycił żylastą i brudną dłoń Duni, a potem przycisnął ją do warg. Kiedy podniósł głowę, oczy miał szkliste.

Bożena nie słyszała słów szeptunki, ale zrozumiała w jednej chwili. Zaniosła się głośnym szlochem.

– Ona kłamie! – rozpaczała. – To nieprawda. Ona nie może tego wiedzieć!

Mikołaj już się nie odezwał. Wtedy Dunia zatrzymała się i zwróciła do matki. Była zimna, konkretna.

– To twoja wina – wysyczała. – Oddałaś mu ją na pożarcie.

Jej słowa zabrzmiały jak klątwa. Bożena natychmiast umilkła.

– Ja nie wiedziałam – jęknęła. – Chciałam, żeby nigdy nie była biedna jak ja.

Dunia rozwinęła dłoń. Jej wnętrze było zaskakująco czyste i delikatne. Na samym środku leżał kłębek czarnych włosów, który szeptunka zdjęła z grzebienia zaginionej dziewczyny.

– Ty nie wierzysz – stwierdziła. – Ty w nic nie wierzysz. Ale twoja córka jest już spokojna i szczęśliwa, bo z dala od ciebie. Ale ty nie będziesz. Przeklinam cię za wszystkie krzywdy, jakie uczyniłaś temu dziecku. Będziesz niosła ten ciężar do końca swych dni.

Splunęła na trawę, odwróciła się i poszła w swoją stronę. Kawałek dalej, na poboczu, znalazła brzozowy drąg. Rozpoznała podpórkę krzyża ze zbiorowej mogiły. Wandal dopiero tutaj wyrzucił go z okna samochodu. Podniosła kawałek drewna i schowała do worka na plecach. Zamierzała spalić go razem z kłakiem włosów zaginionej dziewczyny i jej fotografią.

– Doman! – Romanowska zerwała się krzesła i rzuciła w ramiona wysokiego bruneta w skórzanej pilotce, którego obstąpili teraz funkcjonariusze powiatowej jednostki.

Komendantka wiedziała, że wojewódzka oddelegowała do sprawy specjalną ekipę. Rano dyżurny powiadomił ją, że dwóch policjantów jest już w drodze. Nie spodziewała się jednak tak miłej niespodzianki. Ciężar spadł jej z serca, kiedy w drzwiach komendy zobaczyła starego przyjaciela. Nadkomisarz Tomasz „Doman” Domański, hajnowianin, pracował w Białymstoku zaledwie kilka lat. Ostatni raz Romanowska widziała go w telewizji, kiedy we współpracy z profilerem z Katowic rozwiązał sprawę zabójstw dzieci na białostockich Dziesięcinach.

Policjant również rozpromienił się na widok Krystyny. Kiedy się witali, aż podniósł ją do góry. W przelocie złapała zazdrosne spojrzenie JahJah’y. Poczuła dziką satysfakcję. Kiedyś Doman i JahJah byli partnerami. Frankowski miał wobec Domana dług wdzięczności: Tomasz złapał JahJah’ę na drobnej lewiźnie, ale nie ujawnił przyjęcia łapówki szefom. Pomógł mu się wymigać ze sprawy, wyczyścił papiery. Dodał, że zrobił to tylko ze względu na Kryśkę i Błażeja, żeby nie musieli się za JahJah’ę wstydzić. Do dziś Romanowska nie wiedziała, że JahJah w przeszłości działał czasem poza prawem. A teraz, kiedy została komendantką, ta wiedza mogłaby mu bardzo zaszkodzić. JahJah był pewien, że Doman go nie wyda, ale mimo to wolał dmuchać na zimne. Zawsze traktował więc Domana z respektem i nie prowokował nawet do utarczek słownych, jak to miał w zwyczaju z innymi, także z Białegostoku. I tym razem, ku zdziwieniu Krystyny, dyskretnie się wycofał z gabinetu, zamykając za Domanem drzwi.

– Jak Liliana? – spytała Romanowska, gdy złapała znów twardy grunt pod nogami.

– Ma termin na sierpień – odparł z dumą nadkomisarz Tomasz Domański. – Latam po śledzie i ciastka na zmianę. Etap korniszonów mamy za sobą.

– Po trzech babskich strzałach pierwszy chłopak w rodzie Domańskich. Duma, co? – Z uśmiechem pociągnęła przyjaciela do swojego gabinetu. JahJah nie odważył się pójść za nimi. – Już nie chojraczysz, mam nadzieję?

– Głupoty wywietrzały mi z głowy. Chyba dorosłem. Krzysiu, a ty? No, no! – Mrugnął porozumiewawczo. Wskazał biurko komendanta. – To krzesło nigdy nie doświadczało damskiego tyłka. Graty.

Romanowska oblała się rumieńcem.

– Gdybyś nie odszedł, sam byś tu teraz rządził!

Włączyła czajnik. Wsypała kawę do kubka z pamiątkowym nadrukiem „60 lat Szkoły Policji w Pile”. Oboje byli jej absolwentami. Potem otworzyła puszkę po solonych orzeszkach i nasypała do kubka dwie czubate łyżki cukru.

– Nawet gdyby mnie nominowali, nie przyjąłbym stanowiska. Wiesz przecież. – Doman skrzywił się i zarechotał: – A co u JahJah’y? A raczej jak to znosi?

– Z trudem. – Krystyna nie chciała wdawać się w szczegóły, ale porozumieli się wzrokiem. Doman znał JahJah’ę zbyt dobrze, by nie wiedzieć, że byłego małżonka Romanowskiej spala najszczersza zazdrość. Dodała tylko: – Sam się podłożył. Słyszałeś, co Stary nam wykręcił? JahJah był wtedy z nimi. Dzięki Bogu trzeźwy jak niemowlę. Miał ich rozwieźć do domów.

Znali się całe lata. Ile grillów, sylwestrów i imienin spędzili wspólnie, kiedy nadkomisarz Domański mieszkał jeszcze w miasteczku. Był mężem jej najlepszej przyjaciółki. Pracował przez lata w komendzie powiatowej w Hajnówce, ale pionowa kariera nigdy go nie interesowała. Zawsze chciał do wydziału zabójstw i choć w wojewódzkiej takiego nie było, trafił do kryminalnego. Często narzekał, że spełnione marzenia to najgorsze, co może człowieka spotkać, ale Romanowska wiedziała, że niczego by nie zmienił. Kiedy Doman wyjechał, ona praktycznie straciła kontakt z Lilką. Miała żal do koleżanki, że tak łatwo o niej zapomniała. Teraz Doman zamyślił się, momentalnie spochmurniał.

– Co z tą znikniętą?

Romanowska podała kawę i herbatniki na spodku. Usiadła.

– Tylko ciebie oddelegowali?

– Żartujesz? – Skrzywił się. Wyjął komórkę i sprawdził wyświetlacz. – Mam ciężki ogon. Fantomas z przydupasem już dojeżdżają. Na szczęście prokuratorka to łebska dziewczyna. Idzie się z nią domówić. Mamy robić waszymi ludźmi. Widać liczą, że załatwimy sprawę błyskawicznie. Ostatnio tak się udało.

– Doman na prezydenta. – Komendantka niepewnie się uśmiechnęła i wyjęła z szafy akta, położyła na biurku przed nadkomisarzem. – To będę się streszczała. Sprawa tylko na wierzchu wygląda prosto.

Doman obejrzał się na drzwi. Były zamknięte. Komendantka podeszła i przekręciła zasuwkę.

– Mamy drugą głowę.

– Słyszałem – powiedział półgłosem Doman. – Nawet nie wiesz, ile podpisów musiałem zebrać, by wysłali akurat mnie.

– Ile? – droczyła się z nim, ale ucieszyło ją to, że mu zależało.

– Osiem, Krzysiu. Ale nieważne. Jestem. JahJah mówił, że ma hipotezę do tej nowej czaszki.

Romanowska przemilczała fakt, że nic o tym nie wie. Zdecydowała się kontynuować. Czasu było niewiele. Musiała naświetlić sytuację, zanim przyjdą obcy policjanci oraz prokuratorka. Musieli we dwójkę postanowić, ile im ujawnić. Kiedy odkryli pierwszą głowę, Doman był już w wojewódzkiej. Głównie z tego powodu oddelegowali go do Hajnówki. Choć czaszkę przemieszczono, Harcerską Górkę musieli traktować jak miejsce zbrodni. Doman znał teren, tutejszych ludzi. A oni znali jego. Wiedzieli, że awansował. Zawsze był skuteczny. Ale choć przetrząsnęli pół puszczy, reszty ciała nie znaleźli. Metodą Gierasimowa nie udało się zrekonstruować wyglądu przeżyciowego. Superprojekcji nie mogli zastosować. Nikt nie rozpoznał zaginionej osoby. Na podstawie budowy kości wiedzieli tylko, że zamordowana kobieta była przed trzydziestką i zginęła od uderzenia w głowę tępym narzędziem. Nie pomogła policyjna baza ani też baza Itaki. Sprawa NN na razie leży na półce z niewyjaśnionymi, choć w papierach jest mniej, niż udało im się ustalić.

– Podejrzewamy, że kluczem jest Bondaruk.

Nadkomisarz wcale się nie zdziwił. Romanowska była pewna, że JahJah przedstawił mu szczegóły swoich przemyśleń. Miał dziś wolne. Był na nogach półtorej doby. Pozwoliła mu się przespać, choć zastrzegła, że gdyby było coś pilnego, zadzwoni. Obiecał mieć włączony telefon. Ale zamiast tego przyszedł i czekał pod drzwiami. Nie sądziła, że przymknął oko choćby na chwilę. Pod oczami miał sińce, twarz zapuchniętą. Zależało mu widać, by nie eliminowała go z zespołu. Niepotrzebnie. I tak zamierzała dać mu tę sprawę. Pod dowództwem Domana JahJah będzie grzeczny jak niemowlę.

– Tyle razy się wywinął. Słabo to widzę – mruknął Doman.

– Nie mówię, że on jest winien, ale to się wokół niego kręci. Trzeba go przycisnąć. JahJah aż się do tego pali. Pamiętasz, pierwszą podrzucono w dniu, kiedy ogłosił ślub z zaginioną. Drugą przyniesiono w przeddzień ceremonii. Iwona Bejnar zniknęła zaraz po weselu. Jest świadek zuchwałego uprowadzenia. To kobieta. Porywacz ją oszczędził. Znaleźliśmy ją prawie gołą, przywiązaną do drzewa. Uciekł jej autem, które potem porzucił w lesie. Dalej musiał zmienić wóz, bo ślad się tam urywa. Pies nie podjął tropu. Myślę, że miał wsparcie. Po prostu zapadł się pod ziemię. Jak kiedyś Łarysa i Mariola. Co ciekawe, dzień wcześniej JahJah zatrzymał tę babkę do wyjaśnienia. Nie miała dokumentów wozu ani w ogóle żadnych dokumentów poza legitymacją sympatyka CBŚ. Przedstawiła się jako Sasza Załuska, profilerka z Trójmiasta. Za cholerę nie wiem, czego szukała w naszym lesie. Ponoć miała interes do pensjonariusza Ciszyni, ale Saczko, tamtejszy dyrektor, nie potwierdził jej wersji. Dziwne to wszystko.

Doman podniósł głowę.

– Podstawiona?

– Szef kryminalnego w Gdańsku potwierdził jej personalia i za nią poręczył – zaprzeczyła komendantka. – Nie znam gościa, będzie tu za parę dni. Obiecał po nią przyjechać, jak tylko się wyrwie. Nie palił się jednak do tego. Sama już nie wiem. Kobieta ma złamaną rękę, nie może prowadzić. Zresztą jej auto jest u nas i szybko go nie oddamy. Nie wygląda też na klientkę PKS-u. Wydaje się czysta. Ponoć w zawodzie działa incognito. Nie ma jej w spisie jednostki, na liście biegłych. Generalnie jej nazwisko

nigdzie nie figuruje. Ale dała Frankowskiemu taką książkę o profilowaniu. Są na niej pieczątki jakiegoś angielskiego uniwersytetu i faktycznie. Jest naukowcem, pracuje w Instytucie Psychologii Śledczej u jakiegoś Abramsa. Są jej publikacje w prestiżowych magazynach dla psycholi. Sprawdziłam. To chyba jakaś łebska kryminolog, choć jest nieźle rąbnięta.

– Znam tylko jednego psychologa śledczego i fakt, facet jest dość pojebany, ale za to skuteczny – skwitował Doman, po czym wyjął notes i zapisał podstawowe informacje. Przy nazwisku profilerki postawił znak zapytania. Podkreślił dwukrotnie.

– Zapytam Huberta – dodał. – Jeśli dziewczyna jest z firmy, powinien ją znać. W Polsce jest tylko kilkunastu dobrych fachowców w tej dziedzinie. A jeśli to jakaś oszustka, będziemy mieli od razu jasność.

– Byłam u niej dziś rano. Gada z sensem. – Romanowska wskazała cienką teczkę operacyjną. – Przeczytaj jej zeznanie. Poza złamaniem, drobnymi stłuczeniami i wyziębieniem nic się jej nie stało. Poprosiłam, żeby zatrzymali ją na obserwacji trochę dłużej, niż trzeba.

– Oszczędził ją? – zastanowił się Doman i uśmiechnął się krzywo. – Dlaczego jak ja tu terminowałem, nie mieliśmy takich spraw?

– Uprzedziłam ją, żeby była do dyspozycji. – Komendantka nie była skora do żartów. – Nawet przez chwilę myślałam, czyby jej nie zwerbować, ale skoro występuje w sprawie jako kluczowy świadek, na razie jej nie wtajemniczałam. Pozwoliłam wracać. Mówiła, że ma jakieś pilne obowiązki tam w Gdańsku. Więc zdecydowałam, że zaczekam z tym na ciebie.

– Dobrze – poparł ją Doman. Wyjął z teczki zdjęcia czaszki w reklamówce. Przyglądał im się chwilę. Odłożył. – Jak będziemy potrzebowali profilera, załatwiam to jednym telefonem. Najlepszego w kraju ściągam w kilka godzin. Hubert Meyer ma u mnie dług wdzięczności. Nie może odmówić. Ale najpierw się rozejrzyjmy.

Komendantka popatrzyła na Domana zadowolona.

– Dobrze, że jesteś.

– *Dobrze, że jesteś. Dobrze, że jesteś* to ja śpiewałem na pielgrzymce do Częstochowy, jak miałem siedemnaście lat – zaśmiał się Doman. – Ale jak

chcesz, możesz mi mówić Dżizas. Nie będę się gniewał.

– To nie koniec – ciągnęła Romanowska. – Rodzina dziewczyny podejrzewa, że całe to uprowadzenie to blaga i Bejnar uciekła ze swoim byłym chłopakiem. Nawet matka zaginionej broni prezesa. To klientka z Chemicznej.

– Wszystko jasne – mruknął Doman. – Groszem nikt tam nie śmierdzi. Córkę sprzedała za kilka srebrników. A Bondaruk miał już sto lat, jak wyjeżdżałem. Ten Romeo to kto? Zaczyna się to kleić.

– Jerzy Orzechowski, drobny złodziej. Pseudonim Quaku. Trzydzieści sześć lat. Jakaś dilerka na koncie, jazda po alkoholu. Matka była pracownicą tartaku, teraz mieszka na wsi. Mówią, że para się białą magią. No wiesz, zamawia choroby, tutejsza szeptunka. Eudokia Orzechowska, nie wiem, czy kojarzysz.

– Wiedźmin ze mnie żaden.

– Syn karany za kradzież z włamaniem i paserstwo. Bezrobotny.

– Już nie za moich czasów działał – zaprzeczył Doman. – Ale partia faktycznie trochę gorsza od starego. Dziadek ma pewnie milion biletów NBP przewagi, a młody tylko dwie ręce i dobry bajer.

– W każdym razie nie możemy znaleźć tego Quaka – ciągnęła Romanowska. – Dobrze się zaszył. Matka zaginionej posłała swoich synów w teren. To grupa Żubra z Chemicznej. Tych znasz.

– Pewnie. – Doman kiwnął głową. – Jak Żubry jej nie znajdą żywej, to już nie wiem, kto tego dokona. My? – roześmiał się szyderczo. – Chyba że w podglebiu na sześciu metrach.

– No i szuka jej z pół miasta cywili, bo Bondaruk wyznaczył nagrodę.

– Na ile wycenił oblubienicę?

– Pięć dych.

– Niedrogo. Ale i po taniości pewnie kupił.

– A dziś rano – ciągnęła Romanowska – w opuszczonej chacie matki Quaka znaleźliśmy to.

Pokazała zdjęcia szopy. W kącie stały walizki, zapas żywności, śpiwory. A także fragmenty garderoby weselnej.

– To rzeczy obojga? – upewnił się Doman.

Romanowska potwierdziła.

– Na razie tego nie ujawniliśmy. Zaplombowaliśmy lokal. Postawiłam tam człowieka. W razie gdyby Quaku miał się tam gdzieś szwendać. Bo ścigacz zostawił. Motor sprawny. Kask leżał przed chatą. Technik już wrócił. Mamy paluchy, włosy, a nawet spermę. – Zawiesiła głos. – Jak panienka się znajdzie, będzie komplecik. Moim zdaniem to uprowadzenie mogło być niezłym show. Sprawca był zamaskowany, miał pomocnika. Zuchwałe uprowadzenie. I jak dla mnie zbyt filmowe. Sam zresztą wiesz. U nas takie rzeczy się nie zdarzają. Ta kobieta z Gdańska musiała pokrzyżować im szyki. O co tu chodzi?

– Cholera wie – westchnął Doman. – Nie wyjechała jeszcze? Pogadam z tą profilerką.

– Pielęgniarka dostała prikaz i jest na czujce. Ma dzwonić, jakby chciała czmychnąć. Pozwolić jej?

Doman wzruszył ramionami.

– A ty jak uważasz?

– Sama nie wiem. Jeszcze niech posiedzi. Tam mamy na nią oko. Zanim znów się w coś wpakuje.

Doman przeglądał materiały, zastanawiał się.

– Co masz na myśli?

– Ona szuka jakiegoś wariata z Ciszyni. Twierdzi, że to sprawa osobista, a wiem od Krzyśka Saczki, że ten kolo zabił kilka osób i nie beknął za to. Tylko się u nich urlopował.

– Grubo.

– Jeszcze jak – potwierdziła Krystyna. – Prusowa nie wypuszczała go z rąk. Codziennie z nim gadała. Przez trzy lata, stary. Wie o nim wszystko, jakby co. No i ta gdańszczanka ma do niego jakiś interes. Ale nie puszcza pary z gęby jaki. Sam rozumiesz, to wszystko śmierdzi.

Doman wskazał zdjęcie z oględzin szopy Duni Orzechowskiej.

– Kask przed domem? – rzucił jedno ze zdjęć na biurko. – A może ten wariat z Ciszyni ma jakiś związek z tą młodą od Bondaruka?

– Wątpię. – Romanowska pokręciła głową. – Ale dałam gdańszczance adres pacjenta. Dyskretnie będziemy ją obserwować. A z tym Quakiem to sama już nie wiem. Wygląda na porzucony, nie sądzisz? Może się śpieszył? Ktoś go wystraszył?

– Albo Żubry go wzięły. Teraz tylko udają, że szukają dziewczyny. Może liczą, że Bondaruk podbije stawkę.

– Na razie ich nie ruszaliśmy – przyznała komendantka. – Dopiero dzisiaj odkryliśmy szopę. Sprawa ucieczki młodych i mistyfikacja z weselem wydaje się wiarygodna.

– A jeśli chodzi o czaszkę? Jak to wszystko ma się do pana młodego?

Romanowska zdjęła z tablicy wizerunek rekonstrukcji twarzy wykonany w Akademii Medycznej w Poznaniu. Położyła na dokumentach. Doman kiwnął głową. Znał sprawę aż za dobrze. Nie potrzebował wyjaśnień.

– Jestem prawie pewna, że to kolejny odcinek.

– Krzycha, na tym etapie trudno powiązać głowy. Nie ma przesłanek. – Doman odłożył zdjęcia na oddzielny stos.

– Są – upierała się Romanowska. W jej głosie była stanowczość i obawa, że ją zlekceważy. – Zgadnij, jakim autem przyjechał porywacz panny młodej?

Milczeli oboje. Wreszcie twarz Domana rozświetlił uśmiech.

– Nie – powiedział w końcu. – Nie wierzę.

– A jednak – potwierdziła Romanowska. Położyła przed nim zdjęcia auta w lesie. Był to czarny mercedes klasy E, model W210, potocznie zwany okularnikiem. – Mamy go. To ten sam, z którego uprowadzono Łarysę Szafran. Blacharka jest wyklepana, ale w bocznych drzwiach od wewnątrz są otwory po kulach. Jeśli wziąć pod uwagę wiek, auto jest nawet w niezłym stanie. Ktoś musiał je garażować przez lata.

– Tamten był biały.

– Zgadza się – potwierdziła Romanowska. – Został przelakierowany, ale numerów nie przebijano.

– Koszt przemalowania przekracza wartość tego strucla. Nielogiczne.

– Ma nowiutkie opony i pełen bak paliwa. Rok temu ktoś wstawił do niego instalację gazową. Jest homologacja.

– Daj adres tego zakładu. Na jakich blachach jeździł?

– Przedtem na oryginalnych. Zwróciłam się do wydziału komunikacji, by sprawdzili mandaty, wykroczenia, zdjęcia z fotoradarów. Legitymowanych kierowców itepe.

– Zuch.

– Wczoraj dałam go w ręce Behemotowi. Ale przydałoby się wsparcie z laboratorium. Ściągniesz kogoś? Mogliby też sprawdzić, czy nie ma jakichś starych śladów. Może znajdą coś, co da nam odpowiedź do tamtej sprawy. Na przykład krew Łarysy, jakieś ślady.

– Wątpię. Przez tyle lat?

– Nie zaszkodzi.

– To masz cierpliwego człowieka.

– To mój syn. – Uśmiechnęła się. – Błażej praktycznie nie miał wyjścia. Co można robić, jak się od dziecka przesiaduje w komendzie? Zresztą na wywiadowcę nigdy się nie nadawał. Jak tylko kogoś przesłuchuje, udaje tatę. Tyle że mu to nie wychodzi.

Doman zaśmiał się krótko. Wziął do ręki zdjęcie kobiety, której szczątki znaleziono na Harcerskiej Górce. Odłożył. Wyjął papierosy. Romanowska niechętnie podała mu popielniczkę.

– Czyli, jeśli dobrze rozumiem – wypuścił dym – Iwona Bejnar to już trzecia żona Piotra Bondaruka, która ginie bez śladu.

– Żona pierwsza – sprostowała komendantka. – Ale tak, trzecia blisko z nim związana kobieta.

Doman ciągnął podsumowanie.

– Mamy auto, w którym teoretycznie zginęła Łarysa, matka jego syna. Brakuje nam jej ciała.

– I w którym widziano ostatni raz Mariolę, zanim wyjechała w delegację, a potem ślad po niej zaginął – dodała Romanowska. – Ciała także brak.

– Oraz dwie czaszki, które trzeba zidentyfikować – dokończył Doman. – Bo ta NN nie jest ani Łarysą, ani Mariolą, czy tak?

Krystyna wstała i próbowała uchylić lufcik. Bezskutecznie. Wróciła do biurka i pomachała dokumentami jak wachlarzem, starając się rozgonić dym.

– Trenujesz jeszcze?

Wzruszyła ramionami.

– Teraz cienko z czasem. Ale biegam dwa razy dziennie.

Zmierzył ją spojrzeniem.

– Widać.

– Dzięki. Wiem, że to szaleństwo – zapaliła się ponownie. – Ale może ktoś próbuje nam pomóc? Przecież wszystko prowadzi nadal do Okularnika.

– Kto go przesłuchiwał? Nie widzę notatki.

Romanowska wpatrywała się w Domana. Milczała dłuższą chwilę. Wreszcie odezwała się zdecydowanie, ale bardzo cicho.

– Liczyłam, że ty to zrobisz – powiedziała. – Albo ktoś od was. Obcy. Ja muszę się układać z burmistrzem, gapią mi się na ręce. Jeszcze nic nie ujawniłam. Do rana trwały poszukiwania.

– Tchórzysz?

– Nic podobnego – zaprzeczyła pośpiesznie, ale oboje wiedzieli, że zależy jej na stanowisku. – Wolałabym, żebyście to wzięli na siebie. Będzie większy respekt. Sam wiesz.

Wskazała leżący na stole wizerunek dziewczyny, a potem podeszła do okna. Mówiła, jednocześnie siłując się z otwarciem okna.

– Sądzę, że trzeba by było wysłać to do ponownej analizy – oświadczyła. – Dzwoniłam do Warszawy, ale facet jest tak obłożony, że wolne terminy ma za trzy lata. Może dałbyś radę coś przyśpieszyć? Teraz mamy nowe przesłanki. Wygląda to groźniej.

Doman wstał.

– Opowiem mu bajkę o Sinobrodym. – Zgasił papierosa i z łatwością otworzył okno. – Pokaż tę czachę.

Na klamce zwisała smętnie pusta reklamówka. Była rozharatana. Od dołu miała wygryzioną dziurę. Mech, liście i pogryzione fragmenty kości przedstawiały na chodniku pod oknem raczej smętny widok. Ziemia wokół była rozdrapana, a w zaschniętej kałuży widniały ślady psich łap. Pozbawiona mięsa czaszka widać nie zainteresowała padlinożerców, bo leżała pod krzakiem kilka metrów dalej, strasząc pustymi oczodołami.

Od śmierci męża Eugenia Rączka znów zaczęła o siebie dbać.

Przez całe lata zajęta była tylko jego chorobą. Pielęgnowaniem go, wzywaniem lekarzy, czuwaniem w nocy, czy przypadkiem się nie udusił. Gotowała mu cienkie rosołki, które wypluwał na poduszkę, karmiła kaszą manną, jak kiedyś córkę, zanim skończyła trzy lata. Czasem, kiedy czuł się lepiej, zjadał wszystko, co do okruszka, wygrażając jej jednak takimi słowy, o jakich znajomość absolwenta konserwatorium i dyrektora ogniska muzycznego nikt nigdy nie podejrzewał. W końcu Kazik przestał ją rozpoznawać. Nazywał ją imionami bohaterów seriali, które oglądał całymi dniami, myląc fabułę z rzeczywistością. Oskarżał o zdrady, zabójstwa, kradzież jego rzeczy. Dzwonił na policję i do sekstelefonów. Genia orientowała się, dopiero gdy przychodziły billingi wraz z wysokim rachunkiem. Policjanci nie mieli pretensji, że profesor, bo nigdy nikt o nim inaczej nie mówił, blokuje linię alarmową. Tylko uśmiechali się głupio na jej widok na ulicy.

Wiedziała, że te upiorne zachowania biorą się z niewyobrażalnego bólu, jaki towarzyszył Kazimierzowi niemal przez cały czas walki z rakiem. Ale były momenty, że słabła, i wtedy życzyła mu rychłej gwałtownej śmierci. Błagała jednocześnie Boga, by zabrał ich oboje, bo dłużej tego nie zniesie. I parę lat temu, kiedy na ferie zimowe przyjechała Justyna, ich jedyna córka, prośby Geni zostały wysłuchane. Kazimierz wygnał żonę z pokoju, czule przywitał się z córką, jakby była przynajmniej ciemiężoną Izaurą z *Kamiennego kręgu*, zjadł pierogi rozdrobnione przez blender i tej samej nocy opuścił je we śnie. Eugenia obwiniała się, że pozwoliła mu zjeść za dużo, a potem, zajęta wizytą dawno niewidzianej córki, nie przybiegała na każde jego wołanie. Czuła oczywiście smutek i pustkę, ale przede wszystkim ulgę. Na spowiedzi przed pogrzebem męża powiedziała o tym księdzu. Nie zganił jej, choć tego właśnie się spodziewała. Zapytał natomiast, kiedy ostatnio pani profesorowa myślała o sobie. Genia zawahała się, zanim udzieliła odpowiedzi. Uświadomiła sobie, że nie myślała od dawna, a dokładniej od urodzenia Justyny.

Odkąd została matką, priorytety się przewartościowały i wyglądały następująco: córka, mąż, a dalej długo, długo nic, bo troska o rodzinę zajmowała jej praktycznie całą dobę. Kiedy z rzadka zostawała jej kapka czasu, wypełniała ją troską o dzieci obcych. Te, które przychodziły do świetlicy na umuzykalnienie, prywatne lekcje do ich domu, dla których założyła amatorski teatr lalek i kółko gry na akordeonie – bardzo popularnym w tych stronach instrumencie. Genia prowadziła też zajęcia z solfeżu, organizowała koncerty dla młodzieży szkolnej. Jej absolwenci znajdowali pracę jako akompaniatorzy w lokalnych zespołach i chórach ludowych. Wiedziała, że były z tego nawet niezłe pieniądze, bo wracali z czekoladkami i kwiatami w podzięce. Akordeon był instrumentem znacznie łatwiejszym niż fortepian czy skrzypce. A absolwent kursu był gotów do gry już po półrocznej edukacji. Swego czasu Genia wypuszczała ich w świat całe dziesiątki. Ale w trakcie rozmowy z księdzem zamiast dumy czuła wyłącznie żal. Pojęła w końcu, że choć ona była zawsze dla innych, o nią samą nie troszczy się nawet pies z kulawą nogą. Zrozumiała, że „jej czas” to był tylko ten dymek w łazience, na który pozwalała sobie kilka razy dziennie, oczywiście w tajemnicy przed mężem, który był zagorzałym wrogiem palenia.

Zaraz po pogrzebie poszła do sklepu i kupiła dwa kartony czerwonych marlboro w opakowaniu miękkim. Wracając do domu, wypaliła kilka sztuk na ulicy i miała w nosie, że mogli to zobaczyć uczniowie – byli lub obecni, bo ognisko nadal prężnie działało, a Genia prowadziła kilkoro zdolniejszych akordeonistów. Do pianina władze miasta zatrudniły dwie młode nauczycielki, które traktowały ją z należnym szacunkiem, ale i dbały, by profesorowa nie zagroziła ich pozycji.

Eugenia była postacią znaną w mieście. Znajdowała się na liście honorowych obywateli Hajnówki, choć się tutaj nie urodziła ani nie wychowywała. Jej życiorys opisano w specjalnym wydaniu historii miasta. Urodziła się w Wilnie, w starym rodzie Jakubowskich. Kiedy wybuchła wojna, rodzice z Genią ukryli się w małym miasteczku na skraju puszczy, gdzie ojciec miał przyjaciela z dzieciństwa. Tomasz Berger obiecał, że zabierze ich do Francji. W okolicy Paryża miał liczną rodzinę. Genia tak się cieszyła, że zobaczy wieżę Eiffla – zawsze marzyła o dalekich podróżach – ale nie dane jej było pojechać. Ciężko zachorowała. Jej zdrowia doglądał

słynny w tych stronach doktor Tadeusz Rakowiecki. Lekarz, architekt, wynalazca i orędownik sztuki. Do dziś postać w mieście kultowa. Przybył do miasteczka z okolic Warszawy z bagażem kilkunastu skrzyń pełnych książek, które po jego śmierci wystarczyły, by założyć miejską bibliotekę publiczną. To z jego inicjatywy powstał w Hajnówce pierwszy szpital. Wcześniej lekarze jeździli do pacjentów specjalną drezyną, a drobniejsze sprawy medyczne załatwiało dwóch felczerów i pielęgniarka najmowana na godziny.

Jakubowscy przetrwali wojnę w małym czworaku na Kolejkach. Po wyzwoleniu przez Armię Czerwoną przyszły wieści, że do Francji nie wyjadą. Bergerowi nie udało się nawet przekroczyć granicy. Zamordowano go w okolicy Warszawy pod zarzutem konspiracji z okupantem. Sprawców nie znaleziono. Rodzice Geni uznali, że to Bóg daje im znak, by zostali w Hajnówce.

Genia skończyła szkołę muzyczną w Białymstoku i Państwową Wyższą Szkołę Muzyczną w Warszawie, gdzie poznała Kazika Rączkę, średnio zdolnego skrzypka. Jej wieszczono znacznie większą karierę, ale nie miała ambicji. Kilka lat wspólnie grali w orkiestrze, potem był ślub, staranie o dziecko. Kiedy Genia zaszła w ciążę, Kazik postanowił, że przeniosą się do Hajnówki, gdzie życie jest spokojniejsze, a i o mieszkanie łatwiej niż w zniszczonej wojną stolicy. Justyna urodziła się słabiutka, miała anemię, często chorowała. Lekarze rozkładali ręce.

Okazało się, że sąsiadka zna szeptunkę. Babka „zamówiła” chorobę na odległość i przekazała przez posłańca bardzo gorzkie zioła, mak, suchy chleb z niewielką pleśnią na skórce oraz kilogram zbrylonego cukru. Genia podawała niemowlęciu wywar z ziół doprawiony dużą ilością słodkich bryłek. Makiem zasypała brzegi wózka. Chleb rozkruszyła za ikoną, którą specjalnie w tym celu kupiła od miejscowych. Cukier rozdrobniła młotkiem i dzieliła na czterdzieści małych kurhanów, a nad każdym odmawiała modlitwę za zdrowie córeczki. Po dwóch tygodniach dolegliwości zniknęły, a Genia nigdy więcej nie powiedziała złego słowa na temat tutejszych zabobonów. Głosiła wręcz publicznie, że wiara w połączeniu z medycyną naturalną czynią cuda. Kazimierz oczywiście o niczym nie wiedział. Nie chciał nawet słyszeć o wizycie u czarownicy. W mieście chodziły o jej mocy najróżniejsze pogłoski. Oskarżano ją o sprowadzenie czaru na

lokalnego proboszcza – rozbił się na importowanej muszli klozetowej, którą mieszkańcy wsi na złość wystawili na drogę, bo tak miała doradzić im szeptunka. Prowadzono nawet dochodzenie w tej sprawie. Genia nigdy nie wierzyła w złe intencje Duni Orzechowskiej. Potem, przez całe lata, jeździła do niej z drobnymi dolegliwościami i polecała ją rodzinom uczniów.

Była zdziwiona, kiedy pierwszy raz ją ujrzała. Okazało się, że lokalna znachorka to miła dziewczyna, młodsza od Geni o dekadę. Kobiety szybko się zaprzyjaźniły. Dunia wyglądała jak anioł, ale jej przenikliwe spojrzenie zdradzało, że wie, czuje więcej niż inni. Niektórzy się jej bali. Żegnali się na jej widok, unikali kontaktu wzrokowego, by nie rzuciła na nich „uroku". Dunia śmiała się z tego, choć pamiętała każdy afront. Nie była mściwa, ale tym, którzy nie wierzą, odmawiała pomocy. Choć zdarzało się, że i oni przychodzili po modlitwę, kiedy tradycyjne metody zawiodły. Profesorowa Rączka uparcie broniła przyjaciółki. Tłumaczyła, że znachorka to nie wiedźma, lecz „ta, która wie". Dunia była zresztą dobrze wykształcona. Skończyła studia na SGGW jako magister technologii drewna, ale od lat nie pracowała w tartaku, lecz w szpitalu, jako akuszerka. Po godzinach parzyła zioła i modliła się *o zdrawie*. Tradycja nakazywała jej pomagać chorym bezpłatnie, ale ludzie i tak zostawiali jej pieniądze, by nie dosięgła ich zemsta „babki". Przesąd mówił, że za posługę trzeba zapłacić, choćby w naturze: mlekiem, mięsem, kolorowym paciorkiem. Dlatego też sytuacja materialna Duni zawsze była stabilna.

Kiedy Eugenia poznała Dunię, nie mogła oprzeć się wrażeniu, że to najpiękniejsza dziewczyna w okolicy. Starzały się razem i teraz po urodzie szeptunki nie było już śladu. Z czasem kobieta niemal całkiem odkleiła się od rzeczywistości. Materialne względy przestały ją interesować. Uparcie odmawiała zapłaty za swe posługi, więc stopniowo pogrążała się w nędzy i coraz bardziej przypominała wiedźmę z baśni. Nosiła łachmany, chodziła z kosturem i wzbudzała w młodych atawistyczny lęk. Genia znała jednak Dunię lepiej niż wszyscy. Wiedziała, że życie doświadczyło ją po wielekroć, i zawsze jej broniła, tłumacząc, że żadna inna kobieta nie zniosłaby tylu traum.

Genia i Kazimierz mieli szczęście. Kiedy partia organizowała społeczne ognisko muzyczne w Leśnym Domu Kultury, zatrudnili ich oboje.

Kazimierz został dyrektorem placówki, a Genia uczyła dzieci grać na instrumentach. Tak przeleciało jej życie.

Marzenia matki spełniała córka. Wyjechała do Francji zaraz po skończeniu KUL-u i na początku nie odwiedzała rodziców wcale. Genia pierwszy raz zobaczyła wieżę Eiffla na fotografii, którą córka przysłała trzy lata po wyemigrowaniu. Na zdjęciu była z patykowatą Niemką o końskiej szczęce, której ojciec zasiadał na ławie oskarżonych w jednym z procesów norymberskich. Trudno było się pomylić, że kobiety łączy wyłącznie przyjaźń. Justyna, wtulona w chude ramiona Ines, wyzywała świat na pojedynek. W oczach obydwóch było szczęście spełnionych kochanek.

Kazimierz nigdy nie zaakceptował faktu, że jego jedyna córka jest lesbijką, choć zawsze dodawał, że mogło być gorzej, gdyby Justa wzięła sobie za męża „czarnucha”. Był antysemitą, rasistą i do śmierci wierzył, że homoseksualizm to choroba psychiczna. Wspierał finansowo polskich nacjonalistów i prenumerował „Szczerbiec”. Genia nie rozumiała pociągu córki do kobiet. Długo nosiła w sobie winę, że źle ją wychowała, ale ostatecznie zaakceptowała jej wybór. Żałowała jedynie, że nie będzie miała wnuków. Raz w tygodniu, w sekrecie przed mężem, szła na pocztę i zamawiała rozmowę międzynarodową. Słuchała wieści, co słychać u dziewcząt, i cieszyła się, że Justyna jest szczęśliwa. Kończyła rozmowę zapewnieniem, że błogosławi im, bo nie straciła Justyny, lecz zyskała drugą córkę.

Ines przyjechała do Hajnówki dopiero na pogrzeb Kazimierza. Upodobniły się do siebie, jakby były siostrami. Razem z nimi przybył adoptowany chłopiec o oczach jak węgle i skórze w kolorze orzecha włoskiego. Genia przez całe wakacje opiekowała się Murzynkiem, jak go przezwały sąsiadki Rączki, by Justyna mogła pokazać partnerce Polskę. Kiedy wyjeżdżały, płakała i wyznała, że ma im za złe, że tak późno powiedziały jej o Samborze. Od tej pory wnuczek przyjeżdżał do babci na każde ferie i święta. To, że ludzie w mieście gadali o tym przez cały najbliższy rok, bardzo Genię bawiło.

Na stare lata stała się odporna na małomiasteczkowe plotki. Zresztą rzadko bywała w mieście. Wyszukała portal, na którym znajdowały się anonse podróżników oferujących miejsce w teamie. Obniżali w ten sposób koszty wyprawy i niwelowali zagrożenia. Genia była chyba najstarszą

użytkowniczką wspolnyplecak.pl. Za wysoką emeryturę po mężu, kilka razy do roku, wyjeżdżała w podróż. Zostały tylko dwa kontynenty, na które jeszcze nie dotarła. Ale zarówno Australię, jak i Afrykę Rączka miała w planach przyszłej pięciolatki. Liczyła, że tyle powinna jeszcze pożyć, i nie szczędziła pieniędzy na przygotowania. Grób miała dawno obstalowany. Kazik kupił jej miejsce obok siebie, na pięćdziesiąte urodziny, zanim zaczął przezywać ją Phyllis Dietrichson. Poza zakupem żywności i opłatą czynszu innych wydatków nie miała.

Ominęła teraz oklejoną pamiątkowymi nalepkami walizkę, która wciąż stała koło telewizora, by przypominać jej o pasji i motywować do oszczędności na kolejną wyprawę. Chwyciła łapkę na muchy i jednym celnym strzałem zlikwidowała natrętnego owada. Wyjrzała przez okno. Sąsiedzi znów gromadzą na balkonie śmieci, zamiast wyrzucić je do publicznego kubła, pomyślała.

Mieszkała na osiedlu Millennium, w najstarszym i pierwszym kilkukondygnacyjnym kompleksie bloków, które zbudowano zaraz po wojnie. Obecne władze planowały rozbiórkę archaicznych bloków, ale koszt przeniesienia mieszkańców, którzy w większości wykupili swoje lokale na własność, był zbyt wysoki. Ostatecznie przeprowadzono tylko gruntowny remont, by osiedle stało się wizytówką miasta. Wymieniono rury, dachy, zainstalowano centralne ogrzewanie zamiast pieców, które stały tutaj w każdym lokalu jeszcze w latach osiemdziesiątych. Oddzielono budynki użyteczności publicznej od lokali mieszkalnych, by, wzorem zabudowy miejskiej, piesi mogli korzystać ze sklepów i punktów usługowych wzdłuż ulicy. Kilka lat temu była to wielka rewolucja. Do tej pory tradycyjną dzielnicą handlową była ulica Buczka, obecnie księdza Wierobieja. I to tam, jeszcze w okresie międzywojennym, odbywały się wszelkie targi. Ale osiedle nie stało się prestiżowe. Przeciwnie. Bloki zaludniała wiejska hołota, jak nazywał bezrobotnych w drugim pokoleniu mieszkańców świętej pamięci jej mąż Kazik. Notorycznie wystawiali na klatkę śmieci, niepotrzebne sprzęty i kwiaty doniczkowe. Nie zamykali drzwi, pędzili bimber i gremialnie szlachtowali w piwnicy świniaki, którymi potem dzielili się przed Wielkanocą, jakby nadal mieszkali na swojej białoruskiej wsi.

Hajnówka powstała jako mała osada przy tartaku i rozwijała się rzutami, ponieważ ściągali tutaj z różnych stron kraju i świata ludzie pragnący się dorobić. Mała Ameryka – mówiono o tym centrum niczego. Zamiast złota czy ropy było tu drewno – najcenniejszy wówczas budulec. Nawet nazwa miasteczka: „nowy kawałek lasu” (z białoruskiego *haj*, czyli las, oraz *nowka* – nowy) miała na celu wyłącznie umiejscowienie tego kawałka ziemi dla transportów kolejowych, które przybywały tutaj, by eksploatować puszczę.

Nigdy nie było tu na etacie architekta, który czuwałby nad stworzeniem zwartej tkanki miejskiej. I choć Hajnówka miała już prawie sto lat, a od ponad pięćdziesięciu szczyciła się prawami miejskimi, nie wyglądało na to, żeby we względzie estetyki miało się cokolwiek zmienić. Od lat osiemdziesiątych, czyli apogeum rozwoju miasta, któremu towarzyszyła rabunkowa gospodarka przetwórstwa drewna, postępowała stopniowa stagnacja. Dziś puszcza była już przetrzebiona, a drzewo reglamentowano. Odkąd przesunięto granicę Parku Narodowego niemal do opłotków miasteczka, większość lokalnych warsztatów sprowadzała tarcicę z Ukrainy. Płacono wielkie łapówki miejscowym leśnikom, by wygrać przetarg na metr kwadratowy puszczańskiej sosny.

Dla porównania, w 1939 roku w mieście żyło prawie osiemnaście tysięcy mieszkańców. Lokali mieszkalnych było o połowę mniej. Tymczasem dziś, choć w dokumentach figurowało ich dwadzieścia siedem tysięcy, wszyscy wiedzieli, że realnie mieszka tu zaledwie połowa. Byli to w większości staruszkowie, których dzieci i wnuki dawno wyjechały za chlebem w świat. To miasto starych ludzi, którzy z nostalgią wspominali czasy PRL-u, kiedy to Hajnówka była – jak oni – w kwiecie wieku, a o jej mieszkańców zabiegały socjalistyczne partie polityczne, biznesmeni i ludzie kultury. Władze starały się sprostać oczekiwaniom obywateli, folgując wszelkim niemodnym w skali kraju partiom politycznym. Kandydaci z PIS czy PO nie mieli tutaj szans. Od wojny mieszkał tu elektorat wszelkich postkomunistycznych i chłopskich ugrupowań. Nadal istniał cmentarz nieznanych żołnierzy Armii Czerwonej, a wiele nazw ulic nie zmieniono od lat sześćdziesiątych, co nieliczni przedstawiciele opozycji wyrzucali władzom w ogólnopolskich mediach. Nie bez powodu nazywano to miejsce Czerwoną Hajnówką.

Nie dalej niż rok temu elewację bloków, w których mieszkała Genia, pomalowano na wściekłe barwy różu, błękitu i seledynowego sorbetu. Projekt rewitalizacji wykonywał znany hajnowski artysta – Ryszard Wróblewski. Za tę pomoc dostał od miasta wielką halę, pierwszy budynek tartaku, należący jeszcze do Hajnowskich Zakładów Lasów Państwowych, gdzie urządził sobie pracownię. Nie mogli mu jej przekazać za darmo, więc kupił ją od miasta za symboliczną kwotę. Czasem robił w niej wystawy, ale Genia była tam tylko raz. Rzeźby poświęcone ofiarom wojny zbyt przypominały jej o własnych doświadczeniach.

Poza tym rzeźbiarz był białoruskim aktywistą. Głośno protestował przeciwko odsłonięciu tablicy pamięci żołnierzy pochodzących z ziemi hajnowskiej służących w oddziale zbrojnego podziemia antykomunistycznego Zygmunta Szendzielarza, ps. „Łupaszka”. Dwa dni później miasto obiegła wiadomość, że zdjęcie oraz dokładny adres Wróblewskiego znajdują się na stronie polskiej frakcji „Krew i Honor”. Nacjonaliści wskazali go jako osobę, którą należy spacyfikować. Tej samej nocy policja została wezwana do udaremnionego włamania do hali rzeźbiarza. Wtedy też do miasta pierwszy raz przybyła ekipa CBŚ, ale śledztwo nie znalazło finału w prokuraturze ani w sądzie. Zatrzymano natomiast dyrektora Liceum z Białoruskim Językiem Nauczania za malwersacje finansowe i branie łapówek. Ponoć dofinansowywał z pieniędzy publicznych klub sportowy, w którym liderami siatkarzy byli jego dwaj synowie, i to oni dostawali najwyższą gażę, choć grali najsłabiej w drużynie. Aktywiści białoruscy natychmiast wykorzystali aresztowanie do akcji protestacyjnej, a ponadto zgłosili MSWiA, że są uciskani.

Genia siedziała teraz w oknie swojego różowego bloku i obserwowała ulicę.

Pięćdziesięciometrowe mieszkanie, które po śmierci męża okazało się dla niej za duże, podzieliła na dwa. Ponieważ i tak większość roku nie było jej w kraju, drugą część lokalu wynajmowała. Długi korytarz zapewniał intymność zarówno jej, jak i lokatorowi, nawet jeśli akurat była w domu. Preferowała mężczyzn i „wychowała” już trzech najemców. Szczyciła się, że dzięki jej pomocy – także rozmowom, motywacji i często wsparciu finansowemu – każdy z nich z czasem stawał na nogi oraz zaczynał nowe życie. Ale ostatnio dodatkowy pokój stał pusty prawie rok. Dziś do

Hajnówki ludzie nie ściągali za pracą, jak kiedyś. Brakowało jej nawet dla tubylców. Kiedy pojawił się ten młody, zdaniem Geni, bo niespełna czterdziestoletni człowiek polecony przez lekarza z Ciszyni, zdziwiła się.

Pan Łukasz nie miał prawie żadnego bagażu. Tylko jedną torbę podróżną, zresztą w połowie pustą. Kosmetyki w folijce, kilka wypłowiałych czarnych bluz z kapturem. Na głowie odwijaną kominiarkę, choć było tego dnia upalnie, a pod pachą pusty blejtram i statyw fotograficzny w archaicznym pokrowcu. Potem dostrzegła jeszcze metalową walizę z aparatem wielkoformatowym oraz trochę sprzętu plastycznego. Lokator był czysty, uprzejmy i przystojny. Pieniądze wyjął ze zgniecionej koperty i zapłacił od razu za pół roku. Przez pierwsze tygodnie rzadko wychodził z mieszkania. Z pokoju woniało terpentyną. Któregoś razu wybiegł do pobliskiego sklepu z farbami i zostawił drzwi otwarte. Wtedy zobaczyła obraz, nad którym pracował. Wydał jej się nieco dziwny, ale nie mogła odmówić lokatorowi talentu. Podeszła do biblioteczki i zaczęła wertować albumy w poszukiwaniu czegoś podobnego. Pierwsze nasunęło się jej skojarzenie z Boschem. Może się tylko inspirował, a może to była kopia któregoś z jego dzieł? Wiedziała, że Bajko i lokalni malarze często tak zarabiali na życie, choć niechętnie się do tego przyznawali. Sama miała w domu kopię obrazu świętej Katarzyny, za którą zapłaciła kiedyś niemało, choć malarz wolał pozostać anonimowy.

Kiedy pan Łukasz skończył obraz, postawił go pod oknem plecami do wnętrza i pieczołowicie wysprzątał pomieszczenie. Nigdy więcej nie czuła już zapachu farb i terpentyny. Zajął się fotografią. Codziennie o różnych porach obserwował stary budynek tartaku. Nie robił zdjęć, choć sprzęt miał rozstawiony. Dopiero ostatniego dnia, kiedy złapał odpowiednie światło, wystrzelał całą kliszę. W trakcie jednej z takich sesji dostrzegł go stary Schabowski, pierwszy hajnowski fotografik. Kiedyś prowadził prężnie działający zakład i niemal każdy z mieszkańców miasta w wieku sześćdziesiąt plus miał w swoim albumie jego prace ilustrujące chrzciny, komunie, wesela i pogrzeby bliskich. Dziś dział foto Schabowskiego zredukowano do minimum. Ludzie mieli aparaty w komórkach i przychodzili tylko po zdjęcia do dokumentów. Firma przekształciła się w punkt ksero oraz minidrukarnię.

Schabowski, choć emeryt, nadal pracował, a kiedy z czasem moda na „artystyczną fotografię” powróciła, znów nie mógł opędzić się od zleceń. Próbował wciągnąć w biznes swojego syna. Niestety, młody Schab nie miał za grosz talentu ani cierpliwości do artystycznej fotografii, co przyprawiało ojca o palpitacje serca. Kiedy więc zobaczył Łukasza, jak ten po raz kolejny rozstawia się przed tartakiem ze swoim archaicznym sinarem, wzruszył się i natychmiast zaproponował mu pracę. Udostępnił też swojego cyfrowego canona z podstawowymi obiektywami, wierząc, że ten chłopak odkurzy dawny splendor jego zakładu.

Tym sposobem od niespełna miesiąca Łukasz fotografował śluby i komunie, a prawie każde jego zdjęcie szef wieszał na wystawie. Było na co popatrzeć. Genia nie znała się na fotografii, ale była dumna z lokatora, jakby był jednym z jej uczniów w ognisku muzycznym. Odkąd u niej zamieszkał, nie czuła się też taka samotna. Zawsze zamienili kilka zdań przy kolacji. Polak chętnie słuchał jej opowieści. Pytał, zdawał się zafascynowany jej biografią. To jej schlebiało.

Parę razy przyprowadził dziewczynę. Była zbyt młoda na kochankę, ale Genia i tak go uprzedziła, że nie widzi przeszkód, jeśli chciałby się z kimś spotykać. Zaoferowała, że mo-że nawet wyjść z mieszkania, by dziewczyna nie czuła się skrępowana jej obecnością.

– Nie należę do moherowych babć – zapewniła. – Czasem trzeba pozwolić szczęściu przyjść. Tylko problemy pchają się nieproszone. Szczęście musi mieć miejsce, by rozgościć się w naszym życiu. Trzeba zapewnić mu przestrzeń. Jak rozpieszczonemu kotu, który słyszy wołanie, rozumie je, ale by podejść bliżej, musi sam chcieć. Niech pan zrobi miejsce i czeka. Stanie się.

Pan Łukasz speszył się jej wywodem. Zapewnił, że to tylko Danka, znajoma ze szpitala, i poza fotografią nic ich nie łączy. Następnego dnia pokazał Geni zdjęcia, jakie jej zrobił. Nauczycielka oniemiała z wrażenia, a nawet zgodziła się, by ją też sfotografował. Przyznała, że nigdy nie przeżyła takiej przygody.

Teraz siedziała w oknie i wypatrywała pana Łukasza. Dawno go nie widziała. Czasami robiła podwójny obiad i choć się krygował, częstowała go domowymi specjałami. Umiała gotować tutejsze potrawy i wiedziała, że

mu smakują. Przyjezdni zawsze tak reagowali na babkę ziemniaczaną czy tutejszą zupę z piachem, czyli barszcz czerwony z fasolą.

Ludzie mijali ją, kłaniając się. Odkłaniała się im uprzejmie. Znała niemal wszystkich przechodniów. Nie wszczynała kurtuazyjnych rozmów, bo wiedziała, że wszyscy pracujący mieszkańcy śpieszą się teraz na obiad. Około piętnastej ruch zelżeje. Przed osiemnastą na ulicę wyjdą młodzi. Randkujący, watahy szkolniaków, a od dwudziestej pierwszej na przystankach zaczną zbierać się cwaniaki i lamusy, popijać piwo, palić skręty. Hajnówka żyła od lat w tym samym rytmie. Kiedy tak rozmyślała nad upływającym czasem, naprzeciwko wystawy dostrzegła rudą kobietę z ręką w gipsie aż po obojczyk. Od razu domyśliła się, że to obca.

Kobieta miała na sobie tylko uciętą przy łokciu koszulę w kratę, dżinsy i buty wyglądające na męskie. Krążyła w tej okolicy już drugi kwadrans. Genia zgadywała, że poszukuje wejścia do budynku. Klatki znajdowały się od podwórka, ale przez rusztowania przyjezdnemu trudno się było tego domyślić. Wyglądała na bystrą, ale odkryła wejście, dopiero gdy rozpytała kilku przechodniów. Na moment zniknęła z pola widzenia i na ulicy było teraz całkiem pusto. Genia znudziła się obserwacją. Poszła do kuchni, by zapalić i wstawić obiad. Wiedziała, że powinna uczynić odwrotnie, ale w jej wieku wszystko było już dozwolone.

Zgasiła papierosa w porcelanowej popielniczce brydżowej, obrała dwa ziemniaki, rozmroziła mielone, starła jabłko z marchewką i usiadła przy stole. Na pięknie uformowanym surowym kotlecie siedziała wielka, tłusta mucha. Zdziwiło ją to, bo w domu nie miała na wierzchu żadnych owoców. Przegoniła ją ze wstrętem za okno. Poprawiła firankę. Znów przeklęła pod nosem sąsiadów śmieciarzy. Zdążyła tylko wstawić ziemniaki, gdy rozległ się dzwonek do drzwi. Podeszła do judasza. Za drzwiami stała ruda z gipsem.

– O co chodzi? – zapytała zaciekawiona.

– Szukam pana Polaka. Powiedziano mi, że wynajmuje tu pokój.

Genia otworzyła zasuwkę. Usłyszała bzyczenie. Rozejrzała się, ale tym razem w pomieszczeniu nie dostrzegła żadnej muchy.

– Przepraszam, że przeszkadzam – zaczęła kobieta.

Była dosyć ładna. W taki nowoczesny, szkieletowaty sposób. Poza gipsem nic jej nie dolegało, ale na twarzy, w kilku miejscach, miała świeże skaleczenia. Genia przyglądała się jej z niepokojem. Kiedy jednak ruda wyciągnęła zdrową rękę do powitania, staruszka od razu poczuła sympatię.

– Jestem Sasza Załuska.

– Załuska?

Drzwi natychmiast otworzyły się szeroko.

Genia znała kiedyś rodzinę o takim nazwisku. Przeszukiwała w myślach twarze swoich uczniów, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Powstał przeciąg. Staruszka przestraszyła się, że jej poduszeczka spadnie na ulicę, kiedy okno samoczynnie się zatrzaśnie od gwałtownego podmuchu.

– Proszę, niech pani wejdzie. Strasznie wieje.

Sasza weszła do środka, rozejrzała się. Tak, to mogło być mieszkanie ze zdjęcia.

– Niestety pana lokatora nie ma – oznajmiła Genia. – Nie wiem, gdzie jest. Sama dopiero wróciłam z zagranicy. – Wskazała nie do końca rozpakowaną walizkę.

Sasza się zmartwiła.

– Ma pani do niego telefon?

Kręcenie głową.

– Z tego co wiem, pan Łukasz nie posiada komórki. Ja też mam tylko telefon stacjonarny. Starzy ludzie nie potrzebują takich urządzeń – uśmiechnęła się. I odwróciła do kuchni.

– Przerwałam pani w obiedzie. – Sasza przesunęła torbę na brzuch.

Zdrową ręką próbowała szukać kartki i długopisu, by zapisać jej swój numer, ale okazało się to ponad jej siły. Syknęła, kiedy zahaczyła o skaleczenie na zdrowym przedramieniu.

– Nie powinna pani pójść do doktora? – odważyła się skomentować stan zdrowia przybyłej Genia.

– Właśnie leżę w szpitalu – próbowała żartować Sasza, ale zamiast uśmiechu wyszedł jej tylko nieprzyjemny grymas. Kącik ust miała przecięty. Widząc potępiające spojrzenie staruszki, dodała całkiem

poważnie: – Wyszłam tylko na chwilę. Mam do pana Polaka pilną sprawę. Ma pani może jak zapisać? Podałabym numer do siebie.

Genia posłusznie ruszyła do komody. Wyjęła z niej stary zeszyt w pięciolinię i ostro zatemperowany ołówek. Sasza zanotowała swoje namiary. Stała chwilę w progu, nie wiedząc, co jeszcze dodać. Genia patrzyła dobrotliwie, ale obie wiedziały, że pożegnanie jest nieuchronne.

– Czy w czymś jeszcze mogłabym pomóc? – zapytała z troską.

Sasza kiwnęła głową.

– Wiem, że może się to wydać dziwne – zaczęła. – Nie widziałam tego znajomego od lat. Nie jestem nawet pewna, czy to on wynajmuje od pani pokój. Czy o niego mi chodzi.

– Ja też tego nie wiem. – Rączka była wyraźnie rozbawiona.

– Nazwisko by się zgadzało, ale wolałabym mieć pewność.

– Ma pani jego zdjęcie? Proszę pokazać. Nawet jeśli jest stare – zaoferowała się Genia. – W moim wieku człowiek umie rozpoznawać twarze.

Sasza wyjęła telefon z tylnej kieszeni spodni i pokazała Geni zdjęcie Danki, które przefotografowała przedwczoraj pod szpitalem.

– Czy to zostało zrobione u pani? – zapytała. – Tylko takie zdjęcie teraz posiadam.

Genia przyjrzała się modelce z fotografii. Rozpromieniła się.

– Tę dziewczynkę pamiętam. Była tu kilka razy. Ale myślałam, że szuka pani lokatora.

– Czy to zdjęcie wykonano w pani mieszkaniu? – upewniła się Sasza.

Skinienie głową.

– Jak tylko przyjdzie, natychmiast przekażę mu pani numer – obiecała nauczycielka. Sasza jednak nadal stała w progu.

– Obiad mi już całkiem wystygł – mruknęła Genia.

– Nie wie pani, kiedy wróci?

– Niestety.

Sasza się zawahała.

– A mogłabym… – przerwała. – Chciałabym zobaczyć ten pokój. Rzucę tylko okiem i już mnie nie ma.

Genia zmierzyła ją czujnym spojrzeniem. Wydawało się, że odmówi. Ale zamiast tego uniosła ramię i wskazała koniec ciemnego korytarza.

– Ależ proszę bardzo. Jeśli znacie się, pan Łukasz nie będzie chyba miał nic przeciw. To elegancki człowiek. A pani nie wygląda na wredną osobę. Czuję, że to pani ukochany.

Sasza zaśmiała się nerwowo.

Genia zdjęła ze skrzynki z sową jeden z kluczy i poprowadziła gościa w głąb lokalu. Im bliżej podchodziły, tym zapach terpentyny był intensywniejszy.

– Niech mnie pani nie obwinia za bałagan – zażartowała Rączka. – To mój lokator, a nie wnuk. Ponadto mężczyzna. A ja nie ingeruję w życie intymne innych ludzi.

– Rzadko spotykana dziś cecha.

Jeden obrót klucza i drzwi ustąpiły. Profilerka wsadziła głowę w szparę. Pokój był zaciemniony, story zasunięto. Wszystko zgadzało się ze zdjęciem. Meblościanka, kwiatki w doniczkach. Bibeloty na półkach. Pod ścianą rozłożona wersalka. Obok łóżka oparty o ścianę odwrócony blejtram. Sasza nie potrzebowała okularów, by dostrzec na łóżku śpiącą sylwetkę. Kołdra nie była skotłowana. Genia natychmiast zamknęła drzwi.

– Panie Łukaszu! – zawołała z korytarza. Była poruszona. Nie chciała, by lokator miał do niej pretensje, że wchodzi do pokoju pod jego nieobecność. – Myślałam, że pana nie ma. Przepraszam.

Odpowiedziała im cisza.

– Trzeba by było wywietrzyć – mruknęła gospodyni. I zwróciła się do Saszy, próbując wyjaśnić intensywny zapach terpentyny: – Pan Łukasz to malarz. Wybitny artysta. Pewnie znów pracował w nocy nad obrazem. Może pani poczeka w kuchni? Obudzę go.

Sasza skinęła głową. Odeszła kilka kroków. Poza zapachem terpentyny czuła jeszcze inną woń. Dobrze ją znała z policyjnych oględzin sprzed lat. Zgodnie jednak z obietnicą oddaliła się. Wyjęła z kieszeni telefon, wybrała na wyświetlaczu numer do komendantki. Serce waliło jej jak młotem.

Genia zapukała jeszcze kilka razy, ale odzewu nie było. Na klamce usiadła kolejna mucha.

– Może coś mu się stało? – Odwróciła się niepewnie do Saszy. – Dlaczego nie odpowiada?

Odczytała z oczu kobiety nieme potwierdzenie i bez wahania nacisnęła klamkę ponownie. Żwawym krokiem podeszła do łóżka. Potrząsnęła leżącym. Sasza obserwowała ją w milczeniu, ale po chwili także zdecydowała się wejść. Jednym zdecydowanym ruchem odsłoniła kołdrę i zaraz odruchowo zasłoniła usta dłonią. Na łóżku nie było Łukasza. Zamiast niego, w pozycji embrionalnej, leżała szczupła dziewczyna. Była w tej samej kwiecistej sukience, w której pozowała jeszcze kilka dni temu w parku. Włosy miała rozsypane na poduszce. Ręce i nogi skrępowane plastikowymi zaciskami przemysłowymi. Była piękna i martwa.

– O Jezusie – szepnęła Genia.

W tym samym łóżku zmarł jej Kazik. Przed oczami staruszki pojawiły się czarne motyle, a potem osunęła się na podłogę. Sasza podbiegła, by ją ocucić. Wtedy na szafce przy łóżku zobaczyła własną saszetkę z dokumentami. Prawo jazdy z jej zdjęciem leżało na wierzchu. Był na nim jej sopocki adres. Pod spodem widać było połówkę zdjęcia. Sasza natychmiast rozpoznała fotografię. Zrobiły ją sobie z córką w ubiegłym roku nad morzem i od tamtej pory profilerka nosiła ją w portfelu. Ktoś oderwał Karolinę, Saszy zostawiając tylko połowę twarzy. W miejscu oderwania widać było tylko rączkę córki.

– Źle się dzieje w państwie duńskim – powiedział Doman.

Siedzieli w sali prezydialnej komendy powiatowej. Nadkomisarz Domański, jego ludzie z wojewódzkiej, Romanowska, JahJah oraz Anita Krawczyk, prokuratorka z Białegostoku, która tego dnia miała dyżur.

Anita dotarła na oględziny w małej czarnej, koku i cielistych szpilkach, czego wyraźnie się wstydziła. Kilkakrotnie przepraszała za swój strój, tłumacząc, że za cztery godziny miała być w filharmonii na inauguracji festiwalu muzyki cerkiewnej. Pierwsze wrażenie wygalantowanej damulki okazało się bardzo mylące. Krawczyk natychmiast zorientowała się, że technicy przystępują do oględzin przed wykonaniem dokumentacji fotograficznej. A kiedy usłyszała, że na sprzęt wideo będą musieli czekać pół godziny, wyciągnęła z wizytowej torebki podręczną kamerę i kazała nagrać film. Potem już się nie wtrącała. Nie było w niej złości, chęci upokorzenia śledczych. Starała się być wręcz niewidoczna. Po prostu czuwała nad pobieraniem śladów na miejscu zdarzenia niczym pobłażliwa protektorka nad podopiecznymi. Kiedy zestresowany powagą sytuacji młody technik pieczołowicie zdejmował pęsetą każdy włos i nitkę z kołdry, którą sprawca przykrył zwłoki, podeszła i szepnęła mu na ucho, tak żeby nie zauważył tego nadkomisarz Domański:

– Wytnij fragment.

Behemot spłonił się jak piwonia. Po skończonej pracy wzięła dochodzeniowca na stronę, poczęstowała papierosem i uśmiechnęła się.

– Dobrze to opisz. Nie zamierzam za ciebie świecić oczami przed sądem.

Funkcjonariusz zapewnił, że dołoży wszelkich starań, by ją zadowolić.

– Jestem z natury zadowolona z siebie. Po prostu nie zawal sprawy – mruknęła i ruszyła do pobliskiego sklepu po tenisówki.

Teraz siedziała w zielonych trampkach za kostkę i łuskała pestki słonecznika. Zdaniem Domana nowe obuwie o wiele ciekawiej komponowało się z kabaretkami i obcisłą sukienką. Gdyby był psem, prawdopodobnie obśliniłby pulpit komputera, który miał przed sobą, ale

ponieważ był tylko człowiekiem, nie mógł się powstrzymać od kąśliwych spostrzeżeń, które wydłużały odprawę i tym samym obecność atrakcyjnej prokuratorki w prezydialnej. Nikt nie śmiał mu przerwać.

– Nam nie przeszkadza twój strój, Anito. Wręcz przeciwnie – szydził. – Mogłabyś częściej tak przychodzić. W ogóle mogłabyś przychodzić na nasze odprawy. Zapowiada się, że szybko stąd nie wyjedziemy.

– A mnie jednak trochę tak – odparła, dla odmiany nerwowo skubiąc naszyjnik z pereł, bo słonecznik się skończył. – Zwłaszcza że już raczej nie zdążę na koncert. Mąż pół roku starał się o te wejściówki. W końcu dostaliśmy z biura prezydenta miasta. Streszczaj się, Doman, bo muszę się stawić, choćby na oklaski po.

Wyciągnęła spod krzesła reklamówkę i obejrzała wyjściowe obuwie. Obcasy były zdarte.

– Ma ktoś może sprej do nubuku?

– Ja mam tylko na komary. – JahJah się uśmiechnął. – Służę.

Romanowska spiorunowała go wzrokiem i mruknęła do Anity:

– Syn przywiezie z domu, zanim skończymy. Już mu napisałam esemes.

– Czego to dziś ludzie nie zrobią dla kariery – ględził dalej Doman. – Ja też daję niezłe koncerty pod prysznicem. I czas oczekiwania na bilet jest trzy razy krótszy.

– Tylko chętnych nie ma – odparowała prokuratorka. Widać było, że powoli traci cierpliwość.

– Zdziwiłabyś się – zaśmiał się szyderczo. – Ale pan mąż nie jest zaproszony.

Anita schowała buty pod stół.

– Pan mąż jest adwokatem – Doman zwrócił się tymczasem do pozostałych, którzy obserwując te przekomarzania, nie wiedzieli, jak się zachować.

Tylko Romanowska uśmiechnęła się półgębkiem. Doman już w szkole średniej traktował byłe kochanki jak swoją własność. Tym razem zerwanie musiało być świeże. Romanowska zaczęła wątpić w to, że faktycznie stał się wzorowym mężem. Jak widać, rozpaczliwe ciąże Liliany niewiele

pomagały na niewierność Domana. Ten typ się nie zmieni. Choćby leżał na łożu śmierci, będzie podrywał salowe. Przez całe lata przyjaciółka wybaczała mu najróżniejsze grzeszki, o czym przegadały z Krystyną wiele nocy. Tymczasem Doman jakby dopiero się rozkręcał. Ewidentnie odgrywał się na Anicie i nawet nie zamierzał przestać. Teraz kontynuował:

– Największą szują w mieście, czyli doskonale zarabia. Każdy przecież wie, że najlepszym przyjacielem kobiety jest brylant.

– A więc tu cię uwiera, skarbie – westchnęła ciężko prokuratorka. Odsunęła do siebie wyjedzony słonecznik. – Zajmijmy się wreszcie tym zabójstwem.

Przed nimi stał pusty dzbanek po kawie, a na tablicy korkowej przymocowano fotografie z oględzin zamordowanej Danuty Pietrasik oraz zdjęcia poszukiwanego Łukasza Polaka z akt Ciszyni. Technik kryminalistyki przed chwilą dostarczył płytę z filmem z oględzin zwłok, który Doman od razu przesunął w kierunku prokuratorki.

– Odchamisz się po tej filharmonii.

Anita zachowała stoicki spokój. Wzięła nagranie i poprosiła Romanowską, by podsumowała dotychczasowe ustalenia.

– Denatka płci żeńskiej. Lat osiemnaście. Przyczyna śmierci: uduszenie. Narzędzie zbrodni: kabel do ładowarki telefonu. Była skrępowana. Liczne otarcia naskórka, wybroczyny krwawe. Więcej powie medyk sądowy po sekcji. Ofiara leżała nie dłużej niż czterdzieści osiem godzin w mieszkaniu Eugenii Rączki, emerytowanej nauczycielki ogniska muzycznego, która wynajmowała pokój niejakiemu Łukaszowi Polakowi. Emerytka dopiero wróciła z podróży, od tamtej pory nie wychodziła z mieszkania. Zakładamy, że zbrodni dokonano w niedzielę, najprawdopodobniej w godzinach popołudniowych.

– W dniu wesela Bondaruka – wtrącił JahJah.

– Tak, w dniu zaginięcia panny młodej – sprecyzowała Romanowska i zawiesiła na byłym mężu czujne spojrzenie. – Wstrzymajmy się na razie z hipotezami.

– Przecież nic nie mówię.

Doman zachichotał.

Romanowska podeszła do białej tablicy i kolejno, w punktach rozpisywała posiadane dane.

– PESEL, NIP i dane personalne podejrzanego znajdują się w aktach. Ustaliliśmy, że facet ulotnił się z miasta tydzień temu w sobotę, pod pretekstem wyjazdu na plener malarski w Dubiczach Cerkiewnych. Nigdy tam nie dotarł, choć w przeddzień pojawił się w szkole, gdzie organizowano warsztaty, i wpłacił zaliczkę stu czterdziestu złotych. Szkolna sekretarka to na razie ostatnia osoba, która widziała Polaka w okolicy.

Komendantka przymocowała rachunek do tablicy magnesem.

– W mieszkaniu Rączki pozostawił rzeczy osobiste, sprzęt fotograficzny, prace malarskie. Musiał się śpieszyć, bo pod ścianą zabezpieczyliśmy niedopakowaną torbę. Część przedmiotów była wrzucona niedbale, na chybił trafił. Pielęgniarka z Ciszyni rozpoznała ją wraz zawartością jako własność pacjenta. Komórki i konta bankowego nie posiadał. W piątek przed wyjazdem poprosił pracodawcę o zaliczkę na poczet pensji. Schabowski wypłacił mu tysiąc pięćset złotych plus zwrot kosztów i zaległość za prace komercyjne. Razem jakieś trzy i pół tysiąca peelen w gotówce.

– Tutaj to kupa hajsu – wciął się JahJah, ale tym razem to Doman spiorunował go wzrokiem, więc natychmiast umilkł.

Romanowska mówiła dalej:

– W niedzielę rano Polak miał obsługiwać ślub Bondaruka. Nie pojawił się na sobotnim spotkaniu w Carskiej, gdzie mieli ustalić szczegóły indywidualnej sesji. Telefonu nie ma, do domu nie dotarł. W ostatniej chwili Schabowski ściągnął swojego syna do obsługi ślubu i wesela. Zarówno ofiara, jak i podejrzany byli pensjonariuszami kliniki psychiatrycznej. Znali się od trzech lat. Danuta Pietrasik była w klinice dłużej. Przebywa tam także jej brat. Ma alibi personelu i kompanów. Nie wychodził ze szpitala od dnia przyjęcia. Dokładniej, nigdy nie opuścił placówki. Odmawiał też wyjazdów do ojca, ich jedynego krewnego. Siostra za to wychodziła kilka razy. Nie licząc ucieczek. Kilkakrotnie odwiedzała Polaka w jego mieszkaniu, co potwierdziła pani Rączka. Władze szpitala wyraziły zgodę na jego kuratelę, podpisywał przepustki wyjścia i wejścia, jako osobie pełnoletniej. Do tej pory sprawował się bez zarzutu.

– Czy on nie był przypadkiem psychiczny? – zainteresował się JahJah.

– Owszem, lecz dwa miesiące temu został uznany za wyleczonego.

Romanowska zamilkła, wyjęła z pliku dokumentów jedną kartkę i podała Frankowskiemu. Ten zerknął na opinię i przekazał ją pozostałym. Prokuratorka zatrzymała ją w rękach najdłużej. Jako jedyna wnikliwie przeczytała opinię, po czym położyła przed sobą.

– Był członkiem programu badawczego norweskiej fundacji „Powrót", z którą współpracuje Ciszynia. To za pieniądze fundacji ogrodzili szpital i uporządkowali park. Wcześniej pacjent terminowo wracał z przepustek, regularnie brał leki. Nikt nie miał do niego zastrzeżeń. Na ostatniej go nie było, ponieważ pracował. Jest rekomendacja pracodawcy. Za dwa tygodnie miał mieć kolejną konsultację.

– Stawiam flachę, że się nie zgłosi – mruknął JahJah, a ponieważ żart nie wzbudził pożądanego efektu, dodał: – Piarowo to raczej rzeźnia dla kliniki. Niech tylko media to zwąchają. List gończy już się drukuje w prasie.

– Polak nie był skierowany na leczenie przez sąd. Nie musiał tam być – kontynuowała Romanowska. – Posłałam człowieka, by przesłuchał personel na okoliczność jego zniknięcia. Tutaj są notatki urzędowe.

Kolejny plik kartek trafił najpierw do Domana, ale ten tylko na nie zerknął i przesunął dalej, jak gorący kartofel, w kierunku prokuratorki. Tym razem żadne nie otworzyło raportu. Wobec tego Romanowska zabrała go i położyła przed sobą.

– Pan Saczko wyznaczył osobę, która prowadziła pacjenta. Ma być do naszej dyspozycji o każdej porze dnia i nocy. Doktor Prus została już wezwana i będzie tu w ciągu godziny.

– Wiem, która to! – JahJah gwizdnął. Zwrócił się do Domana i rozciągnął twarz w szerokim uśmiechu. – Będzie pan zadowolony.

– A dziewczyna? – zainteresowała się Anita. – Nie zgłoszono jej zaginięcia? Nikt jej nie szukał?

– Wręcz przeciwnie. Posłaliśmy w sobotę dwa patrole w jej sprawie. Mieliśmy podstawy przypuszczać, że przywłaszczyła sobie dokumenty i pieniądze w kwocie około ośmiuset złotych należące do mieszkanki

Trójmiasta, niejakiej Saszy Załuskiej, która była tam, by spotkać się… – Romanowska zawiesiła głos i wskazała zdjęcie podejrzanego na tablicy.

– Z tym klientem – dopowiedział Doman.

Krystyna potwierdziła.

– Załuska jest też jedynym świadkiem w sprawie zuchwałego uprowadzenia Iwony Bondaruk, z domu Bejnar, które zgłosiliśmy do was w niedzielę. Została poturbowana przez napastników, przywiązana do drzewa. Do dziś przebywała w szpitalu. To ona była pierwsza na miejscu zdarzenia przy Trzeciego Maja. Ujawniła ciało Danuty Pietrasik za pozwoleniem Eugenii Rączki, właścicielki mieszkania. Z jej telefonu dostaliśmy anonimowe zgłoszenie. Potem była widziana na dworcu PKS. Zatrzymaliśmy ją przed godziną na trasie do Białegostoku. Łapała stopa.

– To nie jest żart? – Doman odwrócił się do Frankowskiego.

– W żadnym razie. – Romanowska usiadła. – Resztę streści JahJah'a. Myślę, że Doman powinien znać detale twojej znajomości z panią profilerką.

Doman podniósł głowę. Był zaintrygowany.

– Zamieniam się w słuch.

JahJah streścił pokrótce okoliczności poznania Załuskiej, a potem wyjął z kieszeni zrolowany plik materiałów, które dostał od Saszy w sobotę podczas przesłuchania, i rzucił na stół.

– Przypadki są dla wierzących albo naiwnych – zaczął. – Ja nie zaliczam się do żadnej z tych kategorii. Sądzę, że powinniśmy ją brać pod uwagę jako podejrzaną w obu sprawach. Nie wiem jeszcze, jaki ta baba ma z nimi związek, ale zanim tu przyjechała, nasze życie toczyło się utartą koleiną.

– Poeta, kurwa, z Żebrów Małych – zaśmiał się Doman. – Nie wierszuj mi tu, chłopie, tylko dawaj dane.

JahJah rzucił na stół saszetkę profilerki w torebce na dowody rzeczowe oraz wyciąg z jej odciskami palców pobrany z bazy przed odprawą.

– Przed laty przeciwko Załuskiej prowadzone było dochodzenie dyscyplinarne. Raport o zwolnienie złożyła sama lub jej to doradzili, żeby nie było kwasu. Dowiedziałem się jednak nieoficjalnie, że CBŚ nadal ma na nią oko. Mogła być kretem. Dowiemy się więcej, kiedy przyjedzie jej

zwierzchnik z Gdańska. To on potwierdził jej personalia. Jest szefem kryminalnego na tamtym terenie. Poręczył za nią własną głową.

– Jeśli przyjedzie – wtrąciła Romanowska. – Na razie tylko obiecuje.

– To było takie spokojne miasteczko – westchnął Doman. Wstał, cmoknął Anitę w policzek, aż się zarumieniła. – Zjeżdżam do Hadesu. Bądźcie zuchami.

Sasza podrapała się kompulsywnie w miejsce, gdzie kończył się gips. Miała podkrążone oczy, cerę białą jak twaróg. Piegi zblakły, dając efekt zaczerwienienia na nosie i policzkach. Ale choć była zmęczona, mózg pracował na najwyższych obrotach. Chcieli ją wrobić w to zabójstwo. Czuła to, zanim Doman zaczął mydlić jej oczy. Zastanawiała się, czy to robota Dziadka, czy to jej paranoja się ziściła i „Czerwony Pająk" dokonuje na niej srogiej pomsty. „Kto czeka, doczeka się" – mawiała jej matka. Myśl jest energią, kołatało się jej w głowie. Boże, od dziś będę niepoprawną optymistką, przekonywała się w myślach Sasza. Zawsze już będę myślała pozytywnie. Nie dała jednak po sobie poznać, że teraz wprost umiera ze strachu.

– Ta propozycja ma mnie sprawdzić, czy tak? – rzuciła.

Romanowska i JahJah, obserwujący przesłuchanie Załuskiej zza weneckiego lustra, wymienili się spojrzeniami.

– Nie składałem żadnej oferty – sprostował Doman i podkreślił: – Nie zatrudniam pani. Nie oferuję pracy. To w pani interesie jest, byśmy go jak najszybciej posadzili. Albo ktoś jest z nami, albo przeciwko nam. Chyba nie wyraziłem się jasno. Nie ma pani wyboru.

– Zawsze jest jakiś wybór – weszła mu w słowo profilerka. – A tak się składa, że ja nie mam nic wspólnego z tym zabójstwem. Jeśli pan chce, żebym pracowała, proszę przestać mnie obrażać.

Doman pokręcił się na krześle.

– Trudno pani zaufać. Trochę pani zamotała.

– Nie bardziej niż wy – burknęła. Wyciągnęła zdrową rękę nad stołem. – Poproszę mój telefon. Chcę się skontaktować z córką.

Doman ją zignorował. Przesunął wyłączoną komórkę na brzeg stołu.

– Pojawia się pani tutaj i zaczynają ginąć kobiety. Jedne bez śladu, inne na śmierć. Przypadek?

– To zbyt daleko idąca hipoteza i dobrze pan o tym wie. Jest za wcześnie na zarzuty.

– A kto mówi o zarzutach? – żachnął się Doman. – Stwierdzam tylko, że jest pani w obu miejscach, gdzie dochodzi do brutalnego przestępstwa. I jeszcze nielegalne posiadanie broni. Na razie nie ma tego w dokumentach, ale w każdej chwili mogę dołączyć. Niech się pani postawi na naszym miejscu. Nie mogę pani wypuścić.

Sasza zacięła się w sobie. Chciała dodać coś o stanie wyższej konieczności albo szczególnym interesie społecznym, ale miała dosyć bycia czyimś królikiem doświadczalnym. Wystarczały jej własne kłopoty, cudzych nie potrzebowała. Za tydzień jej córka wraca z wakacji. Do tej pory wszystko miało się wyjaśnić, a okazało się, że wyjazd tylko pogorszył sprawę.

Duch się nie odezwał. Nie odbierał jej telefonów. Na żaden esemes nie odpisał. Wiedziała, że nie jedzie do Hajnówki, choć komendantka potwierdziła, że wezwali go oficjalnie. Gdyby się wybierał, dowiedziałaby się pierwsza. Od niego. Skoro milczał, siedział w Gdańsku. Pewnie w pracy, nad jakąś sprawą. Może po prostu obraził się, że zawaliła sprawę egzaminu i Waligóra zmył mu za nią głowę. To typ, który łatwo zacina się w sobie. Łatwo mogła to sobie wyobrazić. Zinterpretował to jako lekceważenie i strzelił focha. Dlaczego zresztą miałby poświęcać swój prywatny czas, by ją ratować? Kim ona dla niego jest? Koleżanką? Znajomą. Nic ich przecież nie łączy. Na co ona liczyła? A co gorsza, znów idiotycznie zaczęła się zakochiwać w nieodpowiednim facecie. Bardzo dobrze. Nie będzie już nigdy nikogo o nic prosić ani się kajać. Wiedziała, że teraz wisi nad nią o wiele poważniejsze podejrzenie. Musi udowodnić, że jest niewinna. Choć bronić się jest zawsze trudniej, niż atakować. W większych kłopotach nie była od lat. I jak zwykle była z tym wszystkim sama.

– Niech pan przestanie kręcić – oświadczyła twardo. – Przecież złożyłam wyczerpujące zeznania. Działamy po tej samej stronie barykady. Wie pan, że nie jestem przestępczynią.

Doman pozostał poważny.

– Wciąż jeszcze mam taką nadzieję.

Sasza się zdenerwowała. Jak chce się uderzyć psa, kij się znajdzie.

– Nic na mnie nie macie.

– Na razie.

– Więc po co ta rozmowa? Zamyka mnie pan, ja dzwonię po adwokata. Wy robicie swoje, ja czekam pod kluczem. Pan prowadzi dochodzenie, ja odprawiam modły i trenuję cierpliwość. Ale po analizie śladów zobaczymy, czyje będzie na wierzchu.

– Wchodzę w to. – Wyzwał ją wzrokiem na pojedynek.

Sasza wiedziała, że Doman jest gotów to zrobić. Co się stanie z Karoliną, jeśli ją zamkną? Łypnęła okiem na prowadzącego dochodzenie. Spuściła z tonu.

– Czego pan ode mnie chce?

Doman się uśmiechnął.

– Szczerości.

– I wzajemnie – odburknęła.

W krótkich żołnierskich słowach Doman wyjaśnił jej, jak sprawy wyglądają z ich perspektywy. Nie owijał w bawełnę.

– Po prostu potrzebujecie kozła ofiarnego – skomentowała, ale postanowiła współpracować. Jej jedynym orężem były dane o Łukaszu. Tylko to mogło być dla nich cenne. Nie znajdą o nim nic, nigdzie. Nie było nawet jednej oficjalnej notatki urzędowej. Oni też to wiedzieli. Tylko dlatego z nią rozmawiali. Nadal nie rozumiała tej sytuacji. Jakiego asa w rękawie krył Doman? Co przeoczyła? – Tak jak wspominałam, przyjechałam tu do Polaka. Podejrzewałam, że to groźny przestępca, choć oficjalnie nie prowadzono przeciwko niemu dochodzenia. Kiedy pracowałam w CBŚ, był podejrzewany o dokonanie kilku morderstw. Zarówno w lesie, jak i w mieszkaniu na Trzeciego Maja byłam w jego sprawie. Pani komendant sama podała mi ten adres. Zna moją historię. Polak to także ktoś, z kim łączy mnie… – Zawahała się. Nabrała powietrza, wypuściła i zdecydowała się: – Miałam z nim romans. Bardzo krótki i intensywny. Pan pozwoli, że nie będę w to wchodzić. To sprawa prywatna.

– Już nie.

Sasza zignorowała ripostę.

– Do niedawna sądziłam, że Łukasz nie żyje. Tak mi powiedzieli moi zwierzchnicy. Kiedy dowiedziałam się, że ma się dobrze, a nawet wyszedł

ze szpitala, czułam, że będą kolejne ofiary. Teraz to już nie tylko moja projekcja. Jest ciało. Znam jego modus operandi. Wiem, jak działa, jakie ma słabe punkty. Mogłabym pomóc go znaleźć – zaoferowała. I zaraz dodała, wskazując na swój profilerski booklet wystający z bocznej kieszeni jego kurtki: – Rozumiem, że jednak na tym zależy panu bardziej niż na bezinteresownym udupieniu mnie. To zresztą raczej krótkowzroczne. Złożę wniosek o odszkodowanie za niesłuszne zatrzymanie, jak tylko mnie wypuścicie. Bo tak się stanie. Zarzucanie mi zbrodni to jakiś absurd. I wcześniej czy później sami do tego dojdziecie, kiedy pojawią się kolejne trupy.

Doman zamiast odpowiedzi tylko postukał długopisem o blat. Wyłączył przycisk nagrywania, schował urządzenie do szuflady. Wyjął popielniczkę i postawił na stole. Poczęstował Saszę ręcznie skręcanym papierosem. Zawahała się, ale wzięła jednego.

– Czy nie przyszedł do komendy żaden list? Zdjęcie? – spytała.

– Nic o tym nie wiem.

– Przyjdzie. – Sasza się skrzywiła. Papieros jej nie smakował. Wydmuchała dym, strzepnęła popiół. Zdusiła niemal całego w popielniczce. – Jeśli to „Czerwony Pająk” zabił Dankę, przyjdzie fotografia. Tamten sprawca wysyłał zdjęcia ofiar stylizowane na obrazy.

– Mam nadzieję, że pani słyszy, jak to brzmi. – Doman wstał, podszedł do drzwi, wyjrzał. – Jesteśmy w Polsce, w sielskim miasteczku.

– Psychopaci są wśród nas. – Sasza nie dała się zbić z pantałyku. – Nie działają wyłącznie w wielkich aglomeracjach. To nie jest jakiś tam zwyczajny przestępca. Ma doświadczenie kryminalne. Umie zacierać ślady. Miał dużo czasu na udoskonalenie metod działania. Może już wcześniej ktoś zaginął? Komisarz Frankowski pytał mnie niedawno, czy umiem znajdować ciała.

– Kto pyta, nie błądzi. – Doman się uśmiechnął.

– Łukasz Polak przebywał w tej klinice wiele lat. Nie był w zamknięciu. Mógł opuszczać Ciszynię, działać poza Hajnówką. Ale nie dalej niż w odległości stu kilometrów. Wracał z przepustek tego samego dnia, zawsze punktualnie. Szukajcie młodych zaginionych kobiet z okolicy. Mogę stworzyć profil typowej dla niego ofiary.

Doman pokiwał głową.

– Dziękuję, ale rozmawiam teraz z panią. W tej konkretnej sprawie.

Sasza spuściła wzrok.

– Mówię panu, że po prostu znalazłam się w nieodpowiednim miejscu i czasie.

– Nie wierzę w przypadki.

– Ja też nie. – Sasza zacisnęła usta. Poddała się. – Tak naprawdę sama tego nie rozumiem. Może on poluje na mnie? Może to mój przyjazd go zaktywizował?

W pokoju zapadła cisza. Sasza nagle pojęła, że trafiła w sedno. Potrzebowali jej, by wystawić ją na wabia. O to chodziło. Rozległo się pukanie do drzwi. Doman wstał i otworzył Romanowskiej.

– Mogę cię prosić?

Doman wyszedł. Sasza natychmiast chwyciła swój telefon i wykręciła numer matki. Kiedy po raz kolejny usłyszała pocztę głosową i głos córki, w jej oczach pojawiły się łzy. Nie była w stanie ich powstrzymać. Tak zastali ją Romanowska, Frankowski i Doman, którzy rozsiedli się teraz w pokoju przesłuchań. Wyglądali na skruszonych. Atmosfera się powoli rozluźniała. Sasza otarła powieki rękawem, by nie zauważyli, że się rozkleiła.

– Mamy potwierdzenie, że odciski palców z miejsca zdarzenia nie są tożsame z pani śladami papilarnymi – zaczęła komendantka.

Sasza nadal wpatrywała się w wyświetlacz telefonu. Chwilę jej zajęło, by zrozumieć przekaz i skupić się na słowach komendantki.

– Jeszcze za wcześnie na hipotezy. Nie mamy opinii, ale do lokalnej gazety przyszło to.

Romanowska pokazała wydruk w plastikowej saszetce. Było to czarno-białe zdjęcie zrobione z góry. Danka leżała na boku, jak embrion. Fotografia nasuwała skojarzenie ze zdjęciem płodu z aparatury USG. Na tak przygotowanej fotografii praktycznie nie było widać obrażeń ani zasinienia twarzy. Widoczne były natomiast plastikowe zaciski na dłoniach i w kostkach nóg. Sasza długo przyglądała się obrazowi i pokiwała głową.

– Kto był adresatem?

– Sergiusz Mikołajuk, naczelny lokalnej gazety. Czeka na korytarzu. Zapewnia, że nie ujawnił dowodu nikomu, ale zdjęcie pojawiło się już na stronach internetowych. Jeśli trafiło do sieci, nie da się tego zatrzymać. Już dzwonią do nas ogólnopolskie telewizje. Musimy przekazać oficjalną wersję rzecznikowi wojewódzkiej.

– Wcześniej grał tylko z policją. Teraz zaangażował czwartą władzę – mruknęła Sasza. – Pragnie sławy.

JahJah wyjął zza pazuchy kilka zdjęć. Położył przed profilerką fotografię superprojekcji twarzy wykonaną na podstawie analizy jednej z ujawnionych czaszek. Była to pierwsza głowa. Znaleziona na Harcerskiej Górce; nikt jej dotąd nie rozpoznał.

– Mówiła pani, że potrafi pani znaleźć ukryte zwłoki – zaczął. – Mieliśmy kilka zaginięć, które nigdy nie zostały rozwiązane. Może to też robota tego pani znajomego?

Sasza niechętnie rzuciła okiem na fotografię, ale już po chwili wyjęła mu ją z ręki. Przyglądała jej się wnikliwie, a potem z torby wygrzebała zdjęcie, które dostała od Marzeny Koźmińskiej. Porównała i pokręciła głową.

– To Monika Zakrzewska. Pseudonim artystyczny Jowita. Prostytutka z warszawskiego Bródna. Jej ciała nie znaleziono. Ale nie sądzę, by miała coś wspólnego z „Czerwonym Pająkiem”. Zaginęła w dwutysięcznym, a on zaczął działać znacznie później.

Położyła oba zdjęcia na stole. Teraz wszyscy mogli się im przyjrzeć. Mimo fatalnej superprojekcji podobieństwo było widoczne. Sasza wskazała Koźmińską.

– Tę kobietę oskarżono o jej uprowadzenie, ale twierdzi, że jest niewinna. Jej zdaniem Jowitę uprowadził ten facet. – Sasza wskazała mężczyznę obejmującego dwie kobiety. – Okularnik. Tak na niego mówiono.

Romanowska spojrzała na JahJah’ę, a ten na Domana, który skinął głową.

– To Piotr Bondaruk – powiedziała komendantka i dodała, choć dla wszystkich, łącznie z Saszą, było to oczywiste: – Mąż zaginionej w lesie.

Sasza podniosła głowę.

– Jest pani pewna?

– Mieszkam tu od lat – obruszyła się Romanowska. Spojrzała na JahJah’ę.

– Też tak myślę – mruknął. – Nie ma mowy o pomyłce.

Doman jeszcze bardziej rozczochrał włosy.

– Jaki to ma związek z zabójstwem pacjentki Ciszyni?

– Mogę go poszukać. – Sasza wyciągnęła rękę po akta.

Doman się zawahał, ale po chwili przesunął je w kierunku profilerki.

– Zawiadom Anitę, że jest mała zmiana planów – zwrócił się do Romanowskiej.

– Pracuję sama – oświadczyła Załuska i zmierzyła Domana wzrokiem. – Nie wpieprzacie się.

– Tego nie mogę obiecać. – Pokręcił głową.

– Będę pana informowała na bieżąco – zapewniła. – I chyba jeszcze o czymś pan zapomniał.

Doman skierował na nią pytające spojrzenie.

– Przeproś! – JahJah dał Domanowi kuksańca i uśmiechnął się chytrze.

– Nie musi się pan kajać – fuknęła Sasza. – Na pana miejscu również brałabym siebie pod uwagę. Taki zawód. Ale niech pan odkręci te pomówienia w trójmiejskiej komendzie. Dopóki nie ma pan żadnego twardego dowodu, niech pan się wstrzyma z raportem. Z plotkami walczyć najtrudniej. Berettę dał mi Duchnowski. Może go pan spytać.

Doman nie odpowiedział.

– I dostanę ją z powrotem – ciągnęła Sasza stanowczo. Wskazała na zdjęcie Łukasza na tablicy. – Ten facet już mnie kiedyś więził. Jeśli chcecie mnie wystawić na wabia, muszę mieć klamkę.

Zapadła cisza. Romanowska kręciła głową. JahJah uśmiechał się ironicznie.

– Inaczej tego nie biorę – dodała profilerka.

– Nie musi pani. – Doman przekrzywił głowę.

Sasza odłożyła akta na stół. Zaplotła przedramiona do pozycji zamkniętej.

– Więcej nie powiem nic bez adwokata i nie ruszam się stąd nawet na krok. W areszcie będę najbezpieczniejsza.

– Nich już będzie – skapitulował Doman. – Trochę blefowałem. Pani kolega, ten gliniarz, co tak panią broni, jeszcze nic nie wie.

Sasza uśmiechnęła się kącikiem ust.

– Skurwiel – syknęła.

Doman zaśmiał się radośnie, jakby usłyszał komplement. Romanowska wysłała JahJah'ę po berettę i komplet naboi.

– Moja ciotka wyprowadziła się na ranczo pod białoruską granicę – zwróciła się do Załuskiej. – Jej mieszkanie stoi puste. To na Piłsudskiego, trzysta metrów od komendy. Błażej przekaże pani klucze. Tam będzie pani mogła w spokoju pracować. Tutaj nie bardzo możemy… – Przerwała.

Sasza spojrzała na nią z wdzięcznością. Postukała w gips.

– Potrzebuję jeszcze kierowcy.

– Służę! – JahJah napiął swoje muskularne ramię.

– Potrzebuję kierowcy, a nie cerbera.

– Właśnie że tak – wtrąciła się Romanowska. – Jeśli ktoś depcze pani po piętach, lepiej, by na podorędziu był ktoś z naszych.

– Ile pan ma wzrostu? – Sasza zadarła głowę i oszacowała Domana.

Zbaraniał, ale po chwili odparł:

– Metr dziewięćdziesiąt dziewięć.

Sasza pokręciła głową.

– Za wysoki. A pana syn? – zwróciła się Frankowskiego. – Nie będzie więcej niż metr siedemdziesiąt pięć.

– Osiem – dodała za niego matka. – A o co chodzi?

– Chcę mój wóz – rzekła Sasza. – Jak już oczywiście technicy z nim skończą. Skoro mam być wabikiem, to na całego. Uniak wymaga wzrostu dżokeja, a nie koszykarza. Nie chcę wysłuchiwać ciągłych narzekań. A na razie mogę jeździć radiowozem.

Romanowska wezwała Błażeja, który stał na korytarzu ze sprejem do skóry. Okazało się, że pojechał do domu niepotrzebnie. Anita Krawczyk była już w drodze do Białegostoku. Kiedy policjanci skończą z Załuską, mieli ją poinformować o postępach.

– Potrzebuję kilku godzin – zapowiedziała profilerka. – A jak będzie coś nowego, nie chciałabym się dowiadywać ostatnia. We własnym interesie nie zamierzam sabotować śledztwa.

Chwyciła torbę. Próbowała zarzucić ją sobie na ramię, ale jej się nie udało. Błażej natychmiast pochylił się i zaczął zbierać przedmioty, które z niej wypadły. Saszy zakręciło się w głowie. Usiadła na krześle, oddychała ciężko. Romanowska przyglądała jej się zaniepokojona.

– Wszystko w porządku?

– Nie. – Sasza wstała z trudem. – Muszę się na chwilę położyć.

– Może się czegoś poduczysz od agentki CBŚ. – JahJah uśmiechnął się do syna.

– Nie sądzę – odparła za młodego Frankowskiego Sasza. – Chyba że wikłania się w cudze śledztwa. Na dodatek bez wynagrodzenia. – Wręczyła policjantowi akta i ruszyła do wyjścia z komendy. – A jeśli chodzi o mojego uniaka – zwróciła się do Błażeja – trzeci bieg nie wchodzi. Trzeba podwójnie odsprzęglić.

– Będę cię obserwował – rzucił jej na odchodne Doman, sądząc, że zaaferowana rozmową nie usłyszy.

Sasza odwróciła się i uśmiechnęła.

– Jeśli będę tego chciała.

Studnia była głęboka i pozbawiona wody. Iwona nachyliła się i wrzuciła kamyk, nasłuchując, jak długo będzie leciał, by osiągnąć dno.

– Echo! – krzyknęła.

W odpowiedzi usłyszała swój zwielokrotniony głos, lecz nie usłyszała dźwięku spadającego kamienia.

Nagle ktoś chwycił ją w talii. Zachwiała się i omal nie wpadła do środka. Odwróciła się i wyraz przerażenia natychmiast zamienił się w radość. Quaku objął ją i długo całował.

– Boski kochany Quaczek – zaśmiała się dziewczyna. Wtuliła się w jego pierś, wdychając zapach ogniska, potu i skórzanego kombinezonu, w który mężczyzna był ubrany.

– Ile jeszcze mam tu siedzieć?

W odpowiedzi wyciągnął zza pazuchy zmięte polne kwiaty. Zapiszczała uszczęśliwiona.

– To ja pojadę na zakupy – przerwał im damski głos.

Iwona pomachała z wdzięcznością Kindze Kosiek, sympatycznej Białorusince, którą poznała na swoim wieczorze panieńskim i z którą od pierwszego wejrzenia polubiły się z wzajemnością. Odkąd się tu ukryła, dokonały wiwisekcji wszystkich swoich związków, zwierzyły się z marzeń, poutyskiwały na chłopaków i żyjących oraz nieżyjących członków rodziny. Kinga dopiero od niedawna była białoruską aktywistką. Wcześniej, w szkole, ostro przeciwko temu protestowała. Jej rodzice wstydzili się wiejskiego pochodzenia. Kinga poszła do „białorusa” tylko dlatego, że wiązała swoją przyszłość z językami obcymi, a tutejsze pracownie językowe były stokroć lepiej wyposażone niż w „polaku”. Musiała jednak najpierw nauczyć się białoruskiego alfabetu, ponieważ wiele zajęć odbywało się w tym języku, a w przeciwieństwie do koleżanek z terenu, jak nazywano mieszkanki wsi pod Hajnówką, w jej domu nie mówiło się gwarą. Na większości przedmiotów nie rozumiała ani słowa. Zaparła się jednak i potraktowała to jak dodatkową umiejętność, która przyda się jej w dyplomacji. Chciała pracować w wywiadzie, choćby na początek białym,

zbierać, analizować dane dostępne publicznie. Może być szpiegiem w placówce na Zachodzie? Uczestniczyć w niebezpiecznych akcjach? Złożyło się inaczej. Germanistykę skończyła w Mińsku, z najwyższą notą, bo nie dostała się na upragnione prawo, a absolwentów białoruskiego liceum z Hajnówki przyjmowano do Mińska bez egzaminów. To miało być tylko koło ratunkowe, a stało się przeznaczeniem. Prowizorki zawsze są najtrwalsze. Zrobiła też kurs literatury angielskiej. Ten język od zawsze był jej pasją. Z angielskiego była samoukiem. Oglądała filmy w oryginale, słuchała BBC, czytała brytyjskie powieści. Mówiła płynnie i bez akcentu, z czego była dumna.

Po studiach okazało się, że jej dyplomu w Polsce nie honorowano. Musiała zdawać egzaminy jeszcze raz. To zajęło jej kolejny rok. Zatrudniła się na kasie w sklepie, bo pracy w swoim zawodzie nie znalazła, a z korepetycji w stolicy nie dało się utrzymać. Wreszcie wróciła do rodzinnej Hajnówki i, za namową matki, poszła odwiedzić starą szkołę. W pokoju nauczycielskim podsłuchała, że szukają anglistki. Dyrektor zawsze jej wieszczył, że daleko zajdzie. Dał jej etat pod warunkiem dopełnienia formalności w ciągu kilku miesięcy. Obietnicę spełniła. I tak zatoczyła koło. Była nauczycielką angielskiego, bo niemiecki cieszył się tutaj małą popularnością. Niestety po pół roku zredukowano zespół i dostała kilka godzin tygodniowo, przejęła schedę po Wasi, emerytowanym profesorze historii Białorusi. Kinga, która dawniej uważała się za stuprocentową Polkę, dziś krzewiła białoruską kulturę, zwyczaje i zaszczepiała miłość do ojczyzny Jakuba Kołasa tutejszym dzieciakom. Żyła z tego, co zarobiła w pizzerii Siciliana.

– Tylko nie wracaj za szybko! – krzyknął za nią Quaku i pociągnął Iwonę do domu.

Był to typowy hajnowski czworak z belek bejcowanych na czarno, z białymi okiennicami i bogato rzeźbioną werandą. Umiejscowiony w samym środku starego sadu. Posesję otaczał murek cmentarny, zamówiony w zakładzie kamieniarskim dla cmentarza w Mikołowie, ale nigdy nieodebrany. Ojciec Kingi kupił go za psie pieniądze i tylko pomalował dla niepoznaki w biało-różowy wesoły wzorek. Kiedy w latach osiemdziesiątych stawiano pobliskie osiedle Mazury, stary Kosiek nie zgodził się sprzedać gruntu i tak bloki wybudowano dookoła jego posesji.

Wysoki murek nie dawał wystarczającej anonimowości, więc obsadził go dodatkowo rzędem jodeł, które bardzo szybko wystrzeliły w górę i przypominały porządny zagajnik. Teraz na tym ranczu w samym sercu miasta mieszkała Kinga. Nie było chyba lepszej kryjówki w okolicy. Wszyscy sądzili, że po śmierci Kośka dom jest opuszczony.

Iwona podgrzała Quakowi zupę. Postawiła na stole świeżo upieczony keks. A potem usiadła mu na kolanach i zaczęła gładzić go po włosach.

– Boli? – Jurka wskazał jej zabandażowaną rękę.

Skinęła głową.

– Mogłeś mnie trafić – szepnęła.

Pochylił głowę i ucałował jej opatrunek z namaszczeniem, jakby to była relikwia święta.

– No, już dobrze – roześmiała się. – Do wesela się zagoi.

Wtulił twarz w jej biust i wyszeptał:

– Nie wiem, co bym zrobił, gdyby coś ci się stało.

Zdało się jej, że słyszy jego łkanie, więc objęła go ramionami i zapytała:

– Jak długo będę musiała tu siedzieć?

– Źle ci tu? – Przyjrzał się jej skaleczeniom na twarzy. – Takie przymusowe wakacje. Nie ma cię dla wszystkich poza mną. Jak to jest?

Iwona się rozczuliła. Dała się pieścić, dotykać. Kiedy jednak rozpiął pierwszy guzik jej bluzki, zaczęła narzekać.

– Telewizora ani internetu. Nawet telefonu nie mam.

– Zaraz by go namierzyli.

– To zorganizuj mi nowy. Na kartę.

– Myślę o tym – wykpił się.

A dziewczynie przemknęło przez głowę, że Quaku nie ma pieniędzy. Przyjrzała mu się. Z trudem hamowała rozgoryczenie.

– Piotr wie?

Skinął głową.

– Wyznaczył nagrodę.

– Pięćdziesiąt czy sto?

– Pięćdziesiąt. Wszyscy cię szukają.

– Szkoda, że nie sto – westchnęła. – Stary sknerus. Jak ci się udało przedostać?

Quaku nie odpowiedział.

– Ufasz jej? – Wskazał zdjęcie Kingi z rodzicami, stojące na komodzie.

– A mam inne wyjście? Jestem teraz jedną z was. Białorusinką.

Quaku odsunął talerz. Iwona zapytała, czy chce dokładkę. Pokręcił głową.

– Wiesz, że to auto było trefne?

– Kradzione?

– Ludzie mówią, że kiedyś było narzędziem zbrodni. Trzeba było je zabrać albo wrzucić do bagna. Będą tam nasze ślady. A ta kobieta, w tym niebieskim struclu, co się napatoczyła, to jakaś policjantka. Boję się, że będą z nią kłopoty.

Iwona się zamyśliła. Wstała, podeszła do okna. Uchyliła firankę, rozejrzała się, a potem poluzowała zapięcie zasłony. Aksamit bordo spłynął kaskadą, zabierając z pomieszczenia niemal całe światło.

– Nie żałujesz? – Quaku podszedł do niej, objął ją od tyłu. Położyła mu głowę na piersi. Długo nie odpowiadała. – Wszystko poszło inaczej, niż planowaliśmy.

– Jeśli nie będę musiała tutaj spędzić całego życia. – Wyjęła mu zza pazuchy telefon. Próbował go jej zabrać, ale uciekła, zaśmiewając się. – Albo jeśli ty zamieszkasz tu ze mną.

Quaku zabrał jej komórkę. Schował do kieszeni, zasunął suwak.

– Nie ufam jej. – Wskazał znów zdjęcie na komodzie.

– Ty nikomu nie ufasz.

– Nawet tobie? – szydził. – Znów zaczynasz. Tak mi się wtedy powiedziało. Byłem zły. Nic nie rozumiałem.

– Mnie raczej powinieneś. Jestem gwarancją naszego życia.

– Tym bardziej boję się, że on może znów spróbować.

– Wypluj te słowa! – Iwona się wyprostowała.

– Głupi żart.

Chwycił worek żeglarski, który przyniósł ze sobą, i zaczął wyciągać z niego męskie ubrania. Wyjął też drugi kombinezon motocyklowy i starą perukę blond.

– Teraz mam się przebrać za Krystynę Loskę? – zaniepokoiła się Iwona.

– Wyjeżdżamy.

– Kiedy?

– Za chwilę – uśmiechnął się.

Iwona czuła, jak rozgrzewa ją w dołku. Chyba znów się w nim zakochała. Był kompletnie szalony. A ona głupia, ale czuła się z nim wspaniale. Nie zamierzała już walczyć z tym, co czuje. Takich emocji nie dostarczał jej nikt inny.

– Mama wie?

Zaprzeczenie.

– A Piotr?

Quaku nie odpowiedział.

– Sama mu powiesz. Czeka na nas u mojej matki. Ma przywieźć pieniądze.

Iwona jednym zdecydowanym ruchem zdjęła przez głowę sukienkę, chwyciła kombinezon, rozpięła suwaki. Quaku podszedł do niej, kiedy zaplątała się w halkę. Objął ją w talii. Całował dekolt powyżej biustonosza. Zaśmiała się, szamocząc z ubraniem, ale poddała się pieszczotom.

– Chyba dziesięć minut nas nie zbawi – szepnął.

Kombinezon spadł na podłogę. Iwona przesunęła ze stołu talerze. Quaku uniósł dziewczynę za biodra, jakby ważyła tyle co piórko, i oparł na blacie. Położyła się na plecach. Czuła, jak Quaku zębami ściąga jej majtki i wtula twarz między jej nogi. Przymknęła oczy.

Żadne z nich nie słyszało, kiedy na posesję wjechał samochód. Kierowca zahamował gwałtownie, wysiadł. Nie gasząc silnika, podszedł do studni i zajrzał. Była pusta, pozbawiona wody. Wrzucił do niej zawiniątko w szmacie. Reklamówkę, w której przechowywał przedmiot, złożył

w kostkę i schował do kieszeni. Zawiniątko musiało być stosunkowo ciężkie, bo usłyszał głuche tąpnięcie, kiedy osiągnęło dno. Potem wyjął niebieski sprej i narysował godło Pogoni, choć nie był pewien, czy to wersja białoruska, czy litewska. Nigdy się na tym nie wyznawał. Po namyśle dopisał cyrylicą: „Rezać Lachów”. A kiedy skończył, wsiadł do auta i odjechał, zostawiając na trawie ledwie widoczne ślady bieżnika.

– Powiesz im wszystko.

– Wszystko?

– Wszystko to, co chcą wiedzieć. – Krzysztof Saczko wyjął z szafy niebieskie crocsy, odkleił metkę i ustawił je równo obok biurka. Zdjął marynarkę, poluzował krawat. Pochylił się i stękając, rozpoczął walkę z obfitym brzuchem. Z głową pod biurkiem wychrypiał: – Podaj mi, proszę, kitel.

Magdalena Prus podniosła brew w geście zdziwienia i wstała, by poszukać rzeczonej części garderoby. Leżał w folii na stoliku kawowym. Kiedy się odwróciła, obuwie miał już zmienione i rozkładał dokumenty na biurku, tworząc pozorny bałagan.

– Spodziewasz się gości?

– To raczej nieuniknione. Niech sprzątaczka niczego tu nie rusza.

– Nie odważyłaby się.

– Ty też.

– Ja w przeciwieństwie do ciebie wiem, co tu masz.

– I dlatego cię wytypowałem. – Rozpromienił się.

– Prawdziwie zaszczycona.

Magdalena uśmiechnęła się z przekąsem. Saczko od lat nie przebierał się w lekarski strój. Podobnie jak od lat nie widywano go na korytarzu Ciszyni na drugiej zmianie. Czasem tylko przyjeżdżał w nocy, bez uprzedzenia. Wiedziała to od dyżurującego personelu. Wpadał, przebiegł się korytarzem dla niepoznaki i wracał do domu służbowym wozem. Niby tam miał swój prawdziwy gabinet, gdzie wypełniał dokumenty o dotacje i granty. Zresztą skutecznie. Był frontmenem tej jednostki, uwielbiał prezentować swoje pastelowe koszule na sympozjach i podróżować klasą biznes. To ona odwalała czarną robotę. Spędzała w klinice połowę wolnego czasu, trzymała personel w karbach. Lubiła jednak myśleć o sobie, że jest Richelieu i kiedy tylko nadejdzie stosowna pora, wystarczy, że wyciągnie dłoń i sięgnie po tron. Na razie Saczko był jej jednak potrzebny. Z łatwością

wodziła go za nos, przekonywała do swoich planów. Poza tym znacznie lepiej wypadał jako małpa na drucie. Ona nie miała w sobie tyle gibkości. Dziś jednak nie chciał iść na komendę. Bał się zdemaskowania? Oboje wiedzieli, że to nieuniknione. Zwłaszcza po tym, co się wydarzyło.

– Kogo chcesz oszukać?

– Ja? – udał zaskoczonego. – To niewłaściwe określenie, Madziu. „My” byłoby właściwsze. Cały czas jesteśmy zespołem.

Nie znosiła, kiedy tak się do niej zwracał. Wiedział o tym. Zrobił to umyślnie, by ją rozdrażnić.

– Powinnam o czymś wiedzieć? – Z koszyka na parapecie wyjęła garść mandarynek i zaczęła je sprawnie obierać.

– Będą pytać o wszystko.

– Mam im dać dokumenty?

Poluzował krawat. A potem zdjął go i rozpiął górny guzik seledynowej koszuli.

– Oczywiście.

– A tajemnica lekarska?

– Masz służyć pomocą i wsparciem. Być im przyjaciółką, sojusznikiem, ale nie dać się wziąć pod but.

– To moja specjalność.

– Dzięki Bogu, tego trupa nie znaleźli u nas. Dopiero by było.

Magdalena wkładała z gracją do ust cząsteczki kolejnej mandarynki. Miąższ pociekł jej po brodzie. Szybko otarła go chusteczką. Saczko nawet nie zauważył.

– Jesteśmy kryci – wymruczała z pełnymi ustami. Wstała i wzięła kolejną garść owoców. – Dziewczyna uciekła, zgłosiliśmy to. Była poszukiwana. Polak ma glejt trzech komisji. Nie możemy brać odpowiedzialności za pacjentów poza zakładem. Jesteśmy czyści.

– To tylko początek.

Prus odsunęła od siebie górkę ze skórek. Cytrusowy aromat rozszedł się po pomieszczeniu. Saczko spojrzał na nią z góry i rzekł:

– Nie chodzi o Pietrasikównę ani nawet Polaka. Będą pytać o Piotra. Może jeszcze nie dziś, choć kto wie, co już wyniuchali. Potem zrobią nam audyt. Na jakich zasadach został przyjęty? Dlaczego tu nie przebywał? Kto parkował jego mercedesa przed szpitalem? Kto nim jeździł? Jeśli dojdą, że lewe skrzydło sfinansował New Forest, przypną się nam do czterech liter.

– To nie jest nielegalne. Był u nas prawie rok.

– A kto znalazł okularnika?

Wzruszyła ramionami.

– Warszawska straż miejska. Na podstawie nieuregulowanego mandatu. Zholowali wóz, odstawili na parking policyjny. Prokuratura trzymała auto do czasu umorzenia sprawy. Oddali i zgodnie z prawem mógł nim jeździć. Wstawił do garażu. Miał prawo. Choć oczywiście ja bym natychmiast pozbyła się takich wspomnień. Zwłaszcza jeśli byłyby tam ślady mojej winy.

Saczko pokręcił głową.

– Ja go odebrałem. Podpisałem dokumenty na Żytniej. Osobiście.

– Nie wierzę! – Magdalena zaczęła się śmiać. – I boisz się, że do tego dojdą?

– Tak – przyznał. – A co gorsza, nie mogę tego ujawnić. To mój przyjaciel.

– Chyba tak ci się tylko zdawało.

– Być może. Ale mój podpis widnieje w dokumentach. Jeśli na to wpadną, będę pozamiatany.

Nadal nie rozumiała. Zza drzwi dobiegł ich hałas.

– Przed świętami połamał choinki. Grozi mi na każdej zmianie. A teraz bezczelnie rozwiesza w maszynowni swoje śmierdzące nachy i jeszcze buntuje przeciwko mnie załogę – pokrzykiwała rozzłoszczona kobieta.

Zanim Saczko zdążył zareagować, szarpnęła za klamkę i wdarła się do pomieszczenia bez pukania.

– Dosyć tego! – dokończyła zapalczywie lalunia w uniformie firmy sprzątającej, ale na widok Magdaleny natychmiast grzecznie dygnęła i zacisnęła usta.

W ręku miała przepisowy czepek, lecz przed wejściem musiała bogato się skropić duszącą wodą toaletową, bo czuć ją było z ponad metra. Złość musiała być zaplanowana, stwierdziła Magdalena i pociągnęła nosem. Zarejestrowała natychmiast, że to nie były perfumy z Biedronki. Zastanowiła się, jakim cudem szefowa sprzątaczek inwestuje kilkaset złotych w Addict Diora i używa ich do pracy.

Saczko podbiegł do kobiety z iście kocią miękkością, jakiej Magdalena się po nim nie spodziewała, biorąc pod uwagę jego napasione cielsko. Usunęła się pod okno. Wzięła ostatnie dwie mandarynki i szybko je obrała.

– Panie dyrektorze, proszę o zgodę na zwolnienie tego kmiota! – zakończyła sprzątaczka dyszkantem, ale zaraz zamilkła na widok miny Prus, która wprawdzie podniosła tylko lewy kącik ust w uprzejmym uśmiechu Mona Lizy, lecz nokautowała młodą kobietę wzrokiem. – Już dłużej nie zniosę tego psychopaty.

– Później, kochana Halinko, później! – Dyrektor wypchnął rumianą ślicznotkę za drzwi i dorzucił protekcjonalnie: – Przyjdę zaraz do ciebie i się rozmówimy. Wszystko da się wyjaśnić. To nie piekarnia. Mam tu naradę.

Zatrzasnął drzwi i chwycił pustą teczkę, zaczął się wachlować.

– Co za hiena – mruknął do siebie. – To już trzeci konflikt z podwładnym w tym kwartale. – I zaraz zwrócił się do Magdaleny. – Pomówiłabyś z nim. Niech się chłopak opanuje. Wszyscy wiedzą, że to pieniaczka.

Magdalena skinęła głową, ale nie mogła się powstrzymać przed kpiną.

– Halinka Kretynka. Nie rozumiem tylko, po co się tłumaczysz? To, że raz czy dwa ją wyłomotałeś, do niczego cię nie zobowiązuje, Krzysiu!

Obrzucił ją nienawistnym spojrzeniem.

– Dobra już, dobra. – Prus podniosła ręce w geście kapitulacji. I zaśmiała się. – Każdy ma prawo do błędów. Ale na odchodne przynajmniej dostała dobrą perfumę.

Saczko oblał się rumieńcem jak sztubak i natychmiast zmienił temat.

– Kuba tylko ciebie posłucha.

– Oczywiście, ale po co? – Magdalena wzruszyła ramionami.

Saczko podparł się pod boki.

– Słyszałaś. Buntuje ludzi. Halina doprowadzi do jego zwolnienia. Mam się go pozbyć?

– A znajdziesz kogoś lepszego na to miejsce? Kto ci za tysiąc złotych brutto będzie pucował marmury, windy i kabiny prysznicowe? Nigdy nie było u nas tak czysto. Niech sobie wiesza te gacie. Co jej do tego! Widzisz je? Bywasz tam? Kto z nas tam chodzi!? W składziku suszą się mopy, stoi maszyna do polerowania posadzki i detergenty. Kaloryferów jest aż nadto. Nikomu nie ubędzie ciepła, jak jedne galoty raz w tygodniu się posuszą. Niech ma chłopak radochę, że chwilowo wygrał.

Saczko starł pot z czoła.

– Może i racja. Ale to ona go zatrudnia. Jest firmą zewnętrzną. Co ja mogę?

– My go zatrudniamy – poprawiła go Magdalena. – Na umowie śmieciowej. I tylko dlatego się zgodził. A ponieważ dopuściłeś go do wszystkiego, wie, że jest praktycznie nieusuwalny. Baba widać nie sprawdziła kwitów. Co za kretynka!

Wyrzuciła skórki do kosza, co do ostatniej drobiny. Wstała.

– Muszę już iść. Czekają na mnie w komendzie. Mam im dać wszystko. Jesteś pewien?

Pokiwał głową.

– Tylko prawda może nas uratować.

– Nie ma obiektywnej prawdy. Jaką mam im dać? Moją, twoją czy Halinki Kretynki?

– No przecież mówię, że połowiczną. O świeżej sprawie, jak pan Bóg przykazał. Jak zaczną pytać o Piotra, idź w syndrom Otella, nieudowodnioną winę i tego kochasia Łarysy Szafran. Ujawnij trochę z badań psychiatrycznych, ale tylko to, co jest w dokumentach. Nic sama z siebie. Nadgorliwość gorsza od faszyzmu. Niech mają poczucie, że zdradzasz im największe tajemnice lekarskie. Wiesz przecież, jak to się robi.

– Byle nie dowiedzieli się o lewym skrzydle – uśmiechnęła się. – Bo właśnie to powinnam ujawnić. Uprzedzić ich ruchy. Niech się zajmą

audytem budowlanym, forsą, może korupcją. O *fuck*, zostaliście z Okularnikiem kumplami – udała, że sobie przypomina. – Przecież podpisałeś ten dokument odbioru auta. I to rok po leczeniu. Domyślą się, że coś masz na sumieniu, i zaczną cię maglować.

Przestraszył się. Podszedł do niej blisko i chwycił za kościste ramiona. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że wygląda dziś znacznie młodziej. Ale nie skomentował. Nie czas na komplementy, kiedy płoną lasy.

– Przecież każdy w mieście to wie – rzuciła wyzywająco.

– Widziałaś ten wóz ostatnio?

Pokręciła głową. Stała sztywno. Nie czuła się komfortowo, kiedy jej dotykał.

– Piotr ma chyba z siedem aut – odparła. – Ten samochód nigdy mnie nie interesował. To wrak. I źle mi się kojarzy.

– Nic nie wiesz – westchnął Saczko. – Nie widziałaś go w środku.

Przechylił głowę i wykrzywił wargi w chytrym uśmieszku.

– Nie wierzę, że ani razu nim nie jeździłaś. Nawet wtedy, gdy ty i on…

– To jedynie pogłoski – rzuciła bez wahania i strząsnęła jego ręce. Ruszył do biurka, zapadł się w fotelu. Patrzył na nią w milczeniu. Czekał na odpowiedź. – Jeśli ty nie puścisz pary o mnie i Piotrze, ja nie zająknę się o lewym skrzydle – obiecała wreszcie. – Jedziemy na tym samym wózku.

Saczko wychylił się na krześle.

– Przecież oboje wiemy, że między wami nigdy nic nie było.

– Lewy romans zawsze jest skuteczny.

– Idź już, idź.

Założyła na ramię torebkę od Jane Shilton, zapięła dolny guzik garsonki. Kiedy wychodziła, krzyknął:

– O której podają kolację? Strasznie zgłodniałem.

– Przyjrzyj się – powiedział podkomisarz Paweł Leśniewski, szef techników białostockiej komendy, który przyjechał do Hajnówki wraz z Tomaszem Domańskim i od prawie dwunastu godzin pracował nad zebraniem śladów z samochodów, które zabezpieczono w Puszczy Białowieskiej po uprowadzeniu Iwony Bejnar.

Stali teraz przed czarnym poobtłukiwanym mercedesem typu okularnik. Na karoserii widać było mnóstwo zadrapań od gałęzi i leśnego gąszczu. W niektórych miejscach lakier odpadł, demaskując białe smugi szpachli. Niemal cały dolny zderzak zżerała korozja. Tylnego błotnika nie było wcale.

– I co widzisz?

– Strucla nie gorszego niż mój. A ty coś innego? – mruknął Doman i wyjął papierosa z paczki.

– Teraz nie. – Technik powstrzymał go gestem. – Nie będziesz mnie wodził na pokuszenie.

Doman z niechęcią schował paczkę do kieszeni. Wyjął gumę do żucia, poczęstował Leśniewskiego, ale tego również odmówił.

– Dentysta mi zabronił. Paradontoza. – Wyjął gumę antynikotynową. Zaczął głośno cmokać. – Mam swoje cukierki, wielofunkcyjne. I tak zgrzytam w nocy.

– Mogłem się domyślić, skąd to podniecenie – mruknął Doman. – Który to już raz rzucasz w tym miesiącu?

– Bury. Tym razem dałem słowo ślubnej. Ona trwa już drugi rok, to i ja nie mogę być miętki Bolek.

– Streszczaj się, Pawełku, bo zaraz mam przesłuchanie. Numery się zgadzają? Licznik nie przekręcony? Krew, włosy, paluchy. To, jak rozumiem, wszystko macie.

Leśniewski wcale go nie słuchał. Machnął ręką, że nie o to idzie, i obszedł auto dookoła.

– Nuda – rzekł. – Raport masz już prawie na biurku. Mam coś znacznie lepszego. – Otworzył drzwi auta. – Strucel, powiadasz?

Nacisnął dźwignię koło kierownicy. Auto uniosło się o kilka centymetrów. Technik odwrócił się, by ocenić efekt, już teraz widoczny na twarzy Domana. Był to niekłamany zachwyt chłopca, który właśnie otrzymał upragniony wóz strażacki.

– Zajebiaszczy patent. Ile razy miskę olejową bym oszczędził! – zawołał, ale napotykając potępiające spojrzenie Leśniewskiego, dodał: – Niekiepawy znaczy się, kierowniku Pablo.

– W kilkanaście sekund stary okularnik zamienia się w auto terenowe. Oczywiście to nie to samo co patrol ani nawet prosty łazik. Po wydmach i grząskim bagnie nie pojedzie. Ale po wyrębach, takich jak w okolicy Białowieży, można hulać bez ograniczeń.

Doman gwizdnął.

– To dlatego klient bez problemu przejechał równoległą do szosy i dopadł młodą na młodniaku.

– Owszem – potwierdził technik i wskazał plastikowe listwy przymocowane do podwozia. – Wyglądają tandetnie i są mocno porysowane, ale to materiał niezniszczalny. Tytanowe wzmocnienia. Prawie jak w czołgu. Zarysowania to tylko zdarty teflon, położony dla zwykłej estetyki. I może ci się też przyda informacja, że ten wóz nie pierwszy raz jeździł po tutejszej głuszy. Rzekłbym, że on głównie tam jeździł. Przynajmniej od ostatniej zimy. Zabezpieczyliśmy na podwoziu, ogumieniu i wzmocnieniach resztki mchu, listowie, ziemię oraz fragmenty zwierzęcych odchodów. Wręcz wrosły w rowki na powierzchni. Musiał też niedawno skasować ptasie gniazdo. Są reszki białka.

– Jeździł po drzewach, czy jak? – Doman uśmiechnął się z przekąsem.

– Relacjonuję tylko, bo może ci się to przyda, jak będziesz szukał zwłok. Możemy ustalić, co to za ptak. Może mieszka w runie leśnym?

Doman spoważniał.

– Sądzisz, że woził nim ciała?

– Za wcześnie na takie wnioski. Próbki poszły do analizy. Dam znać, jak tylko będzie pewność. Jest fura włosów, paluchów. Krew też jest. Zaraz do

tego dojdę.

Doman zerknął na zegarek.

– Jak ja zaraz nie dojdę na przesłuchanie tej lekarki, weźmie ją łysy Czupryna. A Fantomas może mi położyć całą sprawę. Zlituj się, Pawełku.

– Cierpliwość jest gorzka, ale jej owoce słodkie. – Leśniewski się uśmiechnął. – Ukochasz mnie, jak skończę.

Doman westchnął.

– Jeśli liczysz, że obejmę cię swoimi włochatymi udami, to się grubo mylisz, skurwielu.

Twarz Leśniewskiego wykrzywił grymas obrzydzenia, lecz kontynuował:

– Klient nie trudził się jeżdżeniem do myjni. I zaznaczam, że te ślady nie są tożsame z tymi, które mogą pochodzić z ostatniej wycieczki. Zabezpieczyłem je osobno.

– Aha – zdołał powiedzieć Doman. – Może coś konkretniejszego? O co chodzi z tymi wzmocnieniami?

– Nie jestem biegłym badań mechanoskopijnych, tylko prostym technikiem. Dajcie go do ekspertyzy Lechowi. Będzie zachwycony – zbył go podinspektor. – Ale patrz teraz. To jest kosa.

Otworzył drzwi od strony pasażera. Miękka wyściółka została zdjęta. Na blasze widać było cztery potężne otwory.

– To pamiątka po strzałach. Sprawa zaginięcia Szafran, pamiętasz. Osobiście robiłem ten wóz, jak go znaleźli w dwutysięcznym. Przypominam ci, że wtedy był biały jak karetka doktora Pawicy z *Na dobre i na złe*. I zniknął z miejsca postrzału na ponad rok. Potem cudownie się odnalazł i znowu zniknął.

Doman skinął głową.

– Blachy wyklepano. Położono nowy lakier. T cztery W Tiefschwarz z oferty Mercedesa o wysokim połysku. Sto czterdzieści złotych za cztery kilo. Nie musisz kryć go bezbarwnym lakierem i jest zakazany dla innych marek. Zakup tylko u renomowanych sprzedawców Mercedesa.

– Nie w czasach internetu, chłopie.

– To już twoja broszka, jak znaleźć dostawcę. Mówię, co wiem.

– No i jaki z tego morał? Też wolałbym mieć błyszczący wózek.

– A ja wolę mieć niebłyszczący niż należący do małżonki – odciął się Paweł.

Doman nadął się obrażony.

– Ktoś bardzo się natrudził, by zachować je na pamiątkę. – Leśniewski wskazał otwory po kulach. – Spójrz, nawet załamania są pociągnięte preparatem antykorozyjnym. Dziury oszlifowano, zdają się większe.

– Lakier to jedna bajka, ale wymiana drzwi już inna – głośno myślał Doman. – Może żałował kasy na tego zgreda?

Leśniewski pokiwał Domanowi palcem.

– I tu się, chłopie, mylisz. Na ten wóz nie pożałowano kasy. A te dziury, moim skromnym zdaniem prostego chłoporobotnika, to totem. Patrzaj się.

Wyciągnął siedzenie. Było pokryte ekologiczną skórą i miało jeszcze fabryczną wklejkę. Widniał na niej rok 2010. Potem skinął na asystenta, by przyniósł wyściółkę.

– Wszystko w tym aucie wymieniono na nowe. Fotele, tapicerkę nadwozia, kierownicę. Nawet prędkościomierz. Niektóre sprzęty nie mają nawet roku. A co najważniejsze, tego strucla obsługuje najnowocześniejszy komputer mercedesa S trzysta pięćdziesiąt. BlueTEC, zwany najnowszym statkiem kosmicznym tej marki. Gdyby zdawał test na inteligencję, uzyskałby lepszy wynik niż wielu kierowców. Widzi trójwymiarowo i rozpoznaje nierówności drogi, by dobrać właściwą charakterystykę tłumienia. Pole widzenia w trzystu sześćdziesięciu stopniach. Widzi w ciemności, daleko poza zasięg świateł reflektorów. Potrafi głosowo odczytywać esemesy i mejle. Umie sobie podgrzać płyn do spryskiwaczy i zarządza pięciuset diodami LED. Wiesz, dlaczego porywacz zabrał uniaka profilerki? Bo okularnik nagle zdechł.

– System antynapadowy?

– Coś znacznie lepszego. Auto działa na odcisk palca. Pojedzie maksymalnie pięć kilometrów, potem się zatrzymuje i wyłącza system *really dead*. Udaje trupa. Dosłownie. By go uruchomić, musisz mieć palec właściciela lub wezwać specjalnego człowieka z laptopem z centrali

Mercedesa, by postawił system na nowo. Ten bajer mają tylko auta rządowe i tacy bogacze jak doktor Kulczyk czy król Zygmunt.

Doman podniósł brew.

– No, ten od telewizji, co wziął największy kredyt w historii Polski. Sto miliardów, żeby kupić telefonię komórkową. Ma swój bank, firmę ubezpieczeniową i radio, które gra klasykę, bo król lubi Rachmaninowa.

– Skąd wiesz?

– Bo się interesuję. Gazety czytam. Głównie ten szmatławiec Latkowskiego. Oni w kółko piszą o Zygmuncie. Ma widać z nimi kosę. By takie coś mieć, wystarczy pół stówy. – Leśniewski się zawahał. – No, może faktycznie cała stówa.

– Więc to jebany pan samochodzik?

– Na to wygląda.

Doman podrapał się po czuprynie.

– Ile to kosztowało? Ta przeróbka. Razem z komputerkiem.

– W chuj.

– Kto montuje taki sprzęt do starego opakowania?

– Jesteśmy w małej mieścinie – tłumaczył Leśniewski. – Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. Tak to widzę, jakem ze wsi. Gdyby Okularnik sprawił se tunning z chromowanymi rurami i folklorystycznym wydechem dla efektu, każdy by gadał, że popisuje się forsą.

– Tu nie chodzi o forsę – przyznał Doman. – Co dalej? Bo to nie wszystko. Znam cię, łachudro.

Leśniewski podszedł do kierownicy.

– Auto ma instalację gazową bez homologacji. Samoróbka. Ale co ciekawe, zbiornik wymontowano. Został tylko przełącznik i otwór wlewu paliwa. Tutaj. – Wskazał dziurę w miejscu błotnika. – Widzisz? Urwane.

– Błotnika nie zdejmowałeś?

– Nie było go. Zaczepy pęknięte. Koleś nie trudził się nawet ich zdejmowaniem. Zresztą musiałby to zgłosić. Po prostu jeździł na benzynie. Gazu nie tankował. W papierach ma pewnie, że instalacja sprawna. Wystarczy, że ktoś mu podbijał raz na rok pieczątkę.

– Znajdziemy tego cwela. Mam kilka adresów – mruknął zawiedziony Doman. – Instalacja gazowa. Też mi odkrycie. Myślałem, że powiesz coś o czujnikach parkowania na podczerwień albo schowku na race przeciwpancerne?

– Tego nie zauważyłem, ale warto prześledzić historię tego wozu w wydziale komunikacji. Może tam być wiele ciekawostek. Dużo przeżył, chłopina.

– Jak jego właściciel. Sprawdzimy wszystko. Mandaty, fotoradary, uruchomię też ubezpieczalnię. Nie bój nic.

– I to lubię. – Leśniewski uśmiechnął się pod nosem. – Pamiętaj o tym, że auto pojechało tylko pięć kilosów od miejsca parkowania. Ani metra dłużej.

– A więc nie prowadził go Bondaruk.

– On nie przyłożył do tego porwania palca – potwierdził Leśniewski. – W sensie dosłownym oczywiście. Choć mógł prowadzić. Odcisków mamy po kokardkę, wyniki jutro.

– Czyli sugerujesz, że mamy szukać garaży w promieniu pięciu kilometrów od miejsca zdarzenia, czy tak?

– W końcu poniał! – Leśniewski podparł się pod boki.

– Ale las ciągnie się tam na trzydziestu. Za chuja nie ma nawet zabudowań. Musiałby stać pod gołym niebem, w jakimś szałasie.

– I to właśnie mnie od początku nurtuje, chłopie.

Stali chwilę w milczeniu. Doman pękł i zapalił. Leśniewski nie zdążył powstrzymać kolegi.

– Wstawił komputer za stówę i zainstalował gaz? – dumał głośno Domański. – *For what?* Pan ekscentryk?

– Tu wszystko jest po coś.

– Najlepsze zostawiłeś na koniec, co, cwaniaku? – domyślił się Doman. Wyprostował się. Czekał. – Dawaj deser.

Technik zdjął spadochronowy beret i zmierzwił skąpe owłosienie. Ruszył do bagażnika. Doman za nim podreptał.

– Tutaj powinien być zbiornik na gaz. – Leśniewski podniósł filcową pokrywę. – Ale jest to.

W miejscu na koło zapasowe leżało zawiniątko w kraciastym kocu.

Doman nie wytrzymał. Włożył rękawiczkę, zerwał koc. Ułożone według wielkości leżały tam piły, tasaki, pręty i stary rewolwer typu buldog z lufą obciętą zaraz przy magazynku. Doman chciał go podnieść i przyjrzeć się z bliska, ale Leśniewski go powstrzymał.

– Jest niesprawny – wyjaśnił. – Zresztą to tylko połowa arsenału. Bierzemy to wszystko do komory cyjanoakrylowej. Nie będę się z tym bawił tutaj, detalicznie. Zostawiłem tylko dla ciebie.

– Dla efektu? – dokończył nadkomisarz. – Chciałeś zobaczyć moją głupią minę?

– Właśnie. – Leśniewski rozciągnął usta w szerokim uśmiechu. – Oczywiście sprawdzimy, czy ten obrzyn nie pasowałby do dziur w karoserii.

– To by wtedy grało i buczało – rozmarzył się Doman. – Inszallah.

– A w bagażniku tego dziadka znaleźliśmy prawdziwy skarbuś.

Teraz technik podszedł do ściany i wskazał drugie auto – niebieskie uno Załuskiej. Za ułamaną rączkę podniósł przenośną lodówkę biwakową. Otworzył. Pod warstwą zmrożonego mięsa, warzyw skrojonych w kostkę i lodów waniliowych znajdowały się foliowe pojemniki z długimi rurkami zakończonymi wenflonami. Były fachowo opisane i zawierały brunatną ciecz.

– Ludzka. – Technik uprzedził pytanie Domana. – Jeden był pęknięty, więc natychmiast zaspokoiłem swoją chorobliwą ciekawość. Zastosujemy żel agarowy, najstarszą i najprostszą metodę na świecie. Chłopcy z labu zrobią PCR i jeszcze dziś wieczór będziesz wiedział, czy należała do damy, czy też dżentelmena.

– Ile tego jest?

– Sześć litrów bez dwóch setek. Tyle, ile krwi zawiera w sobie przeciętny człowiek.

– To krew jednego człowieka? – z trudem wydukał Doman.

– Zaufaj starej pigule. – Leśniewski wskazał na opis na każdym z opakowań. – Dzwoniłem też do Julity. Ślubna potwierdziła, że tak oznacza się krew do transplantacji. Zresztą, te worki też są mega pro. Spuszczono ją z jednego gościa. Tak w każdym razie wskazywałyby opisy, ale oczywiście wszystko zbadamy jeszcze laboratoryjnie. Na twoim miejscu sprawdziłbym jednak każdego zatrudnionego w tutejszym szpitalu. Jeśli wiedzą, że mamy te dwa wozy, zaczęli już sprzątać kurnik.

– Jeśli to jucha jednego człowieka, to raczej skrwawił się na śmierć – zaczął niepewnie Doman.

Przemknęło mu przez głowę, że może zamiast szukać zabójcy pensjonariuszki z Ciszyni, powinien zamówić śmigłowiec, georadar i szwadron wojska, by szukać ciała panny młodej, nowo poślubionej małżonki pana samochodzika. Już widział minę komendanta, kiedy mu powie o dodatkowych kosztach.

– Niekoniecznie. – Paweł wzruszył ramionami. – Człowiek może wciąż żyje i ma się wspaniale.

– Co ty chrzanisz? – Doman odwrócił się gwałtownie.

Wieko lodówki się zatrzasnęło.

– Tak może być, jeśli przetoczono mu sześć litrów całkiem nowej, świeżutkiej krwi. Jutro wieczorem laboratorium da znać, kto mieszka w tej lodówce. Julka nie zdąży wcześniej. Już ją prosiłem.

DUNIA
(1957)

Kanarkowe sandały z lichej tkaniny były okrutnie brzydkie, ale Dunia nie mogła się na nie napatrzeć. Kiedy szła spać, stawiała je na parapecie, by były pierwszym, co zobaczy po przebudzeniu. Michaił Gaweł, mąż jej ciotki, który przygarnął Dunię po śmierci rodziców, kupił je na targu za resztkę pieniędzy po sprzedaży zboża i darował przysposobionej córce z przeprosinami, że na lepsze obuwie go nie stać. Jego dzieci dostały tego dnia o wiele cenniejsze prezenty, ale Dunia i tak była szczęśliwa. Zwykle Michaił opędzał ją garścią łakoci, jak malucha, lub zwitkiem kolorowych ścinek od krawca. Wiedział, że, jak matka, Dunia lubiła szyć.

Tylko raz odważyła się przymierzyć nowe sandały. Oczywiście wcześniej długo moczyła stopy w wodzie z mydłem i łopianem, by nie skalać materiału w kolorze dopiero wyklutego kurczaka. Leżały jak ulał. Przez całe tygodnie nie odważyła się nawet chodzić w nich po domu, a co dopiero wyjść na dwór. Wystarczyło jej ich posiadanie. To były jej pierwsze prawdziwe buty z miasta.

Miała już osiemnaście lat, ale latem, jak wszyscy we wsi, ganiała boso. Tylko do cerkwi i szkoły wkładała słomiane łapcie, które sznurowała aż po kolano, by nie spadały. Zimą obowiązywały walonki. Stopy owijała szmatami, wnętrze wykładała gazetą, bo były o kilka numerów za duże. Pochodziły z dobytku radzieckich żołnierzy porzuconego przy torach przed ewakuacją. Z niecierpliwością czekała na okazję, kiedy wreszcie będzie mogła włożyć nowe obuwie. I dziś wieczorem Michaił oświadczył jej, że taka się właśnie nadarzy.

Z samego rana mieli jechać do urzędu, by Dunia odebrała swój pierwszy dokument tożsamości. To był ważny moment dla całej rodziny. Dunia Załuska była jedyną żyjącą spadkobierczynią majątku po zmarłych rodzicach i tego samego dnia, z dowodem, miała pójść do notariusza, by przepisać ziemię Załuskich na Michaiła i Olgę – swoich dobroczyńców. Tylko dlatego przez te wszystkie lata ciotka ją „hodowała”.

We wsi dziwili się, dlaczego, mając takie powodzenie, Dunia nie zaręczyła się jeszcze z żadnym z chłopców, jak uczyniły to prawie wszystkie jej koleżanki. Zestarzejesz się i nikt cię nie weźmie. Żyć

zamierzasz kątem u ciotki? Masz przecież posag. Zadbaj o swój los – ostrzegali. Ale dziewczyna nie chciała wychodzić za mąż.

Zazdrościła młodszemu o siedem lat Adamowi, którego Michaił posyłał na korepetycje do miasta. Już w podstawówce chłopak pisał miejscowym podania do gminy i liczył lepiej niż ekspedientka w Samopomocy Chłopskiej, dokąd Gawłowie jeździli po zakupy sprzętu rolniczego czy półproduktów. Michaił zbierał na edukację syna od narodzin. Adam miał skończyć dobre liceum, pójść na studia, wyjechać do miasta i zostać geodetą. Pracę miał gwarantowaną, co Michaił ustalił z dawnym sąsiadem, który w Bielsku Podlaskim piastował dziś funkcję sekretarza gminy. Przy każdym świniobiciu Aleksander Krajnow otrzymywał od Gawłów pół prosiaka w wyrobach. Adam miał tylko dorosnąć i spełnić ojcowskie oczekiwania.

Dunia, choć nie mniej inteligentna, nie miała prawa się kształcić. Była dziewczyną. Mogła pięknie śpiewać, tańczyć na cudzych weselach. Umieć gospodarzyć i dobrze wyjść za mąż. Odkąd pamiętała, wstawała o świcie, pracowała w obejściu, zajmowała się siódemką dzieci, które urodziła Michaiłowi Olga. Niespełna trzy miesiące po śmierci Załuskich Michaił wziął ją za żonę, bo nie miała się gdzie podziać, jej dom rodzinny zaś, jak i wszystkich bliskich, zamordowano w pogromie wsi prawosławnych. Nikt nie widział nic złego w tak pośpiesznym ślubie. Gorzej byłoby, gdyby Olga zamieszkała kątem u Michaiła bez błogosławieństwa popa.

Wahała się krótko. Nędza skutecznie wyleczyła ją z marzeń. Nie chciała już czekać na księcia z miasta. A Michaił był jeszcze niestary, mało pijący i uczciwie orał swoje nieduże poletko. Wziął za żonę Olgę też dlatego, że ziemia Załuskich graniczyła z jego schedą. On sam miał liczne rodzeństwo. Nie liczył, że cokolwiek dostanie przy podziale. Co najwyżej będzie parobkiem u najstarszego z braci. Tymczasem Dunia miała kilkanaście hektarów ziemi, do tego kawał lasu i pastwisk. Gawłowie planowali, że przejmą grunt oficjalnie, bo dla nikogo nie było tajemnicą, że i tak ją użytkowali od wojny. I dobrze. Ziemia nie powinna leżeć odłogiem.

Z takiego obrotu rzeczy wszyscy byli zadowoleni. Dunia miała dach nad głową, Olga zaś w siostrzenicy zyskała darmową siłę roboczą. A kiedy urodziwą dziewczynę wyda się za mąż – na przykład za jednego z kuzynów Michaiła – majątek pozostanie w tej samej rodzinie. Załuskie, wieś,

w której kiedyś mieszkali, nie istniały. Ostał się tylko fragment ich dawnego domu, który postawił jeszcze mąż zmarłej siostry Bazyli, ale używano tej szopy jako składu na narzędzia. Olga wraz z nową rodziną przeniosła się do pobliskiej Wólki Wygonowskiej. Michaił po obrobieniu swojej ziemi najmował się u bogatych chłopów. Klął i utyskiwał, bo w obejściu Polaków nie pozwalano mu nawet mówić „po swojemu”. Ale na razie, do czasu, aż Dunia nie dopełni formalności, wyjścia nie miał. Wszystko miało się zmienić, kiedy przejmą ziemię Załuskich.

Olga była posłuszną żoną, choć nie tak zaradną jak jej zmarła siostra. Michaił zawsze stawał w jej obronie. Jest drobna, chorowita, wymaga opieki – mówił i zlecał cięższe prace bardzo wysokiej na swój wiek Duni, która już jako jedenastolatka nosiła razem z mężczyznami worki pełne kartofli, a trawy dla zwierząt rwała w skrzynie większe od siebie. Poskarżyła się na ciotkę tylko raz, za co została ukarana dwudziestoma razami mokrym pasem na gołe pośladki. Karę Olga wykonała osobiście. Zgrzała się przy tym i zmęczyła tak okrutnie, że do wieczora nie wstawała z łóżka. Kiedy Michaił wrócił, załamywał ręce, że żona mu umiera, i pognał poturbowaną Dunię po doktora, ale wtedy Olga bohatersko zwlekła się z wyrka i podała mężowi gorącej zupy.

Nigdy więcej Dunia nie ośmieliła się powiedzieć na ciotkę złego słowa. Wiedziała, że wuj i tak by jej nie uwierzył. Kiedy Michaił był w pobliżu, Olga zarzekała się, że kocha siostrzenicę jak własne dzieci, choć cała prawda wychodziła na jaw, gdy przychodził czas posiłku. Dunia siadała do stołu ostatnia, dopiero gdy wypełniła wszystkie obowiązki, a drewnianą łyżkę dostawała do ręki, jeśli ojciec i dzieci Gawłów już się nasyciły. Wtedy jednak we wspólnej misce nic już nie zostawało. Dunia chodziła nieustannie głodna. Czasem, kiedy dom nawiedzali goście, Olga wysyłała ją do spiżarni. Dunia w biegu po kiełbasę czy przetwory zawsze zdołała włożyć do maselnicy dwa palce i zlizać z nich śmietanę. Wiedziała, że na więcej nie może sobie pozwolić. Gdyby podkradła cokolwiek z zapasów, Olga zaraz naskarżyłaby mężowi.

Michaił nie wnikał w rządy Olgi w domu. Kuchnia i chata to było jej królestwo. Był uczciwym chłopem. Kłamstwa i złodziejstwa nie tolerował. Kiedy raz Dunia z młodszymi dziećmi uszczypnęła kawałek kiełbasy, o czym Olga skwapliwie doniosła mężowi, Michaił wygarbował skórę

każdemu z dzieci, używając uzdy dla koni. Dunia była najstarsza, więc dostała najwięcej razów. Przez miesiąc spała na stojąco. Bała się, że pręgi nigdy nie zejdą. Wstydziła się jednak swojego zachowania i wtedy też postanowiła, że nigdy już nie da ciotce ani wujowi żadnej okazji do bicia. Tak też się stało. Od tamtej pory każdej jesieni zbierała na polu dzikie gruszki ulęgałki. Suszyła je i zjadała w akcie desperacji przez cały rok.

Obowiązków za to Olga Duni nigdy nie żałowała. Ponieważ ciotka każdego roku chodziła w ciąży albo była w połogu, nie mogła ciężko pracować w polu ani też zajmować się domem. Praktycznie to Dunia prowadziła gospodarstwo i wychowywała ferajnę Gawłów. Może też i dlatego nie kwapiła się do zakładania własnej rodziny. Matką była już od siódmego roku życia, kiedy to na świat przyszedł pierworodny Michaiła i Olgi – Adam. Potem rodzili się kolejno: Andrzej, Stefan, Wiera, Luba, Tosia i Ałła, która była najsłodsza z przyszywanego rodzeństwa Duni. Zawsze pogodna. Praktycznie nie płakała. Dunia kochała dziewczynkę jak prawdziwą, nigdy nienarodzoną siostrę, która zginęła wraz z jej matką w pogromie wsi prawosławnych.

Katarzyny właściwie nie pamiętała. Twarz matki znała z jedynego ślubnego zdjęcia rodziców, które Olga zaraz po swojej skromnej ceremonii bez wesela kazała schować do malowanej skrzyni, gdzie Gawłowie trzymali pościel i kilimy. Kiedy Dunia była mała, pragnęła być podobna do matki. Niestety, nie było jej dane odziedziczyć regularnych rysów twarzy Katarzyny, tylko jej smukły, arystokratyczny nos i wysokie kości policzkowe. Przez lata słyszała, że będzie szczęśliwa, bo jest jak skórę zdjąć z ojca. Bazyl, jak na mężczyznę, był może i przystojny, ale nie dałoby się o nim powiedzieć „ładny”. Dunia miała po nim grube, wręcz murzyńskie usta, wielkie orzechowe oczy opadające kącikami do dołu, co sprawiało, że zawsze wydawała się smutna. I choćby głodowała tygodniami, jej policzki wciąż pozostawały lekko pucołowate, a kiedy się nawet lekko uśmiechnęła, w prawym tworzył się mały dołek. Ciało miała wychudzone, wręcz kościste, a piersi prawie wcale jej nie urosły, odkąd zaczęła miesiączkować, ale ponieważ zgodnie z ówczesną modą ubierała się na cebulę i skromnie – od stóp do głów nosiła się zakryta nawet w upalne dni, Oldze udawało się wmówić wszystkim, że Dunia potajemnie się obżera.

Czasem matka się Duni śniła. Nie były to wyraźne obrazy. Raczej flesze, przebłyski: tembr głosu, figlarne spojrzenie szarych tęczówek, karminowe wąskie usta, dotyk delikatnych dłoni. Ale Dunia nie była pewna, czy to nie wyobraźnia wytwarza te obrazy. Bardzo dobrze za to pamiętała swoje odczucia. Siłę, hart ducha i odwagę, kiedy matka stawała w jej obronie. Kiedy ją pytano, jaka była Katarzyna, Dunia tylko wzruszała ramionami i odpowiadała:

– Silna i mądra. Gdyby była słaba i głupia, z pewnością by przeżyła.

Starała się tak dużo nie rozmyślać o matce. W domu prawie nikt o niej nie mówił, jakby to, w jaki sposób zginęła, było tematem tabu. Ciotka Olga zawsze umiejętnie ucinała dyskusje, powołując się na Boga i żyjącą córkę, której nie wolno dokładać cierpienia. Dlatego z czasem twarz matki jak przez mgłę przysłoniły w głowie Duni straszne obrazy zabójstw i zgliszcz. Zapamiętała jednak na zawsze jej ostatnie słowa: „Będę twoim aniołem stróżem. Nigdy cię nie opuszczę”. I faktycznie, kiedy była jeszcze dzieckiem, czasami czuła obecność matki. Miała wrażenie, że Katarzyna woła ją do siebie. Wychodziła wtedy nad rzekę i wzywała ją na głos. A kiedy było jej bardzo ciężko, pragnęła tylko rzucić się w otchłań wody i odpłynąć stąd na zawsze. Nigdy jednak nie starczyło jej odwagi. Zawsze wracała, przyjmowała łajankę ciotki, która miała jej za złe, że spaceruje, zamiast pomagać w domu i zajmować się rodzeństwem. Zwykle za karę nie dostawała kolacji, ale dzięki temu pozostała szczupła i wiotka jak źdźbło trawy.

Kiedy dorosła, przestała wierzyć, że Katarzyna ją chroni. Chodziła do cerkwi, bo to była jedyna okazja, aby przebrać się z roboczych ciuchów w wyjściowe, lecz nie wierzyła już w Boga. Jaki Bóg pozwala, by ci, którzy mordują, zostali bohaterami? Jeśli Bóg każe jej cierpieć w domu Olgi, to ona nie chce z nim rozmawiać. Marzyła o medycynie. Chciała leczyć ludzi, pomagać im w potrzebie. Być takim lepszym Bogiem. Mieć pewność, że pomoże potrzebującym. W cuda nie wierzyła.

Kiedy miała trzynaście lat, pierwszy raz odebrała poród Olgi i od tej pory często wzywano ją do pomocy starej akuszerce z pobliskiej wsi. Od roku jeździła już do ciężarnych sama, otrzymane pieniądze zaś składała do metalowej puszki. *Na wsiakij słuczaj*. Była pewna, że za jej studia nikt nie zapłaci. Nie miała prawa się uczyć. Zabraniano jej nawet o tym marzyć.

Wiedziała, że któregoś dnia będzie musiała uciec. Dlatego nie gromadziła przedmiotów. Nie zdołałaby ich zabrać. Wszystko, co otrzymywała w darze od ciężarnych, wymieniała na monety. Tylko raz zwierzyła się ze swoich marzeń wujostwu. Wyśmieli ją, a potem pilnowali jak suki w rui. Tylko raz, bez uprzedzenia, pojechała do miasta, by za własne pieniądze kupić książki. Po powrocie Olga zbiła ją koromysłem. Woluminy, na które Dunia wydała wszystkie swoje pieniądze, wrzuciła do pieca. Krzyczała przy tym, że sama musiała wyciągać wodę ze studni, karmić zwierzęta i doić krowy, a nie po to hodowała tyle lat darmozjada, by wolny czas marnotrawił na jakieś lektury.

Dunia cudem się po tym biciu podniosła. Zrozumiała jednak w końcu, jaka jest jej rola. Wdzięczność za wikt, dach nad głową i opiekę wujostwa przeszła jej jak ręką odjął. Była już pewna, że za ich zgodą nigdy nie wydostanie się z Wólki Wygonowskiej. Gawłowie straciliby dwie darmowe ręce do pracy, a tylko to miało dla nich wartość. Ich izbę z klepiskiem mogła opuścić wyłącznie do domu męża. Jeśli w ogóle jej jakiegoś wybiorą, bo w ich poczuciu była bardzo stara, a nie kwapili się, by zapewnić jej jakikolwiek posag. Gdyby nawet zjawił się taki śmiałek, musiałby im jeszcze dopłacić, by oddali swoją posługaczkę. Ale nawet wtedy nic to by nie zmieniło w jej życiu. Żaden rolnik nie pozwoli przecież, by żona, zamiast kopać kartofle, wiązać snopki czy pasać krowy, wyjechała do miasta się kształcić. Zagoniłby ją jak najszybciej do roboty, zapładniał co roku, jak Michaił Olgę, i bił, gdyby miał ochotę. Byłaby przecież jego własnością. Po spaleniu książek nie miała już ani grosza przy duszy. Musiała odebrać jeszcze wiele porodów, by uzbierać na bilet i uciec. Ale tylko wizja nieuniknionej podróży trzymała ją przy życiu.

– Daj coś na zakąskę – powiedział teraz do Duni wuj.

Siedział przy stole z zamożnym sąsiadem Artemim Prokopiukiem, u którego wypasał świnie, kopał ziemniaki i skubał owce. Dunia rzuciła okiem na butelkę z rozcieńczonym spirytusem i poszła do komórki. Kiedy wróciła, w izbie rozlegał się już głośny rechot podpitych mężczyzn.

– Widzę, Michaił, że targu dobijem! – Artemi podniósł szklankę z trunkiem i zerknął łakomie na zadek Duni.

Dziewczyna pokroiła kiełbasę, wyjęła z kamionkowego garnka ogórki. Połamała chleb. Ustawiła wszystko na stole i wycofała się do drugiej izby, bo usłyszała, że zapłakała Ałła.

– Chodź no, córko! – krzyknął za chwilę Michaił.

Był już zdrowo podchmielony. Twarz mu się wtedy rozluźniała. Czasem nawet żartował. Nie miał mocnej głowy i rzadko pił. Chyba że była okazja. Teraz być musiała spora, skoro z Artemim, swoim chlebodawcą, wypił aż pół butelki.

Dunia wróciła z dzieckiem na ręku. Ałła już zasypiała, ale dziewczyna wciąż bujała małą i mruczała pod nosem kołysankę.

– Dziadzia Prokopiuk chce cię za żonę – powiedział bez wstępów Michaił i nie czekając na odpowiedź, dodał: – A ja się zgodziłem. Pomoże nam odzyskać twoje ziemie. Nie przeszkadza mu twój skromny posag.

Dunia podziękowała skinieniem głowy, jak nakazywał obyczaj, ale się nie odezwała. Wiedziała, że jej posag to wszystko to, co miała na sobie. Nie oddadzą jej nawet kilimów tkanych przez matkę ani bielizny pościelowej, która cudem ocalała z pożaru. Co najwyżej pozwolą zabrać starą ikonę. Nie dalej jak miesiąc temu kupili sobie nową, a wypłowiała, zwęglona na brzegach, należąca jeszcze do Załuskich Matka Boska Poczajowska wylądowała na strychu.

– Na kolanko nie stanę. Za stary już jestem – zaśmiał się wdowiec.

Miał więcej lat niż wuj Duni i był wcześniej dwukrotnie żonaty. Obie jego kobiety zmarły w połogu. Dunia asystowała przy porodzie jego drugiej żony i wiedziała, że kobieta wyzionęła ducha, bo stary zmuszał ją do ciężkiej pracy aż do rozwiązania, a kiedy zaniemogła, pożałował pieniędzy na lekarza. Po akuszerkę posłał za późno. Kiedy Dunia dojechała ze starą Kosowską, było po wszystkim. Udało im się uratować wyłącznie dziecko. Artemi nie przejął się zbytnio, bo zyskał drugiego dziedzica. Teraz szukał dla swoich dzieci niańki.

– Widzę, że i do dzieci podejściowa – Artemi zwrócił się do Michaiła, jakby sprawa była załatwiona.

– Jeszcze jak – zachwalał Dunię wuj.

Dunia czuła, że właśnie spadła z deszczu pod rynnę. Wciąż stała w tym samym miejscu. Nic nie powiedziała, ale i tego nie oczekiwali. Nawet na nią nie patrzyli. Rozmawiali w najlepsze, żartowali, pili. Omawiali biznes, sytuację polityczną. Artemi znał kogoś w mieście. Obiecał załatwić maszyny rolnicze. Plany mieli dalekosiężne, by wspólnie rozwinąć gospodarstwo. Klepali się po plecach.

– Mama nie wróciła – odezwała się nagle Dunia. Wciąż kołysała Ałłę. – Powinna być już w domu. Krowy nieprzygonione.

Michaił otrząsnął się jak mokry pies. Spojrzał przez okno. Zmierzchało.

– To idź po nią. – Machnął ręką, jakby odganiał marę.

– Dzieci w domu same. Ałła gorączkuje.

Michaił wyciągnął dłonie. Dunia oddała mu córeczkę.

– Tylko śpiesz się. Jutro rano wstajemy o świcie.

Dunia zaczęła się ubierać. Artemi wstał, lekko się zataczając. Zatrzymał ją przy drzwiach, zanim schwyciła klamkę.

– To mamy dogadane – rzekł z lubieżnym uśmiechem. Oblizał usta. Na jego wąsach dostrzegła kropelki tłuszczu z domowych wędlin. Poczuła mdłości. – Zaręczyny ogłosim w niedzielę, a po świętach wesele. Nie ma co zwlekać. Nie jesteś już taka młoda.

– Dobrze prawisz, kumie – zaśmiał się Michaił.

Dunia przeprosiła mężczyznę, ale się nie przesunął. Chwycił ją w talii, przycisnął do siebie. Odepchnęła go i z całej siły uderzyła w twarz z otwartej dłoni. Tylko go rozśmieszyła.

– Młoda krew, to się burzy – skwitował Artemi i roztarł policzek. Widać było jednak, że trochę przetrzeźwiał.

Michaił milczał. Odłożył nóż obok talerza. Uniósł się na łokciach, ale zaraz opadł na ławę. Był kompletnie pijany.

– Przeproś pana – wybełkotał po długim namyśle.

Dunia stała w miejscu czerwona jak burak.

– Przeproś, mówię. Szacunek musisz mieć dla męża.

– Jeszcze nie jest moim mężem! – Uniosła wyżej podbródek.

Artemi rozbawiony machnął ręką.

– Daj spokój, kumie. Trochu mnie poniosło. Dziewczyna gibka. Dba o swoją cnotę – zarechotał. – Podoba mi się to. Nie bez powodu żem ją wybrał.

Wuj zdołał wygramolić się zza stołu. Ruszył do przedsionka, chwycił cienki rzemień wiszący na haku. Namoczył w wodzie stojącej przy piecu. Otrząsnął niczym kropidło.

– Przeprosisz?

Dunia pamiętała, jak zbił ją, kiedy była mała. Pamiętała też, jak uderzył głową o piec kilkuletniego Andrzeja i choć chłopiec ma już osiem lat, nadal nie umie czytać, a siedziała z nim wiele wieczorów nad elementarzem. Wcześniej był zmyślny, szybko się uczył. To, co mu się zrobiło z głową, było winą brutalnego ojca. Nie chciała podzielić losu małego Andruszy.

– Wybaczcie, panie. – Pochyliła głowę.

– Podnieś głowę – rozkazał wuj.

Podniosła.

– Wybaczcie – wysyczała przez zęby. – Zbłądziłam.

Artemi się rozpromienił.

– Dobrze córkę chowacie, baćka. Będę miał z niej pożytek.

Dunia z trudem powstrzymywała płacz bezsilności. Zacisnęła rękę w pięść, ale nie wyjęła jej z kieszeni. Czuła, jak paznokcie ranią jej śródręcze.

– Mogę iść?

– Tylko wracaj prędko – odparł Michaił jak gdyby nic. – I krów nie przegoń, bo się mleko zwarzy.

– Tak, ojcze. – Wyszła.

Zamiast jednak od razu lecieć po Olgę, schowała się do chlewika i płakała, starając się nie robić hałasu. Miała już w tym wprawę. Mniej więcej siedemnastoletnią. Bezgłośne łkanie było jak codzienne ablucje. Nie było dnia, by nie miała powodu ukryć się w chlewiku. Kiedy się uspokoiła i wyszła, było już całkiem ciemno. Przestraszyła się, że Olga przygoniła już

krowy. Gdyby weszła i powiedziała, że Dunia jej nie szukała, pasierbica miałaby jeszcze większe kłopoty.

W pośpiechu dotarła do drogi. Olga właśnie kończyła ploteczki z katolicką sąsiadką, którą – to Dunia wiedziała na pewno – obgadywała sromotnie każdej niedzieli w cerkwi. Teraz uśmiechała się, przytulała. Była niezdrowo zarumieniona na twarzy. Dunia pomyślała, że kobieta musiała coś u sąsiadki wypić. Była nienaturalnie uradowana. To, co jednak zwróciło szczególną uwagę dziewczyny, to nowa kwiecista chusta z frędzlami, którą ciotka miała na głowie. W ręku zaś trzymała papierową torebkę. Zatłuszczoną na dole i z emblematem hajnowskiej cukierni. Olga musiała być dziś w mieście.

– Co się stało? – spytała Dunia. – Ojciec się niepokoi.

– Wyobraź sobie – zaczęła opowiadać zadowolona z siebie Olga – w stodole, za kłonicą, znalazłam puszkę z pieniędzmi. Nie było tam wiele, ale na cukierki dla dzieci starczyło. Zobacz, ile udało mi się dostać.

Rozchyliła torbę. Wewnątrz były kolorowe landryny. Dunia czuła, jak krew odpływa jej z twarzy, a w płucach zaczyna brakować powietrza. Pochyliła się nad słodyczami, ale Olga natychmiast zamknęła torebkę.

– To dla maluchów. Jak podzielę, może dostaniesz jednego – rzuciła groźnie.

– To były moje pieniądze. Moje! – krzyknęła Dunia. – I dobrze o tym wiedziałaś!

– Jakie twoje? – zdziwiła się Olga. – Od kiedy to dzieci zarabiają? Nawet ja nie dostaję do ręki gotówki. A pracuję więcej niż ty, darmozjadzie.

Dunia wymierzyła w ciotkę wskazujący palec.

– Składałam to przez ostatni rok. Na szkołę. Oddaj to do sklepu.

– Głupia! – fuknęła Olga „po swojemu”. – Powiem wszystko ojcu, że kradniesz. Zaraz wszystko mu powiem i pokażę ten twój schowek. Na jaką szkołę? W dupie się poprzewracało. Nie pójdziesz do żadnej szkoły. Już ja ci dam korepetycje. A Michaił poprawi. Siedzieć nie będziesz przez tydzień.

– Zarobiłam je. Sama je zarobiłam – rozpłakała się Dunia.

Ale Olga nie słuchała. Perorowała dalej jak najęta:

– Pewnie kiedy zabierał cię do miasta, wyciągałaś mu drobniaki. Tam banknotów nie było.

Dunia uklękła i chwyciła się rąbka spódnicy Olgi.

– Wiesz, że ludzie płacili mi czasem po porodach – szepnęła błagalnie. – Weź je sobie. Niech się dzieci cieszą. Ale nie mów ojcu i oddaj mi to, co tam zostało.

– Nic nie zostało! – Olga parsknęła śmiechem. Pogładziła swoją nową chustkę. – Ładna?

Dunia wstała. Wpatrywała się w Olgę. Twarz jej zbielała. Łzy leciały ciurkiem, ale dziewczyna nie wydała z siebie nawet westchnienia. Przepełniała ją czysta nienawiść. W tym momencie pierwszy raz od lat znów poczuła obecność matki. Uciekaj, mówiła. Idź, gdzie cię oczy poniosą. Wydawało jej się, że wyraźnie słyszy w głowie głos matki. Bóg ci pomoże. Jestem z tobą. Zawsze będę. Dunia się otrząsnęła. Mara zniknęła. Ciotka podeszła i kącikiem nowej chusty otarła jej twarz do sucha. Musiała podnieść ręce. Sięgała siostrzenicy zaledwie do piersi. Dunia czuła wyraźnie z jej ust aromat dereniowej nalewki.

– Już nie rycz. – Ciotka przytuliła się do niej jak fałszywy kocur. Zaczęła pocieszać: – Jeśli kiedyś wyjdziesz za mąż, też ci taką sprawimy. Nic nie powiem.

Dziewczyna pozostała jednak sztywna jak słup soli.

– Aleś ty była teraz podobna do Kaśki. Jak ci twarz wypiękniała. Aż się bałam, że to ona. Jakby jej duch przemawiał.

Dunia przymknęła powieki. Zaczęła się modlić. Czuła, że się uspokaja. Wszystko wokół zaczęło wirować. Mogła teraz umrzeć. Nic nie istniało poza tym obrazem, który zjawił się w jej głowie i stał centrum świata. Katarzyna zstąpiła z nieba i chwyciła ją w ramiona. Kołysała kojąco, jak Dunia przed godziną małą Ałłę. Pierwszy raz, bardzo wyraźnie, widziała twarz zmarłej matki. Każdy szczegół: kształt oka, nosa, owal twarzy, zagięcie skóry. Kasia uśmiechnęła się do niej: „A jednak pamiętasz”, a potem Dunia poczuła nagłe szarpnięcie i matka zniknęła. Dziewczyna otworzyła oczy. Przed nią stała pijana starucha. Chwilę jej zajęło, by pojąć, że to Olga potrząsa nią, próbując przywrócić do żywych po omdleniu. Dunia nie chciała wracać, znów odpłynęła. Ale tym razem Katarzyna się nie

pojawiła. Zamiast niej Dunia widziała twarz starszej o kilkadziesiąt lat Olgi. Potem przebłyski: jak wygania z domu najstarszego syna, płacze nad grobem męża, wreszcie sama, wśród pustych butelek i śmieci, chwyta się za serce, a potem leży w trumnie. To wszystko przeleciało Duni w jednej, błyskawicznej sekwencji. Musiało trwać tylko chwilę, ale jej się zdawało, jakby w przyśpieszonym tempie zobaczyła przyszłość ciotki.

– Umrzesz we własnym łóżku – powiedziała do Olgi. – Serce ci pęknie. Będziesz długo żyła, ale pochowasz trójkę dzieci. Męża też przeżyjesz. Koń go kopnie. Zemrzesz samotnie, zimą, w potwornych bólach.

Olga zamrugała kilka razy, otworzyła usta. Wyglądała teraz jak niespełna rozumu.

– Co ty mówisz?

– Truchło znajdą na sianokosy, gdy wyschniesz na wiór – dokończyła Dunia i wybudziła się z transu.

Patrzyły na siebie i obie wiedziały, że stało się coś niezwykłego. Dunia nic nie rozumiała. Chwyciła się za głowę. Czuła kłucie w skroniach.

– Co się ze mną dzieje?

Olga była przerażona.

– Prawdę mówili ludzie – rzekła i odsunęła się z respektem. – Masz moc.

– Co mówili?

Olga machnęła tylko lekceważąco ręką. Zachowywała się już jednak inaczej. Nachyliła się do ucha Duni.

– Nikomu nie powiem, że szeptałaś. Nikt nie powinien się o tym dowiedzieć. Powiedzą, żeś czarownica. Przegonią nas ze wsi – straszyła. Wydawało się, że skutecznie. Dunia potulnie kiwała głową. – Ale ty też nie piśniesz ani słówka o pieniądzach. To będzie nasza mała tajemnica. Masz, weź sobie kilka. – Wyciągnęła w kierunku siostrzenicy zgniecioną torebkę z landrynami.

Dunia odmówiła słodyczy. Wyswobodziła się z objęć. Ruszyła do domu, nie oglądając się za siebie. Tego dnia położyła się bardzo wcześnie. Nie wstała nawet, gdy Ałła płakała, choć czuła się największym potworem na ziemi. Wtedy, na drodze z ciotką, coś w niej pękło. Odkąd odzyskała matkę,

nic nie trzymało jej już w tym miejscu. Miała dosyć bycia darmową piastunką, robotnicą i istotą bez własnego zdania, którą jak krowę czy świnię można sprzedać za kawałek ziemi. Wreszcie do dziecka zwlekła się Olga i przeklinając bachory, utarła maku ze spirytusem, podała niemowlęciu do ssania, by zasnęło i nie budziło jej do rana.

Kiedy rankiem Olgi nie obudził jazgot dziecka, ciotka była z własnej chytrości bardzo zadowolona. Powoli się ubrała, zaczęła szukać nowej chusty, ale nigdzie jej nie znalazła. Podeszła do kołyski. Ałła miała sine usta, puls był prawie niewyczuwalny. Olga zamarła. Dziecko musiało stracić w nocy przytomność, ale napojone alkoholem nawet nie zapłakało. Rozpakowała niemowlę z becika, zaczęła nacierać wątłe plecki terpentyną. Dziewczynka kaszlnęła, wydała cichy stęk, a potem zamilkła. Olga się przeżegnała. Musi tylko szybko dostać lekarstwo. Zaczęła budzić pozostałe dzieci. Huknęła na Dunię, żeby biegła po felczera. Łóżko pasierbicy było jednak puste. Wtedy przypomniała sobie, że miała jechać dziś z Michaiłem do miasta. Wyjrzała za okno.

Mąż dopiero kończył obrządki. Koń zaprzęgnięty w furmankę czekał gotów do drogi. Olga rozejrzała się po izbie. Żółte sandały zniknęły, podobnie jak kilka sztuk pościeli i zdjęcie ślubne Katarzyny z malowanej skrzyni. Wtedy zrozumiała, że nowej chusty nie znajdzie. Przeklęła w myślach siostrzenicę. Odłożyła Ałłę, zdjęła z grzebienia Duni kilka włosów, nadpaliła je i odmówiła zaklęcie uroku, by wstrętna dziewucha nigdy już tu nie wróciła. Resztkę włosów ukryła za ikoną. Od tej chwili nad córką siostry będzie wisiała nieodwołalna klątwa. Olga też miała moc. Tyle że używała jej w innych celach niż znachorki. Nie uzdrawiała. Rzucała uroki.

– Jeśli Ałła umrze, Boże spraw, by przyszło do tej latawicy wyłącznie nieszczęście – poprosiła, patrząc na świętą ikonę w rogu izby. Dopiero potem zapaliła gromnicę i lamentując, pobiegła po męża.

Dunia błąkała się po lesie już dobrą godzinę. Wyszła z domu przed świtem, ale w ciemności zgubiła drogę. Zbierało się na burzę, powietrze było gęste, gorące jak zimowa zupa. Lada chwila lunie. Momentami zdawało się jej, że czuje na twarzy pojedyncze krople. Wiedziała, że jeśli chce się skutecznie ukryć, musi się pośpieszyć. Będą jej szukali tylko przez kilka pierwszych dni. Wuj pewnie wyśle po nią kilku chłopa ze wsi. Przejadą furmankami wzdłuż traktu do miasta. Potem zapomną. Nigdy już nie będzie miała wstępu do domu wujostwa, może nie odzyska ziemi, ale zdecydowała, że prędzej umrze, niż wróci. Czekało ją tam tylko upokorzenie.

Potrzebowała dobrej kryjówki. Głodu na razie nie czuła. Z komórki ukradła bochenek chleba i pęto kiełbasy. Nie miała wyrzutów sumienia. Odmawiała sobie od ust tyle lat. Nie zbiednieją od tego jednego kółka palcówki. Kiedy naprawdę będzie źle, naje się przynajmniej do syta i skoczy do rzeki. Nie da się złapać, siłą wydać za mąż, zmusić do takiego życia, jakie jej zaplanowano. Na ziemi ojców zupełnie jej nie zależało. Chciała być tylko wolna. Na razie jedyne, co przyszło jej do głowy, to schować się w starej szopie, dawnym mieszkaniu rodziców, na polu Załuskich. Ale nie miała pojęcia, jak dotrzeć tam przez puszczę. Szła więc szybkim krokiem, czując coraz intensywniej spadające krople. Wiedziała, że jeśli przemoknie, przemarznie, nie przetrwa w lesie długo.

Wyszła na polanę, z której odchodziły trzy ścieżki. Stała na tych rozstajach dłuższą chwilę, nie potrafiła dokonać wyboru. Przymknęła oczy, zdała się na los. Nogi same zaczęły ją prowadzić. Przeszła kilkanaście kroków, zahaczyła o korzeń, zachwiała się i omal nie upadła. Odruchowo podniosła powieki. Deszcz zacinał już na całego. Otuliła się szczelniej chustą. Wtedy w oddali zamajaczyła chata. W jednym z okien tlił się kaganek. Dunia się rozpromieniła. Nie miała pojęcia, kto może tutaj żyć. Ale nie wahała się dłużej. Podbiegła i odważnie zastukała do drzwi. Zaskrzypiały złowieszczo. Wisiały tylko na jednym przerdzewiałym zawiasie. Nikt nie odpowiedział, więc popchnęła je stanowczo. Wewnątrz, przy palenisku, siedziała starucha w łachmanach. Mieszała coś w niedużym garnku. Wokół było brudno, pachniało starością i nędzą, ale w centralnym

miejscu ustawiono prawosławne ikony. Ręcznik wokół obrazu Matki Boskiej był czysty i wykrochmalony. To upewniło Dunię, że nic złego jej tu nie spotka.

– *Sława Hospodu Isusu Chrystu* – przywitała się.

– *Wo wieki wieków* – odparła kobiecina.

Dopiero teraz podniosła głowę okutaną szarą wełnianą chustą. Przytrzymała się w krzyżu, stęknęła i opadła do poprzedniej pozycji, w kucki. Dunia podbiegła, by pomóc staruszce się wyprostować. Była tak wychudzona, że prawie łamała się wpół.

– Niech się babcia położy! – Dunia pośpieszyła z pomocą i podprowadziła gospodynię do metalowego łóżka, na którym piętrzyła się dawno nieprana pierzyna bez poszewki.

– Ziółek chciałam nawarzyć – powiedziała „po swojemu” staruszka i zamilkła, gwałtownie chwytając powietrze. – Nie dokończyłam. Sił już wcale nie mam.

Dunia rzuciła swój worek z dobytkiem koło drzwi i stanęła do paleniska. Dokończyła warzyć napar, odcedziła, podała chorej. Ta upiła łyk, parząc sobie usta.

– Sobie nie umiem już pomóc, tobie też nie zdołam – westchnęła kobieta, niepotrzebnie się tłumacząc. – Czas już na mnie. Krowa mi się ocieliła. Ale młode martwe. Drugiego Krasula urodzić nie zdołała. Zabić ją trzeba, żeby ulżyć cierpieniu. Żeby tak Bóg zabrał i mnie, bo do niczego się już nie nadam.

Dunia położyła rękę na czole staruszki. Kobieta była rozpalona. Nozdrza jej musiały krwawić, bo wokół nosa widać było świeże strupy. Dunia podbiegła do swojego zawiniątka, wyjęła kawałek chleba, kiełbasę. Karmiła staruszkę jak niemowlę, kęs po kęsie. Potem przykryła ją pierzyną aż po brodę, zmówiła szybko modlitwę. Szept uspokoił babcię, przymknęła powieki. Na jej twarz wróciła błogość.

– Niech cię Bóg błogosławi – szepnęła kobieta. – Gdybym zmarła, napisz na moim grobie Nina. To wystarczy.

Dunia skinęła głową, a potem, sama nie wiedziała dlaczego, pochyliła się i wtuliła w suche ramiona starowinki. Kiedy tak zespolone trwały, Dunia

przez chwilę znów poczuła obecność matki. Miała wręcz fizyczne wrażenie, że stoi za nią duch Katarzyny. Była wciąż młoda, ciężarna i ubrana po zimowemu. Taka, jaką zapamiętała Dunia jako sześcioletnia dziewczynka. Wyobraziła sobie, że Katarzyna uśmiecha się, kładzie jej gorącą rękę na czole i mówi: „Ciii, już dobrze”. Od dawna, może od śmierci matki, nie czuła się tak bardzo na swoim miejscu. To trwało tylko chwilę. Kiedy Dunia odwróciła głowę, nie zobaczyła w izbie nikogo. Tylko bury kot przemknął po pustych garnkach na piecu. Starowinka zasnęła. Oddychała miarowo. Dunia odsunęła się od łóżka i powiedziała bardziej do siebie niż do niej:

– Ja pójdę do Krasuli. Ty leż, babciu.

Kiedy wyszła za próg, w drzwiach zobaczyła nieogolonego mężczyznę w waciaku. Na głowie miał zmiętą czapkę, w ustach ledwie tlił mu się papieros bez filtra. Był prawie całkiem przemoczony. Z daszka czapki skapywała woda.

– Tu jesteś – rzekł Artemi, jej niedoszły małżonek.

Wyciągnął w jej kierunku dłoń, ale nie zdążył schwycić, bo cofnęła się pół kroku. W tym momencie niebo rozświetliła błyskawica, jakby ktoś rozsunął kotary, i Duni zdawało się, że zobaczyła zastęp aniołów. Wśród nich była jej matka – Katarzyna. Twarz miała białą, otuloną rąbkiem chusty, oczy nieruchome jak u świętych z prawosławnych ikon. Dunia przymknęła powieki, ale nie przegoniła mary. Już nie bała się tych widzeń. Zaczynała się przyzwyczajać. Wtedy usłyszała potężny grzmot i poczuła zapach spalenizny.

Prokopiuk leżał u jej stóp. Kucnęła, przekręciła głowę mężczyzny. Twarz miał osmaloną, nie ruszał się. Piorun musiał trafić go w sam czubek głowy, bo w skórzanej uszance była wielka dziura, jakby kto włożył do niej gromnicę. Czaszka Artemiego w tym miejscu była rozharatana, włosy spieczone aż do gołej skóry, lecz żył. Nagle podniósł powieki. Momentalnie oprzytomniał na widok pochylającej się nad nim Duni. W jednej chwili zerwał się i wybiegł z podwórza, jakby gonił go sam Boruta.

Dunia podniosła się z kucek i mimowolnie uśmiechnęła. Wiedziała, że już nigdy więcej Artemi ani nikt inny nie ośmieli się jej tknąć. Potem jednak przyszła inna refleksja. Plotka szybko się rozniesie. Będą się jej bać.

Dobrze wiedziała, co o niej mówiono. I choć dotąd sama w to nie wierzyła, to musiało być jednak prawdą. W styczniowy poranek 1946 roku, w dniu, kiedy zabito jej matkę, w rękach polskiego żołnierza wybuchła broń, kiedy chciał ją zabić. Miała zaledwie sześć lat. Teraz za jej sprawą grom omal się ukatrupił Prokopiuka. Nie chciała śmierci żadnego z nich, ale obaj ucierpieli, bo próbowali zrobić jej krzywdę. Wiedziała, co to znaczy. W tych stronach wciąż wierzono w gusła i zabobony. Zacisnęła usta i zaniosła się płaczem. Prosiła Boga, by odebrał jej tę moc. Nie chciała być wiedźmą.

Mikołaj Nesteruk tym razem zdecydował się wcześniej zakończyć zbiórkę. Kobyła z trudem ciągnęła załadowaną po brzegi furmankę. Na wozie nie zmieściłby się nawet metalowy talerz. Złomu miał aż nadto. Kowal, dla którego Mikołaj zbierał zużyty metal, nie przerobi tego do następnych świąt. Do miasta zamierzał Mikołaj wracać dopiero następnego dnia, więc zatrzymał się na polanie i pozwolił Kryszy poskubać świeżej trawy. Niedaleko mieszkała „babka Nina". Do starej znachorki przyjeżdżał po pomoc jeszcze jego ojciec. Mikołaj przywiązał wóz i ruszył na przełaj, by, jak co roku, poprosić o modlitwę w intencji zaginionych i pomordowanych w czasie wojny. Cały czas liczył, że jego kum Bazyli Załuski ukrył się w czasie wojennej zawieruchy, tak jak i on, i kiedyś wróci.

Przy studni zamiast staruszki dostrzegł młodą dziewczynę. Raźno wyciągała wiadra i wlewała świeżą wodę do balii. Wyglądało na to, że jest w trakcie wielkiego prania, bo na sznurach rozciągniętych w sadzie wisiały białe prześcieradła. Mikołaj zdjął czapkę na jej widok, przywitał się z szacunkiem, ale kiedy dziewczyna odwróciła się, wprost zatkało go z wrażenia. Poczuł się tak, jakby zobaczył ducha zmarłej bratowej – jej inkarnację. Dziewczyna wyczuła jego emocje, bo też milczała. Stała w miejscu z podkasanymi za łokcie rękawami, wpatrując się ufnie w Mikołaja.

– Nina w domu? – spytał, bo nic lepszego nie przyszło mu do głowy.

Dziewczyna potwierdziła. Kosmyk, który wychylił się spod warkocza oplatającego jej głowę na wzór korony, założyła za ucho. Ten gest też pamiętał u Katarzyny. Nogi się pod nim ugięły.

– Przy kuchni – odparła i wróciła do swoich obowiązków.

Mikołaj odetchnął z ulgą. Złudzenie podobieństwa zniknęło, kiedy dziewczyna się odezwała. Nigdy wcześniej jej nie widział. Nie miał pojęcia, że Nina ma dorosłą córkę. Nigdy nie miała męża i odkąd do niej przyjeżdżał, żadnych chłopów poza potrzebującymi tutaj nie widywał. Bał się uczynić młodej krasawicy afront. Liczył, że szeptunka rozwieje jego wątpliwości.

Drugi szok przeżył, kiedy wszedł do izby. W chacie Niny nigdy nie było tak czysto. Znachorka poświęciła się całkowicie swojej misji. Bóg obdarzył ją mocą leczenia i wyganiania biesa. Nie wolno jej było odmówić nikomu pomocy. Dawniej przed jej chatą stały kolejki chętnych. Nina już dawno przestała dbać o życie doczesne, a kiedy jej samej zdrowie zaczęło szwankować, pogodziła się z faktem, że jej dom jest jak jaskinia. Żyła niczym zwierzę. W tej samej izbie jadła, spała i odczyniała rytuały. Teraz Mikołaj spostrzegł, że pozbyto się nawet nieprzyjemnego zapachu, jaki cechuje ten starodawny typ izby oddzielonej od obory jedynie ścianą z drewnianych belek.

– *Sława Hospodu* – rzekł na powitanie.

– Na wieki wieków – padło gdzieś z głębi pierzyn pod oknem. Mikołaj tam właśnie się skierował. Nina zaczęła się gramolić, ale Mikołaj powstrzymał ją gestem.

– Leżcie, matko. Przejeżdżałem. *Wsio dobre*.

– Ile to już lat z gorzałką skończyliście, Kolik?

– Będzie z osiem. *Sorok toczek*, jak kazaliście. Co roku ponawiam. Mak jeszcze mam, zioła też. Dziękuję wam.

– Nie dziękujcie. To nie ja. To wiara. *Hospodi miłujet*.

– Ale krowa mi się bije. Złe oczy rzuciły urok. I za Kasię i Bazyla pomodlilibyście się. – Położył na stole kilka banknotów.

Nina pokręciła głową. Przesunęła pieniądze od siebie.

– Za dużo.

– Bierzcie – upierał się Mikołaj. – Dobra z was kobieta. I córce coś kupcie w mieście.

Nina nie zdążyła zaprotestować, że nie ma córki. Do pomieszczenia weszła Dunia. Skłoniła się gościowi i ruszyła do sąsiedniej izby.

– Poznajecie? – Nina wskazała zamknięte drzwi.

Mikołaj mruknął coś niezrozumiale.

– To wasza siostrzenica. Kasi i Bazyla córka. – Nina pokiwała głową i napawała się chwilę widokiem zaskoczenia na twarzy przybysza. – Bóg do mnie ją sprowadził. Olga z domu ją wygnała. Boi się wrócić.

Mikołaj zacisnął dłonie w pięści.

– Nie nerwuj się tak – uspokoiła go znachorka i podsunęła mu pod dłoń zatłuszczony obrazek na drewnie. Kiedyś musiał być na nim wizerunek jakiegoś świętego. Dziś od pocierania ludzkimi dłońmi została tylko złocona rama od obrazu. – Czuje ciepło?

Mikołaj przymknął powieki. Skinął głową.

– Idzie.

– Wciąż mocna twoja wiara – pochwaliła go Nina. – Weźmiesz tę dziewczynę i zawieziesz do miasta. Jak najdalej od nich i od tego miejsca, skrwawionego przez jej przodki. Tutaj jej być nie może. Nie wolno jej tu wracać, bo się zmarnuje. I żadnej decyzji nie wolno jej tu podjąć. Ona musi iść w świat. Takie jej przeznaczenie.

Mikołaj natychmiast otworzył oczy.

– Parzy. – Próbował zabrać rękę z obrazka.

Nina zaśmiała się złowieszczo.

– To ona – szepnęła, zniżając głos, i wskazała na zamknięte drzwi sąsiedniej izby, w której zniknęła Dunia. – Ma moc. Młoda jest, dobra jak jej matka. Będzie służyć ludziom. Wszystkiego ją nauczyłam. Córki Bóg nie dał, ale na stare lata ją sprowadził. Błogosławić.

– Czy ona – Mikołaj się zawahał. – Czy ona wie, kto ja jestem?

– Dowie się – odparła Nina, jakby chodziło o drobiazg. – Może już zabrać prawicę. Bóg *dać wsio*, co potrzebne. A to, co niepotrzebne, zapomnieć nada. Pamiętaj.

Mikołaj zabrał dłoń. Wpatrywał się w babkę wyczekująco, ale nie spaliła lnu jak zwykle, nie posypała mu głowy popiołem, nie pomodliła się trzynaście razy, bijąc przy tym pokłony. Zamiast tego podeszła do szafy, wyjęła z niej partię najlepszej pościeli, wełnianych chust, swój odświętny płaszcz, lakierowane buty na niedużym obcasie, chyba jeszcze z własnego ślubu, i białą bluzkę z wielkim kołnierzem ręcznie haftowanym wzorem richelieu. Na to wszystko położyła zawiniątko w gazecie. Jeden róg odgięła, by pokazać Mikołajowi, co znajduje się w środku. Był tam plik pieniędzy. Mikołaj zaprotestował, żeby zostawiła sobie chociaż kilka banknotów, ale babka pacnęła go tylko ręką, jakby zabijała muchę.

– Jedźcie już – oświadczyła, gramoląc się znów pod pierzynę.

– Piotruś, chodź no, wisusie! – krzyknęła Aniela Bondaruk do czarnowłosego chłopczyka, który wspiął się właśnie na parapet i podskakiwał jak piłka, by złapać ważkę, która z niewiadomej przyczyny zabłądziła do ich mieszkania zimową porą. Biła mieniącymi się tęczowo skrzydłami o szybę, próbując za wszelką cenę wydostać się z pomieszczenia.

Aniela, już w futerku z nutrii, zbierała rzeczy synka. Szkolna torba, drugie śniadanie, szalik. Pośpiesznie sprzątnęła ze stołu talerze po niedojedzonym śniadaniu. Kiedy zobaczyła, gdzie wspiął się syn, natychmiast rzuciła się w tamtym kierunku i złapała go w ostatniej chwili, kiedy już spadał na podłogę. Chłopak, bardzo wysoki jak na swój wiek, omal jej nie przygniótł, ale tym razem nie wybił sobie zęba, jak stało się ostatnio, kiedy wlazł na dach szkolnej wygódki.

– Kiedyś mnie wykończysz – oświadczyła, oddychając ciężko.

Na twarz wystąpiły jej czerwone plamy. Usiadła na tapczanie, wpatrywała się w syna. Piotrek zaś chichotał wyraźnie ubawiony strachem matki. Rozwinął dłoń. W ręku miał martwą ważkę. Po śmierci jej skrzydła zdawały się purpurowe. Aniela nigdy nie widziała takiego egzotycznego owada. Odepchnęła rękę syna ze wstrętem. Nie znosiła robactwa. Zbyt wiele go było w hajnowskim szpitalu zakaźnym, gdzie pracowała jako dyspozytorka karetki.

– Staszek, ty go zaprowadź. – Aniela zajrzała do drugiego pokoju, gdzie jej mąż siedział przy biurku.

Obok niego leżał stos papierów i ręczne liczydła. Nawet nie podniósł głowy. Mamrotał tylko pod nosem wyniki obliczeń. Dziś miała ruszyć pierwsza metalowa suszarnia do drewna, zbudowana według jego projektu. Delegacja z Warszawy zjechała do Hajnówki wczoraj. Będą w tartaku po południu. Miał wyjaśnić, jak działa prototyp. Jeśli centrala kupi dla innych zakładów, Staszek awansuje na kierownika.

– Słyszysz? Ja mam go dosyć – powtórzyła Aniela.

Staszek odsunął od siebie kartki, odłożył pióro.

– Piotr nie jest już niemowlęciem. Sam trafi do szkoły – mruknął i puścił oko do syna, który za plecami matki właśnie wykradał pudełko zapałek. Wsypał do kieszeni draski, do środka zaś schował upolowanego owadziego trupa.

– Pewnie, że trafię – zapewnił. – Tata ma rację.

– Byle nie jak ostatnio – narzekała Aniela. – Do parku, na huśtawki.

– On się wstydzi, że wciąż go prowadzasz jak malucha.

– Właśnie. – Piotruś wiercił teraz dziurę w rękawiczce. – Niech mama się nie boi.

– Skoro tak, idę. – Aniela naburmuszyła się i wyszła z domu, głośno trzaskając drzwiami.

Dyżur zaczynała za dwadzieścia minut. Jeśli się pośpieszy, zdąży jeszcze wypić kawę z koleżankami.

Staszek i Piotr wymienili spojrzenia.

– Zbieraj się, Bondaruk. – Ojciec wstał zza biurka. – Wychodzimy. Ale jak matkę zawiedziesz, bęcwale, dupsko ci spuchnie! – Pokiwał palcem.

Dziesięciolatek niezbyt przejął się groźbą. Nigdy nie zrobiono mu w tym domu krzywdy. Ubrał się z zaskakującą prędkością i zanim ojciec się obejrzał, był już za drzwiami. Zamiast do szkoły, ruszył prosto na cmentarz żołnierzy radzieckich, gdzie wczoraj umówił się z kolegami. Poza świętami państwowymi prawie zawsze było tam pusto. W kieszeni miał zapałki, kilka papierosów podkradanych od tygodnia ojcu i ważkę w pudełku po zapałkach, którą publicznie zamierzał pozbawić czerwonych skrzydeł i może, przy okazji, nastraszyć nią kilka dziewczyn z klasy, jeśli będzie mu się chciało zajrzeć do szkoły.

Przed bramą cmentarza stała furmanka wypełniona żelastwem. Na koźle siedział wieśniak w uszance. Rozmawiał z dziewczyną, która na nogach miała za duże walonki. Już na pierwszy rzut oka widać było, że pochodzi ze wsi. Piotrek schował się za drzewem. Czekał, aż woźnica odjedzie. Nie chciał, by wypytywał go, dlaczego nie jest teraz w szkole i włóczy się po mieście.

Kiedy tylko furman odjechał, wspiął się na murek cmentarny i skoczył na wieśniaczkę od tyłu. Odchyliła się w ostatnim momencie, z głowy

zsunęła się jej chusta. Piotrek zdziwił się, bo była bardzo młoda i dosyć ładna. Najgorsze, że zamiast się wystraszyć, tylko się roześmiała.

– Widziałam cię – wyjaśniła Dunia, lecz zaraz mina jej zrzedła.

Dzieciak niefortunnie upadł na kamienie, zawył z bólu, a potem rozpłakał się w głos. Próbowała go podnieść, ale nie mógł ustać na nogach. Nie dał się jej dotknąć, więc położyła tłumok ze swoimi rzeczami na trawie i zaczęła nucić białoruską balladę. Kiedy udało jej się rozwiązać mu buty, znów się szarpnął. Dostała z impetem z nos. Natychmiast się odsunęła. Patrzyła groźnie. Natychmiast się zdyscyplinował i zamruczał coś w rodzaju burkliwych przeprosin.

– Spokojnie. Nie umierasz – zbeształa go. – Mogę zobaczyć? Czy radzisz sobie sam?

Kostka już napuchła i pęczniała w oczach. Musiała porządnie boleć. Dunia współczuła chłopakowi, ale nie zamierzała się nad nim roztkliwiać. Już i tak łzy skapywały mu na dolną wargę, a dłonie drżały z przejęcia. Miał twarz dziecka z reprodukcji Wyspiańskiego, które widywała za szybą w bibliotece. I teraz ani trochę nie przypominał małego demona, za jakiego z pewnością starał się uchodzić.

– Złamana. – Odważyła się znów kucnąć obok. I dorzuciła, udając groźną: – Tylko nie kop.

Piotrek pochylił głowę i przytulił się do niej. Nie wiedziała, jak się zachować. Nikt nigdy jej nie przytulał. Wreszcie objęła go ramionami i już po chwili sama miała wilgotne oczy.

– Jedziemy do szpitala – szepnęła łagodnie. Była w tym czułość, przejęcie i lęk. Wyczuł go, więc dodała najdelikatniej, jak potrafiła: – Wiesz, gdzie to jest, prawda?

Piotrek najpierw się przestraszył. Rozpaczliwie kręcił głową i znów zaczął jęczeć. Dunia wpatrywała się w niego wnikliwie i zrozumiała. To był mały twardziel. Potrzebował silnej ręki i tylko mocnych ludzi szanował.

– Bądź mężczyzną – rzuciła. Ale nie mogła się powstrzymać i otarła mu gila spod nosa własną chustą. – Jestem Dunia – powiedziała. – Miałam młodszą siostrzyczkę, ale zmarła. Ty żyjesz i nic ci nie będzie. Rozumiesz, co to znaczy umrzeć?

– Mama! – krzyknął rozpaczliwie.

Dzieciak wyraźnie był rozpieszczony. Musiał pochodzić z dobrego domu. Nie wytrzymałby u Gawłów nawet jednego dnia. Poczuła irytację.

– Nie drzyj się tak – zbeształa go. – Przynajmniej masz matkę. Niektórzy takiego szczęścia nie mieli.

Przyłożyła mu rękę do czoła i zaczęła szeptać coś w niezrozumiałym języku. Piotrek powoli się uspokajał, a potem opadł na jej tobołek i zasnął. Dunia stała pod cmentarnym murkiem i wypatrywała jakiegoś przechodnia. Ale poza nimi na ulicy nikogo nie było. Nikt nie zapuszczał się o tej porze na rogatki miasta. Wahała się, czy nie pójść do kościoła i tam poprosić o pomoc, ale bała się zostawić chłopca samego. Nagle w oddali zobaczyła czarną wołgę. Nie zastanawiając się dłużej, wybiegła na drogę. Samochód pędził wprost na nią. W ostatniej chwili uskoczyła na pobocze. Odwróciła się zdyszana. Kilkaset metrów dalej auto się zatrzymało. Podbiegła i zastukała w przednią szybę. Za kierownicą siedział człowiek w służbowej czapce, a z tyłu dwóch postawnych mężczyzn – jeden w swetrze i kożuchu, drugi w szarym garniturze. Przed sobą miał plik dokumentów, które wypełniał na skórzanym neseserze. Wyglądał na śmiertelnie urażonego, że śmiała mu przeszkodzić w podróży.

Dunia się spłoniła. Zauważyła, że drugi pasażer na tylnym siedzeniu, ten w swetrze, również uchylił nieznacznie szybę po swojej stronie i nie tylko słyszy każde jej słowo, ale też bacznie się jej przygląda. Był postawny, choć brzydki jak noc listopadowa, ale mimo niedbałego stroju z pewnością bardzo ważny. Dunia pierwszy raz w życiu widziała tak piękną limuzynę. Chromowane klamki, wypolerowana karoseria. Czuła się onieśmielona. Poprawną polszczyzną zdołała wydukać tylko kilka słów przeprosin, a potem wskazała chłopca, którego trzeba natychmiast zawieźć do szpitala.

– Jak masz na imię? – zainteresował się mężczyzna w swetrze, kiedy kwadrans później siedziała obok niego na fotelu pasażera. Dygnitarz, bo z całą pewnością był kimś ważnym, przesiadł się do przodu, by mogli zabrać też Piotrka. Głowa dziecka leżała na jej kolanach, jego brudne nogi bezcześciły jasny kożuch ważniaka. Nie miał więcej niż dwadzieścia pięć lat, ale Duni i tak wydawał się zbyt dojrzały, by mogła zwracać się do niego per ty, choć Anatol Pires o to prosił, kiedy tylko się przedstawił.

– Dunia Załuska. – Pochyliła głowę z wdziękiem.

– A ten facio z przodu to Stepan Orzechowski – Anatol szepnął jej konfidencjonalnie do ucha i mężczyzna wyciągnął w jej kierunku kościstą wypielęgnowaną rękę.

Ten człowiek nie pracował fizycznie. Dunia, cała się rumieniąc, podała mu swoją, choć bardzo się wstydziła, że jej skóra z pewnością wyda mu się zbyt szorstka. Zauważył zarówno jej wypracowane dłonie, jak i urocze zawstydzenie. Uśmiechnął się, odsłaniając komplet białych zębów, i szarmancko złożył na jej dłoni pocałunek. Natychmiast ją wyrwała i schowała do kieszeni.

– W którym liceum się uczysz?

Dunia podniosła dumnie głowę i oświadczyła:

– W przyszłym roku będę zdawała do liceum medycznego w Bielsku. Na razie szukam pracy.

Dyrektor Orzechowski odwrócił się i zmierzył ją od stóp do głów.

– Nie masz zameldowania? Wiesz, że to nielegalne?

– Mieszkam u gospodyni – skłamała. Wskazała chłopca. – A to mój siostrzeniec.

Anatol się uśmiechnął.

– Tak się składa, że mógłbym ci pomóc. Jestem dyrektorem tutejszego liceum. Ale musisz zdać egzamin. Jesteś ze wsi?

Kiwnęła głową.

– A zatem ziemia mówiła do nas – wyrecytował po białorusku z emfazą. – Rozumiała nas, otaczała duchem przeszłości naszego ludu i wielką miłością swoich drzew i pól. Łany żyta falowały za oknami i kłosy szeptały na wietrze. Było nam dobrze w wiosennym słoneczku i w deszczu[5].

Dunia wpatrywała się w Anatola urzeczona. Nigdy nie słyszała, by ktoś tak pięknie mówił w tym języku. Znała wersję chachłacką, którą posługiwali się jej przyszywana rodzina i sąsiedzi. Żadne z nich jednak nie wydobyło z białoruskiej mowy tej melodii, naturalnego zaśpiewu – tak innego niż rosyjski czy choćby ukraiński.

– Łarysa Heniusz. – Anatol zarejestrował jej zachwyt. Ryba chwyciła haczyk. – Pierwsza nasza rewolucjonistka. Nigdy nie przyjęła radzieckiego obywatelstwa. Wyemigrowała do Czech, bo to było jedyne państwo, które okazało pomoc obywatelom BNR. Tam mieszkała, tworzyła. Po powrocie z łagrów postanowiła wrócić na ojczyste ziemie i zmarła w Zelwie na Białorusi. Bojowniczka o wolność. Znasz?

Dunia pokręciła głową. Czuła się nijaka, brzydka i nikomu niepotrzebna.

– A powinnaś. Zacznij czytać, ucz się. Nie ma żadnej innej wolności. Tylko wiedza – dodał Anatol.

– Co ty jej w głowie mieszasz, Tolik – włączył się Orzechowski, również po białorusku. Dunia była zaskoczona. Myślała, że to stuprocentowy Polak. Tak w każdym razie wyglądał. – Zgłoś się jutro na bramę i powołaj się na mnie. Tartak potrzebuje silnych, młodych kobiet do układania parkietu na suszarni. Ale to ciężka praca, a ty chuchro jesteś.

– Od dziecka pracuję fizycznie – powiedziała hardo. – Chcę i uczyć się, i pracować.

Mężczyźni się roześmieli. Wymienili spojrzenia.

– Taka kobieta będzie miała kłopoty – mruknął Orzechowski. – Skrywaj swoją butę, udawaj pokorę. I pamiętaj, kiedy jest wojna, tchórze przeżywają, a odważni giną. Tak to już jest.

Dunia wpatrywała się w plecy dygnitarza.

– Przecież wojny już nie ma.

– Czasem o wiele ważniejsze jest to, czego nie widać – zamruczał i wrócił do swoich papierów.

Tymczasem Anatol nie mógł powstrzymać lubieżnego spojrzenia.

– Dowód już masz?

Dunia się wystraszyła. Nic nie odpowiedziała. Pochyliła tylko głowę i podziękowała za dobroć serca panów.

– Jakich panów – zdenerwował się Orzechowski. – Towarzyszy. Białoruskich towarzyszy broni, *dziauczynka*.

Zatrzymali się przed bramą szpitala. Anatol chciał wysiąść, pomóc jej. Dopytywał się już kolejny raz, gdzie mieszka, by podała mu swój adres, ale

zbyła go grzecznym uśmiechem. Zarzuciła swój tłumok na plecy, chłopca wzięła na ręce, jakby niosła wiązkę drewna na opał, i dotargała go na izbę przyjęć. Na jej widok wyskoczył pielęgniarz, przytrzymał ją, by nie upadła. Zaraz też ktoś przybiegł z noszami. Anatol patrzył za nią, aż zniknęła w drzwiach, a potem zamruczał do Stepana:

– Silna i harda.

– To nie Białorusinka. Nie może być. Niemka albo Polaczka. Jakiś faszystowski bękart. Widziałeś jej twarz?

Anatol roześmiał się i poklepał przyjaciela po rumianej twarzy.

– Dla ciebie każda kobieta to barachło.

– Nie to, co dla ciebie. Z kwiatka na kwiatek. A Jagoda w domu pierogi lepi.

– I tłumaczy mój tekst z „Niwy” na niemiecki do „Allgemeine Zeitung”.

– Gdybym taką jak twoja spotkał, może też bym się ożenił – westchnął Stepan.

– Pewnie, gdyby miała dorodne jajca – zażartował Pires, a Stepan zmierzył go wściekłym spojrzeniem i zerknął na kierowcę z żalem. Będzie musiał go zwolnić, szlag.

Ale już wieczorem, kiedy wchodził na plebanię do zakochanego w nim księdza, o incydencie z wieśniaczką spod cmentarza żołnierskiego nie pamiętał.

Anatol zaś nie tylko zanotował nazwisko Duni, ale też wyciągnął z urzędu jej zdjęcia, które złożyła wraz z dokumentami o dowód osobisty. Wpatrywał się teraz w jej inteligentną twarz złośnicy, która miała czelność zatrzymać służbową wołgę, by ratować małego chłopca. W jego skrytkach pamięci nigdy nic nie ginęło. Dlatego był w tym miejscu i pełnił tę właśnie funkcję.

Kiedy dotarł do pracy, nawet nie wszedł do pokoju nauczycielskiego. Zamknął się w swoim gabinecie i kazał zaprzyjaźnionym tajniakom służby bezpieczeństwa sprawdzić rodzinę dziewczyny do trzeciego pokolenia, a kiedy potwierdzili, że uciekła z domu przed zamążpójściem, uśmiechnął się zadowolony, że znów intuicja go nie zawiodła. Znał się na ludziach jak

mało kto. Zlecił znaleźć i dyskretnie obserwować małą Białorusinkę i informować go, z kim się spotyka, kiedy i jak blisko.

Miał już żonę i był z niej całkiem zadowolony. Nie zamierzał, rzecz jasna, niszczyć swojego życia. Draki też nie potrzebował. Posiadał cały zastęp skorych do zabawy kochanek każdego sortu. Ale od dawna nie czuł takiego podniecenia. Pragnął mieć teraz tylko tę jedną dziewczynę. Była źle ubrana, niewyrobiona towarzysko, lecz harda i z całą pewnością niewinna. To był ten ideowy i waleczny typ, który nie odda swojego najcenniejszego klejnotu byle komu. Prędzej już zostanie na zawsze sama. Był pewien, że operację jej uwikłania musi dobrze zaplanować, bo będzie się opierała. Swoją drogą, na to właśnie liczył. Tego dnia tryskał humorem i nawet zgodził się wyjechać do Berlina, by zebrać dane o wrogim Polsce Ludowej działaczu, choć jego zwierzchnicy nie mogli go do tego przekonać od miesiąca, tak skutecznie się migał.

Hajnówka, 2014

Dwadzieścia trzy metry kwadratowe, nie licząc balkonu typu loggia, również wypełnionego w dziewięćdziesięciu procentach woluminami, miało być teraz tymczasowym sztabem Załuskiej.

Kiedy weszły do dusznego pomieszczenia przy Piłsudskiego osiemnaście, mieszkania osiem, Załuska zaryzykowała pogląd, że rodzina komendantki należała kiedyś do elity intelektualnej miasteczka. Żadnej ławy pod szkłem i foteli z miękkimi oparciami; podrabianych Matejek, jeleni na rykowisku w towarzystwie prawosławnej Bożej Matieri. Ani jednej durnostojki czy ruskiego zegara z kukułką powleczonego złotolem, bo też nie byłoby gdzie tych ozdób umieścić. Wszędzie, w każdym zakamarku tego lokalu, mieszkały książki.

Jak opłacana była ta emerytowana elita, można było zgadnąć już na pierwszy rzut oka. Półki wykonano samodzielnie z płyty wiórowej. Nikt nie trudził się ich lakierowaniem. Proste łączenia, stalowe śruby w ścianach. Haki i stelaże półek z pociętych torów kolejowych. Dziś za takie wyposażenie hipsterzy z warszawskiego Planu B daliby się pokroić. Maciek Pawelski, najmodniejszy obecnie konstruktor Refresz Dizajn, ustaliłby za podobne zlecenia słone stawki w jedynej słusznej walucie barwy nadziei. Sasza pomyślała, że mieszkańcy tego domu musieli mieć w sobie wiele hartu ducha, by w miasteczku, z którego w PRL-u cała Polska ciągnęła meble na wysoki połysk, nie dać się złamać i nie wstawić sobie w salonie meblościanki z kryształami, a jednocześnie wytrwać, żywiąc się jedynie wiedzą. Nagle zapragnęła dowiedzieć się, kim byli, jakie mieli marzenia i co trzymało ich tutaj, na skraju leśnej głuszy.

Lewa strona pomieszczenia służyła do spania i przyjmowania gości, których weszłoby tutaj aż sztuk dwie plus gospodarze, więc mieściła się w ciemnej wnęce razem z miniaturową kuchnią. Prawa, trzykrotnie większa, pełniła funkcję pracowni i biblioteki. Można byłoby narysować na podłodze białą krechę, tak bardzo się różniły. Lewą, „życiową”, należało się przemieszczać pod ścianą. Prawa dawała oddech. Na każdej półce tej

ściany znajdowały się ponumerowane egzemplarze książek, cierpliwie zbierające kurz. Było ich tak dużo, że ktoś wyciął specjalny stelaż z drewna na stary Rubin, zresztą ustawiony ekranem do ściany, by także miejsce wokół niego obudować księgozbiorem. Sasza od razu poczuła się tu jak w biurze profesora Abramsa w Międzynarodowym Centrum Badań Psychologii Śledczej w Huddersfield. Bezpieczna i dobrze ukryta. Nie była jednak w stanie pojąć, jak w tym mieszkaniu żyło pięć osób.

– Ciocia wyjechała na lato do uroczyska pod granicą – wyjaśniła Romanowska i postawiła na stole karton z dokumentami. – Ma tam drewnianą chatę z zejściem nad Bug i kawałek lasu. Syn jej kupił, żeby uciszyć sumienie. Mieszka w Nowym Jorku, praktycznie nie przyjeżdża. Ciocia nie wróci przed jesienią, a jeśli zima będzie łagodna, zostanie do wiosny.

Sasza otrzepała kurz z giętego krzesła przy staroświeckim biurku z zielonym filcem na blacie i odpoczywała kilka minut bez słowa. W koszyku na parapecie leżały włoskie orzechy. Nie odważyła się ich rozłupać. Mogły być starsze od niej.

Romanowska w tym czasie opowiadała o dużej ilości światła, które wpada tutaj od południa aż do osiemnastej. Otwierała i zamykała szafki kuchenne, wystawiała na blat wielkości deski do krojenia puszki po herbacie, kawie, ryżu i mące. Brzęczały pustką, ale insektów nie było. Włączyła lodówkę i przełożyła tam kupione po drodze podstawowe produkty spożywcze. Potem chwyciła największy nóż i z trudem zaczęła kroić chleb na grube pajdy. Wyglądał efektownie, ale był okrutnie tępy.

– Nie jestem głodna – powstrzymała ją profilerka.

Spojrzała na amerykankę – nieco większy kraciasty fotel, który miała zapewne rozkładać wieczorem do spania, bo inaczej nie dałoby się przejść ze „strefy życia” do biblioteki. Ciekawe, jak jej się to uda jedną ręką.

Romanowska usiadła, złożyła ręce w małdrzyk.

– Ma pani rację.

– Sasza. – Załuska wyciągnęła zdrową dłoń. – Jestem młodsza, nie wypada mi, ale tak będzie wygodniej pracować.

– Krysia.

Uśmiechnęły się do siebie.

– Nie bez powodu wyręczyłam Błażeja. Pewne rzeczy chciałam ci powiedzieć poza komendą.

– Dotyczące śledztwa czy prywatnie?

Romanowska pokiwała głową, cokolwiek miało to znaczyć.

– Twoja sytuacja nie wygląda najlepiej, ale obie wiemy, że to tylko…

– Hipoteza – dokończyła Sasza i spróbowała wyjąć papierosy z bocznej kieszeni kurtki. – Nie mam za złe. Chodzi raczej o sposób prowadzenia dochodzenia. Ale to chyba już nie do ciebie.

Romanowska się spięła.

– Ciocia nie pochwala palenia.

– Ma rację. – Sasza poradziła sobie już z paczką jedynek i wstała, by otworzyć okno balkonowe. Poszło zaskakująco łatwo. Zaczynała się przyzwyczajać do życia jednorękiej. – Będę dmuchała tutaj. Możesz mówić. Słuch, w przeciwieństwie do wzroku, mam jak pies.

– Tylko potem będziemy musiały dobrze wywietrzyć.

– Do zimy nie zamierzam tu siedzieć. – Załuska się uśmiechnęła. – Zniknę jak ten dym. Bez śladu.

Krystyna już nie protestowała. Sasza od razu poczuła się pewniej. Wpatrywała się w żar od papierosa i oświadczyła:

– Nie wszystko rozumiem. Jeśli mam efektywnie pomóc, nie możesz przede mną ukrywać danych.

– Nie zamierzam – odparła Krystyna, lecz dalej milczała.

– Więc może teraz? Czy chcesz czekać do kolejnego zabójstwa? – Sasza zawiesiła głos. – Dlaczego dałaś mi ten adres?

Romanowska wzruszyła ramionami.

– Było mi cię szkoda.

– Tylko tyle?

– To mało?

Krystyna podeszła do półki z książkami. Wyjęła *Drewno moje hobby*, schowała, a potem *Technologię płyt pilśniowych*. Zdmuchnęła z niej kurz.

Otworzyła. Zaraz zaczęła ziewać.

– Wiesz, dlaczego tu jestem? – Obejrzała się na Załuską i nie czekając na odpowiedź, dodała, wymachując książką: – Mój stryjeczny wujek był inżynierem technologii drewna w tutejszym tartaku i domorosłym wynalazcą. To on skonstruował pierwszy profesjonalny trak. Znajdziesz jego zdjęcie w złotej ramie w holu Urzędu Miasta. Stoi przy swojej maszynie, dumny jak paw. Wtedy, kiedy młodszy od niego o dekadę Bondaruk był już kierownikiem suszarni. Ciocia prowadziła bibliotekę w Domu Kultury „Leśnik”. Potem też klub seniora, organizowała zimowiska dla dzieci tutejszych robotników. Oboje pracowali czternaście godzin na dobę, sześć dni w tygodniu. Tyle się dorobili, co widzisz. Nie należeli do partii. Większość tych książek pochodzi z giełd, które organizowano, żeby wyzbyć się księgozbioru. Nikt ich nie kupował. Ciocia nabywała je za złotówkę lub dwie. Wtedy oczywiście były to wyższe nominały, ale wartość mniej więcej taka.

Sasza była cierpliwa. Nie przerywała. Romanowska ciągnęła:

– Któregoś roku, byłam jeszcze w szkole, mama nie miała co ze mną zrobić na feriach. Przywiozła mnie do kuzynki. Ojca średnio pamiętam. Rozwiedli się, kiedy miałam osiem lat, i tylko na początku nas odwiedzał. Zresztą przyjeżdżał tylko po to, żeby się kłócić o obniżenie alimentów. Zawsze przed wyjazdem zabierał mnie i brata do kiosku. Stawałam przed wystawą i wpatrywałam się w to barachło, które w tamtych czasach sprzedawało się w Ruchu. Kupował nam, co chcieliśmy. Breloczek, notes, kolorowy długopis, latareczka. Ludzki pan. Ale wtedy bardzo mi na nim zależało. Do dziś lubię wystawy w kioskach. Nieważne. – Machnęła ręką. – JahJah’ę poznałam na tym właśnie zimowisku. Miałam jedenaście lat. Przemek był ode mnie o cztery lata starszy. W takim wieku to przepaść. Na początku go nie znosiłam. Z wzajemnością. Wszystko to, co dziś mnie w nim tak drażni, denerwowało mnie już wtedy. Popisywanie się, płytkość opinii, brak wejrzenia w ludzkie motywacje. Zawsze wolał żartować, niż prowadzić poważny dyskurs. Mało czyta. Prawdę mówiąc, poza „Przeglądem Sportowym” i biuletynem „Policja” – wcale. Tylko sport w tiwi, siłka, mizoginistyczne dowcipy.

Tak się potoczyło, że przyjeżdżałam tu co rok. Niestraszne mi było trzynaście godzin w pociągu, autobusie, bo przecież samochodu nie

mieliśmy, ale sama już nalegałam, żeby spędzać ferie, wakacje w tym sielskim miasteczku. Imponował mi chłopak, który wie, czego chce, bo już wtedy zamierzał być adwokatem. Potem, kiedy nie dostał się na żaden kierunek prawa w Polsce, błyskawicznie zmienił swoje marzenia. To też uważałam za godne podziwu. Mówił teraz o tym, że będzie milicjantem lub żołnierzem. Marzył o jednostce specjalnej, ale nie było wtedy GROM-u. Ewentualnie ZOMO, a na to nie był wystarczająco głupi.

Ja nie wiedziałam o sobie nic. Głównie się niepokoiłam. Wierzyłam, że miłość mnie uleczy, i chyba szukałam kopii ojca. Chciałam, by ktoś przejął odpowiedzialność za moje życie i mi je zaplanował. Kiedy miałam osiemnaście lat, zaszłam w ciążę. Pobraliśmy się rok po tym, jak urodził się Błażej. Nie chciałam mieć ślubnych zdjęć z brzuchem. Potem nie chciałam nawet ślubu. Nie podobało mi się, że mam spędzić życie na obieraniu kartofli i jeżdżeniu odkurzaczem po tureckim dywanie, ale rodzina wstydziła się bękarta. Trzeba było jakoś to przykryć. Zaplanowali wszystko za mnie, więc tu zostałam. Przeżyłam w Hajnówce tyle lat, ale dla nich zawsze będę tylko przyjezdną z Wałbrzycha. Miastową spod Śnieżki, co się sadzi na tutejszą. Nigdy nie będę „swoja”. Bo musisz wiedzieć, że tu nie ma podziałów na prawosławnych, katolików czy nawet żydów, muzułmanów. Są tylko tutejsi i obcy. Ja jestem obca, bo prochy moich bliskich leżą w innej ziemi.

– Ciekawe – mruknęła Sasza. – Ale jaki to ma związek z naszą sprawą?

– Bondaruk od lat jest znaczącą figurą w mieście. Obserwuję go już czterdziesty piąty rok. To dużo.

– Fakt.

– Pamiętam wszystkie związane z nim historie. Jasne, że wiele z tych opowieści to plotki, domysły, bo nikt nigdy nie postawił go w stan oskarżenia. Nikomu na tym nie zależało. Nikt nie odważył się walczyć z lokalnym potworem. Każde małe miasteczko takiego posiada. Każdy z niego żył, chronił go i osłaniał, bo on nas wszystkich karmił. To słowa mojego poprzedniego szefa, kiedy chciałam robić aferę w sprawie Łarysy, a potem Marioli. Ale wszyscy wiedzą, że to on zabił swoje żony.

– Słucham? – zapowietrzyła się Sasza.

– Choć nie były ślubne – poprawiła się Romanowska. I uśmiechnęła się. – Dobrze słyszałaś. Z tego, co wiem, zginęły mu kolejno: Łarysa – nieznany sprawca strzelał do niej na szosie na Białystok; Mariola – któregoś dnia wzięła urlop z pracy, wyjechała i już nigdy nie wróciła, a teraz Iwona – uprowadzono ją w lesie. Ciał brak. Dlatego żadna z tych spraw nie miała finału w sądzie. Co ja mówię! W żadnej z nich nie powstał nawet akt oskarżenia. Za każdym razem prowadzono postępowanie, ściągano ludzi z Białegostoku, miasto huczało od domysłów. Były i ślady, jak choćby w przypadku Łarysy, ponieważ Bondaruk także był ranny w tej strzelaninie, szpital psychiatryczny, leczenie i wreszcie sprawa samochodu.

– Czarnego mercedesa z lasu?

– Ten samochód pojawia się w każdej ze spraw. Dokładnie w każdej.

Sasza się zamyśliła. Zamknęła drzwi balkonowe, otuliła kocem. Podeszła do prowizorycznej kuchenki gazowej i wstawiła wodę do gotowania. Czajnik pamiętał chyba jeszcze wojnę. Nigdzie nie było do niego gwizdka.

– Kawa czy herbata? – zapytała i zaczęła ustawiać na stole szklanki z plastikowymi uchwytami. Otworzyła szafkę. Odkręciła słoiczek z naklejką kawy, potrząsnęła. Był pusty. Poprawiła się: – Tylko herbata. Czarna. Cukru też brak.

Romanowska podeszła do biurka i zaczęła wyjmować dokumenty z kartonu.

– Dlatego przywiozłam ci nie tylko akta Pietrasikówny, ale wszystko, co od lat gromadziłam u siebie na temat Piotra. Znam go. Kiedyś znałam go nawet bliżej. JahJah do tej pory nie może mi tego wybaczyć, choć prawie do niczego nie doszło.

– Jak to prawie? – żachnęła się Sasza. – Albo doszło, albo nie.

Romanowska spoważniała.

– Mówię prawie i tak było. On ma pewien kłopot – zawiesiła się i machnęła ręką. – Ale to mu nigdy w niczym nie przeszkadzało. To był pies na baby, a one go kochały. Niektóre pewnie kochają do dziś. Jest w nim pewien, nie wiem, jak to nazwać, smutek? Oczywiście też charyzma i wrażliwość. Te dwie sprzeczne cechy intrygują kobiety. Tak sądzę. Mnie

wzięły. Byłam wtedy spragniona adoracji. Sama widziałaś, jaki jest JahJah. Przed rozwodem latami mnie nie zauważał. Dopiero teraz się stara, ale klamka już zapadła. Dobrze mi zresztą samej. W każdym razie nie ma tu krasawicy czterdzieści plus, której Piotr by nie adorował. Dziś to dziadek, trudno w to uwierzyć, ale zapytaj, kogo chcesz. Mówię prawdę.

– Spędziłam z nim pół lunchu. Wierzę – zapewniła profilerka. – Do puenty.

– Pół roku temu ujawniliśmy pierwszą czaszkę. Zastęp zuchów „Leśne misie" znalazł ją w wygasającym ognisku na Harcerskiej Górce. Poprzedniego dnia Piotr ogłosił zaręczyny z zaginioną, siostrą ekipy Żubra. W mieście huczało. Stary kacap wybrał młodziutką Bejnar z Chemicznej – kibolkę i byłą przywódczynię kinderskinów. Gdyby zamienić w energię wściekłość odrzuconych przez te wszystkie lata narzeczonych Piotra, rozpętałoby się tu tornado. Oczywiście wszystko pod spodem. Tu niczego nie mówi się otwarcie. Wszystko od ucha do ucha, po domach. Jak my teraz.

Romanowska położyła przed Saszą projekcję twarzy poszukiwanej. A potem dołożyła zdjęcie nadpalonej głowy.

– To jest kobieta, którą rozpoznałam?

– Ta prostytutka, tak. Czekamy na oficjalne potwierdzenie. Potem, w przeddzień wesela Piotra, ktoś przyniósł kolejną. Niestety, nie wiemy na razie, czyja to głowa, ale kontekst nasuwa się sam. Sprawdzamy na monitoringu dostawcę. Są pewne hipotezy. JahJah działa operacyjnie.

– Zgubiłam się.

– Pierwszą specjalnie wrzucono do wygasającego ogniska, by znalazły ją zuchy. Ekspertyza wykazała, że były na niej jednak ślady ziemi. Musiała być zakopana przez lata. Nie ustalono, jak długo: siedem czy trzydzieści. Ale była dobrze zmacerowana. Nawet śladu tkanki. Czysta kość. Podejrzewaliśmy najpierw, że to z czasów wojny. W tych lasach grasowały bandy. Każdego typu: UPA, polska partyzantka antykomunistyczna, czerwonoarmiści, Niemcy. Dokonano na tym terenie wielu mordów. Tutaj kończyła się nieoficjalna granica państwa. Stąd wyjeżdżał ostatni transport zwycięskiej Armii Czerwonej w tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym. Do dziś ludzie znajdują na spacerach po lesie kości, które wysyłamy do

identyfikacji – wyjaśniła Romanowska i zaraz wygrzebała z kartonu kolejną fotografię. – Tę drugą podrzucono w reklamówce w dniu wesela. Wcześniej te elementy ignorowałam. Brzmi jak teoria spiskowa, ale sądzę, że zabójstwo Pietrasik także może mieć związek z Piotrem.

Sasza odchrząknęła. Z trudem zachowywała powagę.

– Sugerujesz, że w Hajnówce grasuje Sinobrody, który zdobywa, a potem kasuje babki i ukrywa w lesie ich ciała, by uchodziły za zaginione, czy tak? To wszystko robi samochodem widmo. Starym mercedesem z podwójnymi światłami, który pojawia się i znika – dokończyła na jednym oddechu profilerka i uśmiechnęła się najszerzej, jak potrafiła.

– Nie tylko babki.

Woda na herbatę się zagotowała. Para buchała z czajnika, ale żadna z nich się nie ruszyła, by zakręcić kurek gazu.

– A więc było więcej zaginięć? Ile i kto?

Romanowska zgrabnie wyminęła profilerkę. Podeszła, zdjęła wrzątek z gazu i nie trudząc się z zamykaniem kurka, zakręciła przenośną butlę.

– Jak będziesz coś gotowała, odcinaj dopływ – poradziła Saszy. – Tak jest bezpieczniej.

– Nie zamierzam tutaj niczego gotować – fuknęła Sasza i powtórzyła: – Kto jeszcze zaginął?

Romanowska spokojnie przeniosła szklanki na tacy, postawiła na stoliku wielkości pudełka do butów. Woda się rozlała, poparzyła jej stopy.

– Cholercia, wszystko tu jak w domku dla lalek – syknęła.

Sasza uśmiechnęła się i pomogła komendantce. Brała ręką szklanki, nie zważając na wrzątek.

– Nie parzy cię to?

– Mam ciepłe dłonie tylko w dwóch sytuacjach. Kiedy mam gorączkę i po dobrym seksie.

– Czyli teraz nie masz gorączki – mruknęła Krystyna i wytarła obuwie. – To dobrze, bo musiałabym cię odwieźć do szpitala.

Sasza upiła łyk herbaty.

– To drugie jest nieaktualne od jakichś siedmiu lat.

– U mnie – Romanowska policzyła w myślach – chyba jedenastu. Ale nie więcej.

Sasza się zaśmiała.

– Teraz już rozumiem, dlaczego mi pomogłaś. To nie była litość. Raczej wkurw na patriarchat. Zobaczyłaś we mnie ofiarę, ale i siostrę niedoli cielesnego zamrożenia.

– Myśl sobie, co chcesz. Ale jak ci pomogłam, od razu poczułam się lepiej – przyznała Romanowska. – Oczywiście nie wiedziałam, że to taka historia.

– Taka?

Usiadły.

– Trochę cięższy kaliber niż mój celibat i walka o władzę w małym miasteczku.

– Małe czy duże – Sasza podniosła szklankę niczym w toaście – na pohybel feministkom!

Romanowska zmarszczyła brew.

– Mam tradycyjne poglądy – wyjaśniła Sasza. I roześmiała się. – Mianowicie mężczyzna służy do noszenia walizek i podtrzymywania kobiety na duchu. By nie upadła. Co nie znaczy, że dam się upokorzyć dla tak zwanej miłości. Wolę już być sama. Tak jak ty.

Zapadła cisza. Romanowska zdecydowała się upić łyk herbaty, ale była jeszcze za gorąca.

– Kiedy zaczynałam pracę w hajnowskiej komendzie, dostawałam samą papierkową robotę – zaczęła. – Zaginięcia były moją działką. Wtedy nikt tutaj nie ginął bez wiedzy SB. Jak ktoś ginął, to oni tego bardzo chcieli. Siedzibę mieli w tym prywatnym przedszkolu, koło ronda. Adam Gaweł był tam szefem przez całe lata. Dziś jest starostą całego powiatu. Pamiętam, że tego dnia strasznie lało. Do komendy, cała zmoczona, weszła piękna kobieta w bordowym ortalionowym płaszczu i spodnium z samodziału. Kiedy zdjęła zagraniczną chustę z jedwabiu, zobaczyłam, że włosy ma uczesane w misterny kok. Nigdy wcześniej ani potem niczego takiego nie widziałam. Jakby miała na głowie koronę z węży. Nie wiem, jak długie i grube musiała mieć te włosy, ale to akurat zapamiętałam doskonale. Tak

jak kolor – czerń sadzy. Dokładnie takie, jak Iwona. To była niejaka Dunia Orzechowska, żona ówczesnego dyrektora tartaku i – wszyscy to wiedzieli – człowieka Gawła. Piotr był wtedy w tartaku młodym inżynierem, który wprowadzał nowoczesne metody, usprawniał produkcję. Pupilek partyjniaków, były szef ZSMP, aktywista, który umiał zdobyć szacunek starszej kadry, jak i młodych. Hołubiono go wtedy, ale ludzie mu nie ufali. Wujek mi powiedział, że sprawa jest prosta. Skoro z takimi notami po SGGW Bondaruk wrócił do Hajnówki, a mógł wziąć nakaz pracy w Warszawie czy gdziekolwiek chciał, musiał mieć plecy w centrali PZPR lub przysłali go z właściwą misją.

– Szpion?

– Kto go tam wie. Ale z całą pewnością miał zająć miejsce Stepana. Zresztą, nie mówię, że bez podstaw. Piotr zawsze był łebski. Jego ojciec zaczął pracę nad maszyną do suszenia tarcicy, która miała zwiększać produkcję, ale centrala patentu nie kupiła. Urządzenie okazało się zbyt drogie w produkcji. Piotr ulepszył dosłownie dwa elementy. Podniósł wysokość i dodał mocy silnikowi. Dziś wszystkie zakłady drzewne w Polsce pracują na tym koncepcie. Wtedy to był skok jakościowy o pięćset procent.

– Pięćset? Już wtedy to mierzyli?

– Może przesadziłam. W każdym razie sporo zwiększała. – Romanowska machnęła ręką. – Dunia zgłosiła zaginięcie męża. Miał wyjechać w delegację i nie wrócić. Rozpoczęliśmy intensywne działania. To była sprawa priorytetowa. Wszyscy się tym zajmowali. Ale już tydzień później przestaliśmy go szukać. Najpierw do starego komendanta zadzwonił Gaweł, ówczesny szef SB. Wydał odpowiednie rozkazy. Potem Orzechowska wycofała doniesienie. Tym razem się nie pofatygowała. Zadzwoniła do Starego i mówiła z nim mniej niż kwadrans. Wybuchnął skandal na skalę prawie ogólnokrajową. Dwa dni później przyniosła list. Niestety, nie zachował się w dokumentach, bo policjanci natychmiast puścili go w obieg. Całe miasteczko miało z niej łacha, jak mówi dziś mój syn. Przez najbliższy rok z niej dworowano. Wtedy też Dunia zaczęła się wycofywać ze świata.

– Co w nim było?

– Stepan ujawniał, że jest gejem i odchodzi od żony do katolickiego księdza. Było tam przydługie wyznanie, że nigdy jej nie kochał, a ożenił się z litości i by mieć kogoś na starość, kto mu poda szklankę wody. Zostawia jej majątek i odłożone pieniądze na koncie, by miała zabezpieczenie materialne i dobrze wychowała ich synka, który był wtedy w drodze.

– Chodzi, jak rozumiem o Jerzego Orzechowskiego, byłego Iwony?

– Quaka, tak – potwierdziła Krystyna. – Wszystko to wyglądało bardzo wiarygodnie. Proboszcz już wcześniej został zlinczowany i dosłownie wyrzucony z plebanii przez wiernych. Kuria nie zaprotestowała. Musieli znać więcej szczegółów, ale nikomu nie zależało na aferze. Wtedy nie mówiło się o tych sprawach. Ludzie zarzucali proboszczowi nieobyczajne zachowanie, picie alkoholu i malwersacje finansowe. Zanim wyjechał, zabrał pieniądze z tacy i kilka tysięcy z kupki odłożonej na budowę cmentarnej kaplicy, na którą składało się pół miasteczka. Dwa dni potem zniknął Stepan. Po latach, kiedy wszedł już system komputerowy, próbowałam go namierzyć za pomocą PESEL-u. Bez skutku. Nie natrafiłam na żaden trop – danych brak. Ani żywego, ani umarłego. To samo było z danymi księdza. Od tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego roku nie ma takiej osoby. Przypadki chodzą po ludziach, ale nie parami.

Sasza zamrugała dwukrotnie, po jednym dla każdego z zaginionych.

– Niech zgadnę – powiedziała. – Dunia miała romans z Bondarukiem.

– Mądra dziewczynka – pochwaliła ją Romanowska. – Bardzo, zresztą, namiętny. To była jego pierwsza i największa miłość. Ludzie mówią, że Iwona Bejnar brała ślub w jej ciuchach, które Dunia miała włożyć, jak już rozwiedzie się ze Stepanem. Przez chwilę, na weselu, sądziłam nawet, że to była ona.

Sasza pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Dunia też zniknęła?

– Skąd – zaprotestowała Krystyna. – Ale ma nierówno pod kopułą. Może ją widziałaś. Wygląda jak czarownica. To nasza lokalna szeptunka. Podobno ma moc.

– Wpuszczasz mnie?

– Nie śmiej się – odparła Krystyna całkiem poważnie. – Ona jest dziwna. Sama zobaczysz. Niektórzy się jej boją.

Z torby Saszy dobiegł dźwięk komórki. Kobieta poderwała się, wyciągnęła telefon. Na wyświetlaczu zobaczyła zdjęcie córki w czarnej ramonesce i różowej bluzce z cekinami.

– Wszystko w porządku? – odezwała się Załuska słodkim głosem, zupełnie niepodobnym do tego, którym przemawiała do komendantki.

Romanowska się uśmiechnęła. Widziała teraz blask w oczach profilerki, słyszała jej perlisty śmiech. Tak właśnie wygląda stęskniona matka.

Mała szczebiotała, więc Romanowska odeszła do kuchni, by zapewnić im pozór intymności. Rozmowa trwała dobry kwadrans. Kiedy Sasza odłożyła słuchawkę, była już spokojniejsza. Z ulgą podniosła do ust kanapkę, którą przed nią w tym czasie postawiła Krystyna. Komendantka usiadła i ugryzła kawałek swojej. Jadły w milczeniu.

– W życiu nic nie smakowało mi bardziej jak ten kawałek kiełbasy z chlebem – powiedziała Sasza.

– To kiełbasa z naszych zakładów. Niejaki Nesteruk pilnuje ponoć masarni osobiście. Do tego stopnia, że, choć ma już ponad osiemdziesiąt lat, lubi zaszlachtować świniaka, żeby pokazać, jak należy to robić, by zwierzęcia nie krzywdzić – wyjaśniła Krystyna.

Sasza z trudem przełknęła kęs. Odsunęła od siebie talerz.

– Dorobił się na złomie. Również bliski przyjaciel Bondaruka – mruczała z pełnymi ustami Romanowska i dojadła też po Saszy. A potem kontynuowała, jak gdyby nigdy nic: – Jak już wiesz, synem Duni jest Jurek Orzechowski, lokalny złodziejaszek, zwany Quakiem. To był nasz główny podejrzany. Był przed Bondarukiem chłopakiem Iwony. Mamy powody przypuszczać, że planował ucieczkę we współpracy z panną młodą.

– To dlatego pytałaś, czy ona mogła znać napastnika? Zaczyna się to składać w rodzinną opowieść. Nieoficjalną, oczywiście.

Romanowska wzruszyła ramionami. Sasza zaczęła odginać palce, liczyć. Wreszcie się uśmiechnęła.

– Na mój gust bilans jest solidny: jedno ciało, dwie głowy i pięć zaginięć. A wszystko wokół przeszło sześćdziesięcioletniego Don Juana.

– Okularnika.

– Rzeczywiście. – Sasza wyjęła fotografię od Marzeny Koźmińskiej. – Tak na niego mówiono nie tylko tutaj. Musiał być dumny z tej ksywy, skoro się nią chwalił w centrali partii.

Romanowska podniosła głowę. Nie zrozumiała.

– Nie miałabyś ochoty przejechać się do Gdańska?

– Teraz?

– Dziś chcę poukładać dane. Ale jutro, czemu nie? Pod twoją eskortą chyba mogę opuścić miasto. Jak już tak bardzo chcesz, będę dalej grać rolę podejrzanej. Zaczyna mnie to bawić.

Podeszła do półki i wylosowała *Mit ludożercy*. Książka była nowa. Nie mogła być kupiona na giełdzie w „Leśniku”. Otworzyła na chybił trafił i przeczytała:

– „Zjeść drugiego to posiąść go w pełni, doświadczyć oralnej ekstazy”. – Zamknęła i zażartowała: – Może on ich zjada? Dlatego nie ma ciał. Zostają tylko głowy i kości.

Romanowska spojrzała na nią dziwnie. Pierwszy raz nie zareagowała na żart Załuskiej.

Gdańsk, 2014

Silny, promieniujący ból od biodra skosił Marzenę z krzesła. Wyprostowała szybko nogę, by zwalczyć skurcz. Jak zwykle tylko pogorszyła sprawę. Po chwili nie miała już czucia w stopie. Zsunęła się i ułożyła na podłodze bez ruchu. Zacisnęła zęby, z oczu pociekły łzy. Cierpiała po cichu. Czekała, bo wszystko mija. Tego uczy ludzi umieralnia, zwana przez niektórych więzieniem. Dopiero kiedy ból zelżał, wypuściła z rąk kanwę z lnianym płótnem i igłę nawleczoną czerwoną muliną. Jan Paweł II uśmiechał się diabolicznie z niedokończonego obrusu. Nie miał jeszcze nosa ani górnej części twarzy. Równie dobrze mogłaby teraz wyszyć Batmana. I jeszcze trzy lata temu zrobiłaby tak dla draki, ale dziś nie miała sił nawet na brawurowe odstawienie zupy, choć wiedziała, że strażniczka włożyła do niej środkowy palec, kiedy podawała jej metalową menażkę. Jadła wszystko, co się nadawało do przełknięcia, choćby po to, by mieć czym wymiotować po kryjomu, co zdarzało się ostatnio kilka razy dziennie. Rwa kulszowa nie dawała jej ostatnio nawet dwóch dni bez udręki. Wiedziała, że to defekt kręgosłupa. Może coś poważniejszego. Ostatni odcinek lędźwiowy zawsze był jej słabym punktem. Właściwie zrosła się z tym bólem. Ćmił nieustannie, jak poczucie winy. Dlatego wolała nie wiedzieć, co tak naprawdę jej jest. Ortopeda przyklepał sprawę i niechętnie wystawił jej kwit, by mogła pracować w szwalni. Nie wiedziała wtedy, że tak krótko zagrzeje miejsce w pracy. O rehabilitacji nie śmiała marzyć. Tylko kurwica ją brała, kiedy ból na chwilę odpuszczał, a i tak nocami przewalała się na łóżku. Dla takich jak ona nie było nawet potasu w tabletkach. Paliła więc jednego za drugim, robiła sobie kolejny czaj. Nic więcej jej nie zostało. Gdyby nie dzieci, odkręciłaby sobie głowę. I zrobi to, ale kiedy już je zabezpieczy.

Papież miał być gotów na jutro po obiedzie. Wiedziała, że jeśli się spręży, da sobie z obrazkiem radę. Konwój odwiezie go do Zamku. Obrus naciągną na blejtram i jej kolejne krzyżykowe dzieło będzie zdobić więzienną kaplicę w centralnym miejscu. To miał być jej dar z okazji

siedemdziesięciolecia istnienia grudziądzkiej więziennej porodówki. Może to dziwne, ale chciała już tam wrócić. Znała każde zadrapanie ścian znienawidzonej fortecy, każdą niedomytą lamperię. Nie zagrzała nigdzie miejsca dłużej niż tam i nigdzie też nie czuła się tak bezpiecznie.

Szczęknęły drzwi. Ktoś odsunął zapadkę. Musiał zerkać do środka, choć Marzena nie mogła tego dostrzec. Poderwała z trudem głowę, ale nie miała sił się podnieść. Drzwi się otwarły. Koźmińska wpatrywała się w nieskazitelne białe pończochy i dziurkowane męskie obuwie w kolorze cappuccino. Oddziałowa. Nie znosiły się, ale udawały mdlącą słodycz.

– Kapelan czeka, a ty sobie leżysz – mruknęła strażniczka.

Marzena odwróciła głowę. Oddychała z trudem. Zaparła się i ostatkiem sił uniosła na dłoni. Spotkała zdziwione spojrzenie klawiszki, a w jej głosie pobrzmiewała troska. Koźmińska nie mogła uwierzyć. Chyba już całkiem odbiło jej z tej niemocy. Przecież ona nikogo nie obchodzi.

– Dobrze się czujesz?

Strażniczka wyciągnęła do niej rękę. Marzena jęknęła z bólu. Pokręciła głową. Nie była w stanie podnieść się na krzesło.

– Skończę do rana. Kiedy wracam do domu?

– Dom mamy w sercu, dziewczyno. Gdzieś przeczytałam. Chyba w jakimś kryminale – zaśmiała się kobieta. Otrzepała mundur. Pałka przy pasku zadyndała, kajdanki zagrały delikatnie kilka taktów. Jednak nie. Troska była złudna. Marzena dała się nabrać. Klawiszka była przekonana, że więźniarka symuluje przed rozprawą, i przestała już być miła. – Lekarz poszedł. Odebrał dziś przedwczesny poród i wyjął jeden kabłąk od wiadra z gardła dilerki. Dostała tylko trzy lata i myśli, że świat się skończył. Spóźniłaś się. Możesz przestać.

Marzena nie odpowiedziała.

– Masz gościa, ale jak nie jesteś w formie, to go przegonię.

– Kto?

– Może nawet mogłabym się zgodzić na warunki szczególne. Jeśli oczywiście nie będziesz pajacować w procesie. Ale na miękkie nie licz.

– Facet?

Marzena natychmiast się uniosła. Pochyliła głowę, rozcierała plecy. Choć raz stres zadziałał prewencyjnie.

– Gromek? – Natychmiast pokręciła głową. – Nie gadam z kapusiami.

– Ogarnij się – zaśmiała się strażniczka. – Daję wam jakiś kwadrans. Pan Piotr nie ma zbyt wiele czasu.

Marzena się zastanawiała. To niemożliwe. Psycholożka nie zdążyłaby go znaleźć tak szybko. Innego Piotra nie znała. Zresztą nikt nie odwiedzał jej od lat. W każdym razie nikt, z czyjej wizyty mogłaby się ucieszyć. Wstała z trudem. Usiadła, głębokimi haustami nabierając powietrza. Kiedy płuca się napowietrzyły, odwróciła się i dostrzegła oczko w lewej pończosze strażniczki. Szło od pięty aż po rąbek spódnicy. Nikt nie jest doskonały. Nawet ona – matka Makryna.

Na początku go nie poznała. Całkiem posiwiał, schudł, skapcaniał. Za dużo pił – rozpoznała od razu po opuchniętych policzkach, wolu na szyi jak u psa pasterskiego i przekrwionych białkach. W porównaniu z nim to ona, nawet w swoim pomarańczowym wdzianku, wyglądała wystrzałowo. Ale chyba nie używał lusterka, bo drwił z niej w najlepsze od pierwszego zdania.

– Zawsze umiałaś o siebie zadbać. Twarzowy dresik. I dieta, widzę, dobrze rozegrana. Choć biust nadal niczego sobie. Nie opadł?

Kliknęły zapadki. Wspomnienia weszły na swoje miejsce. Myślała teraz tylko o tym, że wizyta Okularnika na pewno ma związek z policjantką. Nie mogło być mowy o przypadku. Musiała przyznać w myślach, że Załuska była jednak dobra. Nie doceniła jej.

– Jak to załatwiłeś?

Udał, że nie rozumie pytania. Nie zamierzała mu pomagać.

– Cykor? Królewna nie jest wystarczająco chroniona?

– Odpieprz się.

– Podasz mi to nazwisko, załatwię papugę. Dobrą papugę. Mogę to zrobić.

– Jakie nazwisko?

– Gościa od Jowity.

Wymierzyła w niego palec. Pokręcił głową.

– Błąd.

– Tak powiem, kiedy mnie spytają. Wiem, że to ty.

Odchrząknął szczerze obrażony.

– Marzenko, wiem, że cię zraniłem. Ale i ty przeciwko mnie? Mieliśmy razem świat zdobywać. Choćby skały srały. Nie damy się żywcem. Pamiętasz?

Roześmiała się ostro.

– Bez takich gadek. Jestem już za duża.

– Fakt, mamy z górki – mruknął. – Pytam jeszcze raz. To w naszym wspólnym interesie. Nie wierzę, że nie martwisz się o swoje cztery litery.

– Całe lata nie obchodziło cię, kto, a teraz nagle… – Urwała. – Jaki masz w tym dil? Teraz, kiedy nawet mnie przestało to obchodzić?

– Ciebie powinno – poprawił ją. – Nazwisko człowieka, który mi po ucieczce Jowity zawinął auto i rozbił pod Ciechanowem. Urwane lusterko, zgłoszenie do komendy o piracie drogowym. Znajdę go, odkopię i uwieszę na suchej gałęzi.

– Patrzcie go, jaki, kurwa, rycerz – zakpiła. – Dlaczego akurat teraz?

– Mam ogień przy dupie – wyjaśnił. – Muszę odeprzeć atak. Tylko to mnie teraz interesuje.

Wzruszyła ramionami.

– Masz moje słowo: to nie ja – zapewnił ponownie, już łagodniej.

– Nie ty co?

– Jowita była mi bliska. Pomagałem jej. Bezinteresownie.

– Lepiej by wyszła, gdyby posunęła ją jednostka wojskowa. Może matka miałaby gdzie spędzać Zaduszki.

– Mnie tam nie było. Ale tak sobie czasem myślę, że to ty mogłaś jej pomóc. Tak nagle zniknęliście z tym chłopaczyną. Dziwne, że dopiero teraz przyszło mi to do głowy.

– Jasne – żachnęła się Marzena. – Siedzę za zbrodnię, to można mi dorzucić jeszcze kilka głów. Co za różnica. Zwłaszcza że Jowita była młodsza ode mnie, ładniejsza.

Przerwała. Mógł pomyśleć, że zazdrości koleżance.

– Byłaś zazdrosna? – szczerze się zdumiał. – O coś takiego? O zbiorowy gwałt?

– Teraz to nie ma znaczenia. Faceci zawsze mają obiektywne powody, żeby nie zrobić tego, czego chce kobieta. Trochę późno to pojęłam, ale przynajmniej się nie łudzę.

Po raz kolejny, jak przed laty, zdziwił się, że Marzena ledwie skończyła podstawówkę. Czytał gdzieś, że w więzieniu zrobiła maturę. Słownictwo też miała bardziej wyrafinowane niż kiedyś. Może sporo czyta? I nie wydawała się już tak okrutnie brzydka. Musiał to przyznać.

– Nie udałoby się nam – powiedział. – To między nami to była tylko zabawa.

– Zaufałam ci – wyrzuciła mu.

Zabrzmiało jak fragment sceny zazdrości. Miała to gdzieś.

– Doceniam.

– Kim w takim razie dla ciebie byłam? – szepnęła Osa i natychmiast pożałowała swoich słów, kiedy odparł bez zastanowienia:

– Nikim.

Zacisnęła usta. Tak, to jest nowotwór. Była teraz pewna. Dlatego wciąż chudnie. Nie może spać. Promieniowanie praktycznie nie znika. Ale gniew jest dobry. Zalewał jej gardło, oczy, znieczulił mrowienie w stopie. Na chwilę nie czuła bólu w kręgosłupie.

– Nikim? – upewniła się. – Kiedy ja tak ryzykowałam?

– Nie dla mnie przecież – uśmiechnął się. – Dla siebie. Oboje zrobiliśmy to dla siebie. Ty wykorzystałaś ją, a ja ciebie. Przykro mi.

– Nie znajdziesz go. – Marzena zaplotła ręce do pozycji zamkniętej. Była wzburzona, ale za wszelką cenę chciała to ukryć. – Nie przyzna się. Może już nie żyje.

– Dla niego byłoby tak lepiej – stwierdził Piotr. – Sprawę spieprzył koncertowo. Jak każdy z twoich chłopaków. Nie wiem, jak można nie trafić z takiej odległości. Dziwne tylko, że cię dotąd nie przypucował. A może tak właśnie miało być?

Na twarzy wykwitł mu uśmiech wszechwiedzącego. Marzena poczuła się zaniepokojona.

– Nie tak miało być – zapewniła. – Wtedy byłam młoda i głupia. Zależało mi na tobie.

– Na moich pieniądzach.

– Oczywiście też – przyznała.

– Więc mamy wspólny interes, by gościa usadzić. Inaczej wydam im ciebie. Do Jowity i Łarysy. Nie pozbierasz się. Ja mam już z górki.

– Skąd wiesz, że ja nie planuję tego samego? I wcale nie mam pod górkę.

– Jestem tego pewien, Marzenko. Bardziej niż pewien.

Spojrzała na niego z uznaniem. Mogła być z nich taka piękna para. Jak Bonnie i Clyde. Mogli być ich lepszą wersją. Nigdy by ich nie złapali. Gdyby nie zdradził jej z Jowitą, jej głupią, ładniejszą przyjaciółką. I kto powiedział, że faceci wolą piękne wnętrze albo charakter. Gówno prawda. Opakowanie i komplementy są ważniejsze niż zawartość. Gdyby miała pieniądze i rozum ten co teraz, nigdy by jej tu nie było. Czuła, że znów ma siłę, by powalczyć. Znów była nadzieja. Nieoczekiwanie przybył do niej bankomat. Wystarczyło tylko zdobyć kod PIN i włożyć kartę.

– I wiem też, że to nieprawda, że nie można ci pogorszyć życia – ciągnął tymczasem Piotr. Nie zaskoczył jej. To była jej jedyna słaba strona. – Masz dzieci. Patryka, Agnieszkę i Roberta, z tego co pamiętam.

Puszczała jednym uchem, a drugim wypuszczała i już była pewna, że wchodzi w ten układ. Gra idzie tylko o stawkę zadośćuczynienia. Może rehabilitacja się uda. Potas, morfina i małe mieszkanie gdzieś na uboczu, jak za trzydzieści lat ją wypuszczą, bo przecież nigdy nie sądziła, że zostanie tu na zawsze. Nie ma czegoś takiego jak zawsze. Przyczółek. Trzeba tylko postawić stopę na twardej ziemi. Tylko to.

Wyjął i napisał coś na kartce. Zauważyła plamy wątrobowe i zgrubienia reumatyczne. Z jego uroku fizycznie niewiele już zostało. Miał tylko ten sam głos i oczy węża. Wciąż czujne. Wiedziała, że nie da się zbyć.

– Papuga i honorarium. Chcesz negocjować stawkę?

Pokręciła głową.

– Powiedzmy, trzydzieści. – Wiedziała, że to tylko pierwsza rata. Oboje to wiedzieli. Ale *show must go on*. Nie wolno jej było przeholować w żądaniach. Musiał nabrać apetytu. – Połowa dla mnie, połowa dla dzieci. W drobnych nominałach.

– Niech będzie – westchnął.

Zamyśliła się.

– To nie jest tajna informacja – wyjaśniła. – Wiedziałeś. Wystarczyło się wysilić. To był współlokator tego archiwisty z IPN-u.

– Kudłatego z Wiolinowej?

– Włochatego – sprostowała.

Oboje się zaśmieli. Piotr pierwszy spoważniał.

– Tego, co od siedmiu lat nie miał kobiety?

– Tego, co nigdy nie miał kobiety. Był tak głodny, że skusił się na mnie. Wyobraź sobie – potwierdziła Marzena z przekąsem. – Trochę z nim wtedy pojeździłam po Polsce. Skanowaliśmy materiały, a po robocie dobrze imprezowaliśmy. Nie był nawet taki odrażający. Gdyby nie ty, może bym była panią Wiolinową. To od niego miałeś dokumenty o tych swoich wojennych historiach.

– Czytałaś to?

Pokręciła głową.

– Było tego za dużo. Zresztą już nic nie pamiętam.

Wiedział, że kłamie, ale uznał, że to tylko jest mu na rękę.

– Pięćdziesiąt, jeśli masz kopie dokumentów wozaków.

Zmarszczyła brwi. Przybrała minę Mony Lizy.

– A gdybym miała oryginały?

Wpatrywał się w nią w napięciu. Nie miała ochoty dłużej go zwodzić. I tak czuła satysfakcję, że dał się nabrać. Zależało mu, jak jej na przepustce do dzieci.

– Miałam tylko kopie twoich donosów. I dossier twojego ojca. Smutna postać. Rzadko tak ubecja załatwiała swoich.

Wstała, przeciągnęła się.

– Ale nie dostaniesz ich. Córka spaliła razem z moimi gratami.

– Nikt nie wrzuca pieniędzy do ognia – syknął i ruszył do wyjścia. W drzwiach się zatrzymał. Czekał, aż Marzena zaprzeczy, wykaże chęć współpracy. Nic takiego się nie zdarzyło. Milczała, wreszcie przygryzła wargę, wzruszyła ramionami. – Jeśli się jest na tyle głupim i nie zna obowiązującej waluty, to jednak możliwe – dodał. – Ale w tej sytuacji do końca życia zostaje się gołodupcem.

– Ty wiesz o tym najlepiej – odparła, a kiedy w odpowiedzi zobaczyła jego plecy, poczuła się nadzwyczaj usatysfakcjonowana.

Tego samego wieczoru nabyła w kantynie kartę telefoniczną i zadzwoniła do syna. Kazała mu ukryć teczkę z dokumentami w dworcowej skrytce i czekać na listonosza. Kasę dla niej miał oddać siostrze. Niech odda długi, zrobi jej porządną paczkę i kupi wnukowi wyprawkę od babci. Tej nocy nie miała torsji i spała jak zabita.

Bondaruk po wyjściu z aresztu stał chwilę przed bramą. Mżył deszcz. Postawił kołnierz płaszcza. Nasunął na twarz wystrzępiony słomkowy kapelusz i ruszył przed siebie, właściwie bez celu. Kiedy ktoś go szarpnął za ramię, odruchowo zrobił unik. Kapelusz spadł do kałuży. Piotr miał przed oczami czarne motyle.

– Nadkomisarz Robert Duchnowski, policja – przedstawił się agresor. Przeprosił za gwałtowne powitanie. Spojrzał na zegarek i w tym samym momencie rozległ się dźwięk staroświeckiej nokii. Obaj mężczyźni sięgnęli do swoich kieszeni. – Ledwie pana złapałem. Mam zaszczyt odwieźć pana do komendy policji w Hajnówce. Szuka tam pana cała jednostka. Nie odbiera pan telefonu.

– Sprawę tu miałem – odburknął Piotr. – Komu to nagle jestem tak niezbędny?

Duch włożył w kącik ust zamokniętego papierosa.

– Pogadamy w drodze. Mam do pana co najmniej kilka spraw. Jedna z nich ma na imię Sasza. Reszta mniej mnie interesuje, na ten moment.

Piotr przyjrzał się policjantowi.

– Nie miałem przyjemności – odparł najuprzejmiej. Duch z trudem powstrzymał się od śmiechu. – Zapewniam, że może się pan czuć spokojny o wierność swojej wybranki.

Hajnówka, 2014

– *Paranoia alkoholica*, zaliczana do uporczywych psychoz urojeniowych. Popularnie zwana zespołem Otella. Chroniczna, obsesyjna zazdrość. Plus oczywiście związany z tym problem z kontrolowaniem agresji. Tak początkowo zdiagnozowano Piotra. – Magdalena Prus zamilkła na chwilę i leniwie założyła nogę na nogę. Nie wybrała białej minisukienki specjalnie, ale musiała to zrobić podświadomie, bo jak tylko ustaliła z Krzysztofem Saczką, że dziś zezna tylko pół prawdy, pojechała do domu się przebrać. Biała bandażowa suknia ze stójką sama nawinęła jej się pod rękę. Miała jeszcze metkę. Magdalena uznała, że to doskonała okazja na jej debiut w komendzie. Zresztą, jeśli przyjdzie jej skłamać w trakcie przesłuchania, to przynajmniej w aureoli. Majtki włożyła czerwone. Na wszelki wypadek.

Starszy policjant z wojewódzkiej, który stał przy ścianie, musiał więcej niż raz widzieć tę scenę w wykonaniu boskiej Sharon, bo natychmiast się wyprostował i jego źrenice zaczęły się ogniskować wyżej niż poziom jej biustu. Natomiast mięśniak z tutejszej komendy, wstukujący jej zeznania do komputera – chyba nie widział nigdy filmu o najsłynniejszej femme fatale lat osiemdziesiątych, choć nie należał jeszcze do pokolenia, które *Nagi instynkt* zaliczało do kategorii „W starym kinie”. Czarno-białych produkcji nie oglądał wcale. Brakowało mu w nich szybkiego montażu, wybuchów, spektakularnych akcji, bohaterowie zaś głównie milczeli i zbyt wiele trzeba było się domyślać, na co młodziak nie miał czasu. Poza tym nikt nie wrzucał tych rupieci na Chomika, a skoro ich tam nie było, to nie zaliczał ich do współczesnej popkultury. Lekarka wiedziała, że gdyby to młody prowadził przesłuchanie, nie miałaby żadnych szans na zrobienie zasłony dymnej dla spraw Ciszyni.

– Zamknął kobietę w złotej klatce, śledził każdy jej ruch. Obsesyjnie sprawdzał pościel, przeszukiwał bieliźniarkę. Każde awizo od listonosza wydawało mu się listem miłosnym. W nocy nie zezwalał nawet na pójście do toalety. Musiała sikać przy otwartych drzwiach, śledził każdy jej ruch.

Wciąż mu się wydawało, że w szafie, pod łóżkiem, pod zlewem w kuchni Łarysa może ukrywać kochanka. A raczej cały ich oddział. Klasyk.

– Był agresywny?

Prus potwierdziła skinieniem.

– Dokumentacja policyjna była skąpa, ale Łarysa Szafran zachowywała się jak klasyczna ofiara przemocy domowej. Zgłaszała jednak incydenty, głównie ataków psychicznych. Zero obdukcji, siniaków, ganiania z nożem. Potem wycofywała wnioski o ściganie, ale przez chwilę również była naszą pacjentką. Pili kiedyś razem. Sporo. Poznali się w białoruskiej subkulturze. To ona zrobiła z niego Białorusina. Wielką pomocą był lokalny bimber i rock, jak sama mawiała. Wynotowałam niektóre zdarzenia z historii jego choroby. Są też jej zwierzenia na nagraniach – w razie potrzeby służę. Nigdy potem nie odsłuchiwałam tych kaset, ale przyznaję, że brałam pod uwagę, by przypadek zbadać gruntowniej. Wydawało mi się, że wyraźnie odbiegał od normy. Napisałam o tym wzmiankę do „The Journal of Clinical Psychiatry". Wzięli tekst bez entuzjazmu. Wie pan, takich Otellów na całym świecie są miliony. Dlatego dosyć szybko straciłam zainteresowanie zawodowe tym przypadkiem.

– A prywatne?

– Zainteresowanie prywatne? – odpowiedziała pytaniem na pytanie i zmarszczyła brwi, jakby nie dowierzała, że chce ją obrazić. Doman spłoszył się, ale nie wycofał pytania. Dodała po chwili: – Początkowo oboje interesowali mnie wyłącznie zawodowo.

– Jak odbiegał od normy?

– Ona również cierpiała na ten rodzaj psychozy. Z tym że nie zdążyliśmy jej zdiagnozować.

– Trafiła kosa na kamień? – Doman się uśmiechnął.

– Można tak w skrócie powiedzieć. – Lekarka wzruszyła ramionami. – Choć to duże uproszczenie. I u kobiet zdarza się to znacznie rzadziej, prawie wcale. Radziłabym poczytać akta. Jeśli pan ma na to czas.

– Raczej nie. Stara historia interesuje mnie wyłącznie pomocniczo.

– Tak też sądziłam.

Policjant dał znak funkcjonariuszowi. Młody wstał, spojrzał na przesłuchiwaną kobietę bez entuzjazmu. Prus przyglądała się im z niepokojem. Nie padło ani jedno słowo, ale podskórnie czuła napięcie. Co oznacza ich nieme porozumienie? Poczuła, jak zaczyna jej drgać lewe oko. Zupełnie tego nie kontrolowała. Na szczęście miała na nosie okulary i liczyła, że nikt nie zauważy jej zdenerwowania. Nie wiedziała, ile takie przesłuchanie może jeszcze potrwać.

– Z mlekiem, cukrem czy czarna? – przerwał milczenie Doman.

– Czarna – odparła i odetchnęła z ulgą.

Wskazała na leżące na stole dokumenty. Na samej górze widniała sygnalityczna fotografia przedsiębiorcy zrobiona tuż po zatrzymaniu. Mimo wieku w tamtym czasie Piotr Bondaruk wciąż jeszcze mógł podobać się kobietom. Włosy miały już wprawdzie kolor soli z pieprzem, ale owal twarzy, a raczej wyraźna szczęka, jakby od niej rzeźbiarz zaczął prace nad jego wizerunkiem, i przenikliwe oczy czujnego stworzenia zdradzały charyzmę wojownika. Magdalena doskonale pamiętała piorunujący efekt, kiedy zobaczyła go po raz pierwszy. Zażartowała, że ma nieruchome spojrzenie salamandry albo – jeszcze lepiej – aligatora wynurzającego się znad tafli wody. Budził ciarki na plecach, jeśli nie grozę u tych wrażliwszych. Nie było w nim nic z melancholijnego uroku romantyków, w których zwykle kochają się kobiety. Liczyła, że go to rozbawi, rozluźni, ale nie drgnęła mu nawet powieka. Bondaruk doskonale wiedział, że jeszcze nie może pozwolić sobie na luz, bo lekarka rejestruje każdy jego grymas. Nie było to prawdą. Po prostu już wtedy się w nim zakochiwała, choć gdyby jej to ktoś zarzucił, zaprzeczyłaby bez wahania. Dziś zamierzała o tym powiedzieć policjantowi. Jakoś jego uwagę musi przykuć. Czekała tylko na odpowiedni moment.

– On dokładnie zdawał sobie sprawę z własnej słabości – ciągnęła. – To budziło nasz sprzeciw. Wie pan, to jak z nałogowcem. Do końca idzie w zaparte, twierdzi, że kontroluje picie, hazard, zakupy. Otello więc winien zapewniać, że zazdrość jest mu obca – to, co mu zarzucamy, to jakieś mrzonki, bajania. I tym bardziej – do perfekcji, dopóki zdoła – doprowadzać mechanizmy maskowania. On zaś wiedział, że jest chory, i mówił o tym głośno. Nazywał siebie psychopatą, aspołecznym gnojem,

którego trzeba leczyć. Twierdził, że to chorobliwe uczucie zazdrości jest jak nowotwór. Zjada go. Sam prosił o pomoc.

Przyszła kawa. Brązowe kubeczki stanęły przed lekarką i Domanem. Młody wziął sobie z automatu czekoladę i głośno siorbał. Doman z trudem to znosił. Wreszcie dał znak, żeby funkcjonariusz zrobił sobie chwilę przerwy. Na razie lekarka plotła bzdety. Nie wyglądało na to, żeby te informacje miały dokonać przełomu w sprawie.

– I leczyliście go? – Nadkomisarz wrócił do wątku, dopiero kiedy młody Frankowski wyszedł.

– Z doskonałym skutkiem – potwierdziła. – Lekami przeciwpsychotycznymi wyregulowaliśmy mu samopoczucie. Projekcje zniknęły już po miesiącu obserwacji. Mogę nawet zaryzykować stwierdzenie, że czuł się u nas bezpieczniej niż w domu. Wszyscy go bardzo lubili. Pacjenci również. Oczywiście nie bez powodu. Obdarowywał ich prezentami. To nielegalne, ale nikt nie złapał go nigdy za rękę. Wiem z całą pewnością, że personel nie brał żadnych „chaborów”, choć takie oferty ze strony Piotra padały. Kuracja szła zgodnie z założeniami, postęp zdrowienia był oszałamiający. Rzadko się tak zdarza. Rozumie pan, naszym głównym zadaniem jest człowiekowi pomóc. My nie oceniamy czynów. Dla nas to pacjent, a nie domniemany sprawca.

– Na dodatek dobrze płatny.

Uśmiechnęła się i poprawiła:

– Pełnopłatny. Każdy dzień kuracji to dodatkowy wpływ na konto. Taka jest prawda. Ale wtedy został skierowany do nas przez prokuraturę i wpływy były z państwowej kasy, czyli prawie żadne. Mimo to pierwsza mówiłam, że on nie jest chory.

– Symulował?

– Początkowo nie byliśmy tego pewni. Wszystkie objawy, także fizyczne, miał kompletne. To zaburzenie sprawia, że człowiek z jednej strony oskarża swoją żonę o najstraszniejsze zdrady, obrzuca ją wyzwiskami, by po chwili roztkliwiać się, rozpływać, jak bardzo ją kochał, jak go zraniła. Zna pan to zapewne z filmów.

– Nie lubię komedii.

– A ja wręcz przeciwnie. – Upiła łyk czarnej lury i skrzywiła się, kiedy przełykała.

– Wspaniała – uśmiechnął się policjant. Swojej jeszcze nie ruszył. – Też tak uważam.

– Kiedyś dostawało się tutaj porządną siekierę plujkę – westchnęła.

– Kiedyś? – zainteresował się. – Była pani już tutaj?

Zaprezentowała klawiaturę zębów, przepisowo nie odsłaniając dziąseł, jak nakazują paryskie poradniki urody.

– W tej samej sprawie. I wtedy też pierwszy raz jadłam zapiekanki z budki na Trzeciego Maja. Do dziś jestem ich fanką. Polecam szczerze, gdyby pan zgłodniał.

Ponieważ nie reagował na jej umizgi, ciągnęła temat. Znów była profesjonalna.

– W pewnym momencie zaczęłam podejrzewać, że to nie były urojenia. W każdym razie nie u niego. To była śmiała hipoteza, bo burzyła definitywnie jego linię obrony. Rozumie pan, gdyby okazał się zdrowy, mógłby być sądzony za uprowadzenie żony. Był w tej sprawie głównym podejrzanym. Adwokat przyjechał do mnie do domu, by mnie przekonywać. Ale pozostałam nieugięta. Napisałam w raporcie, że moim zdaniem Piotr nie cierpi na zespół Otella.

Doman podniósł głowę.

– Co pani ma na myśli?

– To małe miasto – zaczęła. – Doszły nas słuchy, że zaginiona nie była bez winy. Właściwie mnie doszły. Przyjaźniłyśmy się kiedyś, w podstawówce, zanim Łarysa została wojującą Białorusinką. Potem ona pojechała do Mińska walczyć z Łukaszenką, a ja po liceum w Warszawie, studiach i praktykach w szpitalu na Sobieskiego wróciłam tutaj, na stanowisko wicedyrektora. Nie poznałam jej. Sama mi się przypomniała i przyznała, że ma nowego faceta. Sprawa była prosta. Piotr był o nią zazdrosny, ale miał podstawy. Wtedy zauważyliśmy, że ma w sobie bardzo niski próg lęku. Wykorzystywała to, podjudzała jego psychozę. Myślę, że nie chciała odchodzić z jedną reklamówką. Chciała coś z tego związku mieć, bo byli razem z pięć lat, a nigdy nie zająknął się o ślubie. Dla

niektórych kobiet, wie pan, to ważny szczegół relacji. Nie samą miłością człowiek żyje. W każdym razie człowiek kobieta.

Doman z trudem znosił już wcześniej jej „sranie wężem”, jak nazywał przydługie opowieści świadków, pełne niepotrzebnych dygresji. Lubił syntetyzować dane i gdyby nie była ekspertem, a zwykłym świadkiem, dawno by ją zdyscyplinował.

– Znaczy ten facet bał się? – podsumował. – Kogo?

Skinęła głową. A potem zaprzeczyła.

– Nie znam bardziej pewnego siebie człowieka. Chodziło o traumę z przeszłości. Coś, co rzutowało na jego poziom bezpieczeństwa, mówiąc oględnie. Ona musiała znać szczegóły. Szantażowała go.

Doman aż pochylił się do przodu zaciekawiony.

– Wolałbym konkretniej.

– Nie bał się świadomie. Bał się, kiedy spał, kiedy się nie kontrolował, w sytuacjach ujawniania się Nie Ja.

– Droga pani! – Doman nie wytrzymał. – Czy z takim poziomem Nie Ja mógł ją zabić? Czy zrobił to ten drugi? Jak mu tam. – Zerknął do starego protokołu. – Wiesław Zegadło, wuefista.

Prus odstawiła pusty kubeczek. Przewrócił się, kilka kropel spadło na jej nieskazitelną sukienkę. Syknęła.

– Ma pan niepełne dane – sprostowała. – Za pierwszym razem go wypuściliśmy. Szef wręcz wygnał go do domu. Żyj, chłopie. Ciesz się życiem. Znajdź sobie inną kobietę, skoro ta ci chodzi na boki. Kiedy Łarysa zaginęła, trafił do nas po raz drugi i zespół Otella już nie występował. Był zdrów, całkowicie wyregulowany za pomocą choćby Noverilu.

Doman się zamyślił.

– Ale to dzięki zespołowi Otella uszedł odpowiedzialności prawnej.

– Tak, mecenas skutecznie wykorzystał ten drobiazg do oczyszczenia swojego klienta przed prokuratorem. Do sprawy sądowej nie doszło – potwierdziła Prus. – Było to jednak rok czy dwa po wyjściu Piotra z naszego ośrodka. Kiedy Łarysa i Piotr już się rozstali, a ona

wyprowadziła się do swojego nowego mieszkania w bloku, które kupił jej Piotr. Syn został z nim. Sam tego chciał.

– Jej syn?

– Fionik Szafran. Dopiero po jej zaginięciu Piotr go usynowił i dał mu swoje nazwisko. Inaczej chłopak musiałby wrócić do Magadanu, do babci, której nie znał, i ojca, który porzucił go, kiedy był malutki.

Siedzieli bez ruchu. Doman powoli układał dane.

– Czyli Bondaruk był u was dwukrotnie. Dlaczego nikt mi nie powiedział?

– Znów jest pan w błędzie – zaprzeczyła z uśmiechem. – Do trzech razy sztuka. Pierwszy raz komercyjnie. Na wyraźne żądanie Łarysy. Za drugim razem jako ofiara i na polecenie biegłego powołanego przez prokuratora, w ramach Narodowego Funduszu Zdrowia. Mamy pełne kompetencje do prowadzenia obserwacji psychiatrycznych na potrzeby procesów karnych. Omal nie zginął po tym postrzale. Gdyby nie natychmiastowa pomoc, wykrwawiłby się. Za trzecim – na własne życzenie, również komercyjnie – kiedy zniknęła Mariola, a jak pan wie, wyjechała w interesach i znaleziono tylko auto Piotra. Przez tego nieszczęsnego mercedesa zresztą ludzie zaczęli gadać, że ją też Piotr unieszkodliwił, by przejąć kolejnego syna. Ale nic tego nie potwierdziło. Były jakieś przesłanki wskazujące, że Mariola mieszkała gdzieś w Bytomiu, potem niby widziano ją w Dublinie. Jakąś kartkę pocztową bez podpisu otrzymał jej ojciec – Mikołaj Nesteruk. Pan ma zapewne bardziej rozległą wiedzę.

– A gdyby się pani myliła – zaczął policjant. – Gdyby faktycznie cierpiał na ten zespół. Jak często się zdarza, że osoba z tymi zaburzeniami zabija swoją kobietę?

– Wbrew temu, co użytkuje literatura, raczej rzadko, choć to niewykluczone.

– Czy sądzi pani, posiadając całkowitą wiedzę na temat stanu psychicznego tego człowieka, że Piotr Bondaruk dziś, to znaczy obecnie, mógłby dokonać zbrodni na tle, powiedzmy, emocjonalnym?

Prus wzruszyła ramionami.

– Dziś go nie badałam. Wszystko mogło się zmienić. – Wpatrywała się w plamy na sukience. Zastanawiała się, ile będzie kosztowała pralnia. Zaczynała żałować, że włożyła tę kieckę. Policjant łatwo dał się podejść. Nawet nie spytał o klinikę. Poradziłaby sobie i bez munduru. Podniosła głowę. – Właściwie każde zabójstwo osoby bliskiej dokonywane jest na tle emocjonalnym. Nawet jeśli prokurator przyjmuje motyw rabunkowy. Ale jeśli chodzi panu o Piotra, jeśli pyta pan, czy on uprowadził te kobiety i na przykład zabił, to nie sądzę.

– Skąd ta pewność?

Prus się zawahała.

– Gdyby nie chodziło o tak poważne oskarżenie, o taką sprawę i jeszcze te rzeczy dookoła, jak uprowadzenie pani Bejnar, nie ujawniłabym tych danych, ale myślę, że powinnam złamać dane słowo.

Doman nie odzywał się, kpiąco się tylko uśmiechał.

– Po zabójstwie Łarysy odbyłam z nim długą rozmowę. – Pochyliła głowę. – To nie było rejestrowane, ale wyniknęło z mojej inicjatywy. Byłam wtedy zafascynowana jego przypadkiem. Chciałam o nim pisać, wie pan, nadzwyczajny obiekt do badań.

– Mówiła pani, że zainteresowanie było wyłącznie zawodowe.

– Początkowo tak. Jak najbardziej. Liczyłam na artykuł w branżowej prasie – potwierdziła. – Powiedział wtedy, że wcale go nie znam, że widzę go lepszym, niż on sam siebie widzi. I że się mylę, choć szanuje moją wiedzę. Nie wierzyłam mu. Sądziłam, że to efekt szoku pourazowego, że wziął winę na siebie. Wtedy wyznał mi, że kiedyś zrobił coś strasznego.

– Zwolnił setkę osób z tartaku? – zadrwił Doman. Bo przecież wiedział, że prezes nigdy nie przyznał się do zbrodni.

Magdalena pozostała poważna.

– Powiedział, że swoją pozycję w tym mieście zbudował na przestępstwie. Zabił kogoś, donosił esbekom, korzystał z ich opieki, a potem opieki ich dzieci, i dlatego przez lata był bezkarny. Starał się pomagać ludziom, na ile oczywiście był w stanie, bo wcześniej i później robił rzeczy podłe. Ale nie udałoby mu się, gdyby był w tym sam. Sam pan

wie, żył pan tutaj. To działa w obie strony. Ty masz haka na nich, a oni na ciebie.

– Nazwiska. Jacy oni?

Kobieta straciła już pewność Sharon i cały seksapil uleciał z niej w jednej chwili. Teraz przed Domanem siedziała niemłoda już, znękana życiem pięćdziesięciolatka, ubrana w brudną kusą sukienkę.

– Nie wiedział, dlaczego i kto zadecydował, że jego czas się skończył. A co gorsza, dlaczego, zamiast w niego, uderzają w bliskie mu kobiety. Słowem, uważał, że ktoś go w te zabójstwa żon, posługując się pana słownictwem, wrabia.

– No i pięknie – zaśmiał się szczerze Doman. – A pani mu uwierzyła, ulitowała się i nie zgłosiła tego na policję? Poza tym gadka w szpitalu psychiatrycznym chyba zwykle tak wygląda. Pacjent może się pani spowiadać do woli. Nie ma to znaczenia, jeśli nie znajdzie się w protokole, a potem nie potwierdzi się tych zeznań przed sądem.

– Nie rozmawialiśmy w szpitalu – oburzyła się Magdalena. – A i owszem, zgłosiłam to komendantowi. Dwukrotnie. Poprzedniemu i obecnej pani Romanowskiej. Wtedy była zwykłą policjantką.

– W dokumentach nie ma żadnej notatki – odparował. – Zresztą wiedziałbym o tym. Byłem wtedy w tej jednostce.

– Pamiętam – zapewniła. – Nie ma, bo mój ówczesny mąż, radca prawny miasta, zadbał o to, by ten detal nie wyszedł na jaw, ponieważ to zwierzenie Piotra padło w naszym małżeńskim łóżku pod nieobecność Artura. Bał się skandalu. Tego, co ludzie powiedzą. Ale teraz na tyle mnie nienawidzi, że z pewnością to powtórzy. Nie pracuje już dla miasta. Wyhuśtali go ze stanowiska. Kancelarię ma w okrąglaku koło Hajnowianki. Największa, zaraz obok inkubatora biznesu i sklepu z piłami.

– Czyli pani miała romans z pacjentem? – sprecyzował wciąż ubawiony policjant. Zmierzył ją spojrzeniem handlarza rogacizną. – Z tym dziadkiem?

– Równo siedem miesięcy – potwierdziła lekarka z godnością. – I chciałam zauważyć, że, w przeciwieństwie do Łarysy i Marioli, nadal żyję.

– A one nie? – natychmiast zareagował Doman.

Magdalena Prus zacisnęła usta. Wiedziała już, że całkowicie położyła to przesłuchanie.

PIOTR
(1977)

– Śpisz? – Piotr przykrył dłonią jej drobną pierś. Sutek wciąż hardo trzymał wartę.

– Tak – zamruczała Dunia i odwróciła się plecami. Zaskrzypiały sprężyny. Poczuł krągłość jej pupy na swoim łonie.

– Wyjedź ze mną – szepnął, obejmując ją w talii. Brzuch miała zaokrąglony, ale czuł wyraźnie każde z jej żeber. Cała była sprężysta jak podwórkowa kotka. Nie spodziewał się, że może go pociągać tak chuda kobieta. Pewnie przez tę cienką kość wyglądała na młodszą niż swoje trzydzieści siedem lat.

Milczała. Był gotów się jednak założyć, że otworzyła oczy i wydęła usta w grymasie niedowierzania. Za oknem zmierzchało. Oboje wpatrywali się w ogołocony z liści orzechowiec, którego konarami szarpał wiatr. Piotr pomyślał, że są teraz tym drzewem. Zespoleni w jeden silny pień, lecz jedyne, co mogą, to podporządkować się mocy wichury. Trwać i czekać, aż ta przeminie. Ale Piotr miał dosyć chowania się. Czuł, że siły zaczynają go opuszczać. Wyniósł z domu prostą zasadę, że może osiągnąć wszystko, czego pragnie, byle działać z rozmysłem i zawczasu przygotować się na konsekwencje. Nie był typem hazardzisty. To dla Duni został dłużej, niż powinien, w tym smutnym mieście, które urosło wokół niewielkiego tartaku i nadal hołdowano w nim hasłu: „Kto nie pracuje, ten nie je”. Praca oznaczała tylko fizyczną orkę. Intelektualiści byli tutaj w głębokim poważaniu. Zawsze to robotnik będzie w Hajnówce panem, mawiała jego matka, kiedy oddawała mu ostatnie pieniądze za sprzedaną ojcowiznę na korepetycje z francuskiego.

I Piotr wyjechał. Był na ostatnim roku SGGW – „Szkoły Głównej Wyrzucania Gówna”, jak ją nazywali studenci. Ale nauka Piotrowi nie wystarczała. Zapisał się do ZMS-u, zaczął staż w „Gazecie Współczesnej”, organie prasowym PZPR, którego winieta głosiła: „Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się”. Na wakacje wracał do domu. W tym roku były pechowe. Drugiego dnia po przyjeździe skręcił kostkę i trafił do szpitala. Z tą nogą zawsze miał kłopoty. Złamał ją jako dziecko i źle się zrosła. Ale z powodu tej nogi znów spotkał Dunię.

Kiedy uciekła z domu w wieku osiemnastu lat, mieszkała u nich kątem. Opiekowała się nim, czytała bajki. Była mu bliższa niż siostra, której nigdy nie miał. Wtedy w szpitalu zobaczył ją na nowo. Z miejsca się zakochał. Właśnie minął październik, a on nadal nie potrafił stąd wyjechać. Kierownikowi działu regionu kłamał najpierw, że zbiera materiał o tartaku. Potem, że matka mu się rozchorowała, co było zgodne z prawdą. Nie mogła znieść, że syn marnuje sobie życie dla jakiejś białoruskiej wywłoki. Bo tak naprawdę w Hajnówce trzymała Piotra tylko sprężysta kibić kochanki, jej czułe dłonie i troskliwe spojrzenie dojrzałej kobiety. Innego powodu nie było. Wreszcie jego miejsce na stażu zajął ktoś inny. Piotr nie miał już do czego wracać. Gdyby nie Dunia, siedziałby w redakcji i relacjonował regionalne plenum KC. Miał wiele innych propozycji, choćby to pół etatu w ministerstwie, ale wydawało mu się, że bez kochanki nie potrafi istnieć. Został, choć Dunia prosiła go, by myślał wyłącznie o sobie. Jeśli ty będziesz szczęśliwy, dasz radę obdzielić tym szczęściem innych. Ja już dostałam swoje. Nigdy ci tych kilku chwil nie zapomnę.

Nie słuchał jej. Wiedział, że go kocha, choć nie mówiła mu tego nawet w momentach uniesienia. Czuł, że są dla siebie stworzeni. Fizycznie, mentalnie. Bez pudła czytał w jej myślach. Bała się tego. Nikogo dotąd nie dopuściła tak blisko. A kiedy rzucił na szalę swoją karierę i miłość do niej wygrała, spłakała się. Nigdy wcześniej nie widział jej tak cierpiącej. To mu wystarczyło za koronny dowód.

– Tu zjadają innych. Dziwadła nie są mile widziane. Głupi jesteś, idiota! – Rzuciła się na niego z pięściami.

Potem kochali się gwałtownie. Jakby Dunia chciała być ukarana za jego przetrącone życie.

To samo usłyszał od matki.

– Tutaj nie ma dla ciebie perspektyw. To miasto robotników, nie intelektualistów.

Pół roku szukał pracy w miasteczku. Ale tutaj gazet poza broszurą tartaczną nie wydawano. A do robienia samorządowego biuletynu mieli w urzędzie kilku aparatczyków. Nie miał wystarczających pleców, a raczej był posiadaczem wilczego biletu. Każdy znał tu jego ojca Staszka Gałczyńskiego – zdrajcę. Nic nie pomogło, że rodzice przyjęli nazwisko

Bondaruk, panieńskie matki. Ludzie wciąż pamiętali. Gdyby Stanisław żył, siłą wygnałby Piotra z miasta. Nie po to go kształcił, by chłopak teraz przechodził przez to samo co on. Takiej hańby zmyć się nie da, powiedział na łożu śmierci. Zmarł w męczarniach.

Matka obraziła się na syna śmiertelnie, więc wyprowadził się do hotelu robotniczego. Myślał, że wystarczy mu do życia ciepło oczu Duni. Pieniądze od matki szybko się skończyły. Chodził głodny i czekał, aż kochanka przyniesie mu w koszyku obiad. Nie mogła przychodzić codziennie. Musiała dbać o pozory. Widywali się dwa, czasem trzy razy w tygodniu, kiedy miała nocny dyżur. Ale nie potrafił jej zostawić. Miał dwadzieścia osiem lat, a wciąż bał się być mężczyzną. Nie chciał walczyć, bić się o świat. Nie miał charakteru wojownika, ale też nie nadawał się na dziennikarza, którego prowadzą po sznurku partyjni zwierzchnicy. Co innego, gdyby mógł napisać prawdę. Nie mógł. Był łagodny, śliczny. Mógł pozwolić sobie na niesforne zachowanie, chłopięce psikusy. Kobiety zawsze go rozpieszczały. Ale dlatego właśnie Dunia, choć była mu przychylna – czekała na takiego mężczyznę całe trzydzieści sześć lat – nie chciała dla niego ryzykować swojego ustabilizowanego życia. Tyle razy uciekała, że wiedziała, jak smakuje tułaczka.

– Miłość nie wystarczy, by zaczynać na nowo – mówiła.

Rozczapierzyła palce, wsunął w nie swoją dłoń. Trwali w uścisku, aż zesztywniała. Znał ją na tyle dobrze, że wiedział, co za chwilę Dunia zrobi. Zerwie się, zacznie ubierać. Dyżur w szpitalu zaczynała o dziewiątej. Mieli jeszcze czas. Zegar dopiero co wybił siedem uderzeń. Ale już wysunęła się z jego objęć, przekręciła twarzą do pożegnania. Podkuliła kolana, wtuliła w zagłębienie jego klatki piersiowej. Przesuwała nosem, wdychając jego woń, jak szukający tropu pies.

– Lubię to miejsce – szepnęła. – Będę je zawsze pamiętała.

– Zaczniemy od nowa – powtórzył. – Tylko ty i ja.

– Jestem dla ciebie za stara.

– Tylko osiem lat. Dla mnie to nie ma znaczenia.

– Ale ma dla ludzi. Dla mnie. – Odsunęła się i udała rozbawienie. Tak naprawdę była przeraźliwie smutna. Wierzyła w to, co mówi. I miała rację. – Już widzę minę twojej matki. Nie dosyć, że mężatka, stara, to jeszcze

ruska. To przecież Białorusy wykończyły twojego ojca. Syn Judasza. Tego nigdy nie odkleisz. Nawet jeślibyś się zbuntował przeciwko niej, do końca życia będzie mi wypominała, że zmarnowałam ci życie. A twój ojciec mnie przygarnął, jak rodzina się mnie wyparła. Tak mu się odpłacam. Żmija wyhodowana na własnej piersi.

– Nie potrzebujemy nikogo. – Pogładził ją po przetykanych srebrnymi nitkami włosach. Siwieć zaczęła już przed trzydziestką, ale nie chciała ich farbować. Dlatego nosiła kolorowe chusty. Prawie nikt nie widział jej bez nakrycia głowy. – Pojedziemy, gdzie nikt nas nie zna.

– On nie da mi rozwodu. W cerkwi nie ma takiej opcji. Co Bóg złączył…

– Przecież go nie kochasz.

– Nie kocham – potwierdziła. – Ale to mój mąż. I nie mogłabym zostawić Irmy. Ona ma tylko mnie.

– Jak chcesz, to go wyeliminuję – zaśmiał się. – Zrobię to dla ciebie. Bo cię kocham.

– Bądź już cicho, idioto! – Zatkała mu usta dłonią. A potem odwróciła głowę do okna. Drzewa nie było już widać. Szklana tafla odbijała teraz ich twarze jak lustro. Odezwała się: – Choć to pewnie byłby najlepszy pomysł. Gdyby on nigdy nie istniał.

Wstała. Pochyliła się, wypięła pupę w kształt gruszki. Podniosła z podłogi znoszony biustonosz. Gumki były wypracowane, dlatego ramiączka wciąż spadały. Odwróciła się, by pomógł jej zapiąć haftki. Zawsze miał z tym kłopot. Rozpinanie szło mu o wiele lepiej. I tym razem zachichotała jak nastolatka. Kiedy szukała majtek, stanęła bokiem i pogładziła się po brzuchu. Wydało mu się, że trochę jednak przytyła. Biust też zdawał się pełniejszy. Nie miał nic przeciwko temu. Wielbił każdy fragment jej ciała. Zapewniała, że z nim jest podobnie. Dobrali się w łóżku jak w korcu maku, żartowała, a potem zawsze się rumieniła. Przyjemność w łóżku to przecież grzech. Jesteśmy potępieni, płakała.

Przyglądał się teraz białym trójkątom na jej ciele. Opalali się tego roku zaledwie kilka razy. Mimo iż na plaży, na gliniankach pod mostem, nie było nikogo, nie zdjęła bielizny. Nie rozumiał, czego się wstydziła. Na jej ciele nie było nawet rozstępu. Niejedna nastolatka mogłaby jej zazdrościć figury.

Różowe reformy odnalazła na stoliku. Rozprostowała je, włożyła. Z trudem naciągnęła pas do pończoch.

– Zbiegł się w praniu – powiedziała, kiedy przyglądał się, jak walczy z gumowaną tkaniną. Wreszcie zasłoniła śliczny pępek. Wciągnęła przez głowę starą halkę nieokreślonego koloru. Kiedyś była śnieżnobiała. Dziś pocerowana koronka ledwie trzymała biust, zażółcenia pod pachami były widoczne nawet z daleka. Za ostatnie pieniądze kupił jej już kilka sztuk bielizny, ale nosiła je tylko w święta. Nigdy do pracy. Przy porodach człowiek brudzi się krwią i wydzielinami, tłumaczyła. Nie da się tego doprać. Reszta jej odzieży leżała równo złożona na krześle. Zawsze składała ubranie w kostkę. Służbowe buty ortopedyczne pod krzesłem. Wełniane pończochy gładko zwisały z oparcia. Łóżko zaskrzypiało, kiedy usiadła na brzegu, by je wciągnąć.

– Zostań jeszcze chwilę. Masz czas. – Dotknął jej pleców, przesunął delikatnie paznokciami od szyi do dekoltu. Wygięła się pod wpływem pieszczoty. Zastygła na chwilę, kiedy gładził płatek jej ucha, ale zaraz wstała i zaczęła wiązać pod szyją bluzkę w grochy.

– To się nie uda. – Pokręciła głową. Skrzywiła się.

Zapięła plisowaną spódnicę, zasznurowała ciasno buty, które zawsze nosiła w szpitalu. Stanęła szeroko na nogach. Była silna, dzielna i wyniosła. Niejeden dałby się nabrać. Ale Piotr wiedział, że to tylko maska. Tak naprawdę była miękka jak plastelina. Jak pszczeli kit, którym tutejsi ludzie naprawiali szczeliny w oknach. Twardniała z każdym włożonym fragmentem garderoby. Bezpowrotnie traciła tę miękkość, którą pokazała tylko jemu. Był dumny, że miał szansę oglądać ją nagą. Fizycznie i emocjonalnie.

– Piotruś, po co ci to? Jesteś młody, piękny. Idź w świat, zdobywaj go. Ja muszę tu być. Nie mam innego wyjścia. Tutaj mam pracę, dom. Tu jest moje miejsce. Tu umrę. Irma chodzi do szkoły. Miałabym ją zostawić?

– Weźmiemy ją.

– Nie pojedzie.

– Nie musimy brać ślubu – powiedział. – Mnie to niepotrzebne. Ty też już jeden miałaś.

– A co ty możesz mi zaoferować? – rzuciła mu wyzwanie. – Mówisz, żebym zburzyła swoje życie. Co dajesz mi w zamian?

Piotr usiadł. Poprawił poduszkę, wyjął papierosa. Podał jej, bo lubiła czasem raz czy dwa pociągnąć dymka, ale tym razem kategorycznie odmówiła.

– Znajdę pracę.

– Jaką? – Uśmiechnęła się kpiąco. – Nie nadajesz się do pracy fizycznej.

Udał, że napina muskuły. Był chudy, delikatne dłonie miał poranione od rąbania drewna. Zatrudnił się ostatnio w tartaku na akord, ale wytrzymał tylko sześć dniówek.

– Coś się zdarzy – oświadczyła złowieszczo. Była już rozdrażniona. Czesała włosy, szarpiąc je gwałtownie. Końcówki zbiły się w kołtun. Podniosła go i przyjrzała mu się, jakby czytała z zapleceń włókien. – Coś złego. Jeśli już się nie dzieje.

– Daj spokój! – Machnął ręką. Czasem miała wizje. Opowiadała mu swoje sny. Widziała rzeczy, które się potem spełniały. Wiedział, że ludzie przychodzili pytać ją o różne sprawy. Modliła się o nich. Piotr był wobec jej zdolności sceptyczny. Nie wierzył w zabobony. Ani w szeptunki, jak nazywali ją niektórzy. Nie chciał też o tym słuchać. Wolał ją z krwi i kości. Piękną. Jego Dunia nie była czarownicą. – Jeśli chcesz, wyjadę pierwszy. Znajdę nam dom. W dużych miastach jest teraz wiele możliwości. Ściągnę ciebie i Irmę.

– Ona nie zostawi tatusia.

– Nie pytałaś jej.

– Ona cię nie lubi.

Chwyciła nożyczki i odcięła splątany kosmyk. Potem wzięła zapałki i spaliła włosy, mrucząc coś pod nosem. W pomieszczeniu czuć było teraz spalenizną.

– Skąd wiesz?

– Wie o nas. Wszyscy wiedzą. On też.

Piotr zdziwił się, co bardzo rozbawiło Dunię.

– Nie martw się – uspokoiła go. – To go nie obchodzi. Nie dotknął mnie, odkąd przyjechałam do miasta. I raczej nie grozi mi to już do śmierci. Przynajmniej jest wobec mnie szczery.

– Tego akurat nigdy nie zrozumiem. Jak można pozostać przy tobie obojętnym? – Przyciągnął ją do siebie i pocałował.

Wyplątała się z jego ramion, zaśmiała.

– Ma już córkę. Po to mnie wziął, żebym mu ją wychowała.

Piotr zmarszczył czoło. Nie rozumiał.

– Za to ty mu się podobasz.

– Zbok jakiś? – fuknął.

– Ciesz się. Tylko dlatego nas toleruje.

– Toleruje?

– Bawi go ta sytuacja. Pytał wczoraj o ciebie. O to, jaki jesteś. Nic nie powiedziałam, ale wodzi za tobą oczami jak pies za suką. Nie mów, że nie zauważyłeś.

– Jakoś nie.

– To się przyjrzyj. Na twoim miejscu nie odwracałabym się do Stepana plecami.

Rzucił w nią poduszką.

– Jesteś piękny. – Znów dotknęła splotu słonecznego. Wsunęła palce w kręcone włosy na piersi, przeciągnęła w dół. Natychmiast miał wzwód. Odchyliła kołdrę, stwierdziła fakt i uśmiechnęła się. – Z nikim nie było mi tak dobrze. Nie to, żebym z wieloma próbowała. Dlaczego nie możemy dalej żyć, jak dotąd?

– Chcę, żebyś była tylko moja.

– Nie możesz mnie sobie kupić – oburzyła się. – Nigdy nie będę tylko twoja. Nie chodzi o ciebie. Nigdy nie będę należała do nikogo. Muszę być wolna. Czy nam teraz źle?

– Nie chcę się spotykać raz na tydzień. Chcę móc trzymać cię za rękę na ulicy.

– Chyba pod rękę. Jesteśmy w Hajnówce.

– Żyć razem. Zasypiać przy tobie, budzić się.

– Daj już spokój.

– Nie chcę udawać, że się nie znamy, kiedy rozmawiasz z ludźmi z mojej pracy.

– Ostatni romantyk – westchnęła. – Bo wszyscy dawno wyginęli.

– Jestem w stanie nas utrzymać.

– Zobaczymy. – Zawahała się. Pochyliła głowę. – Musimy pomówić o tym na spokojnie.

– Czyli łamiesz się? Jest szansa, że ze mną uciekniesz?

– Rano, jak skończę dyżur, przyniosę ci śniadanie – powiedziała, nie patrząc mu w oczy. – Wtedy wrócimy do tej rozmowy. Powinieneś o czymś wiedzieć.

– Nic nie jest ważne – zapalił się. – Irma nie może cię powstrzymywać. Zasługujesz na szczęście.

– To nie jest takie proste – odparła, ale rozpromieniła się. – Może faktycznie bylibyśmy dobrą rodziną?

Na korytarzu rozległy się kroki. Dunia zerknęła na Piotra. Wzruszył ramionami.

– Pewnie lokator spod sto siódemki. Nie pojechał do rodziny. Lubi sobie posłuchać. A ty nie jesteś zbyt cicha, skarbie.

Zdławiła śmiech i położyła sobie palec na ustach. Piotr też umilkł. Kroki były coraz wyraźniejsze.

– Nie – szepnęła. – Idzie do ciebie. Drzwi są zamknięte?

Skinął głową.

– To ja się zbieram, ukochany.

Lubił, kiedy się tak do niego zwracała. Pocałowała Piotra w czoło, posmarowała usta wazeliną. Narzuciła na plecy palto, zawiązała pod brodą satynową chustkę. Nagle zasuwka zaczęła się obracać. Ktoś miał klucz. Drzwi otwarły się w momencie, kiedy Dunia założyła na ramię wiklinowy koszyk. Brzęknęły puste słoiki po wiktuałach. Przed nimi stał starszy mężczyzna.

– *Dobry wieczar* – przywitał się po białorusku Stepan. Rozciągnął usta w chytrym uśmiechu. – Zbłądziłaś, żono?

Dunia obdarzyła go krótkim spojrzeniem i bez słowa wyszła z pomieszczenia. Kiedy mijała męża w drzwiach, chwycił ją za ramię. Syknęła z bólu.

– Dzwonili ze szpitala, że jesteś potrzebna. Chyba poród pośladkowy.

– Zaraz idę – odparła bez cienia niepokoju. – Tylko Irmę wyprawię do szkoły.

– Irma jest już prawie dorosła. Da sobie radę – przerwał jej. – Nie ma już czasu. To Jagoda Pires rodzi. Spraw się. Obiecałem Anatolowi, że pomożesz.

– Nie jestem lekarzem.

– Po prostu bądź przy tym – zbył ją. – Mój kierowca cię zawiezie.

Jak najciszej zamknęła za sobą drzwi. Milczeli, aż ucichły jej kroki. Stepan przystawił krzesło do metalowej polówki Piotra. Wpatrywał się w jego zmierzwioną czarną czuprynę i włosy na klacie. Piotr odrzucił kołdrę, wstał. Stepan oblizał wargi, włożył do ust fajkę. Nie odwrócił głowy. Przeciwnie, raczej pochłaniał nagiego chłopaka wzrokiem. Kiedy Piotr podszedł do krzesła, na którym siedział Stepan, mężczyzna podniósł się karnie, by młodzian mógł wziąć swoje spodnie, ale przy okazji ocenił jego genitalia. Piotr złapał to spojrzenie. Przypomniał sobie żartobliwe ostrzeżenie Duni i zirytował się, ale nie chciał dawać homoseksualiście satysfakcji. Strzyknął śliną z pogardą i bez pośpiechu wciągnął slipy, a potem spodnie. W trakcie tej operacji mierzyli się wzrokiem. Kiedy Piotr, nadal na wpół goły, wyjął z kieszeni papierosy, Stepan poderwał się i podał chłopakowi ogień.

– Słucham. – Piotr wydmuchał dym prosto w twarz rywala.

Sam nie wiedział, co zdenerwowało go bardziej. To, że Stepan nakrył go z Dunią, czy to, że miał klucz do pokoju w hotelu robotniczym, w którym Piotr mieszkał. A może to trzecie, którego dotąd wcale nie brał pod uwagę, lecz od dziś zamierzał, widząc, jak Orzechowski bezczelnie się na niego gapi.

– Będę o nią walczył. Ona pana już nie chce – dodał wyzywającym tonem.

Stepan się roześmiał.

– Nie rób scen, chłopcze. – Z kieszeni wyjął katalog ze zdjęciami aut. Była tam czajka z chromowanymi klamkami i klasyczna wołga z bocznymi uchylnymi szybami, ostatni hit. – Zobacz, jaki wóz sobie zamówiłem. Pierwszy taki automobil w Hajnówce. Właśnie mianowali mnie na dyrektora tartaku. Trzymaj się mnie, a daleko zajdziesz.

Piotr zmarszczył brwi.

– O co panu chodzi?

Stepan wstał. Podszedł do „radio-toczki", przekręcił gałkę. Zatrzeszczało, a potem było rozległ się śpiew Tercetu Kolejowego. Siostry Michalak: Danuta, Jadwiga i Wanda, śpiewały o głębokiej studzience.

– Jest interes do zrobienia – powiedział Stepan dobitnie. – Umiesz pisać, tak? Napiszesz coś do gazety. Ja załatwię, żeby opublikowali. To ustawi cię na zawsze, ale ja biorę dziecko.

– Jakie dziecko?

– Wasze. – Twarz Stepana pozostała nieruchoma. Oczy się zwęziły. – Nie powiedziała ci?

Piotr czekał. Krew odpłynęła mu z twarzy. Zakołysał się na piętach.

– Dunia jest w czwartym miesiącu. Możesz ją chędożyć, jak długo ona cię zechce. Ale dziecko biorę ja. Wchodzisz?

Stepan wyjrzał przez okno. Przed tartakiem stał tłum robotników. Było dawno po fajrancie, a ludzie na dziedzińcu wciąż się zbierali. Pojawiły się też kobiety z dziećmi. Donosiły żywność mężom, którzy siedzieli w kartonowych pudłach i dyskutowali przy żarzących się przenośnych piecach. Sczepiono wszystkie parowozy i platformy, które zabarykadowały cały tor i zagrodziły drogę do składnicy z narzędziami pracy. Nad jedną z największych maszyn powiewał proporzec z trupią głową. Z tyłu dostrzegł transparenty: „Strajk okupacyjny – 2. dzień”.

Jeden z jego ludzi Wacław Mariański wyszedł przed tłum i krzyknął:

– Co za kawały robicie? Tyle mamy wywózki, idźcie do pracy. Dyrektor wyrzuci wszystkich na bruk, kto nie posłucha.

Protestujący odpowiedzieli mu głośnym gwizdem. Stanęli w zwartym półkolu. Po chwili poleciały jajka i kilka petard. Mariański zaraz schował się do budynku.

Stepan zasłonił okno, bo jedno z jajek trafiło w jego szybę. Pyknął z fajki. Podszedł do czarnego telefonu stojącego na biurku, zamówił międzymiastową. Po chwili odezwała się Warszawa.

– Chcą zwiększenia podstawowej akordowej płacy o trzydzieści procent. Żądają też deputatu opałowego. Dwa metry drzewa miesięcznie. Przestrzegania bezpieczeństwa pracy i liczenia się z ich skargami – zaraportował.

Potem słuchał. Powtarzał:

– Tak, tak. Zgadzam się z towarzyszem naczelnikiem. Tak. Mam swoje sposoby. Jeśli milicja będzie uzbrojona, to tylko zaogni sprawę. Kiedy opublikują? Zrozumiałem.

Odłożył słuchawkę. Po chwili telefon zadzwonił ponownie.

– Dyżurka, towarzyszu dyrektorze. Inżynier Bondaruk do pana.

– Wpuścić. Niech pomówi z robotnikami. A potem niech przyjedzie do mnie. Tak, będę czekał w domu.

Odłożył słuchawkę. Wyjrzał przez okno. Patrzył, jak Piotr Bondaruk wchodzi na stos skrzynek i krzyczy do ludzi. Nie chcieli go początkowo słuchać, ale kiedy dostał do ręki mikrofon, zaczęli przekazywać swoje roszczenia.

– Chcemy pracy i chleba!

– To szpicel – padło z tłumu.

– Cicho, dajcie mu powiedzieć. Niech Polska dowie się o naszej krzywdzie.

Wtedy już Stepan był pewien, że obrał dobrą taktykę. Podjechał radiowóz. Wysiedli umundurowani funkcjonariusze, zabezpieczyli tylne wyjście. Dyrektor w eskorcie dotarł szczęśliwie do domu. Dunia kończyła odpytywać Irmę z lekcji. Pocałował córkę w czoło i zakomunikował żonie:

– Muszę wyjechać do Warszawy.

Skinęła głową.

– Jakbym długo nie wracał, nic nie rób. Będę bezpieczny. Trzeba poczekać, aż sprawa się uspokoi. Strajk do jutra musi się zakończyć, bo przeniosą nas na drugi koniec Polski. Jeśli nie… – Zamilkł.

– Co mam mówić, jeśli nie wrócisz?

– Nic nie wiesz – odparł. – I tak niech zostanie.

Nocą, kiedy Stepan popijał wieczornego drinka, żona i córka już spały, rozległo się pukanie do drzwi. Dyrektor włożył marynarkę na wygniecioną koszulę. W drzwiach stał Bondaruk. Przekazał mu kilka kartek. Stepan wziął je, przeleciał linijki wzrokiem. Uśmiechnął się z aprobatą. Zaprosił chłopaka do środka, ale ten pokręcił głową. Stepan zdjął z wieszaka palto, zamknął drzwi mieszkania. Przed wejściem stała nowiutka limuzyna. Kierowca otworzył drzwi pryncypałowi. Obaj mężczyźni wsiedli do samochodu. Podjechali pod budynek poczty, obudzili kierownika. Mężczyzna w piżamie nadał telefaks do redakcji „Gazety Współczesnej”. Kiedy skończył, Stepan położył mu na blacie kupon na bezpłatny odbiór drewna. Pocztowiec zgiął się w pokłonie.

– Dobra robota, chłopcze! – Dyrektor poklepał Piotra. – Masz prawo jazdy?

– Tylko na motocykl. – Piotr pokręcił głową. – Nigdy nie jeździłem takim wozem.

– To o wiele łatwiejsze niż zerżnięcie kobiety – zaśmiał się Stepan. – Ważne tylko, by trzymać się drogi. Nie zbaczać z obranego kursu. Nu, dawaj, *mołodziec*. Od tej chwili świat leży u twych stóp.

Kierowca zabrał swoją czapkę, ruszył do domu. Piotr zasiadł za kółkiem.

– Czeka cię, chłopcze, wycieczka do Warszawy. Ale najpierw narada.

Skręcili w leśną głuszę.

– Włącz długie światła. Patrz, jaki cymes. Partia dała.

Czarna chata wyłoniła się z ciemności, jakby światła samochodu uruchamiały fatamorganę. Piotr ostrożnie podjechał pod same schody. Drewniane, czarne od sadzy bale. Futryny okien, niegdyś bielone na biało przed każdym świętem. Dziś odrapane, zamiast niektórych szyb płyta pilśniowa. Z dachu spływały kaskady zbutwiałej słomy. Poszycie zdecydowanie wymagało naprawy.

– Zgaś silnik – polecił Stepan.

Wygramolił się z samochodu. Zakutał w wełniany płaszcz, bo na otwartej przestrzeni okrutnie wiało. Piotr siedział jeszcze chwilę za kierownicą. Zastanawiał się, gdzie się znajdują. Pół godziny temu wyjechali z miasta, kluczyli po wąskich drogach. Stepan kilka razy gubił azymut. Piotr musiał wykręcać na leśnych ścieżynach. Kiedy wreszcie dotarli do odkrytego po horyzont pola, nie wierzył, że są na miejscu. Może w świetle dnia znajdzie drogę, bo teraz za nic nie przypomniałby sobie, jak wrócić. Wiedział jednak, że nie odjechali daleko. Gdyby coś mu się stało, sprawę będzie prowadziła hajnowska komenda.

Przekręcił kluczyk w stacyjce. Słychać było tylko pogwizdujący wiatr i chrząkanie świń, które musiały dzielić starodawny budynek z ludźmi, bo żadnego chlewu wokół Piotr nie dostrzegł. Zaciągnął ręczny hamulec, poszukał w kieszeni papierosów, ale paczka była pusta. Zgiął papierek, wcisnął go w boczne drzwi auta. Po chwili jednak zabrał śmieć i ukrył w zwiniętej dłoni. Intuicyjnie czuł, że nie wolno mu zostawiać w tym wozie żadnych swoich śladów.

– W bagażniku jest wędkarska skrzynka. Weź ją, chłopcze – padło kolejne polecenie. – I siatkę z zagrychą.

Kiedy Piotr pochylał się, by wytaszczyć zapas wódki i żywności, który starczyłby dla garnizonu żołnierzy, usłyszał świszczący szept. Wychylił się znad bagażnika. Przed chatą stał jeszcze jeden mężczyzna. Niski, korpulentny i, jak się okazało, kiedy zdjął kaszkiet, przedwcześnie łysiejący. Rozmawiał półgłosem ze Stepanem, a potem chwycił go pod

rękę. Musieli być zaprzyjaźnieni. Piotr głośno zatrzasnął klapę, zamknął ją na klucz, a potem ruszył do drzwi.

– A on tu czego? – rzucił na widok Piotra wikariusz i zrobił minę cierpiętnika.

Wpatrywał się w przystojne lico Stepana, a potem piękną twarz młodzika. Z trudem ukrywał zazdrość.

Piotr odwrócił się, zerknął na auto. Znał tego księdza. Kilka dni temu wierni wygnali go z plebanii. Stepan musiał go tu ulokować, żeby nie doszło do linczu.

– Poczekam w wozie – zaproponował, ale Stepan chwycił go za ramię i przyciągnął do siebie.

Zdaniem Piotra ruch był zbyt intymny. Wyrwał ramię, nastroszył się.

– On idzie z nami – objaśnił księdzu Orzechowski, a potem dodał: – Bądź miły, Świerczek. I pamiętaj, złość piękności szkodzi.

Obaj doskonale się bawili. Piotr zaś szedł jak na ścięcie i myślał, dlaczego nie wziął choćby scyzoryka.

– Znałem twojego ojca – powiedział mu w drodze Jerzy Świerczewski, a jego bezrzęse oczy zwęziły się do zalanych tłuszczem kresek. – Spowiadałem go, zanim *poczepiłsia*.

– Klucze! – Stepan wyciągnął rękę. – I nie nudź już.

Piotr wzruszył ramionami. Obie ręce miał zajęte pakunkami. Świeże wędliny pachniały obłędnie. Piotr poczuł ściskanie w dołku. Wcześniej zarzekał się, że nie weźmie od Stepana jałmużny, ale teraz się łamał. Ślina napłynęła mu do ust. Od dawna nie jadł do syta.

Stepan dał księdzu znak. Ten wyjął z kieszeni kurtki Piotra kluczyki do wozu. Do nich przyczepiony był jeden starodawny klucz. Otworzył nim skrzypiące drzwi. Pomiędzy nogami Piotra przeleciał dorodny szczur. Chłopak wzdrygnął się, omal nie przewrócił o pieniek z wbitą weń siekierą.

– Delikatny paniczyk – zaśmiał się Jerzy głośno. – Od razu widać, że miastowy.

Stepan zaraz zapalił lampę naftową, ale dawała niewiele światła. Wystarczyła jednak, by dotrzeć do stołu, na którym odwrócone nogami do

góry wisiały krzesła. Piotr się zdziwił. Były identyczne jak w gabinecie dyrektora tartaku. Prosto z hali produkcyjnej. Po obu stronach chaty stały też nowiutkie tapczany. Pościel wisiała w kokonach z folii, niczym monstrualne poczwarki motyli.

– *Dawaj u paściel!* – rozkazał księdzu Stepan.

Piotr stał szeroko na nogach. Przyglądał się widowisku.

– A co my tu robimy? – spytał. A potem sprecyzował: – Co ja tu robię?

Stepan podniósł głowę. Odbił flaszkę. Upił łyk z gwinta.

– Mamy umowę. Dobijemy targu, pójdziesz swoją drogą.

– Swoją część już wykonałem. Co z zapłatą?

– Czyżby?

Stepan położył na stole zadrukowaną w połowie kartkę. Wezwał księdza.

– Pisz, Świerczek. Protokół zwerbowania informatora. Służba Bezpieczeństwa, oddział w Hajnówce. Ja niżej podpisany Piotr Bondaruk, syn Stanisława Bondaruka i Aliny z domu Bondaruk.

Ksiądz założył okulary, poślinił kopiowy ołówek. Wykaligrafował słowa Stepana. Kiedy ten przerwał, przyjrzał się Piotrowi.

– Jaki wpisać pseudonim? Taka śliczna buźka! – Wyciągnął dłoń, by pogładzić twarz Bondaruka. Ale Stepan ją strącił.

– Bez macanek. Najpierw praca, potem przyjemności.

Piotr cofnął się dwa kroki.

– Nie będę donosił.

Stepan ugryzł kawałek kiełbasy. Dał znak wikariuszowi. Ten zdjął okulary, odsunął papiery. Wyjął bochenek chleba, przyłożył do piersi i ukroił grubą pajdę dla siebie i dyrektora tartaku. Odłożył nóż. Rękojeść z kości słoniowej była solidna, ręcznie skręcona śrubami. Metal w miejscu ostrzenia był cienki i wyrobiony w półksiężyc.

– Nie to nie – odparł z pełnymi ustami Stepan.

Urwał nogę od kurczaka, zagłębił w nim zęby. Odwinął z gazety salceson we flaku, ksiądz odkroił sobie solidny kawał.

Jedli w milczeniu. Piotr patrzył na to jak zahipnotyzowany. Nie wierzył, że tak łatwo mu odpuszczą.

– To zjedz coś, zanim pójdziesz – mruknął Stepan łagodnie. – Droga daleka. Ćmok, zgubisz się. Nie lepiej zaczekać do rana? Jest przecież gdzie spać. – Wskazał dwa łóżka.

Piotr usiadł. Dał sobie nalać do metalowego kubka, który Stepan wyjął z wędkarskiej skrzynki. Kiedy łykał, zorientował się, że to czysty spirytus. Palił w gardło i szybko uderzał do głowy. Zjadł kilka kęsów kiełbasy, zagryzł chlebem. Wypił jeszcze kilka kolejek i czuł, że głowa mu opada. Słyszał, jak się z niego śmieli, że ma słabą głowę, ale było mu już wszystko jedno. Urwał mu się film, jakby ktoś nagle wyłączył światło.

Obudził go smród i kwik, a potem poczuł rozdzierający ból w odbycie. Ręce miał przywiązane do barierki, głowę wepchnięto mu do gnoju. Przerażone świniaki skupiły się przy ścianie, kwiczały rozpaczliwie. Gówno wdzierało się mu do nosa, oczu i ust. Chłopak dusił się z braku tlenu. Nagle ktoś szarpnął go za włosy. Podniósł do góry twarz. Przed sobą miał obwisłe męskie genitalia. Ksiądz Jerzy dotykał się, patrząc, jak Stepan wykonuje posuwiste ruchy, a Piotr nie był w stanie się uwolnić. Wreszcie Stepan skończył. Piotr nie zmienił pozycji. Wciąż wisiał bezwładnie na balustradzie, nagi od pasa w dół. Nie był w stanie powiedzieć słowa, walczyć.

– Cii… – Jerzy pogładził go po zbrukanej gnojem twarzy. – To twój pierwszy raz, śliczności?

Piotr zdołał wyrwać głowę. Chciał splunąć, okazać swoją pogardę dla oprawców, ale wtedy między pośladkami poczuł coś gorącego. Krzyknął i zemdlał.

– Teraz spróbuj ją wychędożyć – mruknął Stepan, zapinając spodnie. – Jest twoja.

Potem objął Jerzego i ruszyli do chałupy. Jerzy obmył kochanka z brudu. Położyli się na jednym z tapczanów. Jerzy zaczął się łasić, ale Stepan wygnał go na drugie łóżko, wymawiając się zmęczeniem.

– Jestem zazdrosny – rzekł wikariusz.

– I słusznie. – Stepan przykrył się kołdrą aż po czubek nosa. – Nie miałem jeszcze takiej lali. Jutro powtórka. I tak dopóty, dopóki nie poskromię złośnika. Czuję, że się zakochałem.

Jerzy spojrzał na kochanka z wyrzutem. Stepan wzruszył ramionami.

– Chyba.

Świtało, kiedy Piotr ocknął się w kałuży krwi. Jądra miał spuchnięte. Odcięty członek leżał obok. Wziął go do ręki i ważył w dłoni, jakby to było obce ciało. Potem zawinął go w kawałek gazy do przelewania mleka. Pomyślał, że kiedyś, poza świniami, musiała być tutaj krowa. Dowlókł się do przedsionka chaty, chwycił siekierę i wszedł do izby, gdzie spali jego kaci. Uderzał bez ostrzeżenia. Raz za razem. Bał się, że za chwilę straci resztę sił. Stepan zginął od drugiego ciosu. Dobrze naostrzył swoją siekierę. Leżał z rozrąbaną czaszką, kiedy Jerzy zaczął uciekać. Piotr dopadł go na werandzie. Wikariusz wciąż jeszcze żył. Charczał, wywracał białkami oczu, ale Piotr nie zdołał go dobić. Zabrakło mu sił. Doczołgał się do izby, skulił i z siekierą pod poduszką uciekł w sen. Wiedział, że już się nie obudzi. Żal mu było, że kiedy ich znajdą, wezmą go za pedała, ich kochanka. Matka tego nie zniesie, nigdy mu nie wybaczy. Dunia będzie wiedziała, ale nikomu nie powie. Fragmenty tych myśli, flesze pojawiały się w jego głowie i zaraz znikały. W pewnym momencie usłyszał warkot silnika, zdawało mu się, że ktoś przybył mu na pomoc. Chciał wstać, uciekać nowiutką czajką Stepana, ale nie był w stanie poruszyć nawet palcem.

Świnie dawno już nie spały. Żadna nie wydała nawet jednego dźwięku. Spacerowały po chlewie, czekając na wypełnienie koryt.

Hajnówka, 2014

Gobelin ze stadem jeleni na rykowisku od lat nie cieszył się takim zainteresowaniem jak teraz, kiedy Sasza potraktowała go szpilkami krawieckimi i przytwierdziła doń serię zdjęć młodych kobiet – zaginionych lub zamordowanych.

Od lewej, z gąszczu lasu, uśmiechały się: Łarysa, Mariola, Iwona i Danka. Nieźle prezentowały się na tle wyidealizowanej puszczy. Wszak to tutaj ślad po nich zaginął.

Niżej Sasza umieściła zdjęcie Bondaruka, jego białe auto, którego fotografię znalazła w aktach, oraz karteczki z imionami jego synów. Uznała, że musi ich brać pod uwagę jako potencjalnych podejrzanych. Wszak to najbardziej im nie na rękę był ten ślub. W dolnej linii umieściła nazwiska osób, które były związane ze sprawą, ale nie zdecydowała jeszcze o stopniu ich podejrzenia. Kolaż wyglądał absurdalnie, ale musiała wyobrazić sobie tę siatkę ludzkich życiorysów, jakby patrzyła na sprawę z lotu ptaka.

Kiedy skończyła terapię zajęciową, jak nazywała etap wizualizacji, niezwykle ważny we wstępnej fazie profilowania, przeniosła wszelkie dane na duże kartki, w które wyposażyła ją Krystyna. Całość przypominała drzewo genealogiczne i było w tym wiele podobieństw. Postaci łączyły bliższe lub dalsze związki, co Załuska oznaczała wektorami oraz linią ciągłą (przyjaciele) lub przerywaną (wrogowie). Tak jak podejrzewała, nie było w miasteczku praktycznie osób, które były dla siebie całkowicie obce lub nie miały ze sobą żadnej relacji. Teoretycznie to ułatwiało jej zadanie, ponieważ na takiej siatce szybciej mogła znaleźć motywacje działań sprawców, ale też utrudniało analizę, bo wiadomo, że ludzie znający się nawzajem mataczą, skrywają prawdę lub manipulują śledczymi, choćby z grzeczności lub obawy, by sąsiad się nie obraził, i należy wnikliwiej czytać ich wyjaśnienia. Tym jednak zamierzała zająć się później.

Najpierw, na najbardziej dokładnej mapie miasteczka i okolic, oznaczyła miejsca kluczowe: zaginięć kobiet, odnalezienia czaszek, adresy

zamieszkania i pracy kolejnych bohaterów dramatu, a następnie kolorowymi pisakami obrysowała ich strefy buforowe, czyli miejsca dla nich bezpieczne. Wzięła przy tym pod uwagę trakcje linii elektrycznych, wiadukty, tory kolejowe i rzekę Leśną, zwaną przez miejscowych Śmierdziuszką, ponieważ w czasach prosperity miasta fabryka chemiczna spuszczała do niej ścieki. W tamtych czasach nie było śmiałka, który by się w niej chciał wykąpać.

Bardzo szybko wyszło jej, że sprawa Danki wyraźnie odstaje od pozostałych całkowitym brakiem połączeń z miejscowymi poza pracownikami kurortu Ciszynia i nawet w pierwszym odruchu zamierzała zdjąć fotografię pensjonariuszki z gobelinu, ale ostatecznie się powstrzymała. Zamiast tego przesunęła ją nieco dalej, tuż obok listu gończego za Łukaszem Polakiem, który dziś rano opublikowano w mediach. Wiedziała, że każde z zaginięć będzie musiała przeanalizować osobno, ale na ten moment nie mogła wykluczyć, że zabójstwo Danki łączy się jednak z Okularnikiem, jak tutejsi mówili na prezesa tartaku.

Dokumenty spraw podzieliła według klucza ofiar i pogrupowała w stosach na uprzątniętym biurku. Przeczytała każdy z protokołów i początkowo robiła notatki elektronicznie, w specjalnym programie do profilowania. Z czasem jednak uznała, że materiału jest za dużo. Z braku specjalnych samoprzylepnych fiszek, których używała w takich przypadkach, pocięła kartki do drukowania na cztery i na nich zapisywała najważniejsze dane wiktymologiczne. Ofiara to książka, którą należy umieć czytać. A choć na pierwszy rzut oka zaginione kobiety różniły się dosłownie wszystkim, wniosek nasuwał się sam. Zaginęły, zanim skończyły trzydzieści lat. W sprawie przewijał się ten sam samochód. Były związane emocjonalnie z Piotrem Bondarukiem i miały tę samą grupę krwi 0Rh–. Także zamordowana pensjonariuszka kliniki Danka, co Załuska wyczytała w dokumentach i co dziś rano potwierdziła u komendantki. Miało to znaczenie, odkąd w samochodzie, którym sprawca gonił Iwonę Bejnar, zabezpieczono lodówkę z odwirowanym osoczem krwi tej grupy.

Nie ma ciała, nie ma zbrodni. Zaginięcia to najniewdzięczniejsza praca i wymaga przesłuchania ponownie wielu świadków. Do tego sprawy są stare. Nie wiadomo, na ile uda się wygenerować nowe dane ponad to, co Załuska ma już u siebie na biurku. Dlatego też profilerka zdecydowała, że

zacznie analizę od sprawy, która wprawdzie wydaje się najbardziej odległa od Okularnika, lecz w której jest ciało, ponieważ będzie jej najprościej wykonać ten profil. Postanowiła nie sugerować się tym, co już wie, ale stworzyć zupełnie nowe hipotezy. Z niecierpliwością czekała na analizę medyka sądowego, który obiecał jeszcze dziś zakończyć sekcję zwłok Pietrasikówny.

Danka była przykryta kołdrą razem z głową. Materiał wygładzono, nadając mu pozór porządku. Zdaniem Saszy sprawca wręcz obsesyjnie zadbał o misterium śmierci zmarłej. Kołdra spełniała tutaj funkcję całunu. Kiedy ją odsłonięto, oczom śledczych ukazała się makabryczna scena, wręcz filmowa. Kobieta była skrępowana plastikowymi zaciskami, szyję miała okręconą kablem do ładowarki telefonicznej – prostej nokii z cienkim wejściem, swego czasu najpopularniejszego modelu rozdawanego przez sieci komórkowe za złotówkę przy zakupie abonamentu. Saszę od razu to zastanowiło. Eugenia Rączka zapewniała, że ani ona, ani Polak telefonu nie mieli. To oczywiście nic nie znaczyło. Sprawca mógł ukraść najpopularniejszą ładowarkę lub choćby za kilka złotych kupić ją w komisie tylko po to, by użyć jej do celów przestępczych. Odcisków palców nie dało się zidentyfikować.

Kobieta była upozowana w pozycji embrionalnej, ale nie obnażona. Znów sprawca zadbał, by mimo pierwszego wrażenia makabreski nie urażono jej godności. Sukienka była zapięta aż pod samą szyję, majtki nietknięte. Mimo iż leżała pod kołdrą, spódnica nobliwie osłaniała jej połowę ud. Sprawca musiał zadać sobie trud, by uporządkować jej ubranie. Jakby żegnał się z nią, pomyślała Sasza. Jakby ją znał lub był z nią w bliskim związku emocjonalnym. Podobnie było z włosami. Zapleciono je w warkocz. Możliwe, że uczesano. Usta miała nawilżone pomadką ochronną, którą znaleziono za szafką nocną, i śledczy liczyli, że zabezpieczone na opakowaniu linie papilarne dadzą się zidentyfikować.

Najpierw Sasza sądziła, że te wszystkie działania mają na celu prezentację, popis, jaki przed laty serwował śledczym „Czerwony Pająk”, ale po co w takim razie przykrywał dziewczynę kołdrą? Dlaczego zamykał pokój, mieszkanie? Dlaczego nie zabrał swoich rzeczy? Była w jego działaniach niespójność. Dlaczego wreszcie dokonał tej zbrodni w mieszkaniu Rączki? Nie pozostawił jej na widoku publicznym, jak

poprzednich ofiar. Normalnie odpowiedź zdawałaby się oczywista: nie chciał, by ją znaleziono, zanim on sam ukryje się w bezpiecznym miejscu. Czy w Hajnówce jest jakiekolwiek miejsce, gdzie da się bezkarnie zaszyć? Z pewnością takie możliwości dają okoliczne wioski, lasy, opuszczone leśniczówki. Tam jednak nie ma internetu, a sprawca tego typu, działający dla poklasku, śledzi działania organów ścigania. Musi być „na oriencie”, by kontrolować ich ruchy. Nie zmieniłby tak drastycznie zasad gry tylko dlatego, że wybrał na rewir działania małe miasteczko. Sasza całkiem poważnie brała pod uwagę hipotezę o naśladowcy.

Rączka otworzyła drzwi do pokoju Polaka własnym kluczem. Nie było śladów włamania. Dopiero następnego dnia zauważyła pierwszą muchę. Ofiara leżała w mieszkaniu nie dłużej niż dwadzieścia cztery godziny, a więc do zbrodni doszło w trakcie jej nieobecności. Jeśli zbrodni dokonał lokator (a wskazywałby na to choćby fakt, że miał własny klucz), sprawca miał dużo czasu, by się spakować i wyjechać niezauważony. Zostawił jednak identyfikujące go rzeczy osobiste: sprzęt fotograficzny oraz obraz, który Sasza wzięła ze sobą, wychodząc. Nie powiedziała o tym śledczym. Pod pretekstem wykonania telefonu wyprowadziła Rączkę do innego pokoju i ukryła malunek pod kurtką. Była to jej podobizna wykonana farbą olejną. Nie zniosłaby, gdyby śledczy znaleźli to na miejscu zbrodni.

Wyjęła teraz niewielki blejtram 20×25 centymetrów i przyjrzała mu się z uwagą. Obraz wyraźnie ją idealizował i dawał jej odpowiedź na najważniejsze pytania. Poczuła się tak, jakby ktoś zdjął jej ciężar z pleców. Zdążyła pójść do łazienki po kawałek papieru toaletowego, wydmuchać nos, kiedy zadźwięczała jej komórka. Na wyświetlaczu widziała nazwisko Romanowskiej.

– Kobieta została skrępowana już po śmierci – padło po drugiej stronie linii. – Przyczyna śmierci to uduszenie. Prawdopodobnie poduszka. Na klatce piersiowej są wybroczyny sugerujące, że usiadł na niej okrakiem. Medyk określił to jednym zdaniem: szybka, humanitarna śmierć. Dopiero później ktoś zacisnął ofierze kabel na szyi, upozował ją. Nie było to zadzierzgnięcie, jak początkowo się wydawało. Na szyi są tylko drobne otarcia. Nie ma klasycznej pręgi. Zaciski też założono pośmiertnie. Dlatego tylko lewa część twarzy zsiniała. Anatomopatolog twierdzi, że zabójca

położył dziewczynę na boku i krew spłynęła na jedną stronę. Po co cały ten teatr?

– Jedź do Ciszyni – rzuciła szybko Sasza. Oddychała ciężko. Przed oczami miała postać malarza w kangurce. Spojrzała na obraz i odstawiła go ze wstrętem. – Sprawdź, czy nie miała jakiegoś adoratora. Kogoś, kto się w niej podkochiwał. Tej zbrodni dokonał ktoś bliski ofierze. Może brat tej małej? Chcę być przy jego przesłuchaniu.

– Na razie wolałabym, żebyś pozostała incognito. Poradzimy sobie.

– Skoro tak zdecydowałaś – westchnęła Sasza, choć nie podobało się jej, że została bezpardonowo wyeliminowana. Zanim Romanowska się rozłączyła, dodała: – Możesz wejść do pokoju Jacka Pietrasika i zabezpieczyć farby, materiały malarskie, odzież, w których ostatnio pracował? Możesz załatwić nakaz? Sprawdźcie też, czy ma telefon komórkowy i jaki. Czy nie pożyczał od kogoś ładowarki. Może swoją zgubił? Albo komuś zginęła, ukradli mu.

– To najpopularniejszy model – zamruczała Romanowska. – Zresztą on ma alibi. W komendzie wciąż jeszcze jest ta lekarka.

– Prus? – Sasza wrzuciła na głośnomówiący i zaczęła jedną ręką wciągać sztyblety. – Nie pytaj jej o nic, o niczym nie informuj. Zaraz będę.

– Tak jak powiedziałam, nie chcemy, żebyś oficjalnie występowała w tej sprawie – zaczęła komendantka, ale Sasza nie słuchała.

Wybiegła już z mieszkania. Przed wyjściem chwyciła jedynie obraz i schowała go pod amerykanką. Udało się go wsunąć jednym ruchem. Obejrzała się. Nie był widoczny.

Białystok, 2014

– Nic mu nie mów. Nie rozmawiaj z nim. Po prostu to tutaj wsuń.

Jarosław Sokołowski, zwany Włochatym, usłyszał szept, a potem marszowe, ciężkie kroki oddaliły się korytarzem, pod jego drzwi zaś zatuptały drobne obcasy. Drobiły w miejscu, jakby osoba się wahała: podchodziła do drzwi i oddalała się. Tak kilkakrotnie. Jarosław z trudem hamował irytację. Czekał, aż kobieta zapuka, słyszał wręcz jej ciężki oddech, ale na długo zapadła cisza. Prawie skończył już pisać nowe ogłoszenie o pracę w Wydziale Udostępniana i Archiwizacji Dokumentów w Delegaturze IPN w Białymstoku, kiedy wreszcie szpilki zdobyły się na odwagę. Usłyszał delikatne stuknięcie, a potem kaszel gruźlika.

– Pani Panasiuk – rzucił, nie podnosząc głowy znad klawiatury. Wpisał w obowiązki nowego pracownika: „Digitalizacja zasobu archiwalnego”. – Teraz nie. Wstawiam ogłoszenie do sieci.

– Ale za ile, panie Jarku? – odezwała się zza drzwi Ariel.

„Przeprowadzanie skontrum zasobu archiwalnego”.

– Jutro. – Wyjął garść M&M-sów i wrzucił sobie do ust. I dodał do siebie, znacznie już ciszej: – A najlepiej wcale, syrenko.

„Wykonywanie zadań z zakresu reprografii”.

– Jest list do pana – ciągnęła Ariel Panasiuk, skutecznie udając pełną słodyczy. – To podsunę pode drzwiami. Marian wziął otworzył, ale nie zaglądał. Pomylił się, bo służbowy adres nadali. Na szefa przyszło.

Jarosław podniósł głowę. Ogłoszenie było prawie gotowe. Zostało tylko wkleić formułkę i rozesłać do wszystkich jednostek w Polsce. Mógł być z siebie dumny.

„Wykonywanie innych zadań zleconych przez przełożonych”.

Pod drzwiami wystawał róg niebieskiej koperty z infantylnym nadrukiem. Zdziwił się. Taką papeterię kupują tylko dziewczynki do lat siedmiu. Jarosław nie miał dzieci, żony również nie posiadał i był z tego

powodu bardzo zadowolony, bo nie ponosił dodatkowych kosztów, jak jego koledzy, a stałą kochankę, oczywiście pełnopłatną, miał ostatnio z dziesięć lat temu, jak nie lepiej. Matka do niego nie pisała, bo i po co, skoro co tydzień jeździł do rodzinnych Siedlec, by ją odwiedzić. Wracał od niej z torbą pełną słoików ze smażoną rybą, kotletami czy pyzami z mięsem. Był zaopatrzony w te pyszności na każdy roboczy dzień i sobotę. Zwykle resztki zjadał ostatniego wieczoru przed wyjazdem, bo szkoda mu było wyrzucić, a zresztą matka obsesyjnie liczyła mu każdy pojemnik próżniowy i słoik typu wek, bezcenne w dzisiejszych czasach, jak choćby na kiełbasę zalewaną smalcem. Ojciec Sokołowskiego nigdy w życiu nie napisałby niczego, co nie byłoby pismem do urzędu. I z pewnością nie użyłby papeterii z kalkomanią Królowej Śniegu, tylko szarej ekologicznej za sześć groszy od sztuki. Od kołyski uczył syna gospodarowania gotówką.

– Każdy bogacz to sknerus – mawiał. – Dlatego ma dziś to, co ma.

I dlatego pewnie dziś Jarosław szczycił się brakiem kredytów. Był natomiast posiadaczem w banku licznych lokat terminowych. Niektóre kwoty zamroził na pięćdziesiąt lat, ponieważ stopa zwrotu wynosiła na nich nawet dwadzieścia dwa procent. Nawet raz nie pomyślał, po co zbiera tę kasę i komu ją przekaże po śmierci. Lubił mieć kupkę *na wsiakij słuczaj*. Raz dziennie dzwonił do biura maklerskiego i pytał o swoje inwestycje, jakby martwił się o zdrowie najbliższych.

Teraz wychylił się na krześle, aż zaskrzypiało. Stukot szpilek definitywnie ucichł. Ariel Panasiuk zapewne pośpiesznie zbiegła z miejsca zdarzenia. Jarkowi zdawało się wprawdzie, że słyszy w oddali jej chichot, ale ją zignorował. Wiedział przecież, że im dalej od jego gabinetu, tym dziewczyna była odważniejsza.

Podniósł kopertę, otworzył szeroko drzwi. Rozejrzał się na prawo i lewo, a potem znów na prawo, jakby zamierzał przejść przez przejście dla pieszych na ruchliwej ulicy. W korytarzu było całkiem pusto. Nic dziwnego, zerknął na służbowy elektroniczny zegar na ścianie, dochodziła szesnasta. Ludzie dawno już opuścili swoje boksy. Co najwyżej kilkoro stoi jeszcze przed wejściem i plotkuje przy strzemiennym fajku do wpół do piątej, aż zabierze ich służbowy bus i rozwiezie do domów.

Nożem do papieru rozciął pieczołowicie kopertę. Wewnątrz była fotografia z polaroidu. Przedstawiała jego samego bez ubrania, sprzed wielu lat. Na jego ciele widać było solidne owłosienie, kiedy jeszcze nie miał funduszy na laserową depilację. Obok na rozgrzebanym łóżku leżała niełądna kobieta, której największym walorem fizycznym był solidny biust. Od razu rozpoznał Osę. Takich kobiet się nie zapomina. Zwłaszcza kiedy znikają bez śladu z twoim służbowym laptopem, a potem widzisz je w telewizji, prowadzone przez konwój i oskarżone o zbrodnię. Ale Włochaty nie zachował złych wspomnień. Marzena komputer odesłała. Niczego w nim nie brakowało. Tylko kilka pornosów mu nagrała, pewnie dla draki, zołza.

Na kopercie nie było nadawcy, jednak doskonale pamiętał jej charakter pisma. Podobnie jak numer sprawy, który zapisano na odwrocie. Była to sygnatura akt Romualda „Burego” Rajsa, umorzonej rok temu sprawy pogromu wsi prawosławnych na Podlasiu. Czterdzieści kilka tomów od lat leżało w archiwum i, poza lokalnymi dziennikarzami z Białostocczyzny, nikt się nimi nie interesował.

Sokołowski na miękkich nogach wrócił do biurka, odsunął od siebie kolorowe drażetki. Wcisnął przycisk „wyślij”. Nie przeczytał ogłoszenia ponownie, co zwykł był czynić przed publikacją. Nie zwrócił nawet uwagi, że nie wkleił standardowej formułki o zgodzie na przetwarzanie danych osobowych związanych z procesem rekrutacji. W głowie miał mętlik. Zastanawiał się, kiedy Marzena się odezwie i które dokumenty są jej teraz potrzebne. Nie spodziewał się, że będzie łaskawa wyjaśnić mu, po co jej te materiały. Nie bał się. Czuł nawet sentyment, a może i radość, że wyszła na wolność i będzie miał okazję znów ją zobaczyć. Potem zaś uświadomił sobie, że skoro list był otwarty, to obejrzeli go wszyscy w firmie. Nie wstydził się już swojego nadmiernego owłosienia, jak kiedyś. Sam śmiał się ze swojej ksywy, która, mimo skutecznej depilacji, z nim została. Wydoroślał. Obawiał się jednak, żeby nie rozpoznano kobiety. I nie powiązano go z procesem Marzeny oraz tajemniczym zaginięciem jej koleżanki Jowity. Na to nie mógł sobie teraz pozwolić. Nie na tym etapie kariery.

Natychmiast sprawdził, kto miał dziś dyżur na poczcie, i kiedy to ustalił, dopisał stanowiska Mariana i Ariel Panasiuków jako wakaty od lipca.

Pieniądze może nie były duże, ale posada pewna, państwowa. Zawsze znajdzie się jakiś młody historyk, który połasi się na taką robotę za dwa i pół tysiąca złotych. Sam tak zaczynał w tej firmie i przy dobrych wiatrach zamierzał dotrwać do emerytury.

Hajnówka, 2014

Damian wystawił głowę zza osłony ze ściętych gałęzi świerku. Przed sobą miał polanę. Strefę najtrudniejszą do przejścia. Na pustej przestrzeni nie było ani jednego drzewa. Myślał szybko. Ryzykować wejście na puszczańskie bagna i pozostać niezauważony czy ruszać na przełaj i dać się zestrzelić? Był bez kaloszy. Przeładował karabin. W kieszeni miał jeszcze garść plastikowych naboi. Od zimy strzelał tylko szkoleniowo. Jeszcze nigdy nie musiał celować do wroga.

Usłyszał szelest. Obejrzał się, czy nikt nie próbuje go zajść od tyłu, ale to musiało być tylko małe zwierzę. Zając, może sarna. Przemknęło między drzewami i zniknęło w ciemności. Jego dwaj kamraci dawno pozostali w tyle. Szacował, że nie mieli szans dojść aż tutaj w tak krótkim czasie. Na treningach zawsze był lepszy w podchodach, ale w walce wręcz przegrywał jeden z pierwszych. Był z komanda najmłodszy i najsłabszy. Kiedy się zgłosił do ekipy, dowódca wyśmiał go i odmówił przyjęcia do czasu, aż skończy szesnaście lat, by zdołał dźwigać kałacha.

Damian nie dał się zniechęcić. I nawet nie zamierzał czekać przeszło rok, by go przyjęli do oddziału. Spytał, czy jeśli pokona go w walce, przyjmą go do grupy. Dowódcy spodobała się jego buta. Nie liczył, że młodemu uda się wygrać, ale warunkowo się zgodził. Lubił wyzwania. Wtedy Damian poszedł do najstarszego Żubra i poprosił, by on lub jeden z jego młodszych braci trenował go za pieniądze. Nie wiedział, co to kieszonkowe, bo jego matka zawsze twierdziła, że by zarobić, wystarczy zakasać rękawy. Od dziecka ciężko pracowała w lesie i czasem żałował, że nie odziedziczył w genach jej tężyzny fizycznej. Był jak skórę zdjąć z ojca warszawiaka – drobny, cherubinowaty. Spokojnie mógłby się przebierać za dziewczynę, ale Napoleon też nie zaimponował nikomu wzrostem. Manna z nieba nie przyleci, gołąbki same nie wpadają do gąbki, powtarzał sobie zdartą frazę matki, kiedy dwa razy w tygodniu wstawał o czwartej nad ranem, by przed szkołą nurkować ze specjalnym odkurzaczem do oczyszczania chlorowanej wody w basenie Żubrówki.

Początkowo miał chroniczny katar. Nabawił się też egzemy na nogach, która niepokojąco szybko rozprzestrzeniła się na niemal całe ciało, ale skrzętnie to ukrywał przed kolegami. Nawet w największy upał nosił długie spodnie. Żołnierz wszak nie nosi spodenek, nie poci się, największy ból znosi jak ugryzienie komara. Prawdziwy twardziel nie miewa alergii. Tylko Damian wiedział, jak gęsta od brudu była woda w basenie i ile było w niej ścierwa pod koniec tygodnia, a głupi bogacze i tak płacili krocie, by z drinkami w dłoniach odpoczywać w hotelowym basen & spa jedynego pięciogwiazdkowego hotelu w tym rejonie. Damian nigdy w życiu nie zapłaci za takie luksusy. A już w miejskim aquaparku jego noga nie postanie na pewno. Wiedział dobrze, ile wydzielin ludzie zostawiają w jacuzzi z czystego lenistwa. Po każdym kursie z odkurzaczem pojemnik był pełen.

Każdy zarobiony grosz odkładał na haracz dla Żubra. Kiedy zebrał uzgodnioną kwotę, od razu wstawili go na ring. Dostał stare rękawice, o wiele za duże i zdecydowanie za ciężkie dla czternastolatka, więc owijał dłonie bandażem, żeby się nie zsuwały. Po jakimś czasie matka znalazła mu jego rozmiar w sklepie z używaną odzieżą na Wierobieja. Były wściekle zielone, starte od uderzeń i poklejone, ale pasowały na jego dziewczęce dłonie jak ulał. Martwiła się wprawdzie, że Damian codziennie wraca do domu z obitą twarzą, ale wiedziała, że sprawdzian męskości jest dla chłopaka w tym wieku najważniejszy.

– Ojciec byłby z ciebie dumny – powtarzała. – Sam kiedyś nieźle boksował.

Damian wierzył, że gdyby jego stary nie uległ wypadkowi w tartaku, za co rodzice nie dostali nawet złamanego grosza odszkodowania, bo były jeszcze czasy Polski Ludowej, to on pokazywałby mu dziś tajniki walki wręcz. Sparaliżowany od pasa w dół Damian senior zdołał tylko honorowo powiesić się na drągu do wieszania bielizny i kilkumiesięcznemu synowi na cześć jego pamięci zostało imię i medal z napisem PRL, który ojciec dostał kiedyś, jako jeden z trzydziestu przodowników pracy na czterdziestolecie istnienia Hajnowskiego Przedsiębiorstwa Przemysłu Drzewnego, dziś twierdzy starego Bondaruka – szumnie zwanej New Forest Hajnówka. Dlatego dziś chłopak szczerze nienawidził komunistów. To oni zabili mu ojca.

Szybko nauczył się osłaniać i zadawać ciosy. W szopie za domem, na tej samej belce, gdzie wyzionął ducha jego sparaliżowany rodzic, chłopak powiesił worek z piachem i walił w niego bez opamiętania. Właściwie nie zdejmował taśm z nadgarstków, dopóki nie zbutwiały. Pojedynek z dowódcą przegrał, ale porządnie zmęczył przeciwnika. Damianowi dwukrotnie udało się wykorzystać siłę dowódcy i położyć go na deski (niestety bez nokautu) oraz jednym celnym ciosem przeciąć mu łuk brwiowy, aż po zawodach musiała przyjechać ze szpitala zaprzyjaźniona pielęgniarka, by założyć mu szwy. Od tamtej pory nikt nie wątpił, że Damian nadaje się zarówno do partyzantki, jak i do ustawianych bójek po meczach Jagiellonii, na które młody był gęsto zapraszany, choć nie miał na to zbytniej ochoty, bo szybko odkrył, że ducha patriotyzmu nie ma tam wcale, króluje czysta przemoc. Komando zaś milczało. Dawną decyzję dowódcy i jego słowo o wygranej w pojedynku jako karcie przetargowej uznając za ostateczność. Damian już się z tym pogodził, że nie dołączy do oddziału zbrojnego, aż któregoś dnia dowódca podjechał pod jego dom tarpanem, który w tym rejonie skutecznie zastępował nowoczesnym partyzantom ZU-23–2, zatrąbił i bez słowa otworzył drzwi pasażera. Potem mówili, że żaden z młodziaków nie dostąpił dotąd zaszczytu jazdy z samym szefem na nocną wartę.

Dziś Damian już wiedział, że jego mocnym atutem jest nie siła, lecz zwinność. Był w stanie zmęczyć przeciwnika nawet dwa razy cięższego od siebie. Żubr śmiał się, że jest jak natrętna mucha. Nie do złapania. Na dodatek pod kopułą nie ma tak nasrane jak większość bokserów w klubie, choć wszystkim się wydaje, że są o niebo lepsi od Rambo.

Usłyszał kroki. Ktoś padł i czołgał się teraz po lewej stronie ściany lasu. Damian przywarł do drzewa, poprawił osłonę. Wahał się. Wciąż nie mógł dokonać wyboru. Im dłużej myślał, tym bardziej bał się skrewić. Kilka brzozowych witek wypadło mu zza paska. Choć było ze dwadzieścia stopni ciepła i pot spływał mu wzdłuż kręgosłupa, nasunął na twarz maskującą kominiarkę, postawił kołnierz, by z daleka ciało nie zaświeciło między drzewami. Im dłużej się zastanawiał, tym mniej miał szans na ucieczkę. Odwrotu trzeba dokonywać zdecydowanie, kołatało mu się w głowie, ale nie był w stanie podjąć decyzji. Stara wojskowa kurtka ojca, którą matka przeszyła na szwach, żeby się nie rozpadła, wisiała na nim, więc ściągnął ją

mocniej harcerskim pasem i ruszył na przełaj, ku polanie. Strzał padł z przodu. Przed pierwszym i drugim uchylił się w ostatniej chwili. Zanim sam wymierzył i zaczął strzelać, już byłby martwy. Plastikowe kulki bolały, znacząc kurtkę ojca fluorescencyjnymi kleksami.

– Robisz, nie bój się. Boisz się, nie rób – zaśmiał się Leszek Krajnów, szef wrogiej partyzantki, który wyrósł mu zza pleców. Po czym wziął go w niewolę.

Nie zamienili w drodze nawet słowa. Katecheta z litości, by jeszcze bardziej nie zdołować młodego. Damian – ze wstydu. Na podsumowanie będzie czas przy ognisku. Szykował się na ostrą reprymendę dowódcy komanda.

Kiedy byli już w bazie, Damian obserwował, jak ludzie Krajnowa prowadzą pozostałych jeńców. Jego dwaj kamraci: Tadek i Arkadiusz nie doszli nawet do drugiej strefy. Na ich nowiutkim kompletnym kamuflażu widoczne były wielkie fluorescencyjne placki symbolizujące krew – identyczne on sam miał na kurtce. Pocieszające było tylko to, że Damian dostał zaledwie dwie kule, ubrania tamtych przypominały miętowe żelusie. W przeciwieństwie do niego niezbyt się przejmowali klęską. Wyciągnęli już kanapki, termosy i usiedli na pniu, by się posilić po akcji. Wtedy z gąszczu wychylił się jego własny dowódca. Mackiewicz zdjął iglastą osłonę z czapki i poklepał chłopaka po plecach.

– Prawie zdobyłeś ich bazę, chłopaku.

– Prawie się nie liczy, kapitanie.

Krajnów z Mackiewiczem wymienili spojrzenia.

– Najbardziej zajadły. – Krajnów pokiwał głową w kierunku Damiana. – Miałeś rację. To będzie twój najlepszy partyzant.

– Żołnierz – poprawił go bezczelnie młodziak.

Nie był zadowolony z czasu przyszłego pochwały, gdyż uważał się już teraz za najlepszego, ale nie odważył się wyrazić tego głośno.

– Racja, żołnierzu. – Mackiewicz wskazał znaki na jego kurtce. – Tyle że działałeś sam. Nie współpracowałeś z resztą. Dlatego cię pojmali. Zamiast wykorzystać ich na zwiad, osłonę, chciałeś być bohaterem. Ale to nie amerykański film.

Damian aż otworzył usta ze zdziwienia. Zrozumiał, że to najgorsze, co mógł usłyszeć. Najchętniej zapadłby się pod ziemię. Partyzanci to bracia krwi. Jak muszkieterowie. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Mackiewicz rzucił chłopakowi zapałki. Chrust leżał już przygotowany przez „jeńców", którzy czekali na nich od przeszło godziny. Damian bez trudu rozniecił ogień pierwszą zapałką. Kiedy dowódcy zasiedli, łyknęli z manierki, dzieląc się alkoholem z pełnoletnimi członkami komanda, zaczęli mówić. Tak to prawie zawsze wyglądało. I choć ta część była dla niektórych wyjątkowo nudna, on osobiście lubił ten moment najbardziej. Wokół cisza, ciemność. Świat należał do nich i sprowadzał się do tego jednego miejsca na ziemi, gdzie mężczyźni rozprawiali o honorze, ojczyźnie i walce. Damian był zbyt młody, by drażnił go patos tych spotkań. Przeciwnie, czuł dumę, że jest częścią tak elitarnej jednostki, o której istnieniu wiedziało w mieście tak niewiele osób. Dziś na akcji było ich zaledwie siedmiu plus dwaj dowódcy. Bo ci ostatni kapryśnie wybierali sobie żołnierzy.

Dwóch członków komanda, jak choćby Konrad Lewandowski, w ogóle nie wzięło w niej udziału. Przyszli na spotkanie na gazie lub ostro skacowani. Dowódca był surowy, chętnie wyznaczał kary. Nie bez powodu przebierał się za Rajsa i z radością też zapożyczył jego pseudonim – Bury. Za karę wygnał ochlajtusów po chrust, co zwyczajowo robiły dziewczyny. Dziś Damian nie dostrzegł żadnej z nich. To go nawet ucieszyło. Źle się czuł w ich towarzystwie. Miał wrażenie, że wciąż się na niego gapią. Nie chciał wiedzieć, co sobie myślały. Pewnie że jest chucherkowaty i za młody na udział w tajnym związku zbrojnym. Bo to, co robili, nie miało przecież nic wspólnego ze strzelaniem dla młodzieży, które organizowały stowarzyszenia historyczne i w których mogli uczestniczyć wszyscy, także cywile, przy okazji świąt niepodległościowych. Komando istniało i trenowało całkiem na poważnie. Artur „Bury" Mackiewicz już dawno zapowiadał, że czeka ich wkrótce prawdziwa potyczka. Muszą być przygotowani.

– Zwycięzcy robią to, czego innym się nie chce – wyjaśniał. – Ojczyzna was potrzebuje. Nigdy nie wiecie, kiedy wezwie was do siebie.

Teraz przekazał Damianowi manierkę z alkoholem. Chłopak spojrzał na nią i pokręcił głową. Podał ją dalej. Dowódca uśmiechnął się zadowolony.

Wierzył w tego żołnierza. Był taki sam przed laty. Tak w każdym razie siebie wspominał.

– Polska w obecnej sytuacji musi być przygotowana na wojnę partyzancką – zaczął wreszcie „Bury” Mackiewicz. Wszyscy zebrani wiedzieli, że opowieść się przedłuży. Niestety, nie było już nic do jedzenia. Nie mieli nawet kiełbasek do pieczenia na ogniu. Ani kartofli. – Zawsze, kiedy o tym mówię, wywołuje to uśmieszek, poczucie anachroniczności. Wiąże się to ze stereotypem, jaki narósł wokół partyzantki, głównie przez idealizację w kinematografii. Te wszystkie filmy wojenne o pancernych, starych esbekach, to mity! Trzeba stereotypy anulować, definitywnie niszczyć. Niech partyzantka nie kojarzy się już wam, żołnierze, z kilkudziesięcioosobowymi oddziałami, które żwawo maszerują leśnymi drogami, głośno przy tym śpiewając czy paradując po wioskach. Nowoczesna partyzantka to małe mobilne grupy, do pięciu osób. Szybko przemieszczające się, dobrze zamaskowane, znające teren jak własną kieszeń. Czasem te minioddziały łączą się w większe grupy, ale potem znowu się rozpraszają, by następnie zniknąć w kryjówkach bądź domostwach pobliskich miejscowości. Można powiedzieć, że partyzant bez trudu zmienia mundur na cywilne ubranie, karabin wymienia na pług. I odwrotnie. Nie będąc przy tym ujawniony.

W tym momencie rozległ się śmiech. Do ogniska podeszły dwie licealistki. Postawiły przed młodymi partyzantami garnek termiczny. Kiedy otworzyły wieko, uczestników dobiegł zapach porządnej grochówki na świńskiej sperce. Krajnów serdecznie przywitał się z ubraną na czarno Asią, którą Damian znał z widzenia z „białorusa”. Była wzorową uczennicą i córką Pietruczuka, jednego z miejskich notabli, obecnie najzamożniejszego w Hajnówce dewelopera. Po czym zaśmiał się i wskazując zarumienione od pochwał dziewczyny, rzekł:

– Zapomniałeś, Artur, o rzeczy najważniejszej. Partyzanci mają wsparcie lokalnej ludności. To mieszkańcy dostarczają żołnierzom walczącym w lasach informacje, ciepłą odzież. A ich żony patriotki pożywną strawę.

Obok garnka z grochówką, na trawie, wylądowały teraz zwinięte w kółka kiełbaski grillowe od Nesteruka, na co wskazywało logo opakowania. Mackiewicz zaraz posłał któregoś z „zabitych” po kije do nabijania serdelków. Stały w bazie przygotowane na tę okoliczność od

ostatniej odprawy. Okazało się, że było ich dokładnie tyle, ilu dzisiejszych ucztujących. Dziewczęta dostały te najładniejsze i najbardziej stabilne.

– Tylko taka partyzantka ma szansę na wygraną! – Mackiewicz klepnął się po udach i wyciągnął swoją manierkę do wypełnienia porcją zupy. – Powiem wam, chłopacy, że pokazaliście już ducha bojowego na strzelankach. Wiem już, że jesteście ostrzy i twardzi, ale to, co mnie osobiście najbardziej imponuje, to nasza baza, którą zbudowaliście. – Zatoczył ramieniem okrąg. – Bo to, co najważniejsze w naszej walce, to nie dać się zabić. Nam nie chodzi o to, żeby iść na pewną śmierć. Pamiętajcie o osłonach, a jeśli trzeba – ucieczce. Taktyczny odwrót to nie dyshonor. Walczysz, by wygrać. Czy to komuniści, geje, czy ateiści, nie ma to znaczenia. Jak, to też wasza bajka. Cel uświęca środki. Historia zna wiele odmian patriotyzmu. Ofiary muszą być. Ale, Damian, drzewo jest taką sobie osłoną – zwrócił się do siedzącego obok chłopaka. Ten oblał się rumieńcem, choć pewnie nikt tego nie zauważył. Wszyscy mieli już policzki rozgrzane od paleniska. – Powiedziałbym, że drzewo to raczej kiepska osłona. Przypominam, że nie przygotowujemy was do walki otwartej, gdzie drzewa mogą się przydać, lecz partyzanckiej, z ukrycia. Atakujemy tam, gdzie przeciwnik się nie spodziewa. Nasz atut to zaskoczenie. Nasza siła – strategiczne odcinanie kolejnych organów wroga. Jesteśmy jak wirus, który, choć maleńki i przez wielu niezauważany, jest w stanie pokonać tygrysa. Będzie go zjadał powoli. Niszczył kolejne części jego organizmu, zamknie jego oczy, zatka uszy, aż bestia nie będzie miała wyjścia i zemrze. Taka jest nasza rola. W otwartej walce z tygrysem nie miałbyś szans.

Rozległ się śmiech jednej z dziewcząt. Kilku chłopców jej zawtórowało. Mackiewicz zbeształ ich spojrzeniem. Nie podobało mu się, że w takcie jego wywodu żołnierze oddawali się flirtom. Tylko Asia nie odezwała się nawet słowem. Siedziała spięta, wyprostowana. Słuchała uważnie. Wiedział od Leszka, że chciałaby dołączyć do komanda. Dobrze strzelała. Jak dotąd dziewcząt nie przyjmowali, ale kto wie? Krajnów mówił też, że jest dobra w sabotażu. Już wkrótce Mackiewicz sam miał się o tym przekonać. Brzmiało to enigmatycznie, ale obiecał, że rozważy propozycję. To dlatego dziś Krajnów zaprosił ją na patriotyczną pogadankę. By dowódca się jej przyjrzał. Kiedy Pietruczukówna napotkała jego wzrok, natychmiast

odwróciła głowę. Uznał, że jest rozsądna i nieufna, co było dużym plusem w tak młodym wieku. Liczył, że ich nie wsypie przy najbliższej okazji do babskich plotek.

– Ta wiedza, Tadek, będzie ci potrzebna już lada dzień. Komuniści mogą uderzyć w każdej chwili. Musisz być gotów, jeśli naprawdę kochasz swoją ojczyznę. Kochasz?

Dziewczyna, która wcześniej zachichotała, znów z trudem zachowała powagę, ale natychmiast pod pretekstem zimna zasłoniła twarz kurtką. Asia szturchnęła ją w bok. Potem dała znak Leszkowi. Skinął jej głową, patrząc na garnek z zupą. Wtedy Asia wstała i nie pożegnawszy się z nikim więcej, odeszła. Mackiewicz pomyślał, że jest opanowana, poważna i nie ma w niej ani krzty irytującej słodyczy, jaka cechowała dziewczęta w tym wieku. Przy dobrym wyszkoleniu mogłaby się przydać w walce. W końcu Inka też zaczynała od gotowania strawy, opatrywania ran, a z karabinem radziła sobie nie gorzej niż Gałązka. Przy aresztowaniu nie wydała nikogo. Dałaby się pokroić za swój oddział. Gdyby nie ona, Buremu nie udałoby się zbiec z terenów wrogo nastawionych do polskiego wojska Kresów.

Druga panienka nie nadawała się do walki. Tylko wprowadzała zamęt i rozpraszała jego ludzi. Za bardzo przypominała Arturowi jego byłą żonę. Bury Mackiewicz nie chciał wiedzieć, jak się licealistka nazywa, choć przedstawiała się z całą pewnością. Ale markietanki też były wojakom potrzebne. Jak świat światem, natury nie oszukasz. Teraz pomachała jeszcze młodym partyzantom, wyraźnie chętna do zawarcia bliższej znajomości, ale ponieważ nikt się nie kwapił czynić tego na oczach dowódcy, dołączyła biegiem do Asi. Po chwili obie zniknęły w gąszczu. Damian ostatni odwrócił za nimi głowę. Nasłuchiwał, czy faktycznie odeszły. Zastanawiał się, czego tak naprawdę szukały. Czy dowódcy ich nie testują? A może to szpiony? Nigdy nie bywało w tym gronie kobiet. Był też bardzo ciekaw, kto odniesie im ten garnek. Bo z całą pewnością nie on. Co to, to nie.

– Polska to nie dziewczyna, którą możesz porzucić i wrócić do niej, kiedy przyjdzie ci ochota. Kiedy zażąda krwi wroga, pójdziesz jej bronić czy stchórzysz? Gotów jesteś poświęcić jej życie? Będziesz dumny, gdy przyjdzie ci za nią zginąć?

Wszyscy, włącznie z Damianem pokiwali głowami. Pytania nie wymagały odpowiedzi. Dyskusja na ten temat oznaczałaby wyłączenie z grupy, choćby nawet ktoś się z tezą nie zgadzał. Wojsko to nie klub dyskusyjny, usłyszał kiedyś Damian, kiedy zadał filozoficzne pytanie o konieczność zadawania śmierci cywilowi w ramach wyższej konieczności.

– Ale jeśli ojczyzna pogrzebie cię w tej ziemi i utuli do wiecznego snu, zrobi to lepiej niż jakakolwiek kochanka. – Dowódca wskazał podłoże, na którym siedzieli. – Zostaniesz z nią na zawsze, na wieki. Jak każdy, kto poległ o nią w walce. Ojczyzna to ziemia. Ojcowizna. Winniście z oddanym jej sercem iść na spotkanie wszystkim tym, dla których sama nazwa naszej ziemi jest wyzwaniem.

Zapadła cisza. Tadek wskazał na czternastolatka.

– To kacap – mruknął. – Kogo ty kochasz, Damian?

– Polskę – odparł bez wahania najmłodszy z komanda. – Jak i ty.

– Twoi dziadkowie Białorusy sprzedali nas ruskom. Kolaborowali z Niemcami, jak było trzeba. Liczyli, że odzyskają swoje ziemie. Figę z makiem dostali. I od niemiaszków, i od czerwonoarmiejców, a teraz udają Polaków. Kacapy rządzą w tym mieście. Idź do nich. Co tu niby robisz?

Mackiewicz podniósł rękę. Tadek natychmiast umilkł.

– Pochodzenie rzecz drugorzędna. Religia też. Moja matka jest prawosławna. Czyli, wedle twojej nomenklatury, kacapka.

Zapadła nieprzyjemna cisza. Tadek pochylił głowę. Bał się odezwać.

– Lechu to katolik – ciągnął tymczasem Artur. – Z dziada pradziada. Polak, z rodowodem szlacheckim. A jednak przyjaźnimy się. I miarą naszej przyjaźni są nasi wspólni wrogowie.

– Jego wróg to mój wróg – zapewnił Krajnów. – Amen.

– Jego przyjaciel jest moim sojusznikiem. Tworzymy jedno komando. W oddziałach Burego, Łupaszki i Młota byli zarówno katolicy, prawosławni, jak i żydzi. Liczy się to, co ty czujesz, a raczej, kim się czujesz. To, z czym walczymy dziś i z kim niedługo przyjdzie nam stoczyć potyczkę, to postkomuniści, ateiści i geje. Wszyscy ci, którzy ulegli medialnej manipulacji i destrukcji wychowania szkolnego, nie zasługują na

miano prawdziwego Polaka. Kobieta zaś winna być damą, jak nakazuje postrzegać ją rycerski kodeks. Damie nie wypada mieszać się do męskich gier. Nie powinna nosić spodni. Już w Biblii o tym pisano. Zresztą to Hiob mawiał, że życie mężczyzny jest bojowaniem. O kobietach nie wspomina ani słowa.

Krajnów podniósł rękę, by przerwać koledze.

– Muszę odebrać córkę od jej matki. – Poklepał Mackiewicza po ramieniu. Wskazał na w połowie opróżniony garnek z grochówką. – Odniesiesz sanitariuszkom?

– Damian z Tadkiem zaniosą – zdecydował dowódca. – Z Bogiem.

Zebrani odprowadzali katechetę wzrokiem.

– Człowieka zniszczyli – stęknął dowódca. – Taki porządny chłop. Historyk z doktoratem, wierzący, a musiał doświadczyć rozwodu. I przyszło mu żyć tutaj, w tym zawszonym kraju, tak głęboko zdemoralizowanym, gdzie egzystencja młodych ludzi ogranicza się do spraw materialnych. Nie może wyjechać, bo przecież ma córkę. Żeby choć miał syna, wychowałby go na wojownika. Porządnego człowieka.

Nikt nie śmiał się odezwać.

– Ale przynajmniej gejem nie został – zaśmiał się Tadek.

Widać było, że nie bez powodu podrzucił Mackiewiczowi ten temat. Dowódca natychmiast się zaperzył.

– Pedalstwo to poważna choroba, która toczy dziś całe bataliony młodych Polaków, głównie w miastach. Co gorsza, śmią przychodzić do kościołów, obnosić się ze swoją dewiacją! – Gwałtownie przerwał.

Nikt nie wiedział, w jakim kierunku pójdzie teraz wykład. Któryś nie mógł powstrzymać się od ziewania. Po chwili już reszta zasłaniała usta.

– Ale wy jesteście inni – wznowił monolog dowódca. Zorientował się widać, że trochę się zagalopował. – Jesteście pierwszym pokoleniem wolnym od kompleksów, fobii komunizmu, obciążeń doświadczeń wojennych. Macie silną motywację i wielką ambicję.

Poklepał Damiana po plecach. Ten w odpowiedzi dolał sobie do manierki kolejną porcję zupy, zanim całkiem wystygła.

– To dla was, dla takich jak wy, Lechu się poświęca. W was jeszcze może wierzyć. Bo wy, chłopcy, możecie wszystko zmienić. Jesteście nowymi Kolumbami, dla których narodowa godność, wielkość własnego narodu, szacunek dla poświęcenia i bohaterstwa poprzednich pokoleń, honor i duma przemawiają z coraz większym urokiem i kształtują wyobraźnię. Służba wojskowa wam w tym dopomoże. Ja już nie wierzę w militarystyczne harcerstwo, choć na początek nie zaszkodzi. Paramilitarne jednostki, takie jak nasza, niech będą waszym domem, bo wkrótce to nam przyjdzie bronić tego terytorium przed napastnikiem. Nie dajcie sobie wmówić kiedykolwiek, że jesteście faszystami. Polska dla Polaków to piękne motto. Polak to wojownik. Każdy, kto walczy, zwycięża. Bo wojownika można pokonać, ale to on decyduje, czy się poddał.

– Panie dowódco, to znaczy, że będzie wojna? – zapytał drżącym głosem Tadek.

– Nigdy się nie skończyła, synek. – Mackiewicz uśmiechnął się dobrotliwie. – To naród zgodził się na okupację komunistów i postkomunistów, a potem dał się zwieść obietnicom imperialnej Unii, która zatkała nam usta towarami, modyfikowaną żywnością i mrzonką o bogactwie. Jak to z tym jest, sami widzicie we własnych domach.

Pokiwali głowami.

– Moi rodzice już drugi rok nie mają roboty. Gdyby nie renta babci i dorywcze prace na wycinkach w lesie, zdechlibyśmy z głodu – mruknął któryś.

– Sam widzisz – rzucił Mackiewicz. – Dlatego, jeśli jesteś Polakiem, staniesz do walki. Dam wam znak, że operacja „Polska” się zaczęła, zanim będą o tym wiedzieli cywile. Już dziś powstają pierwsze gminne oddziały obywatelskiej obrony terytorialnej. To organizacje proobronne. Niepodlegające administracji lokalnej, parafiom, jak do niedawna lobbowali niektórzy. Tutaj, na wschodzie Polski, to się nie sprawdzi, bo parafie katolickie i prawosławne nie pokrywają się ze sobą. Jeśli będziecie gotowi, dołączycie do tych oddziałów. Mamy znaczącą przewagę nad organami ścigania, ponieważ w przeciwieństwie do tradycyjnych jednostek policji, wojska czy straży granicznej znamy teren, ludność zamieszkującą okolicę i wywiad, czyli to, czego nigdy nie dowie się urzędnik państwowy.

Współczesny partyzant może wydobyć od cywila tajne dane, ponieważ w razie ataku, konfliktu czy kataklizmu ten cywil będzie wiedział, że może liczyć na naszą pomoc.

– Dlaczego nie braliśmy udział w poszukiwaniu Iwony Bejnar? – odważył się zapytać Damian.

– A kto ci powiedział, że powinniśmy jej szukać?

Odpowiedziało mu szczere zdziwienie na twarzach chłopców, więc kontynuował:

– To przecież nasi ludzie uratowali ją z rąk białoruskiej sitwy. Ukryliśmy ją i uruchomiliśmy nasze jednostki gminne, by zamarkować porwanie. Czekamy, aż wina spadnie na dziada baszmaków, i tak na jednym ogniu upieczemy dwie pieczenie. Sprytne? Pewnie, ale wyznam wam, że działamy nie tylko w tej sprawie. Do komendanta Krajnowa spływają wciąż nowe informacje. Mogę na razie wyłącznie zdradzić, że uprowadzenie czystej krwi Polki to zborny element wojny polsko-białoruskiej, która toczy się na waszych oczach. Sami wiecie, jak się zaczęła pierwsza wojna światowa. Co zdarzyło się w Sarajewie. Teraz musicie być szczególnie czujni. Wszystko może się wydarzyć.

– Ile mamy czasu?

– Miesiąc, dwa tygodnie. Może mniej.

– A broń? – W głosie Tadka słychać było podniecenie. – Czy będziemy strzelać z prawdziwej broni?

Mackiewicz milczał dłuższą chwilę, zanim rzekł:

– Niestety, krew może być przelana. Będziemy mieli szkolenie. Teraz niedobry moment. Policja węszy po lasach. Na razie czas na zwiad, obserwację. Pamiętajcie, że na przypadkowy kontakt na dziewięćdziesiąt dziewięć procent najlepsze jest zerwanie kontaktu. Czyli, można powiedzieć, ucieczka, ale ze wzajemnym osłanianiem się. Nie zgrywajcie macho, nie wystawiajcie się na niebezpieczeństwo. Odwagę trzeba mieć, ale rozsądek przede wszystkim. I bez zwykłego kamuflażu. Nie mogą was zdemaskować.

Ognisko przygasło. Młodzi partyzanci pozbierali swoje rzeczy. Dowódca wyznaczył dwóch ludzi, by zasypali je piaskiem, sam zaś ruszył przez las

do wozu, który zaparkował przy cmentarzu prawosławnym na drodze wylotowej z Hajnówki do Białowieży. Miał przed sobą pół godziny szybkim marszem.

W aucie obmył się połową butelki wody mineralnej, spakował sprzęt i odzież wojskową do skórzanej torby. Włożył pełen garnitur i zapalił silnik. Kiedy wjeżdżał do miasta, widział wędrującego samotnie Damiana, ale tylko wymienili spojrzenia. Nie musieli się afiszować swoją relacją. Bury nie mógł się powstrzymać i pozdrowił chłopca uniesioną ręką. Damian podniósł swoją. Z daleka mogło się wydawać, że hajluje, ale obaj wiedzieli, że znaczy to coś zupełnie innego.

Kiedy Bury wszedł do kancelarii, ze zdziwieniem spostrzegł, że ktoś na niego czeka. Sekretarka wybiegła mu na spotkanie i teatralnym szeptem syknęła, że dzwoniła, próbowała go ostrzec, ale nie odbierał telefonu. Podkomisarz Frankowski nie dał się nijak wyrzucić. Tyle mogła zrobić, że udało się jej go wygnać z gabinetu adwokata.

– Całkiem niepotrzebnie – zbeształ ją Artur Mackiewicz.

Przywitał się z JahJah’ą jak ze starym kumplem, którym przecież kiedyś dla policjanta był.

– Jakieś wieści? – zagaił Przemysław.

– Jak wiesz, od kilku dni reprezentuję interes synów Bondaruka i mogę już dziś powiedzieć, że list odczytany w przeddzień wesela, jak również testament noszą znamiona fałszerstwa – oświadczył Artur, po czym rozsiadł się na obrotowym krześle.

Za plecami miał kolorową arę rozmiarów siedzącego owczarka – prezent od byłego prezydenta, kiedy adwokat miał jeszcze biuro w Urzędzie Miejskim. To do papugi podszedł teraz JahJah, kiedy sekretarka wkroczyła z gorącymi napojami.

– Kto zrobił tak szybko ekspertyzę?

– Taki jeden grafolog z Białegostoku. Mój kumpel. Ma właściwe pieczątki.

– Jakie dokładnie znamiona?

– Sfałszowany podpis.

JahJah nacisnął guzik pod skrzydłem kolorowego ptaka.

– Ty mi kosy nie przypominaj, bo ja mam teraz karabin – zagadała ara.

JahJah się zaśmiał. Odsunął od siebie filiżankę z espresso. Usiadł.

– A więc to była szopka noworoczna? Bondaruk z nas zażartował?

– Na to wygląda – najspokojniej w świecie odparł Artur Mackiewicz. – A co u ciebie? Z czym przychodzisz?

– Dwa pytania. Poniekąd na ten sam temat. Wolałbym odpowiedź szczerą, zanim przejdziemy do oficjalnego przesłuchania.

– Jestem do dyspozycji – napiął się adwokat. – Jak zawsze dla bliskich.

– Czy twoja żona miała romans z Bondarukiem?

– Nic mi o tym nie wiadomo – padło w odpowiedzi. – Najlepiej ją o to zapytać, nie sądzisz?

– Nie sądzisz chyba, że nie pytałem. – JahJah uśmiechnął się półgębkiem. – W takim razie drugi strzał.

– Oby celniejszy.

– Czy najstarszy pan młody świata osobiście wyeliminował kogoś w latach siedemdziesiątych, a esbecja to przykryła?

– A skąd, do licha, mam wiedzieć, człowieku? – zaśmiał się Mackiewicz. – To ty siedzisz w tej działce.

– Ty wiesz wszystko.

– Wszystko to wie tylko pan Bóg.

– Jesteś dowódcą Gminnej Struktury Obywatelskiej Obrony Terytorialnej. Nielegalnej organizacji paramilitarnej. Mogę cię oskarżyć o swastyki, podżeganie do konfliktów narodowościowych, nielegalne posiadanie broni, groźby karalne, hajlowanie. Zgarnąć twoich ludzi do aresztu, pozbawić prawa wykonywania zawodu na zawsze.

– Spróbuj. – Artur przyjął pozycję zamkniętą.

– Czyli nie zaprzeczasz? A myślałem, że to tylko bajki, które Krajnów opowiada w „polaku” dzieciakom na lekcjach religii.

Położył na biurku nakaz przeszukania kancelarii i mieszkania Mackiewicza. A także zgodę na wejście AT w razie stawiania oporu

podejrzanego przy zatrzymaniu. Był podpisany in blanco. Mackiewicz zbladł.

– Nazwisko. Jeśli mamy do czynienia z latami siedemdziesiątymi, sprawa się przedawniła. Jak wiesz, nie będzie z tego dochodzenia. Mój telefon znasz.

JahJah wyszedł. Po drodze grzecznie podziękował sekretarce za kawę.

– Ten ekspres musiał wymyślić jakiś imperialistyczny geniusz – dodał.

Profil psychologiczny nieznanego sprawcy

Autor: Sasza Załuska

Dowód: operacyjny

Kryptonim: „Okularnik”

Dotyczy spraw sygn: Ds. 560/14, Ds. 2478/00, VIIIK 54/00, IIIK 345/01,

a także pomocniczo – Ds. 1342/77

Niniejszy dokument ma charakter operacyjny i nie jest typowym profilem, ponieważ nie dotyczy jednego przestępstwa, lecz kilku pozornie niepowiązanych ze sobą spraw i nie zawiera typowych cech psychologicznych nieznanego sprawcy, lecz obejmuje wyłącznie dane wyselekcjonowane ze spraw zaginięć kobiet, w których jedynym łącznikiem wydaje się właściciel zabezpieczonego samochodu marki Mercedes (klasa E, model W210), o numerze rejestracyjnym BHA 3456 (koloru czarnego lub białego). Dodatkowo do sprawy zostaje włączona sprawa niezwiązana z autem – Ds. 1342/77, ze względu na osobę podejrzanego, a także okoliczność wskazującą na cenne źródło informacji. Sprawy zostały dobrane pod kątem bliskiej zażyłości zaginionych (poza Ds. 1342/77) z podejrzanym. Auto znajduje się na policyjnym parkingu w Białymstoku. Zostało zbadane pod kątem kryminologicznym (dane w aktach).

Okoliczności popełnienia przestępstwa

Ds. 560/14

Ofiara **Iwona Bondaruk**, z domu Bejnar, córka Bożeny i Dawida, obywatelka Polski, narodowości polskiej, została zuchwale uprowadzona w dniu 13 maja 2014 roku, około godz. 22:20, z okolic Teremisek koło Białowieży (ostatni raz widziano ją żywą w amfiteatrze Jagiellońskie). Sprawców uprowadzenia było dwóch. Jeden z nich płci męskiej był zamaskowany (kominiarka + przebranie weselne – strój regionalny) i uzbrojony. Drugi o nieustalonej płci i wyglądzie (możliwe, że kobieta). Posługiwali się samochodem marki Mercedes (klasa E, model W210), o numerze rejestracyjnym BHA 3456, koloru czarnego. Poszkodowana była najprawdopodobniej śledzona od granic amfiteatru Jagiellońskie, pieszo przedostała się do bocznej leśnej drogi w Teremiskach, gdzie sprawcy ją zaatakowali i ścigali po lesie. Pościg został udaremniony przez Saszę Załuską, znajdującą się w samochodzie marki Fiat Uno, należącym do Laury Załuskiej, o numerze rejestracyjnym GDA 5439. Mimo powziętych działań odparcia ataku porywaczy, próby perswazji oraz walki wręcz, a także oddania strzału ostrzegawczego z broni Beretta 950, nie udało się odbić kobiety z rąk porywaczy. Sasza Załuska została poturbowana, przywiązana do drzewa, pozbawiona odzieży i pozostawiona w lesie. Mimo podjętych czynności przeszukania puszczy oraz okolic branki nie odnaleziono. Nie zabezpieczono także jej ciała. Iwona Bondaruk dzieci nie posiadała. Status sprawy w prokuraturze – na biegu.

Ds. 2478/00

Ofiara **Łarysa Szafran**, córka Ludmiły i Aleksego Kozłowskich, obywatelka Białorusi, narodowości białoruskiej, w marcu 2000 roku została uprowadzona w trakcie wyjazdu służbowego samochodem marki Mercedes (klasa E, model W210) o numerze rejestracyjnym BHA 3456, koloru białego. Według zeznań partnera zaginionej – Piotra Bondaruka – została zastrzelona z broni palnej nieustalonego typu, lecz jej ciała nigdy nie odnaleziono. W strzelaninie poszkodowany został również Piotr Bondaruk, syn Aliny i Stanisława Bondaruków (nazwisko rodowe ojca – Gałczyński). Mężczyzna został reanimowany i udzielono mu pomocy. Był brany pod uwagę jako podejrzany. Przebywał na obserwacji psychiatrycznej w szpitalu

na oddziale dla psychicznie i nerwowo chorych od 1999 do 2001 (obecnie szpital ma status prywatnej kliniki Ciszynia). Zaginiony samochód został ujawniony podczas kontroli drogowej. Kierowca posługujący się dokumentem prawa jazdy na nazwisko Jarosław Sokołowski nie potrafił wyjaśnić sposobu wejścia w posiadanie wozu. Towarzysząca mu kobieta legitymująca się dokumentem na nazwisko Marzena Koźmińska pokazała dokument użyczenia oraz dokumenty wydane na nazwisko Piotra Bondaruka. Auto zabezpieczono i po dwuletnim przechowywaniu na policyjnym parkingu (koszty pokrył skarb państwa) zwrócono właścicielowi. Piotr Bondaruk usynowił syna Szafran (Fiodor Bondaruk). Status sprawy w prokuraturze – umorzona.

VIIIK 54/00

W dniu 3 marca 2000 roku ofiara **Monika Zakrzewska, ps. Jowita**, została wywabiona z domu rodzinnego w Ciechanowcu przez Marzenę Koźmińską, która przyjechała samochodem marki Mercedes (klasa E, model W210) o numerze rejestracyjnym BHA 3456, koloru białego. Matka zgłosiła zaginięcie córki tydzień później. Do dnia dzisiejszego ciała kobiety nie znaleziono. Marzena Koźmińska, która odsiaduje wyrok do innej sprawy (zabójstwo warszawskiego maturzysty), została także skazana za uprowadzenie i pobicie Zakrzewskiej. Ze względu na charakter sprawy (obie kobiety były prostytutkami) rodzina nie nagłaśniała sprawy. Piotr Bondaruk usynowił dziecko Zakrzewskiej (Tomasz Bondaruk). Status sprawy – wyrok prawomocny wydany przez Sąd Rejonowy w Pułtusku, sprawca Marzena Koźmińska.

IIIK 345/01

W dniu 4 kwietnia 2001 roku patrol policji w Broku (trasa Hajnówka–Białystok) zatrzymał kobietę poruszającą się samochodem marki Mercedes (klasa E, model W210), o numerze rejestracyjnym BHA 3456, koloru czarnego. **Mariola Nesteruk** była pod wpływem alkoholu. Badanie krwi wykazało 1,2 promila alkoholu. Nie posiadała dokumentów auta. Jechała nierozważnie, powodując zagrożenie na drodze. Jej zachowanie zgłosił jeden z kierowców przez CB-radio, kiedy omal nie spowodowała wypadku. Samochód

ze stłuczonym lusterkiem zewnętrznym od strony kierowcy odholowano na policyjny parking, skąd po zawiadomieniu odebrał go po dwóch dniach jego właściciel Piotr Bondaruk. Mariola Nesteruk spędziła noc w policyjnej izbie zatrzymań. Nie stawiła się na żadną z rozpraw. Wyrok za jazdę po alkoholu wydano zaocznie. Grzywnę uregulowała przekazem pocztowym. Była w bliskiej zażyłości z Piotrem Bondarukiem. Jej syn Jan, zwany Wasylem, został przysposobiony przez wyżej wzmiankowanego miesiąc przed jej „wyjazdem". Mariola Nesteruk obecnie nie figuruje w żadnym rejestrze – wyszukiwanie przez PESEL i NIP. Nie figuruje w bazie zaginionych Itaki ani żadnej innej bazie policyjnej.

Ds. 1342/77

W dniu 26 sierpnia 1977

Sasza przeczytała wszystko raz jeszcze, po czym zmięła kartkę i wrzuciła ją do kosza. Siedziała jeszcze przez kilka godzin, by tylko nabazgrać ołówkiem numer rejestracyjny samochodu Piotra. Nie wymyśliła nic sensownego, więc wyszła na balkon i zapaliła papierosa. Kiedy tak stała, usłyszała dźwięk przychodzącego esemesa. Wiadomość zawierała informację, że wysłano jej ememes, ale nie może być dostarczony. Zmarszczyła brwi i nacisnęła „kasuj". A potem przyszło jej do głowy, że ta notatka mogła zawierać kod od Dziadka. Numeru, z którego ją wysłano, nie miała na liście kontaktów. Wybrała go, ale usłyszała, że nie ma takiego numeru. Natychmiast się rozłączyła. Wiadomość ktoś mógł wysłać z bramki internetowej. Nie miała tu nikogo, by jej to szybko sprawdził. Zresztą teraz nie chciała zaprzątać sobie tym głowy.

Kończyła już palić, kiedy komórka znów się ożywiła. Tym razem kliknęła szybciej, pełna najgorszych przeczuć. Informacja brzmiała: „Zadzwoń". Bez podpisu. Numer mógł być ten sam. Mógł być, bo przecież tamtego nie zapamiętała. Wpatrywała się w zieloną słuchawkę i zastanawiała, czy powinna wykonać polecenie. A potem nagle ją olśniło. Odpisała: „Czego chcesz? M.". Po chwili przyszła kolejna wiadomość: „Porozmawiać". Czuła, jak nogi się pod nią uginają. Ręce jej drżały. Nie

była w stanie utrzymać telefonu, kiedy zawibrował ponownie: „Chciałbym ją zobaczyć. Ł.”.

Warszawa, 2014

Odlew głowy Bolesława Krzywoustego stał na szafie obok kilku innych zmarłych, tyle że nikomu nieznanych ludzi. Podinspektor Dariusz Zajdel zalał rozpuszczalną kawę wrzątkiem, wyjął dwa pączki i usiadł przed komputerem.

Czaszka, którą dziś rano dostał do ekspertyzy, była sfotografowana w trzech płaszczyznach. Wrzucił zdjęcia w swój autorski program, oznaczył strzałkami odległość między oczami, zmierzył długość żuchwy i płat kości czołowej. Pracował przez kilka godzin do momentu, aż wszystkie pomiary się zgadzały, czaszka zaś pokryta była niemal całkowicie siatką wektorów i markerów. Wtedy rozpoczął koronkową robotę nakładania małych elementów fotografii, które zbierał przez całe lata. W bazie miał tysiące ludzkich nosów, oczu, fragmentów policzków, łuków brwiowych, płatków uszu i wykroju warg. Zdaniem antropologa, z którym ekspert pracował od lat, to mężczyzna. Typ Słowianina, skłonny do otyłości. Oczy zielone, szare lub niebieskie. Prawdopodobnie zginął od ciosu ostrym narzędziem typu siekiera, tasak. Czaszka była rozłupana w dwóch miejscach. Zanim zaszło słońce, z miniaturowych puzzli Zajdel ułożył ludzki wizerunek. Chwilowo bez owłosienia. Fryzurę ekspert dobierał zawsze na samym końcu. Miała zbyt wielką siłę sugestii.

Postanowił zrobić sobie przerwę. Poszedł na obiad do policyjnego bufetu. Zadzwonił do żony i uprzedził, że za chwilę kończy, a potem wrócił na swoje stanowisko pracy.

Dla relaksu wrzucił zdjęcie stworzonej przez siebie rekonstrukcji do wyszukiwarki Centrum Poszukiwań Ludzi Zaginionych ITAKA, które ściśle współpracowało z polską policją. Wyskoczyły mu tysiące podobnych twarzy.

Sprawdził w dokumentach, że mężczyzna zaginął na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Z analizy antropologicznej wynikało, że miał skłonność do łysienia. Czaszka przyszła z Podlasia. Zrobił mu dla żartu „pożyczkę” i wąsy na Wałęsę, jakie wtedy nosił każdy szanujący się

robotnik. Wciąż jednak nie był zadowolony z efektu. Facet wyglądał jak przebieraniec. Za pomocą Photoshopa ogolił mu z twarzy zarost, przykleił treskę Połomskiego w kolorze świńskiego blondu i zamienił turecki sweter na weselną marynarkę z szerokimi klapami. Znacznie lepiej. Ale czegoś brakowało.

W tej pracy liczyła się wiedza kryminalistyczna, ale i zdolności plastyczne. Zajdel miał je wybitne. Gdyby nie staż w komendzie, jeszcze w czasie studiów plastycznych, byłby teraz zapewne rzeźbiarzem przymierającym głodem, a nie cenionym ekspertem antroposkopii w Centralnym Laboratorium Kryminalistycznym Policji. W całym kraju nie miał sobie równych w rekonstrukcji wyglądu przyżyciowego człowieka na podstawie kości czaszki, progresji i regresji wiekowej oraz wszelkich metod rysunkowych. To on zrekonstruował na podstawie szczątków kości znalezionych pod posadzką toruńskiej katedry głowę Mikołaja Kopernika, co przyniosło mu sławę, propozycje udziału w programach telewizyjnych, a nawet wywiady dla National Geographic i Discovery Channell. Zajdla męczyła ta popularność. Znosił ją, póki było takie polecenie z góry, a potem oświadczył szefom, że ceduje obowiązki udzielania informacji na rzecznika Komendy Głównej Policji. Wolał siedzieć w swoim pokoiku na trzecim piętrze, którego okna wychodziły na Belwederską, i dłubać w cudzych oczach, wargach i nosach. Sklejać z kawałków cudzą historię. Był w tym niezrównanym mistrzem, a ponieważ nie wychował dotąd godnego następcy, pracy miał na najbliższą pięciolatkę. Jego pozycja zaś nie będzie zagrożona prawdopodobnie do śmierci. Owszem, podsyłano mu kandydatów, lecz albo szybko się męczyli, bo robota wymagała umiłowania szczegółu, albo też zbytnio folgowali swoim artystycznym zapędom i rekonstrukcje nie miały walorów identyfikacyjnych. Nie były podobne do nikogo z żyjących. Mówił im o pokorze, służebnej roli eksperta antroposkopii, ale nie słuchali lub kiwali głowami i jak najszybciej przenosili się na stanowiska łatwiejsze, choćby do portretów pamięciowych.

Niektórzy nazywali mylnie jego zdolności szóstym zmysłem, bo nikt tak jak Zajdel nie potrafił na podstawie kości czaszki tak doskonale oddać „duszy” zmarłej osoby na zrekonstruowanym wizerunku. On sam sprowadzał ten sekret do jednego słowa: wyobraźnia.

Nie wystarczy zastosować perfekcyjnie techniki, jeśli osoba na jego stanowisku nie czuje, nie zna, wreszcie – nie lubi ludzi. Zawsze kiedy tworzył taką rekonstrukcję, która przecież za chwilę trafi do mediów, wszelkich baz osób zaginionych, czuł odpowiedzialność i nie był w stanie powstrzymać się przed pomyśleniem choćby przez chwilę, kim ta osoba mogłaby być. Co robiła? Jakie miała marzenia, pasje, wady? Często nie dowiadywał się tego nigdy. Pracę zlecały mu różne komendy. I, o ile żądały potraktowania sprawy priorytetowo, o tyle o efektach rozwiązanego śledztwa zapominały już powiadomić. Co dla Zajdla było czynnością najważniejszą. Tworzył osobistą bazę porównawczą, gdyż chciał być w swoim zawodzie coraz lepszy. Teraz po raz kolejny obiecano mu, że jeśli sprawa zostanie wykryta, otrzyma akta zwrotne. Liczył, że Sasza Załuska, która poprosiła go o tę przysługę, dotrzyma słowa. Normalnie komendy czekały w kolejce miesiącami, nawet rok. Zajdel nie pracował szybko, ale za to sumiennie. I nigdy nie pokazywał nikomu półproduktu.

Kiedy zamierzał wychodzić, zadzwoniła gdańszczanka.

– Za tydzień – mruknął zamiast powitania.

– Przywiozę ci *Alicję w Krainie Czarów* po koreańsku, jeśli nieco przyśpieszysz – zanęciła.

Wiedziała o słabości jego małżonki. Do kolekcji brakowało jej już naprawdę niewielu języków.

– Już ma – zaśmiał się.

– Skąd?

– Profiler z Katowic jej załatwił. Był tam na szkoleniu.

Sasza nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– A po białorusku ma?

– Chyba nie. Nie sądziłem, że istnieje.

– Jak nie wydali, to załatwię, żeby wydali jeden egzemplarz specjalnie dla ciebie. Znaczy się dla Amelii. Masz już coś?

– Coś niecoś.

– I nie pokażesz?

Spojrzał na faceta-delfina.

– Muszę się z tym przespać.

– Pali mi się koło czterech liter – poinformowała łagodnie. – Mam pewien trop. Pojawił się dzisiaj. Facet, który jest podejrzany, od lat unika odpowiedzialności. Wszystko jest tu zakręcone jak słoik z dżemem. Zmowa milczenia. Wiesz, jak w latach pięćdziesiątych. Ta sprawa weselników z autobusu. Nikt nie puszcza pary z ust. Gdybyśmy mieli chociaż jednego trupa, choćby starego, można by było wziąć klienta na dołek. Łatwo się kłamie przy herbatce, ale w kazamatach najtwardsi górale czują wilgoć pod powiekami.

– W sumie muszę już wychodzić – mruknął. – Obiecałem Amelce, że wyjdzie na wino z koleżankami.

– Powiedz jej, że będzie miała po białorusku. Wybaczy ci spóźnienie.

– Wątpię – mruknął, ale nacisnął przycisk „wyślij”.

– Ale jeszcze nikomu nie pokazuj – zastrzegł.

– Oczywiście – obiecała.

Zamykając drzwi, uśmiechał się z dezaprobatą. Było pewne, że jutro, jeśli nie jeszcze dziś, delfina zobaczy połowa tamtejszej komendy. Postanowił, że dopracuje wizerunek w ciągu tygodnia i dopiero wtedy wystawi rachunek.

Bardzo się zdziwił, kiedy, gdy już przebił się przez popołudniowe korki do domu pod Warszawą, żona poinformowała go, że dzwonili z kurii biskupiej z prośbą o pilny kontakt.

– To ksiądz? – zdziwił się Zajdel.

– Ponoć od lat osiemdziesiątych przebywa na Dominikanie i był nawet jednym z podejrzanych w aferze pedofilskiej, ale jako jedyny nie został odwołany. Nie chcą kolejnego skandalu.

– Jego czaszka leży w kartonowym pudełku u mnie na szafie – roześmiał się Zajdel. – To chyba cudowne zmartwychwstanie.

– Pewnie padasz z nóg. Już grzeję kolację. – Amelia wzruszyła ramionami i zrobiła minę słodkiej dziewczynki.

Natychmiast przypomniał sobie, dlaczego ją poślubił. Wydała mu się w szkole najbardziej uroczą dziewczyną świata i jak dotąd, choć byli razem

ponad dwadzieścia lat, żaden damski uśmiech jej nie zagroził. A co lepsze, ich córka była jej małą kopią. Aż bał się, co zrobi, kiedy zaczną się pojawiać pod ich drzwiami absztyfikanci.

– A jaką miałeś dla mnie niespodziankę? – dodała.

Zajdel natychmiast się zachmurzył i wyjął z teczki telefon. Wybrał numer Saszy. Zajęte. Zdjął buty, powiesił płaszcz. Telefon zadzwonił ponownie.

– To twój szef. – Amelia podała mu telefon. – Nie zrozumiałam, ale kurii chyba nie pasuje, że ten człowiek nie żyje. Masz natychmiast wysłać raport. Żądają sprostowania.

Zajdel pokręcił głową. Najpierw chciał rozmówić się z Załuską.

– Nikomu nie pokazywałam – mruknęła niewyraźnie. Coś akurat przełykała. Dalszej części wywodu nie zrozumiał poza tytułem „…w Krainie Czarów”. – Sama jeszcze nie widziałam.

– Księża do mnie dzwonią.

– Ja tam się nie spowiadam.

– I nasi z góry – dodał.

Natychmiast spoważniała.

– Otwieram gmail. Nic nie mam.

Usiadł. Żona zaczęła nakrywać do stołu. Przełknął ślinę. Jego ulubione mielone. Poznałby ten zapach nawet w piekle.

– Mam – padło po drugiej stronie. – Otwiera się. Nie znam gościa. O, kurwa!

Na stole przed policjantem stał już parujący talerz z pomidorową z ryżem. Zaczął jeść. Teraz on mówił z pełnymi ustami.

– Co jest? To masz czy nie?

– Twój dysk został zniszczony – odczytała Załuska. – Mam czysty komputer. Nie mam żadnych danych. Chyba mi system padł. Wszystko, co miałam, właśnie wyparowało – panikowała.

– Dasz to naszym technikom. Odtworzą ci – najspokojniej w świecie zapewnił Zajdel. – Ale Alicja chłopcom z IT nie wystarczy. Oni nie poznają się na prawdziwej sztuce. Nieźle mnie wkopałaś.

– Darek, to nie ja! Mam złamaną rękę, zniszczone auto. Jestem prawie podejrzana. Co najmniej w dwóch sprawach. Właściwie to nie jestem pewna, czy nie będziesz miał przeze mnie kłopotów.

– Teraz mi to mówisz? Typowe w pracy z babami – jęknął.

Odłożył łyżkę. Amelia pośpiesznie podała mu drugie.

– Zaraz mam taksówkę.

Zajdel zerknął na żonę, potem na kotlet, a wreszcie na wszystkie trzy, jednocześnie dzwoniące, telefony.

– Wiesz co, dziewczyno, ogarnij się, a ja zjem w spokoju – rzekł do Saszy. – Odezwij się, jeśli telefonu ci nie wyłączą. I nie można być prawie podejrzanym. To tak jak z robotą. Ona jest zrobiona albo nie.

Rzucił słuchawką. Amelia tym razem przyniosła stacjonarny.

– Nasz kapelan – szepnęła. Z trudem maskowała niepokój. – Może ja nie pojadę. Odwołałam taksę. Co się dzieje, Daruś?

– Niech się wszyscy ode mnie odpierdolą! – Zajdel uniósł się i zaraz zawstydził, bo prawie nigdy nie zwracał się tak wulgarnie do żony. Przeprosił, zastanowił się chwilę i, choć nienawidził jeść zimnych mielonych, a jeszcze bardziej sprawiać Amelii przykrości, zdecydował, że musi wrócić do komendy. Nawet nie zerknął na śpiącą już córeczkę. Pierwszy raz od jej urodzenia.

Logował się kolejno do Krajowego Systemu Informacji Policji, Centralnej Bazy Pojazdów i Kierowców, centralnego rejestru skazanych, bazy zaginionych, poszukiwanych listem gończym, sprawców pedofilii i przestępstw seksualnych, a na koniec ręcznie przeszukał archiwum ułaskawionych przez prezydenta. Nic, zero. Całkowite pudło. Wtedy go olśniło. Facet został rozpoznany bez trudu. Niczym zwykły cywil zaczął więc wrzucać do sieci hasła: ksiądz, PRL, Dominikana, Hajnówka, SB, zaginięcie. Kiedy był już u kresu sił, na stronie 127 Google’a wyskoczył mu reportaż Izy Michalewicz. Opublikowany w 2005 roku w „Dużym Formacie” o dziwnych przypadkach awansu księży współpracowników SB. Zajdel pomyślał, że po raz kolejny czwarta władza, czyli media, nokautowała wykonawczą. Wikariusz Jerzy Bołtromiuk z Hajnówki, TW „Świerk”, zaginął w 1977 roku, po tym jak parafianie wygnali go z plebanii

za nieobyczajne zachowanie wobec wiernych płci męskiej. „Różową teczkę” założono mu już w latach siedemdziesiątych, dekadę wcześniej, zanim Kiszczak nakazał Milicji Obywatelskiej rozpocząć akcję „Hiacynt”. W tamtym czasie białostocka kuria umyła ręce od sprawy, więc buńczuczni mieszkańcy miasteczka wzięli ją w swoje ręce. Ale jak się okazało, ksiądz i tym razem zrobił ich na szaro. Zniknął wraz z pieniędzmi na budowę kaplicy na lokalnym cmentarzu. Sprawę mimo to wyciszono, a jego nazwisko wypłynęło ponownie w latach dziewięćdziesiątych. Tym razem nie kradł, nie obnażał się i dyskretniej werbował sobie kochanków. Szybko też awansował, a może po prostu kościelne władze wolały się go pozbyć z kraju, bo głównie wyjeżdżał na misje. Zawsze do ciepłych krajów.

Zajdel czytał i coraz bardziej baraniał. Artykuł okraszono tylko jedną fotografią. Trzydziestoletni Bołtromiuk stoi na postumencie przed urzędem miejskim na tle radzieckiego czołgu, najwyraźniej ówczesnego symbolu miasteczka. Potrzeba wielkiej wyobraźni, by w tym stroju – waciaku i gumofilcach – domyślić się jego profesji. Ekspert antroposkopii powiększył zdjęcie do maksymalnych rozmiarów i nie miał żadnych wątpliwości, że wykonywał dziś rekonstrukcję twarzy tego człowieka. Już wiedział, co mu wtedy nie grało. Powinien założyć mężczyźnie okulary. „Świerk” nosił w tamtym czasie okrągłe staroświeckie oprawki, niczym Korczak, ale w życiu z pewnością kierował się innymi zasadami. W życiu, bo przecież od dawna nie żył. Jego szczątki z rozłupaną czaszką wciąż leżały w kartonowym pudełku w biurze Zajdla. Ekspert szybko skopiował to, co znalazł w gazecie, i przesłał w prywatnej wiadomości profilerce. Nie miał pojęcia, kto wypożyczył osobowość Bołtromiuka, by na chrześcijaństwo nawracać bezbożników w Afryce, ale było oczywiste, że w tej sytuacji nikt go przez lata nie szukał. Dla wszystkich, także dla kurii i być może także dla innych jednostek administracji państwowej, wygodniejszy był „Świerk” żywy, a nie martwy.

Hajnówka, 2014

– Jak to nie miałaś programu antywirusowego? – zdezorientowany JahJah kręcił głową, oglądając obudowę pancernego macpro Saszy.

Kobieta tylko wzruszyła ramionami.

– Nie po to zapłaciłam za ten sprzęt trzy tysiące funtów, żeby kupować sobie programy antyszpiegujące – fuknęła. Usiadła na jedynym wolnym miejscu w pomieszczeniu, czyli dziecinnym stołeczku z Reksiem, który znalazła w łazience. JahJah udawał, że dłubie w sprzęcie. Klikał, otwierał kolejne ikonki, ale zaraz się zorientowała, że pierwszy raz siedzi przed monitorem macintosha. Westchnęła tylko ciężko i rozejrzała się po pomieszczeniu. – Ale jeśli chodzi o sprawę, prawie nic w nim nie notowałam – uspokoiła JahJah'ę i wyjęła notes, wskazała plik kartek porozwieszanych w różnych miejscach lokalu. – Tylko że w tym komputerze było całe moje archiwum. Zawodowy dorobek mojego życia. Praca doktorska… – Ukryła twarz w dłoniach.

– Taa – mruknął JahJah. – Nawet przyjazny ten interfejs. A dysk zewnętrzny?

Sasza podniosła głowę. Pokazała czarny kawałek plastiku z kabelkiem.

– Też zniszczony. Sam zobacz. Jak tylko podłączyłam go do komputera. Dopiero to wzbudziło moje wątpliwości. Ktoś wpuścił mi szpiega i zabrał wszystko. Prewencyjnie. Tak działa tylko wywiad. Nie daruję im tego. Zgłoszę to i znajdę drania – zaperzyła się.

– Znam kogoś – zaczął JahJah, ale zaraz przerwał, bo rozległo się pukanie do drzwi.

Sasza poszła otworzyć. W drzwiach stała Romanowska z Domanem.

– Nie zmieścicie się – próbowała żartować Załuska. – Chyba że ktoś usiądzie na zlewie.

Za nimi dostrzegła też Błażeja, syna Frankowskiego, ale gdy zobaczył, ile osób jest już w środku mieszkania, ruszył z powrotem do radiowozu.

– To może ja – odparł Doman. Musiał pochylić głowę, żeby nie uderzyć się w futrynę, kiedy przemieszczał się do salonu. – Jestem najlżejszy.

– Już zająłem to miejsce! – krzyknął JahJah z części biurowej.

– O szlag – gwizdnął Doman, kiedy Saszy udało się zamknąć drzwi.

– Niezła biblioteka, co? – Załuska się uśmiechnęła.

– Co tam biblioteka. To mieszkanie Hannibala.

– Ma pan wreszcie dowód mojej winy – mruknęła Sasza i rozejrzała się.

Jeleni prawie nie było już widać spod mapy z kluczowych zdjęć i niedużych fiszek oznaczonych różnymi kolorami. Okna balkonowe zasłaniała mapa przymocowana na zasłonie. Akta, pogrupowane w stosy, tworzyły szlaki. Były pootwierane w określonych miejscach i ułożone chronologicznie, jak w archiwum. Sasza była też w bibliotece i skopiowała trochę artykułów oraz dokumentów. Kopie posklejała w zwoje, by w tak małej przestrzeni mieć je pod ręką.

– Normalna profilerska robota – zaśmiała się. Wyciągnęła wydruk rekonstrukcji wykonanej przez Zajdla. – DNA się zgodziło?

Romanowska pokręciła głową.

– Za wcześnie. Zrobiłaś profil?

– Który?

Policjanci zerknęli po sobie.

– Te sprawy należy rozdzielić – orzekła Sasza. Wskazała na zdjęcie młodziutkiej Danki. – Moim zdaniem ta zbrodnia nie należy do historii Okularnika. To zbrodnia rodzinna. Sprawca chciał ją uwolnić. Profil nie jest tu potrzebny. Wystarczy dobre przesłuchanie.

– Jej brat milczy – powiedziała Romanowska. – Zapadł w stupor. Nie odpowiada na pytania, nie możemy go przesłuchać. Może zgrywa wariata, a może po prostu nim jest. Ale odciski na szmince się zgodziły. Miał kontakt z Polakiem, znał jego historię. Jak się okazuje, wszyscy z terapii ją znali. Co sądzisz, Doman?

– Ale zatrzymaliście go do wyjaśnienia? – odezwała się Sasza. – Żebyśmy nie mieli dwóch do szukania.

Doman uciszył ją gestem dłoni.

– Nie wtrącaj się. Poprosiłem już Meyera o pomoc. Obiecał przyjechać, jak tylko się wyrwie. W sprawie pensjonariuszki przygotuje profil. – Nadkomisarz podkreślił ostatnie słowo. – Jego zdanie jest odmienne. Uważa, że na tym etapie te sprawy należy łączyć. A Pietrasik niech spróbuje sforsować twierdzę Ciszyni. Życzę powodzenia. Prus go znajdzie i upiecze jego klejnoty na ruszcie.

JahJah zarechotał.

Sasza podeszła do gobelinu. Wskazała rząd kobiet Bondaruka.

– Pierwsza zaginiona została zaatakowana w obecności podejrzanego. Odniósł obrażenia, groźne dla życia. Gdyby nie przypadkowy świadek, nie przeżyłby napaści. Możliwe, że mieli w tej strzelaninie zginąć oboje.

– Lub tak właśnie miała pomyśleć po zdarzeniu policja – wtrącił JahJah.

Sasza przyznała mu rację, ale zaraz dodała:

– Lub kiler nie miał doświadczenia, zawahał się, przestraszył, że zostawi świadka. I skrewił.

Potem wycelowała w Mariolę Nesteruk.

– Druga ofiara wyjechała samochodem podejrzanego. Bondaruk jest wprawdzie ostatnią osobą, która widziała kobietę żywą. Ale tak założono w trakcie dochodzenia. Nie ma jednak na to świadków. To tylko hipoteza.

– Poparta przez jej ojca.

– Ojca jednak nie przesłuchano.

– Osobiście odebrałem od niego wyjaśnienia – zapewnił JahJah.

– Nie ma tego w aktach – zauważyła Załuska. – Nesteruka należało brać pod uwagę. Wtedy, bo dziś słabo to widzę.

– To człowiek o nieposzlakowanej opinii – zaoponowała Romanowska. – Przyjaciel prezesa.

– I to on uratował go ze strzelaniny. Jak to się stało, że akurat był w pobliżu? Na odludziu? – zapytała Sasza.

– Zaginięcie zgłoszono po przepisowych czterdziestu ośmiu godzinach. Na cały ten czas Nesteruk ma alibi – rzekł JahJah.

– Bondaruk zresztą też. Tutaj wszyscy są kryci. Nasuwa się podejrzenie „ręka rękę myje”. Może ktoś zadbał o to, by to wszystko wyglądało na

porwanie? – przerwała mu profilerka. I zaraz dodała: – Nie chcę wieszczyć, ale pracowaliście tutaj. Kto prowadził śledztwo? Czy miał interes, by sprzyjać Okularnikowi?

– Stary komendant – odpowiedziała Romanowska. – Wątpię. Był tu szefem całe lata.

– Więc dobrze się znali zarówno z ojcem dziewczyny, jak i jej facetem. Gdybym chciała wyeliminować drugą kobietę, tak właśnie bym zrobiła. Zadbała o alibi. By nikt mnie nie podejrzewał – oświadczyła Sasza.

Zapadła cisza.

– Sugerujesz, że ojciec Marioli może mieć z tym coś wspólnego? – Romanowska zaatakowała Załuską.

– Nic nie sugeruję. Stwierdzam fakt, że poza Okularnikiem w dokumentach przewija się nazwisko rzeźnika, który po postrzale nagle zakłada potężny zakład wędliniarski.

W pokoju zapadła cisza. Sasza kontynuowała:

– Trzecia sama weszła po schodach amfiteatru do lasu. W tym czasie Bondaruk był widziany przez bodaj setkę ludzi. Kiedy nieznani sprawcy gonili po lesie ofiarę, on poszukiwał jej wraz z policją i innymi służbami. Nie można wykluczyć w żadnym z tych przypadków zlecenia, ale z całą pewnością nie dokonał żadnej z tych zbrodni – jeśli w ogóle mówimy o zabójstwach – samodzielnie. Jeśli zaś dał zlecenie, to kilerzy wyjątkowo spektakularnie kasowali te damy. Jeśli o mnie chodzi, zbyt popisowo. Tylko Mariola – druga kobieta Piotra – została klasycznie usunięta z pola widzenia. Tak właśnie źli mężowie rozprawiają się z niewiernymi małżonkami. Bo każda z nich była niewierna.

Zapadła cisza.

– Co sugerujesz? – zainteresował się Doman.

– Bondaruk wie, kto na niego poluje.

– A nie mówiłem? – włączył się JahJah. – Trzeba go porządnie przetrzepać. By do tego dojść, nie musiałem robić takiej jaskini mocy.

– Wie też ten, kto podrzucił głowy – ciągnęła niewzruszona Sasza. – I teraz to jego powinniśmy znaleźć, jeśli chcemy uratować Iwonę Bejnar, ponieważ sądzę, że ona wciąż żyje.

– Mistrzostwo dedukcji – zakpił Doman. – Niestety, nie udało się jeszcze ustalić personaliów czarnej łapy. Ten balkon się otwiera? Zapaliłbym.

Sasza odpięła spinacze, zwinęła mapę. Doman otworzył drzwi balkonowe. Załuska natychmiast do niego dołączyła.

– A ja sądzę, że to bardzo proste – powiedziała. – Bondaruk sam je podrzucił. Chce być złapany. Tylko w ten sposób może wyjść z układu z twarzą.

Teraz odwróciła się do JahJah'y.

– Twoja kolej.

JahJah streścił swoją wizytę u mecenasa Mackiewicza. Nikogo w tym pokoju nie zdziwiło, że działa w organizacji paramilitarnej. Jednak dla wszystkich było zaskoczeniem, że ujawnił nazwisko osoby, którą podobno przed laty zgładził Bondaruk.

– Stepan Orzechowski, zaginiony małżonek Duni Orzechowskiej – obwieścił JahJah. – Naczelny gej w miasteczku i jeden z pierwszych dyrektorów tartaku. Był na stanowisku najkrócej. Jego funkcję płynnie przejął nasz Okularnik. Piastował ją aż do dnia dzisiejszego. Stepan, owszem, uciekł z księdzem, lecz w zaświaty. Pani małżonka o wszystkim musiała wiedzieć, choć niekoniecznie brała w tym udział. Obaj panowie współpracowali z SB, podobnie jak Bondaruk. Możliwe, że to była wewnętrzna czystka.

Sasza zerknęła na zegarek.

– Moim zdaniem mamy do czynienia ze zwartą grupą trzymającą władzę, a nie z jedną osobą, która dokonuje na tym terenie mordów. Porwanie Iwony było rodzajem prztyczka w nos niesubordynowanemu tajniakowi, by pamiętał, że ze związku z agentem nie wychodzi się nigdy. Chyba że nogami do przodu. A on widać zapomniał, że ma gębę za daleko od potrawy. Czasy się zmieniły. Mamy kapitalizm, ale na stanowiskach są ci sami ludzie co kiedyś. Sprawdziłam.

Rzuciła na stół kilka archiwalnych gazet.

– Stare dzieje. – Z balkonu dobiegł ich głośny śmiech Domana. – Tego już raczej nie udowodnimy. Skoro taka z ciebie lady Sherlock, to niby dlaczego tylko te trzy kobiety uprowadzono? Miał ich przecież więcej.

Romanowska odchrząknęła znacząco. Sasza zaś przyznała nadkomisarzowi rację.

– Celna uwaga. I właśnie tutaj jest clou sprawy. Oczywiście najprościej byłoby uznać, że miały pecha. Trafiły w moment, kiedy facet akurat stawiał się grupie, swoim dawnym mocodawcom. Nie wiem, jak ich nazwać. Rada Sprawiedliwych? Moim zdaniem to jednak nie tak. Tu chodzi o coś osobistego. O coś, co powoduje i usprawiedliwia tę zmowę milczenia. Im wszystkim zależało, by go najpierw w pierepałki pakować, a potem to czyścić.

– Jeszcze trochę, a zaczniesz mówić po naszemu – wtrącił z przekąsem JahJah.

Sasza nie dała się jednak zbić z pantałyku.

– Kto tu jest najważniejszy? Kto rozdaje karty? – zapytała, ale ponieważ odpowiedziały jej wątpiące spojrzenia, dodała: – Kto był u sterów za komuny, a teraz awansował? Może wcale nie mieć już poglądów lewicowych. Może to polski nacjonalista? Tacy ludzie szybko łapią koniunkturę. Nie mają poglądów. Dla nich liczy się wyłącznie obowiązująca waluta.

– O co ci dokładnie chodzi, bo się zgubiłem? – Doman zgasił papierosa w doniczce, peta schował do kieszeni.

– Szukać trzeba w starszym pokoleniu. Jeśli zechcą mówić. – Załuska zwróciła się do komendantki: – Mówiłaś, że na ślub panna młoda przyszła zamaskowana, a podczas składania życzeń podeszła do niej kobieta, która złożyła na jej czole pocałunek, jakby ją akceptowała, błogosławiła. Kto to był? Moim zdaniem, możecie się śmiać, ale ja w to wierzę – jesteśmy świadkami jakiegoś rytuału, a raczej jego fragmentów. Na razie niezrozumiałych, lecz ważnych dla tej społeczności. Dla ich historii, dziedzictwa.

– Żałosne. – Doman głośno zatrzasnął drzwi balkonowe. Omiótł spojrzeniem pokój. Sasza odruchowo uczyniła to samo. Faktycznie, wyglądał jak cela wariata. – Poniosła cię wyobraźnia, moja panno. Jeśli to wszystko, co masz nam do zaoferowania z dziedziny profilowania, możesz zbierać manatki. Nie będę robił ci wbrew, byś jutro z samego rana opuściła to przeklęte miasteczko. Wracaj wróżyć gdzieś indziej.

– Niekoniecznie – powstrzymała go gestem Romanowska. – Pamiętam, że kiedyś Piotr powiedział mi, że wie, jak to się skończy.

Sasza pokiwała głową.

– Mnie mówił to samo – szepnęła. – I to dwukrotnie.

JahJah podniósł wściekły wzrok na byłą żonę. Jakby bolało go każde jej słowo. Komendantka jednak nie przerywała.

– Spytałam: Jak? Odparł: A jak kończą złe psy stworzone do walki? Śmiercią, zaryzykowałam. On zaśmiał się i rzekł, że to byłoby zbyt proste. Jeśli zabijesz psa, nie mógłby ci dalej służyć. Znalezienie nowego, równie zajadłego to wiele zachodu, treningów. Nieopłacalne. Musisz więc przywiązać go do siebie i na zmianę karać go oraz nagradzać. Z czasem kar jest więcej, a nagrody coraz mniejsze. Na koniec brak kar staje się nagrodą i pies sam pragnie już zdechnąć, ale zwierzęta nie popełniają samobójstw, więc tak zwierzę żyje, z dnia na dzień. Problem pojawia się wtedy, kiedy pies zbuntuje się, zaatakuje pana i ucieknie. Co wtedy?, zapytałam. Wtedy pan szaleje z wściekłości i zaczyna polowanie. Tropi psa dotąd, aż go zniszczy. Jeśli pies był naprawdę dobrze wyszkolony, przed śmiercią zada oprawcy jeszcze wiele ciosów. Będzie szczęśliwy, jeśli zginą razem, bo pies ma to do siebie, że zawsze kocha swojego pana. Ale nie jest groźny ten pies, co szczeka, lecz ten, co warczy.

– Niby czego ma to dowodzić? – JahJah ruszył do drzwi. Odwrócił się tylko, by usłyszeć odpowiedź.

– Tego, że jak najszybciej trzeba przesłuchać jego przyjaciół ze stolika VIP w Carskiej. – Romanowska wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się do Saszy. – To jest nasza Rada Sprawiedliwych.

Sasza podbiegła do JahJah’y.

– A co z tym człowiekiem od komputera? Mówiłeś, że masz kogoś.

Skinął głową i wykręcił numer do syna.

– Błażej, daj kontakt do tego magika. Tak, esemesem. Tylko uprzedź, że bez konsekwencji. Coś tam mu zaoferujemy. Niech przekaże siostrze.

Po chwili otrzymali esemes.

– To taki haker. Nie wiem, na ile zdoła pomóc. Jest zasadniczo dziwny.

– Ci zajmujący się IT żyją trochę w wirtualnym świecie.

JahJah obrzucił jeszcze raz spojrzeniem pokój Saszy.

– Nie tylko oni.

Po chwili znów zostały same.

– Boję się o Piotra – szepnęła Krystyna. – Nie szkoda mi go, bynajmniej, ale czuję, że to, co mówiłaś, ma sens. Ma, kurwa, głęboki sens i chłopcy wiedzą o tym. – Wskazała na drzwi. – Dlatego nie chcą w to wchodzić bez potrzeby. Wszyscy, którzy siedzieli wtedy przy tym stole w Carskiej, to starzy komuniści, a obecny starosta powiatu był szefem jednostki SB do końca jej istnienia. Tu się nic nie zmieniło od tamtej pory. Gra idzie teraz o forsę, której kiedyś nie było.

– Forsa to władza.

– A władza to jeszcze więcej forsy. Kółko się zamyka.

Obie wiedziały, że wchodzą na grząski grunt. Teraz już nie chodziło o proste zabójstwo. Żadna nie miała ochoty nazywać jednak rzeczy po imieniu.

– Pojedźmy do niego teraz – zaproponowała Sasza. – Do Bondaruka. Pogadać.

Krystyna pochyliła głowę.

– Nie mogę – szepnęła. – Mam go chronić i nie niepokoić. Dopóki nie mam podstaw, nie wolno mi go ciągać po komendach.

– Kto ci kazał?

– Moja władza.

– Władza to forsa – westchnęła Sasza. – Kto?

– Nie mogę ci powiedzieć.

Sasza wzięła się pod boki.

– Jak to nie możesz?

– Ty wyjedziesz, a ja tu zostanę. Tu żyją mój syn, mąż.

– Były mąż.

– Ślub w cerkwi bierze się do grobowej deski i choćbym tego nie akceptowała, dla tych ludzi zawsze będę tylko żoną JahJah’y.

Sasza się poddała.

– Jak chcesz.

– Ale mogę dyskretnie wybadać kogo trzeba.

– Nie zaszkodziłoby.

– Muszę mieć podstawę. Pretekst, dlaczego w tym grzebię. Trzeba znaleźć ciało księdza i tego drugiego – Orzechowskiego. Wtedy nie będą mogli zaprzeczyć.

– Możecie ściągnąć georadar?

– Jeśli będą przesłanki – zapewniła komendantka. Saszy przez moment zdawało się, że kobieta uciekła wzrokiem. – Będą zwłoki, będzie sprawa.

– Możesz mi pomóc? – Sasza znów rozpięła na spinaczach mapę miasteczka. – Nienawidzę profilowania geograficznego, ale tutaj nie ma innego wyjścia. Tylko że za cholerę nie orientuję się w tym terenie.

Romanowska zbliżała się do poznaczonej płachty papieru jak do jeża.

– Może najpierw komputer? Zawiozę cię do niego, a jak wrócisz, przyjadę i ci pomogę.

Sasza przyznała jej rację. Wstukała podany przez Błażeja numer. Zdołała się przedstawić, osoba po drugiej stronie linii podała jej aktualny adres, po czym się rozłączyła. Załuska podyktowała go komendantce.

– To adres cmentarza wojskowego w Bielsku Podlaskim. – Romanowska zmarszczyła czoło. – Jakieś trzydzieści kilometrów stąd.

– Ten magik z IT teraz tam jest.

Mieszkańcy małych miasteczek po zmroku boją się potworów. Ukrywają się przed nimi w swoich domach, ku przestrodze włączając kolorowy telewizor. Potwór, jak wiadomo, drży na widok błękitnych ekranów, widocznych z daleka przez okna. Na powierzchnię wynurzają się tylko kamikadze zmuszeni ryzykować życie przez sprawy niecierpiące zwłoki lub też śmiałkowie niepragnący niczego więcej jak spotkania bestii. Możliwa jest też trzecia opcja, choć w Hajnówce niepraktykowana. Ktoś nie ma telewizora. Sasza była prawdopodobnie jedyną osobą w mieście, która należała do wszystkich trzech kategorii.

– Umarli czy jak? – Wychyliła głowę za okno. Wypatrywała choćby jednej żywej duszy na ulicy, potem w parku i pod budynkiem kina Leśnik, z którego zrobiono supermarket.

– Jutro zmartwychwstaną. – Romanowska się uśmiechnęła. – Ciesz się spokojem, ciszą, zanim wrócisz do domu. U was pewnie ciągle młyn, korki.

– Kiedy się tu przyjeżdża na kilka dni, można się nabrać – przyznała Sasza. – Ale po jakimś czasie zaczynasz dostrzegać, że ta sielanka nie jest prawdziwa. Niby wszyscy są mili, uprzejmi, grzeczni. Ba, znają się nawzajem, ale w gruncie rzeczy ta uprzejmość jest złudna. Za nią kryją się chęć inwigilacji i niezdrowe zainteresowanie, co dzieje się za ścianą. Właściwie to one odgradzają od siebie ludzi. Wolę już otwartą anonimowość, obcość sąsiedzką, jak mawiają socjologowie. Brak przymusu, że muszę być dla kogoś miła, skoro on jest podłym okrutnikiem, a może nawet moim zajadłym wrogiem, jest mi zdecydowanie bardziej na rękę.

– Nie wierzysz w dobro stosunków sąsiedzkich?

– Próbowałam przesłuchać prawie wszystkich sąsiadów Bondaruka, pomówić z tą całą Dunią. Starałam się rozpytać o jej syna. Nikt nawet nie przypucował się, że zna jego pseudo. Na hasło „Quaku” nabierali wody w usta. O braciach zaginionej panny młodej dowiedziałam się tyle, że to porządne chłopy. Mogę ci puścić nagranie, chcesz?

Nie czekając na odpowiedź Romanowskiej, odtworzyła nagranie z komórki.

– Znał pan zaginioną?

– To porządna dziewczyna była. Bardzo porządna.

– A jej bracia, ojciec? Jakie mieli z nią relacje?

– Bardzo porządne chłopy. Ona też porządna. To i relacje dobre mieli.

– Może nie podobało im się, że Iwona wychodzi za Białorusina? Na dodatek dużo starszego od niej.

– Tego nie wiem, pani kochana. Bondaruk też porządny chłop. Pracę ludziom dał. Sam pracowałem, jak jeszcze siła była.

– Przecież pan młody człowiek. Więcej niż czterdzieści lat pan nie ma. Zgadłam?

– Co pani? Trzydzieści trzy dopiero. Ale rentę żem dostał. Na kręgosłup. Ten lekarz, co mi wystawiał zaświadczenie, dać nie chciał, ale jeden z braci Żubrów z nim pogadał i wreszcie dał.

– Porządny chłop – westchnęła Sasza.

– No przecież mówiłem, pani kochana. Dopiero co mówiłem.

Sasza nacisnęła przycisk stop. Nastroszyła brwi, udając zakapiora z rentą załatwioną przez Żubra, i zaczęła naśladować jego głos.

– Wiesz co, Krysiu, z ciebie też porządna baba. Bardzo porządna.

Znów mówiła normalnie:

– Takie mam sukcesy w analizie wiktymologicznej. Sprawa pozostałych mniej więcej podobnie.

Romanowska zmieniła bieg i zerknęła na profilerkę.

– Nie wiem, czego się spodziewałaś. Jesteśmy na wschodzie. Teraz to Polska, ale i skraj państwa. O granice zawsze spierali się politycy, ale cierpiała na tym tutejsza ludność. Mówię o miejscowych, powiedzmy, Poleszukach, mieszkańcach Kresów, Polesia. Niektórzy nazywają ten teren małą Białorusią. Zawsze bliżej nam było do Rosji niż ziem zachodnich. Do dziś widać te historyczne wpływy. W mentalności, kulturze, obrzędach religijnych, ale i w sposobie ubierania się, żywienia. Życia w ogóle. Ludzie przez lata zawieruch dziejowych nauczyli się tutaj głośno milczeć. Zdają się

otwarci. Zaraz zaproszą cię do domu, nakarmią, pozwolą spać w swoim łóżku. Może nawet otworzą przed tobą serce, jeśli poczują, żeś *dobry człowiek*. Porządny znaczy się. Ale nawet wtedy niechętnie otworzą przed tobą duszę. Obcy przybywali tutaj zawsze z interesem. By bronić granic, po cenny budulec, jakim kiedyś było drewno. Prawie zawsze chcieli zabrać im ich ziemię. Czasem oczywiście zostawali, żenili się z tutejszymi kobietami, mieli z nimi dzieci. Słowem zrastali się z kresowiakami i tutaj byli chowani. Na tych cmentarzach.

Minęły rogatki miasteczka i kilka małych wiosek. Stopniowo zabudowań ludzkich ubywało, aż wreszcie nie było ich wcale. Po obu stronach drogi aż po horyzont rozciągały się zielone połacie trawy. Po prawej stronie symetrię obrazu zaburzało rozłożyste drzewo, niemal kompletnie pozbawione liści. Sasza natychmiast przykleiła się do okna. Toskańskie cyprysy mogły się schować przy tym widoku, choć piar miały znacznie lepszy niż podlaskie pola pod Hajnówką, o których nikt na świecie nie słyszał.

– Ozimina. – Krystyna wskazała nieprawdopodobnie soczystą trawę, która ciągnęła się płaskim pasem wokół, gdzie okiem sięgnąć. Nawet o tej porze czarowała intensywnym kolorem nadziei. – A wieś, tam daleko, widać dachy tylko kilku chat, nazywa się Morze. Już chyba wiesz dlaczego?

Mrugnęła do Saszy znacząco. I znów się wychyliła. Wskazała ręką.

– Tam gdzie stoi to drzewo, była kiedyś wieś. Zniknęła z powierzchni ziemi zaraz po wojnie. Przed pierwszą wojną był tam folwark braci Załuskich. Wieś też się tak nazywała.

– Dlatego mnie w szpitalu pytałaś, czy nie mam tu rodziny?

– Nie znam nikogo stąd, kto nosiłby to nazwisko. Nikogo, kto by jeszcze żył. Ale ponoć wtedy wymordowano wszystkich ze wsi i okolic. Nie zdziwiłabym się, gdyby ci, którzy przeżyli, zmienili nazwisko, choćby na Łopata. Takie były czasy.

– Dlaczego spalono tę wieś?

– Spalili ją polscy żołnierze, ponieważ była zamieszkana przez ludność prawosławną. W tamtych czasach identyfikowano to z narodowością białoruską. Bury, dowódca kompanii i dziś bohater narodowy, jeden

z żołnierzy wyklętych, nienawidził kacapów. Kiedy uciekł z oddziałem po nieudanym napadzie na transport Armii Czerwonej w Hajnówce, palił po kolei wszystkie białoruskie wsie. Obarczał winą tych ludzi, że donieśli ubecji i wojsku o planach polskiej partyzantki. Tam dalej, w lasku, jest miejsce straceń. W ziemiance, tuż obok wsi Puchały, znaleziono kości kilkudziesięciu furmanów, najpierw uprowadzonych i zmuszonych do transportu wojska, a potem brutalnie zamordowanych. Leżały tam przez ponad pięćdziesiąt lat! Miejscowi chodzili się tam modlić. Pop święcił dwa razy do roku ich groby, ale nikt nie pisnął ani słowa władzom do dziewięćdziesiątego piątego roku. Do dziś zidentyfikowano tylko trzynaście nazwisk. Ludzie mówili, że wozacy nie mieli dokumentów. Dopiero kilka lat temu ekshumowano ich i przeniesiono na wojskowy cmentarz w Bielsku. Ten sam, na którym zaraz będziemy.

Sasza się zamyśliła.

– Raczej nie mam tutaj korzeni – odezwała się po chwili. – Ojciec pochodził z Trójmiasta, a mama z okolic Lublina, a raczej Gołębia.

– Zdziwiłabyś się, skąd pochodzą tutejsi ludzie. Są mieszkańcy ziem zachodnich, wilniacy, Ukraińcy i sporo Francuzów, Niemców, w większości pochodzenia żydowskiego. Dziś ta krew się zmieszała i wszyscy są swoi.

– Bo mają tu swoich zmarłych?

– Dokładnie.

– A Bondaruk? Kim byli jego przodkowie. Białorusini? Przecież nie było takiego kraju.

Romanowska zastanowiła się chwilę.

– Ludzie mówią, że jego ojciec był Polakiem. Chodził do kościoła, podobnie jak matka Piotra, choć jej babka była prawosławna. Niezbyt dobrze pamiętam, ale Staszek był jednym z ocalałych z pogromu. Przeżył, podobnie jak Dunia Orzechowska i stary Nesteruk. Ci są z całą pewnością prawosławni. Często widywałam ich w cerkwi. Reszta nie wiem. Trudno dziś dociec. Nazwiska przybierano, zmieniano, przekształcano. Wielu wybierało mniejsze zło, wstępowali do partii, godzili się na warunki, jakie wtedy oferowano, by mieć pracę, dostać mieszkanie zakładowe. Po prostu przeżyć.

– Jakim cudem Bondaruk stał się Białorusinem i czy to ma znaczenie dla tutejszych, skoro wszyscy i tak gnieżdżą się w jednym kotle kulturowym?

– Ogromne. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak wiele jest w tym antagonizmów. Obserwujemy tutaj prawdziwy terror polskich narodowców. Był poważny problem z kinderskinami. Walczą o swoje, jakby jutro miała wybuchnąć wojna polsko-ruska.

– Widziałam swastyki na murach i napisy cyrylicą „Rezać Lachów”.

Dojechały do ronda. Na tablicach drogowych znajdowały się dwujęzyczne napisy. Część z nich była zamalowana.

– Gmina Orla pierwsza wprowadziła nazwy białoruskie. Polscy nacjonaliści regularnie je niszczą. Każdego roku w rocznicę pogromu wsi prawosławnych do Wólki Wygonowskiej, Zań czy Kleszczel przyjeżdżają dziennikarze, by rozmawiać na temat dawnych wydarzeń. W tym roku media ubiegli kibole. Zjawili się u starych ludzi z kijami w rękach i spacerowali po wsi. Nic więcej. Kiedy następnego dnia przyjechały telewizje, żaden z pamiętających pogrom nie chciał udzielić głosu do reportażu.

– Ostrzeżenie?

– Raczej sygnał, by siedzieli cicho. Młodemu socjologowi udało się na przykład dopaść pamiętnik córki jednego z zamordowanych. Prosta kobieta, więc nie było tam nic z pierwszej ręki. Może poza infantylnym zapisem wspomnień jedenastolatki. Zawartość trafiła do IPN, kiedy toczyło się postępowanie. Ale były tam ponoć nazwiska żyjących sąsiadów, którzy współpracowali z partyzantami, a potem także z Milicją Obywatelską i UB. Była taka hipoteza, że cały pogrom odbył się za przyzwoleniem władz. Białorusini nie chcieli opuszczać tych ziem, więc komuniści znaleźli sposób, by rękami nacjonalisty ich wyeliminować.

– Po co?

– Przejąć ich domy, ziemię. A po co prowadzi się wojny? Ale to nie byłoby najstraszniejsze – ciągnęła Krystyna. – Nie udałoby się Buremu odejść z tych terenów, spalić kilkunastu wsi i mordować przez ponad tydzień cywili bez wsparcia lokalnej społeczności. Zginęło wtedy prawie pięćset osób. Dwieście przeżyło, ale tak się bali o siebie i swoich bliskich, że do tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku nie wydali

miejsca pochówku zamordowanych wozaków. Kobieta, która przekazała pamiętnik socjologowi, wyjechała stąd na drugi koniec Polski. Na jej drzwiach ktoś ponoć przybił martwego koguta. To nasze lokalne Jedwabne. Nikomu nie jest na rękę, by to rozgrzebywać. Ludzie wciąż się boją.

Dotarły do bram cmentarza. Sasza wyjęła torbę z komputerem.

– Iść z tobą? – zapytała z troską Romanowska.

– Nie za bardzo wiem dokąd.

Komendantka wskazała budkę grabarza.

– Tam pali się światło. Poczekam na włączonym. – Zapięła kurtkę pod szyją. – Ochłodziło się.

Sasza ruszyła szybkim truchtem. Dotarła do drzwi niedużego betonowego klocka. Otworzyły się ze skrzypieniem. W drzwiach stał szczupły mężczyzna w stroju kolarskim, o pociągłej twarzy i w kraciastym kaszkiecie na głowie z przypinką Fred Perry. Zdjął czapkę na widok kobiety. Wyciągnął dłoń. Zauważyła, że dwa najmniejsze palce ma zniekształcone i bezwładne po poparzeniu.

– Pracuję w Hajnówce trzy razy w tygodniu. Sprawdzę, co uda się odzyskać, i zadzwonię – obiecał. Widząc jej dziwienie, dodał z przekąsem: – Jestem tutaj tylko na gościnnych występach. Pilnuję grobu. Białorusy oddają cześć swoim pomordowanym. Tylko czekać, aż pojawią się narodowcy.

– Ile to będzie kosztowało? – wydusiła Sasza.

– Błażej mnie prosił, więc z nim się rozmówię. – Mężczyzna machnął ręką i uśmiechnął się figlarnie.

Zachowywał się swobodnie, z wystudiowaną niedbałością. Właściwie nie pozostawiał możliwości dyskusji. On nie rozmawiał, lecz monologował. Oświadczał, wygłaszał kwestie i nie oczekiwał niczego poza podporządkowaniem się. Sasza poczuła się pewniej. Haker widać znał się na rzeczy. Biła od niego paraliżująca pewność siebie.

– Nie gwarantuję, że odzyskam dane – zastrzegł. – Jakieś hasła, może zabezpieczenia?

Pokręciła głową.

– Będę dzwonił. To może chwilę potrwać.

– Nie mam wyjścia – westchnęła. – Bardzo mi zależy zwłaszcza na folderze „doct”. I zdjęciach dziecka. To będzie „Caro”. Może jeszcze „profil”. Mam tam służbowe dokumenty, niektóre w jedynym egzemplarzu elektronicznym. Resztę mam na backupach albo nie mają znaczenia.

– Boli? – Wskazał na jej rękę.

– Raczej swędzi – odparła, ale zaraz się spłoszyła. Jego sytuacja była znacznie gorsza, nieodwołalna. Ona kiedyś znów będzie sprawna. – Niezbyt wygodne jest życie jednorękiego. Poza tym ludzie w kółko się o to pytają.

– Wiem coś o tym. – Pomachał swoim kikutem.

Chciała zapytać, jak to sobie zrobił, ale już zaczął zamykać drzwi przybudówki.

– Ponoć gdzieś tutaj jest zbiorowa mogiła osób pomordowanych przez oddział Romualda Rajsa „Burego”.

Zmierzył ją czujnym spojrzeniem.

– Zaprowadzę panią.

– Niech pan nie robi sobie kłopotu.

– Chętnie się przejdę.

Ruszyli. Jeśli mieszkańcy małych miasteczek bali się potworów na ulicach, to z pewnością nie czuli przed nimi strachu na lokalnych cmentarzach. W oddali Sasza dostrzegła grupę ludzi. Obsiedli grób pomordowanych, jakby to była parapetówka. Mieli kilka wiązanek kwiatów. Na marmurowej płycie paliło się parę zniczy. Kiedy tylko Sasza z nieznajomym podeszli do grupy, ktoś podał jej wędrującą z rąk do rąk butelkę. To był dżin. Wyraźnie czuła zapach jałowca.

Kinga Kosiek postawiła przed klientem parującą pizzę diablo i zanim zanurzył w niej zęby, ruszyła do sąsiedniego stolika. Kątem oka dostrzegła poplamione farbą ręce mężczyzny. Mógłby je umyć przed jedzeniem, pomyślała. Wyjęła bloczek do zamówień, zamarła w oczekiwaniu. Studenci – oceniła ich na pierwszy rzut oka. On długo liczył żelastwo wysypane z obu kieszeni na kupkę, niemal całkowicie ignorując kelnerkę. Kinga widziała, że więcej było tam żółtych niż metalu ciężkiego, a papieru prawie wcale, to i trochę mu się zeszło, zanim zebrał ilość pozwalającą pozostać przy stole. Ona, pewnie by zachować twarz, z namaszczeniem czytała kartę. Kelnerka zastanawiała się, czy dziewczyna zna polski alfabet, bo nawet siedmiolatek w tym czasie zdołałby się nauczyć ich skromnego menu na pamięć. Sześć rodzajów pizzy, trzy pasty do wyboru plus trunki, głównie browar. Pizzeria Siciliana stawiała na jakość sprawdzonych dań, a nie na ich różnorodność. Sekretem zaś nie było wcale ciasto, lecz receptura sosu pomidorowego, którą właściciel przywiózł z saksów w Italii.

Wrócił trzy lata temu z workiem oregano i postanowieniem, że nigdy już nie stanie na zmywaku. Rodzinny biznes zaczął od wysiedlenia sąsiadów do bloków na pobliskie osiedle Mazury. Z pomocą kumpli z dawnej kapeli Śmiejące się Lwy wyremontował robotniczy czworak po rodzicach. W centralnej ścianie wybił dziurę i poprowadził tamtędy schody wprost ulicę, a na werandzie ustawił drewniane ławy z wielkimi jak donice popielniczkami. I choć trattoria bardziej była puszczańską chatą niż włoską kafejką (szotów espresso tu nie podawano, bo nikt ich nie zamawiał), zaczął przyjmować gości, którzy gromadnie przychodzili na pierwszą prawdziwą pizzę w Hajnówce. Bartek Ość wiedział dobrze, gdzie ustawić swój piec. To, iż w mieście nie było konkurencyjnej pizzerii, nie znaczyło, że może szaleć z repertuarem. Rentowność miał już po trzech miesiącach działalności. A kiedy rozkręcił interes, ściągnął z Włoch swojego kumpla, wprawdzie obywatela Hiszpanii, lecz po kądzieli Włocha, i teraz to on stał u Polaka na zmywaku oraz przy garach, ku uciesze polskich i białoruskich aktywistów. Czasem tylko szef pozwalał kucharzowi usiąść za syntezatorem i tęsknić publicznie za ojczyzną swojej matki w tonacji

paskudnego italo disco. Dziś kucharz nie miał melodyjnego nastroju, bo co kwadrans sprawdzał wyniki Primera División.

Wreszcie studenci zamówili specjalność zakładu – najtańszą sicilianę na grubym z dodatkową szynką na spółę i zestaw dyskotekowy dla każdego, czyli porter wzmocniony setką żołądkowej, którą poprosili od razu wlać do kufli. Jeśli wziąć pod uwagę wysokość kupki moniaków, nie zabawią tu długo, pocieszyła się Kinga. Kiedy tylko zamknęła bloczek i zapaliła im na stole świecę, znów przywarli do siebie i zaczęli się dotykać.

Wytarła ręce o miniaturowy fartuszek. Przekazała zamówienie do kuchni i sprawdziła czas. Do końca zmiany zostały jej tylko dwie godziny. Ale dziś wyjątkowo jej się dłużyło. Od kilku dni trattoria świeciła pustkami. Choć teraz, w porównaniu z wczoraj i przedwczoraj, był tu dziki tłum – aż trzy stoliki zajęte. Ten czwarty, przy drzwiach, zaanektował Robert Ość, brat właściciela zakładu i lokalny hipster społecznik, który popołudniami dorabiał u brata jako kurier. Zawiózł dziś tylko dwa zamówienia – do komendy i Ciszyni, ale wyglądał na wyjątkowo zadowolonego z braku ruchu w interesie. Mógł robić to, co lubił najbardziej, a więc pogrążać się w lekturze. Kryminałów Ość czytał prawie tyle, ile najsłynniejszy policyjny bloger – Leszek Koźmiński z Kryminalnej Piły, i Kinga zauważyła, że podczas dzisiejszej zmiany skończył już *Martwe popołudnie*, a zaczął *Gniew*. W kolejce czekał *Betonowy pałac*, który przyszedł dziś z Allegro, ale to cegła, więc zaniesie ją pewnie do domu nienapoczętą. Co jakiś czas odkładał książkę i wrzucał posty na stronę stowarzyszenia #wspierajkulturę.pl, którą założył rok temu i prowadził ku rozpaczy brata, bo zamiast spodziewanych korzyści Bartek musiał dopłacać do interesu i sponsorować zwariowane pomysły Ościa.

Robert nagrywał spotkania z pisarzami lub muzykami głębokiego offu (rzecz jasna niedochodowe, wrzucał je do sieci na YouTube for free), imprezy kulturalne w Sicilianie (przychodziła garstka psychofanów i brat musiał stawiać im piwo, bo kultura wymaga mecenasa) oraz zajadle promował czytelnictwo na wszelki możliwy sposób (ogromny plakat wykonany z rybich ości „Biblioteka. Lubię to!” zasłaniał cennik nad barem). Kiedy przyjeżdżały polskie pseudosławy kryminalnej prozy (nikt poza Ościem w Hajnówce ich nie znał), Robert gościł ich po królewsku i wydawał ciężko zarobione u brata miesięczne honorarium na brzęczące

reklamówki pełne napojów wyskokowych. Brat nie pamiętał, by jemu Ość postawił choćby raz małe piwo.

– Kończymy dziś wcześniej. – Robert podniósł głowę znad książki. Nie pytał, informował. Pogładził brodę Fidela, zmrużył czarne jak sadza oczy. Asymetryczna ulizana grzywka opadła mu na czoło. Brwi miał wydepilowane, bo taką miał w ostatnim czasie fantazję. – Żona dziś wraca z delegacji. Wziąłbym jej krewetę XXL. Powiesz Angelowi?

Kinga wzruszyła ramionami.

– Szef nic nie mówił.

– Dzwoniłaś, jak jest? – Wskazał pustą salę.

Wstał, zdjął służbowy polar. Powiesił go na haku przy drzwiach do kuchni. Pod spodem miał swój cywilny strój: nobliwy kardigan w serek (błękitny jak niebo nad Soliną, zwykł żartować) i obniżone w kroku spodnie w kwiaty (marzenie każdego jednorożca). Obuwie musiał chyba zamawiać w sieci, bo takich kajaków ani wyczesanego fasonu adidasów nie dało się kupić nigdzie w tym mieście. Wprawdzie jego ulubiony pisarz Michał Witkowski, odkąd został najsłynniejszym polskim faszionistą Miss G., wzgardziłby nimi, bo kosztowały poniżej pięciuset złotych, ale z pewnością zachwyciłby się nimi młody Arkadius, kiedy jeszcze mieszkał w Parczewie, i z pewnością żałowałby, że nie dorwał takich w latach osiemdziesiątych, by straszyć nimi moherowe babcie.

– Powiedz, że światła szkoda palić. Zgodzi się.

Uśmiechnęli się do siebie. Oboje wiedzieli, że starszy Ość to kutwa pierwszej wody. Zresztą zamknąć dziś wcześniej nie było takim głupim pomysłem. Mało prawdopodobne, że do dwudziestej drugiej ktoś jeszcze tu dotrze. Knajpa mieściła się na osiedlu Górne, w pobliżu Ciszyni. Od lasu dzielił ich rzut kamieniem. A odkąd zaginęła Iwona Bejnar i ujawniono zwłoki Danuty Pietrasik w mieszkaniu emerytowanej nauczycielki, której lokator był poszukiwany prawdziwym listem gończym, plotka o grasującym w mieście wampirze przegoniła wszystkich nietubylców. Mówiono najpierw, że zwyrodnialec atakuje młode dziewczyny i te w wieku balzakowskim oraz starsze mogą spać spokojnie. Potem wieść rozrosła się do ataków na mężczyzn, kobiety, a nawet noworodki. Niektóre młode matki nie wychodziły już na spacery i tylko „balkonowały” swoje

pociechy po uprzednim sprawdzeniu, czy zasuwa w drzwiach jest sprawna. Ojcowie nie pozwalali córkom opuszczać lokali mieszkalnych po zmroku, a już z całą pewnością zapuszczać się na opłotki miasta. Jeśli istniała taka konieczność, wszyscy chodzili z obstawą. Inne matki i babki – zwłaszcza te, które naoglądały się *Uwagi* – zwolniły swoje młode dziedziczki ze szkoły i trzymały w domu pod pretekstem choroby, choć nie było dowodów, ani że to seryjny, ani w ogóle, że grasuje.

Kinga się nie bała. Od roku trenowała karate, widywała czasem w dojo komendantkę i już dwukrotnie podpytywała Romanowską o nowiny ze śledztwa. Choć policjantka nie chciała zbyt wiele ujawnić, twierdziła, że śledczy mają wszystko pod kontrolą i nie ma powodu do paniki. Poza tym Kinga wiedziała przecież, że Iwona jest całkowicie bezpieczna i wkrótce z Quakiem wyjadą za granicę. Wyrzuty sumienia jej nie nękały. Wierzyła, że wszystko, co zrobiła, to tylko dobry uczynek, ponieważ w życiu nie liczy się nic poza miłością, a Iwona Piotra nie kochała i on o tym dobrze wiedział, już od początku znajomości. Ale kiedy odkryto ciało tej wariatki, jak natychmiast określono w miasteczku ofiarę „Czerwonego Pająka”, i już każdy znał smutną historię młodej matkobójczyni, Kinga w pierwszym odruchu miała ochotę wszystko Romanowskiej wyznać. Zwłaszcza kiedy lokalne media opublikowały zdjęcie poszukiwanego mężczyzny. Na pierwszy rzut oka nie wyglądał groźnie, a ona sama musiała przyznać z pewnym takim przerażeniem, że gdyby przyszedł do Siciliany, dałaby się namówić na randkę i nie wygoniła z łóżka.

Tego dnia jednak, kiedy Kinga zamierzała dokonać coming outu, policjantka nie przyszła na trening. Dziewczyna zadzwoniła na dyżurkę, ale funkcjonariusz okazał się tak nieprzyjemny, że zrezygnowała z postanowienia. Potem nie miała już kiedy wyrwać się do dojo. Gdyby dziś wyszła wcześniej, przewietrzyłaby kimono. Może też nie musiałaby niczego zgłaszać, bo każdego dnia Quaku obiecywał, że któregoś wieczoru, kiedy Kinga wróci z pracy, Iwony już nie będzie, a wraz z nią znikną wszelkie ślady potencjalnej winy ukrywania porwanej. Ustalili, że nie będą jej informować o niczym, by w razie wpadki nie była oskarżona o współudział. I tak wiele dla nich zaryzykowała.

Kinga wymknęła się teraz na zaplecze i sprawdziła, czy kucharz jest przy piecu. Zgodnie z jej przypuszczeniem był na zewnątrz i żłopał

kolejnego browara. Poziom jego napięcia można było zmierzyć liczbą puszek zgniecionych w harmonijki, które leżały obok przepełnionego od wczoraj śmietnika, ale na to Angelo nie zwracał uwagi, bo Barcelona właśnie remisowała z Atletico Madryt i była bliska pożegnania się z pierwszym miejscem w lidze.

Kinga pośpiesznie wstukała numer do Quaka. Nie odebrał, ale nie przejęła się. Ustalili, że jeśli po trzech sygnałach nie uzyska połączenia, odłoży słuchawkę i zaczeka przy stacjonarnym w gabinecie Ościa. Wzięła kluczyk z wieszaka, ruszyła do pomieszczenia. Przesiedziała tam dobry kwadrans, co rusz zerkając, czy nikt w sali jej nie potrzebuje, ale sytuacja się nie zmieniała. Facet od diablo zostawił pieniądze na talerzyku. Wiedziała, że, jak zwykle, z sutym napiwkiem. Ość czytał i surfował. Studenci zjedli pizzę do ostatniego osmalonego brzegu, obalili portery i prawie rżnęli się na stole. Gdyby teraz weszła, nawet by jej nie zauważyli.

Zaryzykowała i zadzwoniła jeszcze dwa razy. Tym razem z telefonu biurowego i poczekała dłużej, aż do dźwięku automatycznej sekretarki, choć Quaku ostrzegał ją, że wtedy w billingach jej numer wyświetli się jako osoba mu znana. I może się nią zainteresować policja. Postanowiła, że będzie strugać idiotkę: jakiś żartowniś zamówił pizzę, a potem jej nie odebrał. Ale nadal nic, cisza. Niepokój powoli ewoluował w strach. Zasadniczo nie kontaktowała się z Quakiem. To raczej on do niej dzwonił. Zawsze jednak kiedy Kinga chciała z nim rozmawiać, odbierał. Teraz pierwszy raz pomyślała, że kochankowie mogli zostać złapani.

Rzuciła słuchawką, jakby to był żarzący się węgiel, i wybiegła z gabinetu. Po czym, niewiele myśląc, powiesiła fartuszek na haku, skasowała należność od studentów. Grając oburzenie, zwymyślała ich za niemoralne zachowanie, choć w pełni ich rozumiała, bo miłość ma swoje prawa. Zerknęła na trzeciego gościa przy stoliku, a ponieważ dotąd nie wybrał nic z karty, oświadczyła, że zamykają. Wyszedł jak niepyszny, obrzucając ją ordynarnymi inwektywami.

Ość podniósł głowę. Nasłuchiwał chwilę, po czym bez słowa zaczął się pakować. Pokazał jej uniesiony kciuk.

– Zawiadom Angela. – Rzuciła mu klucze. – Zamknij.

Chwyciła torbę i dopiero na werandzie zorientowała się, że jest tylko w bluzce na ramiączkach. Cofnęła się za próg, ale nie weszła do środka. Znała wszystkie przesądy świata. Jeden z nich mówił, że jeśli zawrócisz, to, co zamierzałaś, nie uda się, a w wersji katastroficznej – spotka cię nieszczęście. Można oczywiście odegnać urok, siedząc dziesięć minut po powrocie na krześle w miejscu, z którego się wyszło, ale nie miała na to czasu. Zdecydowała, że katanę zabierze jutro. Nie weźmie też roweru. Nie był przytwierdzony do ogrodzenia, ale raczej nikt nie połasi się na tego strucla.

Ruszyła skrótem. Po nasypie wzdłuż starych torów kolejki Bielsk Podlaski–Hajnówka, od lat zarośniętych trawą i chaszczami. Potem dziurawym wiaduktem nad Śmierdziuszką, skąd widać było panoramę osiedla Mazury i chatę jej przodków. Kładka od lat była użytkowana wyłącznie przez „wykolejeńców”, jak nazywała ich jej świętej pamięci matka. Tutejsza młodzież szkolna zabawiała się wędrówkami po jej szczerbatych przęsłach, a na samym środku dzieciaki paliły ogniska, piły, ćpały i biesiadowały do rana. To był też doskonały punkt widokowy, ponieważ z każdej strony widać było nadchodzących ludzi i jeśli policja chciałaby zrobić nalot, zdążyliby wrzucić towar do rzeki lub go inaczej zutylizować.

Tym razem były tam tylko dwie osoby, a samo ognisko tak symboliczne, że dostrzegła je dopiero przed wejściem na przęsło. Płonął jeden solidny kawał drzewa. Wyglądało na oparcie antycznego krzesła, które właśnie zostało wrzucone i nie zdążyło się porządnie zająć. Zawahała się, bo od zawsze przerażały ją dziurawe schody. Tutaj zaś, po torach, wędrowała wiele razy, zwykle z braku czasu. Wiedziała, że wystarczy nie patrzeć w dół. Betonowe podkłady są szerokie nie na jedną, ale na trzy jej stopy. Rowerem do domu miała ponad pół godziny. Skrótem – kilka minut. Zaraz za wiaduktem zbiegała po nasypie i przez łąkę, szła do swojego domu, do tylnej bramki. Było ciemno, ale musiała zaryzykować.

– Łap ją, Tadek! Zdrowa loszka – krzyknął któryś, kiedy ich mijała.

Wstał gwałtownie. Kinga zachwiała się, omal nie spadła. Nie zabiłaby się na miejscu, ale z pewnością połamała. Jeśli wpadłaby do wody, prędzej skręciłaby sobie kark, niż utonęła w Śmierdziuszce, choć pływaczką również nie była najlepszą. Prawdę mówiąc, pływała tylko żabką. A nie

liczyła, żeby ci dwaj rzucili się jej na ratunek. Chłopak, który ją zaczepił, musiał być już dobrze podpity i wyraźnie nudził się z kolegą, bo na siłę szukał atrakcji. Jakiejkolwiek. Znała ten typ. Ubrany jak partyzant. Kurtkę miał jeszcze pobrudzoną fluorescencyjną substancją od paintballu lub ASG. Aktywista z którejś zawodówki. Pewnie szykuje się do wojny, jak większość tutejszych frustratów, należących do bojówek społecznych oddziałów obronnych. Trudno było dociec – Polak czy Białorusin. Mówił po polsku, ale to naprawdę nic nie znaczyło. Wolała się nie odzywać. Jeśli dowie się, że jest Białorusinką, może pogorszyć sprawę. Pochyliła tylko głowę, żeby jej nie poznali. Teraz żałowała, że nie wzięła kurtki. W bluzce na ramiączkach i cienkiej spódnicy do pół uda czuła się prawie naga.

– To Kinia z Siciliany – stanął w jej obronie starszy z biesiadników. Zdziwiła się, bo dla odmiany ona widziała go po raz pierwszy w życiu. Odwrócił się do kumpla. – Robisz się na Pająka, czy jak?

Tadek wydał z siebie chrapliwy szczek, który miał być zapewnie śmiechem, po czym sięgnął do plecaka po kolejne piwo. Razem z puszką wyturlała się i spadła w dół bańka niebieskiego spreju. Wychylił się w ciemność i przeklął. Rzeka poniosła puszkę z farbą. Piwo zatonęło od razu.

– Pały lukają, mało ci przygód? – zbeształ Tadka kolega. – Puść panią. Widać, że się śpieszy. Narzeczony pewnie czeka.

Agresor natychmiast się przesunął i wychylił nad przęsło, jakby korpus miał z gumy. Za jego przykładem poszedł ostatni dżentelmen. Widać to było ich ostatnie piwo. Przetrząsali plecak. Był pusty. Kinga odetchnęła z ulgą. Ruszyła przed siebie. Przyśpieszyła.

– Dzięki – mruknęła, mijając tego, który się za nią wstawił.

Kiedy zeszła z wiaduktu, nogi natychmiast ugrzęzły jej w podmokłym terenie. Kilka razy omal nie zgubiła japonki. Zdjęła buty i szła dalej boso. Było zimno, mokro i nieprzyjemnie. Jak zawsze tutaj wiosną.

Widziała już tylną bramę wejściową do swojego domu. Za nim rozciągał się rząd bloków. Osiedle było rozświetlone, widziała jadące samochody. Od razu poczuła się bezpieczniej.

Słyszała, jak mężczyźni na wiadukcie kłócą się, który z nich ma iść wyłowić puszkę z piwem z rzeki, ale już się nimi nie przejmowała.

– Idę się odlać, pacynko – usłyszała, kiedy coś zapluskało.

Stanęła. Pluskanie się wzmogło. Odwróciła się. W oddali dostrzegła ciemną sylwetkę. Mężczyzna wynurzył się znad rzeki. Biegł w jej stronę. Natychmiast przyśpieszyła. Do drzwi miała kilkaset metrów. Upadła, kiedy ją schwycił za rękę, pociągnął. Nie miała siły się przeciwstawić. Na nic lata treningów. Zapadła w stupor. Wiedziała, jaki powinna zastosować chwyt. Tyle razy ćwiczyła pady na macie, ale teraz dała się zaskoczyć jak byle gąska. Krzyknęła krótko, zanim zatkał jej usta i przycisnął kolanem do ziemi. Poczuła zapach terpentyny, a potem jeszcze raz wydała z siebie rozdzierający ryk, kiedy wbił w jej ramię zęby, zacisnął, rozrywając tkankę, i nie zważając na krew, próbował odgryźć kawałek ciała. Wiła się, walczyła, opierała. Zablokował ją kolanem i zatkał usta, nos, jak profesjonalnie obezwładnia się bojowe psy. Podduszał, aż zaczęło jej wirować w głowie. Traciła wzrok, wreszcie nie mogła oddychać. Pomyślała, że to niemożliwe, absurdalne. Przecież to człowiek. Nie pożre jej żywcem. Umilkła, próbując znieść ból. Ze strachu nie była w stanie wydać z siebie głosu. Tylko cicho kwiliła. Kiedy podniósł jej głowę za włosy, tak by nie mogła dostrzec jego twarzy, widziała, jak dwaj partyzanci uciekają z wiaduktu w kierunku, z którego ona przyszła – do Siciliany. Wokół, na łąkach, poza nią i oprawcą nie było już nikogo. Jej dom znajdował się w samym centrum miasta, skutecznie oddzielony od osiedla łąką, rzeką i ogromnym sadem z każdej ze stron. Najlepsza kryjówka w okolicy – zapewniała o tym Iwonę i miała rację. Miała pewność, że nikt jej nie usłyszy ani nie pomoże. Wtedy wyprowadziła pierwszy cios kata tsuki no.

Sasza obudziła się z suchością w gardle i trampkiem w ustach. Pod powiekami miała piasek. Głowa jej pękała. Nie była w stanie przyjąć pozycji innej niż horyzontalna. Południowe słońce, które wdzierało się do mieszkania, powodowało ból. Naciągnęła kołdrę na głowę, ukryła się w ciemności i gorączkowo myślała. Czuła wyraźnie fetor nieprzetrawionego alkoholu, który uwalniał się przez skórę wraz z jej potem. Z całą pewnością nie wzięła kąpieli przed snem. Poza majtkami nie miała na sobie ubrania. Upiła się. Film jej się urwał. Była zrozpaczona. Nie pamiętała, jak wróciła z Bielska, co się stało na cmentarzu i jak znalazła się w mieszkaniu na Piłsudskiego. Wszystkie te objawy doskonale znała. Sądziła, że nie dożyje już takiego poranka. Co gorsza, mimo upokorzenia, wstydu i złości na to, co zrobiła, miała ochotę na klina. Wiedziała, że małe piwo albo jeszcze lepiej łyk dżinu z kroplą cytryny natychmiast postawiłyby ją na nogi. Wiedziała, że jeśli teraz wstanie, ubierze się i wyjdzie z mieszkania, pierwsze kroki skieruje do monopolowego. Najbliższy jest naprzeciwko komendy. Zacisnęła powieki, próbowała zasnąć, przespać pokusę, ale im bardziej się starała, tym bardziej chciała się napić.

Wreszcie wychyliła głowę spod kołdry, rozejrzała się, czy jest sama, jakby się bała, że ktoś ją zobaczy. Nikogo poza nią nie było w tej norze. Dokumenty też zniknęły. Wszędzie za to walały się jej fiszki. Zrozumiała, że policjanci – może Romanowska – musieli to zabrać, kiedy ona upijała się z obcymi ludźmi na cmentarzu. Znów była na dnie własnego piekła. Poczuła słony smak w ustach. Podeszła do lustra. Wargę miała rozciętą, na nogach zaś, dekolcie i brzuchu niezliczone drobne mikrourazy. Jakby była cała pogryziona przez pluskwy. Przypomniała sobie, że coś takiego widziała już na rękach zmarłej Danki. Dziewczyna miała rację. To nie bolało. Swędziało jednak niemiłosiernie. Zaraz rozdrapała rankę pod obojczykiem. Wzdłuż jej blizny spływała teraz strużka krwi. Wyglądało to upiornie. Nie była w stanie sobie przypomnieć, jak do tego doszło.

Wymacała torbę leżącą obok łóżka, wydobyła komórkę. Światełko wskazujące przychodzące wiadomości mrugało niepokojąco. Siedemnaście

nieodebranych. Sześć wiadomości. Córka, Duch, Romanowska, pozostałych numerów nie znała. Kliknęła i odczytała najpierw esemesy. Karolina z babcią wracają pojutrze o północy. Laura prosiła, by Sasza wyjechała po nie na lotnisko. Sasza z trudem przełknęła ślinę. Oparła się na poduszce, ale zaraz miała mdłości. Położyła się na boku, całkowicie na płasko, by żółć nie podchodziła do gardła. Sprawdzone metody pijaka. Mogła je opatentować. Laura obiecała wnuczce, że jak wrócą do Polski, pojadą do schroniska i wezmą psa. „Przyda się na działce. Będzie ganiał krety. Jakiś nieduży. I nie włochaty” – pisała. Prosiła, by Sasza jak najszybciej zadzwoniła, bo mała tęskni. Sasza prawie się rozpłakała. Najchętniej od razu wykręciłaby numer, ale wstydziła się w takim stanie rozmawiać z dzieckiem. Duch zawrócił do Gdańska. Auto ma w warsztacie, a córka zdaje dziś test z angielskiego. Musi tego dopilnować, bo młoda będzie miała poprawkę. Pisał jej też o zabawnym dziadku, którego wsadził w pociąg. Sasza nie do końca zrozumiała, o co chodzi. „Z Warszawy jest wiele połączeń do Hajnówki, na przykład Redbus jeździ bezpośrednio dwa razy dziennie za jedyne 67 złotych”. Dodał też, że jest w kontakcie z tutejszymi ludźmi. „Romanowska zaopiekuje się tobą jak własną córką. Obiecała mi”. Musiało go jednak gryźć sumienie, bo zaproponował, że sprawdzi redbusy.

Poczuła się dziwnie, jakby ktoś dał jej w twarz. Opuszczona, samotna, wściekła. Gdyby mogła, napisałaby sobie teraz pisakiem na T-shircie: „Kobieta, która nienawidzi mężczyzn”. A więc znów mrzonka. Co ona sobie wyobrażała? Nie może na niego liczyć. Nie może na nikogo liczyć. Znów takie męskie gadanie, dla efektu. *Fuck off*, mruknęła i skasowała wiadomości od Ducha, a chwilę potem wykasowała też jego numer ze skrzynki. Wal się! Od razu poczuła się lepiej. Nieuzasadniona wściekłość, atak, szybkie efektywne działanie. Już, teraz, choćby się waliło. Potem chwilowa ulga i już jest efekt: wyrzuty sumienia, wstyd, ucieczka. W tej kolejności. Chwyciła się za głowę. Dobrze znała te zachowania. Przystąpiła do naprawiania szkód. Natychmiast zaczęła szukać starych wiadomości, by odzyskać numer Ducha. Za późno. Jej komórka nie przechowywała danych w koszu. Usunęła gościa bezpowrotnie. Wspaniale!

Zerwała się, ruszyła pod prysznic śladem porozrzucanych ubrań. Koszula była rozdarta. Podniosła ją i obejrzała. Musiała walczyć z gipsem.

Widocznie po alkoholu nie była w stanie zdjąć bluzki. W korytarzu minęła lustro i starała się tam nie zaglądać, by nie myśleć o niedużych rankach, których przyczyny nie znała, ale w łazience jedna ściana składała się ze zwierciadła, więc nie mogła tego uniknąć. Nie miała aż tak przekrwionych oczu jak zwykle, nie była nawet mocniej napuchnięta. Z ulgą stwierdziła, że trzyma się prosto. Chuchnęła, zasłaniając dłonią usta. Nie czuła już smrodu alkoholu. Co jest? Była trzeźwa jak niemowlę.

Z tego użalania się nad sobą wyrwał ją dźwięk przychodzącej wiadomości. Romanowska pisała lakonicznie: „Gdzie jesteś? Odprawa za godzinę. Dobrze się wczoraj spisałaś”.

To ją ostatecznie zmobilizowało. Odkręciła kurki, wanna zaczęła napełniać się wodą. Umyła zęby, uczesała się. Odkąd nie mogła używać dwóch rąk, chodziła wciąż z rozpuszczoną burzą loków. Teraz założyła bawełnianą opaskę, wyglądała w niej jak perfekcyjna pani domu, którą nigdy nie była i raczej już nie będzie. Kiedy wchodziła do wanny, starając się nie myśleć o swojej amnezji, zrozumiała, że doświadczyła właśnie mentalnego kaca. Roześmiała się. Nie było tak źle. Musi tylko spróbować przypomnieć sobie, co takiego zrobiła. Spisała się. W czym? Nic nie przychodziło jej do głowy.

W nagrodę zadecydowała, że porozmawia z córką. Karolina aż zapiszczała, słysząc w komórce jej głos oraz obietnicę, że pojadą do schroniska i wezmą na działkę babci psa. Dopóki nie będzie mieszkał z nimi, Sasza mogła się na to zgodzić. Zanim wyszła, poskładała rzeczy i uporządkowała mieszkanie, które zamierzała opuścić jeszcze tego samego dnia, znalazła w stercie śmieci wydruk z badania krwi. Grupa 0Rh–, wynik obecności wirusa HIV – negatywny. W miejscu nazwiska pacjenta widniała wczorajsza data. Nie miała pojęcia, skąd się to tutaj wzięło. Schowała papier do kieszeni, dokończyła pakowanie.

Musiała usiąść na walizce, by się zamknęła. Jakby te wszystkie rzeczy w podróży rozmnażały się wraz z nabytymi doświadczeniami i chciały z nią jechać do domu. Chwilę później była już gotowa. Pochyliła się, zerknęła pod amerykankę, której od zakwaterowania ani razu nie składała. Obrazu nie było. Podeszła do drzwi wyjściowych. Klucz był na zewnątrz, w drzwiach. Wyjęła go, wyszła na balkon, zapaliła. Wróciła i jeszcze raz przejrzała papiery, które zostały. Tylko jej odręczne notatki. Nie do

odszyfrowania dla osób trzecich. Kartony wciąż stały pod kuchennym blatem. Wszystkie puste. Wtedy, choć na dworze szykował się upał, poczuła lodowaty dreszcz. Usłyszała dźwięk przychodzącej wiadomości.

„Dziś o dwudziestej może pani odebrać komputer. Odzyskałem tylko te dane, o które pani prosiła. Reszta to robota na miesiąc, dwa. Jestem w pracy. Klinika Ciszynia, wejście dla pracowników, boczne. Proszę nie wchodzić głównym. Kuba”.

Szybko weszła do historii rozmów i przejrzała pozostałe wiadomości.

Romanowska dwie godziny temu napisała: „Zapakuj akta. Puszczę do ciebie Błażeja, pomoże ci je przywieźć”.

Rzuciła się, przejrzała każdy kąt w mieszkaniu. Przewertowała każdą książkę, która była na wierzchu. Zero. Akta zniknęły. Ten, kto wszedł tutaj pod jej nieobecność, zabrał dosłownie wszystko. Usiadła i rozpłakała się. Mogła zrobić tylko jedno. To, co umiała najlepiej – uciec. Spieprzyć jak najdalej od tego miejsca, wrócić do domu. Zawaliła na całej linii. Już na niczym jej nie zależało. Wzięła swoją walizkę, zamknęła drzwi na klucz i zapytała pierwszego napotkanego przechodnia o numer do korporacji taksówkarskiej. Człowiek spojrzał na nią, jakby była wciąż pijana.

– Postój jest pod cerkwią.

Nie miała czasu na tak długie spacery. Ruszyła szybkim krokiem w przeciwnym kierunku niż powinna, by być jak najdalej od mieszkania ciotki Romanowskiej. Po jakimś czasie zadzwoniła do informatyka. Migał się, ale w końcu zgodził, by przyjechała w tej chwili. Wpuścił ją bocznym wejściem. Wyglądał zupełnie inaczej. Nie rozpoznałaby go w uniformie ekipy sprzątającej, za sterami wielkiej maszyny. Walizkę pozwolił jej zostawić w magazynie ze środkami czystości, rzędem mopów, ubrań roboczych wiszących na wieszakach i kilku innych urządzeń z logo firmy sprzątającej. Pod oknem stały też łopaty, piły, metalowe, ostro zakończone pręty. Sprzęt typowy dla składzików w tego typu instytucjach. Nietypowe były tylko te dwie lodówki podłączone do prądu. Identyczne jak ta przenośna z samochodu Bondaruka.

– Moja siostra nie może pani zobaczyć – powiedział konfidencjonalnym szeptem.

Podniosła głowę, poprawiła kosmyk włosów, który opadł jej na twarz. I nagle sobie przypomniała. To był on. Widziała go pierwszego dnia, kiedy tutaj przyszła spotkać się z dyrektorem. Wtedy kiedy Prus nie chciała dać jej adresu Łukasza. Zauważył błysk w jej oku, więc udała, że nie rozumie, o co mu chodzi. Był jednak zbyt bystry, by dać się nabrać.

– Zapraszam do mojego królestwa.

Otworzył szerzej drzwi. Wskazał jej komputer stojący na biurku. Obok stał jego sprzęt wraz z kamerą monitoringu całego terenu Ciszyni. Kolejne pomieszczenia przeskakiwały rytmicznie. Ludzie spacerowali, samochód wjechał do garażu. Sasza dostrzegła Magdalenę Prus idącą korytarzem i nachylającą się do pacjenta na wózku. Jak zwykle miała wysokie obcasy i dopasowaną spódnicę.

– Miałaby coś przeciwko temu, że znów tu jestem?

– Sama pani wie najlepiej – uśmiechnął się i przerzucił kilka ujęć. Kiedy dotarł do pokoju, w którym siedział bez ruchu młody mężczyzna, wskazał: – To był pokój „Czerwonego Pająka”. Jeśli on w ogóle kiedykolwiek istniał.

– Nie istniał – odparła Sasza. – To *urban legend*. Nie było takiej sprawy. Wymyślono ją, żeby odwrócić uwagę od spraw, które nie zostały rozwiązane. Ani wtedy, ani nigdy. Napad na bank Pod Orłami, sprawa Bohdana Piaseckiego czy „Psychopata Ciemności”. Oraz rozgrywek politycznych. Za komuny nie było morderstw, a jeśli nawet, to władza wykrywała je w stu procentach.

– Ale sprawa Staniaka znalazła się w bibliotece FBI. To jedyny polski seryjny, który został uwieczniony na tej niechlubnej liście. Nawet „wampir z Zagłębia” na to nie zasłużył.

– Widzę, że pan się przygotował – zauważyła. – Marchwickiego nie uwzględniono, bo to nie był nasz najciekawszy przypadek. Przybito mu wiele zbrodni, których nie popełnił. Co innego Staniak. Było to tak dobrze spreparowane, że media w to uwierzyły. Potem mówiono, że akta zostały zniszczone.

– Te materiały były tajne? – Otworzył komputer Saszy, zalogował się.

– Już nie, skoro pan je zna.

Rozluźnił się.

– Jest pani bardzo nieostrożna, jak na byłą agentkę CBŚ.

Sasza zacisnęła wargi.

– Dużo pan o mnie wie.

Nie odpowiedział. Zamrugało jego CB-radio. Usłyszeli trzaski i wezwanie:

– Jeden-trzynaście-osiem-jeden.

Wstał, wziął kartę, wyprowadził swoją maszynę czyszczącą. Sasza zauważyła, że w wąskich oknach są kraty, a całe pomieszczenie jest metalowe, jak łódź podwodna lub puszka dla sardynek. Drzwi w głębi były uchylone, wewnątrz kubik w całości był wyłożony białą terakotą, aż po wysokie lamperie pod sufitem, jak na sali operacyjnej. Mężczyzna wyszedł, położył palec na ustach. Skinęła mu głową.

– Niech pani niczego nie rusza. Zaraz wracam – dodał i zatrzasnął drzwi, a następnie wpisał kod.

Kliknęło, zapadła cisza.

Sasza wstała i natychmiast ruszyła do pomieszczenia, do którego sprzątacz zabronił jej wchodzić. Na metalowym stole sekcyjnym leżał wenflon i pojemnik osocza grupy 0Rh–. Sasza dotknęła go. Krew wydała jej się ciepła. Cofnęła się do monitora. Widziała, jak mężczyzna prowadzi swoją maszynę, zatrzymuje się na korytarzu na widok lekarki i kieruje rękę w stronę kamery, jakby ją wskazywał. Sasza aż odskoczyła. Siedziała jeszcze chwilę, czekała, ale nikt po nią nie przychodził. Wtedy postanowiła się rozejrzeć. Komputer mężczyzny był zablokowany hasłem. Wpisała bez zastanowienia szereg cyfr, które podano przez krótkofalówkę. Nie pasowało. Wtedy na tablicy z szeregiem podpisów kontroli czystości sal dostrzegła zdjęcie uczennicy z czasów PRL-u. Granatowy mundurek z tarczą, dwa warkocze. Bez trudu rozpoznała Magdalenę Prus. Z satysfakcją musiała przyznać, że w wieku siedemnastu lat nic nie zapowiadało niepospolitej urody lekarki. Odpięła magnes, schowała zdjęcie do kieszeni. Ruszyła na dalszy zwiad.

Przerzuciła pobieżnie ubrania robocze. W rękawie jednego z fartuchów tkwił białoruski strój pana młodego. Z kieszeni zakrwawionych spodni

wystawała czarna znoszona kominiarka.

ŁARYSA
(1995)

– Już tam nie wrócę – oświadczyła Łarysa Szafran i wygrzebała ze schowka nagranie finałowego koncertu ubiegłorocznej Basowiszczy. Z głośnika poleciał *Ja rock-muzykant* Mroi, potem *Plac Franciszka* i *Kali imperia zniknie* Ulisa. Kiedy białoruskie przeboje się skończyły, a eter wypełniła Pidżama Porno, a potem Acid Drinkers i Proletaryat, dwudziestosześciolatka cierpliwie przewinęła do początku, by mogli ponownie słuchać białoruskiego rocka. Na *Polityce* R.F. Brahi taśma wkręciła się w odtwarzacz. Łarysa przeklęła szpetnie. Wyjęła ją i zaczęła zwijać na palcu. Kopii tego nagrania nigdzie już nie można było zdobyć.

– Teraz będzie trzeszczeć jak ojciec Fionika na rozprawie o alimenty – mruknęła chrapliwym altem, a potem zaśmiała się jak wiedźma i widząc oburzoną minę Piotra, dodała po białorusku: – Chyba że z pepeszą i zestawem dodatkowych naboi, żeby rozwalić towarzysza Łukaszenkę w pizdu. Imię wszak zobowiązuje[6]! Pulemiot Szpagina byłby dla mnie najlepszym prezentem urodzinowym, skarbie.

Była od Bondaruka młodsza o dwadzieścia lat i odkąd się poznali, a wczoraj minęło dokładnie siedem miesięcy, nie mógł się przyzwyczaić, że najwulgarniejsze słowa wychodzą z jej misternie wykrojonych ust tak łatwo.

– Jak oni mogli go wybrać na prezydenta – zadziwiła się po raz kolejny i zrobiła dzióbek, by chwilowo złagodzić swój wizerunek. – *Hospodi, pomiłuj!*

– Nie pojechałaś głosować – zauważył ze stoickim spokojem. – Też się do jego *pobiedy* przyczyniłaś.

– Na Białorusi nie ma wolnych wyborów – oburzyła się, jak przystało na studentkę anglistyki Mińskiego Państwowego Uniwersytetu Lingwistycznego, choć nie miała nawet absolutorium, bo w połowie trzeciego roku usunęli ją z listy za działalność opozycyjną. – Tam nie istnieje słowo *freedom*. A *independent* nie ma nawet w słownikach do angielskiego. Zamiast niego jest zastępnik: *indoctrination* lub jeszcze lepiej *schooling*. Oczywiście w kwadratowym nawiasie, jako odsyłacz. Chcesz,

pokażę ci. Wzięłam ze sobą jeden egzemplarz. Published Mińsk 1994. Świeżonka. Chcę zawieźć go do Europy Zachodniej, jeśli kiedykolwiek tam dotrę. Nic lepiej nie ukazuje tego, co się w tak zwanej ojczyźnie dzieje. Tam zwycięża, i będzie zwyciężać, biały niedźwiedź, czyli Moskwa. Dziadźka Łukaszenka to figurant. A zwykli ludzie się po prostu boją. Czołgów, żołnierzy, tajniaków i nędzy. Choć to wszystko i tak ich spotka. Wcześniej czy później. To, że nie głosują na opozycję, to nic. Nawet nie mówią w swoim języku. Naszym języku – poprawiła się. – Zresztą czuję, że to tutaj będzie teraz mój dom. Tu mogę wywalczyć więcej. Tu żył baćka mego baćki. I ja bym żyła, gdyby nie wojna. Dlatego tu będą żyły i tu umrą moje dzieci. Chcesz, spłodzimy dziś jedno.

Spojrzała na niego tęsknie. Kiedy nie klęła, nie piła alkoholu i nie paliła tych śmierdzących parliamentów, zdawała się aniołem. Piotr znał ją już jednak jak zły szeląg. Skrzywił się.

– Taka z ciebie Polka, jak ze mnie Białorusin.

Pochyliła się i cmoknęła go z policzek, a potem położyła mu smukłą rękę na udzie.

– Może jesteśmy kundle, ale nie obcy. Jesteśmy tutejsi i to musi wystarczyć. – Wskazała brzozowy krzyż przy drodze. – Tam, na polanie Pod Płaczącą Wierzbą, leży Janka, baćka mojego baćki. Nigdy go nie odwiedzałam. Nawet gdyśmy tu mieszkali. A nawet jeśli tak, nic nie pamiętam. Kiedy wyjeżdżaliśmy, miałam mniej lat niż dzisiaj Fionik.

– Wyjechali z patriotyzmu.

– Sryzmu – odpysknęła. – Mama zakazywali, bo udawała Polkę. Tata chciał do kraju, a tak naprawdę dostał pracę na uczelni. Tutaj nie miał szans na karierę naukową. Na co tu komu znawca białoruskiej literatury. Dziś się to zmieni. Znajdę ziemię, w której leżą prochy moich przodków, i w niej zostanę.

– Oby nieprędko. – Odwrócił twarz w jej stronę.

Chciał dodać, że jest dziecinna. I że chciałby mieć w sobie znów ten żar, czystość i wiarę, które ona jeszcze miała. Zachwycało go to. Dlatego starał się ją chronić, nawet przed nią samą. Ale też zazdrościł. Dlatego, choć wydawało mu się to po prostu głupie, uznał, że nie będzie jej tego zabierać. Niech jak najdłużej zostanie dzieckiem. Naiwnym, może wręcz

infantylnym, ale czystym, pełnym idei. Uśmiechnął się z czułością. Uznała to za zachętę. Przesunęła rękę wyżej, zatrzymała i zacisnęła, aż poczuł jej paznokcie w okolicy jąder.

– Jeśli nie chcesz iść do łóżka bez ślubu, mogę za ciebie wyjść – zaproponowała.

Piotr się spiął. Przełożył jej rękę na siedzenie i przerzucił bieg.

– Ale z ciebie świętoszek.

– Bądź damą – zbeształ ją, choć wiedział, że się nie przejmie. Zapatrzyła się tylko w dal.

– Polacy ubili dziadka, bo był Białorusem. Prawosławnym. To wtedy wystarczało. Ot, wojna.

Ponownie pogrzebała w schowku i znalazła przegrywankę R.F. Brahi. Pisnęła z uciechy jak niesforny dzieciak, który znalazł w puszce na kaszę zapomnianą paczkę kukułek. Bez wahania włożyła kasetę do magnetofonu. W milczeniu czekali, aż zabrzmi podkręcony elektroniką bas Marka „Mundka" Sidoruka. Łarysa podrygiwała rytmicznie. Teraz asymetryczna grzywa jasnych, nietkniętych farbą włosów zasłaniała prawą część jej twarzy.

– *Wajna!* – atakował Jurek Osiennik zwany Sieńką, wokalista Brahi.

Łarysa w tym czasie włożyła czerwony beret, zawiązała apaszkę pod szyją. W zielonym trenczu swojej matki i nigdy niepastowanych czółenkach na niewielkim słupku wyglądała, jakby urwała się z filmu o francuskim ruchu oporu. Cnotliwy wizerunek nie zdradzałby jej bojowego charakteru, gdyby nie wydęte pogardliwie wargi i wściekłość w oku, kiedy mówiła o swojej ojczyźnie. Teraz kiwała głową w rytm muzyki. Co jakiś czas wykrzykiwała razem z Sieńką: *Wajna!*

Piotr przyglądał się jej kolczykom z herbem Pogoni, które zrobiła sobie z kapsli od piwa, a potem pociągnęła złotolem. Wiedział, że mieszkańcy miasteczka mają ją za ekscentryczkę, ale to właśnie mu się w niej podobało. Podobnie jak to, że nie przejmowała się drobiazgami. Tym, że nie ma pracy, pieniędzy, dobytku. Nie wiła gniazda jak każda porządna kobieta. Nie gromadziła ubrań, butów, torebek. Co najwyżej książki, ale po przeczytaniu

oddawała je dalej, by zarażać innych swoją potrzebą walki i nieustannym dążeniem do prawdy.

Do macierzyństwa też nie przywiązywała większej wagi. Miała szczęście, Fionik był dobrym dzieckiem. Właściwie sam się chował. Był najgrzeczniejszym chłopcem w przedszkolu. Może tak już jest, że to idzie „na krzyż”. Im bardziej zwariowany rodzic, tym porządniejsze dziecko. Odkąd zaczęła pracę w fundacji Dialog wspierającej uchodźców z krajów byłego bloku wschodniego i załatwiła sobie oraz synowi legalne papiery, nie poświęcała małemu zbyt wiele czasu. A dzieciak, jak to dzieciak, nie miał do niej pretensji. Kochał ją taką, jaka była. Dobrze się asymilował w nowej ojczyźnie, choć przecież nie miał pojęcia, co to w ogóle znaczy. Był lubiany. I mówił już po polsku znacznie lepiej niż matka, która zainfekowana duchem rewolucji zdawała się żyć wyłącznie ideą. Za wszelką cenę starała się obudzić białoruski naród z niedźwiedziego snu czy też, jak mawiała, z zimowej śpiączki, która jej zdaniem musi się zakończyć. I była w tym buncie bardziej wiarygodna niż jakikolwiek opozycyjny polityk w Mińsku.

Dawno już jej wieszczono, że będzie jak jej imienniczka – Łarysa Heniusz – politykiem emigracyjnym. Bo poetką – nigdy, dla dobra wszystkich nacji. Próbowała pisać, ale tak nieudolnie, że sam Sokrat Janowicz poprosił, by zajęła się tym, co robi najlepiej – pomaganiem emigrantom, wsparciem, organizowaniem pomocy humanitarnej. Pochlebił jej ten komplement, który przecież był zakamuflowaną naganą. Ale Piotr wiedział, że jest łasa na komplementy, i czasem sobie myślał, że to nie pragnienie niepodległości ją napędza, lecz zwykła próżność. Chęć bycia postrzeganą. Przez kogokolwiek. Nie miała takiej szansy w szarej społeczności na Białorusi, gdzie takim kolorowym ptakom jak ona po prostu ucinano skrzydła. Tylko dlatego, że chciały latać.

– Skręć tu – rozkazała.

Piotr nie od razu wykonał polecenie, choć nie był zaskoczony. Jeszcze rano twierdziła, że śpieszy się na pociąg. Jeśli dziś w nocy miała dojechać do Mińska, musieliby zdążyć na dworzec w Białymstoku przed siedemnastą. A tymczasem Łarysa zamiast się pakować, guzdrała się; przeglądała papiery, przekładała szmaty, przebierała się, darła zdjęcia, szukała wycinków z gazet. Wyglądało na to, że nie zamierza dotrzeć na

peron na czas. Wreszcie wyniosła walizkę, ale była tak lekka, jakby wiozła do kraju świeże powietrze i garść ziemi zamiast dobytku. Flaszka i cukierki dla jej rodziców, które Piotr przez nią przekazał przyszłym teściom, grzechotały w środku, jakby poza nimi nie znajdowało się wewnątrz nic więcej.

Zostawiła Piotrowi pełnomocnictwa fundacji i kopię dokumentów swoich oraz syna, co robiła zawsze, choćby przed krótkim wyjazdem. Na wypadek gdyby miała nagle, nieoczekiwanie zniknąć, zostać uprowadzona przez tajniaków. Ta obsesja w miarę upływu czasu była coraz silniejsza. Piotr początkowo martwił się jej wiarą w spisek, ale zwyczajnie przywykł. Prawie każdy obywatel byłego kraju sowieckiego cierpiał na ten syndrom. Potem, przy porannej kawie, tuliła Fionika, jakby miała umrzeć, nigdy już nie wrócić. Piotr nawet nie podejrzewał, że jest zdolna do takiej czułostkowości. Słusznie wietrzył podstęp. Ale zabrał pustą walizkę, zapakował ją do auta. Patrzyła z politowaniem na starego poloneza, w którym już na rogatkach miasta zagotowała się chłodnica. Piotr musiał zakasać rękawy, otworzyć maskę i usunąć usterkę. Kiedy czekali, aż chłodnica przestygnie, mruknęła w swoim stylu, że facet z jego pozycją, „sam-pan-prezes-ojciec-dyrektor”, jak go przezywała, gdyby był „ruski”, dawno już sprawiłby sobie mercedesa. Nie skomentował, choć uśmiechnął się pod wąsem. Od miesiąca czekał na najnowszego okularnika klasy E, następcę kultowego benza. Kiedy diler pokazał mu ten model na zdjęciach, od razu zapragnął go mieć. Już się cieszył na widok jej miny, kiedy zobaczy te podwójne światła i obłe linie karoserii.

– Skręcasz czy nie? – rzuciła niby od niechcenia, ale tak stanowczo, że przyhamował. – Bo jak nie, to wysiadam w biegu.

– Co ty wyprawiasz? – Natychmiast zatrzymał wóz.

Oboje polecieli do przodu. Opony buksowały w piachu.

– *U zrujnawanaj chacie ja czakaju na ciabie* – zamruczała przymilnie, a zaraz potem krzyknęła razem z charyzmatycznym wokalistą RF Brahi: – *Wajna! Bo choć ziamla prytuliłab nas, to i lahczej byłoby pamirać. Bo jak żyć u takim pałonie. I naohuł nie żyć, a isnawać. Bez pieramohi. Wajna!*

Piotr wcisnął przycisk. Kaseta wypadła z odtwarzacza.

– Jak to, nie wracasz na Białoruś?

– Jakoś od roku nikt za nami nie tęsknił. – Wyjęła parliamenty.

Zarzucił ją pytaniami.

– A co z Fionikiem? Gdzie będzie się uczył? Mąż cię nie będzie szukał? A państwo? Myślisz, że nie upomni się o swojego obywatela?

– Wątpię. – Wykrzesała ogień, zaciągnęła się. Zapałki wrzuciła do skrytki. – Już o to zadbałam.

Wysiadła i trzasnęła drzwiami. Patrzył za nią, jak odchodzi. Starą torebkę trzymała w ręku, a potem machała nią w rytm kroków, jakby to miało jej dodać animuszu. Siedział jeszcze chwilę, choć wiedział, że się nie zatrzyma. Zaparkował pod lasem. Sprawdził, czy zamknął wszystkie szyby, i poszedł jej śladem. Czekała wsłuchana w śpiew ptaków. Wiedziała, że przyjdzie. Zawsze przychodził.

– Czego szukamy w tym lesie?

– Rzeźnika – zaśmiała się kpiąco. Piotr widać schlebił jej swoim szczerym zdziwieniem, bo ciągnęła: – Wiesz, że tu w okolicy mieszkał pomocnik Johna Demianiuka lub raczej Iwana Groźnego, oprawcy z Treblinki i Sobiboru? Moja znajoma z fundacji, Ula Raczkowska, opowiadała, że zna kobietę, która się z nim związała, a nawet miała z nim dziecko. Córkę dokładnie.

– Z Iwanem Groźnym?

– Z Marczukiem, pyszczku. Mówię chyba wyraźnie – sprostowała poirytowana. – Tamta nie wiedziała, kto zacz, aż przyszedł do niej pewien lokalny badacz. Krzysztof Weremiuk się nazywa. Zgłębia facet różne wojenne sprawy z tego terenu. Taki domorosły socjolog, a z zawodu germanista. Nauczyciel w szkole, znaczy się. Od niemieckiego. I powiedział kobiecinie, że Jan Marczuk to najprawdopodobniej Iwan Marczenko. Oskarżony o ludobójstwo, najpierw w Izraelu, a potem w Niemczech.

Piotr zamarł. Nie odezwał się. Łarysa wyjęła kolejnego papierosa i zaczęła grzebać w torebce. I to przewidział. Wyjął jej zapałki ze schowka. Odpowiedziała mu wdzięcznym uśmiechem. Czekała, aż poda jej ogień. Zapałka trzasnęła o draskę. Zdmuchnęła ją przypadkiem. Piotr natychmiast wyjął kolejną. Łarysa poprawiła beret i ruszyła z mozołem wzdłuż ścieżki,

zanurzając obcasy w piaszczystej glebie. Najwyraźniej jej zależało. Nie była typem kobiety, która lubi survival. Wolała dyskusje przy stole, najlepiej przy wódce i do rana. Łażenie po lasach musiało się jej opłacić w postaci wiedzy. Tego zawsze była głodna. W gruncie rzeczy Piotr był ciekaw, czego szukają, a przede wszystkim czego ona jeszcze nie wie. Bo wyglądało na to, że jakieś śledztwo w tej sprawie zrobiła.

– Ludzie opowiadali, że jak Marczuk wrócił po wojnie, był taki gruby, że ledwo przeszedł przez drzwi – ciągnęła. – Do tego stopnia utył, że kazał sobie zawiązywać sznurowadła w butach. Sam powiedz, kto wracał po wojnie dobrze odżywiony i tak się zachowywał?

– Niby jak?

– Ty nic nie wiesz! Chwalił wszystko, co niemieckie. Ze znajomymi witał się okrzykiem: *Heil Hitler!* Nieraz z tego powodu milicjanci mu obili tyłek, ale to nic nie dawało. Żydów oczywiście nienawidził. Podobno jeden człowiek, który z nim wódkę czasem popijał, mówił, że Marczuk marzy, aby znów, chociaż raz, zanurzyć ręce w ludzkiej krwi. Wtedy ludzie zaczęli szeptać, że Marczuk był strażnikiem w niemieckim obozie.

– To jakaś bzdura.

– Wcale nie – zaoponowała. – Weremiuk sprawdził, że Iwan Marczenko, pomocnik Demianiuka przy komorze gazowej w Treblince, nigdy nie został odnaleziony. Ta zbieżność imienia i nazwiska, zachowanie Marczuka wydało mu się zastanawiające. Tłumaczył mi, że oddziały pomocnicze esesmanów pacyfikujące warszawskie getto czy wachmani z obozów koncentracyjnych rekrutowali się ze społeczności ukraińskiej, ale niewykluczone, że mógł się trafić jakiś Białorusin z Podlasia czy na przykład Rosjanin. Germanista próbował badać narodowość Marczuka i odnaleźć ludzi, którzy go znali i mogliby coś powiedzieć o jego wojennej przeszłości.

– Nawet jeśli tak było, wiele się po tej historii nie powinien był spodziewać – mruknął sceptycznie Piotr. – Czas zrobił swoje, a dowody na pewno zostały zniszczone.

– A jednak znalazł w Urzędzie Stanu Cywilnego akt zawarcia małżeństwa z Olgą Wołosiuk. Dotarł też do księdza z Dubicz Cerkiewnych, który tego ślubu udzielał i chrzcił ich córkę. Mówi się, że okolice Bielska

Podlaskiego zamieszkują nie Białorusini, lecz Ukraińcy. Wskazywałby na to dialekt, którym się posługują, kultura, obyczaje, które przetrwały do dziś. Co innego z podhajnowskimi wioskami.

– No i co? Co nas obchodzi jakiś Ukrainiec? Choćby i rzeźnik z Treblinki. Albo jakiś pomocnik rzeźnika. Mało ich było w czasie wojny?

Łarysa machnęła ręką. Doszli do skromnego domu ogrodzonego szczerbatym płotem. Najpewniej przedwojennym. Okna chaty były powybijane, strzecha kryta słomą zapadła się. Na kominie jednak bocian uwił sobie gniazdo. Obecnie było puste.

– Bardzo możliwe, że w czasie wojny Marczukowi wystarczała świadomość, że nie jest katolikiem. Poza tym przed okupacją mieszkał w Polsce, potem został obywatelem Związku Radzieckiego, jak moja rodzina, a następnie Trzeciej Rzeszy. To mocno komplikuje sprawę narodowości. Olga Wołosiuk już nie żyje. Ale Weremiuk znalazł jej córkę. O pierwszym mężu swojej matki powiedziała jedno: pijak. Żył z nimi krótko. Matka pogoniła go i wyszła za innego. Ojczym ją pokochał i wychował. Rzeźnik, choć ojciec biologiczny, dla niej nie istnieje.

– No i słusznie – zapewnił Piotr. – A co z Treblinką? Potwierdziła, że był tym strażnikiem, czy nie?

– Prawie go nie pamięta. Zniknął w czterdziestym trzecim, zostawił je bez środków do życia i pojawił się po wojnie. Zamieszkał tutaj. – Wskazała walącą się chałupę. – Ponoć opowiadał ludziom, że pracował w hitlerowskim obozie, ale jak było naprawdę, to nikt nie wie na pewno. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym roku chciał rozmawiać z Olgą, ale nie wpuściła go za próg. Był pijany.

– Przyjechałaś tu, żeby mi to opowiedzieć? – Piotr nie dowierzał. – Dlatego nie jedziemy na dworzec?

– Szybko chcesz się mnie pozbyć – mruknęła. – Ale tak łatwo się mnie nie pozbędziesz.

Otworzyła bramkę, weszła na posesję. Była po pas zarośnięta jeżynami. Piotr próbował powstrzymać kobietę, żeby nie podarła sobie płaszcza, ale po przejściu warstwy obronnej zorientował się, że dalej chaszcze wykarczowano w niewielką ścieżkę.

– Marczuk zmarł miesiąc temu w podbiałostockim szpitalu – rzuciła Łarysa, teraz znacznie ciszej.

– I dzięki Bogu – szepnął Piotr. – Już żadnego Żyda ani Polaka nie ukatrupi.

– Nigdy się nie przyznał. – Kobieta się odwróciła. – Nie odpowiedział na żadne pytanie o Treblinkę, esesmanów, Demianiuka. Był twardy do końca. Ale opowiedział i zostawił coś panu Krzysztofowi. Coś, co powinno cię zainteresować, ponieważ dotyczy twojego pochodzenia, historii twojej rodziny oraz tego, kim ty jesteś. Jaką pamięć przodków niesiesz w genach. Myślę, że powinieneś o tym wiedzieć, wielki mi „panie-prezesie-ojcze-dyrektorze”.

Piotr szarpnął ją gwałtownie.

– Zwariowałaś?

– Czekaj, zaraz przyjdzie. Nie rób scen.

– Mogłaś mnie uprzedzić. Śpiewasz mi całą drogę rockowe kawałki, a dopiero teraz…

Przerwał, bo przed chatę wyszedł mężczyzna w jego wieku o twarzy liska. Chuderlawy, w koszuli bez kołnierzyka, zapinanej po chłopsku na trzy guziki, dalej rozkloszowanej i puszczonej luźno na spodnie. W pasie miał przewiązany wojskowy sweter z pagonami. Na nosie okulary, a w ręku samodziałową torbę, z której wystawała butelka mleka.

– Piotr Bondaruk? – Otrzepał spodnie z trocin i mrówek. Musiał siedzieć na zbutwiałym pieńku, kiedy na nich czekał. Prawdopodobnie też słyszał część rozmowy. Wyciągnął miękką dłoń na powitanie. – A może powinienem raczej mówić do pana Piotrze Stanisławowiczu Gałczyński? Nie zastanawiało pana, dlaczego Aniela, a tym bardziej ojciec – Staszek, i potem, rzecz jasna, pan nosiliście panieńskie nazwisko przyszywanej ciotki z Kresów – Anastazji Bondy? Można powiedzieć, obcej wam osoby. Bondaruk jest ukraińską wariacją na temat tego nazwiska. Niczym więcej niż pseudonim, ksywa, używając nomenklatury więziennej, „-uk” zaś tylko identyfikacją etniczną.

Piotr pozostał poważny, choć Łarysa uśmiechała się z triumfem, a lisek zwietrzył już widać gruby plik gotówki, bo aż pokraśniał z zadowolenia.

Bondaruk myślał szybko: ile zażąda, w jakiej walucie i jak długo będzie go szantażował. Do śmierci? A potem zerknął na Łarysę i przeleciało mu przez głowę, że ta głupia gęś pewnie myśli, że chodzi o ideę.

– Jest pan tutaj sam? – zapytał Piotr najuprzejmiej, jak tylko zdołał w tej sytuacji.

– Samiuteńki jak palec. – Weremiuk kiwnął głową. – Ale jeśli nie wrócę, kolega komendant z Bielska wie, gdzie mnie szukać. I z kim byłem umówiony.

Piotr kątem oka dostrzegł tężejący uśmiech na twarzy Szafranówny.

– Pan pokaże ten skarb – zażądał Piotr.

Weremiuk pogrzebał w torbie, wyjął kolorową reklamówkę, a z niej zawiniątko w czarnej szmacie, która kiedyś musiała być wyszywaną makatką z pobożnym cytatem. Widać było teraz tylko litery cyrylicy. Germanista odpakował. Ich oczom ukazał się plik starych dokumentów.

– Przed śmiercią Marczuk prosił mnie o jedno. By to trafiło do wiadomości publicznej. Nienawidził Polaków. A dokładniej katolików.

– To tak jak pan? – Piotr się uśmiechnął. Rozejrzał się. – Wyłazić.

Łarysa krzyknęła. Piotr uciszył ją gestem.

– No już! – krzyknął głośniej.

Podniósł ręce. Odpowiedziała mu cisza. Lisek Weremiuk nadal się uśmiechał.

– Spokojnie, Bondaruk – powiedział. – Jestem po twojej stronie, jeśli ty jesteś po naszej. I tak ma pozostać.

Piotr wyciągnął rękę po dokumenty. Weremiuk natychmiast je zawinął i schował szmatę do torby. Wskazał kobietę.

– Chcesz wiedzieć, gdzie spoczywa twój dziadek?

Kobieta skinęła głową.

– I ja tego chcę, jak niczego na świecie – zapewnił lisek, a potem zwrócił się do Piotra: – Kacapie, czas ujawnić miejsce straceń wozaków. Dość już milczenia.

Piotr usiadł na pieńku. Spojrzał na Łarysę i Krzysztofa. Westchnął ciężko. A potem pokręcił głową zrezygnowany.

– Przecież ludzie wiedzą – mruknął. – Nie odkrywa pan żadnej tajemnicy.

Lisek zmarkotniał.

– Jak to wiedzą? Kto wie?

– Wszyscy wiedzą. Nikomu nie zależy na ujawnianiu tego grobu. Po co się pan mieszasz? Pan nietutejszy?

Germanista nie odpowiedział. To jednak wystarczyło Bondarukowi.

– To twój obowiązek, Lachu – zapalił się. – Ciąży na tobie odpowiedzialność. Przez lata udajesz owcę w wilczej skórze. Podświadomie spłacasz dług za grzechy ojca.

– On ma rację – wtrąciła się Łarysa. – Ciebie posłuchają. Społeczność, władze. Ktoś musi zacząć mówić.

Piotr jej nie słuchał.

– Jest pan Don Kichotem albo zwykłym głupcem. Naród nie chce wiedzieć. Ani polski, ani białoruski. Wracaj pan w swoje strony. Gdzie mieszkasz? Śląsk czy Warszawa? A może Małopolska? Tam wiele rodzin wyjechało. Są dziś czystej krwi Polakami.

Ale germanista już nie słuchał.

– To pan tak uważa – zaperzył się. – Ludzie chcą wiedzieć. Trwają prace nad utworzeniem specjalnego instytutu. Tam znajdą się wszystkie materiały, kompletne archiwum zbrodni przeciwko narodowi polskiemu. Cała nasza pamięć: chlubna i wstydliwa. Pokolenia będą wiedzieć i każdy będzie mógł do nich zajrzeć.

– Co za bzdury! – Piotr machnął ręką. – Co było, minęło. Niech się pan rozejrzy. Forsa ma dla ludzi znaczenie. Nie potrzebują dowodów krzywdy ani rozjątrzania ran. Niech pan się przejdzie po tutejszych wioskach. Ostatni żyjący milczą, a ich dzieci nic nie wiedzą. I dlatego są bezpieczni. A pana oficjele będą mnie bronić do ostatka. Bo to ja ich wszystkich umieściłem na tych stanowiskach.

– Kogo? – zdziwił się Weremiuk.

– Starostę, burmistrza, komendanta policji, dyrektora liceum białoruskiego, nawet dyrektora domu kultury. Biznesmenów nie zliczę.

Dostali mienie pozakładowe, niektórym pożyczyłem pieniądze. Do dziś spłacają te długi. I żaden nie będzie miał interesu kąsać ręki, która ich wykarmiła.

– Do czasu – mruknął Weremiuk. – Wszystko do czasu.

– Urzędnicy też ruszą na ciebie z bagnetem. Tylko pokaż im, co masz na wędce. Żyłka ci się urwie i pójdziesz pod wodę. Za gruba ryba.

Piotr powoli wyciągnął rękę po dokumenty. Tym razem otrzymał zawiniątko. Odpakował i zaczął czytać nazwiska. Było ich siedem.

– To nie wszystkie – powiedział. – Wozaków było pięćdziesięciu. Ludzie z Puchał panu nie powiedzieli? Trzyma pan w ręku wyłącznie kartę przetargową Rady.

– Jakiej znów Rady? – Łarysa się odwróciła. Pierwsza odważyła się spytać, choć Weremiuk także z trudem ukrywał konfuzję. – Czy to znaczy, że wszyscy włodarze miasta są potomkami pomordowanych?

– Ci, którzy zachowali milczenie i zostali tutaj. Ci, którzy odcięli się, którym to nie pasowało, wyjechali albo nie żyją.

– Nie żyją?

– I tak bywało – przyznał Piotr. Potrzymał dokumenty wozaków w ręku, a potem oddał je Weremiukowi. Był wyraźnie zawiedziony. – Forsa, mówiłem już. Ludzie mają dość biedy. Kapitalizm dał im możliwość wzbogacenia się, a dobre auto, chata z centralnym ogrzewaniem i stała praca rekompensują im niedostatki moralne. Nikogo nie obchodzą jakieś nacjonalizmy. Różnice narodowościowe młodzi mają w dupie. Ekumenizm, tolerancja. Wystarczy poczytać slogany wyborcze.

– Nie ma czegoś takiego jak rada sprawiedliwych – walczył jeszcze Weremiuk. – To nie western.

Piotr uśmiechnął się.

– A kto rządzi w tym regionie? Kim jest starosta? Burmistrz? Kto go tam usadził? Jesteś pewien, kacapie, że komendant z Bielska nie zastawił już pułapki na ciebie? Trzymasz w ręku ładunek wybuchowy, a nie znasz się na pirotechnice. Masz dzieci, żonę, dalszych krewnych. Nie żal ci ich? Bury też nie był mordercą. Wykonywał tylko rozkazy.

– Z tym się nie zgodzę.

Piotr uniósł dłonie w geście poddania się.

– To sprawa dyskusyjna. Nie ma związku.

– Ależ ma! – krzyknął Weremiuk. – Kluczowy.

Wahał się chwilę, czy toczyć dalej dyskusję, ale w końcu tylko schował pakunek do torby.

– Ja nie chcę pieniędzy, lecz prawdy. – Skłonił się Łarysie i Piotrowi. – Doprowadzę do ujawnienia tej mogiły. Jeszcze się zobaczymy.

– Nie sądzę – mruknął Piotr i krzyknął: – Niech pan uważa na siebie. Dobrze radzę.

Zostali sami. Piotr ukrył twarz w dłoniach.

– *Ot, i majesz swaju wajnu*. Zadowolona?

Tydzień później Łarysa wpadła do biura prezesa New Forest Hajnówka zapłakana i czerwona z wściekłości. Piotr siedział za biurkiem otoczony nagrodami, jakie zakład zdobył w PRL-u, a potem w raczkującym kapitalizmie. Statuetki i dyplomy nie wzbudzały jednak takiego respektu jak głowa żubra naturalnej wielkości, w którą teraz wpatrywał się gruby, łysy facet. Zajmował chybotliwe krzesło naprzeciwko biurka prezesa. Po obu stronach siedziska zwisały jego potężne poślady. Wyglądał jak na dziecinnym krzesełku w przedszkolu, tyle że to nie był małpi gaj, a on nie chodził już do starszaków.

– Mogę na słówko? – rzuciła Łarysa nieuprzejmie. Kolorowa sukienka zawirowała, odsłaniając podwiązki. Natychmiast ją spacyfikowała. – To pilne.

– Pan Włodzimierz streszcza mi właśnie tajniki kreatywnej księgowości, duszko – odparł najspokojniej na świecie Piotr. Przykleił do twarzy sympatyczny uśmiech, przeznaczony na comiesięczne wizyty w szkołach i urzędach, kiedy to bawił się w mecenasa kultury i dobroczyńcę sierocińców. – Zarobimy na tym krocie, a pan Włodzimierz pobierze solidną prowizję. Trochę nam na tym zależy. Pół godziny, nie więcej. Czy tak? – zwrócił się do zapasionego księgowego, a ten skwapliwie pokiwał głową i zaraz zmierzył kobietę łakomym spojrzeniem znad okularów.

– Muszę z tobą pomówić w tym momencie! – Łarysa się uparła.

Ton jej głosu rozbawił Piotra. Wyobrażał sobie, że zaraz tupnie nogą jak rozkapryszona dzierlatka.

– Inaczej będę mówiła przy tym wieprzu.

Księgowy aż się zapowietrzył.

– Panie Włodzimierzu – zwrócił się Piotr do pracownika. – Proszę zejść do stołówki, pożywić się na koszt firmy. Wezwę pana przez sekretarkę. Kobiety, pan rozumie, kochają robić sceny. Proszę wybaczyć mojej narzeczonej. To cudzoziemka. Gorąca krew, ze wschodu, szybko się burzy. Pozwolę sobie oszczędzić panu tych atrakcji.

Mężczyzna zaczął pośpiesznie zbierać dokumenty, ale wypadały mu z rąk ze zdenerwowania. Był wyraźnie wzburzony. Jednak respekt i relacja służbowa, w jakiej się znajdował, nie pozwalały mu na odcięcie się za tę potwarz.

– Pan wybaczy – poprosił Piotr raz jeszcze i gestem nakazał pozostawić wszystkie dokumenty w tym stanie, w jakim były do niedawna. – Wkrótce będziemy mogli kontynuować.

Kiedy drzwi trzasnęły, Piotr wskazał Łarysie skórzane siedzisko, ale zajęła krzesło wygrzane przez księgowego, by być bliżej jego twarzy.

– On nie żyje – wysyczała. – Cóżeś mu zrobił?

– Komu? – szczerze zadziwił się Piotr.

– Weremiuk. Dziś w szkole dzieci dostały informację, że będą mieli nowego nauczyciela. Na razie wychowawstwo przejął Anatol Pires, pierwszy dyrektor *liceja*. Ponoć od razu zwolnił uczniów do domu.

– *Ausgezeichnet* – mruknął Piotr i zamyślił się. – To pewnie bachory się cieszą.

– Pogrzeb ma być pojutrze. Najpierw sekcja, ale na mieście już huczy, że sam *poczepiłsia*. Ponoć dostał wypowiedzenie dyscyplinarne, a tydzień temu zwolnili z chemicznej jego żonę. Zostali bez środków do życia. Od miesiąca nikt nie chciał go zatrudnić. Nawet na ciecia w tartaku. Wiesz coś o tym?

Piotr upił łyk zimnej herbaty. Kiedy odstawiał szklankę na spodek, rozlał kilka kropel na dokumenty księgowego. Wytarł je rękawem.

– I?

– Sam nie *poczepiłsia!* – Wymierzyła w Piotra wskazujący palec. – I ty za tym stoisz.

Odwrócił twarz do okna.

– Głupia.

– Tak, byłam głupia. Byłam głupia, że ci zaufałam. – Wstała. – Wracam do kraju.

Zmarszczył brwi, potarł zaczerwienione powieki.

– Jak sobie chcesz.

Zatrzymała się. Zmrużyła oczy, zgarbiła się, przyjęła pozycję bokserską. Musiał przyznać, że wyglądała bardziej niż ponętnie.

– Nie zatrzymujesz mnie?

– Niczego ci nie obiecywałem.

– Właśnie. Do głodnych bajek ci byłam potrzebna. Do przyjemności.

– Nie narzekałaś – odparował, ale nie słuchała.

– A teraz, kiedy nie mam dokąd pójść – znów zaczęła zaciągać. Nie znosił, kiedy go brała na litość. Wyraźnie słychać było w jej głosie wschodni zaśpiew. – Przecież tam, na Białorusi, jestem spalona.

Prawie płakała. Z trudem się hamowała.

– Ciebie tam nikt nie chce, Łaryś – szepnął z politowaniem. Podszedł i przyciągnął ją do siebie, używając efektu zaskoczenia i siły. Próbowała go odepchnąć, ale trzymał ją mocno, jak w kleszczach. Jego dłonie wbijały się w jej wątłe ramiona. Wiedział, że będzie miała siniaki. Łatwo się pojawiały na jej alabastrowej skórze. Przemawiał prawie czule, choć treść wypowiedzi temu przeczyła: – Nikt cię, duszko, nie szuka. Ani nie potrzebuje. Ty nikomu nie jesteś już wygodna. Ani tam, a teraz tutaj. Gdziekolwiek pójdziesz, szukasz guza. Sama wołasz burzę i dziwisz się, że zaczyna grzmieć. A to tylko zwykły piorun. Na razie bardzo daleko od ciebie. Mówiłem ci, nie mieszaj się. Zostaw, niech inni kopią się z koniem. Fundacja to mrzonka, oboje to wiemy. Jeśli odejdziesz, zginiesz. A chłopcu dom trzeba zapewnić. To takie dobre dziecko, ten Fionik.

Przestała się opierać. Kiedy tylko poczuł, jak wiotczeje, poddaje mu się, poluzował chwyt.

– Kim ty w ogóle jesteś?

– Synem zdrajcy i szpicla zbrodniarzy wojennych – potwierdził. – Mordercą, jeśli tak ci będzie łatwiej żyć, też. Wielokrotnym. Tego chciałaś?

Z jej oczu natychmiast popłynęły łzy. Nie uwierzyła mu. Zdziwił się.

– Pokochałam cię za odwagę. Położyłam na szali swoje życie, honor, dobre imię. A ty mnie odrzucasz. Nawet mnie porządnie nie zerżnąłeś. Nie podobam ci się czy jak?

Odwrócił się.

– Nie mieszaj seksualności z miłością, bo to są dwa odrębne tematy.

– Co ty mówisz?

– Z większością ludzi, których kochałem i kocham, nie miałem relacji seksualnej, i odwrotnie. Seks nie zawsze wiąże się z miłością. Powiedziałbym, że dzieje się to niezwykle rzadko.

– A więc jednak mnie kochasz?

Zawahał się.

– Lubię cię – odparł po chwili. – Ufam, opiekuję się, troszczę jak o żonę. To mało?

Znów zaczęła się wić. Nie takiej odpowiedzi oczekiwała.

– Doprowadzę do odkrycia tej mogiły – zapewniła gniewnie.

– Weremiuk też tak gadał. Skrócili go o głowę.

– Mnie uda się to ujawnić – zaperzyła się Łarysa i poprosiła: – Gdybyś mi tylko trochę pomógł. Odrobinę. Jedna z mieszkanek tych wsi, bodajże Zaleszany, prowadziła sekretne zapiski na podstawie rozmów z wujem i ojcem. Weremiuk je miał. Teraz pewnie poszły z dymem. Ale znajdę ją i zmuszę do mówienia.

– Przestań! – Zatkał jej usta dłonią. Tym razem się wyrwała.

– Skoro tak, sama to zrobię. Nie powstrzymasz mnie.

Machnął tylko ręką.

– Mieszczanka się nudzi. Zajmij się porządną, ciężką robotą. Przejdzie ci ochota na wojowanie. Nie zajęłabyś się eksportem naszych mebli na rynki zachodnie? Nikt tutaj tak dobrze nie zna angielskiego. Co ty na to, moja piękna, młoda i wykształcona kochaneczko?

Zadała mu cios bez ostrzeżenia. Otwarta dłoń zatrzymała się na jego żuchwie. Chwycił to miejsce, roztarł. Ona zaś była przerażona tym, co właśnie zrobiła.

– Rozumiem, że propozycja przyjęta – szepnął.

– Pod warunkiem że pomożesz ujawnić prawdę. Dla ojczyzny, dla pamięci narodowej.

– Robisz to dla siebie – rzucił wzgardliwie. – Potrzebujesz się na kimś zemścić. Za nieudane życie, utraconą młodość. Bo tak. Nie możesz na mężu, bo paparuch zrobił dziecko i się go wyparł, a teraz jest za daleko i nic go nie obchodzi twoja wścieklizna, więc szukasz odwetu na wrogach wydumanej ojczyzny. Ale to twoja osobista *wajna*. *Wajna*, w której będziesz miała *pobiedu*.

– Wyprowadzam się – przerwała mu. Byle tylko się uciszył. Krzyczała: – Nie chcesz ze mną żyć, to nie. Nie będę żebrała o miłość.

– To działa w obie strony. Radziłbym się zastanowić.

– Jedziemy – zarządziła. – Chcę oddać cześć pomordowanym.

Uśmiechnął się i pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Nic nie rozumiesz. Lepiej nie wiedzieć. Możesz słyszeć, podejrzewać, składać poszlaki do kupy, ale nie wolno ci zobaczyć. Tak jak z yeti. To, czego oczy nie widzą, sercu nie żal. Ta wiedza kosztuje i obciąża. Dalej chcesz się bawić dynamitem? Tego chytrusa kosztowało to życie.

– Mówiłeś, że nie masz z tym nic wspólnego.

– Bo nie mam. Człowieczek zadarł z bestią, a nie miał oręża, by się jej przeciwstawić, kiedy zażądała krwi. Nawet ja nie wchodzę do labiryntu. Dopóki Minotaur jest w twierdzy, wszyscy są bezpieczni.

– Wszyscy?

– Pokolenie naszych ojców pragnie zapomnieć, dożyć w spokoju swoich dni. My się boimy. Naszych dzieci to nie interesuje. Może nasze wnuki odczują potrzebę rekonstrukcji tożsamości narodowej. Będę wtedy dziadkiem i będzie mi już wszystko jedno. Wtedy przyjdzie czas na ujawnianie danych, pomstę i wybaczanie. Dzielenie grubą kreską, marsze i transparenty. Kiedy winni pomrą, a niewinni dokonają bezkrwawej pomsty, spełni się twoje marzenie. Świat znów będzie oczyszczony. Teraz nie. Taka jest kolej rzeczy.

– Co ty mówisz?

– Mówię, że jeśli zaczniesz kopać, staniesz z bestią twarzą w twarz. Sama. Słaba. Bez sojuszników. Bez *kryszy*. Ja nie wystarczę, by cię ochronić. Nie dlatego, że nie chcę, bo będę próbował. Możesz na mnie liczyć. Dlatego pokażę ci to miejsce. Jeśli chcesz, jesteś zdecydowana,

chodźmy. Nie musisz psuć krwi mieszkańcom tych wiosek. Narażać ich i siebie.

Patrzyła na niego z miłością i oddaniem, a potem rzuciła mu się w objęcia.

– A jeśli coś mi się stanie, zaopiekujesz się Fionikiem.

– Do końca moich dni. – Pogłaskał ją po głowie. – Oddam za niego życie, jeśli będzie trzeba. Włos mu z głowy nie spadnie. Chleba, kiełbasy i miodu mu nie zbraknie. To ci mogę obiecać. *Wajna* go nie dotknie. On nie będzie chciał pamiętać.

– Ale ja chcę! – Rozpłakała się. – Chcę pochować dziadka.

– Jance Szafranowi już wszystko jedno. – Wziął ją za rękę. – Zacznij dla mnie pracować.

Skinęła głową na zgodę. Ucieszył się. Wiedział, że będzie wojowała dla niego. Razem wygrają niejedną bitwę. W słusznej sprawie, która nigdy się dewaluuje: majątek.

– Masz te dokumenty? – zapytała nieśmiało. – Chcę zobaczyć, czy on tam jest. Czy leży w tym grobie koło Puchał Starych.

Piotr się zasępił. Wiedział już, że jej nie ocali. Tę dziewczynę ciągnęło w kłopoty, odkąd się urodziła. Zawsze wybierała źle. Nawet jeśli miała dziesięć dróg, szła tą najbardziej krętą. Chciał jej powiedzieć: „Uciekaj. Znajdź sobie kogoś. Zapomnij o mnie”, ale rzekł coś zupełnie innego:

– Niestety nie. To jedyna zagadka, która mnie teraz interesuje. Ten, kto ma skarb Małej Białorusi, rozdaje dziś karty w mieście. Dałbym połowę majątku za tę wiedzę. Ale wkrótce prawda wyjdzie na jaw. Dowiemy się tego, jak tylko poleje się krew.

Hajnówka, 2014

Krew polała się z nosa Romanowskiej, kiedy pochyliła się, by podnieść i wstawić do samochodu ostatni karton, wyniesiony w nocy z mieszkania, w którym stacjonowała profilerka. Komendantka wiedziała, że to z przemęczenia. Zawsze potrzebowała więcej snu niż przeciętny człowiek – dziewięciu, czasem dziesięciu godzin. Uważała także, że trzy „s", a więc sen, seks i spokój ducha, są gwarancją zachowania piękna i skuteczniej powstrzymują proces starzenia niż najdroższe zabiegi kosmetyczne. Teraz, odkąd w miasteczku zaczęły dziać się te wszystkie rzeczy, sypiała maksymalnie cztery godziny. Dziś też nie wyglądało na to, że będzie mogła odpocząć dłużej. Szykowała się raczej pracowita nocka. Doman wyjechał na rogatki miasta i holował już Huberta Meyera, psychologa z Katowic, który błądził po kresowych drogach od ponad dwóch godzin.

Była dziś rano w piwnicy na Piłsudskiego i zabrała dokumentację wszystkich spraw do bagażnika. Dopiero wtedy zauważyła, że Błażej omyłkowo zabrał z domu ciotki jakiś obraz. Musiał zawieruszyć się ze szpargałami. Krystyna miała go już wrzucić na tylne siedzenie i od razu odwieźć do mieszkania, zanim wejdą technicy, ale z ciekawości odwróciła blejtram i zbaraniała.

Obraz przedstawiał Załuską. To była profilerka sprzed pięciu, może dziesięciu lat. Krystyna nie miała jednak wątpliwości. W dolnym rogu dostrzegła monogram „Łu" i dedykację: „Dla Mileny, na 29". Drżącymi dłońmi położyła wizerunek profilerki na masce i zastanowiła się, czy faktycznie słusznie broniła przed wszystkimi tej kobiety. Fakt, że odkąd pojawiła się w mieście, zbierała same punkty karne. Śledczy brali pod uwagę, że jej celem nie było wcale rozwikłanie sprawy, lecz jej utrudnianie. Wiedzę kryminalistyczną miała, dopuścili ją do części materiałów. I trzeba przyznać, że udawało jej się to znakomicie. Takiego kogla-mogla Romanowska nie widziała nawet u Finchera.

Do wczoraj Załuska miała jeszcze jednego sojusznika – ją. Nie dalej jak na dzisiejszej odprawie przekonywała, że kobieta jest po prostu nieudolna.

Ale teraz Krystyna poczuła dreszcz niepokoju, który powoli zamieniał się w paraliżujący strach. Przemknęło jej przez głowę, że profilerka nie zjawiła się w tym mieście przypadkowo, zbyt wiele poszlak na to wskazywało. Nie było też pewności, że jej opowiastki o nienawiści do Łukasza Polaka nie są wyłącznie zasłoną dymną, a tak naprawdę kobieta wciąż jest w nim zakochana. Nie zrobiła właściwie nic, by go odnaleźć, choć znała go lepiej niż ktokolwiek z tego rejonu. Ale jeśli faktycznie Sasza przyjechała, by uwolnić Polaka i pomóc mu w ucieczce, wszyscy za to bekną.

Co gorsza, Romanowska wyraziła zgodę, by dać obcej kobiecie akta. Liczyła, że jest tylko niesubordynowana, że to klasyczny detektyw buntownik, ale widać się myliła. Jej poręczyciel Robert Duchnowski nie dojechał. Nie dotrzymał też słowa i nie przywiózł Bondaruka z Gdańska. Nikt ze śledczych do tej pory nie ma pojęcia, w jakim celu Piotr się tam udał. Pluli sobie w brodę, że od razu nie zatrzymali go do odwołania. Przynajmniej w papierach byłoby czysto. Ale przecież nawet prokuratorka stwierdziła, że nie mają żadnych podstaw.

Prezes New Forest Hajnówka milczy o tym jak głaz. Dziś rano sam zgłosił się na komendę. Odmówił złożenia zeznań, choć potwierdził, że osobiście dostarczył obie czaszki w miejsca, z których zabezpieczyła je policja. Po co? Nie ujawnił. Skąd Załuska o tym wiedziała? Czy rozmawiali? Nie zaprzeczył. Ale to przecież ona pierwsza wysnuła taką hipotezę. Bondaruk nie powiedział więcej nawet słowa. Wziął adwokata i grzecznie poprosił, by go zaobrączkować. Tylko ze względu na jego pozycję, a właściwie telefon od starosty Adama Gawła, wyznaczono kaucję i wyszedł z komendy pod eskortą JahJah’y. Obiecał być do dyspozycji na każde wezwanie śledczych. Ponoć nie stawił się dziś w pracy. Zabarykadował w domu. Telefonów nie odbiera. Jego gosposia zapewniła, że pan Piotr nigdzie nie pojedzie, gdyż nie goli się, pije i chodzi w piżamie. Kontakt właściwie ma z nim wyłącznie JahJah. O co tu, do jasnej ciasnej, chodzi?

Romanowska zdecydowała, że nie może już dłużej chronić gdańszczanki. Dlatego też poprosiła, by technicy zbadali jej lokal. Teraz musiała już uważać na każdy trop, a kobietę jak najszybciej odsunąć od dochodzenia, zanim będzie za późno i przyjdzie jej zapłacić za naiwność swoim niepewnym stanowiskiem. Zamierzała pokazać Domanowi malunek

i wspólnie się naradzić, co dalej. Gdyby zaszła taka potrzeba, miała w biurku dość dokumentów, by kobietę zatrzymać na dołku i zrzucić na nią winę za błędy w dochodzeniu. Na początek wystarczy nielegalne posiadanie broni. Komendantka nie zamierzała już dłużej zwlekać. Odkurzyła wypełnione kwity i żałowała tylko, że oddała Załuskiej berettę. To była najgłupsza rzecz, jaką zrobiła. Bez dwóch zdań. A i bez tego miała wystarczająco swoich kłopotów.

Usiadła za kierownicą i włączyła Radio Racyja. Dawali jakieś folklorystyczne przyśpiewki, a zaraz potem rockowe ballady w języku baćków JahJah'y. Pewnie trwał koncert życzeń. W przerwie Łukasz Stepaniuk zapowiedział swój autorski program, którego gościem będzie dokumentalista Jerzy Kalina, autor filmu *Siewca*, o Doroteuszu Fioniku, który we wsi Studziwody założył Muzeum Małej Ojczyzny. Romanowska bardzo lubiła audycje społeczno-kulturalne Stepaniuka, ale o aktywistach białoruskich ani folklorze czy wyższości wiary prawosławnej nad katolicką nie miała siły teraz słuchać. Przez ostatnie lata małżeństwa nieustannie kłócili się o to z JahJah'ą. Zarzucał jej rasizm, gdy mówiła, że białoruska cepelia czyni szkodę tej kulturze. Nie tylko babcie w strojach ludowych i popów powinni Białorusini pokazywać w Bielsacie, jedynej niepodległej telewizji tego narodu, lecz mówić o zwykłych, normalnych sprawach. To tak jak z mniejszością seksualną. Geje uczestniczący w paradzie z różowymi piórkami w tyłku przynosili wstyd także zdeklarowanym homoseksualistom, którzy nie epatowali swoją seksualnością i nie wychodzili z transparentami. Żyli jak inni, nie afiszując się, z kim dzielą łoże, bo to sprawa prywatna. Do JahJah'y ten argument nie trafiał. Strzelił focha, a potem obraził się na nią śmiertelnie za porównanie sytuacji jego narodu do gejów. Kiedy na dodatek zarzuciła mu, że ma gdzieś „ciemiężony przez Polaków białoruski naród" i jego martyrologiczne opowieści o pokrzywie, liściach i zorzach nad łąkami, zaproponował separację. Potem było tylko gorzej. Na rozprawy rozwodowe się nie stawiał, więc dolała oliwy do ognia. Kiedy któregoś dnia spotkali się w pracy, nie mogła się powstrzymać od komentarza:

– Rzygać mi się chce, kiedy w nasz związek mieszasz nacjonalizmy i znów cofasz się do dziewiętnastego wieku, zamiast spojrzeć na swoją narodowość z perspektywy kosmopolity.

Wtedy wreszcie przyszedł do sądu i zgodził się na rozwód za porozumieniem stron, choć kiedy wychodzili, wyznał jej, że wciąż ją kocha. Odparła, że miłość wszystko wybacza, i poszła, bo czuła, że się rozpłacze. Potem rozmawiali już tylko służbowo, ale i wtedy JahJah wyciągał sprawy narodowościowe.

– Nie ma czegoś takiego jak czysta krew – przekonywała byłego męża. – Gdyby sięgnąć do korzeni któregokolwiek z twoich przodków, okazałoby się, że płynie w twoich żyłach krew wielu nacji. Jesteśmy wielokulturowi.

I zaraz dodawała, że gdyby Białorusini na Białorusi chcieli, mieliby demokrację. Widać Białorusini w Polsce chcą być świętsi od papieża, a raczej Jezusa. Kiedy więc teraz w radiu usłyszała charakterystyczny dźwięk akordeonu, a chór Reczańka zaczął zawodzić o rzeczce, która nigdy nie wyjdzie za mąż, ze złością zmieniła kanał. Za bardzo jej to przypominało indoktrynację z czasów małżeństwa.

Radio Zet podawało właśnie newsa o poszukiwaniu listem gończym Łukasza Polaka, przezwanego już przez media copycatem „Czerwonego Pająka”. Potem wrzucono minireportaż i relację na żywo z miasteczka, które upodobał sobie ludojad. Dotarli nawet do szpitala, gdzie leżała nieprzytomna po ataku Kinga Kosiek, kelnerka z pizzerii Siciliana. Wszyscy liczyli, że dziewczyna przebudzi się ze śpiączki pooperacyjnej, rozpozna prześladowcę i złoży zeznania. Pod szpitalem koczował sztab dziennikarzy z ogólnopolskich mediów, które z braku lepszej sensacji straszyły Polaków grasującym na Podlasiu kanibalem. Podstawą do tej hipotezy był atak na młodą kelnerkę. Sprawca dosłownie wgryzł się kobiecie w ramię. Śledczy mieli jego DNA, ślad ugryzienia oraz wiele innych śladów, które z pewnością pozwolą go zidentyfikować. Na razie jednak, choć na nogi postawiono wszystkie policyjne, wojskowe i ochotnicze służby, bezskutecznie. Dołek pełen był podejrzanych, bo miejscowi donosili jeden na drugiego, ale żaden z zatrzymanych nie pasował kształtem uzębienia.

Romanowska obawiała się, że w tym galimatiasie uda się zbrodniarzowi zbiec z rejonu. Z pewnością nie był to jednak Łukasz Polak. Wyeliminowali go już na samym początku. Nie powiedzieli tego jeszcze dziennikarzom, bo wyszłoby na jaw, że hajnowska policja nierozwiązanych spraw ma już cały worek, a aktu oskarżenia żadnego. I jak zwykle – im mniej ujawniali

danych, tym ludzie więcej sobie dopowiadali. Plotka urosła do niebotycznych rozmiarów. Mówiono, że ludojad chciał pożreć Białorusinkę żywcem. Pojawiły się spekulacje dotyczące konfliktów narodowościowych. Przypomniano swastyki na murach i awanturę o Romualda Rajsa „Burego", jednego z żołnierzy niezłomnych. Romanowska wiedziała, że ludzie próbowali tak oswoić swój strach. Była także pewna, że to będzie eskalowało do czasu, aż złapią zwyrodnialca. Sama już nie wiedziała, ilu przestępców tak naprawdę szukają. Czy to jest jeden zboczeniec, czy może zorganizowany oddział?

Kinga Kosiek cieszyła się doskonałą opinią, była lubiana. Praktycznie nie miała wrogów. Dlatego bardzo poważnie rozważano motyw ideologiczny. Była w Bractwie Prawosławnym. Brała udział w obrzędach przed weselem Bondaruka. Należała do Związku Białorusinów Polskich, a jako studentka działała aktywnie na rzecz białoruskich narodowców. Widziano ją z poszukiwaną Iwoną Bejnar, zanim ta została uprowadzona, i wyglądało na to, że dziewczęta są w dobrej komitywie. Śledczy nie mogli wykluczyć, że wiedziała coś o uprowadzeniu panny młodej i dlatego została zaatakowana. Polskich nacjonalistów prześwietlili już na wylot, ale było jasne z góry, że jeden drugiemu da alibi. Tak też się stało. Swój krył swego i śledczy nie byli w stanie przebić się przez mur milczenia. Tutaj też niewiele mogli zdziałać.

Tymczasem miejscowi powtarzali bzdury o tym, że od lat w Hajnówce ginęły młode kobiety. Dziennikarz z radia natychmiast wysnuł prosty wniosek, że potwór najprawdopodobniej je pożerał i dlatego nie odnaleziono ciał. W tle tej podkręconej relacji puszczono muzykę z horroru. Romanowska już widziała minę rzecznika prasowego białostockiej komendy, który przejął dla ich dobra kontakty z mediami. Jak widać, nie radził sobie lepiej niż ich Irena Kuptel, która przynajmniej znała tutejsze media i wiedziała, co i komu można ujawnić. Tymczasem Polacy z innych rejonów kraju wprost oszaleli na punkcie podlaskiego Lectera. Na Fejsbuku krążyły łańcuszki wsparcia dla „Czerwonego Pająka", którego życiorys wykopano natychmiast jak spod ziemi. Prace Łukasza zaś, byłego kochanka Załuskiej, osiągały w galeriach zawrotne kwoty. A przystojnego podejrzanego poszukiwał cały darling.pl.

Romanowska miała już wyłączyć radio, ale zawahała się, bo dziennikarz, nie potrafiąc powstrzymać się od śmiechu, odczytał limeryk, który od wczoraj krążył w sieci.

Był raz pewien ludojad z Hajnówki,
Który stale pożądał wałówki.
Gdy podano mu trupa,
Westchnął tylko: „Znów dupa –
pamiętajcie, że wolę jeść nówki!”.

– Siedemdziesiąt tysięcy lajków! – wykrzyknął redaktor, kończąc relację spod hajnowskiego szpitala. – I tak oto puszczańskie miasteczko doczekało się chwały i sławy.

Romanowska z niesmakiem wyłączyła radio i zaparkowała pod komendą.

Na schodkach wejściowych do budynku czekała na nią Sasza. W ręku miała swój oblepiony dziecinnymi naklejkami laptop i plik kartek, które wręczyła komendantce zamiast powitania. Krystyna z trudem wykrzesała z siebie odrobinę zainteresowania.

– Odprawa była rano. Spóźniłaś się osiem godzin – mruknęła i obejrzała się, czy na tylnym siedzeniu auta nie zostawiła żadnej z rzeczy, które Sasza mogłaby rozpoznać. Liczyła, że kobieta jeszcze nie wie, że wyeliminowali ją z dochodzenia.

– Musiałam odzyskać dane. – Wskazała na laptop. – Wasz człowiek się spisał. Przeczytaj teraz.

Romanowska nie była łaskawa spełnić prośby profilerki. Wzięła jednak dokument i wcisnęła go pod pachę, a potem bez słowa podeszła do dyżurki, przyłożyła do bramki kartę magnetyczną i weszła do śluzy. Sasza szła krok w krok za nią. Kiedy bramka zatrzasnęła się tuż przed stopami profilerki, spojrzała z wyrzutem na dyżurnego. Zarówno on, jak i Romanowska nie spojrzeli Załuskiej w oczy.

– Proszę tylko, byś zerknęła – powtórzyła Załuska. – Siedziałam nad tym cały dzisiejszy dzień.

– Nie omieszkam w wolnej chwili – obiecała niezbyt wiarygodnie Romanowska i pośpiesznie zniknęła za szklanymi drzwiami komendy.

Sasza posmutniała. Była już pewna, że jej opinia nie zostanie wzięta pod uwagę w śledztwie. Wyszła przed budynek i przymknąwszy oczy, wystawiła twarz do słońca, by choć na chwilę oderwać się od sprawy. Usłyszała pisk opon, a potem z terenowego samochodu wysiadł leciwy mężczyzna w okularach. Obszedł auto, wyjął z niego skórzaną teczkę i kartonowy rulon przewiązany gumką recepturką. Ruszył do dyżurki. Sasza przez chwilę się zastanawiała, czy to jest właśnie ten słynny Meyer, ale nie wyglądał na policjanta. W pobliżu nie było też Domana. Jak na dziennikarza mężczyzna miał zbyt inteligentne spojrzenie. Poza tym brakowało mu tej niezdrowej pewności siebie, jaka cechuje ludzi mediów.

Zdążyła wypalić papierosa, kiedy facet odbił się od oficera dyżurnego, jak wcześniej ona sama, i stanął obok niej u szczytu schodków. Minę miał zbolałą. Na jego twarzy widziała zawód. Nie myliła się przynajmniej połowicznie – profilera by wpuścili. Zrobiło jej się go żal. Oboje znajdowali się chyba w podobnej sytuacji. Spojrzeli na siebie i jednocześnie odwrócili głowę. Spodobało jej się, że jest nieufny. Z całą pewnością nie był więc także reporterem. Gdyby był, zaraz starałby się coś z niej wyciągnąć. Był też obcy, czuła to podskórnie. Nie musiała patrzeć na tablice rejestracyjne wozu. Nie mieszkał tu ani stąd nie pochodził.

– Pan z Warszawy?

– To auto żony. – Rzucił okiem na jej gips. – Brała pani udział w demonstracji?

– Nie wiem, o którą pan pyta. Ostatnio dużo się tu dzieje. Ale gdyby pan zamierzał wracać do stolicy, chętnie bym się zabrała. Mój samochód jest uszkodzony.

Wskazała na niebieskie uno zapieczętowane na pobliskim parkingu. W tym momencie z komendy wybiegł kilkuosobowy oddział funkcjonariuszy w mundurach bojowych. Wsiedli do suki policyjnej. Odjechali na sygnale. Zaraz po nich wyszło jeszcze kilku policjantów w cywilu, których Sasza znała z widzenia. Wyraźnie się śpieszyli. Wśród nich był syn Romanowskiej. Minął Saszę bez słowa i wsiadł do

nieoznakowanego radiowozu. Poza nim Sasza nie dostrzegła funkcyjnych. Prawdopodobnie naradzali się. Może Meyer był już w jednostce.

Tymczasem okularnik zorientował się, że Sasza nie należy do policyjnej paczki. Najwyraźniej stracił zainteresowanie jej osobą. Znów przebywał w swoim świecie. Wtedy ją olśniło. To naukowiec. Przemknęło jej, czy nie zadzwonić do profesora Abramsa.

– Mam tu jeszcze kilka spraw do załatwienia.

Pożegnał się i szybkim truchtem skierował na parking. W jego wykonaniu był to pośpiech anemika. Zanim wsiadł, umieścił rulon na tylnym siedzeniu, zdjął marynarkę, wywinął ją na lewo i pieczołowicie rozwiesił na wieszaku za siedzeniem, policyjne auta zniknęły już z zasięgu wzroku. Okularnik wpatrywał się w pustą ulicę zdezorientowany.

– Nie wie pani, gdzie jest tutejsza wieża ciśnień? – krzyknął do Saszy, bo poza nią na Armii Krajowej nie było żywego ducha.

– Pokażę panu. – Bez ceregieli zajęła miejsce pasażera. Zajęło jej to pół minuty, więc przybysz nie zdążył zaprotestować. Sasza umościła się i uśmiechnęła, że przynajmniej wydostanie się z tej dziury. I tak nie miała tutaj nic więcej do roboty. Skoro nie chcą jej pomocy, niech sami rozwiążą tę sprawę. – Czym się pan zajmuje? – spytała, kiedy z wolna ruszał na wstecznym.

Ponieważ wyglądał na zszokowanego, a może raczej obawiał się, że zostanie uprowadzony przez niezrównoważoną kobietę, wyciągnęła dłoń i przedstawiła się. Odetchnął z ulgą, kiedy usłyszał, że Załuska jest policyjnym ekspertem. Fakt, trochę mu skłamała. Jedno kłamstwo w tę czy tamtą – nie zmieniało to jej sytuacji. W odpowiedzi podał jedną z wizytówek, które trzymał w nigdy nieużywanej popielniczce samochodowej. Jego nazwisko – profesor Anton Czubajs – niewiele jej powiedziało. Profesor najwyraźniej czuł się urażony.

– Jestem psychoterapeutą – wyjaśnił. – Najlepszym na Podlasiu.

– O! – zdołała wydusić coś na kształt respektu. Nie wyszło najlepiej. Postanowiła zażartować, ale tylko bardziej pogorszyła sprawę. – O której wraca pan do kraju? Mam już dosyć tych wycieczek za Bug.

– Może po południu? – wymigał się od odpowiedzi. – A może trochę tu zabawię.

– Co pana tu sprowadza?

– Jestem najlepszym psychoterapeutą na Podlasiu, gdyż jedynym. Jedynym tutaj propagatorem psychoanalizy Lacana. – Zaśmiał się chrapliwie i Sasza natychmiast pożałowała, że wsiadła z nim do auta. Nie była teraz pewna, kto był bardziej niezrównoważony: ona czy pan Freud. Zwłaszcza kiedy dodał: – Opracowałem autorską metodę graficznego zapisu przekazów transgeneracyjnych w rodzinie, zwaną potocznie genogramem. To coś podobnego do drzewa genealogicznego. Ilustruje związki i relacje między krewnymi, ale skupia się na wizji życia rodzinnego, jaką dana osoba otrzymała od swojej rodziny, wskazując prawdopodobne przyczyny jej aktualnej sytuacji życiowej. Dosyć przydatne narzędzie w psychoterapii. Zwłaszcza w mojej autorskiej wersji, wykazującej, że historia to psychoanaliza i odwrotnie.

– I kogo pan terapeutyzował w ten sposób?

– Pani wybaczy, nie mogę ujawniać nazwisk pacjentów – zapewnił, ale zaraz dodał mrugając okiem, a może tylko powieka mu latała: – W większości to osoby publiczne.

– Tutaj wszystko jest publiczne, rozumiem – przytaknęła Sasza, co bardzo rozbawiło profesora, więc podała pierwsze nazwisko, które przyszło jej do głowy: – Piotr Bondaruk?

Czubajs natychmiast spoważniał.

– Wręcz przeciwnie. Jego partnerka. Trafiła do mnie po rozstaniu z mężem.

– Wszystkie, poza jedną partnerką Bondaruka, nie żyją – zaryzykowała. – A więc chodzi o Dunię Orzechowską?

W oczach profesora dostrzegła szacunek. Kiedy mówił, zniżył głos do szeptu. Sasza widziała w jego oczach czyste szaleństwo, jakie cechuje geniusza lub zdiagnozowanego wariata.

– Muszę natychmiast pomówić z kimś z policji. Posiadam informacje, które pomogą rozwikłać zagadkę zbrodni, o które podejrzewany jest prezes tartaku.

– Bondaruk jest tylko w gronie podejrzanych. Nie postawiono mu zarzutów.

– Pani prowadzi to dochodzenie?

– Śledztwo – poprawiła go. – Już nie. Przed chwilą zakończyłam moją misję i mogę wracać do domu.

– Z pewnością jest obarczone błędem. Nie miała pani wszystkich danych.

– Czyżby?

– Czy wiedziała pani, że Bondaruk ma tylko jednego biologicznego syna? To Jerzy Orzechowski, narzeczony Iwony Bejnar, którą w jego imieniu poślubił Bondaruk?

Sasza z trudem ukryła zadziwienie. To rzucało całkiem nowe światło na sprawę uprowadzenia Iwony, a także dawało motyw matce Orzechowskiego.

– A więc nie – zarejestrował Czubajs. – Powinna była pani dotrzeć do tej informacji. Z tego co wiem, nie jest tajna.

– Tutejsi niezbyt ufają obcym.

– Wiem coś o tym. – Okularnik pokiwał głową. – Dlatego radziłbym pomówić z panem Piotrem. Mnie nie wpuści do domu, ale kobiety lubi. A pani jest kobietą.

– Co pan nie powie.

– A poza tym muszę sprostować. Genogram zamówiła u mnie nie pani Orzechowska, lecz pani Prus. Tutejsza psychiatra. Koleżanka po fachu. Jestem od lat jej superwizorem.

– Ona też była związana z prezesem?

– Wręcz przeciwnie – odparł. – Mam podstawy przypuszczać, że kłamała. Staram się o odebranie jej prawa wykonywania zawodu.

– Dlaczego? – zdziwiła się Sasza. Nie była jednak w stanie ukryć w głosie satysfakcji.

– Jest poważnie zaburzona. Sama powinna się leczyć.

– Co jej dolega?

– Pani wybaczy, tajemnica lekarska.

Podjechali już pod wieżę ciśnień. Zdjęto rusztowanie i oczom tłumu gapiów ukazało się graffiti z wizerunkiem żołnierzy niezłomnych. Drogę urzędnikom miejskim zagrodziła grupa mężczyzn z transparentami „Polska dla Polaków”.

Marianna Mackiewicz zdjęła garnek z płyty kuchennej, zanim zupa się zagotowała. Wyjrzała na korytarz i pokręciła potępiająco głową na powyrzucane z szaf przedmioty. Na samym środku piętrzył się stos butów, nigdy nienoszonych garniturów i płaszczy, a także książki, płyty z muzyką i filmami. W kartonach, pod ścianą, stała niewypakowana przez lata stara porcelana, bibeloty i cenna w czasach PRL-u kolekcja czechosłowackich kryształów.

Piotr Bondaruk w bamboszach, spodniach od piżamy i w wyświechtanym polarze stał na drabinie i dorzucał na stos kolejne przedmioty. Przed godziną oświadczył Mariannie, żeby wybrała sobie coś z tego dobytku, bo w przeciwnym razie, jeszcze tego wieczoru, wszystko trafi do pojemnika PCK lub na miejski śmietnik, ponieważ w razie jego śmierci on nie chce, by którykolwiek z jego spadkobierców używał po nim choćby aluminiowej łyżki. Gospodyni od lat ze stoickim spokojem znosiła zarówno jego manię, jak i depresję, więc teraz tylko skinęła głową na znak, że zrozumiała polecenie, a ponieważ gospodarz domagał się potwierdzenia werbalnego, zapewniła, że weźmie wszystko, a co jej się nie przyda, rozda znajomym i rodzinie. Z pewnością miejski oddział hospicjum zabierze męskie ubrania i buty.

– Żadna z tych rzeczy nie pójdzie na zmarnowanie – dodała grobowym głosem.

Piotr upił łyk ziółek ze szklanki, którą mu podała, a potem zapalił kolejnego papierosa, uprzednio ułamawszy filtr. Szarlotka wciąż stała nienaruszona na spodku. Od wizyty na komendzie praktycznie nic nie jadł. Marianna mimo to nakrywała do stołu o ustalonych porach. Potem zabierała nietknięte jedzenie i już nawet nie odważała się komentować, do czego głodówka może doprowadzić człowieka w jego wieku. I tak by jej nie posłuchał.

Nalewała właśnie gorącą zupę do wazy, kiedy usłyszała dzwonek do drzwi. Miała polecenie nie wpuszczać nikogo poza policjantem, który wizytował dom prezesa minimum trzy razy dziennie. Nie wiedziała, po co przychodzi, bo zachowywał się tak, jakby wchodził do siebie, a nie na

wizytację podejrzanego – czy bardziej chodzi mu o pilnowanie prezesa, czy też raczej martwi się, by Bondaruk nie targnął się na swoje życie. Nie zwykła podsłuchiwać, ale też nie musiała. Drzwi do gabinetu gospodarza zawsze były otwarte na oścież, Frankowski i Bondaruk zaś prawie nigdy nie rozmawiali. Uważała to za co najmniej dziwne.

Prezes nie odzywał się praktycznie do nikogo. Do niej też burknął tylko czasem jakieś pół zdania. Policjant nawet nie udawał, że liczy na konwersację. Jak tylko wpadał, zaraz siadał przy kuchennym stole. Jadł, co mu Marianna podsunęła, a były to najlepsze specjały, więc w sumie cieszyła się, że JahJah przychodził, bo nie mogła znieść, kiedy dobre jedzenie się marnowało.

Przemysława Frankowskiego pamiętała jeszcze jako pryszczatego podrostka. W tamtym czasie nic nie zapowiadało jego kariery w organach ścigania. Miał problem z nadwagą i dzieciaki przezywały go grubasem, pasztetową, a bywało, że i debilem, bo nie był agresywny i na wszelkie ataki reagował stoickim spokojem lub pogardliwą obojętnością – na zmianę. Jego matka wciąż przychodziła do dyrektora z awanturą i wręcz zachęcała syna, by walnął agresora workiem z butami, ale Przemysław tylko leniwie się przeciągał. Może był od rówieśników mądrzejszy, dojrzalszy, a może po prostu nie umiał się bić. Czasem Marianna widziała w nim Buddę, który z łagodnym uśmiechem przygląda się innym, jak zapluwają się swoim jadem. Nikt nie był w stanie zmusić Przemka do ciosu. Był zen. Między innymi dlatego, „za karę”, nauczycielka posadziła go w jednej ławce z jej synem Arturem, który w tamtym czasie był największym prześladowcą JahJah’y.

Ksywki Przemek dorobił się dużo później, kiedy już zakopali z Arturem topór wojenny i zaczęli wspólnie odwiedzać siłownie, a potem z kilkoma kumplami założyli zespół reggae. Obaj wtedy już nosili dredy, wyszukiwali na ciuchach kolorowe szmaty, które sama im przerabiała. Podejrzewała, że popalali trawkę, choć wtedy niewiele mówiło się o narkotykach i ten zapach kojarzyła nawet przyjemnie. Ich przyjaźń kwitła przez całe liceum. Potem wespół próbowali się dostać na prawo, ale udało się tylko Arturowi. Rodzice Frankowskiego nie mieli wystarczającej kwoty, by „posmarować” wykładowcom, jak uczyniła to Marianna. To wtedy przyszła na służbę do prezesa. Bondaruk pożyczył jej wysoką na tamte czasy kwotę, a potem

pomógł dostać się buńczucznemu Arturowi na aplikację adwokacką. Wtedy też Marianna dała w cerkwi na *molebeń* i obiecała Bogu, że będzie prezesowi wierna, choćby do końca życia. Byle Artur osiągnął więcej niż ona i jej zmarły mąż, jeden z wielu konserwatorów w tartaku.

Syn nigdy się o łapówkach nie dowiedział, choć sprawa była tajemnicą poliszynela w mieście i prawdopodobnie do dziś w swoim narcyzmie jest przekonany, że zdał egzamin za pierwszym razem bez wsparcia. JahJah jeszcze trzykrotnie próbował swoich sił na kilku uczelniach, w tym filii UW w Białymstoku, którą uważał za najniższą poprzeczkę. Za każdym razem bez skutku. Dziś z pewnością skończyłby jedną z prywatnych uczelni, bo od osiemnastego życia pracował i sam się utrzymywał, więc zdołałby udźwignąć także czesne za drogie studia, ale czasy były inne. Wreszcie wstąpił do milicji. Marianna wiedziała, że do dziś ma kompleks wobec kumpla z ławki i to z jego powodu praktycznie nie mają ze sobą kontaktu. Artur czasem mówił o Przemku. Idealizował ich spotkanie, wspominał wspólne „melanże”, ale to niczego w ich relacji nie zmieniało. Przemek źle znosił, kiedy inni wygrywali zamiast niego. Marianna w pewnym sensie go rozumiała i podziwiała.

Mogłaby rzucić służbę u Bondaruka, do czego już wiele razy namawiał ją syn – obecnie szanowany w mieście adwokat – ale się uparła.

– Jak ja odejdę, kto się nim zajmie? – tłumaczyła Arturowi, który nie rozumiał jej decyzji. Wstydził się jej posady służącej, ale z oczywistych względów nie zmieniała zdania. – Pan Bondaruk jest na tym świecie sam jak palec. Kiedy będzie umierał, nikt nie poda mu szklanki wody. Jego wyrodni synkowie tylko czekają na schedę. Nic innego ich nie obchodzi. Najchętniej utopiliby go w łyżce wody.

Wtedy też syn wyznał jej, że są jego klientami. Artur szykował prawniczy popis i zamierzał podważyć wiarygodność Bondaruka, choćby miał z niego zrobić klasycznego wariata. Zamarła i kazała mu jeszcze przemyśleć decyzję. Odmówił. Przez następny tydzień gotowała ulubione potrawy Bondaruka: gołąbki, babkę ziemniaczaną i suflet. Nie miała śmiałości spojrzeć mu w twarz. Wreszcie sam się zaniepokoił, że Marianna słabo wygląda. Powiedziała mu prawdę. Zaśmiał się tylko i dał jej wolne. Pojechała do syna z awanturą.

– Ktoś, kto całe życie buduje imperium, musi mieć wrogów – odpysknął jej syn i jak zwykle szydził z jej „dobrego serca”.

Nie brał pod uwagę faktu, że jego matka tak naprawdę była równie samotna jak prezes. Od rozwodu z Magdą Prus Artur żył swoim życiem, pławił się w luksusach, a Marianna po śmierci męża nie myślała o nowym związku. Opieka nad Piotrem dawała jej poczucie bezpieczeństwa, skutecznie wypełniała sporą porcję wolnego czasu. W jakimś stopniu zżyli się, choć nie zwierzali się sobie ani przez całe lata nie doszło między nimi do bliższej zażyłości niż relacja pracodawca–pracownik, choć Marianna, kiedy zaczęła służbę u Bondaruka, była nadal atrakcyjną kobietą.

– Gdyby, zamiast pieniędzy, twój prezes kochał w życiu chociaż jedną osobę, nie spędzałby życia w samotności na dwustu metrach kwadratowych plus niewykończona góra domu – kpił tymczasem Artur. – Zapamiętaj, że sukces osiągają tylko ludzie zdeterminowani, ciekawi świata i niewrażliwi. Zdolności intelektualne, urok osobisty to tylko elegancka ozdoba. Nie bez kozery mówi się o przeszkodach, jakie trzeba pokonać, by wspiąć się na sam szczyt. Zdecydowanie łatwiej jest to robić, wspinając się po cudzych plecach. A jeszcze łatwiej, jeśli ten ktoś sądzi, że coś z tego ma. To kawał kutego na cztery łapy skurwiela. Tyle o tym.

Marianna nie chciała tego słuchać. Nigdy, przez wszystkie lata nie doświadczyła ze strony Piotra niczego złego. Zawsze zachowywał się wobec niej fair. Jeśli w nielicznych przypadkach prosiła go o pomoc, wsparcie czy rekomendację w sprawie znajomych, dalszych krewnych, zawsze mogła na niego liczyć. Z tego też powodu ludzie mieli ją za wpływową, choć była tylko prostą kobietą ze wsi. Piotr zaś był po prostu skuteczny. Miał sieć swoich kontaktów na szczytach lokalnej władzy i nigdy nie żądał od niej rewanżu. Tłumaczyła sobie, że jest w gruncie rzeczy dobrym, eleganckim człowiekiem, i nigdy nie uwierzyła w to, co o nim mówiono. Morderca, żonobójca, kat, pijak i złodziej? Ona go takim nie znała. Zracjonalizowała wszystkie oskarżenia i stawała w jego obronie. Nawet jeśli sprawił, że wszystkie kobiety, które przewinęły się przez ten dom, w tajemniczych okolicznościach zniknęły z jego powodu, zdaniem Marianny, zasłużyły sobie na swój los. W porównaniu z nim – Zawiszą Czarnym – to one były dla niej zawsze intruzami w willi na Piłsudskiego.

Spojrzała przez judasz i zmarszczyła czoło. Pod drzwiami nie stał tym razem policjant: zobaczyła Dunię Orzechowską. Od dawna szeptunka już nie odwiedzała prezesa. Mało tego, Marianna całe lata nie widziała szalonej Duni, jak o niej mówiono, w mieście. Za jej plecami stała, jak alibi, niemowa Ałła, po jej wizycie zawsze trzeba było przewietrzyć dom.

Marianna się zawahała. Dzwonek zadźwięczał ponownie. Potem rozległo się niecierpliwe pukanie do drzwi. Bondaruk zszedł z drabiny i ruszył w głąb mieszkania, jakby ogłuchł. Właśnie wyciągał starą skajową walizę i z namaszczeniem grzebał w jakichś papierach. Skoro prezes nie zareagował, Marianna także wróciła do swojej pracy w kuchni. Udawała, jak zwykle, że jej nie ma. Nie słyszy, nie widzi. Taką miała robotę.

– Za pięć minut podam do stołu! – krzyknęła, kiedy dzwonek zamilkł na dłużej i była pewna, że intruzi poszli w cholerę. A ponieważ prezes nie był łaskaw odpowiedzieć, ruszyła do jego pokoju i dodała: – To była pana kuma z Dunią Orzechowską.

Bondaruk zerwał się i natychmiast przykrył wieko walizki. Zdziwiła się. Nigdy niczego przed nią nie ukrywał. Wyglądał, jakby znalazł wreszcie to, czego szukał, zrzucając dobytek z półek na podłogę, i wyraźnie nie chciał, by dowiedziała się, co znajduje się w środku. Wiele razy odkurzała bibliotekę i tysiące razy przestawiała tę walizę tam i z powrotem. Raz czy dwa zaglądała do niej, bo nie zawsze była zamknięta, ale poza ruskimi gazetami i kolekcją „Razem” z lat siedemdziesiątych nie było tam nic cennego.

– Niech pani je wpuści i poda trzy nakrycia – zadysponował.

Była pewna, że chce się jej pozbyć. Skinęła głową, wycofała się na wstecznym z pomieszczenia i ruszyła pośpiesznie do drzwi. Kiedy je otworzyła, kobiety były już przy furtce. Ałła odwróciła się i patrzyła na Mariannę wyczekująco. Dunia też się nie odezwała. Gapiła się na gospodynię wrogo, jak sroka w kość. Nie lubiły się. To było jasne jak słońce. Ale Marianna umiała być dyplomatką. Od lat była na służbie i wiedziała, gdzie jest jej miejsce.

– Pan Bondaruk zaprasza panie do stołowego – mruknęła i schowała się do mieszkania, zostawiając szeroko otwarte drzwi wejściowe.

Kiedy ponownie wyszła z kuchni, już z wazą, pokrojonym chlebem własnego wypieku i trzema nakryciami, staruchy czekały grzecznie w przedsionku na zdobionych fotelach. Po Bondaruku nie było nawet śladu. Drzwi do biblioteki zamknięto. Z wnętrza dochodził tylko rumor kolejnych gratów zrzucanych na podłogę. Marianna pomyślała, że będzie musiała zamówić ciężarówkę, by to wszystko przewieźć. Liczyła, że Piotr poszedł się przebrać. Nigdy nie pokazywał się gościom w takim stanie zaniedbania.

– Prezes kazał nakryć dla pań. – Wskazała miejsca przy stole i zaprosiła kobiety do salonu.

Dunia zasiadła u szczytu. Ałła pozostała przy drzwiach. Nadal nieruchoma i milcząca jak sfinks. Marianna z trudem znosiła jej fetor. Nie rozumiała, dlaczego kobieta nie bierze kąpieli, ani też dlaczego Piotr tak ją hołubi. W sumie nie chciała znać detali ich zażyłości. Wiele już w tym domu widziała. Zbyt wiele.

– My tylko na chwilę – oświadczyła Dunia. – I dziękuję, ale jesteśmy po obiedzie.

Marianna mimo to ustawiła talerze. Z szuflady kredensu wyjęła srebrne sztućce. Ułożyła.

– Może wobec tego herbaty, kawy?

Dunia wyjęła z kieszeni woreczek z materiału. Podała gosposi.

– Proszę zagotować w rondelku, a potem zestawić na pięć minut. Może pani przelać przez sitko. Resztę mieszanki proszę zachować. To herbatka dla kobiet w naszym wieku. Uspokaja, łagodzi damskie dolegliwości, wzmacnia włosy.

– Dziękuję. – Marianna skinęła głową, choć była oburzona. Wyglądała znacznie młodziej od tych wiedźm. – Bardzo mi miło.

Dunia nie odpowiedziała. Uśmiechnęła się słabo, złożyła ręce w małdrzyk i zamarła w oczekiwaniu. W drzwiach pojawił się Piotr. Nadal był w poplamionej piżamie. Tak samo rozczochrany jak wcześniej. Dał znak Duni, więc wstała i ruszyła za nim do biblioteki. Marianna minęła się z nimi w korytarzu. Widziała, jak Piotr wchodzi i wskazuje walizkę, która zawierała teraz nie zszywkę „Razem”, lecz dokumenty w szarych teczkach z odręcznymi napisami.

– A ja poproszę kawę – odezwała się Ałła. Głos miała zachrypnięty, drżący. – Z cukrem i mlekiem, jeśli łaska.

Zszokowana Marianna omal nie wypuściła z rąk pokrywki od wazy. Odkąd mieszkała w tym mieście, nigdy nie słyszała z ust Ałły ani jednego słowa. Wszyscy mieli ją za niemowę. Ludzie bez oporów opowiadali przy niej plotki, nabijali się z niej, bo niektórzy sądzili, że skoro jest niema, to i głucha. Byli rzec jasna w błędzie. Marianna nie miała pewności, czy sama, choć raz, tak się nie zachowała. Poczuła pierwotny wstyd. Zarumieniła się po czubki uszu jak dzierlatka.

– Czy to jakiś problem? – upewniła się śmierdziucha.

– Żaden. – Marianna szybko odwróciła się na pięcie i zniknęła w drzwiach kuchni.

– Po co mi to pokazujesz?

Dunia odwróciła się do drzwi biblioteki. Były zamknięte. Od lat nie byli w takiej sytuacji. Ona i on. Sami. Bez przyzwoitki. Oboje czuli się nieswojo. Ale nie z powodu dawnej relacji.

– Tu nie są już bezpieczne.

– Ja tego nie wezmę – oznajmiła Dunia. Ręce jej drżały. Piotr szybko podstawił jej krzesło. Musiała przyjść na piechotę, bo znoszone buty miała ubłocone. Ledwie stała ze zmęczenia. Zajęła miejsce i dodała: – Za duża odpowiedzialność.

– Posłałem po ciebie auto.

– Przyjechało – potwierdziła. – JahJah wlókł się za nami pół drogi, wreszcie zrezygnował. Nie znoszę go. Wiesz dlaczego.

– Pojechał po Mikołaja?

Dunia wzruszyła ramionami.

– Kola nie przyjedzie. Jesteśmy już za starzy na bojówkę, Piecia. Znajdź kogoś młodego, komu chce się jeszcze walczyć.

– Twój syn się odnalazł?

Pokręciła głową. Widział, że usta jej zadrżały. Twarz stężała. Starała się jednak to ukryć. Chciała widać wierzyć, że wszystko będzie w porządku.

– A Iwona? – zapytał z drżeniem w głosie.

– Brak wiadomości to dobra wiadomość.

– Wiesz, że robię to dla nas. Dla niego.

Milczała przez kilka sekund. Wreszcie nabrała powietrza i rzekła:

– Nigdy nic od ciebie nie chciałam.

– To był błąd. Mój i twój. Jak wiesz, bardzo tego wszystkiego żałuję.

Nie odpowiedziała, tylko machnęła ręką.

Piotr też usiadł. Patrzyli na siebie – dwoje staruszków, którzy przegrali swoje życie. Nie było już dla nich nadziei. On pierwszy odwrócił głowę.

Nigdy nie widziała go pokonanego. Dziś nie przypominał nawet w najmniejszym stopniu tego chojraka, którego kiedyś kochała. Teraz tylko budził współczucie. Podniosła rękę i położyła mu dłoń na ramieniu. Chwycił ją. Była zimna jak dłoń trupa. Wzdrygnęła się i zaraz zabrała rękę. Słusznie odczytał jej odczucia. Brzydziła się go. W oczach zagrała mu iskierka złości, ale przemilczał pokusę. Kiedyś, dawno temu, nie mógł się pogodzić z tym, że jego ukochana czuje do niego wyłącznie wstręt. Dunia tłumaczyła wtedy pokrętnie, że nadal bardzo go kocha, ale jego dotyk, nawet bycie w niedalekiej odległości, wzbudzały w niej torsje. Wiedział, że nigdy mu nie wybaczyła. A także, że już nie odzyska jej zaufania. Dlatego pozwolił jej zniknąć ze swojego życia. Nie bez wyrzeczeń i walki. Ale tylko on jeden wiedział, dlaczego tak naprawdę uciekła w mistycyzm, odkleiła się od rzeczywistości w świat szeptów.

– Oddaj to policji. – Znachorka wskazała teraz zawartość walizki i odsunęła się na bezpieczną odległość. Oddychała ciężko, jak ryba wyrzucona na brzeg. Im była dalej od Piotra, tym czuła się spokojniejsza.

– Oni to zniszczą. – Pokręcił głową. – Zadbają, żeby nie ujrzało światła dziennego. Wiesz, co tu jest?

Rozsunął zamek walizy. Poderwała się, by go powstrzymać.

– Nie chcę tego widzieć. Nie chcę nic wiedzieć!

– Jak zwykle.

– Spal to.

– Nie! – Teraz on podniósł głos. – Jeśli to zginie, jestem pierwszy do odstrzału.

– I tak jesteś. Nie masz już wiele czasu.

Pochylił głowę. Miała rację.

– Wszystko mogło pójść inaczej.

– Jest jak jest. – Wstała. – Czy to wszystko, po co mnie wezwałeś? Ten pakunek z makulaturą? Kogo to dziś obchodzi?

Pokiwał głową załamany.

– Tu jest moje życie. Nasze. Twojego syna. I następnych pokoleń. Oni mają prawo znać prawdę.

– Prawdę – żachnęła się i nagle zacietrzewiła. – Czyją? Twoją czy politykierów? Myślałam, że chcesz pokazać testament. Że go uwzględniłeś i chociaż po śmierci twój syn odzyska honor.

– Już mnie pochowałaś – zirytował się.

– Sama siebie pochowałam. Dawno temu. Nie boję się. I tobie też zalecam: pojednaj się z Bogiem. Nie znasz dnia ani godziny. Nie masz już dwudziestu lat.

– Czyli nie chcesz skarbu? – zaśmiał się gorzko i mimo jej protestów otworzył wieko. Wyjął jedną z teczek. Na okładce widniał napis „Gałązka”. Pod spodem było takich więcej. – Tutaj jest fortuna.

– Zdobyta nieuczciwie i brudna od ludzkiej krwi.

– Jak każde wielkie pieniądze.

– Ani ja, ani mój syn nie będziemy zajmowali się szantażem. Dziwię się, że trzymasz te papiery w domu, i nie sądzę, by interesowały policję ani kogokolwiek. Powiedz lepiej prawdę. Pokaż im grób Stepana. Przyznaj się. Może wtedy poczujesz się lepiej.

Patrzył na nią, jakby wysyłała go do sanatorium na Marsa.

– Dlaczego ty tego nie zrobisz? – Uśmiechnął się.

– Dla mnie to nie ma już znaczenia.

– Więc ja mam to wziąć na siebie?

Piotr zastygł w oczekiwaniu. Nie odezwała się więcej nawet słowem. Zamknął walizkę. Wsunął ją z powrotem pod krzesło. Widziała na jego twarzy rozczarowanie. Chciał, by go uwolniła, usprawiedliwiła, zdjęła z jego barków choćby część winy. Ale wiedział, że to marzenie ściętej głowy. Mierzył się z tym tyle lat. Nie potrafił sam sobie wybaczyć i nikt nigdy nie będzie w stanie dać mu rozgrzeszenia. Czego właściwie oczekiwał? Nie, Dunia nie zamierzała nic robić. Poświęciła już zbyt wiele. Wiedziała i milczała. Gdyby jednak zdecydował się wyznać prawdę, była gotowa mu pomóc. Nie wątpił w to, ale z jakiegoś powodu nie miał sił się przyznać. Był bowiem w tej szkatule tajemnic jeszcze jeden sekret, którego nigdy – nawet jej, kobiecie swojego życia – nie zdradził. Żadne przez lata nie poruszało tego tematu. Bo żadne nie miało pewności, jak drugie

zareaguje. I co będzie potem, kiedy prawda zostanie wypowiedziana na głos.

– Irma – zaczęła teraz Dunia. – Ona żyje.

Piotr podniósł głowę. Pokręcił nią, jakby nie wierzył w to, co słyszy.

– Nie powinieneś się za to winić – dodała pośpiesznie.

Na jego twarzy była teraz ulga. A za chwilę oczy zeszkliły się. Nie zdołała dokończyć. Oboje płakali.

– Pomogliśmy ją z Kolą uratować.

Podszedł i mimo jej oporu przytulił. Pozostała sztywna, zacisnęła wzgardliwie usta. Zniosła jego dotyk tylko na krótką chwilę. Zaraz wyswobodziła się z jego objęć.

– Ma inne nazwisko. Mieszka tutaj. Wiem, że ma się dobrze.

Spojrzał na nią prosząco.

– Nie powiem ci, jak się teraz nazywa. – Pokręciła głową. – Nie musisz tego wiedzieć. Ale nie obwiniaj się. Ocaliliśmy ją. Dlatego zrób z tym, co chcesz. Nie ma co wyjmować starych trupów z szafy. Nikt nie potrzebuje przeszłości. Nikogo, poza tobą, ona nie dogoni.

Usiadł, ukrył twarz w dłoniach. Kiedy ponownie spojrzał na Dunię, widziała jego nieśmiały uśmiech.

– A co ty byś zrobiła? Gdybyś była na moim miejscu.

Dunia wzruszyła ramionami, wygładziła spódnicę. Zawiązała ponownie chustkę pod brodą. Widział siwe włosy, które wymykają się spod kwiecistego jedwabiu. Były przetłuszczone, cienkie. Ledwie kilka kosmyków. Przez moment miał déjà vu. Przypomniał sobie, jak kiedyś zdejmowała taką chustę i zaplatała je przy nim w gruby na pięść warkocz, okręcała go wokół głowy.

– Coraz więcej takich spraw się teraz odkopuje, bada. – Potarła zaczerwienione powieki poznaczone siateczką drobnych zmarszczek. Skórę miała woskową, cienką jak pogięty pergamin. Kiedyś była alabastrowa. – Młodzi zrozumieją. Rośnie potrzeba tożsamości narodowej. Poczytaj prasę, posłuchaj, co mówią w telewizji. Młodzi idą na ulicę. Z transparentami. My takiej możliwości nie mieliśmy. Naprawdę, mamy już inne czasy.

– Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo się mylisz – zaśmiał się gwałtownie, a potem nagle spoważniał. – I kto mi uwierzy? Kto uwierzy Okularnikowi, żonobójcy i spekulantowi?

– Więc pogadaj z nim – zareagowała zbyt żywiołowo. – Przecież ty wiesz, kto ci to zrobił. Znasz go. Masz na niego pół wagonu kwitów!

– Mój oficer to pestka. Problem leży w „czerwonych”, którzy teraz tutaj rządzą. Jak się zorientują, że mam na nich dokumenty, dopiero się zacznie. Otworzę puszkę Pandory. Rzucą się na mnie. Pogrążę ciebie, Mikołaja. Wiem, jak to się skończy. – Zamilkł.

Oboje wiedzieli, co chciał powiedzieć.

– Więc zniszcz to jak najszybciej – upierała się. – Dla własnego dobra. Kogo się da, spłacisz, a reszta zapomni. Ludzie szybko zapominają.

– Tutejsi nie.

– Białorusini pamiętają w cichości. – Wstała i zmusiła się, by ostatni raz do niego podejść. Poklepała go po plecach jak psa. – Zostań z Bogiem, Piecia.

Romanowska rozwinęła plik z nagłówkiem profilu nieznanego sprawcy, który dała jej Sasza, i ze zdziwieniem stwierdziła, że tylko pierwsze strony są zapisane. Reszta kartek była pusta. Przewertowała je jeszcze raz, obejrzała dokładnie pod światło i rzuciła ze złością na biurko. Wtedy, na odwrocie trzeciej strony, dostrzegła napis: BHA 3456. Był zanotowany ołówkiem, właściwie ledwie widoczny. Chociaż za chwilę mieli naradę z Meyerem przygotowującym dla nich specjalną opinię, którą dla odmiany mieli prawo włączyć do akt sprawy, natychmiast wykręciła numer Załuskiej.

– Szarady sobie urządzasz? – syknęła. – Numer rejestracyjny mercedesa Bondaruka. To jakiś żart?

– Tylko tak mogłam cię zmusić do rozmowy – odparła ze spokojem Sasza.

W tle Romanowska słyszała jazgot protestujących i syreny policyjne. Zastanawiała się, jak rozegrać tę rozmowę. W sumie była to dla niej szansa, by wyjść z tego bagna z twarzą. Profilerka sama prosiła się o dyscyplinarkę, a postępowanie karne miała już właściwie w kieszeni. Wystarczy, że wyjmą zgromadzone na nią dokumenty: o broni, kradzieży dowodów z miejsca zdarzenia, podejrzanym pojawianiu się zawsze jako pierwsza na miejscu zdarzeń. O jeździe bez dokumentów nie wspominając. Po tym, co tutaj wywinęła, i jeśli komendantka zdecyduje się donieść jej nieformalnym szefom, Załuska nigdy już nie wróci do policji. Ba, nie dostanie posady ciecia w supermarkecie. Definitywnie może też zapomnieć o komercyjnych zleceniach profilerskich. Takie plotki szybko się rozchodzą i nigdy nie da się ich zdementować w stu procentach. Może tylko jakieś liche biuro detektywistyczne z prowincji zdecydowałoby się ją zatrudnić. Ale tylko takie, które daje pracę szumowinom wyeliminowanym z głównego obiegu organów śledczych za malwersacje, korupcję czy chodzenie na boki w ciemną stronę mocy. Romanowska była jednak pewna, że Załuska na coś takiego nigdy by się nie zdecydowała. Tym sposobem błyskawicznie pozbędą się jej z kraju. Zhańbiona profilerka wyjedzie z podkulonym ogonem, zajmie się badaniami naukowymi i nigdy już nikomu nie piśnie

ani słowa. Tak przecież było ze sprawą Polaka. Uciekła i milczała, a sprawę skutecznie zakamuflowano.

– Zajrzałam do tych papierów, bo chciałam skonfrontować cię z Meyerem – skłamała i wyrzuciła serię, już nie ukrywając wściekłości. – Myślałam, że dasz mi szansę, by uratować resztkę twojej godności. Bo wreszcie, kurwa, czy ty tego nie widzisz, wciąż jestem po twojej stronie. Ale teraz nie zostawiasz mi wyboru. Raport przekażę prokuraturze jeszcze dziś. Oddaj broń do depozytu. Natychmiast. Nie masz na nią kwitów.

– Nic z tego – odburknęła Sasza i zwróciła się do kogoś, kto stał pewnie obok. Romanowska słyszała ich rozmowę, mimo przytłumionej słuchawki: – To tutejsza pani komendant. Szukał jej pan, zdaje się, profesorze. Trochę jest nerwowa.

Romanowska zmarszczyła brwi. Zastanawiała się, z kim rozmawia Załuska. Na moment zaniepokoiła się, że to ktoś z funkcyjnych. Czyżby gdańszczanka pozyskała sojusznika w postaci prokuratorki? Ale już po chwili jej obawy zostały rozwiane.

– Pan profesor Anton Czubajs poszukiwał cię dziś w biurze – zaczęła nazbyt oficjalnie Sasza. – Ma ciekawe hipotezy na temat tego, co się u was dzieje. Jeśli nie jesteś zainteresowana, nie będzie naciskał, bo mamy tutaj dużo chętnych słuchaczy. Głównie dziennikarzy. Oszaleją z zachwytu, jak tylko tego wysłuchają. Szkoda byłoby dowiadywać się z mediów.

– Kto? – Romanowska nadal nie rozumiała. – Kim jest ten profesor? O co chodzi?

W słuchawce słychać było śmiech Załuskiej i jakiegoś mężczyzny. I ich przekomarzania: „Nie menopauza. To ma już dawno za sobą. To porządna baba. Nie raz ratowała mnie z opresji”.

– Historia to psychoanaliza. Psychoanaliza to historia – Sasza powtórzyła Krystynie czyjeś słowa, ale zaraz urwała. – A profil zaczęłam pisać, ale jest do bani, bo nie miałam wystarczających danych. Nie dałaś mi wszystkiego. Prawdę mówiąc, dałaś mi lewe papiery. A już z całą pewnością wybrakowane. Nawet numery kart w aktach się nie zgadzały. Szkoda, że doszłam do tego dopiero dziś.

Romanowska aż zapowietrzyła się z wściekłości.

– Czego niby nie dostałaś?

– W dokumentach nie było ani jednego protokołu przesłuchań Bondaruka. Do żadnej ze spraw. Nie powiedziałaś też, że Stepan, zaginiony w siedemdziesiątym siódmym mąż Orzechowskiej, był regularnym esbekiem, który miał za zadanie zwerbowanie na tajnych współpracowników opozycjonistów związkowych w tartaku, w tym głównie Polaków. A Bondaruk był Polakiem i był młodym inżynierem po studiach, który dorabiał w „Gazecie Współczesnej" jako aparatczyk i nie przyjechał tutaj wcale z nakazem pracy, lecz za kobietą. A co ciekawe, został usunięty ze stanowiska reportera i dostał nakaz przeniesienia na Śląsk. Aż tu nagle, tuż przed zaginięciem Stepana, zatrudniono go jako przewodniczącego związków zawodowych, potem kaowca, a kiedy dyrektor się ulotnił, młody skonstruował maszynę rewolucjonizującą suszenie drewna i zaczął spektakularnie awansować. W ciągu niespełna roku zajął miejsce Orzechowskiego.

Romanowska zatrzymała w ustach pytanie, skąd Sasza to wie. Nie było tego z pewnością w kartonach, które jej dała. Nie było tego nigdzie. Chyba że jakiś plotkarz jej doniósł. Ale kto? Nikt, z kim Sasza miała kontakt, nie byłby tak głupi, by podrzucać jej tego typu tropy.

– Jaki to ma związek z naszą sprawą? – udała obojętność.

– Kluczowy – odparła Załuska. – Historia promieniuje na motywacje psychologiczne ludzi kolejnych pokoleń. To tak, jakby zakopać w ziemi materiały radioaktywne. Nie widać ich, coraz mniej ludzi pamięta, ale one wciąż tam są. Ziemia jest skażona.

– Co ty chrzanisz?

Sasza nie dała sobie przerwać.

– Można powiedzieć, że te wszystkie sprawy są pokłosiem tej pierwszej. Zaginięcia, a raczej wyeliminowania z gry, Stepana. Jak to się wtedy odbywało, wiemy na przykładzie choćby sprawy księdza Popiełuszki: mieli człowieka postraszyć, ale jakiemuś troglodycie pięść się omsknęła i uderzył o jeden cios za mocno. Potem się wystraszyli, ukryli zwłoki w bagażniku. Niekoniecznie musiała to być dobrze przeprowadzona operacja czy wręcz popisowa egzekucja, co z kolei zapisano w papierach. Zaginięcie Stepana, esbeka i dygnitarza, który jest jawnym gejem i prowadza się z lokalnym

klechą, jest tutaj kluczem, i to na nim radziłabym się skupić. Jesteśmy odciśnięci w podglebiu i ono determinuje, jak działamy, jak myślimy. To, co się dzieje u was, każde z zaginięć dotyczące Bondaruka, bo sprawę Danki należy wyłączyć do oddzielnego rozpatrzenia, ma związek z jego działalnością na rzecz Polski Ludowej. Profesor Czubajs sprawdził, że Bondaruk nie był pracownikiem esbecji, ale nie można wykluczyć, że był TW. Wszystko wskazuje na to, że był, i to jednym z lepszych. Nie można wykluczyć, że w dalszym ciągu jest obserwowany przez swojego agenta. Takie związki nie znikają przez lata. Tylko się je dyskretnie podtrzymuje. Ale dyskrecja to specjalność mieszkańców tego miasteczka, jak już się zorientowałam. Nikt pary nie puści. Ty też, choć z pewnością wiesz więcej, niż mi zdradziłaś.

– Nie rozpędzaj się – próbowała ją zdyscyplinować Romanowska. – Masz coś poza teoriami jakiegoś historyka? Coś, co może zaświadczyć, że jest to więcej niż absurdalna hipoteza?

– Mogłabym mieć, ale nie chcesz mi pomóc – powiedziała bardzo spokojnie Sasza. – Dziwię się, że nie przekopaliście ogródka, działki czy jego prywatnego lasu pod tym kątem. Może w obejściu prezesa znajdziemy trupa, a może po prostu kwity, jakie facet posiada i jakich używa na przykład do szantażu czy jako tarczy ochronnej.

– Mylisz się – przerwała jej Krystyna. – Przekopaliśmy pół puszczy, każdą jego rabatkę. Zero kości. Żadnych dokumentów. W każdym razie tego typu.

– Tu nie trzeba profilera – zauważyła Sasza. – Tylko uczciwego śledczego, który porządnie przyciśnie Bondaruka i zmusi go do zeznań. Sprawa jest prosta jak drut. Moim zdaniem on nie skasował żadnej z tych kobiet. To one zostały mu skasowane, jak synowie Kuklińskiego. To jednak oznacza, że działalność Rady Sprawiedliwych, o której wspominałaś żartem, jest jak najbardziej aktualna. Jeśli tego nie wyczyścisz, będziesz za chwilę miała ustawkę kibolską z białoruskimi narodowcami, którzy rozpieprzą to miasto w drobny mak. Na twoim miejscu zamówiłabym z Białegostoku georadar.

– Dzięki za radę – zaśmiała się Romanowska. – Powtórzę te brednie zwierzchnikom. Tego chcesz?

– Nie wiem, czy adresuję swoje słowa do odpowiedniej osoby – oświadczyła Sasza bardzo poważnie, jakby jednocześnie nagrywała tę rozmowę. Romanowska natychmiast to wyczuła i zdecydowała się uważać odtąd na każde słowo. Może nie doceniła gdańszczanki. Pozwoliła jej jednak mówić. Chciała wiedzieć, do czego jeszcze profilerka się dokopała. – Nie wiem także, czy, tak jak reszcie, nie zależy ci najbardziej, by te sprawy wyciszyć. Ale jeśli naprawdę jesteś po jasnej stronie mocy, zawieź mnie do prezesa i go przesłuchajmy. Razem. By nie było wątpliwości co do moich kompetencji i motywacji.

– On nic nie powie. – Romanowska odchrząknęła. – Myślisz, że nie próbowaliśmy? Za kogo mnie masz?

– Ja mam swoje sposoby.

– Już wielu, twardszych od ciebie, poniosło w tej kwestii fiasko.

– Teraz sytuacja się zmieniła – stwierdziła Sasza. – On wie, że jest na niego wyrok. I wie, że nie ucieknie.

– Skąd ta pewność?

– Z billingów Bożeny Bejnar. Kobieta nie dalej jak wczoraj rozmawiała z Quakiem. Jego komórka logowała się w Hajnówce. Nie w Meksyku czy Arizonie, gdzie zapewnie chciałabyś go widzieć. Dlaczego nie zatrzymacie brygady Żubra? Dlaczego nie zapełnicie dołka podejrzanymi? Dlaczego nic nie robicie?

– Nie mam takich danych. A więc nie mam podstaw – powiedziała Romanowska i zaraz dodała, by zapewnić sobie podkładkę w razie potencjalnego nagrania: – Jesteśmy tylko komendą powiatową. Zadzwoń do Domana, może on ci uwierzy.

Sasza roześmiała się nieprzyjemnie.

– Nie odbiera moich telefonów. Ale zaczęłam działać na własną rękę. I muszę tutaj podziękować za pomoc twojemu synowi. Twój człowiek od odzyskiwania danych, ten cały Jakub z Ciszyni, pracował kiedyś w Plusie. Sprawdził to jednym kliknięciem. Oczywiście nielegalnie, bez pozwolenia prokuratury, więc nie możemy tego wykorzystać, ale takie działania operacyjne się robi, by potem zadziałać proceduralnie. Przy okazji

dowiedziałam się, że materiały z kompa zhakował mi wasz człowiek. IP wskazuje na adres komendy. Co ty na to?

Romanowska aż się zapowietrzyła.

– Zaraz mam odprawę – wykpiła się od odpowiedzi.

– Jeśli naprawdę jesteś po mojej stronie, przesuń ją – zasugerowała Sasza. – Albo niech Meyer jedzie z nami. Skoro taki jest dobry, powinien wiedzieć, że zebranie danych wiktymologicznych to podstawa. Dziwię się, że to zaniedbał. Bo jeśli posiłkuje się tymi samymi kwitami, nie na wiele się zda jego ekspertyza. Choćby profiler był geniuszem, z gówna bicza nie ukręcisz, jak mawiał mój nieoceniony szef przed laty. Tak à propos, znalazłam przebranie porywacza Iwony Bejnar. Kominiarka i strój weselny były w rękawie fartucha Łukasza Polaka. Mam to w bagażniku. Zabezpieczone prawidłowo. Chciałam ci o tym powiedzieć, a nawet przekazać, ale nie wpuściłaś mnie do komendy.

– Dlaczego nie wezwałaś techników? Zwariowałaś? – zbeształa Saszę Krystyna.

– Bo JahJah o tym wiedział – podkreśliła Załuska. – I podobno pobrali już próbki.

– Nic o tym nie słyszałam.

– To pogadaj z mężem, bo wasze wersje nawzajem się znoszą – zauważyła Sasza i dodała chrapliwie: – Jeśli nadal będziesz mnie używała jako zasłony dymnej, narobię wam smrodu na górze i zapewniam, że ten twój stołeczek możesz już uważać za gorący.

– Grozisz mi?

– Proszę tylko o wsparcie – mruknęła przymilnie Sasza. – Nie odpuszczę tej sprawy. Bądź pewna. Zbyt daleko zaszłam, by teraz zawracać.

Romanowska zobaczyła drugie połączenie na linii.

– Zaraz się odezwę. – Przełączyła Domana.

– Ugryziona się przebudziła – usłyszała. – Podała miejsce ukrycia poszukiwanej, Iwony Bejnar. Puściłem ekipę do starego domu Kośków, to chata na obrzeżach osiedla Mazury. Ta z sadem w samym środku osiedla.

– Myślałam, że jest opuszczona.

– Wszyscy tak myśleliśmy. Genialna kryjówka w stylu „najciemniej pod latarnią” – przyznał Doman. – I mamy ją.

– Żywą?

– W stu procentach – zapewnił. – Nawet zadrapania. Mała od Żubrów kończyła robić mus jabłkowy, kiedy weszło AT. Zawiadom rzecznika. Ludojad przygoni nam tylko ciekawskich turystów. Burmistrz może zacząć wydawać ulotki z wierszykami. Powiedz Frankowskiemu, niech odpala szampana.

– Bierz ją na warsztat, zuchu – poleciła Romanowska. – A wariatkę przybijemy jej bratu wariatowi i wszystko będzie znów na czysto. I to będzie akurat prawda. Ładowarka pasuje, zdjęcie córki ryżej trafiliśmy na jego kwadracie, teraz dobrze by było, żeby był komplet uzębienia. Niech Saczko zadba o stosowne kwity. Przydadzą się.

– Już to zrobiłem – zapewnił Doman. – Była spakowana, jakby zamierzała wyjechać. W portfelu miała pięć dych w setkach. Dokładnie tyle, ile Bondaruk wyznaczył za jej czarny łeb. Powiem szczerze, że śmierdzi mi to na kilometr, bo była bardziej przerażona tym, że jej się mus spali, niż nami. Aha, i wciąż pyta, gdzie Quaku. Wygląda, że kochaś się gdzieś upłynnił. Teraz technicy sprzątają teren. Dam znać, jak będzie coś ciekawego. Na pewno nie chcesz przy tym być? Nie ciekawi cię, dlaczego młoda wysmyknęła się Sinobrodemu?

– Bardzo, ale mam problem z ryżą gdańszczanką.

– Daj mi spokój. Skoro nie ma trupa, sprawa nieaktualna. Niech ruda zjeżdża do domu. Nawet słyszeć o niej nie chcę.

– Chcesz – zapewniła go twardo Romanowska i zatrzymała się na chwilę dla efektu. Zadziałało, bo zaczekał bez gadania na ciąg dalszy. – Załuska odgrzebuje stare sprawy. Wyciągnęła zaginięcie Orzechowskiego. Znalazła jakiegoś nawiedzonego eksperta, który ma parcie na szkło. Gadają o esbekach i Czerwonej Hajnówce. Skumała się z narodowcami, czy jak? Może mają dokumenty z IPN? Za cholerę nie wiem. Wygląda to poważnie.

– Za ciency są. Gaweł ich zutylizuje. Czego burmistrz nie może, to załatwi starosta.

– Czuję, że ruda narobi kłopotów. To zresztą widać jej specjalność – mruknęła Romanowska. – Jest obca. Nie zna zasad. Nie doceniłam jej.

– Rób, jak uważasz – zbył ją Doman. – Byle w papierach było czysto.

– Będzie – westchnęła. – Jak zwykle.

– Biorę Bejnar z Hubertem. Daj chłopakom zielone na zatrzymanie jej mateczki i reszty Żubrów. Czekałem na ten dzień od lat. Mam dziś swój własny sylwester.

– Świętuj zapamiętale. Zrób popis dla pismaków.

– To będzie spektakularne zatrzymanie. Pozwolę im nawet cykać foty we wnętrzach. Niech i oni mają Dzień Dziecka.

– I nie daj sobie odebrać śmietany. Nie odsyłaj ich do rzecznika.

– Za stary kocur ze mnie.

Rozłączyła się, wydała polecenia i ruszyła do radiowozu. Po namyśle włożyła do kieszeni służbowego glocka.

– Za pięć minut pod tartakiem – zadzwoniła do Załuskiej.

– Już czekam pod domem prezesa – padło w odpowiedzi. – Pośpiesz się. Jakieś *groupies* się tu kręcą. Wiek sześćdziesiąt plus. Jedna z nich to ta znachorka z Górnego.

– Jaki *lover*, taki target – Romanowska wysiliła się na żart, ale zamiast do domu Bondaruka skręciła do „osiedla czerwonych świń”, jedynego jak dotąd w mieście deweloperskiego osiedla z klinkierowej cegły, gdzie mieszkali prawie wszyscy oficjele, w tym obecny i byli burmistrzowie, urzędnicy miejscy oraz, od niedawna, także ona sama. Zastukała do sąsiada. Otworzyła jej córka starosty.

– Witaj, Gosiu. Jest ojciec?

Bez ceregieli wpakowała się do mieszkania i nie zważając na to, iż kobieta daje jej sygnały, że właśnie uśpiła niemowlę, zapytała podniesionym głosem, by starosta mógł ją wyraźnie usłyszeć:

– Mam sprawę niecierpiącą zwłoki. Okularnik wyszedł z kosza i syczy.

Adam Gaweł wyszedł w kapciach.

– Nie jestem w humorze, Krysiu. – Ziewnął, jakby zbudziła go z poobiedniej drzemki. – Wnuka mi obudzisz. Kolki ma. Godzinę go

lulałem.

– Będę potrzebowała dofinansowania – zakomunikowała bez ogródek. – Gdańszczanka węszy u Piotra. Jest w takim stanie, że może pęknąć.

Starosta zmarszczył czoło i stwierdził, że zegar się zatrzymał. Podszedł, zaczął go ręcznie nakręcać. Nie śpieszył się z odpowiedzią, więc dodała:

– Wyda nas.

– Ile?

– Ona nic nie weźmie. To na powiększenie mojego metrażu. Niech będzie trzydzieści. Polskich złotych oczywiście. Nie euro, bez obaw.

– Skoro ona nieprzemakalna, kogo na nią napuścisz?

– Załatwię to formalnie. – Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się, przypominając sobie obraz, który Błażej omyłkowo wrzucił do dokumentacji. Teraz z całą pewnością przyda się jako poszlaka, także i w tej drugiej sprawie – Danki z Ciszyni. Zanim Załuska zdoła się oczyścić z oszczerstw, jeśli w ogóle, będzie już za późno. Nikt nie weźmie pod uwagę jej zeznań. Wiarygodność świadka to podstawa, a gdańszczanka sama zadbała o to, by wydać się wszystkim podejrzana. No i jeszcze nielegalne posiadanie broni. Nie ucieknie. Mają jej auto w depozycie. Mam na nią wystarczająco dużo materiału. Nie pozbiera się.

– Wspaniale – pochwalił ją. – Z czym masz problem?

– Nie mam żadnego – Romanowska rozpromieniła się, że zaakceptował jej honorarium. – Tylko moje stanowisko jest wciąż p.o. Zanim podejmę stosowne działania i zawiadomię prokuraturę, wolałabym mieć pewność, że nie zamienisz mnie na JahJah’ę. I chcę lokatę długoterminową, a nie ryzykowny fundusz. Rozumiemy się?

– Stawiasz mnie w trudnym położeniu. Wiesz, że obiecałem mu to krzesło.

– Człowiek sukcesu dokonuje wyłącznie słusznych wyborów – oświadczyła twardo.

– A nie chciałabyś do rady? Wkrótce wybory. Posiedzisz trochę na obradach, ponudzisz się, a potem wystawimy twoją kandydaturę na burmistrza. Poprę cię i tutaj mogę ci zagwarantować obligacje Skarbu Państwa.

Romanowska zaniemówiła z wrażenia. Starosta zamknął szybkę. Zegar znów chodził bez zastrzeżeń.

– Nie myślałam o tym.

– Poprzecinasz wstęgi, odpoczniesz sobie – zachęcił ją. – A i narodowcy się ucieszą z pierwszej szefowej Polki. Mogłabyś wystartować z PiS-u. Masz coś przeciwko zbluzganiu kilku Białorusinów? Musisz być wyrazista. Wiesz, jak pies bojowy.

– Wszystko mi jedno.

– Prawidłowa odpowiedź. – Poklepał ją po plecach. – Nadajesz się do polityki. Przy okazji zamkniemy usta antykomunistycznemu podziemiu.

Zadzwoniła jej komórka. Przeprosiła starostę na chwilę i przeszła do korytarza. Na wyświetlaczu pojawiło się nazwisko Załuskiej.

– Zacznij sama – zarządziła. I dodała szeptem: – Coś mnie zatrzymało.

– Jesteś pewna? – Sasza nie dowierzała. – Przed chwilą wyszły od niego te dwie kobiety i do lokalu wszedł JahJah. Wolałabym, z oczywistych względów, pomówić z Bondarukiem w formacie „jeden–jeden”. Czy to możliwe?

– Jak najbardziej, jeśli uda ci się przekonać nadkomisarza – zapewniła komendantka niezwykle uprzejmie. – Możesz powołać się na współpracę z nami. Masz moją zgodę. Jeśli coś z niego wyciągniesz, daj mi znać natychmiast. Tymczasem puszczam ludzi na ponowne przeszukanie lokalu i terenu tartaku – skłamała.

– Na to właśnie liczyłam! – Sasza rozpłynęła się w podziękowaniach.

Romanowska schowała telefon do torebki.

– Jakie przeszukanie tartaku? – Starosta wyrósł zza jej pleców.

– Taki żart. – Uśmiechnęła się przymilnie. – Wiesz, jednak się zastanowiłam. Frank skoczył, inflacja. Kryzys wciąż daje się we znaki. Nowa oferta obarczona jest większym ryzykiem. Słowem stówa. I piątka górką na działania operacyjne. Przed kampanią wyborczą powinnam jakoś wyglądać. A w spa Ciszynia nie dają rabatów. To co, „Giewont”, jak będzie?

Odpowiedziało jej groźne spojrzenie.

„Oficer prowadzący: «GIEWONT»” – widniało na jednej z teczek na szczycie. Sasza otworzyła teczkę esbeka i zaraz ją zamknęła. Choć nigdzie nie było nazwiska obecnego starosty Adama Gawła – wiedziała już, że to wieloletni szef hajnowskiej Służby Bezpieczeństwa. Piastował to stanowisko latami, aż do zlikwidowania jednostki i przebudowy budynku na przedszkole. Krótko potem został starostą. Nie mogła się doczekać, aż przeczyta całość dokumentacji, ale najpierw chciała wysłuchać spowiedzi Bondaruka vel TW „Stach” do końca.

– Może coś mocniejszego? – zaoferował Piotr, gdy zauważył, że Sasza kolejny raz ziewa.

Tylko rząd pustych filiżanek po kawie na tacy, talerzyk z okruchami po szarlotce i niedojedzony precel wskazywały, ile czasu spędzili na rozmowie. Żadne z nich nie patrzyło na zegarek, ale zanim Bondaruk skończył, zastała ich noc. Piotr zabronił Mariannie wchodzić do gabinetu, gdzie od kilku godzin rozmawiał z profilerką, i zarządził, by dostarczyła im tylko termos wrzątku, herbatę w saszetkach oraz słoik neski. Nie dalej jak trzy filiżanki temu zawołał ją ponownie i kazał iść do domu. Wezwał także zaopatrzeniowca z tartaku i kazał zabrać wszystkie rzeczy, których zdecydował się pozbyć. Od tamtej chwili dzwonek do drzwi domu Bondaruka milczał. Ani Romanowska, ani JahJah, ani żaden z techników, których miała przysłać komendantka, nie dotarli do czworaka Piotra. Na razie Sasza o tym jednak nie myślała. Relacja prezesa tartaku była zbyt wstrząsająca, by jakiekolwiek nowe odkrycie mogło je przyćmić.

– Życzy sobie pani? – ponowił zaproszenie. Na widok złocistej butelki żołądkowej gorzkiej Sasza tylko pokręciła głową, więc Piotr nie bawił się już w nalewanie do literatki, co czynił do tej pory, kiedy profilerka piła kawę.

Upił z gwinta solidny łyk.

– I tak to było, wysoki sądzie – mruknął z przepraszającym uśmiechem. – Nie wiem, kto po mnie posprzątał. Ocknąłem się w szpitalu, przytaśmowany do cewki, wenflonów i z obandażowaną głową. Straciłem

ponad trzy litry krwi. Nie wiem, po jaką cholerę mnie ratowano. Nikt mnie nie przesłuchiwał. Nigdy nie byłem w tej sprawie na komendzie. Potem miasteczkiem wstrząsnęła plotka o zaginięciu dwóch pederastów. Tak się na nich wtedy mówiło. Obaj byli osobami publicznymi, więc w Hajnówce aż się zagotowało. Z czasem sprawa przyschła, a rok później byłem już dyrektorem HPPD.

– Sprawa wprawdzie się już przedawniła, ale dobrze by było to ujawnić – wtrąciła Sasza. Przełknęła ślinę i mimowolnie spojrzała na krocze Piotra. Zastanawiała się, jak to możliwe, że potem spłodził jeszcze trzech synów, ale na razie nie pytała. – Rodzina potrzebuje grobu bliskich.

– Jedyna rodzina, jaką Stepan miał, to żona – rzucił Piotr z przekąsem. – A ona nie chce pamiętać nawet jego imienia. Przez tę aferę, jaką sfingowała esbecja, została naznaczona. Zresztą on faktycznie był homoseksualistą. Dunia wiedziała o tym, wychodząc za niego. Na tym polegał układ. Nie musieli preparować dokumentów. Teraz Dunia żyje tak, jak pani widziała. Według mnie doskonale sobie poradziła. Jej, jako jedynej, jest wszystko jedno, że mogę to ujawnić. Dziś z nią rozmawiałem.

– Widziałam, jak wychodziła.

Skinął głową.

– Tylko ona nie chciała płacić za milczenie, więc starałem się ją chronić, jak umiałem. Obiecałem na przykład, że zabezpieczę Jurka, jej syna – zawahał się – i mojego. Jedynego prawowitego dziedzica. Początkowo była przeciwna, by go wprowadzać w ten układ. Chciała tylko zmian w testamencie. Ale to nie wyszło. Podjąłem próbę przed weselem z Iwoną. Dziś wiem, że pozostali synowie zrobią wszystko, by podważyć każdy dokument, który ich wydziedzicza. To dzieci przysposobione – wyjaśnił, pochylając głowę. – Nie miałem wyjścia, takie dostałem polecenie. Inaczej chłopców też by unieszkodliwiono. Nie mają co narzekać. Jak umrę, będą najbogatszymi ludźmi w mieście. Wiem, że szczerzą się na mój majątek. Zadbałem o nich tylko ze względu na pamięć ich matek. Tak poza tym nigdy nie mieliśmy dobrych relacji. Wie pani, pies z psem zawsze się pogryzie. A młody wygra ze starym. Taka kolej rzeczy. Nie winię ich. Oni nic nie wiedzą. Tak sądzę.

– Dlaczego Orzechowska nie chciała o tym ze mną rozmawiać?

– A pani by mówiła? To opowieści z mchu i paproci. A Dunia to już starowinka. Przeżyła wojnę, komunizm, raczkujący kapitalizm. Nie najlepiej odnajduje się w dzisiejszym świecie. Nie rozumie, że to wciąż jest żywe. Przeszłość jest nie tylko wspomnieniem.

– Przeszłość rzutuje na to, co jest dziś i co będzie – dodała Sasza.

Piotr się uśmiechnął.

– Mówiłem już, że mądra z pani kobieta?

– Kilka razy.

– Bardzo mnie to cieszy – stwierdził i dodał: – Dunia chce tylko spokoju. Jak ja.

– Pan ze mną rozmawia.

Piotr wskazał na walizkę z dokumentami.

– Tu jest wszystko. Odpowiedzi, wątpliwości. Nadzieje i rozwiązania.

Sasza pobieżnie przeglądała już dokumentację, dzięki której Piotr przez lata był kryty. Teczki zawierały jedynie pseudonimy tajnych współpracowników, ale z ich lektury dałoby się łatwo poskładać pełen obraz. Jak na dłoni widać było, kto kim jest dziś w mieście i z jakiego powodu piastuje to stanowisko. Piotr wszystko dokładnie Saszy wyjaśnił. Niektórzy, jak starosta, większość starej daty policjantów lokalnej, ale i wojewódzkiej komendy, przedsiębiorcy, jak szef kablówki czy Mikołaj Nesteruk, właściciel zakładów masarskich, dawniej wielki przyjaciel Piotra, który pierwszy go zdradził, byli jeszcze łatwiejsi do wyśledzenia. Poza dochodami oficjalnymi dostawali emeryturę z MSW. Byli legalnie zatrudnieni na esbeckich etatach. Dziś pełnili w mieście funkcje decyzyjne. Hajnówką wciąż zarządzali dawni komuniści. Tutaj nie było żadnej lustracji, grubej kreski. Ludzie płynnie zmienili życiorys i dbali jedynie, by to co stare, wstydliwe nie wychodziło na jaw. Kto wiedział, ten wiedział. Reszta nic nie rozumiała i nie musiała rozumieć. Dziś liczyła się w mieście tylko kasa.

A z tym prowincjonalni włodarze mieli kłopot. Miasteczko nie było już mekką dorobkiewiczów. Nie było drewna, zwierzyny łownej. Hajnówka stopniowo podupadała. I tym bardziej wszystkim zależało, by podtrzymać cepeliowy mit tolerancji dla inności oraz przyjaźń prawosławnych

i katolików. Jak było naprawdę, Sasza już wiedziała. Nacjonalizmy wciąż żyły.

Młode pokolenie domagało się określenia „czystości krwi”. Podpierało się przodkami – czy to z polskiej, czy wschodniej strony. Miało potrzebę segregacji, samookreślenia. Ale nie uda się młodym niczego zrozumieć, jeśli nie sięgną głębiej, zaledwie pół wieku wstecz. Sasza wiedziała, że starzy nie są w stanie dłużej trzymać takiej bomby pod stołem. Lont podpalono dawno temu. Eksplozja była blisko.

– Mogę to zabrać? – upewniła się Załuska. – Tak po prostu?

– Jeśli nie będzie pani miała tych dokumentów, nikt pani nie uwierzy.

– Potrzebuję jeszcze miejsca ukrycia zwłok Stepana i księdza. Muszę mieć ciała, by wszcząć procedury ekshumacyjne i ostatecznie wyczyścić sprawę.

Piotr przyjrzał się denku butelki. Flaszka była pusta już od kwadransa. Sasza miała nadzieję, że Piotr nie otworzy kolejnej. Nie wiedziała, ile jeszcze wytrzyma w towarzystwie pijaka. Milczała, czekała.

Piotr tymczasem myślał: Ile już miejsc pochówków pokazywałem? Ilu kobietom? Żadna z nich nie przeżyła. Ale nie powiedział tego gdańszczance. Nie chciał, by się przestraszyła, zrezygnowała. Potrzebował jej. Nie pochodziła stąd. Była jego jedyną nadzieją. Na co? Nie wiedział. Miał dość kłamstw. Czasem odnosił wrażenie, że właśnie to w życiu robił najlepiej – mataczył, ukrywał, manipulował danymi, kamuflował się i uciekał. Ale teraz był szczery. Przed śmiercią chciał tylko się wyspowiadać, zrzucić ten ciężar i iść do grobu wolny. Jak, gdzie i kiedy go dopadną, było mu wszystko jedno. Kto to zrobi, też nie miało znaczenia. Chciał tylko, by ruda ujawniła cały szlam, w jakim przyszło mu żyć przez lata.

– Zawiozę panią – obiecał i od razu poczuł się lepiej. Upił ostatni łyk kawy. Termos był pusty.

Sasza rozejrzała się po pomieszczeniu. Do świtu było jeszcze daleko.

– Teraz?

– Choćby i teraz.

Wstał. Wziął kluczyki ze stołu.

– Jestem sprawcą zbrodni tylko na esbeku i księdzu. Zabiłem ich w zemście za to, co mi zrobili. Za gwałt. Nie była to zbrodnia polityczna. Żadna idea mi nie przyświecała. Nikt mi nie zapłacił. Nie żałuję. Nienawidziłem gadów. Miejsc ukrycia ciał Łarysy, Jowity ani Marioli nie znam. Choć nie jestem także pewien, czy są martwe.

– Czaszkę Jowity zidentyfikowano – weszła mu w słowo. – Reszty szczątków nie odnaleźliśmy.

– Nigdy nie wierzyłem, że je ocalą, choć tak mi obiecywano. Oni nie zostawiają niewygodnych świadków. To byłby książkowy błąd. Zginęły, żebym siedział cicho. I siedziałem. W zamian dostałem tartak. Ale to nie jest tak, że je sprzedałem. W dziewięćdziesiątym dziewiątym miałem podzielić ich los. Nie wiem, dlaczego stało się inaczej. Czasem tak sobie myślę, że to zemsta historii za ojca. Wie pani, że mój ojciec był zdrajcą? To on wydał konspiratorów Zachodniej Białorusi Buremu. Pseudonim „Stach” nadałem sobie sam, by pamiętać, skąd się wziąłem.

– Brzmi to wszystko dosyć fantastycznie.

– Jest pani jeszcze młoda. Ale wiem, że wkrótce wypełni pani luki danymi. – Wskazał na teczki leżące na stole. – Pamięć ludzka musi znać historię, by decydować o przyszłości. To nie jest zgodne z interesem tutejszych, ale mam to ogólnie w dupie.

– Jednej rzeczy nie rozumiem – przerwała mu Sasza. – Po co uprowadzono Iwonę? I kto to zrobił?

– Mówiłem już, że to był układ, na który wszyscy poszli – zniecierpliwił się Piotr. – Jurka jak zwykle popełnił głupstwo i trafił do więzienia. Załatwiłem mu lżejszy wyrok, ale nie chciałem się afiszować. Mogłem narazić chłopaka na nieprzyjemności, gdyby wyszło, że to moja krew. Do tej pory udawało się nam to z Dunią ukrywać. Informacja o kolejnym spadkobiercy błyskawicznie doszłaby do Fionika, Tomika i Wasyla. Pomyślałem, że trzeba chłopca zabezpieczyć. To jedyne, co mogłem mu zostawić: pieniądze. Nie brałem udziału w jego wychowaniu. Nie widziałem, jak dorasta. Prawdę mówiąc, wtedy nie byłem tym samym człowiekiem co dziś. Bałem się, że wykorzystają to przeciwko mnie. I myślałem tylko o sobie. Kiedy tylko nadarzyła się okazja, zaprzyjaźniłem się z jego dziewczyną. Wiem, że to dziwne, ale chciałem poznać własnego

syna. Innej możliwości nie było. Dunia nie pozwalała się do nich zbliżyć. Iwona natomiast dużo o Jurku opowiadała. Jest w jakimś stopniu podobny do mnie. Pewnie też ustatkuje się dopiero koło czterdziestki.

– Na razie zniknął. Wie pan, gdzie jest?

Piotr wzruszył ramionami. Na jego twarzy nie było niepokoju. Musiał mieć pewność, że na tej linii wszystko idzie zgodnie z jego planem.

– Z Iwoną – odparł. – Zabezpieczyłem ich na jakiś czas finansowo, żeby, gdy przyjdzie pora, mogli wyjechać. Są bezpieczni. Liczę, że mimo tego wszystkiego spędzają miło czas.

– Czyli gdzie?

– Tego nie wiem – przyznał. – Ałła znalazła jakąś zaufaną osobę. Pomogła we wszystkim. To mój anioł stróż. Znają się z Dunią, odkąd pamiętam, i trzymają się razem. Kiedy Dunia dowiedziała się, co zrobiłem Stepanowi, zaczęła mną gardzić. Brzydziła się mnie fizycznie. Nie może znieść mojej obecności, dotyku. Nie mogliśmy być razem, choć nic bardziej ludzi nie wiąże niż wspólna zbrodnia. Ałła wiedziała o nas, pomagała nam się ukrywać. Nie jest jednak wprowadzona w te polityczne historie. Niektóre kobiety wolą swój świat haftu, śpiewu i zwykłego życia. Ona taka właśnie jest. Ufam jej bardziej niż komukolwiek na świecie.

– To jak to w końcu było z tym uprowadzeniem? – powtórzyła Sasza. Nie dała się zwieść dygresjami. – To nie pan był wtedy w lesie. To był ktoś młody, silny. I była z nim kobieta.

Piotr machnął ręką.

– Wszystko wymknęło mi się spod kontroli, kiedy zrobiłem pierwsze głupstwo. Ten list w wigilię wesela był niepotrzebny. Upiłem się, czułem się źle. Chciałem natychmiast ujawnić prawdę – wyjaśnił. – Początkowo bałem się młodych wprowadzać w szczegóły planu, więc udawałem absztyfikanta. Dobrze się przy tym bawiłem, przyznaję. Młode lico ma siłę rozgrzania zastanej krwi. Szczegóły planu znały tylko matki: Dunia i Bożena. Wiedziałem, że, mimo wszystko, Duni mogę ufać. Bożena dostała za milczenie pieniądze. Do tej pory nie zna szczegółów. Potem wtajemniczyliśmy jeszcze Quaka. Iwona początkowo się wzbraniała. Była Jerzemu wierna. Naprawdę kocha tego głupka. Tym bardziej chciałem ich

ustawić na przyszłość. Przypomniało mi się, że tylko jedna kobieta w życiu była mi tak bliska, i ujęło mnie to.

– Dunia?

Potwierdził.

– Zmieniła się. Kiedyś była inna: dzielna, waleczna, nieustraszona. Ja też mogłem być inny. Dziś sam w to nie wierzę, ale gdyby czasy były inne – zawahał się. Sasza bała się, że odpłynie w opowieści, dywagacje typowe dla ludzi w jego wieku, ale się pomyliła, bo zaraz uciął: – Choć wątpię. Ludzie są ci sami. W tych czy innych realiach dałem się zastraszyć, weszli mi na ambicję. Byłem głównie próżny.

– Co z tym uprowadzeniem?

– Zaplanowaliśmy, że użyjemy ich broni – Piotr wrócił do wątku głównego. – Skoro oni unieszkodliwiali moje kobiety, postanowiłem, że ja zamarkuję to samo. Wiedziałem, że gram ostro. I miałem rację. Wszyscy zgłupieli. Wysłali swoich ludzi, pokrzyżowali nam plany. Wyjęli z mojego garażu jedyny dowód, który świadczył przeciwko mnie. Wóz.

– Jacy wszyscy?

Uśmiechnął się. Wyjął pierwszą z brzegu teczkę. Rzucił Saszy na kolana. Odczytała na okładce: „Giewont/Gałązka”.

– Adam Gaweł, starosta.

Potem sięgnął po kolejną. Tym razem maszynowy napis głosił: „Nil”.

– Przemysław Frankowski.

– JahJah? Miał wtedy osiemnaście lat. Nie powie mi pan, że werbowano na TW kilkunastoletnich chłopców.

– Miał osiemnaście lat i nie dostał się na prawo. Był ze wsi, z marną możliwością awansu, jeśli nie zapisze się do partii, nie zacznie współpracować. Poszedł do wojska. Tam go chwycili. Był sfrustrowany i ambitny. Dostał polecenie uwiedzenia Romanowskiej, córki inżyniera z politechniki. Przyjeżdżała tutaj do wujostwa. Znali się niemal od dziecka. Rozkochał ją w sobie jednak, dopiero kiedy dostał zadanie operacyjne. Inwigilował wuja Romanowskiej i środowisko nielicznych intelektualistów. Nie wiem, czy pani wie, ale jej ojciec i wuj byli na tych terenach jednymi z ważniejszych opozycjonistów. Kolportowali bibułę w najtrudniejszych

czasach, kiedy „Solidarność” na dobre zbierała żniwo w Gdańsku i Warszawie. A zawodowo siedzieli w zbrojeniówce. W samym tartaku miałem piętnaście procent swoich ludzi. Nikt, kto chciał awansować, nie mógł odmówić przynależności do partii. Więc ludzie zapisywali się do PZPR, a potajemnie chodzili do cerkwi czy kościoła. Pozwalałem na to. Pannom z dziećmi załatwiałem żłobek, byle dostarczały cennych informacji. Polacy też byli w szeregach. Nie tylko Białorusini. I co gorsza, prawie wszyscy wierzyli w słuszność decyzji. Tłumaczyli sobie, że takie czasy. Stolica była zawsze daleko. A „Solidarność” – jak za granicą. Za to Moskwa blisko, na wyciągnięcie ręki. Wie pani, że kiedyś Białystok miał być odłączony od Polski? Komuniści mieli na tych terenach zawsze twardy grunt pod nogami i szerokie plecy. Stepan był po moskiewskich szkoleniach. To był najgorszy typ stalinowskiego szczura. Ze świecą takich szukać. A jednak stał się niewygodny. Jak to się mówiło: nie szedł z duchem postępu. Dziś sądzę, że wykorzystali mnie, aby go zlikwidować.

– Mówił pan, że to była zbrodnia w afekcie.

– Przez lata tak uważałem – zapewnił. – Ale też trudno zaprzeczyć, że było im to na rękę. Tak samo w czterdziestym szóstym władze komunistyczne wykorzystały nienawiść oddziałów NZW i rękami Burego załatwili wymordowanie niewygodnych Białorusów. Myśli pani, że dlaczego nie puszczono za nim oddziału pościgowego i pozwolono palić wsie przez tydzień, mordować kobiety w ciąży, dzieci? Prawosławni nie chcieli wyjeżdżać. Nie chcieli zostawić tej ziemi. Dziś w tych wsiach mieszkają Polacy. Nikt białoruskich rodzin nie pamięta. Kiedy pani pojedzie do Zaleszan, Zań, do Wólki Wygonowskiej, powiedzą po polsku, bo nikt już poza osobami związanymi z ruchem białoruskim nie mówi w tym języku, nawet w kraju Łukaszenki, że ludność wyjechała do Związku Radzieckiego, a ziemia leżała odłogiem. Zajęli się nią nowi ludzie – teraz wszyscy to zdeklarowani Polacy. Ta czystka w pełni się udała. Dzisiejsi trzydziestolatkowie nie mają świadomości, że ich korzenie są białoruskie. A jeśli nawet, to nie chodzi o ojczyznę, ale o rozrywkę. Ot, czasem przyjść na festyn, pośpiewać piosenki o ruczaju czy skorzystać z nauki w prestiżowym, zamożnym *liceju*, który gwarantuje młodym udział w ligowych rozgrywkach siatkówki czy powiększoną liczbę godzin angielskiego i niemieckiego.

– Nie mogę się zgodzić – zaprotestowała Sasza. – Pamięciologia to dziś najmodniejszy temat. Tak się dzieje w kwestii Żydów, Niemców, Rosjan. Tak samo będzie i z Białorusinami. Pradziadkowie się bali, dziadkowie starali się zapomnieć, rodzice – wypierali. Dopiero czwarte pokolenie gniewnych dzieciaków z gimnazjum lub szkół średnich chce kopać w ziemi. Odkrywać stare groby i odsłaniać kości zmarłych. Rozliczać winnych i niewinnych, naznaczać tchórzostwo pradziadków. Stąd Narodowa Hajnówka i Mała Białoruś. Dwa bieguny zajadle walczące o swoją tożsamość. Tak naprawdę pragnące tego samego: prawdy. To nie ulega kwestii.

Piotr tylko się zaśmiał.

– To zwykła maskarada! Młodzież nie wybiera białoruskiego *liceja* z sentymentu, lecz z wyrachowania. Oni wiedzą, że po tej szkole będą mieli więcej punktów, kiedy zechcą pójść na studia. Oczywiście na prestiżową, polską już uczelnię. Tak jest wygodniej. Nie wykluczam, że dwójka dzieciaków, które uprowadziły Iwonę, to członkowie Narodowej Hajnówki. Została podburzona przez moich sprytnych kompanów, stare wygi, do nacjonalistycznej nagonki na „kacapa”, by odbić polską brankę. To stały mechanizm. Wykorzystać nacjonalizmy do załatwienia swoich spraw, dla których motywacją jest tylko pieniądz. Forsa. Hajs, jak mówią młodzi. Niech pani nie da się zwieść martyrologii ojczyźnianej. Tak samo było i po Burym. Wsie stały puste. Dobytek ludzi stopniowo rozgrabiono, chaty niszczały. Majątki władza podzieliła, zasiedliła „potulnymi” i „z dobrym życiorysem”, polskich Białorusinów zaś już nie ma. Tak jak nie ma wsi Załuskie.

Sasza podniosła głowę.

– Romanowska pokazywała mi tę miejscowość z drogi. Zostało tam tylko pole. Kawał ziemi niczyjej.

– Wie pani, że wśród zamordowanych furmanów było dwóch braci Załuskich? Bazyl i Janka. Może to pani rodzina?

– Nie sądzę – ucięła.

Przejrzała pozostałe pseudonimy tajnych współpracowników.

– Gałązka, Nil, Rekin, Młot. Brakuje tylko Łupaszki. To przecież ksywy żołnierzy wyklętych.

– Pewnie uważali, że to zabawne. *Szutka* – wyjaśnił Piotr. – Wszystkie dossier, które trzyma pani w ręku, to jednocześnie walczący o niepodległość Białorusini. Już w latach siedemdziesiątych chcieli odzyskać swoją ziemię.

– Pan jest Polakiem.

– Nie wiem, kim jestem. – Piotr wzruszył ramionami. Bazgrał coś na kartce wydartej z kalendarza. Zdawał się mieć całkowicie podzielną uwagę. – Byłem Polakiem, byłem i Białorusinem. Kto tutaj wie, kim jest? Nie ma czegoś takiego jak czysta krew. To tylko teoria. Zwłaszcza na tych terenach. Tym bardziej śmieszą mnie ci aktywiści. Z obu stron.

– A więc Iwona żyje? – Sasza weszła mu w słowo. Odpakowała nową paczkę R1, folię położyła na spodeczek. – Nic jej nie dolega?

– Quaku się nią opiekuje. Czekają na fałszywe papiery, a potem wyjadą. Pomagam im. Potem, jak wszystko się uspokoi, może do nich pojadę. Nigdy nie byłem w Irlandii, a za dobrych czasów byłem prawie wszędzie. Oczywiście służbowo.

– Kto załatwia im te lewe papiery? Pana oficer prowadzący?

Piotr wskazał dokumenty.

– Chudy. Przeczyta pani, domyśli się, kim jest. Szkoda strzępić języka.

Sasza wstała.

– Zadzwonię po wsparcie. Policja musi być przy oględzinach.

– Skoro tak trzeba – skinął głową. Zwinął zapiski w niedużą kulkę i schował do kieszeni wraz z folią od papierosów Saszy, jakby zacierał ślady. Termos, filiżanki i talerzyki ustawił na tacy i odniósł do kuchni. Po chwili stolik był pusty. Nic nie wskazywało, że odbyła się tutaj nocna debata. – Ale pokażę tylko pani. Potem możecie sobie robić ekshumacje. Beze mnie.

Wykręciła numer, ale Romanowska kilkakrotnie odrzucała połączenie. To samo z JahJah’ą i Domanem. Kiedy dostała informację od komendantki, że „nie może rozmawiać, gdyż jest w trakcie czynności”, zdecydowała się zawiadomić ją esemesem. Napisała, że jedzie na miejsce zbrodni. Poprosiła o pilny kontakt. Nie otrzymała odpowiedzi, ale nie zdziwiło jej to. Powinna była się tego spodziewać.

– Jedźmy – zarządziła. – Niech pan wezwie jakiegoś kierowcę.

– Nie ma mowy – odparł. – Nikomu nie mogę tutaj już ufać poza panią.

Ałła stąpała ostrożnie, niemal bezszelestnie. Od kilku dni nie spadła nawet kropla deszczu. Słońce zaś prażyło niemiłosiernie, jakby nastało już upalne lato. Choć od rzeki ciągnęło wilgocią, łąka wyschła na wiór i nocą, w świetle księżyca, przypominała ściernisko. Tą drogą kobieta szła dopiero trzeci raz, ale jeszcze nigdy się tak nie bała. Żywopłot skrywał wejście i nie była pewna, ile zajmie jej znalezienie bramy. Miała latarkę. Nie zapalała światła wyłącznie z obawy, że zostanie zdemaskowana. Kiedy dotarła do domu Kośków, jej obawy okazały się głupstwem. Już z daleka dostrzegła wejście otulone czerwono-białymi taśmami policyjnymi. Pochyliła się pod kawałkiem folii i pewnie nacisnęła klamkę. Tak jak się spodziewała, drzwi były zamknięte i zaplombowane. Włożyła klucz do zamka i z trudem przedostała się na dziedziniec.

Teraz mogła już sobie poświecić. Wiedziała, że żywopłot jest szczelny. Posapując ze zmęczenia, ruszyła wprost do studni. Chwyciła wiadro, odkręciła stary łańcuch. Hałas, jaki robiła zardzewiała korba, podniósł jej włosy na karku. Przyśpieszyła. Wreszcie wiadro uderzyło o dno. Usłyszała plusk, a potem uderzenie metalu o metal. Przymknęła oczy i skupiła się na zadaniu. Musiała wyłowić to, co znajdowało się na dole. Nabierała i wyciągała kolejne wiadra wody. Za każdym razem wylewała ją do stojącej obok balii. Była spocona, zmęczona. Ręce jej zgrabiały. Miała ochotę usiąść i odpocząć, ale wiedziała, że tego nie wolno jej zrobić. Sapiąc i śliniąc się, ponowiła łowy. Tym razem skutecznie. Kiedy ostatkiem sił wyciągała na wpół puste wiadro, na jego dnie zobaczyła nieduży pakunek. Zanurzyła rękę w wodzie, wyjęła porządnie ofoliowany przedmiot. Był nieduży i ciężki. Skostniałymi palcami zaczęła rozsupływać taśmę, ale szybko się zorientowała, że bez noża lub nożyczek nie rozpakuje znaleziska. Po kształcie poznała jednak, że ma to, po co przyszła. Na wpół rozdarta folia ujawniała rękojeść starego rewolweru typu buldog. Był skorodowany. Lufę miał obciętą zaraz przy magazynku.

– Może pomóc? – usłyszała za plecami męski głos.

Odwróciła się gwałtownie. Mokra paczka omal nie wypadła jej z rąk.

Las nocą jest tylko czernią. Korony drzew skutecznie osłaniały ich od wiatru. Nie słychać był nic prócz ciszy i typowych puszczańskich pohukiwań sowy bądź stąpania przemykającej w oddali zwierzyny. Piotr zaparkował przy wycince drzewa, dalej musieli dojść na piechotę. Uzbrojeni w latarki i mapę, na której Sasza oznaczała drogę dojazdową, by następnego dnia przywieźć tutaj śledczych, dotarli do zagajnika zwanego Pod Płaczącą Wierzbą. Już z oddali Załuska dostrzegła brzozowy krzyż. Bielał na tle ciemności. Piotr podszedł i podniósł kawałek drewienka. Wyjął z kieszeni młotek. Przybił prawosławną poprzeczkę.

– Ludzie myślą, że to miejsce straceń. Przychodzą się tu modlić. Poniekąd mają rację – rzekł. – Tyle że ten, kto tutaj spoczywa, nie zasługuje na modlitwę. Ale to moja opinia i ja ją podzielam.

Sasza marzła. Zbyt lekko ubrała się na tę pogodę. W dzień doskwierał upał, ale noce były jeszcze chłodne. Szczękając zębami, wyjęła telefon i zrobiła zdjęcie domniemanego grobu. Pozostawała jednak wciąż sceptyczna.

– Chce mi pan powiedzieć, że to tutaj?

Piotr skinął głową i wskazał chatę w oddali.

– To się stało tam.

Gospodarstwo było otoczone starym zbutwiałym płotem. Z daleka wyglądało na opuszczone.

– Teraz mieszka tam Dunia – dodał.

– Ona wiedziała od początku?

– Raczej tak – odparł wymijająco. – Myślę, że w końcu jej powiedzieli, bo kiedy ja wyznałem prawdę, nie chciała mnie wysłuchać. Ważne dla nich było, żeby nie domagała się poszukiwań i czuła współwinna. Strach przed współodpowiedzialnością zapewnia zmowę milczenia. Tak, myślę, że wiedziała. Może ją pani sama spytać.

– Już mówiłam, jak na mnie reaguje – przypomniała Sasza. – Milczeniem.

– Wtedy, po tym wszystkim, odwróciła się ode mnie. Po prostu zaczęła mnie unikać. Nie pozwoliła nawet zobaczyć syna. Jakbym nie był go godzien.

Piotr podszedł do solidnego dębu. Bez trudu zdrapał z kory wierzchnią warstwę mchu, aż wreszcie ich oczom ukazał się nieduży prawosławny krzyż.

– Nie wiem, kto go wyrył. Taki sam był w miejscu odkrycia zbiorowej mogiły furmanów. Ktoś przychodzi i regularnie go poprawia. Nie ja. I nie Dunia – powiedział Piotr. – Ktoś inny natomiast regularnie wyrywa ten krzyż i wrzuca go do rowu. Jakby dawał znak, że nie ma na tych terenach miejsca dla ruskich. Rozumie pani, dla niektórych to synonim: prawosławny równa się ruski, a Białorus to jeszcze gorzej, bo komunista.

– Ludzie lubią upraszczać rzeczywistość – zauważyła Sasza. – Dzięki temu się w niej nie gubią. Stąd ostatnio tyle marszów narodowców. Cała Polska boryka się z tym problemem. Nacjonaliści, zwłaszcza ci najbardziej radykalni, wręcz faszyści, wyrośli na kontrze do poprzedniego systemu. Obecny ustrój na to zezwala. Każdy ma prawo manifestować swoje poglądy. Byle nie robił krzywdy innym. Ale na to jest już osobny paragraf.

– Możliwe – przyznał Piotr z przekąsem. – Ciała tych dwóch skurwieli leżą na głębokości sześciu metrów, może więcej. Gdybym dziś miał wybór, wyjechałbym wtedy za granicę. Podpisał lojalkę i wypieprzył do Francji, Anglii czy choćby Australii. Jak najdalej stąd, od mojej ojcowizny. Może one by żyły. Miały pecha, że spotkały mnie. Ale nie da się cofnąć czasu.

Sasza poświeciła i przyjrzała się glebie. Była czarna, pozbawiona trawy. Jeden z młodniaków był wykorzeniony. Leżał obok, jak wyrwany w ogródku chwast.

– Wygląda na zoraną. – Podniosła pytająco głowę. – Ktoś grzebał w tej ziemi.

– Osobiście przekopałem ten dół dwa miesiące temu. Wyjąłem jedną głowę i przekazałem policji – wyjaśnił. – Dlatego jestem pewien, że reszta szczątków nadal znajduje się w tym miejscu. Nigdzie indziej.

Sasza się skrzywiła. Poczuła wstręt do starego, a po chwili strach, że znajduje się z brutalnym mordercą w środku głuszy całkiem sama. Jaką miała pewność, że powiedział jej prawdę? Gdyby ją zaatakował, nie

miałaby żadnych szans. Bondaruk nie był zniedołężniałym starcem. Wciąż żylasty, gibki i na tyle silny, by bez trudu ją obezwładnić, zatłuc i zakopać pod tym krzyżem. Komu przyszłoby do głowy szukać jej ciała w starym powojennym grobie, za jaki uchodziło to miejsce? Ręka w gipsie nie poprawiała sytuacji.

– Niech się pani nie boi – zaśmiał się, jakby czytał w jej myślach. – Tam są tylko kości. Tylko tyle zostanie z nas po śmierci. Jeśli mam być szczery, nie wierzę w duchy. Ale czasem, kiedy tu przychodzę, te obrazy wracają.

Przyłożył dłonie do nosa, zaciągnął się i wzdrygnął.

– Znów go czuję – powiedział. – Nie pamiętam szczegółów. Nie potrafię odtworzyć przebiegu zdarzeń. Jak to detalicznie przebiegało. Rozumie pani: co, po czym i gdzie.

– Afekt fizjologiczny – mruknęła Sasza i zdiagnozowała: – Chwilowa utrata przytomności i wyparcie w samoobronie, by móc dalej żyć. Całkiem popularna reakcja.

Skinął twierdząco głową.

– Nawet mi się to nie śni. Ale nigdy nie zapomnę tego metalicznego zapachu krwi. I jej słonego smaku w ustach. A potem zapach szpitala. I ta cewka.

– Po co pan wykopał tę czaszkę? – natychmiast zmieniła temat.

Piotr się zawahał. Nie odpowiedział od razu. Odezwał się chrapliwie dopiero po dłuższej chwili.

– Chcę, by pani ujawniła to miejsce. Może pani powiedzieć, że wydedukowała to jakąś swoją metodą. Profilowanie geograficzne? Jasnowidzenie? Przeciek? Cokolwiek przyjdzie pani do głowy. Tylko niech pani nie miesza do tego Duni. Ani mnie – dodał.

– Jak to? – zbiesiła się Sasza.

– Sądzi pani, że grób esbeka wykopałem sam? W latach siedemdziesiątych?

Sasza wpatrywała się w niego w oczekiwaniu.

– Mówił pan, że ktoś posprzątał. Nie minęło pół godziny, a zmienia pan zeznania.

Zmrużył oczy, zdenerwował się, ale uspokoił ją gestem.

– Chatę posprzątano, a zwłoki na siedem lat zamurowano w jednym z garaży starego szpitala zakaźnego. To tam pracowała wtedy Dunia i moja matka również. Kiedy wybudowano nowy szpital, a ten teren sprzedano, musiałem przemieścić ciała, żeby robotnicy ich nie znaleźli. Dół na sześć metrów pomogli mi wykopać ludzie z pobliskiej wsi. Związkowcy z tartaku, których hołubiłem. Większość już nie żyje, ale mają dzieci. Byłem dla nich jak batiuszka. Nawet lepiej. Dorobili się. Może nawet ojcowie nie ujawnili im, skąd we mnie tyle dobroci. Kto posprzątał miejsce zbrodni, tego nie wiem. Pewnie wysłali jakichś posługaczy z esbecji, może milicji. Ale nowy grób kopałem tymi rękami. Każdy, kto mi pomagał, wiedział, kto tutaj leży i kto odebrał mu życie. Mieli mnie za bohatera, który zgładził bestię. Tak właśnie wyglądają tajemnice w prowincjonalnych miasteczkach. Każdy wie, ale nikt nie powie.

– A może to byli ci, których akta dał mi pan dziś jako esbeków, komunistów? Chce pan zrzucić na nich odpowiedzialność?

Piotr uśmiechnął się chytrze.

– Może to byli jedni i ci sami ludzie.

– Więc dlaczego działa pan na ich niekorzyść? Dlaczego chce pan mnie obciążyć tą wiedzą?

Piotr zawahał się, a potem wyjął zza pazuchy zawiniątko.

– To dokumenty zamordowanych wozaków, których prochy do dziewięćdziesiątego piątego roku spoczywały w ziemiankach koło Puchał Starych, gdzie Rajs z oddziałem dokonali na nich egzekucji. Pięćdziesiąt lat czekały na ekshumację. Przez pięćdziesiąt lat nikomu nie było na rękę, by zawiadomić władze, choć komuna upadła już w osiemdziesiątym dziewiątym. Wśród wozaków są bracia Załuscy.

– Już pan mówił.

– Duni nazwisko rodowe to Załuska.

Sasza roześmiała się jak z dobrego żartu.

– Wie pan, ile osób w Polsce nosi takie nazwisko? A ilu na świecie, na emigracji?

– A ilu z nich zdrabnia swoje kosmopolityczne imię Aleksandra na Sasza?

Kobieta machnęła ręką.

– Bzdura.

– Może i tak. Niech pani spyta ojca, kim była jego babka i skąd pochodziła. To może rozwiać wątpliwości. Może faktycznie się mylę. Ale jak na panią patrzę, jest w pani urodzie coś wschodniego. I ta zajadłość, ten wschodni zakapior. Nasza krew.

– Białorusini to raczej niezbyt wojowniczy naród. Nie zrobili nawet jednego powstania.

– Bo przez wieki ich ziemię rozbierali na zmianę Polacy, Rosjanie i Niemcy. Ale to się zmienia. Mówiłem pani o Małej Białorusi i Ruchu Autonomii Podlasia. Jeśli powie im pani, że ma pani tutejsze korzenie, będą inaczej śpiewać. Pomni pani moje słowa.

– Mam kłamać?

– Jeśli wozacy to pani przodkowie, to znaczy, że jest pani tutejsza. A tutejszym jest się nie dlatego, że jest się Żydem, Polakiem czy Niemcem, lecz dlatego, że prochy przodków leżą w tej ziemi. Sama pani mówiła, że nie ma „czystej krwi”. Dotąd była pani obca. Nikt nie chciał z panią szczerze rozmawiać. Obcych karmi się słoniną, poi wódką, nocuje we własnym łóżku i opowiada łzawe historie o tym, jak ciemiężono ten naród. Ze „swoim”, „tutejszym” mówi się o tym, jak było naprawdę. Bo tutejsi wiedzą, że zachowa pani milczenie. To tylko prosty fortel, propozycja, by wydobyła pani na światło dzienne to, czego nie ujawni nikt z tutejszych śledczych. Właśnie z tego powodu.

W tym momencie zobaczyli światło od szosy. Ktoś jechał autem. Piotr chwycił Saszę za rękę, zasłonił usta i siłą ukrył ją wśród drzew. Nie była w stanie wydać żadnego dźwięku. Kiedy światła się oddaliły, a Bondaruk ją puścił, wściekła natychmiast wyskoczyła na drogę z krzykiem i zaczęła machać rękami. Zaczęła rozpaczliwie dzwonić do Romanowskiej.

– To nie była policja – mruknął Piotr.

– A kto?

– Powinna pani pomówić z Dunią – upierał się Bondaruk.

Już wytrzeźwiał i wyglądał na starszego, niż był. Dotarli do wozu, otworzył drzwi.

– Lepiej będzie, jeśli odwiozę panią do hotelu – powiedział. – Mnie już pewnie szukają. Muszę się meldować, a opuściłem areszt domowy. O pozory tutaj trzeba dbać, bo one są najważniejsze.

Ruszyli.

– Nurtuje mnie jeszcze jedno – odezwała się Sasza po chwili. – Kto fizycznie dokonał zbrodni na pana kobietach? Musiało to pana dręczyć przez lata. Zakładając, że oczywiście mówi pan prawdę i także ich grobu nie ma w tej głuszy.

– Pani mi nie wierzy? – upewnił się Piotr. – Po tym wszystkim, co pani powiedziałem?

Sasza nie potwierdziła ani nie zaprzeczyła. To nie był moment, by stawać po którejkolwiek ze stron. Czuła się zbyt skołowana.

– Kto to zrobił? – powtórzyła twardo. – Lub kogo pan podejrzewa?

– Ludzie mówili, że Stepan miał córkę z pierwszego małżeństwa. Mieszkała w szkole z internatem. Rzadko przyjeżdżała do domu.

– To Stepan nie był gejem?

– W tamtym czasie gejów nie było – przerwał jej Piotr całkiem poważnie. – To była dewiacja, choroba psychiczna, którą należało leczyć. Każdy gej jak najszybciej znajdował sobie małżonkę. Mówiłem, że Stepana „zrzucili z helikoptera” po szkoleniach w Moskwie. Nikt do końca nie znał jego życiorysu. Mówiono, że pochodził stąd, ale kto to może wiedzieć na pewno. Zresztą to był klasyczny stalinowski aparatczyk. Drobnica, żaden wielki komunista, który zasługiwałby na rozmowę z Torańską. W dniu, kiedy Stepan zginął, Irma miała siedemnaście lat. Nigdy jej nie widziałem. Spotykałem się z Dunią raczej potajemnie, a ona z rzadka wspominała o pasierbicy. Nie były w dobrych stosunkach, ale jej matkowała.

– Niech zgadnę – Sasza pokręciła głową. – Dziewczyna zniknęła bez śladu po tym, jak zarąbał pan Stepana i księdza?

– Dunia twierdzi, że to Irma mnie uratowała – potwierdził Piotr. – Dzięki niej się nie wykrwawiłem. Jak przez mgłę przypominam sobie, zanim straciłem przytomność, czarne lakierki z kokardą w kałuży krwi, bo dzięki

pozycji ojca mogła mieć dobre ciuchy, ale nie wiem, czy tego nie wymyśliłem. „Giewont” sugerował, że dziewczynę skasowano, ale ja myślę, że po prostu wzięli ją na współpracownika. Wywieźli, szkolili, dali jej nowe personalia, życiorys. Umieli załatwiać takie sprawy. Pytała pani, czy kogoś podejrzewam. Tak. Sądzę, że to była zemsta osobista. Odwet za zabójstwo ojca i odebranie mu czci. Na nią jedyną nie mam dokumentów, bo o jej istnieniu nie wiedziałem do dziś. Dunia mi powiedziała, że dziewczyna żyje.

– A może to kłamstwo i Irma gdzieś tutaj leży. W jakiejś ziemiance albo rowie wykopanym przez siedmiu wspaniałych – zakpiła Sasza. – I to dlatego pan tak cierpi. Bo Stepana panu nie szkoda, ale niewinnej siedemnastolatki już tak.

– Może – przyznał Piotr. – Ale w takim wypadku nie mam pomysłu, kto mógłby mnie tak nienawidzić, by zabijać moje kobiety, gromadzić na mnie teczkę. Przekupiłem wszystkich. Nie chodziło o pieniądze.

– Nie wierzę, że nie zna pan jej nazwiska. – Sasza przechyliła głowę, kiedy zatrzymali się pod motelem Żubr.

Teraz świeciły się tylko dwie litery neonu. Tutaj zaczynała swoją podróż i jakże naiwnie sądziła, że cała sprawa zajmie jej nie więcej niż kilka godzin. Dziś mijał prawie tydzień, a końca jej wyprawy nie było widać.

– Niestety, jest tak dobrze ukryta, że nie doszedłem, kim może być dzisiaj – odparł. – Miałaby dziś dokładnie pięćdziesiąt cztery lata.

Sasza wysiadła, wzięła pod pachę pakunek z dokumentami i odwróciła się do Piotra.

– Niech pan uważa na siebie.

– Pani tym bardziej – powiedział. – I koniecznie proszę zrobić kserokopie. W Ciszyni jest samoobsługowa kopiarka. Niech pani nie wypuszcza tego z rąk. Dobrze radzę.

– Niech się pan nie boi. Wiem, co robić.

– Ja już niczego się nie boję. – Wyjął zza pazuchy zawiniątko. Wydobył z niego dwa stare dokumenty. – A to dowody braci Załuskich. Niech pani pokaże to matce, ojcu, krewnym. Może ich rozpoznają. Jeśli nie, niech pani to przekaże do IPN-u.

– A reszta? – Sasza wskazała piterek, w którym Piotr trzymał dokumenty pozostałych furmanów.

– Po mojej śmierci zostaną przekazane ich prawowitym spadkobiercom. Zrobią z tym, co uznają za stosowne. Jestem stąd, muszę dbać o zasady. Jeśli będą chcieli milczeć o zbrodniach antykomunistycznego podziemia, muszę na to pozwolić. – Ruszył z impetem z parkingu.

JOWITA
(1999)

– Włożyłem kościołowy dres i moją odblaskową kurtkę adidasa. Nikt nie ma takiej na mieście. – Dobrze odżywiony kafar przerwał, kiedy ktoś zapukał do drzwi apartamentu.

Marzena wrzuciła papierosa do pustej butelki po piwie i poderwała się z kanapy krokiem tanecznym, jakby była słomianą wdową. Wszedł Piotr. Kafar na widok faceta w garniturze wstał, podparł się pod boki, eksponując walory barów, jakby zamierzał rozłożyć skrzydła.

– Luzuj, Igor. Swój – rzekła Marzena pojednawczym tonem, jakby uspokajała psa. Wyjrzała na korytarz, zamknęła drzwi.

Góra mięsa wykonał polecenie i odkroił sobie dużą porcję pasztetu, który ułożył na miniaturowej piętce od chleba, a potem wsunął w całości w otwór gębowy. Przeżuwał powoli, nie spuszczając wzroku z gościa.

– Jest Nikolai? – zapytał Piotr.

Postawił pod ścianą zniszczoną torbę do tenisa. Delikatnie, jakby zawierała szkło. Nie używano jej zapewne w celach sportowych, bo cała była zachlapana klejem i trocinami. Kiedy puścił rączki, wierzchni materiał natychmiast wklęsł. Była w połowie pusta. Ochroniarz natychmiast zawiesił na niej wzrok.

– Zakupy – wyjaśnił Bondaruk i powtórzył pytanie. – Szef na zagrodzie?

Marzena pokręciła głową, a potem ten sam ruch powtórzyła biodrami. Jej blond tapir na głowie à la Madonna z *Like a virgin* był polakierowany w stałą konstrukcję i przetrwa, w jakiejkolwiek pozycji znajdowałaby się kobieta. Wizerunek w tym zawodzie to podstawa, fakt. Jej był klasyczny jak na branżę, w jakiej robiła, choć na owe czasy dawno już niemodny. Miała widać talent do większego oszpecania się, bo urodą nie grzeszyła raczej od urodzenia. Nikomu to widać jednak nie przeszkadzało. Uwaga klienta skupiała się wyłącznie na wylewającym się zza bluzki potężnym biuście.

– Wyszedł po mocz dla klientów – odparła radośnie, zezując jednocześnie na Igora. Nakładał sobie teraz na pajdę chleba smalec z cebulą. Pożarł to i dopiero wtedy anemicznie skinął głową.

Wskazała gościowi wolne miejsce na kanapie. Igor przesunął się, by Piotr przypadkiem nie usiadł zbyt blisko.

– Z godzinę temu – dodała. – Coś musiało go zatrzymać. Może zamówili zmrożoną? Lodówka się u nas spierdoliła. Jowita wstawiła przedwczoraj gorące grzanki. W ciągu godziny termostat poszedł się jebać. Teraz zarabia na nową – zaśmiała się nieprzyjemnie. – Honorarium wzięła potrójne, z góry. Sama stryjenka chciała.

Piotr rozejrzał się po przestronnym mieszkaniu. Cztery pomieszczenia promieniście odchodzące od salonu. Niewiele było tutaj sprzętów. Poza stolikiem z palet, kanapą i dwoma tekstylnymi fotelami z jego zakładu tylko białe ściany. Rząd czystych okien. Rolety zaciągnięte. Wzorzysty dywanik w zielono-różową zebrę. W każdym z pokoi drzwi z antywłamaniowymi zamkami. Nalepek gwarancyjnych jeszcze nie zdjęto. Monterzy skończyli dopiero przed weekendem. Piotr sam pilotował ich pracę. Wiadomo było, że dziewczyny kradły, co popadło. Forsę, ciuchy, kosmetyki, nawet pończochy sobie podbierały. A w razie przypału żadna się nie przypucuje, choćby złapano ją „na gorącym”. Ale nie przed nimi Nikolai zabezpieczał się gerdą. Znał branżę nie od dziś. Klient, który tutaj trafił – a była to najlepsza, bo jedyna profesjonalna agenturka w mieście, żadne tam sąsiedzkie cichodajki za flaszkę czy pęto kiełbasy – chciał całkowitego zaufania. Nic nie mogło mu zaginąć. Nikt go nie mógł zobaczyć. Dziewczyny były raz w tygodniu atestowane przez ordynatora szpitala. Zdrowe, czyste i, przynajmniej teoretycznie, nienaćpane. Ale właśnie dlatego, że tyle w nie zainwestował, kiedy nie pracowały, Nikolai zamykał je na klucz.

Osiedle Manhattan oddawano do użytku dopiero za kilka miesięcy, choć niektórzy lokatorzy, dzięki stosownym znajomościom, już zaczęli wić swoje nowe gniazdka. Nikolai ze swoją agenturką był jednym z pierwszych lokatorów, którzy dostali klucze. Wcześniej mieli siedzibę tylko w Białowieży. Na parapetówkę zjechała się cała wierchuszka policji, lokalny dziennikarz, szef kablówki i wyżsi rangą urzędnicy. Pouzywali gratis, w każdym tego słowa znaczeniu. Nikolai udostępnił swoją trzódkę i zaprezentował lokum. Wódkę ufundował jeden z hotelarzy. Sałatkę jarzynową i kołduny do barszczu dziewczyny zrobiły same. Piotr też tu był i oficjalnie skorzystał. Wtedy właśnie Marzena dotrzymała mu

towarzystwa. Obejrzeli w jej celi *Mroczne miasto*. W odzieży, jak starzy przyjaciele. Nawet nie spytała, co mu dolega. Nie chciała usłyszeć, że szef tartaku woli na przykład chłopców. Nikolai tego działu usług na razie nie przewidywał. Choć Piotr nie musiał, zapłacił jej dwie stówy górką. I nie musiała z tej promocji oddawać połowy alfonsowi. Tak zawarli milczące przymierze.

Jowita, jej przyjaciółka, miała wtedy największe branie. Po imprezie była tak spracowana, że przez kilka następnych dni odpoczywała wyłącznie na wznak. Nikolai dogadzał jej rosołkiem i ballantine’em w kryształach oraz przyznał laur koproducentki imprezy. Kiedy doszła już do siebie, pozwolił na kilka dni pojechać do dzieciaka. Klucz do jej kajuty skwapliwie jednak zabrał. Wiedział, że tylko wtedy wróci. Po dokumenty i zaległy hajs.

Poza nią były jeszcze trzy Ukrainki. Nie miały wiz, więc i nigdzie się nie wybierały. Wojaże do stolicy bez papierów i znajomości języka, w porównaniu z luksusem roli call girl w małej mieścinie, gdzie wszyscy cię rozumieją, bo w domach mówią chachłackim ruskim, były zbyt ryzykowne. A zresztą Nikolai był ich krajanem. Czuły się tu lepiej niż w domu, gdyby kiedykolwiek go miały. Lokalne dziewczyny dochodziły w ciągu dnia, od dziesiątej do szesnastej, kiedy ich dzieci były w szkole lub przedszkolu, a profesjonalistki odsypiały nocną orkę.

Większość pokoi zamknięto dziś na głucho. Tylko jedne drzwi pozostały uchylone. Widać było umocowany do framugi materiał wygłuszający. Piotr spojrzał na Marzenę, lecz zamiast odpowiedzi wyjęła z kieszeni klucz, przekręciła dwukrotnie. Gąbka wygłuszająca zniknęła jak wyrzut sumienia.

– Teoretycznie mam wachtę, ale ludzi jakby wywiało. Może to środek tygodnia, pogoda, przypadek. A może i nie – skłamała i uniosła podbródek, wskazując drzwi naprzeciwko.

Piotr domyślił się, że lokal wizytuje dziś któraś szycha z parapetówki. Lokal świecił pustkami, bo ktoś zamówił exclusive. Prezes nie zapytał, kto jest w środku, bo w obecności ochroniarza Marzena i tak by nie odpowiedziała szczerze. Igor, choć mózg pracował mu w zwolnionym tempie, był z natury raczej nerwowy. Jedynie ekonomicznie racjonował energię. Teraz widać włączył tryb „czuwania”, ale gdyby doszło do bójki,

z miejsca zmieniłby się w amstafa. Kobieta na siłę starała się rozluźnić atmosferę. Zwróciła się do kolegi z chytrym uśmieszkiem:

– Kręć bekę dalej. Bond swój. – Mrugnęła do Bondaruka albo tak mu się tylko zdawało. Marzena Koźmińska miała klasycznego zeza i – co było całkiem urocze – zupełnie się tym nie przejmowała.

Kafar nie od razu zareagował. By przetworzyć informacje, jego sterowany sterydami, przestarzały komputerek potrzebował widać więcej czasu niż mózg reszty populacji. Golnął ostatni łyk piwa, rozsunął zamek w bluzie, ale pustej butelki nie odstawił. Piotr domyślił się, że w razie draki zamierza jednym uderzeniem rozbić ją o lichy stolik i zrobić z niej tulipan. Podszedł do swojej torby i wyjął trzy połówki czystej, a potem dołożył jeszcze półtora bimbru w plastiku po mineralnej Oaza.

Kafar bez słowa odbił denko pierwszej butelki z brzegu, a potem płynnie wrócił do przerwanego wątku. Nagle zamienił się w niezłego gadułę. Jak się okazało, zaszył się tu po ekscesach w stolicy. Chłopak z Bródna, syn szlifierza, wychowywał się z Marzeną pod tym samym blokiem. Była od niego starsza, więc raczej to ona go wychowywała, ale teraz traktował ją protekcjonalnie, niczym swoją młodszą siostrę, co najwyraźniej obojgu bardzo odpowiadało. Naprawdę było mu na imię Juliusz, ale w tych rejonach Igor brzmiało wiarygodniej. I zdecydowanie lepiej do niego pasowało.

– A ten podstarzały lambrozo w obcisłym T-shircie mówi, że chcieliby coś powąchać – ciągnął Igor swoje warszawskie wspominki. – To ja mu gadam, żeby skakał po flaszkę. Wymiana spojrzeń, bo może to wystawka. Pały już od wczoraj za mną łażą. Przypał był już, jak zgarnąłem sushi temu małolatowi w pedalskich okularkach, a potem wziąłem reklamówkę łomży w puszkach złodziejom z Piaseczna. I jeszcze ta czarna świnia z różową grzywką, co niby miała być z Krakowa. Legitymację ratownika pokazywała w KFC i wpisała sobie na niej długopisem, że jest rocznik osiemdziesiąty. Ja widzę przecież, że ma trzydziechę i jest tylko stuningowana. Komórkę jej zawinąłem i dzwonię pod ostatni, a tutaj włącza się zajezdnia autobusowa. Numer boczny mi facet podaje, żeby mu fona na pętli oddać. Kasę obiecywał. Kilka stów, bo mu niby tak zależy. Żona kupiła na walentynki-srynki. Jadę więc na Okęcie, bo w kieszeni pustki, a tam chmara psów. Okazuje się, że czarna działa na psiarni. No mówię wam,

bomba na bombie. Piję dziesiąty dzień, bez przerwy. A ten lambrozo na to, że tu tylko wyborowa za siedem dych, a on nie ma kasy. To ja mu na to: jak jest po prawdzie? Nie masz kasy, a wąchać coś chcesz? Pomruczał, pomruczał coś z tymi trzema od korpo. A jeden miał taki dziwny sweter, jak dla dziecka. Robiony na drutach, różowy albo czerwony i jakieś takie wesołe znaczki na przedzie. A nie wyglądał na cwela, co wziąłby starego ciucha z „pisikej”, bo tacy jak on w ten właśnie sposób chcą się wyróżniać. I brodą Jezusa jeszcze. Parówa, jak nic. To patrzę na ruska pod ścianą, a potem on na mnie. Wstaję. Biorę flachę ze stołu i jadziem z tej gorzelni. Na schodach ochraniacze nas haltują. Tak wiecie, za dres i wygląd. Więc ja mu mówię, że co wy, chłopaki, myślicie, że my tu narkotykami handlujemy? Walcie się, razem z tym pedziem od Dżizasa. I poszliśmy. Ale na schodach, nie tknąłem go, choć miałem chęć, ten pederasta goni nas z mordą, śliną mi pluje na maskę i jadzie, że, kurna, to była jego flacha. Że on ludzi sprosił, bajerę puszcza coś o przyjaźni polsko-ruskiej, więc pokazałem mu plecy, daję rurą po dwa stopnie w dół, a ten nagle mnie wyprzedza i sam wali się na ryło. Zarechotałem, bo jak wstał, to nos miał uświniony. Jucha mu poszła, zadrapanie nieduże, ale nos i tak jak haczyk, taki sam jak mój. Zęba na przedzie już od wczoraj nie miałem, bo wyjąłem z Tesco pół kilo wołowiny, takiej dobrej za czterdzieści złotych kilo i żeśmy pożarli na surowo. To wtedy mi się stało, że jedynka pękła. Więc dałem mu chusteczki, co to je trzymam dla potrzeb dam, z którymi się bujam po robocie, uczciwymi, nie żadne świnie z dworca, i mówię: weź się, człowieku, napij herbatki. I poszliśmy na pigalak. Tam obszczałem toitoia, bo byłem tak napruty, że myślałem, że jest zamknięty. Ten ruski walnął klocka z drugiej strony, dla symetrii krajobrazu. Na filmie w komórce to nawet mam. Nagrałem, dla beki. Pały zaraz podjeżdżają, a rusek się zapluwa, że pięć stów płacił nie będzie, chyba że mu obciągną we dwóch tu za rogiem. To oni wyjmują z bagażnika gostka, chuderlaka za wszarz trzymają i się pytają, czy ci dwaj, znaczy się, o nas chodzi, byli na tym napadzie, a on kiwa tą japą, że tak, byliśmy obaj. To się zakurwiłem, zapierdoliłem lewą gałęzią, bo zawsze miałem mocniejszą, i pała pada, Chudy pada, Łysy pada, Duży pada, a rusek mnie ciągnie. Kurwy się wkurwiają, bo przez nas nic nie zarobią. Nie miałem serca dym robić im na zakładzie, więc ruszyłem w bramę i dwa dni później byłem już tutaj. Tak na

emigracji u Nikolaia nudzę się już jedenaście miesięcy. Ale co tam, napijmy się. Osa, polej.

Marzena rozlała po lufie. Piła równo z mężczyznami. Igor nie przestawał gadać, a przy trzeciej czy może piątej kolejce Piotr zapytał ponownie:

– Może byś zadzwoniła gdzie trzeba? Coś długo szefa nie ma.

Igor zaśmiał się pociesznie, ale zaraz spoważniał. Wyjął swoją wielką komórę i wstukał numer lewą ręką. Mańkut, dlatego nokaut mu szedł bez pudła akurat z lewej. Nie odzywał się, słuchał. Potem chwycił jedną pełną butelkę, schował w rękawie bluzy i ruszył do drzwi.

– Tamci mają jeszcze pół godziny. – Wskazał celę Jowity. – Jak przekroczą deadline, płacą podwójnie. Dziesięć procent dla ciebie, jeśli zdołasz ich wypierdolić. Znamy się ze stokrotką. Bo jak tak dalej pójdzie, na rehabilitację trzeba ją będzie posłać, a Nikolai temu niechętny. Choć teraz wyraźnie niedysponowany. Słabo to widzę.

Marzena wstała.

– Co z nim jest?

– Nico, upierdolił się i leży w zaspie. Pogotowie go zgarnęło. Jakaś piguła odebrała. Muszę jechać. Dopilnujesz wszystkiego?

Nie czekał, aż potwierdzi. Trzasnęły drzwi. Piotr i Marzena długo siedzieli w milczeniu.

– Makowca? – zapytała wreszcie. – Kupny, ale jeszcze świeży.

Piotr odmówił. Kiedy zapadła cisza, usłyszeli stłumiony rechot i przekleństwa. A potem walenie do drzwi i dźwięk otwieranej zasuwy. Wychylił się mężczyzna w wieku Piotra, skinął mu na powitanie czerwoną z wysiłku nalaną wąsatą gębą. Bondaruk nienawidził starosty, szefa esbecji aż do czasu zlikwidowania urzędu, ale również nieznacznie się skłonił, jakby znajdowali się w pałacu, a nie prowincjonalnym burdelu.

– Osa, co z tą wódą? – wrzasnął Gaweł na Marzenę.

Kobieta bez słowa podała mu flaszkę Piotra.

– Ciepła. – Skrzywił się i natychmiast schował w pomieszczeniu.

– Macie pół godziny. Nikolai mówił… – zaczęła Marzena, ale poza Piotrem nikt jej nie usłyszał.

– Kto z nim tam jest?

Wzruszyła ramionami. Upiła łyk z kieliszka. Zagryzła ogórkiem i chlebem umoczonym w resztce domowego pasztetu, którego ponad kilo trawiło się w tej chwili w żołądku Igora.

– Ilu?

Pokazała cztery palce. Podniósł głowę.

– I ona jedna?

Marzena potwierdziła. Piotr poderwał się do drzwi. Przyłożył ucho, ale nic nie było słychać.

– Ile to trwa? – zapytał szczerze zaniepokojony.

– Już nie takie akcje widziałam. Powiedz lepiej, czego chcesz, bo nie ciupciania.

Piotr oparł łokcie na kolanach, wyjął zza pazuchy ceratowy notes.

– Parę lat temu ktoś skasował Weremiuka, nauczyciela niemieckiego z drugiego liceum. Wymienię to na kwity, które miał ze sobą. – Wskazał na notatnik.

– Nie moja branża.

– Nie interesuje mnie on sam ani też przyczyna jego śmierci, ale to, co mu zginęło w dniu odejścia do Krainy Wiecznych Łowów. – Zawiesił na niej wzrok.

– Był ci co winien?

Piotr nie odpowiedział. Podszedł jeszcze raz do drzwi celi Jowity.

– Tam trzeba wejść. To skurwysyn, ona tego nie przeżyje. Znam go.

– Nie bądź taki rycerz.

Piotr usiadł. Ale był coraz bardziej zdenerwowany.

– Takie tam pożółkłe kwity. – Uśmiechnął się.

– Pożółkłe kwity? To cenna rzecz? Cenniejsza niż to, co tu masz?

– Wcale – zapewnił. – Ale ja jestem już stary. To i rzeczy stare lubię.

– Coś na tego esbeka? Polityczne?

Zanim Piotr zdążył odpowiedzieć, Marzena podeszła do jego torby i ją otworzyła. Wewnątrz, obok kilku pęt kiełbasy, leżał plik nowiutkich banknotów w banderolach. Musiały być wyjęte prosto z banku.

– Obrobiłeś PKO?

– Powiedz swojemu facetowi, że wymienię to za górkę papieru germanisty i dokładam ceratowy kołonotatnik.

– Jestem tylko prostą dziewczyną. – Wzruszyła ramionami. Zamknęła zamek torby i usiadła na swoim miejscu. A potem uśmiechnęła się do Piotra figlarnie. – Poza tym leję na Nikolaia. Ale może ty na niego lecisz?

– Nie jestem homoseksualistą – zapewnił Piotr i natychmiast pochylił głowę.

Uniosła rękę w geście przeprosin. Przestraszyła się, że przeholowała.

– Powiem mu – obiecała. – Ale on nic nie wskóra. Nietutejszy.

– To zrobił zawodowiec. – Piotr wskazał drzwi, za którymi wciąż była Jowita i nie wiadomo ilu mężczyzn. – Może on zlecił skasowanie Weremiuka? Ale rąk nie pobrudził. Nikolai się dowie, kto i dla kogo, jeśli chce mieć mieszkanie w „zatoce czerwonych świń” na własność. Obiecałem mu, ale mogę je dać komuś innemu.

– Po chuja mnie w to mieszasz?

Nie odpowiedział. Marzena włożyła bluzę od dresu, zasunęła zamek. Zmarszczyła czoło.

– A to ciekawe. Dwa tygodnie temu był tutaj taki jeden też w sprawie germanisty, co go uwiesili – powiedziała, zapalając papierosa. – Gadali z Nikolaiem, trochę słyszałam. Może dziś szefunio nie zasnął w zaspie przypadkowo. I mam nadzieję, że Igor wróci, bo jak nie, to muszę szukać innej roboty.

Piotr chwycił ją za rękę. Pogładził.

– Dwie dychy – rzekł. – Jeśli informacja jest pewna.

Wyrwała rękę, odwróciła się do okna.

– Gdybym mogła wyjechać, wyrwać się stąd. – Spojrzała na niego przymilnie. – Dwie dychy mnie nie urządzają.

– Sugerujesz, że sama załatwisz sprawę?

– Nikolai brał w tym udział. Wziął działę. Nie puści pary. A ten koleżka nie był stąd. Ze stolycy, jak powiedziałby Igor.

Piotr chwycił ją za ramiona. Był zdeterminowany.

– To dokumenty zamordowanych po wojnie furmanów. IPN chodzi już przy tym.

– Łapy przy sobie! – Wyrwała mu się.

– Śledztwo może zrujnować karierę polityczną wielu tutejszym kutafonom. Do tej pory myślałem, że nie istnieją.

Skrzywiła się. Była znudzona.

– Nie chcę wiedzieć, co to jest. Mam gdzieś polityczne historie, jak również opowieści z czasów króla Ćwieczka. Chcę tylko swoją kasę. Dowiem się, gdzie i kto to ma. Resztą ty się zajmiesz i zwerbujesz sobie jakiegoś Arsena Lupina do wyjęcia tego z chaty właściwej osoby. Ja dobra jestem tylko w dziesionach i robieniu laski. Ale tym nie jesteś zainteresowany, jak mniemam.

– Również żałuję. – Uśmiechnął się.

Twarz jej się nagle wypogodziła. Zerknęła na zegarek, wyjęła klucz. Podeszła do szafy w ścianie i wyłączyła kamerę, która cały czas nagrywała, co działo się w pokoju Jowity. Przewinęła do przodu i najpierw ze zdziwienia zasłoniła usta. Potem wykrzywiła je w grymas złości. Zamknęła szafę i spojrzała na Piotra.

– Pomożesz? – spytała, starając się zachować spokój. – Muszę wyjebać tych zboków, bo jak nie zrobię tego teraz, masowo będą gwałcić dziewczyny i przeciągać mityngi w rzeź. Dałam im nawet dwadzieścia minut górką.

– Nie mogę równać się z Igorem. – Piotr się zgarbił.

– Dasz radę, dziadku – uśmiechnęła się. – Nie takie numery robiło się ze szwagrem.

Stanęli pod drzwiami. Drzwi otworzyli na trzy. Najpierw zobaczyli tyłek Adama Gawła i chude nogi starosty. Młodziutki naczelny lokalnej gazety Wadim Troc spał na łóżku obok w pełnym rynsztunku. Tylko rozporek dżinsów miał rozsunięty. Pod spodem nie miał slipów. Widać było jego mikre, zwiotczałe klejnoty. Próbował go budzić Przemysław JahJah

Frankowski, ale był tak pijany, że z wrażenia kopnął rząd pustych butelek i tylko narobił hałasu. Troc zakrył się kołdrą.

Jowita leżała na łóżku na wznak. Posiniaczona, z rozbitym nosem i zapuchniętym okiem. Miała związane dłonie, wyglądała na nieprzytomną. Komendant policji Tomasz Terlikowski stał nad nią ze skórzanym pasem. Rozchełstana koszula była zapocona pod pachami i na plecach jak po monstrualnym wysiłku.

– Co to za wjazd? Jeszcze nie skończyłem – odezwał się zapalczywie. – Kasę zainkasowaliście. Robotę ma dziwka wykonać. W trakcie wycyganiła mi z portfela jeszcze stówę za brutal.

– Czas się skończył. – Marzena podbiegła do przyjaciółki.

Jowita otworzyła jedno oko i próbowała coś szeptać, ale głos brzmiał tak cicho i niewyraźnie, że Osa nic nie zrozumiała. Musiała w trakcie stracić przytomność i leżała tak od dłuższego czasu, jak porąbany na kawały pień drzewa. Kiedy Marzena poruszyła jej ciałem, poczuła odór wydzielin i krwi. Jowita wprost przelewała się jej przez ręce.

– Ona schodzi! – krzyknęła Marzena. Oczy jej się zaszkliły, a potem zawołała: – Skurwysyny!

– Tak jej dobrze zrobiłeś, Terliku, że się posrała z wrażenia – zaśmiał się Gaweł. Klepnął Terlikowskiego, który zdążył się już w połowie ubrać. – Zabieramy się, chłopcy, a Nikolai zapłaci za złą obsługę klienta. Może zwijać manele. Nie chcemy brudnych kurew w naszym mieście.

Piotr stał w drzwiach i przyglądał się temu w milczeniu, dlatego oprawcy początkowo nie zwrócili na niego uwagi. Kiedy jednak Terlikowski go mijał, chwycił policjanta za gardło i przycisnął do ściany. Terlikowski momentalnie poczerwieniał, a zaraz potem zsiniał, gałki mu wyszły z orbit, charczał chrapliwie z braku dostępu powietrza. Gaweł rzucił się Bondarukowi na plecy, próbował odciągnąć od komendanta. Piotr puścił Terlika i zaatakował Gawła. Chwycił stojący z brzegu elektroniczny budzik i uderzył nim w głowę starosty, ale ten tylko się otrząsnął, jakby ugryzł go giez. Bondaruk dopadł pustą butelkę, rozbił ją o stół i przejechał wyszczerbionym szkłem po szyi starosty. Cios był niecelny, a zadana rana płytka, bo choć krew początkowo siknęła jak z fontanny, to zaraz ustała.

– Pogrzało cię?! – Gaweł wyrwał się wreszcie. Odsunął się pod okno i urwał kawałek zasłony, by zatamować krwotok. – To tylko kurwa. Opłacona z nawiązką.

Przemysław JahJah Frankowski wyczołgał się z pokoju na czworakach. Ciuchy zawinął w kulę. Kiedy mijał Piotra, ten kopnął go w pośladek, aż mężczyzna przeturlał się do salonu, znacząc posadzkę szlaczkiem moczu. Troc wyszedł o własnych siłach, bez małego zadrapania. Przykleił się do ściany, czmychnął niczym tajemniczy Don Pedro z Krainy Deszczowców i zaraz go nie było. Piotr nawet go nie dotknął. Nagle już ubrany Terlikowski zaszedł Bondaruka od tyłu i rozbił mu na głowie wielki dzban, który stał w pokoju Jowity. Piotr upadł. Zapadła ciemność.

Jowita leżała na sofie. Miała zamknięte oczy, mamrotała. Dunia Orzechowska zakładała jej szwy na twarzy. Podała jej silne środki przeciwbólowe i opatrzyła pozostałe rany.

– Musicie zawieźć ją do szpitala. – Spojrzała na Piotra, który siedział z workiem zamrożonego szpinaku na głowie. Ten zaś zerknął na Marzenę.

– Nikolai znajdzie nas i zabije – powiedziała Koźmińska. Paliła jednego od drugiego, a pety rzucała na podłogę. – Najpierw zabije mnie, potem Jowitę, a na koniec zniszczy ciebie.

– Ja się z nimi dogadam – stęknął. – Nie panikuj.

Marzena ukryła twarz w dłoniach. Myślał, że się rozpłacze, ale ona wybuchnęła śmiechem.

– Może ty tak. Ale ja nie mam już głowy. A mam, debilu, tylko jedną.

Dunia podniosła głowę. Podała Piotrowi zaparzone ziółka.

– Aj, gorące – jęknął.

– Wypij, zanim wystygnie.

Siorbał po łyczku.

– Słyszysz, co mówiłam? – powtórzyła Dunia. – Ta dziewczyna musi być operowana. Praktycznie pocięli ją tam, na dole.

Zapadła cisza.

– Umrze, jeśli nic nie zrobisz. Wezwij chociaż pogotowie.

Marzena zerwała się i ruszyła do swojego pokoju. Wrzucała rzeczy na chybił trafił, a po chwili wyszła z niewielką walizką.

– Ja spierdalam – oświadczyła i momentalnie znalazła się przy drzwiach.

– A twoja przyjaciółka? – wydusiła zszokowana Dunia.

– W tej branży nie ma przyjaźni, proszę pani! – Osa dygnęła. – Bawcie się dobrze ze sztywniakiem. Lepiej, żeby was tu nie zastali, jak mała zejdzie. Bo jeszcze przybiją wam tę sprawę.

Dunia zagryzła wargę. Podeszła do Piotra i wpatrywała się w niego w milczeniu.

– Nic nie zrobisz?

Wstał z trudem. Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej kluczyki do wozu.

– Zaparkowałem na Kolejkach, przy Armii Krajowej. Koło sklepu z nabiałem.

Marzena stała skonsternowana.

– Nie mam prawa jazdy.

Piotr zwrócił się do Duni.

– Niech Kola przyjedzie. Może weźmie kogoś zaufanego, silnego. Sami jej nie wyniesiemy. A ty zadzwoń do Bielska. Może ordynator przyjmie ich w domu.

Dunia włożyła płaszcz. Odwróciła się.

– Mówcie do niej. Drugi raz jej nie odzyskamy.

Marzena potrząsnęła kluczykami, westchnęła ciężko i postawiła swoją walizkę obok torby Piotra.

– Ile mamy czasu? – zapytał Dunię.

– Godzinę wytrzyma.

– Musimy zdążyć.

Jowita bawiła się z synkiem, kiedy jej matka weszła do pokoju z miną jak chmura gradowa.

– Ktoś do ciebie – oświadczyła. – Twierdzi, że jesteście koleżankami, ale to chyba jakaś pomyłka. Wygląda jak ladacznica.

Jowita ucałowała synka w czoło, zawiązała na głowie bandankę, a potem wyszła do przedsionka. Minęło zaledwie pół roku, a Marzena bardzo się zmieniła. Monika z daleka wyczuwała zapach świeżej gotówki. Dawna koleżanka w spódnicy krótszej niż Britney Spears w *Baby one more time* stała oparta o białego okularnika, a z głośników, rozkręconych na pełen regulator, leciały dyskotekowe hity.

– Wyłącz, bo sąsiedzi się zbiegną – poprosiła Jowita.

Podeszła do przyjaciółki i ucałowała ją w policzek. Zanim Marzena cokolwiek powiedziała, dziewczyna dodała:

– Mama znalazła mi pracę w mleczarni. Zostaję.

– Doisz krowy? – Marzena się skrzywiła.

– Lepsze to niż puszczanie się. – Jowita wskazała swój garbaty nos. – Do tej pory nie wylizałam ran.

Marzena obeszła auto dookoła, zastukała w przednią szybę. Zza kierownicy wysiadł młody, wyjątkowo nieatrakcyjny mężczyzna. Okulary, plaskata twarz. Na dodatek wszędzie miał włosy. Jowita widziała w zoo piękniejsze goryle.

– Poznajcie się. Włochaty – Jowita.

– Monika – sprostowała Jowita.

– Jarek – przedstawił się mężczyzna.

Uścisnęli sobie dłonie i uśmiechnęli się do siebie z sympatią. Marzena cmokała znacząco. Jowita zaprosiła gości do środka, ale zgodnie odmówili. Poczuła się dotknięta. Obejrzała się.

Dom nie robił najlepszego wrażenia. W obejściu śmierdziało gnojem. W oddali słychać było pochrząkiwanie świń. W drzwiach domostwa stał jej

synek.

Z miny dziecka odczytała, że mały boi się, że mama znów wyjedzie i zostawi go z surową babcią. Wiedziała, że jeśli padnie o tym choć jedno słowo, chłopiec wybuchnie płaczem. Był delikatny, płochliwy, jak pies ze schroniska, którego porzucano niezliczone razy. Podeszła, wzięła chłopca na ręce, choć miał już prawie sześć lat, a ona wciąż była jeszcze bardzo słaba.

– To mój syn, Tomek – przedstawiła go dorosłym. – A to ciocia Marzena i wujek Jarek. Ciocia też ma dzieci, wiesz? Trójkę.

Osa natychmiast zaczęła gaworzyć z chłopcem. Jarosław stał sztywno, jakby połknął kij od miotły. Jowita pomyślała, że mu się bardzo śpieszy. Nie wyglądał na chłopaka Marzeny. Raczej intelektualistę, może urzędnika. Osa nie gustowała w takich. Pewnie jej nowy sponsor.

– Jest tu jakaś kawiarnia? – zapytał Jarek po chwili.

– Nie chcę zostawiać małego – odparła Jowita wymijająco i pogładziła chłopca po pszenicznej główce. Wtulił się w ramiona matki, jakby szukał schronienia przed deszczem. – Tu, na wiosce, mamy tylko pijalnię piwa, ale wolałabym, żeby Tomeczek nigdy tam nie trafił. Sama też tam nie chodzę. Już nie. Trzeba by było jechać do miasta.

– To jedźmy – zapaliła się Marzena. – Może i mały pojechałby z nami. Lubisz frytki, młody? Każdy prawdziwy facet lubi. Już ja się na tym znam, co, Włochaty?

Mężczyzna skrzywił się, kiedy tak go nazwała, ale potulnie siadał już za kółkiem.

– No nie wiem. – Jowita zniżyła głos do szeptu. Głos miała jednak zdecydowany. – Mnie tu dobrze, Marzena. Nudno, ciężko, ale spokojnie. Nie gniewaj się, ale nie pojadę z wami.

Odwróciła się, ruszyła z powrotem do domu. Marzena chwyciła ją za ramię, aż zabolało. Chłopiec zaczął płakać. Osa natychmiast puściła koleżankę. Jowita przyśpieszyła kroku.

– Jest interes do ubicia! – krzyknęła za nią Marzena. – Bez ciebie nie dam rady.

Jowita zacisnęła usta. Zatrzymała się. Odwróciła.

– Nie. I nie przyjeżdżaj więcej.

Marzena przetrząsnęła torebkę. Wyjęła kasetę wideo. Jowita zmarszczyła brwi. Nie rozumiała.

– Oni muszą zapłacić – rzuciła Marzena łagodniej.

– Daj spokój! – Jowita machnęła ręką. – Dla mnie już nie istnieją. Kto będzie zajmował się tą sprawą? Sama wiesz, kim byli. I kim ja tam byłam. Nie ma szans.

– Ale ja nie mówię o śledztwie.

Jowita pokręciła głową. Bała się.

– Nie! – Chwyciła Marzenę za rękę. – Proszę, nie rób tego. Nie mieszaj mnie do tego tych spraw.

– Jeśli ty nie chcesz zarobić, sama wydrę im z gardeł tę kapustę. Ale wtedy nie dostaniesz ani grosza. – Wskazała stary dom rodziców Jowity. – Nos się naprawi. Operacja teraz kosztuje grosze. Jesteś młoda, znów będziesz ładna. Masz jeszcze szansę spotkać kogoś nowego.

– Takiego jak Włochaty?

– Facet nie musi być piękny. Wystarczy, że ja jestem. – Marzena złożyła usta w ciup i wybuchła zaraźliwym rechotem. Jowita nie mogła się powstrzymać i dołączyła do koleżanki. Osa zawsze potrafiła ją rozbawić. – Zresztą jest dla mnie dobry. I ma małe potrzeby. Standardowe. A ja znam jego instrukcję obsługi – chichotała.

– Jak chcesz – rzuciła Jowita, ale teraz już się wahała. Marzena dotknęła widać jej słabego punktu. Żadna kobieta nie chce być sama.

– Nie bój się – judziła dalej Marzena. – Wszystkim się zajmę. Zgarniemy szmalec od wszystkich czterech. Każdy zabuli. I, jak dobrze pójdzie, będą bulić do końca życia. Piotr nam pomoże.

– Tak powiedział? – zapytała Jowita z nadzieją.

Marzena się roześmiała.

– Jeszcze o tym nie wie. Ale dowie się. Pogadam z nim przy okazji. Wózek muszę mu zwrócić. Alimenty dostajesz?

Jowita pochyliła głowę. To Marzenie wystarczyło za odpowiedź.

– Wciąż siedzi na saksach?

Kręcenie głową. Bojaźliwe zerkanie na synka, czy słucha. Wreszcie odpowiedź, niemal bezgłośna:

– Mój brat widział go naprutego z jakąś lafiryndą. Chciał go pobić, ale uciekł taksówką. Najwyraźniej jednak dobrze się bawi. Nigdy nie dostanę od niego ani grosika.

– Jego też załatwimy – obiecała Marzena i otoczyła ramionami Jowitę i chłopca. A potem krzyknęła do Włochatego przymilnie: – Jaruś, weź podłóż jakąś poduszkę, coby dziecko można było przypiąć.

– Wezmę go na kolana – zgodziła się Jowita.

Kiedy siedzieli już w samochodzie, Jowita się rozejrzała. Na jasnej tapicerce dostrzegła ciemniejsze ślady. Dotknęła ich jak zabliźnionych ran, bo wiedziała, że to jej własna krew, a potem spojrzała w lusterko wsteczne. W tym samym momencie spojrzał tam też Jarosław. Jowita natychmiast odwróciła wzrok. Już nigdy nie będę wyglądała tak ładnie jak kiedyś, pomyślała. Nic już nie będzie takie samo.

– Dobrze wyglądasz – trajkotała tymczasem Marzena. – Jak na te warunki, oczywiście. Ale zapomniałabym, Nikolai i Igor cię pozdrawiają. Nie mają żalu. Otworzyli teraz zakład w Narewce. Bielska komenda jest im przychylniejsza.

– Co to są warunki? – spytał nagle chłopiec.

– To coś, co ustalasz z mamą, kiedy chcesz nową zabawkę. – Marzena odwróciła się i wyjaśniła dobrotliwie chłopcu, jak dobra ciocia. – Mama mówi, że ci kupi superwóz strażacki albo ekstraklocki, ale musisz coś za to zrobić. Jeśli tego nie robisz, nie kupuje.

– Mama nigdy mi nic nie kupuje.

Jowita omal się nie rozpłakała.

– Bo nie ma kasy – rezolutnie odparła Marzena. – To się wkrótce zmieni, synu. Kasa to podstawa szczęścia. Zapamiętaj sobie.

Po czym wrzuciła do magnetofonu kasetę Madonny. Leciała akurat *Material Girl*.

Hajnówka, 2014

We wtorki Rosłoniowa na kolację jadła śniadanie, by w środę targową już o trzeciej nad ranem być na giełdzie warzywnej w Bielsku Podlaskim. Przywoziła na swoje stoisko TO-MI-TO na hajnowskim Rubel Placu wyłącznie świeże produkty, po które już od szóstej ustawiały się w kolejce zaradne gospodynie i zaopatrzeniowcy lokali gastronomicznych. W transporcie, przeładunku i ustawieniu towaru na półkach pomagał jej syn Mirosław. A odkąd wnuk Rosłoniowej poszedł do żłobka, do pracy w rodzinnym interesie dołączyła też synowa Andżelika.

Dziś, tak jak zwykle, taszczyli z dostawczego vana worki z ziemniakami, turlali beczki z kiszoną kapustą, przenosili skrzynki z aromatycznymi pomidorami, wypolerowanymi bakłażanami i obraną ze zbędnych łupin cebulą. Rosłoniowa z mężem miała kiedyś szklarnię, ale teraz uprawiała tam tylko zioła, które w estetycznych doniczkach sprzedawała o złotówkę taniej niż w Kauflandzie. Do TO-MI-TO, z pomidorem w logo i błędem w nazwie marki, przychodziła niemal cała Hajnówka.

Rosłoniowa dbała obsesyjnie, by ekspedientka nie wcisnęła nikomu zgniłej marchewki czy zepsutego ogórka. Sama wybierała towar, który przywoziła z giełdy, osobiście go układała i stała za ladą w godzinach popołudniowych, aż do zamknięcia. Można było u niej złożyć zamówienie na najdziwniejsze płody rolne, jak choćby proso, karmę dla kur czy odżywki dla świń, bo w małym miasteczku nikogo nie dziwiło, że po obejściu czworaka osłoniętego żywopłotem, przy jednej z głównych ulic miasteczka, chodziły dwie ekologiczne kurki czy pochrumkiwała nieduża maciora. Własne jaja były tańsze i zdrowsze, a pieniędzy tutejszym wiecznie brakowało.

– Na górę – zarządziła teraz szefowa TO-MI-TO, kiedy syn wskazał pojemnik bankietowych pomidorów. Było to zamówienie dla jednego ze stałych klientów. Małe pomidorki ciężko schodziły w sprzedaży detalicznej.

– Na dół! – krzyknęła, widząc, że Andżelika stara się wcisnąć włoszczyznę na drugą półkę. Nie rozumiała, jak można być tak flegmatycznym. Gdyby dziewucha nie należała do rodziny, nigdy w życiu by jej nie zatrudniła.

– Do lodówki – poleciła umieścić kartony z mlekiem, osełkowe masło i pyszny ser z mleczarni OSM Hajnówka, bo poza warzywami ostatnio rozwijała też gałąź nabiałową.

Ruch w interesie był od lat jak się patrzy, a Rosłoniowa nawet nie odczuła kryzysu, o jakim mówili politycy ze szklanego okienka. Do wszystkiego, co miała, doszła pracą ciężkich, zgrubiałych od dźwigania ciężarów, własnych rąk. Tylko ten sklepik, a raczej jego dzierżawę od właściciela budynku na placu targowym załatwiła za słoną łapówkę. Ale to było przed laty, kiedy jeszcze Rubel Plac był prawdziwym placem boju posiadaczy rubla, bo przez bliskość granicy na handel przyjeżdżali tutaj obywatele rosyjskojęzyczni ze wszystkich bodaj byłych republik radzieckich. Dlatego też w domu Rosłoniów nie brakowało rosyjskiego złota, ujgurskich ręcznie toczonych noży, białoruskich garnków w stylu *gniotsia*, *nie łomiotsia*, litewskich leków, azerbejdżańskiego fajansu i durnostojek ze światełkami, ukraińskich zegarków czy kilimów z dalekiej Gruzji. Rosłoniowa miała dryg do biznesu. Dobrze wiedziała, co rzucili na Rubel Plac, i tylko czekała, aż ruscy – jak ich wszystkich eufemistycznie nazywano – będą wyjeżdżać, a potem podchodziła do tych, którzy mieli najlepszy towar, i oferowała kwotę hurtową „za wszystko”. Za jakiś czas puszczała te rzeczy dalej w obieg, tyle że już za potrojoną cenę.

Od lat nie było już prawdziwych ruskich, podobnie jak tej hossy lat osiemdziesiątych, kiedy to można było na Rubel Placu ubrać się, najeść, zaopatrzyć w katiuszę i odjechać kradzionym wozem. Dziś szczęki wypełnione były – jak na każdym bazarze – chińskim badziewiem. Tylko nazwa pozostała. Ale lokalni mieszkańcy, czy to z sentymentu, czy też ze złudnej oszczędności, wciąż gromadzili się tu tłumnie bladym świtem każdej środy, by wyjechać z bazaru obładowani jak Bozia kazali w dniu targowym.

Środy były też jedynym dniem, kiedy za ladą TO-MI-TO stał komplet rodzinny Rosłoniów, ponieważ kolejka po warzywa sięgała aż do zakrętu, gdzie łączyła się z inną kolejką – po mięso Nesteruka.

Teraz kobieta ogarnęła sklep spojrzeniem i uznała, że wszystko jest na swoim miejscu. Mogą zaczynać handel. Zamaszystym gestem odwróciła ręcznie zapisaną kartkę „Czynne” i przekręciła klucz w zamku. Do środka natychmiast wlała się zgraja lokalnych kumoszek. Ustawiły się grzecznie, porównując najnowsze przepisy w „Naj” i „Pani Domu”, a jedna z nich perorowała nad wyższością swojego makowego ciasta nad makowcem z „Ewa gotuje”. Rosłoniowa rozważała towar precyzyjnie, praktycznie bez słowa. Nie szczędziła jednak uśmiechu, gdy słyszała komplementy na temat jej warzywniaka.

– Pół kilo kapusty kiszonej – zażądała któraś z klientek.

Rosłoniowa miała akurat brudne ręce od ładowania ziemniaków do plastikowych woreczków, bo była zdania, że czyste, tak zwane myte ziemniaki z supermarketu są trujące, i zawsze sprzedawała ludziom dobry ziemnior z piachem. Czasem też doważała więcej, na poczet odrzutów obierki, i była pewna, że ta sama gospodyni wróci do niej już za tydzień. Tak też się działo.

– Miruś – krzyknęła do syna, który jak posłuszny piesek za chwilę pojawił się u jej stóp. – Otwórz kapustę. Pani prosi pół kilo. Daj jej ze świeżej beczki. To nasza stała klientka – podkreśliła głośniej.

Miruś sprawnie podważył wieko, poszukał łyżki cedzakowej i zamieszał w kapuście. Chwycił pojemniczek i już miał ładować, kiedy usłyszał, jak stała klientka syczy:

– Tylko bez wody, proszę. I niech pani Rosłoniowa mi zaważy. Jej ufam, a pana pierwsze widzę.

W kolejce powstał szmer. Mirosław nadął się jak niepyszny, ale Rosłoniowa nie skomentowała przytyku. Porozumiała się oczami z synem, wręczyła mu torbę z kartoflami. Po czym, w przepisowym foliowym czepku na głowie, by żaden włos nie trafił się klientce do opakowania, choć nie stała przecież przy kuchni, a prowadziła warzywniak, natychmiast podeszła do lady z przyklejonym uprzejmym uśmiechem. Rozpoznała zołzę bez pudła. Niemłoda już, dobrze odżywiona posługaczka Adama Gawła. Wydawało jej się widać, że jest lepsza od innych, bo szoruje kible po staroście i gotuje jego licznej dziatwie strawę.

– Bigosik będzie, co? – zagaiła właścicielka TO-MI-TO.

Ktoś z tyłu też poczuł smaka na bigos i już zgłosił chęć odważenia mu ze dwóch kilo. Rosłoniowa umyła ręce, włożyła żółte rękawice i zabrała się do pracy. Mieszała w beczce, rozprawiając przy tym, jak ciężko teraz dostać dobry kapuściany towar. Ekologiczny, podkreślała, aż wreszcie naładowała klientce dużo więcej, niż ta zamierzała kupić. Kobiecie, która chciała dwa kilo, sprzedała jeszcze twaróg i trzy cukinie oraz kilogram żółtej papryki, bo zdrowsza, a potem dopadła wiaderka po kiszonych ogórkach, które w ubiegłym tygodniu umyła i zamierzała zostawić dla siebie, bo było takie ładne, i wspaniałomyślnie zaproponowała klientce jako pojemnik zastępczy.

Wybrała kiszonkę najpierw z góry, ale soku było zbyt wiele, więc zagłębiła szeroki cedzak głębiej. Wtedy poczuła opór. Przycisnęła, potrząsnęła fachowo, by woda wyciekła z kapusty, wyjęła ją na górę, po czym załadowała do wiaderka. Już zamierzała odwiesić cedzak, kiedy coś ją tknęło. Pomyślała, że ją oszukali i wrzucili cegłę do beczki. Pochyliła się nad baniakiem i zamarła.

Na powierzchni pięknej, świeżutkiej kiszonki pływała ludzka głowa. Siwe włosy rozpuszczone w kwasie z kapusty, niczym macki meduzy, przydawały nabrzmiałej twarzy trupa wygląd makabrycznej groteski.

Rosłoniowa nie krzyknęła, nie zemdlała. Odłożyła cedzak i bez słowa ruszyła do swojej torebki, wykręciła numer 112, a potem dała znak klientkom, że zakupy skończone. Kiedy odwróciła kartkę na „Nieczynne” i czekali na policję, myślała o stratach. Nie chodziło tylko o tę beczkę, ale dorobek całego jej życia. Obawiała się, że jeśli to się wyda, a wyda się z pewnością, nikt nigdy nie kupi już u niej nawet suszu na kompot. TO-MI-TO zaś, od jej imienia – Tosia, syna – Mirosława i jej zmarłego męża – Tolika, będzie miejscem, w którym już na zawsze, przynajmniej dla lokalsów, w kiszonej kapuście pływają zwłoki.

Doman skończył właśnie udzielać wywiadu, kiedy do pokoju wbiegł zziajany Błażej. Na widok atrakcyjnej dziennikarki z ogólnopolskiego radia, która właśnie składała sprzęt, skłonił się i strzelił buraka, a potem wyprosił nadkomisarza na korytarz.

Dziennikarka została w pomieszczeniu i pilnie nasłuchiwała, ale mimo wyostrzonej uwagi nie udało jej się usłyszeć nic więcej niż „Rubel Plac".

Kiedy Doman wrócił, zapytała go, czy coś się stało. Skłamał, że zupełnie nic, ale nagle zaczęło mu się bardzo śpieszyć. A przecież dosłownie przed chwilą przystojny gliniarz sam wpraszał się na jej lunch.

– Może innym razem, pani Marto – uśmiechnął się teraz dyplomatycznie.

Dziennikarka dygnęła wdzięcznie i ruszyła do drzwi. Nie miała więcej niż dwadzieścia pięć lat. Jak tylko wyszła, kazała kierowcy wieźć się na lokalny bazar. Za chwilę też zobaczyła tam nadkomisarza ponownie.

Teren ogrodzono już od wjazdu na parking. Tłum blokował przejście z każdej strony. Zarówno od budynku Muzeum Białoruskiego, ulicy, jak i pawilonów handlowych od 3 Maja. Dziennikarze natychmiast zrobili sobie sztab w Leśnym Dworku. Taśmy policyjne, które zwykle umieszcza się na miejscu zbrodni, wyraźnie wskazywały, że na Rubel Placu doszło do tragedii. Ludzie znów mówili o ludojadzie i ludzkich szczątkach w jednym z lokali. Hipotezy urastały do wizji podlaskiego kanibala, który morduje teraz masowo. W ciasnym szpalerze, pod opieką ochotniczych patroli, stali drobni i więksi sprzedawcy. Policja zaskakująco szybko zapanowała nad watahą handlujących. Musieli opuścić teren placu, lecz nie pozwolono im się oddalać. Skwapliwie wykonali polecenie, bo większość na Rubel Placu zostawiła cały swój towar.

Kieszonkowcy wykorzystywali zamieszanie i już po chwili policjanci mieli kilka nowych zgłoszeń o zrabowanych portfelach. A w Hajnówce gotówka wciąż była w modzie. Żaden tutejszy chłop nie wybierał się za próg bez kilku setek na luzie. Jak przed chwilą oznajmiono, wszyscy, którzy tego dnia byli na Rubel Placu, mieli zostać rutynowo przesłuchani.

Romanowską, która właśnie dotarła z Domanem na miejsce, natychmiast złapała migrena. Właśnie szukała w schowku tabletek, kiedy zatrzeszczało z krótkofalówki:

– Do wszystkich patroli. Powtarzam. Do wszystkich patroli. Poszukiwany listem gończym Łukasz Polak był widziany na przystanku PKS. Udaje się w kierunku kościoła. Bez odbioru.

Jeśli facet jest gościem, a nie frajerem, i naprawdę kocha kobietę, zbuduje jej garderobę, a nie będzie ględził, że buty i torebki wysypują jej się z szafy – tego zdania była Magdalena Prus, odkąd skończyła trzydzieści osiem lat. Problem w tym, że w tej mieścinie, gdzie ostatecznie zmuszona była osiąść lekarka, byli sami frajerzy, bo nielicznych gości wyjęły zawczasu panny, które tę prawdę pojęły tuż przed maturą. Dalej uczyć się już nie musiały.

Magdalena w ogólniaku była na to za głupia. Siedziała w książkach, zamiast uczyć się przez obserwację ewentualnie empiryzm. Za pierwszym razem zadowoliła się prowizorycznym wieszakiem z Ikei i pod dyktando wyrzucała zbędne ciuchy do pojemników PCK. Drugi mąż z obiecanego pomieszczenia na jej ciuchy zrobił dodatkową łazienkę, więc trzeciego, kiedy tylko raz skrzywił się na jej propozycję zakupu w ramach prezentu urodzinowego kolejnej pary horrendalnie drogiego obuwia, pognała w diabły. Tym sposobem zmuszona była powziąć postanowienie, że garderobę zbuduje sobie sama. Zamówiła pana Miecia, jak go pieszczotliwie nazwała na czas remontu jej sypialni w „zatoce czerwonych świń”, i zaledwie trzy miesiące później miała już zamknięty pokój z mnóstwem półek, półeczek, wieszaków i wieszaczków, gdzie nie tylko mieściło się jej pięćset sukienek, trzysta sweterków w serek, dwieście cygaretek i około tysiąca innych damskich zaklinaczy czasu. Zmieścił się też pan Miecio, który okazał się Markiem, a poza złotymi rączkami dysponował też twardym kutasem. Czasem sobie żartowali, że tylko „fizyczny” może dać takiej kobiecie jak ona kompleksowy dowód miłości.

Magdalena zapaliła teraz światło w pomieszczeniu większym niż jej salon i z dumą przyjrzała się dorobkowi swojego życia. Większości sukienek od Karen Millen czy Teda Bakera nigdy nie włożyła, bo też w Hajnówce bale, rauty i bankiety odbywały się raczej sporadycznie. Co najwyżej wesela, na które od lat Magdaleny już nie zapraszano. Słyszała, że w aglomeracjach panuje obecnie moda na huczne celebrowanie rozwodów, ale tutaj nikt się nie rozstawał, a jeśli już, to po cichutku, z rumieńcem wstydu na policzkach, lub para, drąc koty, żyła w niezgodzie do końca swych dni. Księża trzymali mieszkańców miasta krótko i nie było różnicy,

czy to polska, czy ruska wrona, jak nazywała prawosławnych i katolickich duchownych piękna Magdalena.

Marek miał oczywiście swoją ślubną Jadzię. Uziemił ją w domu z siódemką dzieci, więc na luzie – i koniecznie ostro wyperfumowany – mógł hulać po wsiach i miastach, gdzie stawiał bogatym lekarkom garderoby, ale żadna z nich, poza Magdą, nie dopuściła go do swojego łoża.

Spotykali się raz na tydzień. W najgorszym razie dwa razy w miesiącu, jeśli Jadzia dociążyła mężusia zaległymi obowiązkami. Nie kontaktowali się w międzyczasie, choć o świętach, walentynkach i wszelkich okolicznościowych uroczystościach Marek pamiętał lepiej niż którykolwiek eks Magdaleny. W sumie było im po prostu dobrze. A im byli starsi, tym lepiej. Bo znali się jak dwa łyse konie. Magdalena nie musiała oglądać Marka w zapoconych slipach, bo zawsze przybywał czysty i wyfiokowany. Pod jej nowoczesnymi fotelami nie walały się nigdy jego śmierdzące skarpetki. Nie miał chandry, robota go nie wkurzała. Błyskawicznie pojął, że dostąpił zaszczytu rżnięcia kobiety luksusowej, więc zawsze pod pachą miał dobre wino, „perfumę”, na którą musiał rabotać pół miesiąca, albo fragment odzieży w rozmiarze 36. Nigdy nie wybierał prezentu sam. Magdalena wysyłała mu link mejlem lub prowadziła do sklepu i wskazywała palcem. On kupował, przynosił, mając pewność stuprocentowej satysfakcji kochanki. Ona także miała gwarancję, że wszystko będzie tak, jak sobie zaplanowała, i musiała przyznać, że Marek nigdy jeszcze jej nie zawiódł, a potrzeby seksualne miała spore. Ceniła bowiem najwyższą jakość w każdej sferze życia.

Dziś był dzień ich cynowych godów, więc długo stała przed zwierciadłem i zastanawiała się, którą suknię wybrać. Przez te dziesięć wspólnych lat doskonale wiedziała, co lubił, lecz nigdy nie folgowała jego potrzebom, wyłącznie swoim. W przeciwnym razie musiałaby zaopatrzyć się w tandetny strój pielęgniarki z plastikowym czepkiem lub bawarskie spodenki i pleść warkocze, bo Marek w gruncie rzeczy był przaśny, a erefenowskie pornosy mógłby oglądać codziennie, choć tak naprawdę bardziej go bawiły, niż podniecały. Tylko skoki narciarskie i piłka nożna były w stanie pochłonąć go bez reszty. Ale jeśli w dniu mistrzostw Magdalena wyznaczała randkę, był gotów się poświęcić, choć wiedział, że kochanka nie pozwoli mu nawet sprawdzić wyników.

– Tak nisko nie upadłam – mawiała. I zaraz dodawała, że bardzo jego ofiarę docenia, czemu dawała dowód w sypialni.

Lubiła to, że pozwalał jej robić, co tylko zechce. Kiedy więc miała ochotę na sweter w romby, nosiła go aż do sceny finałowej. Innym razem wkładała elegancką garsonkę lub futro na nagie ciało, choćby na zewnątrz był upał. Lubiła to jego niepewne spojrzenie i niedowierzanie, z kategorii: „ja chyba śnię, mała” lub „tak sobie myślę, że nie jestem ciebie godzien”, albo „żartujesz, tak?”. Ale tak naprawdę oboje grali. On miał nad nią całkowitą władzę, a ona mu się poddawała. W gruncie rzeczy była antyfeministką, choć w mieście nikt by w to nie uwierzył.

Dziś miała ochotę być Audrey Hepburn, więc wślizgnęła się w grzeczną sukienkę „floral” rozszerzaną w talii, uczesała włosy w staromodny kok, co trenowała wielokrotnie przed lustrem po maratonie z *Mad Men* na TVP Kultura, a potem znalazła fikuśną bieliznę i szykowne pończochy, jedyny ukłon w stronę preferencji partnera.

Rozległ się dzwonek. Nie musiała patrzeć na zegarek, by wiedzieć, że Marek jak zwykle jest przed czasem. I choć prawie pogodziła się z tym, że jej weekendowy kochanek nie nauczy się, że eleganccy ludzie się spóźniają, zaklęła pod nosem, bo zaciągnęła jedwabną tkaninę pończoch, kiedy przypinała je do pasa La Perli. Dzwonek wybrzmiał jeszcze dwa razy, ale się nie pośpieszyła. Wybierała teraz obuwie, a to wszak rama do obrazu. Dopiero kiedy znalazła antyczne czółenka z wężowej skóry na niewielkim słupku i wsunęła w nie stopy, mogła otworzyć drzwi i powitać gościa.

Kamera była wyłączona. Od kilku już lat nie opłacała abonamentu firmy ochroniarskiej, więc wcisnęła guzik i bez pytania otworzyła bramę. Potem dzwonek rozległ się jeszcze raz. Wiedziała, że Marek minął rabatki i stoi teraz pod jej segmentem. Postanowiła wyjść mu naprzeciw. Księżyc dziś był prawie w pełni. Miała ochotę na pocałunek pod gołym niebem. Oblizała wargi i zmarkotniała. Zapomniała spryskać się perfumami. Chciała zawrócić, ale wtedy nie osiągnie stosownego efektu zaskoczenia. Trudno, zdecydowała, wymknie się cichaczem po Chanel 5, kiedy Marek zajmie się korkociągiem do wina. Uchyliła drzwi szerokim gestem i zmrużyła zalotnie powieki. Uśmiech natychmiast rozpłynął się na rzecz grymasu zdziwienia. Przed nią stał Łukasz Polak.

Był wymięty, nieogolony i śmierdział towotem. Jedno ramię miał podrapane, a pod okiem nieduży siniec. Magdalena jednak natychmiast wyczuła męskie hormony. Już za czasów pobytu w Ciszyni miała na niego oko, choć w ogóle się nią nie interesował.

– Mogę? – Dał krok do przodu, a potem nie tłumacząc się, ale też bez arogancji wdarł się do jej pięknego mieszkania.

Stała w drzwiach skonfundowana i nadal wpatrywała się w rabatę. Co zrobi, jeśli za chwilę pojawi się Marek, myślała gorączkowo. Natychmiast zatrzasnęła drzwi. Może po prostu go nie wpuści? Poczuła żal, że będzie cały miesiąc w plecy. No i pończochy się zmarnują.

– Wychodzisz? – zapytał tymczasem zdyźdany blondyn, ale ponieważ nie odpowiedziała, poczuł się w obowiązku podtrzymać rozmowę. – Ukrywałem się w starych budynkach szpitala zakaźnego. Szczury mnie pogryzły, kiedy spałem – wyjaśnił. Pokazał ramię.

– Idiota – mruknęła i poszła po apteczkę. Wróciła ze starą walizką, rozłożyła ją i znalazła potrzebne medykamenty. Potem podniosła głowę i spytała czujnie:

– Ktoś cię widział?

Zabrała się do obmywania rany. Nie starała się być delikatna. Syczał przy każdym dotknięciu gazy.

– Dziś chciałem się zgłosić.

– Brawo – mruknęła.

– Nie wsypałbym was.

– Już to widzę. Tak samo, jak milczałeś przez cały okres terapii. Wiem o tobie i twoim życiu wszystko, chłopcze. Zresztą ta kobieta cię szuka.

– Mnie szuka? – zdziwił się i rozejrzał. – Sasza tu jest?

Magdalena owijała mu właśnie ramię bandażem.

– Jest w mieście i bardzo pragnęła się z tobą widzieć. Odradzałam jej, ale się uparła. Ma teraz złamaną rękę i poważne kłopoty.

Zerwał się z kanapy.

– Dlaczego nie mówiłaś?

– A niby jak? Telefonu nie odbierasz.

– Bałem się, że mnie podsłuchują – szepnął. – Mam kłopoty.

– O tym wie chyba cała Polska – zaśmiała się i włączyła telewizor.

W wiadomościach TVN24 pokazywano relację z miniszczytu afrykańskiego w Paryżu.

– Nigeryjscy islamiści z ugrupowania Boko Haram są zagrożeniem dla całej Afryki Zachodniej i Środkowej między innymi ze względu na udowodnione powiązania z Al-Kaidą – mówił zaaferowany dziennikarz. – Po tym, jak uprowadzili w połowie kwietnia ponad dwieście uczennic liceum, państwa sąsiadujące z Nigerią są gotowe na – jak to ujął prezydent Czadu Idriss Déby – totalną wojnę z Boko Haram.

Wyciszyła głos odbiornika. Oboje patrzyli na migające obrazki: płaczących ludzi, przerażone dziewczynki, marsze protestacyjne, buńczucznych terrorystów.

– No cóż, spadłeś z czołówki. – Wzruszyła ramionami. – Do wczoraj byłeś wszędzie. Dziwię się, że cię jeszcze nie pojmali.

– Nie uciekałem – przyznał się. – Nic nie wiedziałem.

– To typowe dla ciebie.

– Masz coś do jedzenia? – Wskazał niemal gotową do podania wykwitną kolację, która czekała na marmurowej wyspie w kuchni, i pogładził się po brzuchu.

Wzniosła oczy do nieba, ale ruszyła do kuchni i otworzyła lodówkę. Wyjęła chleb, masło, kiełbasę i mleko. Rzucił się na to, jakby nie miał nic w ustach od ucieczki. Nie chciała pytać, co wie, co zrobił, a czego nie. Nie potrzebowała takiego obciążenia. Zastanawiała się, ile to mu jeszcze zajmie i jak go elegancko wyprosić. Wreszcie zapakowała mu wszystko do reklamówki, wprost wyrwała z ręki mleko, zakręciła i dorzuciła kiść winogron z uczty dla kochanka.

– Weź i zmiataj – powiedziała. – Tylko szybko. Chyba nie sądzisz, że dam ci jakąś kasę.

Zbaraniał.

– Dokąd mam pójść?

– Zadzwoń do mamusi – poradziła.

– Tam na pewno na mnie czekają.

Zaczęła się już denerwować.

– Czego ode mnie oczekujesz?

– Powiedz im, że to nie ja.

– Jeśli to nie ty, sami do tego dojdą. Komenda jest pięć minut stąd. Po cholerę uciekałeś jak tchórz?

Pochylił głowę. Wrzucił niedojedzoną kanapkę do siatki.

– Zabierz mnie do kliniki i ukryj – poprosił.

– Chyba żartujesz?

– W twojej odmładzalni – dodał i wpatrywał się w nią z nadzieją.

Zamarła. Zdawało się, że nawet nie mruga.

– Nie wiem, o czym mówisz.

Uśmiechnął się.

– Daj spokój! – Machnął ręką. – Byłem tam wiele razy.

– Wyjdź! – krzyknęła.

Zmarszczył brwi, wreszcie zrozumiał.

– Albo zabierzesz mnie tam, gdzie są lodówki z krwią, albo idę na komendę i powiem im o tym miejscu – rzekł stanowczo. A potem już łagodniej: – Przeczekam, a kiedy sprawa przycichnie, zniknę. Nikt się nie dowie.

– Będę cię miała na karku przez lata – mruknęła. – Ale już kilku szantażystów było.

Zamilkła. Łukasz podniósł głowę.

– Było, czyli że już ich nie ma? – upewnił się. – To co wy tam robicie?

– Nie twoja sprawa. Zajmij się lepiej swoją rudą, bo jest w kłopotach.

Nie słuchał.

– Eksperymenty medyczne? Handel narządami? – strzelał, ale po jej zadowolonej minie wiedział, że pudłuje. Wreszcie spróbował po raz ostatni. – Handlujecie młodą krwią. Ten lek na alzheimera działa, prawda? Widziałem wydruki na twoim biurku.

Zbliżył się do niej. Przyjrzał jej delikatnej skórze bez śladu fluidu. Praktycznie nie miała zmarszczek. A potem pochwycił ją za ramię i zaciągnął do lustra.

– Ile masz lat, królowo? – wychrypiał. – Masz mnie za idiotę? Wiem od dawna, że chodzi o forsę. Dużą.

– Puszczaj! – Próbowała się bezskutecznie uwolnić.

Domofon zadzwonił i oboje się przestraszyli. Magdalena skorzystała z okazji i wyrwała mu się. Podniosła słuchawkę, ale zdążył zatkać jej usta. Nachylił się i wyszeptał:

– Zajadę cię, jeśli coś piśniesz.

– Do garderoby – poleciła, z trudem zachowując zimną krew.

– Zjem i zdrzemnę się – obiecał. – Nic nie widzę, nie słyszę. Baw się dobrze.

Wepchnęła go do pomieszczenia i przekręciła klucz, który schowała do szuflady z nowiutkimi nożami do mięsa. Jeden, największy, wyjęła i położyła na blacie. Tak na wszelki wypadek. Oddychała ciężko. Domofon zaś uparcie obwieszczał przybycie kochanka. Dziękowała teraz Bogu, że ktoś zbudował dla niej solidną garderobę. Z tej pułapki nie było wyjścia.

Otrzepała sukienkę, poprawiła szminkę na ustach i zdecydowała się na replay. Księżyc, pocałunek pod gołym niebem, kolacja, a potem faktycznie pojadą do odmładzalni. Łukasz Polak przekona się, jakie eksperymenty tam robią. Tyle że będzie to ostatnia informacja, którą otrzyma od kogokolwiek.

– Pięknie wyglądasz, Gałązko, choć groźnie – zarzucił bajerę Marek i wyciągnął misternie opakowany przedmiot – zamówioną setkę perfum Chanel 5. Nie żadna woda perfumowana czy toaletowa. Czysty ekstrakt, na który Marek musiał tyrać nie na jednej, lecz kilku budowach. Uśmiechnęła się, bo miał stuprocentową rację. Chyba pierwszy raz odkąd się znali. Otworzyła, spryskała się, mrużąc w ekstazie oczy. Wszystko, jak zwykle, miała pod kontrolą.

– Ty nie musisz się mnie bać – zapewniła.

– Dlaczego ci nie wierzę? – szepnął, po czym ją pocałował.

Otworzyła oczy, przyjrzała się niebu. Jak na złość księżyc ukrył się już za chmurami. Zaczęło mżyć. Mimo to Magdalena uznała, że wcale nie

muszą się tak śpieszyć.

– Wolałabym usłyszeć w dzisiejszą rocznicę coś miłego.

– Kocham cię – odparł przewidywalnie. I wyjął z kieszeni puzderko. Wewnątrz były okrutnie brzydkie rosyjskie kolczyki ze zbyt dużymi jak na naturalne granatami. Marek sam musiał je wybierać. – Granaty są prawdziwe. Matka kupiła kiedyś na Rubel Palcu. Za dobrych czasów. Czerwone rosyjskie złoto – zachwalał.

– No dobrze. – Rzuciła mu się w objęcia. Z jakiegoś powodu to ją rozczuliło. Może wpływ na jej dobre samopoczucie miał też fakt, co planowała po nocy z Markiem. Niemal czuła już w ustach słonawy smak krwi. – Też myślę czasem o tobie ciepło – zamruczała.

Stropił się. Nie tego oczekiwał.

– Żartowałam – szybko dodała. Ostatecznie miała dziś ochotę na tani romantyzm. – Też cię kocham. W końcu zbudowałeś pałac dla moich skarbów.

Tego dnia odwrócili kolejność. Najpierw seks, potem kolacja i wino. Kiedy szli do łóżka, dyskretnie ukryła nóż pod ręcznikiem. Ale położyła tak, by w razie potrzeby móc go schwycić dokładnie za rączkę. Ostrze było specjalnie oszlifowane, by jednym cięciem, praktycznie bez wysiłku, naciąć tkankę w kilku miejscach i spuścić z wciąż tętniącego życiem ciała cenną krew. Nie dalej jak wczoraj jej kolekcja profesjonalnych sztyletów wróciła od zaufanego tokarza. Choć na co dzień Magdalena używała do kąpieli trucheł króliczych, nie miałaby nic przeciw, by choć raz zanurzyć się w ludzkiej. Potrzebowała jednak silnej, męskiej ręki do przytrzymania ofiary. Poza tym nigdy jeszcze nie spuszczała krwi w domu, z przytomnego człowieka i bez asysty anestezjologa. Zawsze musi być ten pierwszy raz.

Sasza tym razem nie dostała apartamentu nowożeńców, tylko zwykły jednoosobowy pokój bez głowy żubra. Za to z widokiem na śmietniki, co uznała za bardzo dobrą wróżbę. Nie śpieszyła się i zamówiła słoninę z cebulą, którą ostatnio tak zachwalał jej na śniadanie recepcjonista. Nie była tak smaczna jak w Leśnym Dworku czy Starówce, popisowych lokalach miejskich, a już z pewnością nie umywała się do żywności, którą serwowano w restauracji białowieskiego hotelu Żubrówka, ale zjadła śniadanie z apetytem, popiła białą herbatą i ponieważ była jedynym gościem hotelowym, który zwalnia pokój po dwunastej, pozwoliła sobie już w trakcie posiłku trochę poczytać akta.

Zabrzmiała melodyjka z *Pingwinów z Madagaskaru*, więc w podskokach ruszyła do torby, ponieważ ten dźwięk oznaczał połączenie z Karoliną.

– Mama? – usłyszała w telefonie najsłodszy głos na świecie. – Pamiętasz, co dziś jest?

Zamarła.

– Wujek Karol ma urodziny. Babcia mówi, że na pewno zapomniałaś.

Sasza się uśmiechnęła. Nie było sensu dzwonić do brata przed trzynastą. Pewnie dopiero przekręca się na drugi bok.

– Jeszcze do wujka nie dzwoniłam, ale zrobię to. Pamiętam. A ty złożyłaś mu życzenia?

– Nawet zaśpiewałyśmy z babcią *Sto lat*. Tęsknię już za tobą – dziewczynka zakończyła ciszej, łamiącym się głosem.

Saszy natychmiast zakręciła się łza w oku. Po raz kolejny dziękowała Bogu, że ma dziecko. Tylko mała pozwalała jej zachować dystans do tego wszystkiego. Czuła znów, że wszystko to, co tutaj przeżywa, nie jest ważne, jest wręcz miałkie i nic ją nie obchodzi. Liczyła się tylko ona – jej córeczka. Czas wracać do domu.

– Wujek będzie samochodem? – zapytała Karolinę. – O której lądujecie? Daj mi, proszę, babcię. A potem jeszcze pogadamy.

Teraz do słuchawki podeszła Laura.

– Gdzie ty się podziewasz? Karol nie może cię od kilku dni złapać – zaczęła od reprymendy, a potem tylko się rozkręcała.

Sasza uśmiechnęła się pobłażliwie. Brat wcale do niej nie dzwonił, choć zapewne taką właśnie wersję przedstawił matce. Ale nie była w stanie gniewać się na Laurę. Dobrze mieć matkę generała. Wszystkich, całą rodzinę, trzymała w garści. Znaczyło to, że jest w formie. Czuje się dobrze, wszystko jest w porządku. Choć teraz w głowie Saszy zaświeciła się lampka alarmowa.

– Mamo – zaczęła nazbyt miło. – Skąd pochodzą nasi dziadkowie? Twoi i ojca?

– O co ci chodzi? – Laura natychmiast stała się podejrzliwa. – Mówiłam ci o Gołębiu pod Zamościem. Kresy.

– A czy możliwe jest, żeby babcia przeprowadziła się lub, sama nie wiem, została tam przesiedlona po wojnie z Białostocczyzny? – Sasza czuła, że się zaplątała.

– Nie – oznajmiła Laura. – Mieliśmy tam majątek. Folwarczek się kiedyś mówiło. To była siedziba rodziny od pokoleń. Co się stało, że nagle zaczęłaś się interesować moją przeszłością? Nigdy nie chciałaś zerknąć na nasze drzewo genealogiczne.

– A mama taty?

– Pomorze. O co ci dokładnie chodzi, córko?

– Jestem w pracy – Sasza postanowiła chwilowo zbyć matkę. – Pracuję nad pewną sprawą. Nie mogę podać szczegółów. Trafiłam tutaj na trop braci Załuskich. Bazyla i Janki, przepraszam, Jana. Tutaj oni tak zdrabniają.

– Jana? – zastanowiła się Laura. – Tato miał dziadka ciotecznego. Niemcy zabili go w czasie wojny. Czołg do niego strzelił.

– W którym roku?

– Pod koniec wojny. Nie znam szczegółów.

– Mam ich dokumenty. Rozpoznałabyś, albo może jakaś ciotka, kuzynka?

Laura była już lekko zniecierpliwiona.

– Mam w domu cały album wujostwa i trochę fotografii. Jak wrócimy, pokażę ci. Wiesz, ile kosztuje roaming w tym kraju? A Karolina już mi wyrywa słuchawkę.

– No to cześć – zdążyła odpowiedzieć Sasza i zaraz ponownie usłyszała dziecko. Szczebiotały jeszcze chwilę, zapewniając się o wielkiej miłości i tęsknocie. Wreszcie Sasza była zmuszona przerwać.

– Jutro się widzimy, kochanie. Babcia nie ma tyle pieniędzy, żeby dłużej rozmawiać.

– A czy gwiazdy na niebie to anioły zmarłych, które nad nami czuwają? Tutaj są inne gwiazdy niż u nas.

Sasza zagryzła wargę.

– Myślę, że tak – odparła. – Można powiedzieć, że każda gwiazda to anioł.

– Wybrałam sobie jedną i umówiłam się z nią, że to będzie mój tata.

Sasza zaczęła kompulsywnie zgniatać chusteczkę.

– Bo skoro on nie żyje, to opiekuje się nami. Widzi z góry wszystko bardzo wyraźnie. Żeby nic nam się nie stało.

– Z całą pewnością – wydukała Sasza. – Bóg opiekuje się nami.

– Razem z tatą i dziadkiem?

– Dziadek byłby z ciebie dumny.

– Urodziłam się w Dniu Dziadka. To pewnie na jego miejsce przyszłam na świat, co?

– Jesteś cudowna. Mądra, dzielna i kocham cię.

– A myślisz, że jak będę dużo do tej gwiazdy mówiła, to tata mi odpowie?

– Nie sądzę. – Sasza poczuła, że dłużej tego nie zniesie. Nie godziło się tak okłamywać dziecka. – Gwiazdy i anioły nie mówią. One po prostu są. Stoją na straży.

– Bardzo za nim tęsknię, wiesz?

Sasza milczała. Nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Teraz ja jestem twoją mamą i tatą. Wszystko będzie dobrze. Powiedz babci, że Karol was odbierze. Mój samochód się zepsuł.

– To pa! Lowik! – krzyknęła dziewczynka. – Muszę lecieć, bo basen otworzyli. Babcia zgodziła się dziś nie iść na plażę. I pływam na kółku, wiesz? Całkiem sama. Juhu!

– Zuch! – Sasza odetchnęła z ulgą. W słuchawce usłyszała chrobotanie, jakby ktoś rzucił aparat, a potem go podniósł.

– Jak to się zepsuł? Dopiero, co robiłaś przegląd.

– Mamo, mam złamaną rękę. Niech Karol was odbierze. I przenocuj Karolinę. Mam nadzieję do zobaczenia pojutrze. Przyjadę prosto do ciebie.

Odpowiedziała jej cisza. Sasza odsunęła telefon od ucha i zobaczyła, że połączenie zostało przerwane. Nie była pewna, od jak dawna mówi do siebie. Wykręciła ponownie numer, ale włączyła się skrzynka. Po chwili znów spróbowała. Bez skutku. Położyła telefon drżącą ręką na stole, wygaszacz bladł, aż wreszcie zaczernił się. Za chwilę jednak ożył. Muzyka z *Pingwinów* rozległa się ponownie.

– Zgoda. Jak zwykle wszystko na mojej głowie. Jak to złamałaś rękę? – utyskiwała Laura.

– Jesteś wspaniała, mamo.

– Wiem – odparła już cieplej matka Saszy. – Przypomniałam sobie, co było z tym Janem.

Sasza zrozumiała, że Laura nie chciała opowiadać przy wnuczce.

– Zginął zaraz po wojnie. Miał niespełna dwadzieścia lat. Jakoś zimą, bo babcia Zosia mówiła, że bandy chodziły po lasach i było tyle trupów, że nie dało się łopaty wbić w ziemię. Taka była zmarznięta. – Sasza zamarła. – A dlaczego cię to interesuje?

– Nie przejmuj się tym – zbyła matkę, starając się zachować normalny ton głosu. – Pomówimy o tym na spokojnie. Nie przez telefon.

– Rozumiem, że byłaś u lekarza i dbasz o siebie. Będziesz musiała chodzić na rehabilitację. Wiesz o tym? W twoim wieku złamanie to już nie to samo, co kiedy byłaś nastolatką.

– Dobrze, mamo. Dbam. Wracajcie szczęśliwie.

– Pomodlimy się za ciebie. – I Laura, jak zwykle nie czekając na odpowiedź, odłożyła słuchawkę.

Sasza wyjęła z pliku dokumenty braci Załuskich. Wpatrywała się w nieznanych jej mężczyzn. Szukała podobieństw w ich rysach twarzy do kogoś z jej rodziny, ale nic nie przychodziło jej do głowy.

Potem przeszukała listę wiadomości tekstowych i znalazła tę, której szukała.

„Chciałbym ją zobaczyć. Ł.”

Wybrała ten numer, przyłożyła słuchawkę drżącą ręką do ucha, ale nikt nie odebrał. Z ulgą zakończyła połączenie. Potem złożyła dokumenty. Udała się do recepcji, by uregulować rachunek. Recepcjonista tylko machnął ręką.

– Pan prezes już zapłacił.

Po czym przesunął w jej kierunku pakunek owiązany wstążką z logo hotelu.

– Świeżutka na drugie śniadanko. – Mrugnął do niej z szelmowskim uśmiechem. Sasza nie zrozumiała, więc wyjaśnił: – Słoninka od Nesteruka. Palce lizać, mówiłem! Prezent od firmy.

Sasza podziękowała i skierowała do wyjścia. Po chwili jednak obrzuciła wzrokiem hol. Poza nimi dwojgiem nikogo w budynku nie dostrzegła.

– Nie ma, widzę, ruchu – zaczęła. – Nie podrzuciłby mnie pan do Ciszyni? Pan prezes z pewnością byłby wdzięczny.

Recepcjonista zmarkotniał na moment, ale zaraz wyjął spod lady kluczyki i zdjął służbową marynarkę. Pod spodem miał T-shirt z wizerunkiem żołnierzy wyklętych i napisem: „Chwała Bohaterom!”. Zaprowadził ją do terenowego tarpana z plandeką, który nie był wcale zamknięty. Odgruzował miejsce pasażera z pojemników po pożywieniu i bynajmniej nie była to lokalna słonina, lecz stary, dobry KFC, którego logotypu Sasza nie widziała, odkąd zawitała na skraj puszczy. Przesypał puszki po energizerach i papierowe kubki po kawie ze stacji benzynowych, po czym zamaszystym gestem zaprosił ją do środka.

– Może to nie pickup ZU-dwadzieścia trzy-dwa, tylko poczciwy tarpan – zaśmiał się. – Ale też można zamontować karabin i pruć zapalającymi

pociskami po słomianych dachach wiosek, ciągle lojalnych wobec rządu.

– Pan taki właśnie ma plan? – Sasza wskazała jego T-shirt. – Pruć po wioskach?

– Tak tylko zażartowałem. – Wyraźnie się speszył. – Ale w razie konfliktu żelastwa mamy pod dostatkiem.

– My?

– Narodowa Hajnówka – odparł z dumą. – Polecam wejść na naszą stronę na fejsie.

– Zdawało mi się, że jest pan w dobrym układzie z prezesem – zaczęła. – Jak to się ma do pana, raczej odmiennych, poglądów?

– Praca jak praca. A prezes działa na oba fronty. To pani o tym nie wie? To on sfinansował ostatnie szkolenie narodowców. Wypas – podkreślił. Miała wrażenie, że gdyby był kotem, oblizałby się aż po lewe ucho.

– A to? – Wskazała na tatuaż na lewym ramieniu recepcjonisty, który odsłaniał się za każdym razem, kiedy ten zmieniał biegi. Przedstawiał falangę, tak zwaną Rękę z mieczem.

– Takie tam. – Zasłonił się płochliwie. – Błędy młodości.

Sasza teraz bliżej przyjrzała się młodzieńcowi. Włosy miał ostrzyżone na zero. Był umięśniony, choć ogólnie raczej typ drobnej kości. Za uchem miał jeszcze jeden znaczek. Dopiero teraz go dostrzegła.

– To też? – Wskazała liczbę 88.

Nie odpowiedział, ale chwilę potem zatrzymał wóz, choć do Ciszyni zostało jeszcze kilkaset metrów.

– Chyba lepiej będzie, jak nie będę się z panią afiszował.

– Dziękuję panu stokrotnie – zdobyła się na uprzejmość i nie spuszczając z niego wzroku, czekała, aż wycofa i zawróci na drodze.

Następnie wyjęła telefon i zanotowała w pamięci numer rejestracyjny samochodu. Doskonale wiedziała, jakie znaczenie ma falanga dla narodowców, a zwłaszcza NOP-u. Podobnie jak liczba 88. H to ósma litera alfabetu. Całość skryptu była więc dla niej również przejrzysta. *Heil Hitler*.

Panika w środowisku narodowców w Hajnówce. Jakiś czas temu zawiadomiliśmy prokuraturę, że strona Narodowa Hajnówka publikuje zdjęcia osób noszących emblematy z zakazaną symboliką faszystowską. Młodzi ludzie nosili naszywki z gestapowskim symbolem Totenkopf, *biorąc udział w marszu imienia Burego, człowieka, który dokonywał mordów na tle narodowościowym, zabijał wrogów narodu, nawet niemowlęta. W Hajnówce żyją ludzie, których bliskich zamordował Bury i jego oddział.*

O ile w warunkach bojowych żołnierze armii podziemnej przypinali sobie znaczki Totenkopf *na znak zabicia wroga, oznaczając je literami ŚWO (Śmierć Wrogom Ojczyzny), o tyle nic nie usprawiedliwia noszenia symboliki nazistowskiej przez młodych, zagubionych ludzi w 2014 roku, w czasie pokoju. Proponuję następnym razem przypiąć sobie na rajdzie swastyki na rękawkach.*

Policja wykonuje swoje obowiązki i przesłuchuje nieroztropnych ludzi, którzy wmówili dzieciakom, że noszenie gestapowskich oznaczeń jest fajne. I podniosło się wielkie larum.

Nazwano mnie przy okazji z trybuny sejmowej „lewicowym działaczem". Drodzy panowie narodowcy, ani nie jestem działaczem, ani nie utożsamiam się w pełni z lewicą, ale wiem, że noszenie faszystowskiej symboliki i epatowanie na portalu Narodowa Hajnówka wpisami typu: „Bury powinien wybić wszystkich Białorusinów. Szkoda, że nie wymordował reszty baszmaków" – są absolutnym złem. I zrobię wszystko, by odpowiedzialni za to ludzie ponieśli konsekwencje.

W Hajnówce zgodnie żyli przez lata Polacy i Białorusini, do czasu, gdy grupa polskich pseudopatriotów zaczęła mieszać i nawoływać do waśni na tle narodowościowym. I żadne interpelacje poselskie nie zmienią tego, że to, co robicie, to jest zło w czystej postaci. Białorusini mają takie samo prawo mieszkać na tej ziemi jak Polacy.

Asia złożyła gazetę w kostkę, by ojciec nie przegapił tego tekstu, i szybkim, zdecydowanym ruchem położyła ją na stole. Dokładnie

w momencie, kiedy matka zamierzała postawić przed nim obiad. Pietruczuk podniósł wzrok znad okularów. Spojrzał na córkę potępiająco.

– Idę na pikietę – oświadczyła Asia i odwróciła się na pięcie. Po chwili zobaczył, jak zdejmuje z wieszaka skórzaną ramoneskę i zakłada na szyję bandanę.

– Wracaj! – krzyknął, ale go nie posłuchała. Matka natychmiast wycofała się z talerzami do kuchni. Ojciec wydostał się zza stołu i ruszył w kapciach do drzwi. Licealistka zbiegała już po schodach. – Asiu!!!

Nawet nie zwolniła. Dopiero kiedy była już na dole klatki schodowej i siłowała się z blokadą do roweru, krzyknęła:

– Ludzie się zbroją! Nie zamierzam bezczynnie patrzeć, jak komuniści tuszują te sprawy!

– Kto naopowiadał ci tych głupot? – żachnął się ojciec.

– Głupot? Przeczytaj te bzdety, a mnie zrozumiesz. Pytasz kto? Ty mi opowiadałeś. Bóg, honor, ojczyzna. To są twoje słowa. Szkoda, że wyłącznie słowa.

Pietruczuk się poddał.

– Córeczko, porozmawiajmy.

– Nie ma już czasu na rozmowy, tato. Wkrótce będzie wojna. Zobaczysz.

Wtedy z przerażeniem stwierdził, że to nie z rowerem siłowała się w wózkarni. Wytargała teraz z kąta wielki transparent i zarzuciła go sobie na plecy, jak rycerz pochwę z mieczem. Po chwili do klatki wbiegło dwóch podrostków. Byli w bluzach z kapuzą od Prosto i luźnych spodniach Buldog. Z daleka wziąłby ich za hiphopowców.

– Niech się pan nic nie martwi! – Jeden z nich wychylił się i radośnie pomachał ojcu dziewczyny. – Będzie miała dobrą opiekę. Włos jej z głowy nie spadnie.

Pietruczuk rozpoznał dzieciaka od Krajnowa, jednego z frontmenów zbrojnego komanda, i teraz już miał pewność, że Asi grozi niebezpieczeństwo. Jeśli faktycznie pójdzie z narodowcami na Urząd Miasta, kłopoty będzie miała cała rodzina. Odwrócił się do małżonki i napotkał jej wrogie spojrzenie. Wymierzyła w niego wskazujący palec.

– Podjudzałeś ją, to teraz masz – syknęła.

– Ubieraj się! – Rzucił jej trencz, który kobieta pośpiesznie narzuciła na staroświecką podomkę. Wybiegła w kapciach.

– Jeśli ty jej nie przemówisz do rozumu, zabiorę ją stamtąd siłą – zacietrzewił się, kiedy wsiadali do auta. – A potem przełożę przez kolano i pasem wybiję jej z głowy wojenkę.

Namiot do ujawniania śladów daktyloskopijnych parami kleju cyjanoakrylowego był już rozstawiony od godziny. Wokół niego krążyli mundurowi i sztab techników z wojewódzkiej. Przed targowiskiem zaparkowały same wypolerowane wozy. Większość rejestracji wskazywała na jednostki MSW.

Doman przejął jeden z pustych butików i urządzono tam tymczasowe centrum dowodzenia. Dostarczono plastikowe krzesełka i Domański, niczym przed sądem polowym, składał właśnie raport z dotychczasowych działań prokuratorowi i swojemu bezpośredniemu zwierzchnikowi. Co jakiś czas słychać było krzyki bądź wrogie pomruki.

Romanowska z trudem trzymała się na nogach. Migrena nasiliła się, oko jej latało. Wiedziała, że wkrótce będzie miała torsje. Wszystko przez to, że tak mało ostatnio sypiała. Mimo to nie odważyła się poprosić nawet o godzinę wolnego i pojechać do domu przespać ból głowy. Witała się z kolejnymi zwierzchnikami, którzy w większości pierwszy raz odwiedzali ich rejon. Starała się robić jak najlepsze wrażenie. Mówiono, że sam komendant wojewódzki jedzie na wizytację miejsca zbrodni. To dla niej być albo nie być i naprawdę się bała, co z tego wszystkiego wyniknie.

Bazar świecił już pustkami. Taśmy policyjne przesunięto aż do samej ulicy, by nie przedostał się na miejsce zdarzenia żaden cywil. Ludzi z kamerami było więcej niż w trakcie wyborów prezydenckich Kwaśniewskiego, kiedy przyjeżdżał tu zdobywać elektorat.

Policjanci z komendy w Hajnówce dostali rozkaz przejąć czarną robotę. Musieli przesłuchać około setki potencjalnych świadków, w tym ukrywających się „turystów” zza wschodniej granicy, który nie mieli pozwolenia na handel. Ich towar zarekwirowano i skrupulatnie sprawdzano, czy nie ma tam substancji nielegalnych, broni, rzeczy kradzionych. Czekała ich mrówcza praca i to na najbliższy tydzień. Wiadomo było, że nie da się sprawdzić wszystkich bywalców Rubel Placu. Szukanie zabójcy Bondaruka zapowiadało się jak szukanie igły w stogu siana.

Romanowska zakazała swoim ludziom spać, choć oficjalnie zmieniali się co osiem godzin. Obiecała oddać im nadgodziny z nawiązką, gwarantowała premie, mówiła nawet o paczkach na święta. Nikt nie zaprotestował. Każdy rozumiał wagę sytuacji. Do tego wciąż dzwonili do niej burmistrz, starosta i lokalni biznesmeni. Bali się, jak sprawa zabójstwa Bondaruka wpłynie na ich interesy. Każdy chciał się jakoś zabezpieczyć. Rozumiała ich, ale na ten moment, jak nigdy, nie puszczała pary z ust.

Wieść o ludzkiej głowie znalezionej w kapuście rozniosła się po mieście lotem ptaka. Natychmiast też miejscowi wiedzieli już, że należała do prezesa tartaku. Udało się jedynie utrzymać w tajemnicy, co technicy odkryli, kiedy wywalili kapustę z beczki i wyłowili zmacerowaną sokiem kiszonki twarzoczaszkę. W usta Bondaruka zabójca włożył liścik, który szczelnie zalaminował. Karteczka była biała, a na niej nakreślono odręcznie kilka słów po białorusku. Komendantka była przekonana, że jeśli to zostanie ujawnione, wzbudzi sensację na skalę krajową. *Woś życcio kastrapataje. Choczam, kab nas kachali. Ale czamu? Hetaha nichto nie wiedaje*. Musieli szybko rozwiązać sprawę, bo – jak ostrzegł ją wściekły burmistrz – na urzędach posypią się głowy. Nie mogła do tego dopuścić. Układ, który był dla niej obecnie tak korzystny, za chwilę może runąć. A już zaczęła się cieszyć, że odejdzie z policji na ciepłą posadkę do ratusza.

Minął ją medyk sądowy. Czekali z oględzinami tylko na niego. Prokurator Anita Krawczyk, dziś w dżinsach i welurowej marynarce, przywitała się z anatomopatologiem i dała znak Romanowskiej, by przypilnowała wejścia. Krystyna z ulgą ustawiła się przy taśmie i nawet się nie przejęła, że potraktowano ją jak stójkowego. Bezceremonialnie zawołała syna, rozmawiającego właśnie z kolejną klientką TO-MI-TO, która widziała ponoć kogoś podejrzanego. Krystyna rzuciła tylko okiem na kobietę i już wiedziała, że to klasyczny dochodzeniowy bąk.

– Nie ruszaj się stąd – poleciła synowi. A do świadka: – Zapraszam na komendę. Dyżurny panią pokieruje.

– A ja?

Podszedł Anatol Pires. Na smyczy prowadził starego amstafa bez kagańca. W komplecie wyglądali jak bohaterowie *Amores perros* Alejandra Gonzaleza Iñárritu.

– Dzień dobry, dyrektorze – przywitała się grzecznie i próbowała zbyć lokalnego wariata. – Jeśli byłby pan łaskaw, również prosiłabym o zgłoszenie się do kolegów na dyżurce. Chyba że to sprawa niecierpiąca zwłoki.

– Raczej tak – podchwycił Anatol. I dalej już mówił tylko „po swojemu”. – Choć pewnie pani nie interesuje, co stary dziadyga ma do powiedzenia.

– Nie teraz, panie Pires. Bez takich szpilek. Pan widzi, co się dzieje.

Pires nachylił się do Romanowskiej. Markotny pies nie ruszył się na krok. Apatycznie przyglądał się ogólnemu rozgardiaszowi.

– On gryzie? – Wskazała z obawą kiedyś żółte, a dziś posiwiałe zwierzę.

– To ona – poprawił ją mężczyzna. – Tylko złych ludzi.

– Co to za informacja? – westchnęła Romanowska.

– Taka tam. – Pires machnął ręką. Chciał widać, by go prosiła.

Romanowska wzniosła oczy do nieba.

– Mówi pan? Bo się trochę śpieszę na czynności – skłamała.

– W dniu wesela synowie Bondaruka zlecili mi jego skasowanie – rzekł.

Romanowska wpatrywała się w mężczyznę, jakby nie rozumiała po białorusku.

– No, kasę mi dawali za ojcobójstwo. Wszyscy trzej się złożyli. Jebani bracia Karamazow.

– Można wiedzieć ile?

– Pojęcia nie mam, bo zlecenia nie przyjąłem.

Romanowska pobłażliwie poklepała starca po plecach.

– Sprawdzimy ten trop. Są pierwsi na liście podejrzanych. Dzięki panu.

– To nie wszystko. – Chwycił ją za mundur zgrabiałą dłonią. – Wiem, kto wziął zlecenie.

Romanowska milczała. Staruszek też zapadł się w sobie. Oboje myśleli swoje. Ona, że to jednak wariat. On zaś był pewien, że komendantka mu nie wierzy. Uśmiechał się tylko pobłażliwie, a potem zaczął gwizdać jakąś wojenną piosenkę. Nie była w stanie przypomnieć sobie, co to za hymn.

– Zamieniam się w słuch – ponagliła go, bo nadjeżdżał już radiowóz z pracownikami hurtowni ogrodowej.

Ściągnięto wszystkie sześć osób mających styczność z beczką, w której jechała kapusta. Od każdej z nich mieli pobrać odciski palców, podobnie jak od pracowników warzywniaka i pobliskich sklepów, by wyeliminować ewentualne ślady „ślepe”.

– Nie powiem pani tutaj. – Odwrócił się i zaczął odchodzić.

– Halo, panie Pires! – zawołała za nim i podbiegła. – Nie czas na fochy.

– Trzy opcje mam – odpowiedział od razu. Bardzo mu się śpieszyło, by jego donos trafił pod właściwy adres. – Rzeźnik Nesteruk to raz. „Smutny”, ojciec młodej od Żubrów, jako numer drugi bym obstawiał. A trzeci to ta dziewczyna z gipsem.

– Załuska? – Komendantka z trudem zachowała powagę.

– Nie wiem, jak się zwie – odburknął. – Ta ruda, co się tu od jakiegoś czasu kręci.

– Dlaczego pan tak sądzi?

– Widziałem ich wczoraj w nocy, w lesie. Koło spalonej chaty. Gdzie kiedyś była świniarnia, a teraz szeptunka przyjmuje. Gadali koło bezimiennej mogiły Pod Płaczącą Wierzbą.

– Znaczy brzozą?

– Tam faktycznie jest zagajnik brzozowy, ale miejsce nazywa się Pod Płaczącą Wierzbą. Od razu widać, że pani nie stąd. Bardzo długo gadali.

– Stąd, nie stąd. Dlaczego w takim razie przychodzi pan z tym do mnie, a nie złoży oficjalnego zgłoszenia?

Rozpromienił się.

– Ja w papierach figurować nie będę. Ale chcę, by pani wiedziała. Ona nie jest obca.

– Kto?

– Mówię pani, że ona tutejsza. Pewnie zemścić się za Stacha przyjechała.

Po czym nachylił się i szepnął:

– Może to córka Stepana. Kto ją tam wie. Nie ten pies jest straszny, co szczeka, ale ten, co warczy.

– Dzięki. – Romanowska ocknęła się z zamyślenia i wyciągnęła do mężczyzny dłoń, by mógł ją uścisnąć.

Ale ten stanął natychmiast na baczność i cmoknął ją z namaszczeniem w przegub.

– Jakby co, wie pani, gdzie szukać starego wariata. – Puścił do niej oko i odszedł, kołysząc się na boki. Milczący pies powlókł się za nim. Dopiero wtedy Romanowska zauważyła, że wcale nie był uwiązany. Smycz Pires ciągnął po chodniku. Mimo tego pies szedł mu równo przy nodze.

Romanowska wpatrywała się w nich, aż zniknęli po drugiej stronie ulicy. Stała jeszcze dłuższą chwilę w miejscu i niczego już nie rozumiała.

– Czego chciał? – JahJah podszedł ją od tyłu.

– Mówił, że zna mordercę Piotra – odparła.

– Pewnie to ja albo ty. Może ktoś z urzędu? Lubi facet zamotać, nie powiem.

Romanowska się nie roześmiała. Była całkowicie poważna.

– Słuchaj, jak to się stało, że gdańszczanka tu przyjechała? Skąd ją wziąłeś?

JahJah zatoczył okrąg.

– Nie ja, tylko patrol drogowy, i stąd. Dokładnie z tego miejsca. Włóczyła się po okolicy bez dokumentów.

– Czy mamy pewność, kim ona właściwie jest? – Krystyna odwróciła się do JahJah’y.

– Co sugerujesz?

– Czy potwierdziliśmy jej dokumenty?

JahJah pochylił głowę. Zamruczał coś niezrozumiale.

– A jeśli podała się za tę profilerkę? Udawała ją? – Krystyna zarzuciła byłego męża pytaniami. – To, że wydrukowała sobie czyjąś pracę doktorską, zdobyła dokumenty, w kółko dzwoniła do jakiegoś policjanta…

– Który zresztą nigdy nie dojechał.

– Nigdy. – Komendantka pokiwała głową. – Jaką mamy pewność, kim jest ta kobieta? Zdjęcia Saszy Załuskiej, choć wiemy, że taka osoba istnieje i pracuje naukowo w Huddersfield, nie ma nigdzie w sieci. Ani na stronie komendy w Gdańsku.

JahJah wyjął wykałaczkę. Włożył sobie do ust.

– Rzuciłeś palenie?

– Na razie na dwie godziny – mruknął. – Mięso mam między zębami.

Milczeli.

– Myślisz, że to oszustka? Mistyfikatorka?

Romanowska wzruszyła ramionami.

– Od niej się ta heca zaczęła. Kiedy ta baba tu przyjechała – zawiesiła głos – zaczęły się jaja.

– To kto to jest? – myślał głośno JahJah. A potem nagle go olśniło. Zerknął z ukosa na Romanowską. – Myślisz, że wróciła? Akurat teraz? Po tylu latach? Choć to możliwe. O ślubie Bondaruka bębniły wszystkie media. Może doczytała się o tym w internecie albo na TVP Polonia. Ale trochę niepodobna do Stepana.

– A ty akurat pamiętasz, jak wyglądała jej matka – fuknęła komendantka.

Po czym rozejrzała się, czy nikt ich nie podsłuchuje.

– Zbajeruj prokuratorkę. Teraz na wszystko się zgodzi – powiedziała. – I wyślij do tego magika od antroposkopii zdjęcie siedemnastoletniej Irmy. Co nam szkodzi sprawdzić.

JahJah natychmiast wyjął paczkę papierosów.

– To by się nawet zgadzało – rzekł. – Jeśli faktycznie to Irma, miała motyw uciąć chujowi łeb i mogła zadziałać w pozostałych sprawach.

– Cóż to byłaby za piękna puenta! – Krystyna rozpromieniła się i ruszyła w kierunku miejsca zdarzenia. Nagle uświadomiła sobie, że ból głowy ustąpił. Całkiem o nim zapomniała.

– A ty dokąd?

– Też chcę zobaczyć to widowisko – odparła. I zmieniła ton na służbowy. – Czekaj tu. Do ciebie nikt nie podejdzie. Nie odważy się. A mnie w kółko świry zaczepiają.

– To idź, idź. Nuda. Naświetlają. Medyk dyktuje oględziny, a technicy przewalają kapustę.

– Poza głową żadnych ludzkich szczątków?

Potwierdził i uznał, że musi się jej zwierzyć:

– Przez najbliższe pięć lat nie tknę bigosu. Dobrze ci radzę, jeśli nie chcesz mieć tego samego, nie idź. To już nie nasza sprawa. Niech ci z wojewódzkiej się gimnastykują. A regresję załatwię na cito.

Romanowska już go nie słuchała. Nie było jej może kwadrans, po czym wybiegła i chyba tylko cudem zdążyła zwymiotować nie na siebie czy kogoś stojącego obok, lecz pod płot.

– Masakra. – Zerknęła na JahJah'ę. Patrzył na nią ze współczuciem. – Trudno w to uwierzyć, że Okularnik naprawdę nie żyje.

JahJah nie zdążył odpowiedzieć, bo po chwili zaroiło się od innych funkcjonariuszy. Na ich czele szła prokuratorka.

– Głowę odcięto pośmiertnie – powiedziała Anita. – Lekarz mówi, że zrobiono to fachowo. Ktoś, kto zna się na rozbiórce mięsa. Może był masarzem, pracował w zakładzie wędliniarskim. Zawęzicie mi grupę podejrzanych? Znacie tutejszych.

– Iwona, znaczy panna młoda, którą wczoraj odzyskaliśmy, była zatrudniona u Nesteruka – zasugerował Doman.

– Jak połowa tego miasteczka – dodała prokuratorka. – To na niewiele się zda, ale miała motyw. Przesłuchajcie ją. I dokładnie raz jeszcze zbadajcie miejsce, gdzie się ukrywała. Gdybyśmy mieli narzędzie zbrodni, byłoby znacznie łatwiej. No i szukamy korpusu. Georadar będzie po południu. Ustalcie inne miejsca, w których można ukryć zwłoki.

– Wokół jest puszcza. Miejsca aż nadto.

– A profilerka? Jak jest potrzebna, to jej nie ma.

JahJah i Krystyna spojrzeli po sobie. Nie musieli ustalać wersji.

– Doman ma kumpla – tym razem wyjaśnienie wziął na siebie JahJah. – Widziałem, że się tam kręcił. To ten słynny Ślązak.

– Georadar nie będzie mógł pracować tutaj wiecznie – uprzedziła ich Krawczyk. – Potrzebny jest też do innych czynności. Bierzcie się do pracy.

– Tak jest, szefowo! – JahJah zasalutował żartobliwie.

Romanowska zaś dodała:

– Śmierć, odcięcie głowy, liścik, wrzucenie do beczki, zamknięcie jej. Po co tyle zachodu? Trudne logistycznie. Jedna osoba czy kilka, jak sądzicie?

– Więcej niż jedna – odparł JahJah. – Inaczej szybko do tego kogoś dojdziemy.

Anita Krawczyk nastroszyła się i poklepała JahJah’ę po muskułach.

– I tak do tego dojdziemy, stary. Tego nie unikniesz. Są zresztą odciski i cała masa śladów. Jestem głodna. Wpadnę tylko na szybkie pierogi, okej?

Głowa psa w czerwono-białej obroży, z medalikiem białoruskiej Pogoni, wpadła przez okno na biurko burmistrza. Odbiła się od służbowego komputera, poturlała aż pod drzwi sekretariatu, a potem wtoczyła pod szafę z pucharami lokalnych siatkarzy i tam się zakleszczyła. Znalazła ją dopiero sprzątaczka, kiedy zaatakowała mopem pokój włodarza miasta. W tym momencie nikomu nawet na myśl nie przyszło, że to brawurowa akcja Narodowej Hajnówki. Psi łeb bowiem nie zostawił brunatnych smug, choć taki wstępnie był plan, by zamanifestować przekaz: „nieczysta krew”. Asia Pietruczuk odmówiła jednak trzymania w rękach ciepłego psiego truchła, więc głowę precyzyjnie zafoliowano.

Asystentki akurat nie było. Wyszła jeszcze przed przerwą obiadową do Manhattanu na umówiony manikiur. A ponieważ nie miał jej kto zastąpić, także i to biurko było puste. Bezskutecznie młodzi narodowcy czekali, przyklejeni do ściany budynku, na okrzyki przerażenia. Burmistrz tego dnia nie wrócił już do biura. Zadzwonił, że na najbliższy tydzień bierze wolne i wyjeżdża na działkę. A teraz był akurat w drodze na targowisko, gdzie – jak trąbiły już od rana ogólnopolskie radia – ujawniono kolejną ofiarę ludojada z Podlasia.

Asia odpięła karabińczyk, zwinnie zeszła po ścianie na drzewo, a z niego zeskoczyła wprost w ramiona Zaspy, lidera Narodowej Hajnówki i jednego z partyzantów zbrojnego komanda, dziś jednak w stroju hiphopowca, a nie kamuflażu wojaka. Zarumieniła się, ponieważ rosły młodzian dla zachowania równowagi przytrzymał ją w swoich potężnych barach nieco dłużej niż trzeba. A kiedy wreszcie postawił ją na ziemi, zaraz dopadła ją reszta grupy, by pogratulować jej odwagi. Asia była teraz już czerwona jak piwonia.

– Jakby ojciec dowiedział się, że wspięłam się tak wysoko, toby w to nie uwierzył – szepnęła do siebie, na co inni zareagowali gremialnym śmiechem.

Ktoś podstawił jej pod nos telefon i puścił nagrany film.

– Wyglądasz jak kobieta-kot – z podziwem mruknął Zaspa i zabrał się do rozwijania transparentu.

Zamierzali stać przed wejściem do urzędu dotąd, aż pojawią się oficjele, ale o tej godzinie budynek wyglądał na opuszczony. Zaczęli skandować: „Precz z komuną” i „Chwała bohaterom”, ale poza kilkoma urzędniczkami, które natychmiast przykleiły się do okien, i bardziej zaciekawionym niż przestraszonym strażnikiem, który akurat wyszedł przed ruchome drzwi zapalić, nie zgromadzili żadnej publiczności.

Nagle z alejki parkowej wyjechał radiowóz. Narodowcy spojrzeli po sobie. Było ich zaledwie kilkunastu. Tylko tylu udało się skrzyknąć w tak krótkim czasie przez fejsa. Zaspa widział po twarzach, że dzieciaki, bo większość chodziła jeszcze do gimnazjum i tylko kilku było już licealistami, mają ostrego cykora. Dał im znak, że muszą być twardzi, i potwierdził, że nie ma mowy o odwrocie. Zostają. Wtedy na parking urzędu wjechał stary tarpan. Wysiadł z niego Leszek Krajnów z asystentem, recepcjonistą z motelu Żubr, i ruszyli wprost do swojego komanda. Artur Mackiewicz został w wozie i nie spuszczał z kolegów wzroku.

– Co to za szopka? – huknął na jednego z młodzików Krajnów.

– Czytał pan artykuł tego dziennikarzyny? Oskarżają pana o faszyzm. A nas obrażają.

Krajnów machnął tylko ręką. Rozpromienił się.

– Nareszcie zaczęli się z nami liczyć. Nie ma powodu do złości. Porównanie do Burego to dla mnie komplement. A dla ciebie?

Młody bąknął coś w odpowiedzi. Spłoszył się. W końcu przyznał katechecie rację. Krajnów pogłaskał go po głowie jak niesfornego syna. Po czym wyjął z jego drżącej dłoni transparent. Obejrzał.

– Kapitalny.

– Asia malowała.

– Poznaję styl.

Zanim radiowóz podjechał, Krajnów zdążył płachtę zwinąć i uśmiechnąć się do funkcjonariusza, który wychylał się właśnie z okna samochodu.

– Co to za zgromadzenie? – rzucił policjant. – Nie ma zgody na manifestację.

– Jakie zgromadzenie, Romciu? – Leszek udał zdziwienie. – Jesteśmy po tajnych kompletach z historii. Salkę nam zabrała gmina, to musimy tłuc się po parkach. Za to Białorusini mają nawet sale kinowe na swoje filmy dokumentalne. I to wszystko za nasze, podatników, pieniądze.

– Nic mnie nie obchodzą wasze rozgrywki, Lechu. Rozejść się – polecił łagodnie funkcjonariusz. I skierował palec w Krajnowa, wyraźnie się wygłupiając. – Widzę cię, stary. I będę cię obserwował.

A potem wysiadł i podszedł do młodzieży. Nachylił się do Krajnowa.

– Daj spokój, chłopie. Wiesz, że musiałbym was spisać. Nie rób tego dzisiaj mnie i sobie. Pół wojewódzkiej mamy na karku.

– Dobra, już dobra! – Lechu przybił z nim piątkę.

Z auta wysiadł Mackiewicz. Podszedł do Krajnowa i stanął w szeregu.

– Też bym się chętnie poduczył – oświadczył.

Policjant się zaśmiał. Ruszył wolno wzdłuż chodnika. Jego partner nie zwracał na zamieszanie uwagi. Jak pilny uczeń notował coś w kajecie.

– Jest i dowódca komanda – policjant rzucił z przekąsem do Artura i syknął, udając nienawiść – zjeżdżaj, kacapie.

Dzieciaki z tyłu wybuchnęły śmiechem.

Policjant, Leszek i Artur przybili piątki. Kiedy radiowóz odjeżdżał, Krajnów krzyknął:

– Spokojnej służby. Jak zwykle.

A do dzieciaków:

– Przekładamy akcję. Dziś Bondaruk skradł nam show.

W tym momencie zza winkla wypadł ojciec Asi. Matka biegła za nim truchcikiem, coś proszącym głosem perorowała. Pietruczuk jednak wcale jej nie słuchał. Podszedł, szarpnął córkę za rękaw, a kiedy się opierała, uderzył ją z otwartej dłoni w twarz. W jej obronie stanął Zaspa, który lewym prostym powalił Pietruczuka. Słychać było uderzenie czaszki o beton i z ust ojca Asi buchnęła krew. Matka opadła na kolana i zaczęła lamentować. Krajnów i Mackiewicz dali dzieciakom znak do ucieczki, zapakowali transparenty do bagażnika wozu i wezwali pogotowie.

Tej samej nocy spłonął tarpan Mackiewicza. Krajnów został zawieszony w obowiązkach w szkole. Asia trafiła do aresztu, ponieważ była już pełnoletnia, ale nie spędziła w policyjnym dołku więcej niż cztery godziny: mecenas Mackiewicz wybłagał u sędziego zamianę aresztu na dozór za poręczeniem majątkowym. Mimo to miesiąc później została skreślona z listy uczniów białoruskiego liceum. Do sieci błyskawicznie przeciekł film z jej udziałem, jak polska nacjonalistka wrzuca do urzędu miejskiego psią głowę. Przez następne kilka lat ludzie będą opowiadali sobie te zdarzenia jako początek wojny Polaków i Białorusinów, choć wszyscy wiedzieli, że to była najmniej udana akcja narodowców. Właściwie spaliła na panewce.

– Musimy pogadać. – Sasza dopadła Domana przed wejściem do komendy. Był zmęczony, prawie słaniał się na nogach. – Byłam chyba ostatnią osobą, która rozmawiała z Bondarukiem.

Zatrzymał się.

– Nie powinno mnie to już dziwić – mruknął. I dodał: – Wiesz, że cię szukają?

– Kto?

Nie odpowiedział. Przepuścił ją w drzwiach, a potem dał znak dyżurnemu, że wprowadza ją na teren komendy na własną odpowiedzialność.

– Sajgon! – Poczochrał się po głowie. Rozciągnął powiekę. Białka były przekrwione. Czuć było od niego potem. Postawił przed nią puszkę z colą i rozparł się wygodnie na krześle.

– No i co tym razem?

– Pokazał mi wczoraj mogiłę Stepana i księdza. Nie wiem, czy powinnam mu wierzyć, ale opowiedział całą historię. Musiał zginąć między drugą a szóstą.

– Jesteś patologiem?

– Przed drugą odwiózł mnie do motelu. Prawdę mówiąc, był ostro napruty. Bazar otwierają o szóstej. A ktoś wrzucił głowę do beczki, zanim przyjechała na Rubel Plac. Prasa o tym bębni. Mam internet w telefonie.

Doman milczał.

– Nie chcesz tam pojechać? – zdziwiła się. – Myślę, że dlatego zginął, że zaczął sypać.

Doman przesunął papiery na biurku Romanowskiej. Uporządkował je.

– Mogłem tu być szefem jeszcze kilka lat temu – westchnął. – Jak się cieszę, że jestem tylko przejazdem. Zaraz mi się głowa odkręci.

Drzwi się otworzyły. Sasza nie zdążyła nic odpowiedzieć.

– Tu jest. – Weszła Romanowska z prokurator Krawczyk. Za nimi stał JahJah. – Mam nadzieję, że masz dobrego adwokata.

– Jest pani aresztowana pod zarzutem dokonania zabójstwa na Piotrze Bondaruku, Danucie Pietrasik oraz że wspólnie i w porozumieniu dokonała pani uprowadzenia z okolic Białowieży Iwony Bondaruk, z domu Bejnar.

– Bardzo śmieszne – żachnęła się Sasza.

Nie wzięła słów JahJah'y poważnie. Policjant zatrzymał się skonfundowany.

– Zakuć ją? – Odwrócił się do prokuratorki. – Ma ten gips.

Anita pokręciła głową.

– Saszo – prokuratorka zwróciła się do Załuskiej jak do dziecka – mamy twoje odciski, świadka zbrodni. No i łańcuszek poszlak w kilku innych sprawach. Już wcześniej cię obserwowaliśmy. Pójdę ci na rękę, jeśli podasz miejsce pobytu wspólnika. Informacja, gdzie ukryłaś korpus, też by nie zaszkodziła – mamiła ją obietnicami.

– Jakiego wspólnika? – zdenerwowała się profilerka. – O co wam chodzi? Siedzę tu od tygodnia i wam pomagam. Powariowaliście? Nikogo nie zabiłam, a paru zasłużyło.

– Iwona cię poznała. Jest też świadek, który widział, jak wczoraj kopałaś Pod Płaczącą Wierzbą.

– Nie kopałam, co najwyżej sprawdzałam. Ziemia wydała mi się naruszona. Bondaruk pokazał mi miejsce ukrycia ciał tej starej sprawy z siedemdziesiątego siódmego. Stepan i ksiądz. – Wyciągnęła z torby plik dokumentów. Były to teczki, które wczorajszej nocy przekazał jej Bondaruk. A właściwie ich kopie, bo oryginały, zgodnie z jego zaleceniem skserowała w Ciszyni i wysłała z pieczątką szpitala kurierem do Roberta Duchnowskiego. Na wszelki wypadek. – Dzwoniłam do JahJah'y, Romanowskiej. Nikt nie był łaskaw przyjechać, a teraz urządzacie szopkę. Nie przyjmuję żadnych przeprosin! Żegnam.

Odwróciła się, ale JahJah chwycił ją i zatrzymał w miejscu.

Anita usiadła. JahJah siłą usadził naprzeciwko Załuską. Prokuratorka wzięła dłonie skołowanej Saszy w swoje. Zachowywała się tak, jakby

z trudem przychodziło jej przekazywanie takich wiadomości, ale Załuska wiedziała, że to wystudiowana poza.

– Przed chwilą sprawdziliśmy to miejsce, którego współrzędne podałaś – wyartykułowała wyraźnie i powoli. – Georadar na coś wreszcie się przydał. Nie ma tam żadnych szczątków sprzed trzydziestu lat. Był za to świeży korpus. Ostatecznie DNA potwierdzi tożsamość, ale gosposia poznała prezesa po spodniach od piżamy.

Sasza zamrugała trzykrotnie. Przypomniała sobie, jak Piotr pociągnął ją w krzaki i ostrzegał, by nikomu nie pokazywała dokumentów. Przytuliła je teraz do piersi i zamilkła. Nie zamierzała ich im oddawać. Teraz nie.

– Nie powiem nic więcej bez adwokata – rzekła.

Prezesa pochowano z honorami na cmentarzu prawosławnym, choć Dunia Orzechowska wyszła ze swojej nory i pofatygowała się do burmistrza z prośbą, by złożyć ciało Bondaruka w rodzinnym, katolickim grobie. Na pogrzeb przyszło więcej osób niż na wesele, chociaż wiadomo było, że stypa będzie skromna. Żadnych płonących świniaków, wódki czy chórów ludowych. Pop odczytał kilka patetycznych wspomnień. Burmistrz odznaczył społecznika medalem i obiecał, że na najbliższej sesji rada miasta będzie obradowała nad nazwaniem jednej z ulic na cześć prezesa tartaku. Synowie Piotra przez całą ceremonię nie wyszli z przedsionka cerkwi i stali tam jak trzy zgodne kruki.

Żaden nie chwycił za trumnę, kiedy niesiono zwłoki ojca do grobu. Odmówili wydania choćby złotówki na poczęstunek dla ludu. Zaprosili tylko kilkanaście osób do Leśnego Dworku, gdzie od łebka policzono im w promocyjnej cenie. Za kwiaty, ceremonię i posługę popa zapłaciła poślubiona przed tygodniem młoda małżonka. Z tych samych pieniędzy, które Piotr zostawił jej i Quakowi na nową drogę życia. Po opłaceniu rachunków Iwonie zostało zaledwie kilka tysięcy złotych. Nie wystarczyło nawet na honorarium dla adwokata, by wyciągnąć z aresztu braci Żubrów, których zatrzymano pod zarzutem sfingowania uprowadzenia siostry. Iwona spieniężyła za mocno zaniżoną kwotę pierścionek od Piotra i ślubną obrączkę. Mackiewicz wziął plik zgniecionych banknotów i łaskawiec zgodził się nie doliczać VAT-u.

Trumna była przez całą ceremonię zamknięta. Nikt nie zamówił balsamowania zwłok. Ale też nikt nie miał potrzeby oglądać rozkawałkowanego ciała Piotra. Do dołu, w który spuszczono na linach najtańszą trumnę z laminatu, kolejno podchodzili mieszkańcy i zawodząc niczym zawodowe płaczki, wrzucali po garści ziemi. Niektórzy rzucali też krzyżyki, ikony i kolorowe wstążki. Zwykli ludzie szczerze rozpaczali po prezesie. Jego bliscy współpracownicy natomiast, zaufani wspólnicy i byli kompani w biznesie czekali tylko, aż ten cyrk się skończy.

Mikołaj Nesteruk nie wszedł nawet do kaplicy. Stał przy bramie cmentarnej i obserwował przebieg wydarzeń z daleka. Dunia po ceremonii

podeszła do niego, pochyliła głowę. Przytulił ją jak dziecko. Zdawało się, że jeszcze bardziej wychudła i zmalała. To do nich podchodzili ludzie i składali im kondolencje.

Iwona w tłumie mieszkańców dostrzegła swojego ojca. Zdziwiła się, bo Dawid był trzeźwy i pierwszy raz widziała go w pełnym garniturze. Patrząc na niego, prawie popłakała się z żalu. Tak bardzo przypominał jej zaginionego bez śladu Quaka.

Kiedy chowali jej męża, stała przybita i pozbawiona złudzeń. Synowie Piotra przy pomocy mecenasa Mackiewicza skutecznie wstrzymali procedurę spadkową. Ona zaś nie miała już na prawnika i z trudem myślała o przyszłości. Znów zatrudniła się jako kelnerka w Leśnym Dworku. Właściciel ze względu na stare czasy zgodził się, by nie usługiwała VIP-om na stypie, i miała zacząć od przyszłego wtorku.

W testamencie Piotr w razie swojej gwałtownej śmierci przekazywał majątek stowarzyszeniu historycznemu im. Danuty „Inki” Siedzikówny, lecz dysponentem tegoż miał być jedyny biologiczny syn Bondaruka – Jerzy Orzechowski. Dokument trafił najpierw do grafologa, a potem zajęli się nim prawnicy i sąd. Niestety, Quaku nie zgłosił się do notariusza w dniu odczytania dokumentu. Wszyscy wiedzieli, że choćby Tomikowi, Wasylowi i Fionikowi udało się podważyć testament, minie kilka lat, aż sprawa się wyjaśni. Tymczasem to oni rozgrabiali mienie ruchome ojczyma. Jeździli jego samochodami, zajęli jego biuro, deklarowali kontrahentom, że będą prowadzili jego biznes. Oskarżyli o kradzież rzeczy świeżo poślubioną małżonkę i donieśli do prokuratury, ponieważ, kiedy weszli do mieszkania, w szafach zastali kompletne pustki. Dopiero Marianna przebłagała syna, by wycofał wniosek i choć raz zachował się uczciwie. Iwonie z tego małżeństwa został tylko ogromny piekarnik, telewizor plazmowy i kawałek ziemi, którą Piotr jeszcze przed weselem darował jej braciom. Bejnarowie nie mieli jednak za co budować na tym spłachetku wymarzonego domu. Wciąż gnieździli się na Chemicznej.

Pochyliła głowę, kiedy podeszła do niej Dunia. Jak zwykle okutana w swoje łachmany. Tylko o ton ciemniejsze. Wzięła Iwonę za rękę i wcisnęła jej jakiś drobiazg. Iwona rozwinęła dłoń i zobaczyła prawosławny krzyżyk. Aluminiowy, bez żadnej wartości. Z napisem na odwrocie: *Spasi i sochrani*.

Kiedy do grobu Piotra podchodził jej ojciec, tłum się rozstąpił. Iwona przyglądała mu się z obawą. Dawid zabrał garść ziemi ze świeżo wykopanej mogiły i schował piach do kieszeni marynarki. Potem wrzucił do dołu zawiniątko w starej białoruskiej makatce i ceratowy notes. Zaraz potem grabarze zasypali trumnę. Ludzie zaczęli układać kwiaty i nim minęła godzina, cmentarz opustoszał.

Przez całe tygodnie grób Okularnika jaśniał odbitym światłem aż do ulicy. Zwykli ludzie, wdzięczni Bondarukowi za pracę, pomoc i wsparcie, przychodzili ze świecami i zostawali dłużej, by modlić się o spokój duszy dobroczyńcy miasta.

Salka była mała i ciasna. W jej centralnym miejscu znajdował się stół. Po obu szczytach umieszczono dwa staroświeckie taborety bez oparcia. W pomieszczeniu panował zaduch i czuć było zastały dym. Klasyczne pomieszczenie z lustrem weneckim do wykonywania konfrontacji.

Saszę wprowadzono pierwszą. Miała na sobie podkoszulek w paski i dżinsy. Zdawała się chudsza niż w rzeczywistości. Usiadła na chwiejnym stołku, wbiła wzrok w szybę. Wiedziała, że teraz wszyscy ją obserwują. Ile razy była po drugiej stronie? Po tej nigdy. Było jej zimno, ale nie miała się czym przykryć. Skórzaną kurtkę jej zabrali. Miała zamki, kilka nitów, odpinany pasek. Spodnie zsuwały się jej aż na biodra. Wciąż je podciągała, co bardzo ją żenowało. W depozycie zostały też okulary, telefon, portfel i pieniądze. Była w sprawie główną podejrzaną. Już nie operacyjnie. Procesowo. I, co gorsza, nie miała pojęcia, co na nią mają. Wiedziała tylko, że Piotr nie żyje, mają jego ciało, a ona jest doskonałym kozłem ofiarnym. Ciężko na ten status zapracowała.

Drzwi skrzypnęły i do pomieszczenia wszedł przystojny brunet. Krzaczaste brwi łączyły się niemal w jedną kreskę. Był wysoki, kościsty. Typ faceta, na którego widok kobiety natychmiast wciągają brzuch i wypinają biust. Słuchają każdego jego słowa, choćby wygłaszał kwestie arogancko, na granicy chamstwa. Kiedy jednak tylko się uśmiechnie, natychmiast chcą wyjść za niego za mąż. Oczy miał stalowe, spojrzenie świdrujące. Zdjął czarny, nazbyt elegancki na tę okazję płaszcz i rzucił go niedbale na podłogę. Pod spodem miał błękitne lewisy i czarny T-shirt. Nie musiał się przedstawiać, by Sasza zorientowała się, kim jest.

– Meyer – padło zza drugiej strony stołu. – Szkoda, że poznajemy się w takich okolicznościach.

– Jeśli chodzi o mnie, wręcz przeciwnie. Już od dawna byłam ciekawa, na ile jest pan dobry w te klocki.

Hubert uśmiechnął się kpiąco.

– Wchodzi mi pani na ambicję?

– Nic innego mi nie zostało.

– Klasyczna reakcja zmyślnego podejrzanego. Atak.

– Dostałam zarzut. Co na mnie macie?

– Ja jestem tylko przejazdem.

– To tak samo jak i ja.

– Naprawdę chce pani w to dalej grać?

– Nie wiem – odparła i zamilkła.

– Nie ma pani adwokata, nie przyznaje się, ale zgodziła się pani na rozmowę ze mną. Dlaczego?

– Bo jest pan obcy i jest pan profilerem. Nie ufam nikomu, kto mieszkał tutaj, ma tutaj rodzinę bądź choćby był tu dłużej niż przejazdem. To jedna sitwa – syknęła i zaraz dodała: – Oczywiście zdaję sobie sprawę, jak idiotycznie to brzmi.

Znów się uśmiechnął.

– A więc jest pani niewinna.

Nie odpowiedziała. Nie podniosła głowy.

– Jak to możliwe, że była pani pierwsza na miejscu uprowadzenia panny młodej, odkryła pani zwłoki Danuty Pietrasik, ostatnia widziała żywego Bondaruka i na dodatek jest pani w relacji z poszukiwanym listem gończym Łukaszem Polakiem? Może mi to pani wyjaśnić?

– Sprawa jest prosta. Jestem lepsza od nich – rzuciła szybko, ale zaraz przerwała.

Czekał na ciąg dalszy. Nawet nie mrugnął okiem. Był niezły. Musiała to przyznać.

– A może po prostu zależało mi, by te sprawy rzeczywiście rozwikłać – dokończyła.

– A im nie?

– Wręcz przeciwnie.

– Dlaczego?

Westchnęła ciężko.

– Długo by opowiadać. Dokopałam się do dna i proszę, by przekazano panu dokumenty, które otrzymałam od Bondaruka kilka godzin przed jego

śmiercią. Dopiero kiedy pan to przeczyta, możemy wrócić do rozmowy.

Wstała, zamierzała wyjść. Meyer wiódł za nią wzrokiem. Nacisnęła klamkę, ale natrafiła na opór. Byli zamknięci. Dopóki Meyer nie da im znaku, nie wypuszczą jej. Będzie tu siedziała, aż pęknie. Na to liczą. Przeklęła pod nosem, wróciła i zajęła z gracją swoje miejsce.

– Zapomniałam, że występuję tu w innej roli – uśmiechnęła się. – A jeśli chodzi o moje odciski palców, to zostawiłam w domu prezesa folię po papierosach. List, z tego co wiem, napisał sam Bondaruk, czyż nie?

Meyer nie zaprzeczył ani nie potwierdził, więc kontynuowała:

– Myślę, że tylko ktoś, kto doskonale zna naszą pracę, może bez trudu spreparować taki dowód. Dzwoniłam feralnego wieczoru zarówno do prowadzącego dochodzenie, jak i do komendantki p.o. oraz jej byłego męża. Żadne nie odebrało. Nikt też nie pojawił się we wskazanym miejscu zdarzenia. Tylko oni wiedzieli, gdzie spotkałam się z Piotrem. I doskonale wiedzieli też, kto tam jest pochowany. Może to pan sprawdzić w billingach u mojego operatora.

– Rzuca pani oskarżenie na tutejsze organy ścigania? Słabe.

– Skoro tak – Sasza nabrała powietrza – niech mnie pan oświeci, jaki miałabym motyw. Profiler najpierw pyta „dlaczego”, „jak”, a dopiero na koniec stawia hipotezę „kto”.

Meyer wstał.

– Proszę chwilę zaczekać.

– Nigdzie się nie wybieram – mruknęła i poprawiła włosy. Żałowała, że nie ma gumki, by je związać. Nie znosiła wyglądać jak rusałka.

Minutę później był z powrotem.

– O jakich dokumentach pani mówi? – zapytał, gdy usiadł ponownie.

Sasza zaczęła się śmiać.

– To były tylko kopie. Oryginały przekazałam zaufanej osobie. Policjantowi z Gdańska. Skoro się nie odezwał, to znaczy, że jeszcze mu ich nie przekazano.

Meyer nachylił się nad stołem, a potem szepnął chrapliwie:

– Wolałbym jednak, by wyjaśniła mi pani rzecz najważniejszą. Streszczono mi, dlaczego się tu pani pojawiła, ale nie rozumiem, dlaczego pani nie wyjechała. Po co mieszać się w cudze śledztwa? Na cholerę dawać łamać sobie kości?

Sasza zamyśliła się. Kiedy się odezwała, odpalał właśnie papierosa i podawał jej paczkę, by się poczęstowała. Z niechęcią wyjęła czerwonego marlboro. Wiedziała, że zaraz zacznie ją boleć gardło.

– Bał się pan kiedyś?

Skinął głową.

– O siebie czy o kogoś bliskiego?

– Różnie bywało.

– To wie pan, że strach ma swój kres, a kiedy przekroczy się tę granicę, staje się wyłącznie napędem.

– Tak działają psychopaci. Muszą dostać większą dawkę adrenaliny.

– Zgadza się – potwierdziła z uznaniem. – Jak silnik w samolocie. Rozpęd uniesie żelaznego ptaka w przestworza. Doprowadzi go do celu, choć to wydawało się niemożliwe.

– Jeśli, rzecz jasna, ma się skrzydła.

– Ja mam. Moja córka ma osiem lat.

Meyer przyjrzał się jej, strzepnął popiół na podłogę.

– Czego pani tu szukała?

– Myślałam, że chcę wyzwania, pojedynku z Łukaszem, ale tak naprawdę chciałam wybaczenia. Chciałam go znaleźć i powiedzieć przepraszam. Omal przeze mnie nie zginął. Ale im bliżej byłam jego, tym bardziej wikłałam się w tę sprawę.

– Może trzeba było nie kłamać.

– Mleko się już rozlało – mruknęła.

Meyer wstał, zastukał do drzwi. Otworzyli mu, ktoś podał dwie butelki mineralnej. Sasza zauważyła, że dyskretnie skinął głową. Wymienił z osobą po drugiej stronie umówiony znak. Kiedy usiadł, znów zamknęła się w sobie.

– Czy jeśli panią wypuszczą, wyjedzie pani, czy nadal będzie pani szukała odkupienia?

Podniosła głowę.

– Tylko o to chodzi? Opuszczę to miejsce choćby na piechotę.

Po czym po kolei opowiedziała mu, jak sprawa Okularnika wygląda jej oczami. I kto, jej zdaniem, jaką odgrywał rolę w ciągu minionych lat. Rozmawiali kilka godzin. Pod koniec Meyera interesował głównie Doman. Czy on także bierze w tym udział? Kiedy skończyli, Meyer wstał, podniósł płaszcz. Otrzepał go niedbale z kurzu, włożył.

– Wypuście ją, zanim skompromitujecie się przed całą Polską – powiedział Domańskiemu. – Sprawa Danuty Pietrasik jest już pewna, motyw emocjonalny, zabójca nieudolnie naśladował „Czerwonego Pająka”. Wszystko masz w ekspertyzie. Stomatologia potwierdziła zgodność uzębienia. Sprawdź tylko, czy nie symuluje choroby psychicznej, ale wątpię. – I wyszedł bez pożegnania.

JAKUB
(2000)

Program się skończył i telewizor śnieżył, kiedy Kuba się obudził. Wstał, podrapał się po jądrach i w samych bokserkach poszedł do wnęki kuchennej, żeby sklecić sobie coś do jedzenia. Picie skończyło się już przed północą. Jak się okazało, z jego zapasów zostały tylko płatki owsiane i dżem. Nie chciało mu się gotować owsianki, bo już wczoraj przetrwał dzień na opiłkach owsa jedzonych na sucho. Tym bardziej że pod chlebakiem dostrzegł skitrany zapas mięs współlokatora. Kiedy kroił i na stojąco pochłaniał karkówkę domowej roboty, której całe połcie, tydzień w tydzień, jego współlokator przywoził od matki, usłyszał kroki. Oblizał nóż. Czekał. Ktoś schodził do piwnicy. Pośpiesznie schował niedojedzone mięso i chleb. Strzepnął okruchy na podłogę.

– To po setce? – Do pomieszczenia zajrzał Andrzej, właściciel tej nory.

Kuba odetchnął z ulgą. Andrzej ukrywał picie przed żoną. Pod byle pretekstem urywał się spod jej czujnego oka, by kilka razy dziennie zrobić choć łyk szuwaksu, który sobie ukręcił na czarną godzinę. Był to spirytus zmieszany z wodą. W proporcjach pół na pół.

Wyjął szklanki. Druga była niedomyta, więc tę podał Andrzejowi. Stary ochlaptus nawet nie zwrócił uwagi na brud. Golnęli bez słowa.

– To jeszcze po jednym?

– Skoro nalegasz – zgodził się Kuba.

Rozlali. Tym razem Andrzej zapytał z autentycznym zainteresowaniem:

– Co taki klawy chłop jak ty robi tu u mnie?

Kuba włączył czujność. Zasada była prosta. Nie pytają, nie odpowiadasz. Wszyscy są zadowoleni. Spaślaka widać jednak świerzbi język. Kuba już nie raz złapał grubego na przyglądaniu się mu. Nie było w tym podtekstu seksualnego, raczej niezaspokojona ciekawość, która wprost zgniatała Andrzeja od środka. Inni zaraz się zwierzają, opowiadają mu pół życia. Pewnie znając ludzkie historie szczurów, których ukrywa pod swoim lokalem, czuje się bezpieczniej. Nie z nim takie numery.

– Urlopuję się. – Uśmiechnął się jednym ze swoich siedemdziesięciu grymasów słodziaka, na które wyrywał panny. W skali uroczości jeden na dziesięć sam dałby sobie teraz siedem. Na więcej ten knur nie zasługiwał.

– No to na zdrowie. – Andrzej polał jeszcze po pięćdziesiątce, a potem ponownie ukrył butelkę w składziku i sapiąc, wspiął się do góry.

Kuba walnął się na łóżko. Wyjął spod materaca zmaltretowanego „Playboya”. Znał go już na pamięć. Przymknął oczy i położył sobie magazyn z otwartą rozkładówką ukraińskiej playmate na twarzy. Natychmiast go zrzucił. Gazeta śmierdziała stęchlizną. Kutas, zamiast stanąć, skurczył się. Jakub przykrył się kocem w brudnej poszewce, bo przecież w tej norze nie było pralki i wszystko musiał czyścić ręcznie, więc robił to wyłącznie od wielkiego dzwonu. Spróbował zasnąć.

Pedały w klitce obok chyba już spały, bo było słychać każdy szelest. Wstał, podszedł do komputera współlokatora. Pochylił się i włączył stację dysków, a potem pstryknął monitor. Obraz długo się nie pojawiał. Wreszcie załadował się, ale zażądał hasła. Kuba strzelał trzykrotnie: „Włochaty”, datę urodzenia tego dziwaka, bo przecież już pierwszego dnia opowiedział mu swoje życie, czym Kuba nie zrewanżował mu się do dziś, a na koniec wpisał kod pocztowy oraz nazwę miasta, z której Sokołowski pochodził: Siedlce. Bez skutku. Co gorsza, komputer zagroził, że kolejna próba poskutkuje zablokowaniem systemu. Natychmiast powyłączał sprzęty i wrócił do swojej części pomieszczenia. Wziął *Mądrość psychopatów* po angielsku i spróbował czytać. Nie minęło kilka minut, a zaczął ziewać.

Śniło mu się, że znajduje się na dworcu PKS w swojej rodzinnej miejscowości i planuje wyjazd do Japonii. Niestety, kobieta w kasie nie chce sprzedać mu biletu. Szarpnął ją za wszarz i wyciągnął z kantorka, a potem zabrał kasetkę z utargiem. Wskoczył do pierwszego odjeżdżającego autobusu i szybko przepakował wszystko do plecaka. Głupia pinda, pomyślał. Jak można trzymać kasetkę na wierzchu, na dodatek z włożonym do niej kluczem. Było mu błogo i radośnie, kiedy czuł ciężar plecaka wypełnionego banknotami. Nawet pobrzękujący bilon go cieszył. Brzęczał tak cudownie, jakby to małe dzieci śmiały się na widok grzechotki. Potem był już w basenie, choć nie miał pojęcia, jak się tam znalazł. Zamiast roślin i ryb wszędzie pływały banknoty. Otworzył plecak i dopełnił go forsą aż po zamykane na rzepy wieczko. Z trudem zasunął

suwak, spakował pieniądze do kieszeni, a przy okazji jedną czy dwie setki zjadł. Zdziwił się. Smakowały jak papier. Ale przyjemnie było je gryźć, marnować, jeśli wiedziało się, że kiedy wypłynie na powierzchnię, będzie mógł mieć na wszystkich wyjebane. Zdecydował się wypłynąć i zdobyć więcej pojemników na pieniądze. Wtedy się o coś zaczepił. Szarpał się, walczył. Plecak pękł i forsa wymykała mu się z rąk. Nie był w stanie złapać wszystkich banknotów. Zachłysnął się i tonął. Spadał w dół. Niżej i niżej.

– Kuba – usłyszał szept.

Otworzył jedno oko, choć nie musiał. Włochaty tak intensywnie się pocił, że czuć go było, jak tylko wszedł. To on go szarpał. Zniszczył mu tak piękny sen.

– Taki miałem zajebisty sen – zamruczał Kuba. – Czego chcesz, lewusie?

– Gdzie moja karkówka?

– Wal się – powiedział. – Andrzej przyszedł, poczęstowałem. Idź do tego pasibrzucha na skargę. Może ci zwróci w szuwaksie.

Wtedy usłyszał chichot. Otworzył drugie oko. W drzwiach stała zezowata cycatka. Na głowie miała dziki tapir. Natychmiast zamknął oczy. Śni mi się koszmar, kurwa mać.

– Zostaw go – zamruczała chrapliwie. – Jedźmy w miasto na kebaba.

Kuba nawet się nie podniósł.

– Może coś mu jest? – rozległ się inny głos. Delikatniejszy i wyraźnie damski.

Kuba myślał szybko. Coś w lesie zdechło? Ten archiwista nie ma nawet jednej dziewczyny. A dziś słyszy dwa lachociągi. Przekręcił się i ułożył tak, by móc dyskretnie obserwować je spod kołdry.

– Andrzej znów go upił – narzekał Jarosław. – Kiedyś od tego oślepnie. Wiesz, ile to ma procent?

– Jedziemy – zarządziła zezowata.

Nastąpiło przegrupowanie stóp, a Kuba poza parą topornych trepów Włochatego dostrzegł znoszone tenisówki. Wyżej zaś smukłe damskie pęciny. Może i zezowata, ale nogi ma nawet niezłe, pomyślał i uniósł się na

łokciu, odsłaniając nagi tors. Ku jego zdziwieniu, także zardzewiały od nieużywania kutas jak na zawołanie się ożywił.

– Cześć – rozpromienił się Kuba do cycatej-zezowatej. Odkrył, że kiedy patrzy poniżej poziomu jej brody, jest całkiem znośna.

– Cześć, śliczny – odparł zez.

Właścicielka tenisówek nie odpowiedziała. Spłoniła się jak nastolatka. Miała łagodną twarz sierotki Marysi i tak też była ubrana. To mu się bardzo podobało. Wyskoczył z wyra, licząc na efekt pierwszego looku jego zgrabnych łydek. Nie było kobiety, która by się nimi nie zachwycała. Używając łyżwiarskiej nomenklatury, dawał sobie 6.0.

– Marek – przedstawił się, udając zawstydzonego, i od niechcenia zaczął wciągać na swój zgrabny tyłek znoszone dżinsy. Nie zwracał uwagi na to, że Jarosław kręci głową na jego oszustwo w sprawie personaliów. Dołożył do pieca: – Jak i gdzie ten patafian Włochacz znalazł takie skarbusie?

Teraz obie zachichotały.

– Ty, człowieku, gdzie moje żarcie? – nudził znów Jarosław. – Tutaj był jeszcze kawał mięsa.

– Co ci po mięsie, jak masz tu dwie damy. – Kuba natychmiast przyjął ton głosu swojego zmarłego ojca i bez opamiętania beształ współlokatora. A teraz jechał matką, bardzo zresztą skutecznie. Mogłaby być z niego dumna. – I do tej nory je przywlokłeś? Do restauracji je weź, człowieku. Za grosz wstydu nie masz. O kulturze już nie wspomnę. Goły poza tym jestem. Mózg też włosami ci zarósł! Jak Boga kocham!

– Psa znaleźliśmy po drodze – odezwała się ta w tenisówkach. – Chcieliśmy go nakarmić.

Kuba nic nie odpowiedział. To on od kilku dni jedzie na płatkach i szuwaksie Andrzeja, a Włochaty karkówą dożywia bezdomne psy? Uśmiechnął się do ślicznotki. Jeśli byłaby chętna na łupu-cupu, może jej tę słabość do bezdomnych zwierząt wybaczyć. Sam wszak jest jednym z nich. Nie pogniewałby się wcale, gdyby się nim zaopiekowała.

– Ja się przedstawiłem, a ty, młoda damo, jak masz na imię?

Wyciągnęła delikatną dłoń. Na przedramieniu miała opatrunek, ale na serdecznym palcu nie dostrzegł obrączki.

– Monika.

– Wszyscy mówią na nią Jowita – wtrąciła Marzena.

– Wcale nie – zaprotestowała Jowita.

– Oba ładne. – Kuba wybrał dla niej uśmiech sto siedem. Dziesięć na dziesięć. Oczywiście trafiony zatopiony. – Dla mnie możesz być i Mona Lizą.

Wciągnął obcisłą koszulkę kolarską, bo wiedział, że tak jego mięśnie prezentują się znacznie lepiej niż bez niej. Stopy wsunął w nowiutkie najki, a na głowę wcisnął złachaną bejsbolówkę.

– To dokąd idziemy?

– My? – zdziwił się Jarosław. – Ja to spać idę. Rano lecę do roboty na ósmą.

– Nudziarz – westchnął Kuba i zrobił minę zawiedzionego. – I po co ja się ubierałem.

– To zabawmy się tutaj – zarządziła Marzena i wyjęła papierosa.

– Tu nie wolno – zaoponował Jarosław. – Andrzej nie pozwala.

– Bawić się czy palić tytoniu? – Osa łypnęła na Włochatego.

Kuba natychmiast podał zezowatej ogień. Odpowiedziała mu uśmiechem i po raz kolejny stwierdził, że coś w sobie ma. A przy kolejnym rzucie okiem uznał nawet, że nie jest taka straszna. Jak bogata, a tak wyglądała, to mógłby się przyzwyczaić do jej szpetoty.

– To wy ustalcie, co robimy, a ja poczekam w aucie. – Jowita odwróciła się na pięcie. – Mały może się obudzić i będzie płakał. Sprawdzę też, co z psem.

Mina przystojniaka natychmiast zrzedła. Taka młoda, a już ma bachora. Obrączki nie miała, więc pewnie samotna panna z przychówkiem. Nie miał ochoty nikogo niańczyć. Sam chciał być niańczony.

– A ty masz prawko, śliczny?

Zezowata drażniła go teraz nieco bardziej, ale skinął głową.

– Każdy porządny facet ma prawo jazdy – odparł. – Chyba że jeździsz ciężarówką, to nie pomogę.

– Chodź. – Wskazała schody. – Zapalimy, pogadamy. Masz może jutro wolny dzionek?

– Nie bardzo – skłamał. – Ale zawsze jestem gotów pomóc kobiecie. Zależy w czym.

– I za ile, co? – Marzena go przejrzała. – Znam się na ludziach.

Jarosław próbował protestować, ale Marzena pocałowała go na pożegnanie w usta i ruszyła na górę. Kuba powlókł się za nią.

– Elo, lewusie. – Pomachał koledze. – Aha, komp ci siada. Próbowałem coś z tym zrobić, ale zapomniałeś podać mi hasła.

Tylko unik zdołał go ocalić od ciosu starym trepem. Marzenę bardzo to rozbawiło.

– Kto mieszka w takiej norze? – stękała, wspinając się.

– Tylko szczury, zawadiacy i faceci, którzy nienawidzą kobiet. – Wskazał na lokal obok. A potem pokazał gestem miękką dłoń, mającą ilustrować homoseksualistów.

– Zabawny jesteś. – Marzena odwróciła się i nachyliła tak niefortunnie, że poczuł jej obfity biust na swoim policzku. Z trudem zachował spokój, ale się nie odsunęła. Szepnęła tylko konfidencjonalnie: – Spodobałeś się Zakrzewskiej. Ona teraz nie ma nikogo. Ale jak coś jej zrobisz, utnę ci kutasa i zjem.

– Robi się, szefowo. Jest dla mnie zbyt cenny, bym chciał ryzykować.

Wyszli na zewnątrz. Kuba bardzo chętnie poczęstował się czarnym perfumowanym papierosem Marzeny.

– Sprawa jest taka – rzekła bez ogródek. Wcześniej jednak obejrzała się, czy Jowita nie słyszy. – Ktoś zrobił mojej kumpeli dużą krzywdę. Na szczęście mam to na taśmie. Ten ktoś musi zapłacić, a potem, być może, trzeba będzie kogoś sprzątnąć.

Kuba zmierzył ją rozbawionym spojrzeniem.

– Dżołk?

– Tak – odparła bardzo poważnie i wyciągnęła dłoń do pożegnania. – Miło było poznać. Ciao.

Kuba szybkim, gwałtownym gestem schwycił ją za włosy. Syknęła z bólu, sprytnie się wyswobodziła. W ręku została mu tylko kępka spalonego utleniaczem blondu.

– To ambitnie – powiedział. – Za ile?

– Nie ja płacę, ale nie będziesz mieszkał już w tej norze. Zapewniam.

– No to w drogę. – Nacisnął klamkę białego jak karetka mercedesa.

– A twoje rzeczy? Nie spakujesz się?

Kuba szczerze się zdziwił.

– Wszystko co najcenniejsze noszę tutaj. – Poklepał się po rozporku.

– Kompletny wariat.

– To ty jesteś świrnięta. Nawet mnie nie znasz.

– Z daleka rozpoznam dobrego cyngla.

Kuba poczuł się mile połechtany. Objął ją ramieniem.

– Lubisz wariatów, co?

Zachichotała i podała mu kluczyki do wozu.

– Stary już, ale wciąż na chodzie. – Umościł się na siedzeniu kierowcy.

Już na pierwszych światłach zatrzymał ich patrol. Ktoś zadzwonił, że samochód o numerze rejestracyjnym BHA 3456 piratuje na drodze. Wtedy dopiero Kuba dowiedział się, że auto należy do Piotra Bondaruka z Hajnówki.

– Mam tam siorkę – mruknął. – Pracuje tam w jakimś szpitalu.

Jowita spała z tyłu, przytulając ramionami synka. Marzena, jak zwykle czujna, spojrzała na niego pierwszy raz podejrzliwie.

– To nie wystawka – zapewnił. – Przypadek.

– Przypadków nie ma. Nazwisko.

– Magda Prus, po mężu Mackiewicz. Znasz?

Pokręciła głową, a potem się zamyśliła. Kuba wyczuł, że przeszukuje w myślach twarze. Dałby sobie rękę uciąć, że skojarzyła nazwisko lekarki. To nie było duże miasto.

– Wbijamy do niej – zdecydowała Marzena. – Zadzwoń, żeby siostrunia szykowała cieplutkie łóżeczka. Dwie godzinki i będą goście. Coś do żarcia też by nie zaszkodziło. Mały nie jadł nic ciepłego, odkąd ruszyliśmy.

– Ona jest raczej drętwa – zaczął się wykręcać Kuba. – I zasadniczo mnie nie cierpi. Jest starsza ode mnie o jakieś dwadzieścia lat.

– No co ty?

– Przysposobili ją. Ja dopiero na stare lata im się przytrafiłem. W czepku. – Poklepał się po głowie.

– Lucky Luke.

– Jak skurwysyn.

Magda zbaraniała, kiedy przez judasz zobaczyła swojego wyrodnego brata. Zawsze kiedy się pojawiał, ciągnął za sobą kłopoty. Nigdy nie dzwonił bezinteresownie. Jeśli pofatygował się aż tutaj, znaczyło, że będzie go miała na karku, aż nie wciśnie mu odpowiedniej kwoty. Znikanie to też była specjalność Jakuba. Włóczył się po świecie, wciąż zmieniał miejsca zamieszkania. Dla urzędu skarbowego, ZUS-ów i licznych wierzycieli był praktycznie nie do wykrycia. Do perfekcji opanował system zacierania za sobą śladów. Wiedziała, gdzie jest, tylko od niego, jeśli miał dołek i potrzebował kasy, albo od sądów, prokuratur i firm windykacyjnych, które na jej adres domowy przesyłały wezwania do stawiennictwa i uregulowania wiszących nad Kubą zaległości. Już tyle razy prosiła, by brat nie mieszał jej do swoich machlojek, ale też za każdym razem mu pomagała. Byli rodziną, nie miała serca zostawić go bez wsparcia.

Artur już spał, więc narzuciła szlafrok i na palcach wyszła na klatkę schodową. Dopiero wtedy zorientowała się, że Kuba tym razem nie przybył sam. Co gorsza, obie kobiety znała z widzenia. Ta odważniejsza już na pierwszy rzut oka wyglądała na lekkich obyczajów. Druga, ze śpiącym dzieckiem na ręku, była nawet sympatyczna i gdyby nad nią popracować, może byliby z niej jeszcze ludzie. Skoro jednak włóczy się z regularną dziwką i jej bratem wariatem, nie ma za grosz instynktu samozachowawczego.

– Nie mam jak was przenocować. Mogłeś chociaż zadzwonić – zbeształa go.

– Telefon mi wcięło – skłamał.

– Sprzedałeś albo zgubiłeś.

– Może tak było, *sister*. – Pochylił pokornie głowę. – Ale dokąd mamy pójść? Jest noc.

– To nie wioska. Hotele są czynne całą dobę.

– Madzia, dziecko nic nie jadło. – Kuba zrobił minę słodziaka. – Miałem panie zostawić na pastwę losu?

– Idź, ty żuliku – westchnęła ciężko Prus. – Bo jeszcze dam się nabrać.

– Załatwimy tylko jedną sprawę i jutro się zmywamy. A i Hipokrates będzie z ciebie dumny, że pomogłaś bliźniemu.

– Nie wytrzymam z tobą. Zawsze się w coś wpakujesz.

– To ostatni raz – powtórzył zdartą kwestię. Oboje znali ją na pamięć, podobnie jak ton, którym Kuba ją wypowiadał. Dodał więc, by zabrzmiało poważniej: – Słowo.

– Czekajcie.

Siostra odwróciła się i schowała w mieszkaniu.

Stali na pustej klatce i wygłupiali się. Kuba opowiadał dowcipy, Osa rechotała, a Jowita wpatrywała się w młodego przystojniaka coraz bardziej rozanielona.

Wreszcie Magda wynurzyła się z mieszkania z pękiem kluczy w ręku. Dała im znak, by poszli za nią. Wsiadła do swojego wozu, ale ponieważ Artur rzadko pozwalał jej prowadzić, jechała nadzwyczaj wolno, z zachowaniem wszelkich środków ostrożności. Tymczasem Kuba wciąż zajeżdżał jej drogę, popisując się umiejętnościami kierowcy. Kiedy dojechali wreszcie do starego szpitala zakaźnego, wprowadziła ich do nieużywanej salki, gdzie przy ścianach stało dziesięć zdezelowanych łóżek. Z magazynku wyniosła im kilka koców i zabroniła zapalać światła.

– Jutro znajdziemy coś innego – zwróciła się do niej milsza blondynka. – Dziękuję w imieniu Tomeczka.

Magdalena nie skomentowała. Brat twierdził, że jutro wyjadą, co już wtedy wydało się jej wierutną bzdurą. Czuła niepokój. Wiedziała, że Kuba pakuje się znów w jakieś tarapaty, ale jedynym wyjściem było nie zadawać dalszych pytań. Tylko wtedy mogła umyć ręce od sprawy.

Dziecko, które ze sobą przywieźli, spało jak zabite. Pewnie się zdziwi, że nagle znalazło się w nowym miejscu, ale może było przyzwyczajone do takiego życia. Magda spojrzała na chłopca i spytała:

– To twoje?

Na twarzy Jowity pojawiły się duma i troska. Matka pogładziła małego po plecach. Magdalena odetchnęła z ulgą. Przynajmniej nie miała do czynienia z kidnaperkami.

– Nie ma sprawy – powiedziała. – Odpoczywajcie. Tylko nie naróbcie bałaganu.

– My? – zaoponował Kuba. – W życiu!

– Dokładnie o ciebie mi chodzi! – podkreśliła Magda groźnie, a potem wyprosiła brata na korytarz. – Co cię tu sprowadza, młody?

– Interesy. – Uśmiechnął się.

– Od kiedy nie pracujesz w telefonii?

– Hohoho!

– To z czego żyjesz?

– Tu coś wpadnie, tam coś – mruknął. – Jak zwykle. Ale skończyłem z hakerką i podsłuchami. Bez obaw.

– Szukają cię. Policja u mnie była. Kradzione buty składowałeś mi w piwnicy. Wiesz, ile miałam przez ciebie nieprzyjemności? Mogłeś chociaż powiedzieć. Dałabym ci klucz do garażu w klinice.

– Sorry, siostra. Nie był to dla mnie dobry czas.

Magda jak zwykle złapała się na minę numer czternaście: „jestem biednym misiem”.

– Tym razem nie narób mi kłopotów. Swoje życie marnuj, jeśli chcesz, ale nie licz, że będę cię znów wyciągała z więzienia. Nie jestem twoją matką.

– Jasne jak słońce. Nie wybieram się znów na urlop. Jeden mi wystarczył.

– Startuję tutaj na stanowisko dyrektora, w najgorszym razie wice. Rozumiesz?

– Co mam nie rozumieć? Jak zwykle kobieta sukcesu.

– A te laski to kto?

– Koleżanki.

– Ta z zezem to prostytutka. Rozpoznałam ją. Ta druga też?

– Nic mnie z nimi nie łączy! – Uderzył się w pierś. – To tylko biznes. Zresztą jestem tu incognito. I jakbyś mogła, mów do mnie Marek.

Magda zrezygnowała z dalszego przesłuchania.

– Rób, co uważasz, tylko mnie do tego nie mieszaj.

Kuba położył jej dłoń na ramieniu. Dokładnie tak, jak czynił to ojciec, by okazać dzieciom wsparcie.

– Zawsze możesz na mnie liczyć.

Przytuliła się do niego.

– Po prostu się o ciebie martwię.

– Pamiętaj – podkreślił. – Chcę tylko, żebyś wiedziała.

– Wiem.

Magda miała już łzy w oczach. Kuba miał ochotę ryczeć ze śmiechu, ale trzymał twardo minę numer dwadzieścia dwa: „jestem jak Zawisza. Zawisza Czarny. Twój *brother*”. Zawsze działała. Teraz też. Magda sięgnęła do kieszeni i wcisnęła mu do ręki kilka banknotów.

– Jak mały się obudzi, kupcie mu mleko.

– Tak, mamo. – Puścił do niej oko.

– Pożegnaj ode mnie swoje damy. – Poklepała go po policzku i odeszła równym krokiem, bez oglądania się za siebie.

Marzena wstała pierwsza, obudziła pozostałych. Jowita jak zwykle długo się przeciągała. Baraszkowali z Tomkiem w pieleszach, jakby było co najmniej Boże Narodzenie i tylko czekali, by zajrzeć pod choinkę, rozpakować prezenty. A przecież mieli mnóstwo pracy i tylko kilka dni na przygotowania.

– Marek! – Ponownie potrząsnęła za ramię śpiącego twardo mężczyznę. Kiedy miał zamknięte oczy i nie paplał tych głupot, wyglądał jak cherubin. Wydatne usta, prosty nos, wyraźnie zaznaczona żuchwa. Był zdecydowanie w jej typie. Lubiła brutali o chłopięcych twarzach, z ciemną przeszłością. Była na niego trochę zła, bo słyszała, jak w nocy próbował się dobierać do jej koleżanki, zupełnie ignorując ją – Osę. Nie chodziło nawet o zazdrość, bo gdyby wpakował się jej dziś w nocy do łóżka, wykopałaby go z pewnością. Ale jutro, kto wie, może by skorzystała. Dziś miała na myśli raczej zwykły komfort. Wszyscy potrzebowali odespać trudy podróży. Czy sądził, że jest głucha? Dopiero kiedy rzuciła w niego poduszką, zostawił Jowitę w spokoju. Teraz otworzył jedno oko i od razu wyczytała z jego twarzy, że miał mokre sny. Dlaczego jej to nie zdziwiło?

– Nic nie mów. – Powstrzymała go gestem.

– Jesteś zła?

– Jestem dobra – odburknęła. – Niech Jowita z dzieciakiem się ogarniają, a my musimy odbyć jedno spotkanie.

– Sama nie możesz?

– Patrzcie, jaki zarobiony! – Przekrzywiła głowę i zaśmiała się. – Do roboty cię wzięłam, a nie na turnus do Ciechocinka. Muszę mieć fundusz również na twoją usługę. Idziemy po kasę.

Motywacja zadziałała. Zrzucił kołdrę, przetarł oczy. Na widok dzieciaka i Jowity trochę się speszył i natychmiast wciągnął na nagi tors kolarski podkoszulek. Kiedy wyszedł na korytarz, Marzena stała już przed budynkiem i liczyła monety.

– Kopsnij jakieś drobne.

Wyciągnął podszewkę z kieszeni i pokazał w niej dziurę.

– Nieuleczalny biedak. Od razu cię rozszyfrowałam – utyskiwała.

Podeszła do auta, długo grzebała w schowku. Znalazła jednak garść moniaków i kartę magnetyczną do telefonu.

– Eureka! – rozpromieniła się. – Jesteśmy uratowani.

Budka była przy ulicy. Kuba nie rozumiał, dlaczego ma stać w oddali i pilnować jej, gdy ona trajkotała do słuchawki.

– Obserwuj, czy nikt nie idzie, a jakby co, zagadasz go. Nikt nie może mnie rozpoznać.

– Ale o co chodzi? – jęknął. – Jestem głodny.

Zbliżyła się do niego i zadarła głowę.

– Nie będę cię niańczyła, jasne? Masz być twardzielem. Jak nie, spierdalaj.

Podniósł ręce.

– Dobrze, już dobrze – skapitulował. – Ale skoro ja załatwiłem nocleg, ty zorganizuj żarło. Tylko żadnych wegetariańskich wymysłów. Mam ochotę na mięso.

– Jak wszystko pójdzie zgodnie z planem, jeszcze dziś mamy umówioną bibkę. I to nie u byle kogo.

Znów podeszła do telefonu. Rozmawiała dotąd, aż skończyła się gotówka. Zapisywała sobie coś na kartce, cmokała, śmiała się, a na koniec rzuciła słuchawką i jak żołnierz pomaszerowała do auta.

– Załatwione. Jedziemy do banku.

– A twoja kumpela? Nie może tu zostać.

– Nic jej nie będzie. – Umościła się na tylnym siedzeniu pasażera, jak w taksówce. Poleciła: – Co się gapisz? Ruszaj.

Przed bankiem znów stał jak cwel, licząc słupki przy drodze i latarnie pod urzędem miejskim. Nawet nie mógł zapalić, bo Marzena zabrała ze sobą papierosy. Wydzieliła mu tylko dwa, więc zaraz je spalił i słuchał, jak burczy mu w brzuchu. Dałby teraz wszystko za ten kawałek karkówki, który nieopatrznie zostawił Włochatemu.

Marzeny nie było prawie godzinę. W końcu wyszła rumiana z zadowolenia, z szarą kopertą pod pachą, i mało zezowała. Nakupili na bazarze tyle żarcia, alkoholu i jakichś babskich fatałaszków, że brakowało mu rąk, by to dźwigać. Odetchnął dopiero, kiedy wrzucił wszystko do bagażnika i urwał kawałek chałki, a potem popił butelką mleka. Obejrzał się. Marzena znów lazła do telefonu. Tym razem mógł co nieco usłyszeć i musiał przyznać, że pierwszy raz mu zaimponowała. Rozmawiała z tym kimś, jakby grała w filmie i ktoś łebski napisał jej kwestie.

– O czwartej. W tym samym miejscu co zwykle. Wrzuć do pojemnika na śmieci, pod bankiem. Szara koperta. Mam komplecik ze sobą. Oczywiście w domu siedzi kopia i zniszczę ją dopiero po uregulowaniu rachunku, więc nie pajacuj. Tylko się nie spóźnij, bo usługa zdrożeje. Czekam dwadzieścia minut, a potem jadę na komendę. Tak, on też zapłaci. Jedną czwartą. Możesz sprawdzić, dopiero z nim gadałam. Mamy wszak demokrację.

Odłożyła słuchawkę i odwróciła się gwałtownie. Kuba musiał mieć głupią minę, bo zaczęła go przedrzeźniać. A potem nagle coś sobie przypomniała i znów wróciła do budki.

– Nie targował się – powiedziała.

Potem długo słuchała, kiwała głową i próbowała się wciąć, ale osoba po drugiej stronie jej na to nie pozwalała.

– Karta mi się kończy – udało jej się wreszcie wtrącić. – Nie martw się, mam właściwego człowieka. Z doświadczeniem. Ale jeśli ty zawalisz, skończysz dokładnie tak samo. Tak zwana relacja wzajemności.

Zaśmiała się chrapliwie.

– Nie mam więcej kopii tego filmu, bez obaw.

Karta się widać skończyła, bo rzuciła słuchawką. Wygrzebała z kieszeni kilka monet i wrzucała je teraz do telefonu.

– Jest kłopot, skarbie – zaszczebiotała. Kuba nadstawił uszu. Był pewien, że teraz rozmawia z inną osobą.

– On postawił warunek. To będzie kosztowało cię jednak trochę więcej.

Odsunęła słuchawkę od ucha.

– Sama to załatwię. Wiem, gdzie mieszka. Tylko się nie drzyj i zacznij lepiej gromadzić forsę na podwyżkę, bo będzie mi się należała.

Kuba zaczął wreszcie rozumieć, że jest małym trybikiem w jej wielkim planie. Była konkretna. Spokojnie mogłaby prowadzić biznes. Dlaczego znajdowała się na tym samym poziomie drabiny społecznej co on, nie wiedział i nie chciał wiedzieć. Ale pojął wreszcie, że bez niego jej plan się nie powiedzie. Miał ją w garści.

– Już wiesz, ile możesz mi odpalić? – zapytał na razie grzecznie. Nie obawiał się, że mu nie zapłaci, ale skoro ma być murzynem od czarnej roboty, chciał wynegocjować jak najlepsze warunki.

Poczęstowała go papierosem, oparła się o wóz.

– Jedziemy w gości. – Pochyliła głowę. – Wszystko się skomplikowało. Ktoś nas uprzedził i mogą być kłopoty.

– Co mnie to! – Kuba był coraz bardziej poirytowany. – Jestem prostym chłopakiem. Powiesz, za ile, kiedy i co mam zrobić – będzie zrobione. Byle mi się opłacało.

– Trzydzieści – padło w odpowiedzi. – Pasi?

Pokiwał głową.

– Ale trzeba będzie trafić dwa ptaszki, a nie jednego.

– Spoko. Jeden czy dwa. Byle plan był dobry – udawał luzaka, choć za cholerę nie wiedział, jak zabija się ludzi. Wczuł się już w swoją rolę. Wizja natychmiastowej wypłaty trzydziestu kawałków bardzo poprawiła mu nastrój. I tak nigdzie nie figurował. Pielgrzym, tułacz, wolny wędrowiec. Zrobi, co do niego należy, myślał, i spyli za morze.

– No i wolałbym mieć jakiś sprzęt. Tak gołymi rękami ciężko – westchnął teatralnie.

Marzena wyciągnęła kopertę, rozchyliła. Kuba zajrzał. W środku był stary rewolwer z lufą przyciętą tuż za magazynkiem.

– Jak się sprawisz, sponsor dołoży premię. Odpalę ci dziesiątkę. Też wolałabym mieć to z głowy.

Rzuciła peta na chodnik, wsiadła do samochodu.

– Czas start i Jowicie ani słowa. Musi być dziewczyna bezpieczna.

– Jasne, cesarzowo.

Gospodyni Bondaruka dostała wychodne, jak tylko Jowita, Marzena i Jakub pojawili się w drzwiach domu prezesa. Kuba obserwował, z jaką czułością Jowita wita się ze starszym, wciąż do rzeczy mężczyzną. Kuba na odległość czuł skarbiec, który ten facet posiadał. Rozglądał się po jego chacie, oszacował sprzęt audio i wideo, a potem zobaczył barek, w którym mieniły się wielobarwne zagraniczne flaszki.

– Wystawiaj, chłopie, wszystko na stół. Dziś świętujemy – zachęcił Kubę Piotr. – Co u was, dziewczyny?

– Poukładało się jakoś – zaczęła Jowita i przykleiła się do Piotra, jakby chowała się pod jego skrzydłami przed światem. Jej synek dostał w prezencie wielką koparkę, którą gospodarz wytaszczył z magazynku.

– Praktycznie nowa – zapewnił. – Syn mojej byłej ma cały pokój zabawek.

– Byłej – zagwizdała Marzena. – Akurat. Schodzicie się z Łarysą i rozstajecie. Już nie raz to słyszałam.

– Teraz już na poważnie – zapewnił Piotr i puścił do niej oko. – Łarysa ma dobrego mężczyznę. Jest zakochana w Wieśku. Ale nadal pracujemy razem. Przyjaźnimy się. A ja? Żyję tu jakoś powolutku. Tylko wciąż samiutki jak palec.

Gdyby Jowita była psem, strzygłaby teraz uszami. Słuchała każdego słowa, ale udawała, że mało ją to obchodzi. Układała na talerzach jedzenie, które jako gościniec przynieśli Marzena z Kubą. Zaparzyła herbatę, rozstawiła kieliszki. Zdążyła nawet pójść do toalety i trochę się podmalować. Znów wydawała się samej sobie ładna.

– A gdzie szampan? Kupiłam przecież – oburzyła się Marzena. – Trzy flachy w pazłotku.

– Nie będę wystawiał tego szajsu na stół, jak tu dżiny, łyskacze i inne wiktuały najwyższej jakości – obruszył się Kuba.

Ale Marzena nie słuchała go i natychmiast posłała Jowitę po igristoje.

– Co to za feta, jak nie ma szampana i kawioru! Kawioru nie dostałam, ale była makrela. – Rozwinęła wędzoną rybę z gazety i zaczęła ją obierać palcami. Kuba nie mógł na to patrzeć, ale Piotr się śmiał i zaraz do niej dołączył.

– Ej, zróbmy sobie zdjęcie – poprosiła Jowita. – Tak rzadko się spotykamy.

– Mam nowego polaroida. W szufladzie pod telewizorem – Bondaruk poinstruował Kubę i już zagarnął obie kobiety do siebie.

Kuba wrócił cały w skowronkach. Pierwszy raz widział taki sprzęt.

– Zajebiaszczy aparat, szefie. Nie trzeba oddawać do wywołania. Mistrzostwo.

– Weź sobie – zaśmiał się Piotr. – Tylko nam kilka zdjęć dzisiaj zrobisz.

Kuba ustawiał trójkę przyjaciół tak pieczołowicie, jakby fotografował ich na okładkę gazety. Narzekał, że jeśli się nie przesuną, będzie widać jedynie tę makrelę i ruski szampan. Ale oni śmieli się tylko i przytulali do siebie. Za nic nie chcieli się przesiadać. Kuba zrobił po kilka odbitek dla każdego, a potem szybko schował aparat, żeby papieru fotograficznego starczyło mu na jak najdłużej. Spędzili u Bondaruka miły wieczór. Kiedy się rozstawali, Jowita płakała.

– Kiedy wyjeżdżacie? – zapytał Piotr.

– Jutro rano – padło w odpowiedzi. – Zaraz po śniadaniu.

– Dawajcie znak, jak się wam układa. A jeśli czegoś wam trzeba, mówcie. Pomogę.

– Wspaniale! – Podchmielona Marzena machnęła ręką lekceważąco. – Tylko jeden taki z pracy nas wyrzucił. Ja roboty nie mam od tamtego razu, a i kurwić się w warszawce nie ma gdzie bez haraczu. Trzeba by było się rejestrować, odpalać komuś działę. A latka lecą, konkurencja przednia. I mało która w biznesie ma zeza – zaśmiała się gorzko. Wskazała Jowitę. – Ją to z pocałowaniem rączki by wzięli, ale ona woli krowy doić.

Jowita pierwszy raz spojrzała na Marzenę z nienawiścią. Zawstydziła się. Ukryła zniszczone dłonie za plecami.

– Nie chcę już tak żyć – zadeklarowała.

Piotr wyciągnął z kieszeni kluczyki auta, które Marzena przyjechała mu dziś zwrócić.

– Bierz. – Wcisnął je w dłonie Jowity. – Na dobry początek. Biznes jakiś otwórz. Teraz nawet tutaj, na prowincji, każdy swoją firmę zakłada.

– Ale ja nie umiem prowadzić auta!

– Kolega cię nauczy. – Wskazał Jakuba. – Mnie ono w sumie niepotrzebne. Do tartaku mam pięć minut piechotą. Służbowym mnie wszędzie wożą.

Jowita pokręciła głową. Oddała klucze.

– Kwity przepiszemy. Nie bój się – nalegał Piotr. – Jeśli chcesz, załatwię sprawy w ciągu tygodnia.

– Nie mogłabym. To zbyt zobowiązujący prezent.

Piotr patrzył na Jowitę skonsternowany. Marzena roześmiała się.

– Durna. Dają, a ona nie bierze.

Jowita wyciągnęła ramiona i przytuliła się do Piotra. Szepnęła mu coś na ucho, na co on rozpromienił się i pokiwał twierdząco głową.

– Możecie u mnie mieszkać, jeśli chcecie. Jasne, że cała czwórka.

– Ot, i *lubow*! – Marzena splunęła na urok. – Nie rób sobie nadziei, duszko. On ma inną i choćbyś pękła, nic tego nie zmieni.

W tym momencie na taras wbiegł uradowany Tomek. Odkrył właśnie, że koparka świeci i wydaje dźwięki. Ale na widok matki wtulonej w Piotra natychmiast wykrzywił usteczka i szykował się do płaczu.

Piotr pogłaskał Jowitę po głowie, wypuścił z objęć i mrugnął zadziornie do chłopca.

– Mama jest twoja, bez obaw.

A potem wskazał Jakuba, który nie był w stanie ukryć zazdrości, i wydał mu polecenie:

– Opiekuj się nią.

Zaczął padać deszcz z kulkami gradu. Kuba wygładził derkę i położył się na brzuchu. Odwrócił czapkę daszkiem do tyłu. Ręce mu zgrabiały, ale nie włożył rękawiczek. Nie chciał ryzykować, że palec omsknie mu się z cyngla i chybi.

Szosa była pusta. Marzena mówiła, że obiekt wyjedzie z garażu punktualnie o trzeciej trzydzieści. Do wylotówki na Białystok taki wóz zawinie w mniej niż kwadrans. Kuba zerknął na zegarek. Dochodziła czwarta. Jeśli wszystko się opóźni, zastanie go tutaj świt. Drugiej tak sprzyjającej okazji nie będzie.

Nagle na horyzoncie zobaczył białego okularnika. Rozpoznał go bez pudła. Sam nim przecież do niedawna jeździł. Pierwszy strzał oddał w oponę. Niecelny, ale już drugie trafienie zamieniło koło we flak. Kierowca z trudem utrzymał panowanie nad samochodem. Wóz przejechał na lewy pas i omal nie stoczył się do rowu. Niestety, obiekt znajdował się teraz poza wzrokiem strzelca. Wycelował w głowę kobiety, a kiedy osunęła się, odsłaniając twarz Bondaruka, naciskał spust raz za razem. W aucie trwało zamieszanie. Okna zaparowały niemal natychmiast. Kuba niewiele widział. Ostatnie naboje wbił praktycznie na pałę, bo pistolet zapalił się i poparzył mu dłoń. Kiedy skończył, zwinął majdan i zeskoczył z dachu. Dopiero wtedy przestraszył się, że skiepścił akcję. Drzwi od strony kierowcy były otwarte. Bondaruk uciekł w pole.

W kilku oknach rozbłysły już światła. Za chwilę policja zarządzi obławę. Sprawdzą każdy przejeżdżający wóz, zajrzą pod każdy kamień. Szczęście, że na tym pustkowiu nie mieszkało zbyt wielu ludzi. Zanim ktokolwiek się tu ruszy, minie trochę czasu. Kuba wiedział, że ma go niewiele. Choć plan był zupełnie inny, bo zginąć mieli oboje, wsiadł za kółko i odjechał do najbliższej przecinki. W lesie przerzucił martwą Łarysę do bagażnika, założył dojazdówkę, po czym zawrócił po Marzenę i Jowitę.

Koźmińska błyskawicznie zgarnęła swoje rzeczy i bez pytania wsiadła do wozu, ale Jowita zaczęła lamentować. Kule w drzwiach mówiły jej wszystko. Rzuciła się na Marzenę z pięściami, groziła policją. Kuba nie mógł tego znieść, zdawało mu się, że trwa to wieczność. Wciąż myślał

tylko o tym, że facet przeżył i za chwilę pod drzwiami domu Bondaruka pojawi się policja. Jednym ciosem zwalił z nóg drobną blondynkę. Wspólnie zapakowali dziewczynę do auta i zaczęli uciekać, choć wtedy jeszcze nikt ich nie gonił.

Zatrzymali się na postój dopiero w pogańskim miejscu mocy, w okolicy miejscowości Zbucz. Jowita odzyskała już przytomność. Wstała, lekko się zataczając. Musiała mieć wstrząśnienie mózgu, bo mówiła nieskładnie. Była apatyczna i w stuporze. Kiedy jednak zorientowała się, że zapomnieli o jej synku, znów zaczęła histeryzować. Teraz nikt już nie musiał mówić Kubie, co powinien zrobić. Pochowali je razem. Łarysę i Jowitę. Miejsce przywalili kamieniem, który wyglądał tak, jakby leżał tu od wieków, ale nie był wcale taki ciężki.

Zarobili na tym tylko połowę planowanej kwoty, bo żadne nie odważyło się wracać pod umówiony śmietnik. Błyskawicznie więc doszło między nimi do konfliktu. Chwilowo załagodził go karton alkoholu, który zabrali ze sobą z barku Bondaruka.

Kiedy następnego dnia Kuba wstał ze strasznym kacem, zorientował się, że jest w wozie sam. Koźmińska zniknęła z pieniędzmi i jego nowiutkim aparatem. Zostawiła zdjęcia i kasetę wideo, której używała do szantażu. Pewnie o nich zapomniała, zbierając się w pośpiechu z kryjówki.

Jakub odwiózł samochód na parking, aż pod lotnisko Chopina. Wrzucił bilet parkingowy na najbliższe trzy dni, bo na więcej nie było go stać, a potem zaszył się w norze z Włochatym i dalej tankował szuwaks z Andrzejem.

Pilnie jednak śledził doniesienia prasowe. Wiedział, że Bondaruk przeżył i został umieszczony w szpitalu psychiatrycznym na obserwacji pod zarzutem zabójstwa konkubiny. Bardzo go to ubawiło.

Marzeny więcej nie widział. Ale jak tylko obejrzał nagranie brutalnego gwałtu na Jowicie, wrócił do miasteczka. Zatrudnił się w szpitalu u siostry, która oczywiście zdobyła stołek wicedyrektora, i jeździł maszyną do czyszczenia podłóg. Systematycznie zbierał dane na temat każdego z uczestników gwałtu, ale przez długi czas nic z tym nie robił.

Bondaruk był na obserwacji w Ciszyni, zanim Jakub zaczął tam pracować, ale potem wielokrotnie odwiedzał Krzysztofa Saczkę. Nigdy nie

dał po sobie poznać, że pamięta Kubę. Mężczyzna myślał o tym wiele razy. W końcu doszedł do wniosku, że był dla prezesa kimś nieistotnym, co tym bardziej podjudziło jego nienawiść.

Gdańsk, 2014

Robert Duchnowski odwiózł dzieci do żony i z przerażeniem myślał o całym tygodniu wolnego. Waligóra wezwał go do siebie wczoraj po południu i wysłał na obowiązkowy urlop. Rozliczali komendę z nieoddanych ludziom nadgodzin i szef musiał wykazać się statystykami.

– Grzyby, ryby. Nie wracać do poniedziałku – rozkazał.

Duch zmarkotniał. Nie bardzo wiedział, co ma począć z taką ilością wolnego czasu. Sasza nawaliła na całej linii. Nie przyszła na egzamin, nie odpowiadała na jego esemesy. Dzwonić już się bał. Zakładał, że się obraziła, kiedy nie rzucił wszystkiego i po nią nie przyjechał. Przedstawił jej prawdę obiektywną. Samochód mu padł. A dokładniej wąż od pompy paliwowej sparciał i duchowóz po prostu zdechł mu na środku ronda. Nic spektakularnego. Potem wciągnęła go robota. Kilka dni w jego zakładzie to trzy życia przeciętnego urzędnika. Ale co miał jej tłumaczyć? Sama tak pracowała. Martwił się już nawet trochę, bo minęło kilka dni, a ona nie dawała znaku życia.

Wszedł do mieszkania i rudy kocur otarł mu się o nogi, więc z kieszeni wyciągnął paczkę preparowanych wątróbek, które sierściuch wprost uwielbiał. Jak tylko poczuł zapach smakołyku, rozpoczął swój koci taniec. Duch zzuł buty, rozsiadł się w fotelu. Podsunął sobie małą pufę i udawał Amerykanina jak jakiś pieprzony starzec, a potem sięgnął po największego przyjaciela mężczyzny, czyli pilota do telewizora, który miał oczywiście ustawiony na startowy program Eurosport. Leciała akurat powtórka transmisji meczu towarzyskiego Polska–Niemcy.

– Czy polskich piłkarzy sponsoruje producent leków nasercowych? – zwrócił się do Ducha, ale ten tylko odwrócił się do niego wyleniałym zadem.

Było za wcześnie na mecz ligowy piłki nożnej, skoków narciarskich w maju nie powtarzali, snookera nie cierpiał, więc zaczął przerzucać kanały. Wszędzie jakieś opery mydlane, reality oszołomy i durne reklamy,

które, miał wrażenie, znał już na pamięć. Wreszcie trafił na kanał informacyjny. Polityka go brzydziła, kredytu we frankach nie miał, więc poszedł po piwo do lodówki.

– No i kto ma dziś najbardziej zły dzień? – zapytał kocura, ale nigdzie go nie było, więc sam sobie odpowiedział i sam do siebie zarechotał: – Górnik z kredytem we franku.

Otworzył puszkę, upił solidny łyk i stwierdził, że to niegłupie tak spędzać wczasy. Tylko będzie musiał podjechać do supermarketu i kupić zgrzewkę piwa oraz skrzynkę wątróbek dla rudego Ducha. Tak jak można było się spodziewać, dźwięk otwieranej lodówki natychmiast zanęcił zdrajcę. Od razu wykazał zainteresowanie. Kiedy tylko Robert klasnął drzwiami najważniejszego mebla w domu, kot był już na stole i udawał, że liże sobie łapę.

– Teraz to przylazłeś, a żarty cię moje nie bawią. Czego chce? – zapytał rozbawiony, korzystając z chwili skupienia rudej istoty. – Jak jest żarcie, to nawet sekundy nie mogę pobyć sam, bo wszędzie za mną łazisz. A konwersacja, błyskotliwe dialogi? Już nie pamiętasz, jak na ubiegłoroczną Wielkanoc przywiązaliśmy sobie na balkonie skarpetki do sznura? Klamerki trafił szlag, razem ze ślubną, więc wyjścia nie było. Pomysł uważałem za przedni. Efektywny, prosty. Duch – zuch. Tylko że w nocy przyszedł mróz i mogliśmy je zdjąć dopiero w maju.

Kot łypnął tylko lewym okiem w ścianę, co znaczyło, że gapi się wprost na Roberta i słucha z uwagą.

– Z kobietami tak właśnie jest jak z tą lodówką, chłopie – perorował więc dalej Duch do Ducha. – Narobi człowiekowi smaku, a potem chlast: zamknięte. Czemu się nie odzywa, zołza?

Nalał kotu mleka.

– No przecież wiesz, o kim mówię. Taka sama ruda i wredna jak ty. Ja to mam gust.

Wypił już prawie całe piwo, więc zawczasu zabezpieczył kolejne i ściągnął przez głowę dżinsową koszulę. Włosy sterczały mu na wszystkie strony, więc je poprawił, a raczej pogorszył. By na siebie nie patrzeć, zawiesił koszulę na lustrze.

– Przez najbliższy tydzień nie będę musiał się oglądać. A ty jakoś moją urodę zniesiesz. Będziemy chodzić po wątroby nocą – oświadczył konfidencjonalnym szeptem i zaraz pomyślał, że długo tak nie wytrzyma. Gada do siebie jak jakiś wariat. Przecież ten wyleniałus i tak nic nie rozumie.

– Nazwano mnie przy okazji z trybuny sejmowej lewicowym działaczem – grzmiał teraz z telewizora jakiś lokalny polityk.

Duch wrócił do pokoju, by wyciszyć. Dźwięk wiadomości musiał być przesterowany. Usiadł i zapadł się w błogość solidnej zawartości chmielu i słodu we krwi. Jednym uchem wpuszczał telewizyjne gadki, drugim mu wylatywały.

– Drodzy panowie narodowcy, ani nie jestem działaczem, ani nie utożsamiam się w pełni z lewicą, ale wiem, że noszenie faszystowskiej symboliki i epatowanie na portalu Narodowa Hajnówka wpisami typu: „Bury powinien wybić wszystkich Białorusinów. Szkoda, że nie wymordował reszty baszmaków” – są absolutnym złem.

Duch przymknął oczy. Już prawie nie słuchał młodego niedziałacza. Czuł, że go to nieźle usypia. Głowa praktycznie sama opadała.

– W Hajnówce zgodnie żyli przez lata Polacy i Białorusini. Do czasu, aż grupa polskich pseudopatriotów zaczęła mieszać i nawoływać do waśni na tle narodowościowym. I żadne interpelacje poselskie nie zmienią tego, że to, co robicie, jest złem w czystej postaci. Białorusini mają takie samo prawo mieszkać na tej ziemi jak Polacy.

Teraz głos zabrała dziennikarka. Grała stand up przed urzędem miejskim, gdzie ujawniono dziś psią głowę w białoruskiej obroży. Cóż to miało znaczyć, nie była łaskawa wyjaśnić, bo zaraz poleciały przebitki. Kobieta przypomniała, że to ciche miasteczko na skraju Puszczy Białowieskiej od kilku dni jest sławne na cały kraj z powodu plotki o grasującym w tamtejszych lasach kanibalu.

– Do wczoraj te pogłoski były przez prokuraturę i policję dementowane – mówiła dziennikarka. – Ale dziś rano w beczce z kiszoną kapustą na największym miejskim targowisku znaleziono świeżo odciętą głowę jednego z najbogatszych ludzi w mieście. Reszty ciała dotąd nie znaleziono.

Duch otworzył oczy.

– Zjadł go ten zwyrodnialec! – Napotkany przez dziennikarkę przechodzień wygrażał pięścią. – Tak jak te kobiety, co ich czaszki znajdują teraz śledczy w lasach. Same głowy, żadnych zwłok. To jak to inaczej wytłumaczyć? Zeżarł je!

– Wcześniej cała Polska kpiła ze śledczych z Podlasia – dodała dziennikarka i odczytała wierszyk:

Był raz pewien ludojad z Hajnówki,
Który stale pożądał wałówki.
Gdy podano mu trupa,
Westchnął tylko: „Znów dupa –
pamiętajcie, że wolę jeść nówki!”.

– Ale teraz nikomu w Hajnówce nie jest do śmiechu.

– Boimy się! – Jakaś matka zasłaniając twarz córki, uciekała przed kamerą, jakby ją gonili.

– Dobre! – Duch klepnął się po udzie, ale zaraz uśmiech zastygł mu na twarzy, bo pokazano zdjęcie ofiary – starszego eleganckiego mężczyzny, już z wyglądu dyrektora. Poznał go. Rozmawiali nie dalej jak trzy dni temu. Miał odwieźć Piotra Bondaruka do miasteczka, ale mu się nie chciało. Skorzystał z pretekstu naprawy auta. Poza tym jedna z córek miała test z angielskiego i nie chciał jej zostawiać z szalonym dziadkiem.

– Odmawiam komentarza. – Pokazano przebitkę wchodzącej do sądu prokuratorki w trampkach. Duch musiał przyznać, że była całkiem do rzeczy.

A potem ekran wypełniła znów twarz reporterki.

– Jak na razie policja nie wyklucza porachunków przestępczych ani też motywu na tle narodowościowym. Piotr Bondaruk to lokalny VIP i biznesmen. Mecenas białoruskiej kultury, patron lokalnego klubu sportowego i działacz na rzecz mniejszości narodowych, która na tamtym terenie przeważa Polaków.

– Jak mniejszość może przeważać Polaków? – żachnął się Duch. – Polskiego się naucz, dziewczyno. Jak ty maturę zdałaś?

I nagle zamilkł, bo uświadomił sobie, że teraz, dla odmiany, gada z telewizorem. Już miał zamiar przełączyć, kiedy rozległ się głos lektora z offu:

– Z nieoficjalnych źródeł wiemy, że jedną z podejrzanych jest Aleksandra Z., była policjantka, profilerka na co dzień mieszkająca w Wielkiej Brytanii, która dziś rano została zatrzymana do wyjaśnienia. Do Hajnówki przyjechał też słynny kryminolog Hubert Meyer, by koleżankę po fachu przesłuchać i pomóc śledczym rozwikłać zagadkę tajemniczych zaginięć i zbrodni. Co wyniknie z tego pojedynku? Czy mała Hajnówka to nasze polskie Twin Peaks?

– Niech pani się stąd wynosi i nie robi z naszego miasta jakiegoś okropnego miejsca! – krzyknęła do dziennikarki jedna z radnych Anna Borowik, po czym zatrzasnęła drzwi.

Dalej puszczono muzykę z najsłynniejszego serialu Lyncha, a zaraz potem poinformowano, że Karolina Leszcz wydała właśnie nową płytę. Twarz opalonej modelki wypełniła cały ekran. Duch nie mógł znieść jej zawodzenia, więc nacisnął „mute” i siedział chwilę bez ruchu. Puszkę zgniótł w dłoni jednym ruchem, a potem wybrał numer Załuskiej. Włączyła się sekretarka. Potem zadzwonił do Romanowskiej, z którą już wcześniej rozmawiał i przed którą dla odmiany tłumaczył się obowiązkami zawodowymi. Też nie podniosła słuchawki. Znalazł numer do dyżurnego komendy powiatowej i poprosił o połączenie z komendantem.

– Jest na czynnościach – usłyszał. – Proszę kontaktować się z rzecznikiem.

– Nie jestem jakimś pieprzonym reporterem! – huknął Duch, ale zaraz się powstrzymał. – Nadkomisarz Robert Duchnowski, Komenda Wojewódzka Policji w Gdańsku, wydział kryminalny. Proszę o natychmiastowy kontakt z kimś funkcyjnym z jednostki.

Podał numer swojej komórki i rozłączył się. Żałował, że nie pożartował sobie z ich ludojada, ale zaraz mu przeszło, bo telefon zadzwonił niemal natychmiast. Ucieszył się, że jest taki skuteczny.

– Prowincjonalnych bubków trzeba traktować z buta – wyjaśnił rudemu Duchowi i poczekał, aż komórka zadzwoni co najmniej trzy razy. – Inaczej nie będą mieli respektu.

Odebrał. Niestety, to była tylko Zosia, sekretarka Waligóry.

– Jeśli chcesz mnie wezwać do roboty: *no way* – zgrywał ważniaka. – Jak mnie ktoś raz wyrzuci, sam musi poprosić. Niech Wali zadzwoni, to może coś zadziałamy.

Zaśmiała się i zniżyła głos do szeptu.

– Coś do ciebie przyszło. Duża paczka, a raczej wiele listów z jakiegoś szpitala. Na każdej napisane „Do rąk własnych”, więc nie otwierałam.

– Połóż mi na biurku.

– Tylko – kobieta się zawahała – oglądałeś telewizję?

– Nie – skłamał. – Jak mam urlop, Zosieńko, to się niczego nie dowiaduję. Tylko szum się od tego w głowie robi. A co?

– Ludzie mówią – znów szeptała – że ta aresztowana, wiesz, w tym miasteczku, gdzie aż pojechał ten słynny prowajder.

– Profiler.

– Właśnie! Że to nasza Sasza – zachichotała. – Aż mi się zrymowało.

– Nic nie wiem – kłamał dalej i czuł, że uszy zaczynają go piec.

– Bo chodzi o to, że te kwity to Załuska ci przysłała. Tylko że z naklejką szpitala psychiatrycznego Ciszynia. Może ją tam zamknęli? A szef już je widział i jak wróci z obiadu, to na pewno każe mi otworzyć. Znasz go. Nie wytrzyma.

Duch aż się zapowietrzył, ale był dobry w zgrywaniu luzera.

– Dobra, mam dużo wolnego czasu, przejdę się. Wezmę kota na spacer. Niech się chłop rozerwie, bo od jakiegoś czasu ostro pracuje, żeby go na kisiel przerobić.

Ubrał się, włożył obuwie, wziął Ducha pod pachę i, nie bez protestów, założył mu obrożę. Była całkiem nowa. Jedno z dzieci dało mu kiedyś ten sprzęt na Gwiazdkę.

– Nadszedł czas premiery. Dasz radę – pocieszył przestraszonego zwierzaka. – Damy radę. Albo i nie.

Zamknął drzwi i dalej gadał do siebie. Aż sąsiad, otwierający drzwi obok, się obejrzał. Robert pomyślał, że jeszcze kilka lat pożyje

w samotności i wejdzie mu to monologowanie w krew, ale nie mógł się powstrzymać i rzucił do kota:

– Jak myślisz, w co ta cholera znowu się wpakowała?

Hajnówka, 2014

Sasza wyszła z komendy, odebrała swoje rzeczy: walizkę i dokumenty wozu, który wciąż stał na parkingu policyjnym, i ruszyła przed siebie. Przystanek PKS był niedaleko i nawet miała ochotę się przejść. Nie chciała spędzić w tym mieście ani godziny dłużej. Była tak pogrążona w myślach, że nie zauważyła, iż od jakiegoś czasu towarzyszy jej samochód. Zwykły granatowy passat. Nie miał koguta taxi, ale wszystkie drzwi były oklejone logotypem „Przewóz osób". Za kierownicą siedział facet w czapce z daszkiem. Okno miał otwarte, wystawał z niego zimny łokieć.

– Pan jest wolny? – zapytała. W sumie głupio, bo w aucie nie było pasażerów, a kierowca jakby sam się napatoczył.

Nachyliła się, włosy opadły jej na twarz. Na chwilę zamigotały jej mroczki przed oczami. Była już bardzo zmęczona.

– Ile będzie kosztował kurs do Białegostoku? – zapytała.

– Sto pięćdziesiąt złotych. Może dwieście, ale jakoś się dogadamy – odparł taksówkarz.

Sasza nawet się nie zastanawiała. Walizkę położyła na tylnym siedzeniu i powiedziała:

– Poproszę na dworzec kolejowy.

– Robi się.

Przymknęła oczy i zatopiła się w rozważaniach. W głowie kołatało się mnóstwo najróżniejszych myśli. Ostatnią było to, skąd weźmie gotówkę, by zapłacić za kurs. To zajmowało ją najmniej. Liczyła, że w drodze coś wymyśli. Może znajdzie jakiś bank i wypłacą jej na dowód? Nie zamierzała zostać w Hajnówce ani minuty dłużej. Powoli stres odpuszczał i czuła się tylko słaba. Była w takim stanie, że najchętniej popłakałaby sobie z żalu nad swoim losem, ale wstydziła się przy obcym facecie. Postanowiła wziąć się w garść i zrobić to, dopiero kiedy będzie już w pociągu do Gdańska. Liczyła, że jeśli trafi dobre połączenie do Warszawy, noc spędzi już w domu. Rozmarzyła się: pójdzie nad morze, boso przejdzie plażą, zapali

papierosa na Monciaku i pogapi się w horyzont. Ten widok zawsze koił jej smutki. Tak naprawdę to tylko tego brakowało jej w Anglii.

Wyjęła telefon i włączyła go. Miała kilka nieodebranych połączeń, w tym jedno od Ducha. Sprzed zaledwie dwóch godzin. Uśmiechnęła się. Chyba ściągnęła go myślami. Kiedy siedziała na dołku, całkiem sama, przemyślała to wszystko. Zganiła się za tę chorobliwą waleczność i postanowiła zacząć działać inaczej. Musi zmienić modus operandi, bo doprowadzi do jakiejś katastrofy. To samo dotyczyło jej życia osobistego. Nie miała ochoty być już amazonką. Czas przyszyć odciętą pierś i pozwolić sobie na bycie kobietą. Będę łagodna, delikatna, niezaradna i miła jak ulepek, zdecydowała.

Teraz z ulgą wybrała numer Roberta i wiedziała już, co mu powie: „Wracam. Chodźmy na kolację”. I tak zapewne brzmiałaby ta kwestia, gdyby Duch odebrał. Spróbowała kilka razy, ale wciąż było zajęte. Po chwili dostała wiadomość, że numer jest znów dostępny. Zadzwoniła, ale odrzucił połączenie już po pierwszym dzwonku.

Rozzłoszczona wrzuciła komórkę do torby. Na razie nie było szans na ulepek. Założyła na powrót kolczugę, nadęła się.

Byli jak żuraw i czapla. To się nigdy nie uda. Oparła głowę o zagłówek i przymknęła oczy. Wtedy poczuła świdrujące spojrzenie kierowcy. Podniosła nieznacznie powiekę i utwierdziła się w przekonaniu. Zerkał na nią, a raczej nie spuszczał jej z oka, zamiast patrzeć na drogę. Wyprostowała się, pochyliła do przodu. Spotkała go wściekłym spojrzeniem w lusterku wstecznym. Podniósł głowę i uśmiechnął się. Rzuciła okiem na dłoń w rękawiczce, którą przerzucał biegi. Koniuszki dwóch palców były puste. Natychmiast, mimo czapki, rozpoznała go. Nie była pewna, czy złapał ten jej chwilowy przebłysk świadomości, ale zaraz rozejrzała się po okolicy i zorientowała się, że wcale nie jadą trasą na Białystok. Była tutaj na tyle długo, by poznać topografię miasta. Wręcz przeciwnie, jechali w stronę puszczy. Chwyciła klamkę, ale okazał się szybszy. Nacisnął przycisk centralnego zamka. Wszystkie drzwi się zablokowały.

– Co jest grane? – odezwała się grobowym głosem.

Nie spuszczając wzroku z lusterka, chwyciła za telefon i na ślepo napisała esemes: „Ratuj mnie. Potrzebuję pomocy. Proszę” – wysłała. A za chwilę zobaczyła parking szpitala Ciszynia. Nazwę placówki też wysłała Duchowi esemesem. Minęli ośrodek i wjechali od tyłu. Przypomniała sobie, że z tej samej strony wyjeżdżało to czarne auto, które omal jej nie staranowało, kiedy pojawiła się tu po raz pierwszy przed tygodniem.

– Ktoś prosił, bym panią dostarczył – padło w odpowiedzi.

Jakub zdjął czapkę i odwrócił się do niej. Miał teraz ogoloną na łyso głowę, a na samym środku starą bliznę. Poczuła ciarki na plecach. A potem przyjrzała się jego dłoniom. Pamięć wróciła momentalnie. To on zaatakował ją wtedy w lesie. To on porwał Iwonę Bejnar. I to w jego stroju roboczym, a nie Łukasza Polaka, znalazła przebranie.

– To uprowadzenie – powiedziała.

Najdyskretniej jak zdołała zaczęła rozpinać walizkę. Beretta była niestety zapakowana w folię na dowody, razem z resztką nabojów, więc kiedy tylko ją wyciągnęła, Jakub to usłyszał.

– Jeśli rozmowa przebiegnie zgodnie z oczekiwaniami, odwiozę panią na dworzec do Białegostoku – zapewnił. I zaraz dodał bez cienia uśmiechu: – Moje słowo droższe od pieniędzy.

Sprawnie zaparkował. Dokładnie pod tym wejściem, gdzie kiedyś zostawiała walizkę. Miała wrażenie, że ta sytuacja powtarza się już kolejny raz. Jak w *Dniu świstaka*. Tyle że za każdym razem, kiedy pojawiała się w tej klinice, było coraz gorzej. Miała już dosyć.

– Nie wysiądę – oświadczyła z uporem. – Jeśli ten wielki ktoś chce ze mną mówić, niech tu przyjdzie.

– Wolałbym nie prowadzić pani siłą. Naprawdę.

Zadzwonił jej telefon. Skorzystała z okazji i wyciągnęła woreczek foliowy z bronią, ukryła go w spodniach. Zanim zdążyła odebrać, Duch już się rozłączył.

– Nawet podejrzany ma prawo do jednego telefonu – oświadczyła.

Skinął głową i wysiadł z auta. Obserwował jednak każdy jej ruch.

– Jak się masz, ślicznotko? – Tym razem Duch odebrał po pierwszym dzwonku.

Milczała. Patrzyła na mężczyznę w bejsbolówce i zaczynała wreszcie rozumieć. Ale groza sytuacji, w jakiej się teraz znalazła, kompletnie ją sparaliżowała.

– Halo, Sasza – zaniepokoił się Duch. – Jesteś?

– Przyjedź – szepnęła. – Wszystko ci wyjaśnię. Siedzę po uszy w bagnie. Przyjedź, zabierz mnie stąd.

I stało się. Poryczała się.

– Gdzie jesteś? Co się dzieje? Mów do mnie.

– Nie mogę. Za dużo by tłumaczyć. Porwali mnie. Ciszynia – szepnęła. – Nie wiem, co będzie i czy będę mogła rozmawiać. Boję się.

Jakub zastukał w szybę.

– Chodźmy.

– Boję się – łkała Sasza. – Jakby coś mi się stało, powiedz mojej córce…

Głos jej się złamał. Kwestia z filmów na żywo brzmiała wybitnie tandetnie.

– Kocham ją. A ciebie lubię nawet – wydukała.

Duch milczał. Wiedziała, że rozumie. Choć brzmiało to tak, jakby postradała zmysły.

– Nie zwariowałam – zapewniła już w miarę normalnym głosem. – Nie jestem pijana. On na mnie patrzy. Nie mogę mówić dalej.

– Nie wyłączaj telefonu! – krzyczał Duch. – Wycisz go, schowaj do majtek. A jeśli mogą ci go zabrać, wrzuć gdzieś, do jakiegoś kosza, kąta. Tak cię namierzę. Nic się nie bój. Dasz radę. Co się tam, do kurwy nędzy, dzieje?

Drzwi się otworzyły. Sasza natychmiast się rozłączyła. Mężczyzna wyciągnął rękę po jej telefon. Pokręciła głową. Wyłączyła go i pokazała mu, że wyświetlacz jest martwy. Wzruszył ramionami i czekał, aż wysiądzie.

– Nic się pani nie stanie – zapewnił z szerokim uśmiechem.

– Też tak sądzę – skłamała.

Zaprowadził ją do recepcji, która teraz była pusta. Nachylił się, wziął klucz i otworzył jeden z licznych pokoi, gdzie schował jej walizkę.

– Telefon, broń, gaz. – Wyciągnął ponownie rękę.

– Czyżbym udawała się do więzienia? – spróbowała żartować.

– Mamy tu niebezpiecznych pacjentów. Sama pani wie, że to dla pani dobra.

Rozejrzała się. Starała się go zagadać i potajemnie włączyć komórkę. Udało się.

– Chyba biznes wam nie najlepiej idzie, bo raczej nikogo tu nie ma.

– Są na kolacji. Stołówka jest w innym skrzydle.

Po dłuższym namyśle oddała mu telefon. Wiedziała, że jeśli odmówi, zrewiduje ją i znajdzie pistolet. Za bardzo się bała, by się go pozbywać. Dawał jej, choćby iluzoryczne, ale jednak poczucie bezpieczeństwa. Na szczęście Jakub nawet nie spojrzał i wrzucił komórkę do jej walizki. Zasunął do końca zamek. Zauważyła, że jest niezwykle precyzyjny. Działał jak robot. Albo jak rutyniarz, który robił to już dziesiątki razy.

Ruszyli długim korytarzem do miejsca, do którego i ona dotarła za pierwszym razem. Tablica informacyjna, paprotka, ściana. Jakub zdjął tablicę. Pod spodem był nowoczesny panel z cyferblatem. Wpisał kod tak szybko, że nie zdołała go odkryć. Zapamiętała tylko odgłos klawiszy, tworzący kilka taktów znanej piosenki. Nie wydostanie się stąd bez tej wiedzy. A także nikt z zewnątrz tu nie wejdzie. Teraz wszystko było w jej rękach. Miała tylko wiedzę psychologiczną i twarde dane, które zdobyła, a czuła, że za chwilę poukłada je w kompletny obrazek. No i miała pistolet.

Ta druga, tajna część Ciszyni była o wiele bardziej zaniedbana. Ściany nie były nawet otynkowane. Rury wystawały z sufitu, odpadała z nich izolacja. Kostka, którą szli, przypominała przedwojenny klinkier. Była wyszczerbiona i w wielu miejscach prześwitywała goła ziemia. Na myśl przychodziły jej jedynie zamkowe lochy lub też wnętrzności starych fabryk. Sasza była przekonana, że inspektorzy sanepidu nigdy nie mieli okazji się tu dostać.

Za zakrętem sytuacja była zgoła odmienna. Korytarz lśnił czystością i tutaj też Sasza dostrzegła maszyny czyszczące – narzędzie pracy Jakuba.

Wzdłuż korytarza, który miał kształt półokręgu, promieniście odchodziły solidne metalowe drzwi. Podejrzewała, że można do tego skrzydła przejść także w inny sposób, na przykład przez czyjeś biuro, salę operacyjną czy gabinet zabiegowy. Jakub prowadził ją tą drogą, by nie zdradzać prostego wyjścia ewakuacyjnego.

Nagle zgasło światło. Sasza wzdrygnęła się i odsunęła od przewodnika na bezpieczną odległość. Żałowała, że od razu nie wyjęła pistoletu z folii. Teraz nie zdąży. Ale po chwili świetlówka zabzyczała i korytarz znów rozbłysnął zielonkawym blaskiem.

– To nasze efekty specjalnie – zażartował Jakub, ale Sasza nie była łaskawa nawet wykrzywić ust.

Dotarli do starej windy towarowej, która jechała wyłącznie w dół. Jakub kluczem otworzył zabezpieczającą ją kratę i nacisnął dźwignię. Była tylko jedna kondygnacja. Za to jechali bardzo długo. Sznury, na których zawieszony był dźwig, skrzypiały tak rozpaczliwie, jak wstające z trumien kościotrupy w horrorach z lat pięćdziesiątych.

– Jesteśmy. – Z trudem rozciągnął metalowe szczęki, a kiedy oboje wysiedli, zamknął kratę na kłódkę. – Jak sama pani widzi, telefon na nic by się tu pani nie przydał. Nie ma zasięgu.

– Mogłam się tego spodziewać – powiedziała z przekąsem. – Prowadzi mnie pan do kazamatów. A wyjścia stąd już nie ma. Czy tak?

– Niewiele się pani myli – odparł ku jej zdziwieniu. – Nie każdy stąd wychodzi. Ale niektórzy płacą, aby się tu znaleźć. I to słono. Nie jestem jednak upoważniony do wyjaśniania tych spraw. Siostra robi to znacznie lepiej.

– Wyobrażam sobie – mruknęła Sasza.

Szli jeszcze tylko kilka metrów i nagle się zatrzymali. Jakub otworzył drzwi, oczom Saszy zaś ukazała się ogromna, od podłogi po sufit wyłożona białą terakotą sala operacyjna. Wyposażona jak najlepsze kliniki na Zachodzie. Na samym jej środku, odwrócona plecami do drzwi, czekała Magdalena Prus. Przypominała Królową Śniegu witającą Gerdę w swoim lodowcu.

– Wiem, że nie zaczęłyśmy dobrze tej znajomości, ale to się może zmienić – oświadczyła lekarka.

– Dostąpiłam, widzę, wielkiego zaszczytu. – Załuska rozejrzała się. – Nie wiem, czym zasłużyłam na poznanie takiej tajemnicy. Za to się umiera?

Tym razem Magdalena wykazała się poczuciem humoru. Skłoniła się z uśmiechem, ironię uznając za komplement. Zatoczyła ręką okrąg.

– Witam w mojej odmładzalni.

– W czym? – zaśmiała się Sasza.

Mimo grozy sytuacji nie potrafiła zachować powagi, co jednak bardzo rozzłościło Magdę. Sasza natychmiast spoważniała i przypomniała sobie, że ostatnio przegrała rozgrywkę z lekarką przez to, że była butna i kpiła. Teraz będzie inaczej. Zamierzała ją przechytrzyć. Chyba że jej się nie uda, ale wtedy wszystkich pozabija. Ta głupia myśl dodała jej otuchy i jakoś idiotyczne wydało jej się, że tak się rozkleiła przed Duchem. Nie mogą jej przecież tak po prostu ukatrupić. To niemożliwe. Szukaliby jej. Robert przekopałby tu każdy kamień, pocieszała się. Ale widziała już w tym miasteczku tyle, że prawdę mówiąc, sama w to nie wierzyła.

– Przepraszam. – Sasza złożyła ręce jak do modlitwy. – Już nie będę się wygłupiać. Obiecuję.

Magdalena była zbita z tropu. Takiej Saszy nie znała. Natychmiast zwietrzyła podstęp.

– Gdyby była pani łaskawa wyjaśnić, gdzie ja jestem i po co mnie tutaj zaproszono – wyartykułowała profilerka jak na akademii w szkole.

Tym razem Magdalena chwyciła haczyk. Podeszła do Załuskiej bardzo blisko, uszczypnęła ją w policzek, aż ta zasyczała z bólu, co wyraźnie sprawiło lekarce przyjemność, bo uśmiechnęła się szeroko.

– Jest tu co poprawiać. Oj, jest! Podściółka tłuszczowa praktycznie zerowa.

Sasza stała teraz skonsternowana. Wpatrywała się w Prus i czekała na wyjaśnienia. Magdalena nagle się odwróciła. Miała tendencję do zachowań jak z wodewilu, to trzeba było jej przyznać. Była afektowana, jakby na

starość wciąż oglądała Disneya, tak pewnie określiłby ją profesor Abrams. Klasyczna psychopatka.

– Jak pani sądzi, ile mam lat?

Sasza szybko pojęła, że to drażliwy temat.

– Osiemnaście? – uśmiechnęła się krzywo.

Prus natychmiast podeszła i ponownie jej dotknęła. Ale tym razem nie ścisnęła jej do bólu. Uniosła skórę na twarzy i sprawdzała jej zwiotczenie.

– Nie, jednak nie zero. Trzydzieści procent – oszacowała. I zaraz poklepała Saszę w miejscu uszczypnięcia. Roztarła, jak bolące kolano u przedszkolaka. – A pani, jak chce, to umie być słodziakiem. Ale dość żartów! Czyli ile mi pani tak naprawdę daje?

Sasza otaksowała jej sylwetkę. Była doskonała. Lekarka musiała nieustannie trenować. Pewnie miała stałą kartę do lokalnej siłowni albo była instruktorką nordic walking. Oceniła drobne zmarszczki mimiczne: śmieszki i kurze łapki. Stwierdziła tylko delikatną lwią zmarszczkę między brwiami, a właściwie jej początki. Czoło kobieta miała jednak gładkie jak nastolatka. Sasza była prawie pewna, że brak „Sokratesa” na czole, na którego ona sama cierpiała od nieustannego marszczenia się w trakcie pracy nad profilami, Magdalena Prus zawdzięcza skuteczności jadu kiełbasianego.

– Żadnej operacji – zapewniła Prus. – Żadnej ingerencji chirurga plastycznego. Nawet botoksu. I oczywiście atawistyczny wstręt do treningów sportowych. To, jak sądzę, podzielam z panią.

– Trzydzieści trzy – strzeliła Sasza, choć tak naprawdę dałaby lekarce trzydzieści osiem, a więc tyle samo co sobie. Z tą różnicą, że Sasza naprawdę tyle miała. Może już nawet trzydzieści dziewięć, jeśli liczyć roczniki, a nie miesiące.

– Pudło – zachichotała Prus.

– Trzydzieści pięć?

– Podlizusik! – Lekarka pokiwała Załuskiej palcem.

– To już nie wiem – poddała się Sasza. – Pani wybaczy, strzelam ostatni raz. Cztery dychy i pół roku.

Prus nadał była przeszczęśliwa. Czekała na kolejną licytację, ale Załuska tylko rozłożyła ręce.

– Rocznik sześćdziesiąty – padła odpowiedź. – Uwierzy pani?

Sasza nigdy nie była dobra z rachunków, więc chwilę jej zajęło, zanim zdołała policzyć.

– Pięćdziesiąt cztery? Nie wierzę – wypaliła, a co gorsza jej zdziwienie było prawdziwe.

– Jestem chodzącą reklamą mojej metody – wyjaśniła Prus i dodała: – Nie widziała mnie pani nago. Cycki mam lepsze niż Magdalena Mielcarz.

– Bez trudu mogę to sobie wyobrazić – mruknęła Sasza. – Szkoda, że ja nie.

– Otóż i to! – Prus się rozpromieniła. – Możemy to zmienić!

– Ale mi tak dobrze. – Sasza zareagowała autentycznym strachem. – Nie mogę się doczekać, aż będę stara. Po co być wciąż takim samym? Zmiany w ciele i umyśle są piękne i właściwe.

Ta odpowiedź nie spodobała się lekarce. Nachmurzyła się.

– Pani poglądy nieco komplikują sprawę. I muszę pani też wyznać, że jest pani w tym poglądzie raczej osamotniona. Moimi klientkami są bardzo znane osobistości. Gwiazdy. Nie tylko polskie. I nie takie, które widuje pani w *Barwach szczęścia* – podkreśliła.

– Niestety, na gwiazdach znam się jak na gramatyce języka urdu.

Magdalena wpatrywała się w Saszę i znów zaczęła ją mamić.

– Pani wcale nie wygląda tak staro jak niektóre czterdziestki – rzekła. – Nie z takimi torbami, jak mawia mój braciszek, dawaliśmy sobie radę – rozemocjonowała się.

– Nie mam jeszcze czterdziestki – zaoponowała Sasza.

– Tu cię mam. – Lekarka się uśmiechnęła. – Bo po czterdziestce, a już cztery pięć plus – gwarantuję, następują w organizmie kobiecym zmiany nieodwracalne. U mężczyzn dzieje się to znacznie później. Mają grubszą skórę i lepszą podściółkę tłuszczową. Proces odwracania jest prostszy i mniej kosztowny. Dlatego też decyzję trzeba podjąć jak najwcześniej.

Moim zdaniem należy zacząć myśleć o zachowaniu młodości już w dwudziestym piątym roku życia.

Sasza była już lekko poirytowana. Nadal nie wiedziała, o co tu chodzi. Ten wersal lekko ją męczył. Nie wiedziała, ile jeszcze zniesie.

– Czyli jak się pani odmładza? Dieta, brak nałogów, dużo snu, seksu, ciuchy? Czy może jakoś inaczej?

– Krew.

Sasza zbaraniała.

– Młoda, czysta krew – powtórzyła Prus i rozciągnęła usta w uśmiechu wampirzycy. Przynajmniej tak się w tym momencie wydało Saszy. – Ja nawet się w niej raz w miesiącu kąpię. Oczywiście świeża jest najlepsza, ale zamrożona zachowuje te same właściwości. Można ją, rzecz jasna, również pić, jak Elżbieta Batory, ale próbowałam i zapewniam, że to nie działa. Chyba że ktoś lubi ten metaliczno-słony smak. Wówczas jednak tylko i wyłącznie dla własnej przyjemności. Niektórych pobudza to seksualnie. Tak w każdym razie mówią. Jestem w stanie w to uwierzyć. Wampiryzm seksualny jest mi również bliski. Jeśli chodzi o odmładzanie organizmu, a nie hedonizm, jedyną skuteczną metodą jest całkowita transfuzja. Po prostu wymiana krwi starej na młodą. I też nie kompletnej krwi, a wyłącznie jej osocza. Oczywiście osocze należy przetaczać z zachowaniem zgodności grup układu AB zero, więc, jeśli ma pani tę uniwersalną AB, mogłabym pani przetoczyć każdą krew. W najgorszej sytuacji są rzecz jasna osoby z grupą zero, ponieważ muszą dostać transfuzję wyłącznie z tej grupy. Dlatego w naszej placówce płaci się za nią najwięcej.

– W samochodzie Bondaruka zabezpieczyliśmy lodówkę z krwią. Była wasza?

– Moja – poprawiła Saszę lekarka. – Osobista. Ponieważ tak się składa, że ja właśnie jestem biorcą tej najcenniejszej grupy. Na szczęście zdążyłam z niej skorzystać. Macie moją własną, starą krew.

Sasza się rozejrzała.

– Dlaczego nie ma tutaj już zlotu dyskotek? – mruknęła. – Powinni być tutaj wszyscy śledczy. Takie badanie w dzisiejszym czasie jest normą.

Nawet w Polsce.

Magdalena nalała sobie wody z karafki stojącej na metalowym stoliku.

– Tak się składa, że pani komendant również jest naszą klientką.

– Białystok to badał. Nie jest aż tak wpływowa.

Magdalena się odwróciła.

– Podmieniliśmy lodówki. Mamy duży zapas krwi kobiet NN.

– Słucham?

– Niektórzy pacjenci nigdy stąd nie wychodzą – wyjaśniła bez emocji. – Brat chyba już pani mówił?

Sasza nie wiedziała, jak zareagować. Prus wzięła do ręki nieduży sztylet. Dotknęła ostrzem wskazującego palca. Po chwili na opuszce pojawiła się kropelka krwi. Lekarka włożyła palec do ust i oblizała.

– Nie zabijam nikogo – rzekła. – To byłoby zbyt proste. Jeśli spuszcza się krew w regularnych odstępach, można z tym żyć. Na tym polega krwiodawstwo. Tyle że my potrzebujemy jej nieco więcej. I nie dajemy za to czekolady, lecz solidny zwitek dolarów. No i średnia wieku naszych pacjentów nie przekracza dwadzieścia pięć plus. Taki wymóg.

– Czy to naprawdę była krew jednej osoby?

– Owszem. Inaczej to nie ma sensu. Jak pani sądzi? Nie mogłabym przecież pozwolić sobie na zakażenie. A już tym bardziej narażać tak moich klientów.

– Ale tam było sześć litrów. Ta osoba nie mogła przeżyć.

– Pani raczy żartować – żachnęła się lekarka. – Z czasem oczywiście że tak. Każdy kiedyś umiera. Człowiek nie może zbyt długo żyć, jeśli ciągle upuszcza mu się krwi. Niedotlenienie, niedożywienie, problemy z sercem. Także psychozy. To przewidywane skutki uboczne. Ale niektórzy ludzie są chciwi. Słono im za krew płacę, więc nie zachowują higieny pracy.

– Higieny pracy?

– Mam stałych dostawców. Płacę im za krew i milczenie. Chyba pani nie sądzi, że siedzę tu ze szpikulcem i nacinam kolejne, niezbadane wcześniej choćby pod kątem wirusa HIV ofiary, by zdobyć krew nielegalnie. To

bardzo rozwinięty biznes. Nasza odmładzalnia jest nieduża, ale w skali światowej ma bardzo dobrą markę.

– Trudno mi w to wszystko uwierzyć.

– Moda przyszła do nas z Zachodu. Tam może pani kupić swoje osocze przez internet. Pewnie, że to metoda dla odważnych lub raczej, i ja wolę to określenie, zdeterminowanych. W każdym razie dostęp jest znacznie łatwiejszy. Tylko że jak ze wszystkim, u nas krew jest tańsza, więc większość naszych klientów to właśnie ludzie z zagranicy. Opłaca im się przyjechać na zabieg, a przy okazji też wyleczyć zęby. Rozumie pani?

– Ile transfuzji robi pani miesięcznie?

– Nie jestem zachłanna i lubię dyskrecję. Klienci są wyłącznie z polecenia i muszą mieć pisemną rekomendację, zrobione świeże badania i całą resztę medyczną. Potem ich sprawdzamy ponownie u nas. Rozumie pani, wszystko może się zmienić choćby po przypadkowym kontakcie seksualnym. Tak więc jakieś dwadzieścia, góra trzydzieści w roku.

– Ile?

– W naszych warunkach moglibyśmy robić i trzysta, ale nie chcemy. Wolimy być prestiżowi.

– My?

– Jeśli się dogadamy, pozna pani każdego z członków naszej fundacji z osobna. Jednego pani poznała. Już nie żyje.

Sasza skierowała na lekarkę zdziwione spojrzenie.

– Piotr też korzystał. Niech się pani nie dziwi. Był próżny. – Przerwała. – Ale nie mamy nic wspólnego z jego śmiercią. Nawet to nam nie na rękę. Nie wiemy, czy nie znajdą umowy.

– Jesteście fundacją?

– Oficjalnie zajmujemy się pomocą osobom z zaburzeniami psychicznymi, zaburzeniami jedzenia i takimi trywialnymi zadaniami. To także robimy, ale mamy na to pieniądze z naszej głównej działalności.

Sasza kręciła głową z niedowierzaniem.

– Ale czy to naprawdę działa? Czy pani tę makabrę wymyśliła i po prostu wmówiła ludziom?

– Wypraszam sobie takie impertynencje – oburzyła się lekarka. – Nie jestem oszustką. Sama pani dała mi trzydzieści parę lat. Zapewniam, że mając osiemdziesiątkę, będę wyglądała tylko trochę gorzej. Zresztą młoda krew leczy wiele innych dolegliwości. Dobra jest zwłaszcza na sprawy sercowe. Prace nad tą metodą trwają już od lat sześćdziesiątych, choć od wieków ludzie szukali eliksiru młodości. Z pewnością słyszała pani o słynnym eksperymencie naukowców z uniwersytetów Harvarda i Stanforda, którzy odkryli czynnik różnicowania wzrostu jedenaście, tak zwany GDF jedenaście, którego stężenie we krwi młodych myszy jest znacznie większy niż u tych starszych. Słowem odmładza mięsień sercowy, a młode serce to lepszy dostęp do wartości odżywczych, tlenu. Ostatnio udowodniono, że tak samo działa na mięśnie szkieletowe i mózg. Ale ja to wiem już od dawna i to empirycznie.

– Raczej nie interesuję się medycyną – bąknęła Sasza.

– Ta metoda niedługo będzie testowana na osobach cierpiących na alzheimera. A za sto lat takie małe odmładzalnie jak nasza będą na każdym rogu, w kompleksie ze spa i stomatologiem. I wtedy ja także będę mogła wystawić pani certyfikat. Już dziś jednak wiadomo, że nawet człowiek w zaawansowanym wieku może powstrzymać chorobę bez szpikowania się medykamentami. Mówiąc językiem laika, po przetoczeniu młodej krwi choroba się cofa. To prawdziwy cud!

– Ale na razie ta, powiedzmy, metoda, nie była testowana na ludziach? – upewniła się Sasza.

– Oczywiście oficjalnie nie podano takiej informacji do mediów, ale w wielu krajach działają takie placówki jak nasza.

Sasza rozejrzała się po sali. Nie było tu ani jednego krzesła, stał tylko metalowy stół, który Saszy przypominał raczej sekcyjny.

– Ale dosyć gadania! – Magdalena klasnęła w dłonie. – Przejdźmy do interesów.

– Cóż mogę dla pani zrobić? – Sasza zwinęła usta w ciup.

– Oferuję pani wieczną młodość, gwarantuję zdrowie i do końca pani lub mojego życia, bo za wspólników nie mogę ręczyć, nie wezmę od pani za zabiegi ani centa, tfu, grosza. Inna waluta tu przeważa, jak pani widzi. To

szczodra propozycja, jeśli wziąć pod uwagę, że jeden zabieg kosztuje u nas około dziesięciu tysięcy dolarów. Oczywiście pełna dyskrecja.

– Jest pani diabłem – skwitowała Sasza. – Faust natychmiast by w to wszedł.

– Może mnie pani nazywać, jak chce. – Lekarka się skrzywiła. – Po prostu nie lubię niedomkniętych spraw. Jeśli coś robię, staram się to robić dobrze, a nie chałturzyć. Dlatego jestem dziś w tym miejscu, w którym jestem. Pani lubi kłopoty, a ja krew. Każdy ma prawo do swojego hobby.

– Co mam za to zrobić?

Magdalena ponownie się uśmiechnęła.

– Naprawdę drobiazg.

– Niech pani nie trzyma mnie w takiej niepewności. Czuję, że spada mi poziom GDF jedenaście.

– Nic. – Prus wzruszyła ramionami. – Po prostu pani wyjedzie i zapomni. Wymaże z pamięci każde zasłyszane tutaj słowo, każde zdarzenie, które zdaje się dziś pani dziwne, niezwykłe, niewyjaśnione. I, na Boga, przestanie pani już węszyć.

– Taką zasadniczo mam robotę.

– Jeśli nie piśnie pani nawet słowa o tym, co tu pani przeżyła, Jakub zaprowadzi panią do przygotowalni. Transfuzję zrobimy jeszcze dziś.

– Zaraz, zaraz – zdołała zaoponować Sasza. – Skąd mam wiedzieć, co mi pani wstrzyknie!? To jakiś absurd.

Załuska zaczęła się śmiać.

– Nie docenia mnie pani. Już dawno sprawdziliśmy, jaką grupę krwi pani posiada. Taką samą jak ja. Co się, nie ukrywam, doskonale składa. Bo mam zapas dla siebie. Była pani przecież w naszym miejskim szpitalu. Mam dostęp do kart pacjentów. Do wszystkiego mam tutaj dostęp.

Sasza zamarła. A potem wybuchnęła. Miała już dosyć tej wariatki.

– Chce mnie pani teraz położyć pod kroplówkę – zaczęła wyliczankę. – Uśpić. Czy jak się to, do cholery, odbywa. Skąd mam wiedzieć, że się w ogóle obudzę? To chyba pani mnie nie docenia. Może kilka razy w życiu zachowałam się głupio, ale nie jestem idiotką!

– Nic takiego nie powiedziałam. – Magdalena starała się uspokoić Załuską. – Wręcz przeciwnie. Wszystko pani wyjaśniłam. Właśnie po to, by czuła się pani bezpieczna.

– A jeśli się nie zgodzę?

Magdalena dała znak. Drzwi otworzyły się, wszedł Jakub. Musiał, niczym cerber, stać na straży przed salą. Podszedł do blaszanej rolety, pociągnął za regulację, która bardzo powoli i bezgłośnie ruszyła w górę.

Najpierw Sasza zobaczyła tylko stopy w sportowych butach. Przyklejone taśmą klejącą do krzesła. A potem, kiedy zasłona była już całkowicie na górze, całą postać. Łukasz był zakneblowany, ręce miał związane z tyłu. Próbował coś krzyczeć, ale tylko wyczerpał limit powietrza, bo zaraz zaczął się dławić i ucichł. Patrzył na nią błagalnie.

Sasza głośno przełknęła ślinę. Już nie rozumiała, dlaczego ten człowiek budził w niej kiedyś taki strach. Czego się bała przez lata. Co sobie ubzdurała.

– Dlaczego mi pani to pokazuje? – rzuciła. I dodała łamiącym się głosem: – On nic mnie już nie obchodzi. Nawet mi to na rękę. Jedyne, na czym by mi zależało, to tylko to, abym mogła widzieć, jak wyzionął ducha.

Magdalena czekała na taką odpowiedź.

– Załatwione – rzekła z uśmiechem. – Spuścimy z niego krew niehumanitarnie. A przy okazji zobaczy pani, jak to się odbywa.

– Ekstra – rzuciła Sasza. – Mogę już iść?

To bardzo rozśmieszyło Prus i znów pokiwała Saszy palcem. Jakub podszedł do Załuskiej, popchnął ją w kierunku lekarki. Sasza była zmuszona podejść do Polaka bliżej. Kiedy minęła go, jej oczom ukazało się straszliwe urządzenie przypominające średniowieczne narzędzie tortur, tyle że nowoczesne. Była to szafa z dwojgiem drzwi z pleksi, obitych od wewnątrz chirurgicznymi cienkimi jak lancet szpikulcami, jej wnętrze zaś wypełniały rozliczne rurki, które kończyły się w zamkniętym pojemniku, jakby kolosalnym ekspresie do kawy. Wewnątrz znajdował się stalowy stelaż, który nieodparcie skojarzył się Saszy z krzyżem.

– Tutaj wchodzi człowiek – zaczęła bardzo precyzyjnie tłumaczyć Prus, choć Sasza nie była w stanie skupić się na jej słowach. – Pozycję pionową

dawca utrzymuje dzięki stelażowi. Zasada dokładnie taka sama, jak w przypadku ukrzyżowania Chrystusa. Nie jest on jednak przybity, lecz jedynie umocowany za pomocą tych sylikonowych pasów. Normalnie zabieg trwa pół godziny, przez osiem dni, w trzech seriach. Drzwi codziennie zamykamy głębiej, szpikulce rzecz jasna coraz głębiej ranią jego ciało, ale to w przypadku normalnego poboru krwi są wyłącznie mikrourazy, sam pacjent zaś znajduje się pod narkozą. Nic nie czuje.

Odwróciła się. Sasza zasłoniła usta i szukała teraz miejsca, gdzie mogłaby zwymiotować. Zrozumiała już, że tutaj była. Już spuszczano z niej krew. Stąd te drobne ranki na ciele, kiedy się przebudziła.

– Wszystko w porządku. To normalna reakcja – oświadczyła Magdalena i najspokojniej na świecie podeszła do umywalki. Nalała do szklanki wody, a po drodze chwyciła foliowy woreczek z dystrybutora na ścianie, jakby specjalnie do tego stworzony. Sasza natychmiast opróżniła do niego zawartość żołądka. Magdalena w odpowiedzi poklepała ją przyjaźnie po plecach.

– Wiele osób na początku terapii ma torsje. U mnie na roku połowa studentów się wykruszyła lub przeniosła choćby na stomatologię, ponieważ nie mogli znieść widoku krwi. Tak się składa, że ja go bardzo lubię. To kwestia przeżyć.

Sasza podniosła głowę. Wypłukała już usta, napiła się wody. Nadal jednak z trudem stała na nogach. Magdalena zamknęła teraz narzędzie tortur i zapytała:

– Mam tylko jedno pytanie. Ideologiczne. Czy pani jest Polką?

Sasza bez wahania skinęła głową.

– Bo widzi pani – Prus się zawahała – otrzymałam informację, że to nie jest takie stuprocentowo pewne. A jeśli pani faktycznie ma korzenie wschodnie, jest tutejsza, nie miałabym serca przetoczyć pani „nieczystej krwi”.

Sasza spojrzała na nią i stwierdziła:

– Pani jest szalona.

– Szaleństwo źródłem mądrości.

– Jestem stuprocentową Polką – zapewniła.

– A nazwisko? To po mężu, pani wybaczy wścibstwo, czy rodowe? – dociekała lekarka, jakby były na sympozjum. Sasza z trudem to znosiła.

– Rodowe – odparła. I zaraz dodała: – Wiem, o czym pani mówi. O zamordowanych chłopach w pogromie wsi prawosławnych. Podobno wśród porwanych przez Burego wozaków było dwóch braci Załuskich. Muszę panią zmartwić, pytałam o to matkę. Moja rodzina od pokoleń mieszka na Pomorzu.

Magdalenie widać to wystarczyło, bo klasnęła w dłonie, cała zadowolona.

– A to na zachętę. – Podała Saszy zmiętą kopertę.

Profilerka bez trudu rozpoznała pismo Łukasza.

– Nie wysłała go pani?

Prus uśmiechnęła się triumfująco.

– Przecież nie chciała pani tego czytać! Wspaniale, więc możemy robić dil? A potem zabiera się pani stąd i sprawa jest zamknięta.

– Nie – Sasza nie potrafiła w tym momencie powiedzieć nic więcej.

– Nie? – Magdalena nie dowierzała. – Nie!?

W tym momencie zza pleców Saszy wyrósł Jakub i wbił jej w ramię igłę.

– Zabierz ją do Quaka – zarządziła Prus. – Przy nim szybciej skruszeje.

A potem wskazała na wijącego się teraz na krześle Łukasza.

– Zaczynamy za godzinę. Idę się przygotować. Za długo już tu siedzisz, mój drogi. Zestresowałeś się. Z pewnością odbije się to na krzepliwości. Nie jesteś wprawdzie młody, ale czasem robimy promocje i wtedy taka starsza krew też się przydaje. Stali klienci nawet tego nie zauważą. A nawet jeśli okaże się bezużyteczna, zrobię sobie z ciebie kąpiel.

Jakub tymczasem zaciągnął nieprzytomną Saszę do małej kanciapy, która składała się z kilku podobnych szaf jak ta w sali głównej. Większość była otwarta poza ostatnią, przy ścianie.

Kiedy Sasza się ocknęła, była podobnie skrępowana jak Łukasz. Tyle że miała jedną rękę wolną. Tę, na której nosiła gips. Jakub nie miał widać pojęcia, jak ją inaczej obezwładnić, więc tylko zabrał temblak. Drugą rękę

boleśnie przytwierdził taśmą izolacyjną do krzesła ustawionego dokładnie na wprost zajętej szafy do spuszczania krwi.

Podniosła głowę i zobaczyła jakby Jezusa wiszącego na krzyżu. Quaku był nagi, apatyczny, cały poraniony i spływał krwią. Gdyby sądzić po ilości, którą mu upuszczono, stał tutaj wiele godzin. Wzrok miał zamglony, co jakiś czas wydawał cichy jęk, i wyglądał, jakby za chwilę miał skonać.

Iwona siedziała naprzeciwko wyłączonego wielkiego telewizora i wpatrywała się apatycznie w swoje odbicie. Nie reagowała na prośby matki. Nie działały na nią jej groźby ani błagania, by ruszyła się i zaczęła żyć na nowo. Młoda wdowa nic nie mówiła, nie jadła, nie spała. Tylko siedziała bez ruchu, wpatrzona w ścianę, na której wisiała teraz plazma podarowana jej matce przed weselem przez martwego dziś Bondaruka. Była nieczynna, bo wczoraj wyłączyli im prąd za niezapłacone rachunki.

Bracia świętowali śmierć prezesa hucznie, odkąd tylko ujawniono jego głowę na targowisku, i wielokrotnie dzwonili, by złożyć siostrze najserdeczniejsze życzenia. W ich mniemaniu nie ulegało wątpliwości, że to tylko kwestia czasu, a cała rodzina wkrótce będzie nieprzyzwoicie bogata. Otwarto kolejny, tym razem najnowszy i z całą pewnością oryginalny testament. Okazało się, że Piotr uposażył ją, jej rodzinę i jej przyszłe dzieci, z kimkolwiek by je miała. Synom zostawił dom, samochody i niewielki pakiet udziałów tartaku. Większość udziałów przekazał synowi Duni Orzechowskiej, ale jeśli z jakichś powodów nie mógłby odebrać spadku, także tę część oddawał we władanie Iwony.

I choć przed godziną w ich slumsie na Chemicznej znów był szwadron policji, by ich wszystkich aresztować, zaraz pojawił się mecenas Mackiewicz i wytargował dla nich jedynie dozór policyjny. Honorarium zgodził się przyjąć za jakiś czas. Iwonie nie mieściło się w głowie, jak można być takim skurwysynem. Tak więc Żubry od dziś bawiły się, ile dusza zapragnie, a wszyscy, którzy kiedykolwiek powiedzieli choć jedno złe słowo w ich stronę, drżeli, bo teraz należeli do najbardziej wpływowych rodzin w regionie.

Bożena znów podeszła do córki i podała jej obrane ze skórki i pokrojone w ósemki jabłko.

– Zjedz choć kawałek.

Podsunęła jej pod nos szklankę z oranżadą. Iwona zawsze ją tak lubiła, choć matka utyskiwała, że pewnie już zdrowiej byłoby łyknąć wodę z plakatówek.

– Farbkę ci kupiłam. Może się skusisz.

Zero reakcji. Iwona tylko w trzech sprawach wstawała: kiedy chciała do toalety, by podłączyć telefon do ładowarki i gdy słyszała ryk silnika motocykla.

– Córciu, pogódź się z tym, że on nie przyjedzie – przekonywała ją Bożena. – Chyba że dowie się, że coś dziedziczy, ale nie sądzę. Nie wiem, czy to nie będzie dla niego dyshonor. Mężczyźni to potwory.

Iwona ukryła twarz w dłoniach i chlipała.

– To nie tak, mamo – odezwała się pierwszy raz, odkąd wyszła z ukrycia. – On mnie kocha. Ja to wiem. Coś mu się stało. Czuję to w kościach, dusza mnie boli.

Bożena podeszła i mocno przytuliła córkę.

– Nie bądź naiwna – poprosiła. – Znajdziesz sobie kogoś. Teraz będziesz mogła żyć, jak chcesz. Sprzedasz im tartak, będziesz bogata. A jak będziesz miała pieniądze, miłość sama zapuka do drzwi. Kolejka absztyfikantów już się ustawia. A każda miłość jest pierwsza.

Iwona wyrwała się z jej objęć i wybiegła na ulicę. Nie zatrzymywała się, aż zabrakło jej sił. Wtedy oparła dłonie o uda, z trudem łapała oddech. Bieg skutecznie osuszył jej łzy. Zwolniła i w dalszą drogę do domu matki Quaka ruszyła szybkim marszem. Nigdy w życiu nie pokonała w tak krótkim tempie tak długiego dystansu.

Kiedy zapukała do lichej chaty w lesie, Dunia akurat odczyniała alkoholika. Iwona usiadła więc na progu i wpatrywała się w jej obrzędy. Znachorka natychmiast przerwała modlitwę, którą powtarzała pod nosem w kółko jak mantrę, i podeszła do niedoszłej synowej. Nasypała jej na dłoń maku, pomogła zwinąć palce, by nawet ziarenko się nie wydostało. Na udzie umieściła zalaminowane zdjęcie relikwii Bożej Matieri, którą osobiście przywiozła z Poczajowa.

– Trzymaj i módl się – powiedziała po białorusku. – Tak jak umiesz. Jak ci serce dyktuje. Po polsku, rusku, angielsku. Byle szczerze.

Iwona wpatrywała się w kości ułożone na zdobnej serwecie i ze zdziwieniem stwierdziła, że fotografia przyjemnie rozgrzewa jej ciało. Najpierw poczuła ciepło tylko na nodze – tam gdzie leżał tandetny obrazek,

a potem, stopniowo, smutek i ból odpuszczały. Ona sama stała się lekka, jakby odpływała w płytki trans. Oparła się o framugę drzwi, przymknęła oczy i wsłuchiwała się w jednostajną muzykę modlitw Duni. Kiedy się ocknęła, leżała pod pierzyną. Obok stała zimna herbata w metalowym koszyczku. Dunia robiła na szydełku beret. Kiedy zauważyła, że dziewczyna ma otwarte oczy, rzekła:

– Spałaś trzydzieści trzy godziny, córko. Niestety, nie mam telefonu, a twoja mama pewnie się martwi. Zadzwoń do niej.

Iwona wstała. Czuła się rześka, jak nowa.

– Zrobi mi pani tak jak temu panu?

– A z czym masz kłopot? – Szeptunka dotknęła jej brody, uniosła ją nieznacznie. Iwona uciekła wzrokiem. – Ale tak naprawdę. Co cię trapi? U mnie zwierzenia wpadają do studni. Inaczej, jeśli będziesz udawała, Bóg ci nie pomoże.

Iwona wtuliła się w staruszkę i zapłakała:

– Jestem w ciąży. A on zniknął.

Dunia pogłaskała ją po głowie i odwróciła się do kuchennego stołu. Izba była niewielka. Z krzesła mogła sięgnąć prawie wszędzie. Wyjęła z kredensu nową paczkę cukru i na gazetę zaczęła wysypywać małe kopczyki. Liczyła po swojemu, aż uznała, że wystarczy.

– Kochasz tego chłopca? Chcesz tego dziecka? – upewniła się.

Iwona natychmiast pokiwała głową. Otarła łzy.

– *Sorok toczek* – wyjaśniła szeptunka. – Nad każdą modlisz się, odmawiasz *Otcze nasz, Wieruju* czy *Iże Hieruwimy*. Po polsku, jeśli „po swojemu” nie umiesz. Kiedy skończysz, oznaczasz w kopczyku palcem. Jak odmówisz wszystkie, zbierz ten cukier i posłodź nim herbatę.

Potem wydarła inną kartkę z gazety i nasypała do niego maku.

– To wsyp do wszystkich kieszeni, a jak będziesz prała odzież, uzupełniaj na nowo. Jak się skończy, kup nową porcję i poświęć go w cerkwi albo przyjdź z nim do mnie. Ominie cię strach. Zostanie tylko ten zdrowy, który człowieka mobilizuje i chroni przed niebezpieczeństwem. Nie będzie paniki.

Dała jej też kromkę suchego chleba i nalała do butelki po coca-coli wody z wiadra. Pomodliła się nad nią, przeżegnała.

– Pij codziennie po łyku, dwa. Nie więcej. Myśl o swoim ukochanym. Chleb rozkrusz i zjedz na sucho, jak prosforę, czyli wasz opłatek. Nie upuść nawet drobiny. Jeśli zrobisz to wszystko, Jurka do ciebie wróci.

Zawahała się. Spojrzała na wiszącą pod haftowaną makatką ikonę i przeżegnała się. Iwona odruchowo zrobiła to samo.

– Jeśli jest żyw – poprawiła się Dunia. – Wróci do nas.

– Poprosił, więc to zrobiłem. Byliśmy w końcu przyjaciółmi.

Romanowska z niedowierzaniem wpatrywała się w staruszka, który stał przy metalowym stole w gumowym fartuchu, a w trakcie rozmowy nie przestawał kroić mięsa na paski i mielić go w termomiksie. Przerywał opowieść co jakiś czas. Tylko po to, by włączyć urządzenie i zemleć kolejną porcję wieprzowiny. Przebadali każdy centymetr zakładów Nesteruka, ale nie znaleźli nic podejrzanego. Na wszelki wypadek mięso też sprawdzili. Ze względu na plotkę o grasującym w okolicy kanibalu to było pierwsze, co należało zbadać, by uniknąć niepotrzebnych wątpliwości.

– Zero ludziny – otrzymała odpowiedź z laboratorium. – Tylko najwyższej jakości wieprzowina, wołowina i trochę jagnięciny. Na wszystko są dokumenty.

Mikołaj oderwał się na chwilę od pracy i podszedł do ściany, do której przybito drewniane listwy z wieszakami. Jak na wystawie prężyły się piły, tasaki, noże i zawodowe szpikulce. Wyjął niepozorne, drobno ząbkowane ostrze. Zainstalował je do elektrycznej piły. Przypominała Romanowskiej tę, jakiej medycy sądowi używają do rozcinania czaszek w trakcie sekcji zwłok.

– Hamet pięćdziesiąt cztery, model turbo jest najlepsza do cięcia kości. Wystarczy ją dobrze konserwować i dawać do ostrzenia raz w miesiącu – wyjaśnił Mikołaj i dodał, widząc jej obrzydzenie: – Śmierć jest nieunikniona, a Bóg nakazał człowiekowi spożywać mięso. Nie godzi się z niego rezygnować. To ono najczęściej służy jako ofiara. I tak było w tym przypadku.

Romanowska usłyszała, że ktoś wszedł do pomieszczenia. Młody mężczyzna skłonił się na jej widok, ale choć była w pełnym umundurowaniu, nie dostrzegła w nim nawet cienia obawy. Podał Mikołajowi walizkę, w której musiały być narzędzia, bo kiedy staruszek ją odbierał, aż zgiął się od ciężaru.

– Możemy się rozliczyć jutro? – zapytał Mikołaj i wskazał Romanowską. – Mam gościa.

– Oczywiście – zgodził się skwapliwie przybysz. Komendantka dostrzegła, że na ręku ma ślady po poparzeniu. – Ale wolałbym dostać zapłatę do środy. Wyjeżdżam na urlop i chcę pojechać na zakupy.

– To jeszcze dziś uregulуję – zgodził się Mikołaj. – Proszę poczekać.

Wszedł za ladę i pochylił się do metalowej szafy pancernej. Otworzył. Wewnątrz były szare teczki. Romanowska pomyślała, że rzeźnik ma więcej akt niż jej były szef w komisariacie. Wyjął z szafy grubą kopertę, odliczył pieniądze i przekazał plik banknotów młodemu. Kiedy inwalida wyszedł, starzec wyjaśnił Romanowskiej:

– To uzdolniony chłopak. Nie jest tokarzem, ale na moje zamówienie wykonuje świetne ostrza. Nie bierze zbyt wiele, a robi taniej i solidniej niż sprzęt z supermarketu.

Romanowska pomyślała, że jak to ma być tanio, to chyba minęła się z powołaniem. Trzeba było zostać tokarzem, a nie wspinać się po szczeblach kariery śledczej. Starosta, kiedy jej wypłacił honorarium, wręczył jej zaledwie jedną trzecią takiego pliku. Chyba że rzeźnik płaci tokarzowi w białoruskich rublach.

– Nie znam go – mruknęła na razie.

– To jakaś rodzina pani doktor Prus – ciągnął Nesteruk. – Jest już w klinice od kilku lat. Jeździ tymi maszynami, konserwuje sprzęt. Taka złota rączka do wszystkiego. Wiele razy namawiałem go, żeby otworzył własny interes, ale chłopak wciąż nie ma odwagi pójść na swoje. Dobry, skromny. I ma dryg do pracy z metalem. A jeszcze na komputerach się zna. Jak mi padł system zarządzania, postawił go na nowo. Ja się na tym nie rozumuję. Chyba się z pani synem przyjaźnią. Widziałem ich razem.

Romanowska wskazała na ścianę z arsenałem.

– I tym hametem odciął pan głowę Bondaruka, panie Mikołaju?

– Już przecież powiedziałem, pani Krysiu. – Pokręcił głową. – Drugi raz się widzimy i znów okoliczności niezbyt przyjemne. Hametem, ale nie tym. Tamten się zużył. Oddałem do ostrzenia.

– Temu chłopcu? – Wskazała drzwi.

Mikołaj się zawahał.

– A może gdzieś leży na zakładzie. To pani potrzebne?

– To narzędzie zbrodni – westchnęła. – Chłopcy znajdą przy przeszukaniu, jeśli będzie w hali. A jeśli jest gdzieś indziej, to proszę powiedzieć. Liczę na szczerość.

Mikołaj nie odpowiedział. Kończył mielenie. Zostało mu tylko kilka kawałków. Wiadro z mięsem było już pełne.

– Pan wie, że musi pan iść z nami?

– Tylko to skończę i już idziemy – zapewnił. – Nie po to się zgłosiłem, żeby teraz migać się od odpowiedzialności.

– Jest pan pewien, że Piotr nie zostawił listu? – dopytywała się Krystyna. – Lub czegoś, co mogłoby potwierdzić pana wersję? Nie ukrywam, że taka okoliczność działałaby jednak na pana korzyść.

– Może i zostawił, ale nie mam pojęcia gdzie – odparł rezolutnie staruszek. – Grzebać mu po śmierci w dobytku nie będę. Jeśli coś było, synowie pewnie mają. Albo gosposia. My, wie pani, nie rozmawialiśmy przez lata.

– Pokłóciliście się?

– O nie! – zaprzeczył gwałtownie. – Nawet się spotykaliśmy. Dla obcych wszystko było jak się patrzy. Tylko tej nocy wezwał mnie do siebie. Chciał, żebym wziął jakieś dokumenty, które przechowywał przez lata. Nie wsiadłem do przysłanego samochodu. Bałem się, czym chce mnie obciążyć. Sam mam kupę swoich spraw. – Odchrząknął. – Potem, w samym środku nocy, przyjechał i powiedział, że chce się pożegnać.

– Pożegnać?

– Był z nim ojciec panny młodej. Wyglądali na zaprzyjaźnionych

– Dawid? – zdziwiła się Krystyna. – Ten pijak?

– Teraz pijak, ale kiedyś jego oficer. „Smutny” się zwał i to on go zwerbował. Ubzdurał sobie, że wyleciał z SB przez Piotra. A to nie była prawda, bo kłótliwy był i pił już wtedy za wiele. Naraził się zbyt wielu ludziom, chojraczył. Przez lata „Smutny” gnębił i nachodził Piotra. Tak naprawdę nie umiał się w tej nowej rzeczywistości odnaleźć. Kapitalizmu nienawidził. Chciał, żeby znów było jak dawniej.

– Kiedy on był młody i miał niepodzielną władzę?

– Dokładnie. Jak go wyrzucili, nie mógł Piotrowi zaszkodzić. Bondaruk nie był w ciemię bity. Miał na niego teczki. Na wszystkich miał. Na mnie, pana starostę, wszystkich z rady. Na panią też – ciągnął tym samym tonem Nesteruk. – Ja tego nie pochwalałem. Kiedy zginęła Łarysa, wszystko mi opowiedział. A starosta z poprzednim komendantem to zatuszowali, bo bali się, że Piotr wyciągnie na nich dokumenty.

– Ale co powiedział? – przerwała mu Krystyna. – Proszę o szczegóły.

– „Smutny” chodził do agencji Nikolaia, świeć panie nad jego duszą, bo dobrotliwy to był Ukrainiec, choć alfons. Tam poznał Bożenę Bejnar, matkę Iwony. Żona wygnała go z domu, jak się dowiedziała, że zdjęli go ze służby i będzie miała w chacie darmozjada. To przyjechał do Hajnówki, opowiadał bajki o tym, że jest inżynierem. To było kłamstwo, choć studia na politechnice skończył. Nigdy nie pracował naprawdę. Papiery przekładał. Ludzi obserwował i przesłuchiwał. No, żył z tego, że donosił. Ale zadarł widać z tym, co nie trzeba, bo go usunęli z Ełku. Chciał się tu zaczepić w policji, ale bali się go, bo nie był „swój”. Bożena się w nim zakochała, pozwoliła pomieszkiwać, tolerowała jego pijaństwo, bo raz na jakiś czas kupował jej kwiaty. I przylgnął do niej, zrobił jej dziecko. Urodziła się ta mała od Żubrów. Ale Bożena też z nim nie wytrzymała. Może wykryła, że chodzi do innych kobiet. Zaszył się w jakiejś norze. Starosta dał mu komunałkę na Judziance, tam koło dzisiejszego więzienia. Spiknął się z Piresem i tak tankowali razem. Tyle że Dawid, znaczy się „Smutny”, miał słabszą głowę. Podupadł w ciągu kilku lat. Najbardziej to lubował się w takiej blondynce. Jowita na nią mówili. Zniknęła zaraz po zabójstwie Łarysy. Piotr uważał, że to robota „Smutnego”. On umiał załatwiać takie sprawy. Wynajął jakiegoś młodego chłopca z Warszawy i sytuacja się powtórzyła.

– Komendant zadbał, by sprawy nie wykryć?

– Tu było łatwiej. – Nesteruk pokręcił głową. – Nikt dziewczyny nie szukał, a ciało samo nie wypłynęło.

– A Mariola? Podobno też pracowała u Bondaruka.

– Tu nie pomogę. – Zamilkł na chwilę. Tym razem nie był już tak spokojny. Oddychał ciężko. Widać, że sprawa zaginięcia córki wciąż budziła w nim emocje. – Kiedy dowiedziałem się, że Piotr romansuje mi

z Mariolką, wściekłem się. Nie mogłem tego znieść. A potem zniknęła. Jak tamte. Pani, to była rozpacz. Przez grzechy przyjaciela stracić własną córkę. Po co ja go wtedy ratowałem? To przez to nie rozmawiamy.

– Dlaczego pan tego nie powiedział na przesłuchaniu? Pamiętam, bo to ja spisywałam zeznania.

Nesteruk wzruszył ramionami.

– A bo to ja wiem? Bałem się – odparł. – Tutaj, wie pani, jeszcze w latach pięćdziesiątych regularnie dostawało się bęcki za pochodzenie. Takie miejsce na ziemi.

– Ten strach był ważniejszy niż znalezienie córki?

– Najpierw nie wierzyłem, że ona nie żyje. Prosiłem, żeby Piotr pomówił ze „Smutnym”. Oferowałem pieniądze, zarzekałem się, że będziemy milczeli. Piotr obiecał, że pomoże. Ale ślad po doczce z czasem coraz bardziej się zacierał.

Milczeli długą chwilę. Mikołaj odszedł od termomixa, umył ręce w wiadrze i nastawił czajnik na herbatę. Potem wrócił do stołu, przy którym czekała Romanowska, i usiadł, ciężko sapiąc.

– Dlatego rozumiałem „Smutnego”, który się wściekł, jak się dowiedział, że Bondaruk bierze sobie teraz jego córkę i na dodatek dogadał się z jej matką na pieniądze. Rozumiałem i siedziałem cicho. Myślę, że to on odbił Iwonę w tym lesie. Ale pewności nie mam.

– Jak zginął Piotr?

– Kiedy „Smutny” wszedł w nocy do mojego domu, myślałem, że czeka mnie ten sam los co prezesa. Dawid wyjął pistolet i kazał się prowadzić do ubojni. Przygotowałem paralizator, włączyłem światła. To naprawdę szybka śmierć, humanitarna. A potem wrócił ze skrępowanym Piotrem. Piećka prosił, żebym ja to zrobił. Nie chciał ginąć z rąk „Smutnego”. Najpierw odmówiłem. Nie byłem w stanie tego zrobić. – Staruszek pochylił głowę. – Nie chciałem mieć ludzkiego życia na sumieniu. A już jego szczególnie.

– Nie sprzeciwiał się pan? Nie walczył?

– Jestem Białorusinem – oświadczył. – My cierpimy w cichości. Patrzyłem na to i myślałem, że jak nic, będę następny – podkreślił. – Wojnę przeżyłem, ruskich, oddział Burego, polskie bandy. Dla mnie to się niczym

nie różniło. Taka sama egzekucja jak w czasie wojny i po niej. Dawid kazał wybrać piłę, więc wziąłem hameta. Potem zabrał głowę Piotra i odjechał. A ja drugi raz ocalałem dzięki Polakowi. Teraz ofiarę wziął na siebie Piotr. Pod Puchałami jego ojciec odwrócił uwagę żołnierzy Rajsa, kiedy wystrugał krzyż na drzewie. Wykorzystałem nieuwagę Burego i zbiegłem. Dlatego byliśmy z Bondarukiem tak blisko i zawsze go broniłem. Jego ojciec był zdrajcą, ale miał serce. Skazał na śmierć wiele osób, a mnie jednego ocalił. Piotr nikogo nie skrzywdził, poza tymi, co się im należało. Zapewniam, choć obaj byli czystej krwi Białorusinami.

Romanowska pokiwała głową. Nie musiała pytać, czy chodziło o Stepana i „Świerka”. Dawno to już wiedzieli.

– Co się stało z resztą ciała Piotra?

– Zakopałem je Pod Płaczącą Wierzbą. Tam, pod tym krzyżem, który przez lata poprawiałem. To też już pani chyba wie.

– Sam?

Potwierdził.

– Dlaczego pan kłamie?

– Nikt więcej nie brał w tym udziału – zapewnił pośpiesznie.

– Pan wie, że „Smutny” nie potwierdza pana wersji? Zaprzecza dosłownie wszystkiemu.

– Jestem w stanie to zrozumieć. To jedyna linia obrony, jaka mu pozostała.

– Po co miałby zostawiać świadka? Dlaczego pana nie zaatakował?

– Był pewien, że go nie wydam. Miał mnie za sojusznika. Milczałem, kiedy zaginęli Stepan, Łarysa, a nawet moja Mariola. To i teraz będę siedział cicho. Tak myślał. Na pewno.

– Gdzie są zwłoki tych kobiet?

– Gdzieś w puszczy. Ja ich nie zakopywałem.

– Ma pan pewność, że nie żyją?

– Jak to, że wszyscy kiedyś zejdziemy z tego padołu.

– Będzie pan musiał powtórzyć wszystko przed prokuratorem.

Romanowska odwróciła się, wezwała funkcjonariusza. Mikołaj nie protestował, kiedy zakładali mu kajdanki i wyprowadzali z budynku.

– Stójcie! – Z pomieszczenia z napisem „Wstęp wzbroniony” wyszła niemłoda już kobieta. Była dobrze odżywiona, ubrana w niemodną od lat dziewięćdziesiątych sukienkę z baskinką, która dodawała jej lat. – Ojciec kłamie.

Krystyna dała znak funkcjonariuszom, by zaczekali.

– Bierze winę na siebie, żeby mnie chronić.

– Mariolciu! – zaprotestował Mikołaj. – Idź do swojego pokoju.

– Mam dosyć życia jak szczur, tato – odparła kobieta bardzo spokojnie. – Nie mam już sił dłużej się ukrywać. Nazywam się Mariola Nesteruk. Od dwa tysiące czwartego roku figuruję w bazie osób zaginionych. Skoro Piotr nie żyje, nie będę się musiała bać, że ktoś mnie zobaczy, jak przemykam, by spotkać się z synem. Życie na zapleczu rzeźni jest gorsze niż więzienie. Dzięki tato, że próbowałeś.

Krystyna wyjęła niezbyt dobrej jakości fotografię ze szkolnego tableau.

– Poznaje pani? To córka Stepana. Zaginęła, gdy miała siedemnaście lat. Wie pani coś o tym?

Kobieta przyjrzała się zdjęciu, pokiwała głową.

– Teraz znacznie lepiej wygląda.

Krystyna wezwała innego funkcjonariusza. Podał jej z plastikowej teczki zdjęcie wykonane metodą progresji wiekowej, które przed godziną dostali z Centralnego Laboratorium Kryminalistycznego Policji od Dariusza Zajdla. Osoba na fotografii w żadnym razie nie przypominała Saszy Załuskiej. Jeśli jednak użyć odrobiny wyobraźni, można było dostrzec podobieństwo do Magdaleny Prus, wicedyrektor Ciszyni.

– To ona?

– Chyba ten ekspert nie wziął pod uwagę, że w międzyczasie mogą wynaleźć eliksir młodości – rzuciła kąśliwie Mariola i dodała: – Ale to, co ojciec mówił o „Smutnym”, jest w stu procentach prawdą. On jeździł okularnikiem. Niech pani sprawdzi, za co odebrali mu prawo jazdy. I jaki samochód prowadził.

DAWID
(2014)

Piotr zaparkował w garażu i wjechał windą do mieszkania. Za chwilę zacznie świtać, stwierdził, ale nie zapalił światła. Za szybą na swojej równo przystrzyżonej trawie dostrzegł psa. Był to stary amstaf, który jak szczeniak aportował gumową piłkę. Dopiero po chwili do szyby podszedł Anatol Pires. Rozpłaszczył twarz na oknie i zajrzał do wnętrza. Piotr odruchowo odsunął się do korytarza. Wtedy zagrała jego komórka. Nie odebrał od razu. Najpierw podszedł do barku i nalał sobie wódki.

– Otwórz – padło w słuchawce. – Idą goście.

Piotr wyjął z kredensu siedem grubo rżniętych szklanek. Postawił na tacy i wybrał butelkę z alkoholem. Kiedy podszedł do drzwi, poza Piresem i jego posiwiałym psem dostrzegł tylko Dawida, ojca Iwony. „Smutny” rozciągnął usta w uśmiechu. Pierwszy przekroczył próg.

– A reszta? – zapytał zdziwiony Piotr.

– Zostało nas tylko dwóch – odparł Pires. – „Giewont” uciekł, reszta nie żyje. Kola nie przyjedzie, bo zdecydowaliśmy, że weźmie to na siebie.

Piotr przełknął ślinę.

– Kogo wybrałeś na moje miejsce?

– Nie tak szybko – zaśmiał się Pires. – Namieszałeś, więc poniesiesz ofiarę. Ale kilka spraw trzeba wyjaśnić. Naprawdę nie chcesz wiedzieć, jak narozrabiałeś?

Piotr ruszył do kuchni, podał szkło.

– Zamknijcie drzwi – rzekł.

Kiedy wrócił, dostrzegł Magdalenę Prus, Artura Mackiewicza i Leszka Krajnowa.

– To przecież Polacy. – Wskazał mężczyzn.

Potem próg przestąpił Mariusz Korcz.

– Czas na zmiany, prezesie – powiedział młody socjolog. – Umarł król, niech żyje król.

Przed szereg wystąpiła Ałła. Odezwała się poprawną polszczyzną:

– I tak historia zatoczyła koło. Pytałeś, kto zajmie twoje miejsce. – Objęła ramieniem Magdalenę Prus. Podała Dawidowi rewolwer buldog, który wyjęli z Piresem ze studni. – Wciąż jest sprawny, ale nie będzie już nam potrzebny. Rozbierz go i wrzuć do rzeki – rozkazała.

Lekarka się rozejrzała.

– Nie podoba mi się tutaj. Eleganccy ludzie mają gust. A jak już będziesz po tamtej stronie, możesz ojcu przekazać, że go pomściłam.

Anatol dał psu znak. Amstaf rzucił się na Piotra, ale tylko po to, by go wystraszyć i odwrócić uwagę od prawdziwego niebezpieczeństwa. Potem sprawę przejął Dawid. W ręku miał nożyczki do cięcia kurczaka. Tym razem profesjonalne, świeżo naostrzone na tokarce Jakuba. I był trzeźwy jak niemowlę. Piotr nie wydał z siebie nawet głosu, ponieważ ostrze rozorało mu krtań, a na świeżą koszulę wytrysnął wodospad krwi.

– Nie ten pies jest groźny, który szczeka – zwrócił się Pires do Magdaleny, upijając łyk zimnej wódki. – Ale ten, który warczy. – I oświadczył wszystkim, wskazując na Dawida: – A mój atakuje bez ostrzeżenia. W milczeniu. I ciszę zostawia.

Po czym nowa Rada Sprawiedliwych tego miasta rozeszła się do swoich domów. Dawid posprzątał miejsce zbrodni i zajął się szukaniem dokumentów.

Hajnówka, 2014

Sasza próbowała się wyswobodzić, ale taśmy trzymały ciasno. Myślała szybko. Była sama. Miała broń. Beretta wyraźnie uciskała ją w kieszeni. To dodało jej odwagi. Nagle usłyszała czyjeś kroki. Ktoś się skradał. Po chwili usłyszała charakterystyczne klikanie, które tworzyło znajomą melodyjkę. Kod wejściowy do wszystkich drzwi musiał być identyczny. Drzwi uchyliły się. Stał w nich Łukasz. Włosy miał zmierzwione, ubranie poszarpane. Był miejscami poraniony i brudny. Bez słowa podszedł do Saszy i zaczął przecinać jej więzy. Kiedy jednym gwałtownym ruchem oderwał taśmę z jej ust, poczuła paraliżujący ból. Natychmiast jednak nabrała haust powietrza.

– Biegnij! – krzyknął Łukasz i popchnął ją do wyjścia.

– A on? – Wskazała Quaka.

– Nie jesteśmy w stanie go uratować. Zaraz się zorientują, że uciekłem. Nie mamy czasu.

Sasza nie posłuchała. Podbiegła do szafy i szarpnęła za drzwi. Nie chciały ustąpić. Zaczęła manipulować przy przyciskach. Wciskała kolejne, jak popadło. Waliła w pleksi gipsem. Bez skutku. Wreszcie odwróciła się do Łukasza.

– Wpisz kod.

Zawahał się, ale zawrócił i wykonał polecenie. Rozległ się jednostajny pisk, światełko zgasło. Udało się jedynie odłączyć urządzenie z sieci. Sasza rozpinała paski na przedramionach i stopach Quaka, ale jedną ręką szło jej dwa razy wolniej. Łukasz pomógł jej i wspólnie wyciągnęli zakrwawionego chłopaka z narzędzia tortur. Jęczał, kiedy zdejmowali go ze szpikulców. Były wbite w jego ciało do jednej trzeciej. Krew sikała na podłogę z odłączonych rurek. Wreszcie Quaku osunął się w ramiona Łukasza.

Byli mniej więcej tego samego wzrostu i postury, ale Orzechowski zdawał się teraz dwukrotnie cięższy, przelewał się przez ręce. Polak

zarzucił go sobie na plecy i ruszył do korytarza. Przebiegł kilka metrów, dotarł do sali zabiegowej.

– Nie dam rady. – Oparł się o ścianę. Ciężko dyszał. – Musimy go zostawić.

Sasza zdrową ręką podtrzymywała chłopaka z drugiej strony. Wiedziała, że Łukasz ma rację.

– On jeszcze żyje – wychrypiała. – Nie doczeka na pomoc. Będziesz mógł z tym żyć?

Łukasz wykrzywił twarz w geście rozpaczy.

– Znajdą nas – jęknął.

– To idź – odparła rozzłoszczona. I krzyknęła z furią: – Właśnie pozytywnie przeszedłeś test, czy jesteś psychopatą! Eksperyment z wagonem na torach. Jeśli nie miałbyś wyjścia i musiałbyś popchnąć tego drugiego gościa pod pociąg, aby uratować siebie, zrobiłbyś to?

Łukasz poddał się i posadził Quaka pod ścianą.

– Wolę już ten dowcip o kobiecie, która spotyka przystojniaka wyłącznie na pogrzebach. A potem, by go znów zobaczyć, morduje własną siostrę.

Roześmiała się.

– Fajnie – burknął zniechęcony, ale łypnął na nią z sympatią. – Znacznie lepiej będzie, jak zginiemy wszyscy.

– Daj mi pomyśleć – uciszyła go. – Trzeba znaleźć jakiś wózek, nosze. Cokolwiek. Muszą jakoś transportować te ciała! Przecież ta wampirzyca nie nosi ich na swoich chudych plecach.

Łukasz zerwał się i biegał teraz tam i z powrotem, szukając czegoś, na czym mogliby położyć rannego, ale większość sal była zamknięta. Wtedy zobaczył windę. Była zastawiona kartonami i zamknięta na kłódkę, ale Sasza zaraz do niego dołączyła i wspólnie zaczęli ją odgruzowywać.

– To bez sensu – przekonywał ją Łukasz. – Nie masz klucza. A ten dźwig nie działa. Przecież mieszkałem tu kilka lat. Nikt nim nie jeździł.

Mimo to kobieta nie przestawała.

– Idź po niego – krzyknęła, z trudem łapiąc oddech. I weź prześcieradło z któregoś z łóżek z zabiegowej. Owiń go. Jeszcze wda się zakażenie.

Łukasz się wahał. Obejrzał się. Quaku miał spierzchnięte usta, przymknięte oczy, coś bełkotał w malignie.

– Daj mu wody! – zawołała Sasza, nie odwracając się.

Kiedy Łukasz wrócił z prześcieradłem i wodą w konewce, którą po prostu polał rannego, przejście do windy było już odgruzowane, Sasza zaś stała na rozstawionych nogach, z bronią w ręku i celowała do kłódki. Rozległy się dwa strzały. Oba niecelne. Dopiero za trzecim razem kłódka rozpękła się na kawałki. Oboje byli zszokowani hukiem, jakiego narobiła. Echo niosło odgłos wystrzału po całej piwnicy. Cisza, jaka potem zapadła, zdawała się trwać wieczność. Sasza szybciej odzyskała zimną krew. Otworzyła kratę, podeszła do przerdzewiałego włącznika. Łukasz w tym czasie przywlókł odzyskującego już przytomność Quaka. Wspólnie udało im się przesunąć dźwignię do góry. Winda ruszyła.

– Wiesz, że pewnie już tam na nas czekają? – mruknął Łukasz.

– Pozabijam ich wszystkich – syknęła w odpowiedzi kobieta. Oczy miała dzikie, ale potem się uśmiechnęła. – Kolejny raz mnie uratowałeś.

Pochyliła głowę.

– To nie byłem ja – szepnął.

– Wiem, widziałam obraz. – Sasza wyjęła z kieszeni list. – Przeczytam później.

Zapadła cisza.

– Przepraszam – powiedziała i zamilkła.

On też zamarł.

– Bardzo chciałem cię zobaczyć – rzekł w końcu. – I ją. Dałaś jej na imię Karolina?

Quaku jęczał cicho. Położyła mu rękę na czole. Był rozpalony, wciąż nieprzytomny.

– Pogadamy później – ucięła. – Dasz radę?

Skinął głową. Wpatrywał się w Saszę. Chciał jeszcze coś powiedzieć, o tak wiele zapytać, ale nie miał odwagi. Chwilę potem winda się zatrzymała. Widzieli wyraźnie, że korytarz jest pusty.

– Za stołówką jest boczne wyjście. Byle nie było zamknięte na klucz. Jesteś genialna! – rozpromienił się.

– Wiem – odparła i też się uśmiechnęła. Sama nie wierzyła, że udało im się tak łatwo. – Czyli recepcja jest po skosie?

Potwierdził.

– Ale trzeba wpisać kod.

– Jaki?

– Nie mam pojęcia.

– Jakim mnie otworzyłeś?

– Dwa pięć zero sześć jeden dziewięć siedem siedem. To data śmierci ojca Magdaleny. Ale nie wiem, czy działa na wszystkie śluzy.

– Biegnij – poleciła mu i wyjęła berettę. – Będę cię osłaniała, aż wyjdziesz bezpiecznie z budynku.

Ruszył z trudem. Quaku był już całkiem bezwładny. Sasza poczekała, aż zniknęli w drzwiach, i skierowała się w przeciwną stronę.

– A ty? – usłyszała za plecami.

Łukasz się odwrócił. Stał, z trudem walcząc z drzwiami i ciałem nieprzytomnego chłopaka.

– Muszę odzyskać swój telefon. Potrzebujemy wsparcia! – krzyknęła. – Zatrzymaj pierwszego lepszego kierowcę i jedźcie do szpitala. Tam cię znajdę.

Zdołała bezpiecznie dobiec do drzwi magazynku, gdzie Jakub schował jej rzeczy. Odwróciła się i ze ściany z kluczami zdjęła ten odpowiadający numerowi na drzwiach. Schowała broń do kieszeni i wsunęła klucz do zamka. Zdziwiła się, bo drzwi nie były zamknięte. Uchyliła nieznacznie skrzydło, wewnątrz panowała ciemność. Gdy tylko przekroczyła próg pomieszczenia, ktoś zasłonił jej twarz gazą nasączoną substancją przypominającą eter. Zdążyła tylko dostrzec, że napastnik nie miał sprawnych wszystkich palców, w drugiej dłoni trzymał dokumenty braci Załuskich, jej walizka zaś była otwarta. Po chwili osunęła się na podłogę.

Świeciło piękne słońce, kiedy z autobusu na warszawskich numerach wysypała się grupa młodych podróżników. Chłopcy mieli plecaki ze stelażami, trapery i zielone parki. Dziewczęta związały włosy w niedbałe koki na czubku głowy. Poza jedną, tą w słomkowym kapeluszu, która wyjęła z kieszeni yorka i puściła go luzem, bez smyczy. Zaraz obsikał pobliskie drzewo, a potem wybiegł na ulicę. Dziewczyna ruszyła za nim, wołając: „Perełka!”. Na szczęście ruch na ulicy był niewielki, tubylcy zaś pobłażliwi. Samochód, pod który omal nie wpadła Perełka, zatrzymał się i kierowca pomachał psiakowi, jakby go pozdrawiał. Na straganie z pamiątkami przy dworcu dziewczęta zaraz kupiły folklorystyczne chusty i owiązały sobie nimi biodra. Chłopcy w tym czasie zrobili zaopatrzenie w monopolowym. Potem ruszyli wzdłuż głównej ulicy miasteczka, a przechodnie uśmiechali się do nich i schodzili im z drogi, kiedy młodzi turyści szli szpalerem w kierunku wylotu na Białowieżę.

– Jesteś pewien, że złapiemy tu stopa? – zaniepokoił się najstarszy z uczestników. Jako jedyny miał zarost na twarzy.

– Pół Francji tak zjeździłem – uspokoił go kolega. – Dlaczego tutaj miałoby się nie udać?

Kiedy mijali zbiegowisko koło lokalnego targowiska, ktoś krzyknął:

– Rezać Lachów!

A potem kilkunastu młodych odzianych w wojskowe ciuchy mężczyzn rzuciło się do bitki przeciwko czterem cywilom. Zaraz rozdzieliła ich policja i przedstawienie się skończyło. Wszystko działo się na oczach kamer.

– Pewnie kręcą jakiś film – skomentowała jedna z turystek. – Głodna jestem, chodźmy do tej restauracji. Leśny Dworek, brzmi wystarczająco lokalnie.

Tak też zrobili i kilka minut później siedzieli już przy stole, czekając na swoje zamówienia. Restauracja była prawie całkiem pusta. Tylko w rogu siedział dziwny facet z bojowym psem bez kagańca. Był kompletnie pijany i mamrotał coś o sitwie zarządzającej miastem. Dopóki nie zaczął

pokrzykiwać, kelnerka nie reagowała. Kiedy jednak białoruskie piosenki uniemożliwiały już konwersację innym gościom przy stolikach, podeszła do niego i ostrzegła, że jeśli się nie uciszy, będzie zmuszona go wyrzucić.

– Ten pan nam nie przeszkadza – wtrącili się zaraz turyści. – Nawet nam się podoba.

Rozochocony Anatol Pires natychmiast wstał i ruszył do ich stolika. Pies powoli poczłapał za nim. Przystawili mu krzesło. Kiedy kelnerka podała jedzenie, zamówili gościowi jeszcze jedno piwo. Pires pokręcił głową, że tego sikacza nie pije, i zażądał stolicznej. Ucztowali tak dobrą godzinę, aż lokal zaczął się zapełniać. Wystrojeni goście wchodzili do pomieszczenia, kelnerka zaś wprowadzała ich dalej.

– Tam na dole jest raucik – wyjaśnił Pires półgłosem. I kolejno na ucho dziewczynie w kapeluszu przedstawiał przybyłych: burmistrza, panią komendant i pana mecenasa, popa, starostę, dyrektora liceum, właściciela lokalnej telewizji, urzędników miejskich. Nie minęło pół godziny, a z zamkniętej sali dobiegały już odgłosy biesiady.

– A pan czym się zajmuje? – zapytała jedna z dziewcząt.

– Ja? – Pires się uśmiechnął. – Jestem specjalistą od mokrej roboty, choć wszyscy mają mnie za szpiega.

Wszystkich to bardzo rozbawiło. Pires natomiast zmarkotniał.

– Wczoraj w puszczy odkopałem dwa ciała, a zakopałem trzy. Ten nowy grób jest znacznie lepszy. Starczy w nim miejsca dla jeszcze kilku osób, choć już nie ma takiej potrzeby, bo tylko ja zostałem – dodał, ale wzbudził tylko jeszcze większą salwę śmiechu.

Rozpromienił się, widząc, że nie uwierzą, w cokolwiek im powie, więc zaczął opowiadać, co działo się tutaj od dwóch tygodni. O czaszkach, porwaniu panny młodej, głowie psa i skandalu z malunkiem na wieży ciśnień. Słuchali go, popijając piwo, a humory mieli coraz lepsze. Kiedy mówił o ludojadzie, który prawie odgryzł jednej z Białorusinek połowę ramienia, brodacz z Warszawy omal nie udławił się pierogiem.

– Dobre bajki opowiadacie, dziadku.

– Pewnie – Pires pokiwał głową. – Żyję w tej krainie baśni już ósmy krzyżyk.

Wyjął papierosa. Kilku młodych też miało ochotę zapalić po obiedzie. Wyszli ze staruszkiem na taras.

– Czytałeś *Amerykańskich bogów*? – zwrócił się do najstarszego z grupy.

– Dawno, niewiele pamiętam.

– Jest tam jedno mądre zdanie. Dla niego jednego warto lekturę odświeżyć: „Trzech ludzi może zachować sekret, jeśli dwóch z nich nie żyje” – podjął wątek Pires. Tym razem jednak nikt się nie zaśmiał. Czuli, że stary tym razem mówi im prawdę. – Nas było siedmiu, jak siedmiu wspaniałych. Od wojny to my trzymaliśmy tutaj władzę. Ja, Mikołaj i Piotr byliśmy trzej ostatni ze starej gwardii. Od wczoraj jeden z nas na zawsze zostanie w tej ziemi. Drugi wyjedzie na wieczne wczasy. A ja umiem trzymać język za zębami. Reszta abdykowała i władzę przejęli młodzi. Taka jest kolej rzeczy.

Po czym wstał, przypiął smycz do obroży starego psa i bez pożegnania wyszedł. Bardzo się zdziwili, że nie przyszedł na piechotę. Światła postojowe w czarnym mercedesie z podwójnymi lampami się zaświeciły i starzec wsiadł za kierownicę. Pies umościł się obok niego, na przednim siedzeniu pasażera. W drzwiach można było dostrzec trzy zapaćkane antykorozyjnym preparatem dziury. Auto było poobijane i zaniedbane. Okularnik idealnie pasował do swojego właściciela.

– Ale dziwadło – skomentowała jedna z dziewcząt. – Dobrze, że już poszedł.

– A mnie się tutaj podoba. Spokój, cisza – zaoponowała inna. – To był bardzo dobry pomysł, żeby tu przyjechać. Ludzie się tu pewnie wszyscy znają. Nie muszą dzwonić do siebie, żeby wpaść na kawę. Zawsze chciałam przenieść się do małego miasta.

Światło latarni padało na pomarańczową maszynę do czyszczenia podłóg. Sasza widziała napis, ale nie była w stanie go odczytać. Jej okulary zostały w torbie. Przeklinała swoją próżność i astygmatyzm. Tym razem oprawca nie zdążył jej zakneblować. Pewnie poszedł naradzić się z siostrą. Wiedział, że Ciszynia jest pusta i nikt jej nie usłyszy. Miała nadzieję, że Łukasz zdąży wezwać pomoc, zanim ją ukrzyżują w odmładzalni pani Prus.

Rozejrzała się. Wzrok powoli przyzwyczajał się do ciemności. Na wieszakach wisiał rząd ubrań roboczych. Z jednego z nich wystawała butelka coli. Sasza powoli, by robić jak najmniej hałasu, zaczęła huśtać się na krześle, aż udało jej się zsunąć z siedzenia. Syknęła z bólu, kiedy w wyniku gwałtownego szarpnięcia krzesło przewróciło się, a plastikowy zacisk wbił się w nadgarstek. Czuła, że dłoń zaczyna jej drętwieć.

Położyła ostrożnie oparcie krzesła na podłogę i przytrzymując je, by nie wydało odgłosu szurania, kiedy będzie je za sobą ciągnęła, udało jej się doczołgać do maszyny czyszczącej.

Naderwaną listwę dostrzegła, jak tylko ją tutaj zamknął. Metal błyszczał odbitym światłem latarni. Nie miała pewności, czy jest wystarczająco ostra, ale w pokoju nie widziała nic innego, co mogłoby posłużyć jako nóż. Kiedy była już na wyciągnięcie ręki od urządzenia i odczytała wreszcie markę sprzętu: Hakomatic B 900, krzesło zwaliło się z hukiem. Wzdrygnęła się, ale nie usłyszała żadnych kroków. Musiała być na piętrze całkiem sama. Od tej chwili przestała przejmować się hałasem. Miała niewiele czasu.

Dotąd waliła gipsem w metalową listwę obudowy urządzenia, aż pękł, odsłaniając złamaną rękę. Prawie wcale nie czuła bólu. Była tak wściekła i skoncentrowana na odgłosach uderzeń, które zdawały się nieść zwielokrotnionym echem po całej klinice, że udało jej się ją zrzucić po zaledwie kilku ciosach. Z trudem pochwyciła listwę i w jej najostrzejszym miejscu zaczęła pocierać o plastikowy zacisk. Z nosa jej ciekło, z trudem oddychała. Gałki oczne piekły, ból od ramienia promieniował aż po kostkę lewej nogi, ale instynkt przetrwania był silniejszy. Czuła, że beretta przedarła podszewkę kieszeni, a teraz przesunęła się i wpadła w nogawkę dżinsów. Uwierała ją w pachwinie brzegiem kolby. Sasza starała się nie

myśleć o tym, że broń jest naładowana i odbezpieczona. Pocierała z całych sił o plastik, aż poraniła sobie palce. Na rękach miała już własną krew i krew Quaka. Wreszcie zacisk trzymał się już tylko na kilkumilimetrowej nitce PVC. Ostatnie trzy potarcia. Puścił.

Uwolniła rękę. Z ulgą odsunęła od siebie ciężkie krzesło. Na oparciu było pełno brunatnych plam z odciskami jej palców. Nie zwracała już na to uwagi. Podniosła zdrową rękę, pomachała nią, a potem zaczęła ściągać gips. Szarpała się z nim, wreszcie roztrzaskała o podłogę, zadając sobie dodatkowy ból, aż zawyła. Kiedy obie ręce były już wolne, zajęła się oswobodzeniem nóg. By poszło łatwiej, ściągnęła buty. Dziękowała Bogu, że włożyła sztyblety, które nie wymagały rozsznurowywania. Przez nogawkę spodni wypadła jej „pszczółka”. Sasza chwyciła ją, sprawdziła magazynek. Miała jeszcze cztery naboje. Jeden był zgięty, więc od razu wypluła go na podłogę. Nie chciała ryzykować, że beretta się zablokuje i da szansę oprawcy. Jej zostały tylko trzy szanse. Aż trzy, poprawiła się w myślach. Zacisnęła pięść na pistolecie, przymierzyła się, ale złamana ręka za bardzo się trzęsła. Bolała, puchła. Wciąż jeszcze była niedokrwiona. Sasza zrozumiała, że oburącz nie ma szans oddać ani jednego celnego strzału. Odłożyła broń, przysunęła krzesło, by oprzeć się na łokciu, ale wtedy była zanadto widoczna. Poddała się. W oczach miała łzy. Po chwili znów spróbowała. Zaciskała i rozkładała palce. Czekała, aż odzyska władzę w jedynej ręce. W końcu się podniosła. Na nogach z trudem była w stanie ustać. Usiadła na podłodze, odpoczywała. Zbierała myśli, jeszcze raz obrzuciła spojrzeniem suterenę.

Pomieszczenie miało nie więcej niż piętnaście metrów kwadratowych. Przyjrzała się oknom. Były wąskie, nieuchylne i zakratowane. Nawet zwierzę nie dałoby rady przecisnąć się tą drogą. Wewnątrz też nie było gdzie się ukryć. Z każdego miejsca będzie widoczna, gdyby morderca pojawił się nagle w drzwiach. Ale w klinice wciąż panowała niepokojąca cisza. Miała chwilę na opracowanie strategii.

Między drzewami dostrzegła ciemną sylwetkę, a raczej nogawki dżinsów i wojskowe kamasze. Człowiek biegł od strony parku, wyraźnie starając się pozostać niezauważony. Chwilę później usłyszała melodię. Początek jej ulubionej piosenki – *Jism* Tindersticks. Zamarła. To był jej własny dzwonek telefonu. Sprawca musiał zamknąć jej torbę

w pomieszczeniach obok lub w jednej z pracowniczych szafek, które widziała w korytarzu. Była tak blisko, a nie mogła się wydostać. Natychmiast wzięła się w garść. Musi istnieć jakiś sposób.

Potarła oczy, zacisnęła dłonie. Ręka uwolniona z gipsu okrutnie swędziała. Sasza ulżyła sobie, raniąc się paznokciami, a potem doczołgała się do drzwi. Tak jak się spodziewała, były zamknięte na kartę magnetyczną. Nie miały nawet klamki. Szarpała się z nimi chwilę. Bezskutecznie. Wspięła się do tablicy rozdzielczej. Wpisała kod podany jej przez Łukasza, choć nie była już pewna, czy dobrze zapamiętała. Rozległ się dźwięk przypominający „bang". Spróbowała ponownie. Bez skutku. Opadła na kolana. Kod nie działał albo został zmieniony. Nie wydostanie się stąd bez wyważenia futryny. Nie miała już tyle sił ani niczego, co mogłoby posłużyć jako taran. Spojrzała ponownie na pomarańczową maszynę i spróbowała ją przesunąć. Okazało się to prostsze, niż podejrzewała. Sprzęt był na kółkach. Ustawiła go przodem do drzwi i ukryła się za nim jak za barykadą. Potem oparła się plecami o tylną ściankę, podkuliła nogi i kilkakrotnie trenowała uniki i atak. Wychylała się, markując strzał, a potem wstawała i liczyła, ile sekund zajmie jej dotarcie do drzwi. Po kilku razach była już zlana potem i ciężko dyszała. Postanowiła jednak, że jeśli sprawca tu wejdzie, nie będzie celowała w kończyny. Zamierzała ustrzelić go już za pierwszym strzałem. Miała tylko trzy naboje, a już wiedziała, że oprawca nie da jej kolejnej szansy i tym razem unieszkodliwi ją bez skrupułów.

Dzwonek jej telefonu rozległ się ponownie. Tym razem pojedynczym piknięciem. Sasza przełknęła ślinę, zamrugała kilka razy. Ktoś zostawił jej wiadomość na skrzynce. Przymknęła oczy i czekała, ale nic się nie działo. Nie miała pojęcia, jak długo tu była ani ile jeszcze zamierzają ją trzymać. Czuła, jak stres powoli odpuszcza i morzy ją senność. Miała ochotę w nią uciec, by nie czuć wreszcie tego ćmiącego, jednostajnego bólu. Złamana ręka wisiała bezwładnie, spuchła jak balon. Tylko jej przeszkadzała. Starała się o tym nie myśleć, ale nie była w stanie skupić się na niczym innym. Poderwała się i pochwyciła jeden z fartuchów wiszących obok kombinezonów ekipy sprzątającej. Zrobiła sobie z niego prowizoryczny temblak. Zanim skończyła, usłyszała melodyjne klikanie. Przypomniała

sobie. To była ludowa piosenka o ruczaju, którą w kółko puszczali tutejsi. Ktoś wpisywał kod do śluzy.

Natychmiast wskoczyła za maszynę. Przyjęła wyćwiczoną pozycję w ostatnim momencie, zanim drzwi się otworzyły. Kiedy tylko mężczyzna wdarł się do środka, Sasza wychyliła się i oddała strzał. Nie trafiła, mężczyzna rzucił się w jej kierunku. W panice strzeliła drugi raz. Celowała w głowę oraz klatkę piersiową. Była szybka. Napastnik nie zdążył się odezwać. Zacharczał i upadł, uderzając głową o posadzkę.

Nie zastanawiała się nawet chwili. Poderwała się i ruszyła, utykając, do wyjścia. Mijając ciało, cały czas trzymała je na muszce. Mężczyzna nie poruszył się, już nie atakował. Światło w korytarzu oślepiło ją, jakby ktoś sypnął jej pod powieki piaskiem.

– Sasza – usłyszała chrypienie.

Odwróciła się. Na podłodze, w kałuży krwi, leżał Robert Duchnowski.

– Wiedziałem, że bez okularów nic nie widzisz – próbował żartować. – Zabiłaś mnie, jak tego gościa na strzelnicy. Poniekąd.

Sasza opadła na kolana, potrząsnęła nim.

– Będzie dobrze, Duchu! – Jedyną zdrową ręką próbowała nieudolnie tamować krew, ale to niewiele dawało. Przed oczami stanęła jej tarcza strzelnicza. Dwie puszczone kule. W głowę i pierś napastnika. I zapomniana łuska, głupi przesąd, który właśnie się wypełnił. Nie była w stanie nic powiedzieć. Rozpłakała się.

– Nie ćwiczyłaś. – Duch wykrzywił usta w grymas, który w normalnych okolicznościach byłby zapewne uśmiechem. – Kurwa, jak to boli.

– Nie umieraj! – Przytuliła twarz do jego policzka. – Nie rób mi tego.

– Tylko tego łóżka mi szkoda, Saszka. Że go nigdy nie było – wychrypiał Duch i stracił przytomność.

KONIEC TOMU II

Posłowie

Akcję tej książki osadziłam w mojej rodzinnej miejscowości. Hajnówka to kieszonkowe miasteczko na skraju Puszczy Białowieskiej – zielone, spokojne i bardzo klimatyczne. Kiedy ujawniłam miejsce akcji, wiele osób się krzywiło: w takiej dziurze, dlaczego? Ponieważ historia tego miejsca jest niesamowita – odpowiadałam i niniejszym potwierdzam.

Historię tego miejsca można śmiało porównywać do dziejów pierwszych osad Dzikiego Zachodu w Ameryce Północnej. Inna jest jedynie skala. Przed wiekami ściągali tam ludzie z całego świata poszukujący nowego życiorysu, szczęścia i pieniędzy. Zamiast złota była zwierzyna, którą trzebiono bez opamiętania, a potem drewno – budulec swego czasu cenniejszy niż błyszczący kruszec. Ponieważ leży w bliskości granicy, w okolicy jest wiele miejsc, gdzie przelano krew niewinnych, ale o Hajnówce i jej przyległościach mówi się dziś w mediach bardzo mało.

Jest w tej powieści ukryta także moja rodzinna historia. Od dziecka słyszałam o babci, która zginęła w czasie wojny. Była w siódmym miesiącu ciąży i, jak mi mówiono: zestrzelił ją niemiecki czołg. To matka mojej matki. Miała na imię Katarzyna. Noszę po niej imię. Moja mama została sierotą w wieku sześciu lat. Kiedy teraz, na potrzeby powieści, której akcję umieściłam w Hajnówce, moim rodzinnym mieście, dokumentowałam pewną powojenną historię, w dokumentach IPN natrafiłam na sprawę tak zwanego pogromu wsi prawosławnych dokonanego przez oddział dowodzony przez jednego z żołnierzy wyklętych, Romualda Rajsa ps. „Bury”. Z rąk żołnierzy niezłomnych antykomunistycznego podziemia w tamtym czasie zginęła, doznała ran i poparzeń przeszło setka osób. Wyłącznie cywili, także kobiet i dzieci. Uprowadzono pięćdziesięciu furmanów, z których trzydziestu, tylko wyznania prawosławnego, zamordowano w regularnej egzekucji. Ich ciała odnaleziono dopiero w 1994 roku. Pomnik ku czci poległych postawiono dopiero w 1997, po

drugiej ekshumacji. Przez prawie pół wieku społeczność milczała ze strachu, choć wszyscy o zbiorowej mogile wiedzieli.

To nie był jedyny atak antykomunistycznego podziemia na niewinnych ludzi, którzy zginęli dlatego, że nie chcieli sugerowanej przez władzę ludową emigracji, a zbrojne podziemie pragnęło „Polski dla Polaków". Starsi ludzie zamieszkujący te tereny mówią o znacznie większej liczbie ofiar – kilkuset. Z map w tamtym czasie „zniknęło" wiele białoruskich wsi. Wielu ciał nigdy nie odnaleziono, ludzie zaś po prostu bali się mówić o tej tragedii głośno. Moja babcia była jedną z ofiar pogromu. Jej oraz mojej mamie dedykuję tę książkę.

Kiedy czytałam dokumenty w IPN, czułam ciarki na plecach. Każde słowo zawarte w aktach dotykało mnie osobiście. Czasem mówię, że to nie pisarz wymyśla historię, lecz historia wybiera jego, ponieważ tylko ta osoba może ją opowiedzieć, i tak właśnie było w tym przypadku. W moim domu nigdy o sprawach narodowościowych się nie rozmawiało. Nacjonalizm oraz radykalne poglądy polityczne były moim rodzicom obce. To ludzie światli, oczytani i wyważeni. Chcieli chronić swoje dzieci przed przeszłością za pomocą zasłony milczenia, gdyż zdawało się im to bezpieczniejsze niż rozdzieranie ran historii. Kiedy szłam do białoruskiego liceum, nie znałam nawet alfabetu, ponieważ w domu rozmawialiśmy po polsku, a potem awanturowałam się, kiedy w szkole wmawiano mi, że jestem z pochodzenia Białorusinką. Byłam wtedy zbyt młoda na zrozumienie problemu. Nie rozumiałam wagi ZIEMI ani tego, że psychologiczna pamięć naszych przodków, historia, z której wyrośliśmy, która rzutuje na nasze dziedzictwo kulturowe, społeczne, a także nasze horyzonty myślowe, zawiera się w nas i jest niczym cień dla ciała. Nie da się od niej uciec, a wręcz powinno się ją znać, by lepiej rozumieć siebie i zapewnić spokój ducha swoim potomkom. Być może z powodu psychologicznego genogramu przodków, który niewątpliwie mam krwawy (kiedy zaczęłam zgłębiać swoje psychologiczne korzenie, wyszło na jaw więcej wielkich dramatów, które były udziałem mojego rodu), piszę takie właśnie książki. Ale to już temat na oddzielną opowieść, którą może kiedyś wam przedstawię.

W żyłach mieszkańców miasta Hajnówki płynie nie tylko krew polska, białoruska, ukraińska, litewska czy rosyjska, ale też francuska, niemiecka, żydowska i wielu innych nacji. Kocioł kulturowy ziemi hajnowskiej,

w którym dominantą pozostaje jednak obecnie ludność białoruska, daje efekt całkowitej egzotyki, w każdym tego słowa znaczeniu. Zachęcam do odwiedzenia tego miejsca i zgłębiania tajemnic „tutejszych”.

Ale ponieważ tu właśnie dorastałam, chodziłam do szkoły podstawowej i liceum, praca nad tą powieścią była dla mnie w dwójnasób trudna. Musiałam oderwać się od swoich dziecięcych wspomnień, które ze swej natury są wyidealizowane, infantylne i nie przystają do rzeczywistości. To przeszkadza w budowaniu fabuły, która wymaga trzeźwego osądu, a nie onanizmu literackiego czy lukru. Przyjeżdżałam do Hajnówki „służbowo” nieskończenie wiele razy, w różnych odstępach czasu, by wreszcie móc spojrzeć na to miejsce jak na miejsce akcji, a nie „baćkauszczyznę” (z białoruskiego – ojcowizna, miejsce pochodzenia przodków).

Temat pogromu oraz sprawy narodowościowe to kwestie drażliwe w tak małym miasteczku. Już w trakcie pracy nad powieścią miałam okazję doświadczyć jawnej wrogości i zakłamywania historii lub manipulowania jej kartami. Podkreślam, że jest to książka fabularna, powieść kryminalna, nie zaś dokument czy książka historyczna. Wszystkie przedstawione w niej zdarzenia, choć inspirowane prawdziwymi, są wytworem mojej wyobraźni. Prawdopodobnie od początku istnienia miasteczka – czyli od 1951 roku, od uzyskania przez Hajnówkę praw miejskich – nie padło tam tyle trupów, ile w *Okularniku*. Wszystkich państwa, których interesuje sam pogrom, zachęcam do przeczytania dokumentów w IPN i porozmawiania z ludźmi, którzy jeszcze pamiętają te zdarzenia.

Nie jest też prawdą, że w Hajnówce mieszkają sami źli i podstępni ludzie, którzy zaludniają karty wszystkich powieści kryminalnych świata. Nadal chcę wierzyć, że prawosławni i katolicy żyją tu w zgodzie i szacunku. Normą jest, że zakładają rodziny mieszane. Dzięki temu święta i obrzędy trwają tu dwa razy dłużej. Zresztą tygiel kulturowy, religijny i koloryt lokalny tylko tam – na wschodzie Polski – jeszcze się ostał, choć globalizm i komercja triumfująco wkroczyły już i na ten teren oraz święcą triumfy. Może trudniej będzie zapłacić za usługi kartą, ale panuje tam w dalszym ciągu stara, dobra zasada: Gość w dom, Bóg w dom.

Nigdzie na świecie nie jadłam lepszej babki ziemniaczanej, wędzonej słoniny czy bogato nadziewanych czosnkiem pielmieni. To doskonałe miejsce na wypady weekendowe i baza dla wycieczek do puszczy. Nigdzie

nie ma tak wielu nadzwyczajnych ptaków, zwierząt, które można obserwować wprost na wyciągnięcie ręki. Prawdą jest, że nadal wychodzą tam na szosę żubry, jelenie i łosie, ale nie białe niedźwiedzie! Istnieją wciąż babki szeptunki. Zabobony i przesądy są wciąż w obiegu, a ja sama w niektóre wierzę.

Nie wiem, kto trzyma w mieście władzę i czy Hajnówka jest „czerwona". Nie mnie to oceniać i nie jest to celem niniejszej książki. Polityka mnie brzydzi. Chyba że niszczy ludzki spokój, wkraczając w świat emocji, który to wyłącznie interesuje mnie jako autorkę powieści. Prawdą jest, że plotka w tak małej miejscowości ma większą siłę rażenia niż portale o celebrytach czy telewizje śniadaniowe, bo media są tak odległe od tamtej rzeczywistości jak bajki o żelaznym wilku. Znajdziecie tu także zapach podupadającej mieściny, nędzę, slumsy, a także nowoczesnych partyzantów oraz radykalnych nacjonalistów – z obu stron barykady.

Przyroda rekompensuje jednak bardzo wiele mankamentów społecznych. Nigdzie na świecie nie uświadczysz takiej ciszy i nie zobaczysz tylu odcieni zieleni. Nigdzie ziemia – dosłownie i w przenośni – nie ma tak wielkiego znaczenia. Ale też nie ma dyskretniejszych ludzi i co za tym idzie, tak wielu głęboko schowanych tajemnic. Są sprawy, o których nie dowiemy się nigdy. To jednakże jest prawda, która przystaje do każdej małej społeczności.

Jestem dumna, że pochodzę z Hajnówki. Jestem też pewna, że moje pochodzenie, bogactwo kulturowe, które mam w genach, oraz odwaga, którą nabywałam w najważniejszym dla człowieka czasie – dojrzewania – zaprocentowały tym, kim jestem dziś oraz kim będę w przyszłości. W przeciwieństwie do rodziców nie spuszczam przed córką zasłony milczenia i mówię jej otwarcie, kim jest i skąd się wywodzi, co również Państwu zalecam. Milczenie nie jest dobre. Każda prawda jest lepsza niż złudny spokój ducha. Powinniśmy wiedzieć, skąd się wywodzimy i gdzie leży ziemia naszych przodków.

Dlatego też poświęcam tę książkę również moim krajanom – byłym, obecnym i przyszłym.

Podziękowania

Oprowadzali, pomagali schować fabularne ciała ofiar oraz spojrzeć na rodzinne miasto na nowo: Jauhien Jańczuk i Alicja Gryc, która dodatkowo pomogła zgłębić rys historyczny miasteczka, otwierając przede mną podwoje archiwum miejskiej biblioteki. Tutaj wypada podziękować wszystkim paniom z biblioteki, a zwłaszcza Ewie Litwiniec. Właściciel kompleksu wypoczynkowego i restauracji Sioło Budy opowiedział historię swojego ojca, która ma związek z tak zwaną sprawą Burego. Potem zgłębiałam ją precyzyjniej w aktach białostockiego oddziału Instytutu Pamięci Narodowej. Korzystałam też z książek, archiwów lokalnej prasy i starych albumów. Nie jestem w stanie wymienić wszystkich tytułów.

Dziękuję również Sebastianowi Kaczmarkowi z Komendy Głównej Policji; Dariuszowi Zajdlowi z Centralnego Laboratorium Kryminalistycznego Policji; prof. Rafałowi Pankowskiemu z Collegium Civitas; Karolowi Supryczyńskiemu, władcy i strażnikowi prądu; socjologowi Tomaszowi Sulimie; radnemu Bogusławowi Łabędzkiemu; Barbarze Poleszuk; Jackowi Prokopiukowi, dziennikarzowi „Głosu Siemiatycz” i innych pism lokalnych; Łukaszowi Stepaniukowi z Radia Racyja; Annie Bondaruk, autentycznej szeptunce ze wsi Rutka; Irenie Kuptel i Adamowi Bondarukowi z Komendy Powiatowej Policji w Hajnówce; Romanowi Sacharczukowi; Włodzimierzowi Poskrobko, emerytowanemu dyrektorowi HPPD; Filipowi Łobodzińskiemu, który limeryk o ludojadzie z Hajnówki napisał dla mnie w drodze do Ełku (dlatego też szwarccharakter „Smutny” pochodzi z tego miasta) i zajęło mu to zaledwie chwilę; Leszkowi Koźmińskiemu i Pawłowi Leśniewskiemu ze Szkoły Policji w Pile oraz Robertowi Duchnowskiemu, młodszemu inspektorowi w stanie spoczynku i emerytowanemu ekspertowi kryminalistyki; prokuratorowi Pawłowi Kaliszczakowi, członkowi Rady Fundacji Prokuratorów i Pracowników Prokuratury im. Ireny Babińskiej, byłemu pracownikowi naukowemu w Katedrze Kryminalistyki UJ pod

kierunkiem prof. Tadeusza Hanauska; Jackowi Cichowskiemu, reżyserowi, dokumentaliście, za puszczańskie opowieści i wizytę na strzelnicy; Paulinie Wilk za inspirujące rozmowy na temat historii Polski lat 1956–1989; wątek Rzeźnika – Iwana Marczenki – jest inspirowany tekstem Arkadiusza Panasiuka opublikowanym w „Reporterze”.

Dziękuję Robertowi Gromkowi i „Elektrykowi z Wąbrzeźna”; dyrektorowi i obsłudze hotelu Żubrówka za luksusową gościnę w trakcie dokumentacji do tej książki. Polecam najserdeczniej jedzenie, które serwuje tamtejsza restauracja; Kindze Kosiek i Iwonie Bejnar, które zgodziły się udostępnić swoje nazwiska, choć w życiorysie żadnej z postaci, o których przygodach czytacie w książce, nie uświadczysz ich losów. To samo tyczy się pozostałych bohaterów, jeśli okazałoby się, że następuje zbieżność nazwisk z rzeczywistymi. Wszystkie, podobnie jak historie ludzkie opisane w książce, są fikcyjne i nie mają związku z prawdziwymi. Wielki całus niech przyjmie Marcin Wroński, pisarz i zagorzały psychofan Kresów, który ostatecznie przekonał mnie, że winna jestem mieszkańcom Hajnówki powieść.

Wielki ukłon do ziemi niech przyjmie Pani Irma Iwaszko, która z iście stoickim spokojem znosi mój antytalent matematyczny, niewybredne żarty i przekleństwa niegodne jej szlachetnych uszu, a na dodatek czyta analitycznie wszystkie moje powieści i zawsze znajduje miejsca, które trzeba przepisać, poprawić. Taki redaktor to skarb. Dziękuję, Pani Irmo, i liczę, że będzie to długi i wieloletni związek.

Na szczególne podziękowania zasługują:

Małgorzata Młodzian, moja wieloletnia przyjaciółka i opoka, która – jak zwykle, przy każdej książce – pomagała w logistycznych, technicznych i merytorycznych kwestiach. A tym razem dostarczyła również wiedzy o sposobach uboju gospodarczego oraz związanych z nim obrzędach

oraz

Mariusz Czubaj, który obserwował moją nierówną walkę o *Okularnika* od momentu, gdy powieść była wyłącznie moją idée fixe. Pomagał, konsultował rozliczne plany i dawał na sobie weryfikować pomysły oraz motywował, bym miała odwagę oderwać się od dziecinnych wspomnień i zbudować opowieść Hajnówki, jakby to nie było moje rodzinne miasto, bo

pomniki ze spiżu zbyt szybko się starzeją. Był też pierwszym czytelnikiem i służył radą „doświadczonego kryminalisty”. Nie gniewaj się, Mario, że wszystkich rad nie uwzględniłam.

Mama – za opowieści rodzinne i modlitwę o skończenie *Okularnika*, zanim ta książka całkiem mnie wykończyła.

Córka – gdyż znosi matkę, która zajmuje się tak dziwną działalnością.

Babcia Jasia Purzycka – za nieocenioną pomoc i smakołyki, którymi mnie dokarmiała, kiedy na ostatnim etapie zapisu już traciłam kontakt z rzeczywistością i oko mi „latało”.

Brat – za tropy z „kościołowym dresem”, *Mądrość psychopatów* i kolekcję szowinistycznych tekstów.

Mój wydawca – w szczególności panie Małgorzata Czarzasty i Małgorzata Burakiewicz, gdyż wspierały, cierpliwie czekały i wierzyły w tę książkę, zanim jeszcze powstała.

Dziękuję

Katarzyna Bonda

[1] Centralniak – Dworzec Centralny w Warszawie, nawiązanie do sprawy siatki pedofilów, nigdy niewyjaśnionej. W materiałach operacyjnych przewijały się nazwiska znanych osób, także politycy, intelektualiści, autorytety moralne.

[2] *Ex nihilo nihil fit* (łac.) – Z niczego nic nie powstaje.

[3] My zostajemy, ktoś się zatracił
Niezrozumiałe odpowiedzi, martwe liście
Wszystko to co było i to co jeszcze będzie
Dzisiaj nie istnieje już dla mnie
Zostaję sam, zresztą jak zawsze
Na tym morzu sztorm nigdy nie cichnie
Tracę kochanie, gubię nadzieję
I więcej w kolorowe sny nie wierzę.

[4] Na Grabarce w Spasa – góra Grabarka to najważniejsze miejsce kultu prawosławnego w Polsce. 19 sierpnia, w święto Przemienienia Pańskiego, pielgrzymują tam pątnicy z całego kraju.

[5] Ł. Geniusz, *Ptaki bez gniazd*, Białystok 2012, Białoruskie Towarzystwo Historyczne, s. 6.

[6] Nawiązanie do Łarysy Geniusz (białorus. Heniusz).

Warszawskie Wydawnictwo Literackie
MUZA SA
ul. Marszałkowska 8
00-590 Warszawa

tel. 22 6211775
e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: 22 6286360
Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl
Wersja elektroniczna: MAGRAF s.c., Bydgoszcz